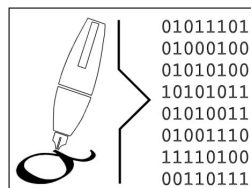


**PETER BERLING**

**DZIECI GRAALA**

Przełożył z niemieckiego Ireneusz Maślarz



Tytuł oryginału:

**Der Kinder des Gral**

Data wydania polskiego: 1999

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991

## SŁOWO OD AUTORA

Cytowane w tej książce we fragmentach kronikarskie zapiski franciszkanina Williama z Roebroku (ur. 1222) uchodziły przez długi czas za zaginione w arabskich bibliotekach. Nikt ich nie szukał, nikt nie potrudził się o przekład. Pewna część przepadła w ciągu stuleci mimo wielu arabskich odpisów, z ocalałych resztek — oraz innych źródeł — autor zrekonstruował przedstawioną poniżej historię. Wprowadzeniem do niej jest rękopis, który minoryta pozostawił w wiernych rękach swego brata zakonnego, Wawrzyńca z Orty (Portugalia). Uczynił to zapewne w przeddzień swej podróży do kraju Mongołów, podjąwszy się misji, która w latach 1253–1255 zaprowadziła go jako posła króla francuskiego Ludwika IX do Karakorum, siedziby wielkiego chana. Dokument, znaleziony przy „zwojach starkenberskich”, został tutaj podany w skrótowej postaci.

„Kronika” Williama rozpoczyna się tuż przed rokiem 1244, rokiem kapitulacji twierdzy Graala, tzn. Montségur, jak również ostatecznej utraty Jerozolimy. Napisana po łacinie, zawiera liczne cytaty i wyrażenia w językach znanych podówczas powszechnie w rejonie Morza Śródziemnego, między innymi w okcytańskim, greckim i arabskim. Zwroty te po części zachowano w wersji oryginalnej, podając ich przekład. Aby zainteresowanemu czytelnikowi ułatwić wejście w opowieść, autor wskazał przed każdym podrozdziałem miejsce i czas akcji, a także oznaczył fragmenty oryginalnego tekstu Williama z Roebroku. Całość poprzedza szczegółowy spis osób, dla lepszej orientacji uporządkowany wedle „stronniczej” przynależności bohaterów. Na końcu niniejszej opowieści zamieszczono słowniczek, który przybliży czytelnikowi ważniejsze postaci, miejsca i wydarzenia.

# DRAMATIS PERSONAE

## KRONIKARZ

Willem z Roebruksu, zwany *Williamem*, z zakonu  
*braci mniejszych*

## DZIECI

Roger Rajmund Bertrand, zwany *Roszem*  
Izabela Konstancja Rajmunda, zwana *Jeżą*

## W SŁUŻBIE GRAALA

### KATARZY

Piotr Roger wicehrabia Mirepoix, *komendant*  
*Montségur*  
Rajmund z Perelhi, *kasztelan*  
Esklarmonda z Perelhi, *jego córka*  
Bertrand z La Beccalarii, *budowniczy*  
Roksalba Cecylia Stefania z Cab d'Aret, zwana  
*Lobą, Wilczycą*  
Ksakbert z Barbery, zwany *Lion de combat*, *pan na*  
*Quéribusie*  
Alfia z Cucugnanu, *mamka*

### PRZEORAT SYJONU

Maria z Saint-Clair, zwana *La Grande Maîtresse*  
Wilhelm z Gisors, *jej pasierb, templariusz*  
Gawin Montbard z Béthune, *komandor domu za-*  
*konnego w Rennes-le-Château*  
Jan Turnbull, *alias Condé Jan Odo z Mont Sion*, *były*  
*ambasador cesarza na dworze sułtana*

### ASASYNI

Tarik ibn-Nasir, *kanclerz asasynów z Masnatu*  
Crean z Bourivanu, *syn Jana Turnbulla; niegdyś*  
*chrześcijanin, potem wyznawca mahometani-*  
*zmu*

## W SŁUŻBIE FRANCJI

Król Ludwik IX, *zwany Świętym*  
Hrabia Jan ze Joinville, *seneszał Szampanii, kroni-  
karz*  
Hugon z Arcis, *seneszał Carcassonne*  
Oliwer z Termes, *renegat katarski*  
Iwo Bretończyk  
Jordi, *kapitan oddziału Basków*

## W SŁUŻBIE KOŚCIOŁA

Papież Innocenty IV

### CYSTERSI

Rajner z Capoccio, *Szary Kardynał*  
Fulko z Procidy, *inkwizytor*

### DOMINIKANIE

Wit z Viterbo, *naturalny syn Rajnera z Capoccio*  
Mateusz z Paryża, *archiwariusz*  
Szymon z Saint-Quentin  
Andrzej z Longjumeau  
Anzelm z Longjumeau, *zwany Fra'Ascelin, jego  
młodszy brat*

### FRANCISZKANIE

Wawrzyniec z Orty  
Jan z Pian del Carpine, *zwany Pianem*  
Benedykt z Polski  
Bartłomiej z Cremony  
Walter z Martorany

### WE FRANCJI

Piotr Amiel, *arcybiskup Narbony*  
Durand, *biskup Albi*

### W ZIEMI ŚWIĘTEJ

Albert z Rezzato, *patriarcha Antiochii*  
Galeran, *biskup Bejrutu*

### W KONSTANTYNOPOLU

Mikołaj z La Porty, *biskup łaciński*  
Jarcynt, *jego kucharz*

## W SŁUŻBIE CESARSTWA

Cesarz Fryderyk II, zwany *Hohenstaufem*

### W CORTONIE

Elias z Cortony, baron Coppi, *były generał O.F.M.,  
zwany Il Bombarone*  
Gersenda, *jego gospodyni*  
Biro, *właściciel gospody „Pod Złotym Cielcem”*

### W OTRANTO

Laurencja z Belgrave, *hrabina Otranto, zwana  
Przeoryszą*  
Hamo l'Estrange, *jej syn*  
Klarion, *hrabina Salentyń, jej wychowanica*  
Guiscard Amalfitańczyk, *jej kapitan*

### W ZIEMI ŚWIĘTEJ

Zygisbert z Öxfeldu, *rycerz zakonu krzyżackiego*  
Konstancjusz, *książę Selinuntu, alias Fassr ad-Din*  
Oktaj, *zwany Czerwonym Sokołem*

### SARACENI

Rijesz-Sawon, *młoda Saracenka*  
Ksawery, *jej ojciec*  
Alwa, *jej matka*  
Firuz, *jej narzeczony*  
Madulajn, *jej kuzynka*  
Zarot, *podestà*

## INNI

Robert, *siłacz*  
Ruiz, *pirat*  
Ingolinda z Metzu, *ladacznica*  
Ajbak i Sargis, *nestoriańscy wysłannicy Mongołów*

## PROLOG

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Złociście jarzące się światło niewidocznego już dla mnie wieczornego słońca padało wciąż na kacerską warownię, jakby Bóg pragnął ją jeszcze raz, w całym jej zaślepieniu, wywyższyć na naszych oczach, zanim swym gniewem zetrze tę twierdzę na proch, karząc za popełnione grzechy. Dotarliśmy właśnie do stóp wzgórza, zwanego tutaj *pog*, i u nas, w dolinie, królował już czarnofioletowy cień zapadającej szybko nocy. W taki sposób Montségur ukazał mi się po raz pierwszy i mimo woli zadrżałem, zły na samego siebie. Wtedy jeszcze uważałem, że Bóg jest nasz, i byłem przekonany o uczciwości mej katolickiej *vocationis*\*, która sprowadziła mnie tutaj, abym wziął udział w wypaleniu wrzodu niecnej herezji.

Ja, William z Roebroku, szczwany Flamandczyk, krzepki chłopski syn w ubogim habicie zakonu braci mniejszych, ze scholarską pychą w sercu, bom dzięki stypendium mojego hrabiego uczęszczał w Paryżu na Uniwersytet, czułem się jak Wielki Inkwizytor: „O ty, katarskie węzowe plemię, drzyj tam w górze, w fałszywym świetle pogańskiego słońca! Wkrótce zapłonie dla was inny ogień, gdy wprost ze stosu wasze bezbożne dusze pocwałużą do piekła!”

Dziś, po dziesięciu latach — ponad trzydziestoletni i niebawem łysy — mogę się tylko uśmiechnąć, żałośnie uśmiechnąć na myśl o tym, jak biedny, niczego nie przeczuwający franciszkański gamoń stał wówczas na progu nigdy nawet nie śnionego świata wielkich, tajemniczych, dzikich i nikczemnych, wręcz perfidnych duchów, na krawędzi nie rozpoznanego kotła czarownic, pełnego przygód, bied i zepsucia, przed wejściem, ba! wepchnięciem w życie — wtłoczony i wbełtany w namiętność, zazdrość, intrygi i nienawiść — w życie, co widziało w nim po prostu piłkę, którą rzucało tu i tam wedle swej chęci i kaprysu, omal nie doprowadzając go do utraty zmysłów. Tego wszystkiego nie byłem w stanie przeczuć, jednakże przypominam sobie dreszcz na widok twierdzy

---

\* *Vocatio* (łac.) — powołanie

Graala w owym wieczornym świetle. Monsalwat!

Cała moja historia zaczęła się zresztą w innym, odległym miejscu. Hrabiowie Hainaut z radości, że jednego z nich wybrano na cesarza Konstantynopola, także parafię w Roebroku obdarzyli donacją: najmłodszy chłopak we wsi, bardzo, jeśli już nie najbardziej obiecujący, mógł za zgodą władz duchownych studiować ku większej chwale bożej. Niestety, ja byłem tym najmłodszym! Tak więc z kościelnym — to znaczy *obolusa*\* — błogosławieństwem popędził mnie ojciec kijami do najbliższego klasztoru franciszkanów, nie przejmując się wcale moim pełnym protestem wrzaskiem. Łzy matki także dotyczyły nie tyle mych tarapatów, ile troski o to, żebym nie zawiódł matczynej ambicji, moja rodzicielka bowiem pragnęła mieć wśród synów sławnego krzewiciela wiary. Rodzinie odpowiadałby nawet zakatowany przez pogan męczennik.

Dzięki wtykanym mi po kryjomu słodkim ciastom przetrwałem nowicjat bez uszczerbku na ciele, co już obdarzyło mnie aureolą wybrańca. Wkrótce też podniosłem żebranię z niskiego stanu cnoty do rangi sztuki ustawicznie się tego zapierającej, wszelako złotodajnej. Nie przyszło mi zatem z trudem, skoro tylko zeszpeciła mnie tonsura, przekonać moją zakonną zwierzchność, by wystarała się dla mnie o miejsce na Uniwersytecie. Ojciec z dumą przyłożył się do tuczenia świń, matka zaś podsyciła jeszcze swą nadzieję na coś w rodzaju cudownej kanonizacji albo przynajmniej zaliczenia jej syna w poczet błogosławionych. I tak, *viribus unitis*\*, wyprawiono mnie, niespełna dziewiętnastoletniego, do Paryża.

Ha, cóż to za miasto, ale jakie w nim drogie życie! Tutaj doprowadziłem wpojony mi w zakonie dar żebrania do pełnego rozkwitu. Jałmużna? Cóż za upokarzający koncept na niegodną egzystencję! Uznawałem towarzystwo wyłącznie tych, którzy mnie uznawali: można by to nazwać swobodną wymianą wzajemnych dowodów łaski!

Uchylałem się w znacznym stopniu od dającego się z trudem uniknąć studiowania klasycznej teologii. Uspokajałem jednakże swoje „sumienie misjonarskie” nauką języka arabskiego, który obrałem za przedmiot obowiązkowy, aby bronić własnej skóry w razie jakiegoś niepożądanego przypadku: na przykład gdyby moi kustosze wpadli pewnego dnia na myśl — wiedziałem, że matka mi nie popuści! — by posłać mnie na pustynie *Terrae Sanctae*\*! A tam przecież musiałbym błagać pogan, jeśli już nie o życie, to przynajmniej o łyk wody. Potęga dobrze wyłożonego słowa wywierała na mnie zawsze duże wrażenie, dlatego też nie zaniedbywałem nigdy dyscyplin uczących płynnego wygłaszania kazań, a także opanowania ścisłych form liturgii.

W tym czasie mój król zaczął szukać kogoś, kto mógłby go nauczyć mowy muzułmanów. Ludwik Święty chyba już wówczas nosił się ze wzniosłą myślą, aby osobiście wyzwać sułtana na dysputę i odwieść go od pogaństwa. Ponadto mego władcę mogło skłó-

\* *Obolus* (łac.) — datek, ofiara; pierwotnie drobna grecka moneta, obol.

\* *Viribus unitis* (łac.) — połączonymi siłami.

\* *Terrae Sanctae* (łac.) — Ziemia Święta.



nić do nauki to, że jego cesarski kuzyn Fryderyk świetnie opanował arabski i bardzo go za to chwalono. Dla butnego pana studenta, którego wtedy odgrywałem, królewski zamysł był zdumiewający, gdyż ta mowa wydawała mi się jedynie niezbyt cennym środkiem pomocniczym dla ludzi zapadłych na chroniczne suchoty, znajdujących radość w tym, żeby wspólnie kasłać i nawzajem się opluwać. Gdy dziś przysłuchuję się deklamacji arabskich poetów i harmonijne brzmienie ich wierszy unosi mnie na jasne wyżyny nigdzie indziej nie doświadczanego językowego piękna, chciałbym się pod ziemię zapaść ze wstydu na wspomnienie swej młodzieńczej ignorancji.

Oczywiście król nie mierzył tak wysoko. Słusznie chyba nie odważył się zawezwać na swój dwór czcigodnego mistrza Ibn Ichsa Ibn-Szilona, u którego ja uczyłem się arabskiego. Wybrano mnie jako nieszkodliwego pośrednika, wszyscy bowiem uważali, że jestem temu językowi niezwykle oddany.

Do regularnej nauki nigdy nie doszło. Jeśli suweren na krótko mnie przyjmował, wołał się ze mną modlić bądź też kazał mi opowiadać historie z życia świętego Franciszka, którego przecież osobiście już nie zdążyłem poznać, co w rozmowie zawsze zręcznie omijałem, aby króla nie rozczarować. W ten sposób obaj byliśmy zadowoleni.

Mego pana i najmiłościwszego władcę nawiedzał chyba jakiś obrzydliwy koszmar, może były to choroby: niedokrwistość i róża, na które cierpiał, a może dręczyli go duchowi doradcy, do których z trudem mógłbym się zaliczyć. Od tygodni naprzykrzali mu się, nalegając, by wyrwał wreszcie żądło kacerstwa z ciała dawno już pobitego i obdartego ze skóry Południa. Prawdopodobnie były to też podszepty podejrzanego królewskiego spowiednika, Wita z Viterbo, przysłanego przez samego papieża; popychał on króla do tego, aby przejednać Maryję Pannę pomszczeniem zuchwałego zabójstwa inkwizytora w Avignonet\*. W każdym razie pobożny władca przysięgł Najświętszej Dziewicy, że skończy ostatecznie z kacerskim gniazdem na Montségur. Dla Wita z Viterbo, tego rzymskiego kreta, którego nigdy nie widziałem, moje wspólne modlitwy z królem musiały być solą w oku i dlatego sprawił, że pewnego dnia zostałem obdarzony nadzwyczajną królewską łaską: otrzymałem przywilej uczestniczenia w wyprawie przeciwko twierdzy katarów jako kapelan tamtejszego seneszala,\* który miał już przy sobie dwóch kapłanów i na dobrą sprawę żadnego więcej nie potrzebował.

Viterbczyk zatroszczył się o to, żeby mi natychmiast wciśnięto do ręki nominację i wyprawiono w drogę. Wyobrażałem sobie ten monotony pobyt na odludziu, zapakowałem więc parę książek, których braku, jak przypuszczałem, biblioteka zbyt nie odczuje, aby umysłowej tępotcie obozu wojskowego na prowincji przeciwstawić swoje dalsze duchowe kształcenie. Nie pożegnałem nawet niezmiennie troskliwych rodziców,

---

\* Zabójstwo inkwizytora — w r. 1242, w dzień Wniebowstąpienia, langwedoccy rycerze, którymi dowodził wicehrabia Piotr Roger z Mirepoix, zamordowali w Avignonet inkwizytora Tuluzy Wilhelma Arnaud i jego pomocników.

\* Seneszal — w XII-XIII w. namiestnik królów Francji, zwłaszcza w prowincjach południowych.

którzy mnie i mój dom zakonny w stolicy zaopatrywali z miłą regularnością w świńskie kiełbasy i słoninę, i ruszyłem bez najmniejszej ochoty w wymuszoną podróż na ponure Południe. Nie miałem już nigdy więcej zobaczyć ani wsi, ani Paryża, ani drogich wybrzeży Flandrii.

Znalazłszy się nad Morzem Śródziemnym, wpadłem w objęcia Scylli i Charybdy; te potwory wessały mnie w wodną głębinę, porwały i wyrzuciły na brzegi, o jakich przedtem nie śniłem... A może jednak? Czy nie były to bezkresne pustynie, kamieniste góry, po których kusiciel prowadził mnie na wieżę, owe pustkowia, których się obawiałem jako chłopiec i jeszcze jako nowicjusz, a które teraz przemierzałem niby mały pionek przesuwany z pola na pole w gigantycznej rozgrywce szachowej wielkich tego świata? Raz goniec, raz skoczek, zagrożony przez mroczne wieże, chlubiłem się pochlebstwami wielkich dam — ja, figura jakiego króla?

Na początku z bezgraniczną lojalnością służyłem jeszcze Ludwikowi. Był dobrym suwerenem; jeśli zgrzeszyłem przeciwko niemu, wstydziłem się tak dalece, jak dalece rozwinięte było moje poczucie wstydu. Jednakże w miarę jak oddalałem się od władcy, zanikało także moje flamandzkie, swoiste wyobrażenie o sobie. Zostałem wyrwany z korzeniami. Jakieś moce przenosiły mnie aż na skraj uniwersum, zrzucały z przejrzyście oznaczonej szachownicy, która wydawała się tak jednoznacznie podzielona na „czarne” i „białe”, wprowadzały z powrotem do gry, kiedy już dawno uznałem się za straconego, ścigały mnie lub zapominały o moim istnieniu. Czy czerń naprawdę oznaczała dobro, za które warto było walczyć mnichowi *Ecclesiae catholicae*?\* Czy czerwony krzyż templariuszy był jeszcze *signum Christi*?\* Zielona chorągiew muzułmanów — obietnicą czy potępieniem? Sztandary Mongołów — diabelskim żelazem do piętnowania? A może białe, powiewne stroje katarów obiecywały jednak raj? Doznałem miłosierdzia od asasynów, przekonałem się o bezwarunkowej wierności Tatarów, znalazłem przyjaciół wśród chrześcijańskich rycerzy i doświadczyłem szlachetności arabskich emirów. Przeżyłem truciznę, podłość i straszną śmierć, widziałem miłość i poświęcenie, jednakże niczyj los nie poruszył mnie tak jak los dzieci — infantów Graala.

Ich pamięci czuję się zobowiązany. Były mi tak bliskie, jakby zrodzone ze mnie. Krucho figury nadziei, przesuwane po szachownicy przez bezlitosne siły, dziecięca para władców jako element Wielkiego Planu. Mój król i moja królowa! Wraz z ich zniknięciem rozwiął się sen o pokoju i szczęściu dla reszty świata. Ja byłem tylko małym, nieważnym pionkiem, któremu pozwolono przeżyć. One zostały poświęcone, jeszcze nim partia dobiegła końca.

O nich chcę opowiedzieć...

---

\* *Ecclesiae catholicae* (łac.) — Kościół katolicki.

\* *Signum Christi* (łac.) — znak Chrystusa.

# I MONTSÉGUR

## OBŁĘŻENIE *Montségur, jesień 1243*

Jak stromy skalny stożek wyrasta Montségur z poprzerynanej rozpadlinami niziny, obcy, prawie nie z tego świata, otwierający się tylko dla niebiańskich zastępów, jeśli ze swej anielskiej perspektywy wypatrzą kawałek płaskiego gruntu szerokości dłoni, aby postawić na nim swą niebieską drabinę. Gdy ziemski intruz zbliża się od północy, góra wydaje się w zasięgu ręki jak zdjęty z głowy hełm, który jednakże czarodziejska dłoń tym gwałtowniej podnosi wzwyż, im bliżej kamiennej ściany nieproszony gość się przysuwa. Kiedy ktoś skrada się od wschodu, uległszy ułudzie miękko opadającego górskiego grzbietu, odepchnie go wysunięta tarcza Roc de la Tour, może nawet strąci w pienisty wąwóz Lassetu, wcinający się tak głęboko w skały, że stamtąd, z dołu, nie widać już w ogóle wierzchołka góry, a cóż dopiero mówić o dostrzeżeniu warownego zamku. Tylko od południowego zachodu zaprasza podchodzącego lesiste siodło powyżej łukowatego zbocza. Ledwie jednak zadyszany śmiałek opuści chroniące go podszycie, już napotyka nagie, piarżyste urwisko. I dokładnie nad nim wznoszą się mury. Natręt rozpoznaje wrota i wie, że się dla niego nie otworzą. W rozrzedzonym powietrzu z trudem łapie oddech, serce wali mu jak młotem. Błękitnawym fioletem lśnią szczyty bliskich Pirenejów, także w to babie lato 1243 roku już pokryte śniegiem. Wiatr przeciąga szeleszcząc w liściach bukszpanów. Intruz nie słyszy świstu strzały, która przesywa mu gardło i przyszpila do pnia. Krew tryska z szyi jak z orzeźwiającego źródła, za którym tak tęsknił podczas wspinaczki, i chlusta w rytm uderzeń słabnącego serca. Szare skały zlewają się z murami, stają się jasne, świetliste jak niebo za nimi, i przybysz traci zmysły, jeszcze nim runie na wznak w ciemną zielen lasu, którego nie powinien był opuszczać.

Oblegający rozłożyli się obozem na przeciwległym trawiastym zboczu, utrzymując pełen respektu dystans wobec Montségur i zarazem bezpieczną odległość od zasięgu jego katapult. W samym środku obozu rozbili swe namioty dwaj przywódcy: Piotr Amiel, arcybiskup Narbony i jednocześnie legat papieski, który z żarliwością wypisał na swym sztandarze żądę zniszczenia „świątyni szatana”, i w odpowiednim, być może roz-

myślnie zachowanym odstępem Hugon z Arcis, seneszał Carcassonne, wyznaczony przez króla na militarnego dowódcę przedsięwzięcia.

Chociaż legat, jak każdego ranka, odprawił mszę dla wojska — o wiele zresztą chętniej z drabinami i wieżami oblężniczymi szturmowałby na jego czele kacerską twierdzę — seneszał, kiedy wieczorem zadzwoniono na Anioł Pański, ukląkł ponownie przed namiotem w otoczeniu swych trzech kapelanów, z których jeden, William z Roebroku, zaczął odmawiać modlitwę.

Arcybiskup, wedle którego za wiele się modlono, a za mało walczone, z trudem się opanowując doczekał amen.

— Zbawienia swojej duszy — odezwał się wreszcie — powinniście, panie z Arcis, szukać nie tyle w przymierzu z Bogiem, ile w walce z Jego wrogami.

Seneszał był rad, że jeszcze nie podniósł się z klęczek, oczy miał zamknięte i złożone ręce. Tylko kostki palców zaciśniętych dłoni zaznaczyły się bielą. Wciąż jednak milczał.

— Taki sposób oszczędzającego nieprzyjaciół oblężenia — ciągnął arcybiskup — praktykował hrabia Tuluzy wystarczająco długo, i mój pan papież...

— Ja służę królowi Francji — przerwał mu Hugon z Arcis; odzyskał już wewnętrzną równowagę i z całym spokojem począł teraz sączyć jadowite słowa do uszu swego duchownego oponenta — i jeśli Bóg pozwoli, wypełnię wiernie królewski rozkaz: zdobędę Montségur! — Wstał i szorstkim ruchem ręki odprawił kapłanów. — I przed tym musi ustąpić ściganie kacerzy, tak bardzo wam, ekscelencjo, leżące na sercu. Oczekiwanie, że będą to robić Tuluzañczycy, świadczy o niezbyt subtelnym politycznym wyczuciu: przecież wśród obrońców twierdzy wielu jest dawnych wasali hrabiego, często nawet połączonych z nim więzami krwi.

— *Faidits!* — parsknął arcybiskup. — Wiarołomni zdrajcy, buntownicy! A tutejszy pan lenny, wicehrabia Foix, nie raczył nawet pojawić się u nas!

Seneszał ruszył przed siebie.

— Jego następcą jest od dawna wyznaczony, to Gwidon z Levis, syn człowieka, który walczył u boku wielkiego Montforta! Czy wicehrabia Foix ma za niego wyciągać kasztany z ognia?

Piotr Amiel postępował za Hugonem z Arcis krok w krok, pieniąc się z wściekłości.

— Otóż to! Właśnie ogień powinniście wynieść na górę i wrzucić do gniazda tego diabelskiego plemienia, żeby go w dymie i płomieniach wyprowadzić do piekła.

Seneszał schylił się bez słowa i wyciągnął z ogniska palącą się gałąź.

— Oto pochodnia inkwizycji! — powiedział szyderczo i skierował płonący konar w stronę osłupiałego arcybiskupa. — Zanieście ją, ekscelencjo, na górę! Jeśli będziecie po drodze dostatecznie mocno dmuchać albo Święta Dziewica użyczy wam oddechu, z pewnością ogień ten nie zgaśnie.

Ponieważ legat nie miał zamiaru przyjąć tłącej się gałęzi, seneszał wrzucił ją

z powrotem w żar, odwrócił się i odszedł. Towarzyszący mu orszak, przywykły do takich wystąpień, nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

Zapadał zmrok; wszędzie rozpalano teraz ogniska. Markietanki napełniały kadzie, żołnierze obracali rożny, albowiem polowanie w lasach Corretu i splądrowanie chłopskich zagród w Taulacie dało dziś pewne rezultaty. W przeciwnym razie pozostałyby tylko żołędzie, kasztany i twardy chleb, który rozdzielali furazerowie.

Oddziały były najemne. Przywiedli je rycerze krzyżowi, szlachetni panowie z Północy, co nie chcieli się sprzeciwiać życzeniu swego suwerena, pochlebcy starający się pozyskać jego łaskę bądź po prostu awanturnicy, którzy obiecywali sobie — lenna i beneficja były już dawno rozdane — przynajmniej jakąś zdobycz lub inne korzyści, zwłaszcza że Kościół zapewniał każdemu uczestnikowi odpust zupełny i przebaczenie wszystkich grzechów.

Mury Montségur, których najmocniejsza flanka spoglądała rozwartym kątem na rozłożony w dole obóz, nurzały się w złocie zachodzącego słońca.

— Ilu ich może być? — Esklarmonda z Perelhi, młoda córka kasztelana, podeszła bez obawy do nieblankowanej krawędzi muru i popatrzyła w dolinę. — Sześć tysięcy? Dziesięć?

Piotr Roger wicehrabia Mirepoix, szwagier Esklarmondy i komendant twierdzy, uśmiechnął się.

— Dopóki nie są w stanie wysłać pod wały choćby stu żołnierzy, nie powinno to was, pani, poruszać. — Odsunął ją łagodnie od muru.

— Ale nas zagłodzą...

— Jak łatwo zauważyć, ci panowie rozbili tam w dole swe namioty wedle własnego widzimisie, odcinając się od siebie tylko dlatego, że pochodzą z różnych ziem. — Mirepoix wskazał ręką na stok, pagórki i doliny. — Dla nas ich nedorzeczna buta, a do tego niedostępna okolica pocięta rozpadlinami i ciemne lasy budzące w każdym strachu, są korzystne, bo w pierścieniu oblężenia jest więcej dziur niż w serze z Pirenejów, który się tutaj świeży co tydzień dostarcza.

Wyraźnie było widać, że pragnie dodać jej odwagi. A przecież już samo imię zobowiązywało Esklarmondę do naśladowania wielkiego wzoru w osobie najślawniejszej katarki, owej „siostry” Parsifala, która przed blisko czterdziestu laty kazała rozbudować Montségur. Młoda Esklarmonda również należała wśród Czystych do grona Doskonałych. Wiedziała oczywiście, że jej doczesne życie znajdzie się w najwyższym niebezpieczeństwie, jeśli zbawcza góra nie wytrzyma naporu wroga. Jednakże ta groźba nie miała dla niej najmniejszego znaczenia.

— Graal... — powiedziała cicho, zwierając wicehrabiemu swą jedyną troskę. — Nie powinni się o nim dowiedzieć, jeszcze by go zagarnęli.

Nagle za plecami rozmawiających pojawiło się niepostrzeżenie dwoje małych dzieci. Chłopiec lęklawie objął ramionami nogi młodej kobiety, tymczasem pełna wdzięku dziewczynka weszła śmiało na występ muru, rzuciła w przepaść kamień i zachwycona nasłuchiwała, kiedy uderzy o skalisty grunt. Dopiero ten odgłos zwrócił na nią uwagę komendanta twierdzy.

— Nie wolno wam przecież tutaj przychodzić... — zaczął, ale już dostrzegł piastunkę spieszącą po schodach, które z zamkowego dziedzińca prowadziły stromo na mury. Dał małej klapsa, przytrzymał ją, bo próbowała uciekać, i popchnął w stronę sługi. Esklarmonda natomiast pogładziła chłopca po włosach i mały poszedł grzecznie za opiekunką.

— Jak długo jeszcze? — zwróciła się znowu Esklarmonda do wicehrabiego.

Komendant Montségur wydawał się pogrążony w myślach.

— Fryderyk nie może nas opuścić... — zapewnił, jednakże w brzmieniu jego głosu dało się wyczuć wątpliwość.

— Hohenstauf zaprzepaszcza własne dobro, a cóż dopiero dobro swojej krwi — stwierdziła Esklarmonda nie bez goryczki. — Nie zdawajcie się, panie, na niego właśnie z ich powodu! — rzuciła spojrzenie w kierunku dzieci, które dokładały wszelkich starań, aby utrudnić piastunce zejście po kamiennych schodach.

— Istnieje wyższa moc. Przysięgam, że dzieci zostaną uratowane. Popatrzcie, pani! — Przeszedł do wschodniego narożnika, gdzie znajdowało się przykryte dachem obserwatorium astronomiczne. — Tej strony, gdzie Lasset płynąc z gór Taboru huczy w głęboko wyciętym wąwozie, oblegający w ogóle nie strzegą.

Esklarmonda pozdrowiła złożonymi dłońmi biało odzianych starców, podobnie jak ona Doskonałych, którzy z platformy obserwatorium badali bieg gwiazd.

— Obok braku dyscypliny u naszych wrogów — ciągnął Mirepoix — pomaga nam przede wszystkim to, że wiele zwerbowanych oddziałów sympatyzuje z nami. Pod Roc de la Tour na przykład obozują dawni lennicy mego ojca, ludzie z Camon. — Wicehrabia starał się swym wywodem wzbudzić ufność młodej kobiety. — Jak długo Roc de la Tour pozostaje w naszym ręku, łączność ze światem zewnętrznym nie zostanie zerwana, tak więc naprawdę istnieje nadzieja...

— Ach, wicehrabio — położyła rękę na jego ramieniu — nie pokładajmy nadziei w świecie zewnętrznym, który zamyka przecież widok na wrota raju. Raj natomiast jest pewny i tego nikt nam nie może odebrać!

Odeszła z pogodnym uśmiechem.

Tymczasem Montségur okryła ciemność, za to na firmamencie całym blaskiem zaśniły gwiazdy. W dolinie żarzyły się ogniska, lecz sprośne śpiewy, piski ladacznicy i przekleństwa żołdaków przy grze w kości i pijaństwie nie docierały na szczyt góry.

Nastrój w obozie był zły. Zbliżała się zima, a oni tkwili tu już dobre pół roku. W pierwszych dniach kilku śmiałków spróbowało szturmować na własną rękę, ale wrócili jak niepyszni. Położenie strategiczne twierdzy i siła jej ognia nie na darmo pozwalały stawiać czoło wszelkim atakom przez ponad dwa pokolenia.

Seneszał wiedział o tym i powstrzymywał się od walki, chociaż legat papieski ustawicznie na to nalegał. Ale również dla Hugona z Arcis stawało się coraz bardziej nieznośne bezczynne wyczekiwanie u podnóża góry. Kazał swoim kapelanom odprawiać wiele mszy w ciągu dnia, jakby modlitwy mogły poprawić militarne położenie oblegających. Tej nocy franciszkanin także zabierał się do modłów, gdy raptem seneszał doznał olśnienia.

— Baskijscy górale! — rzucił do klęczącego już zgodnie ze zwyczajem Williama. — Powinniśmy ich natychmiast zwerbować nie szczczędzając pieniędzy, nawet jeśli Baskowie nie zechcą się ruszyć przed zakończeniem zbiorów!

— Niech będzie pochwalony... — zaczął William.

— Podnieś lepiej swoją flamandzką dupę — prychnął seneszał — i podaj mi dzban! Musimy wypić na tę intencję!

## GÓRALE

*Montségur, zima 1243/44*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Późną jesienią z odległego kraju Basków przybył oddział najemnych górali. Mój pan, seneszał, nie pozwolił im rozłożyć się u nas obozem, lecz zaraz poprowadził ich osobiście wokół północno-zachodniego skraju wzniesienia, tuż pod Roc de la Portaille, gdzie ściana wznosi się najbardziej stromo, tak że z dołu ledwie można dojrzeć donżon twierdzy. Dopiero tu dał im odpocząć.

Ku zazdrości mych konfratrów wybrał tylko mnie, żebym mu towarzyszył. Po południu ruszyliśmy dalej i pociągnęliśmy wzdłuż północnej ściany, osłonięci przed niepożądanym spojrzeniem wysokimi jodłami boru Serralungi, który swym krańcem sięgał tutaj aż do skały.

Szedłem za Jordim, jednym z kapitanów baskijskich. Z trudem udawało mi się dostrzymać mu kroku i nakłonić do rozmowy, w trakcie której posługiwaliśmy się dziwną mieszaniną włoskiego i łaciny. Nie miałem pojęcia, dokąd zmierza nasz tajemniczy pochód.

— Do Roc de la Tour — rzucił krótko Jordi.

Potykając się wysapałem:

— Dlaczego?

— Kielbasę, którą się chce pokroić, trzeba najpierw związać. O tym zapomniano.

Umilkłem. Po pierwsze, bo przy jego słowach natychmiast poczułem głód, a po drugie, bo na myśl o jedzeniu przyszedł mi do głowy Graal, o którym tu w obozie wszyscy po cichu mówili, ale na pytanie, co to właściwie jest, nikt nie potrafił dać choćby w najmniejszym stopniu zadowalającej odpowiedzi. To było chyba coś więcej niż skarb, coś orzeźwiającego, po czym nie czuło się już wcale pragnienia, jakaś manna niebieska, która takiego jak ja biednego mnicha mogła uwolnić od wszelkich ziemskich żołądów.

— Szukacie skarbu? Tego Graala? — badałem ostrożnie, wstydiłem się bowiem, że wiem mniej od prostego Baska, a także dlatego, że już niejedną raz spotkałem się z najdziwniejszymi ostrymi reakcjami, gdy w obozie dochodziło czasem do rozmowy na temat prawdziwej przyczyny naszej krucjaty.

— Nie, Williamie — wyszczerzył zęby w uśmiechu Jordi — chodzi o kupę bezwartościowych kamieni, o które się nikt nigdy nie troszczył, dlatego stały się dla obrońców Montségur dogodną mysią dziurą, przez którą sprowadzali zaopatrzenie. Ale teraz przy dziurze zaczął się kot!

Uśmiechnął się chytrze, ja zaś wiedziałem tyle samo co przedtem; no, miałem jednak mniej więcej pojęcie, gdzie znajduje się Roc de la Tour: na północno-wschodnim krańcu wzgórza, gdzie stok obniża się, tworząc siodło i otwierając ponownie drogę Lassetowi.

— W takim razie czemu nie idziemy wąwozem? Byłoby dużo bliżej.

— Po prostu dlatego, że tam czuwają templariusze i zaraz by zasygnalizowali obrońcom twierdzy nasze przybycie!

— Przecież to chrześcijańscy rycerze — parsknąłem z oburzeniem. — Jak możecie przypuszczać, że trzymają z kacerzami?

— Pytałeś, franciszkaninie, o Graala? No to masz odpowiedź! — Ruszył teraz szybko, dając mi tym do zrozumienia, że nie zamierza już nic więcej powiedzieć.

Wkrótce przybyliśmy do podnóża skały, gdzie obozowali ludzie z Camon. Przyjęcie było chłodne, jeśli wręcz nie wrogie. Przywitali seneszala niezwykle sztywno, Basków zaś potraktowali jak powietrze.

— Zdrajcy! — usłyszałem szept.

Tymczasem zrobiło się ciemno. Seneszal, co naturalnie nie poprawiło nastroju, zabronił używać ognia, aby uniemożliwić nadanie świetlnego sygnału.

Ponad nami, na wpół skryte za szybko przesuwanymi się strzępami chmur, wznosiły się w bezksiężycowej nocy przednie fortyfikacje kacerskiej twierdzy. Wygarbowane przez słońce i wiatr brązowe twarze Baskowie poczernili sobie jeszcze sadzą. Nie nosili żadnej zbroi, żadnej ciężkiej broni, jedynie obcisłe skórzane kaftany i obosieczne sztyl-



ty, których rękojeści sterczały ponad ramionami lub wystawały z cholew.

Na rozkaz seneszała pobłogosławiłem ich, każdego oddzielnie. Gdy przysłała kolej na Jordiego, rzekłem cicho, czyniąc znak krzyża:

— Matka Boża niechaj strzeże...

On jednakże wyciągnął z rozporoka czarną kocią łapę.

— Spluń na nią — szepnął do mnie — jeśli mi dobrze życzysz.

Udałem atak kaszlu i wyświadczyłem mu tę przysługę.

Górale poruszali się niczym drapieżne koty, a porozumiewali się głosami zwierząt; zresztą zaledwie weszli w skalną ścianę, od razu zniknęli nam z oczu.

Spędziłem resztę nocy pijąc, by dotrzymać seneszałowi towarzystwa. Milczeliśmy, nasłuchując odgłosów z góry. Czy sobie tak tylko wyobrażałem, czy też uległem późniejszej sugestywnej relacji Jordiego, w każdym razie widziałem przed sobą wyraźnie przebieg wypadków, jakbym sam w nich uczestniczył.

Baskowie wspięli się sprawnie na szczyt Roc de la Tour i przywarłszy do szorstkiej skały, czekali nieruchomo do brzasku.

Obrońcy fortyfikacji, katalońscy kusznicy, całą noc wlepiali oczy w ciemność, ponieważ przybycie górali nie uszło ich uwagi. Kiedy wreszcie zaczęło świtać, niebezpieczeństwo uznali chwilowo za zażegnane. Napięcie powiek zelżało. Przez jeszcze jedno *Ave* trwała zwodnicza cisza, po czym Baskowie skoczyli na znużonych czuwaniem obrońców. Skacząc wyciągnęli sztylety: rozległo się rżenie, jęki, głuche odgłosy upadku, parę odłamków skalnych uderzyło z łoskotem i Katalończycy szyjąc z kusz wycofali się zalesionym grzbietem pod osłonę zamkowych murów. Górale nie odważyli się na pościg. Kusznicy zaś mieli wprawdzie na dystans przewagę, zaniechali wszakże przepędzenia Basków z Roc de la Tour, było bowiem jeszcze za ciemno.

Tym samym ostatnie, w każdym razie ostatnie nam znane połączenie oblężonych ze światem zewnętrznym zostało przerwane, a pierścień wokół Montségur zamknięty.

Co było dalej, opowiedział mi Jordi, gdy spotkałem go w obozie kilka dni później. Otóż pomysłowy eksceleńcja Durand, z profesji właściwie biskup Albi, kazał w dolinie rozmontować swoje sławne katapulty i Baskowie wciągnęły je linami na górę. Jednakże obrońcy potrafili naprawić swój błąd dzięki równie genialnemu konstruktorowi machin miotających, Bertrandowi z La Beccalarii. Ten budowniczy z Capdenac, gdy dowiedział się, w jakiej opresji znaleźli się jego przyjaciele, bez namysłu porzucił rozpoczętą budowę katedry w Montauban i dosłownie w ostatniej chwili wraz ze swymi pomocnikami został cichcem przeprowadzony do twierdzy. Jego przenośne katapulty ustawione na Pas de Trébuchet odpowiedziały na nasz ostrzał tak skutecznie, że o dalszym posuwaniu się naprzód nie mogło być mowy.

Wydłużony grzbiet, zalesiony i poprzerzynany przejściami ukrytymi w skałach, raz pod ziemią, raz ponad nią, pełen jaskiń i tajnych bram wypadowych, pozostał w ręku

Katalończyków. Baskowie ograniczyli się do utrzymania zdobytego przyczółka. Jednakże siła rzutu ich machin nie sięgała dalej niż do barbakanu, potężnego fortu Montségur.

— Tak więc o podejściu do murów zamku nie ma nawet co marzyć! — stwierdził Jordi.

— To dlaczego nie podeślą wam posiłków? — udawałem przebiegłego stratega. — Natarlibyście wreszcie na to diabelskie gniazdo z jego wężowym plemieniem!

— Bo — Jordi gwizdnął przez zęby — ani pan seneszał, ani pan arcybiskup nie są do brymi wspinaczami, podobnie jak ich, niemrawa piechota! — Roześmiał się. — A jeśli chodzi o nas, spełniamy swoje zadanie.

W istocie: dzień i noc katapulty ekscelencji Duranda podnosiły teraz ciężary i ku wielkiemu zadowoleniu papieskiego legata miotały ponad lasem mordercze pociski na mury ostatniego zewnętrznego bastionu.

— W barbakanie zetrzemy teraz kacerzy na miazgę jak tłuczkiem w moździerzu — radował się także Jordi.

— Umierając otrzymują *consolamentum*, ostatnie namaszczenie tych heretyków, ażeby w piekle mogli lepiej się smażyć — popisywałem się szyderczo niedawno nabytą mądrością.

— No, obrońcy także kazali przemówić swym śmiercionośnym machinom, by naszych niczym nie chronionych szturmujących żołnierzy miażdżyły i wymiatały z urwistego piargu w przepaść, na której dnie oczekuje już pan arcybiskup jako niebieski klucznik!

— A ty, Jordi, robisz coś, żeby się nie bać śmierci?

— Mnie chronią niezawodne czary! — roześmiał się. — Wywróżono mi, że dopiero wtedy wrócę do przodków, gdy wokół mnie zbierze się święta trójca: rzymski biskup, heretycki templariusz i franciszkański strażnik Graala. Toteż długo sobie poczekam!

— Dalibóg! Zwłaszcza że my, minoryci, pilnujemy najwyżej owiec — zawołałem. — A jakimże to pogańskim sztuczkom zawdzięczasz tę ochronę? — Zazdrościłem Jordiemu, któremu wyprorokowano takie rzeczy, ja bowiem mogłem się tylko posłużyć wzywaniem Dziewicy i kilku świętych. Co prawda moje życie nie znajdowało się w niebezpieczeństwie, ale jakiś zabłąkany kamień mógł mi przecież przypadkiem spaść na głowę. — Chyba możesz to zdradzić? — dokończyłem.

— Nie słyszałeś nigdy o tej mądrej kobiecie, która...? Dziwne. — Jordi mierzył mnie wzrokiem wyrażającym zarówno podejrzliwość, jak i rozbawienie. — A ona cię zna!

Nie chciał już nic więcej powiedzieć, a ponieważ ja wciąż nalegałem, zniecierpliwił się.

— „Trzymajcie z dala ode mnie tego franciszkańskiego zwiastuna nieszczęścia, który włóczy się po waszym obozie!”, powiedziała, jeśli już taki ciekaw. „Niech mi się nie

plącze pod nogami!”

Zrozumiałem bardzo dobrze, że to odpowiada również postawie Jordiego wobec mnie. Rozgniewałem się i zawstydzilem. Odtąd schodziliśmy sobie z drogi. Przede wszystkim jednak byłem bardzo zaniepokojony.

Wkrótce potem kazano Baskom wrócić na górę. Tym razem w ogóle ich nie błogosławiono, a jeśli nawet, to kolej przypadała na moich konfratrów. Tak więc nie miałem już okazji porozmawiać z Jordim i zapytać, o co właściwie chodzi w tej całej sprawie ze mną i z wróżką.

Znano ją pod imieniem Loby, Wilczyca, tyle zdołałem się tymczasem w obozie dowiedzieć; i że to katarska czarownica mieszkająca w lasach Corretu, na której wyroczniach dobrze jest polegać.

Zbrojny w prostotę swego umysłu coraz bardziej skłaniałem się do tego, aby zażądać od Loby wyjaśnień, skąd brała się jej wiedza względem mej osoby. Jakoś bym tę wiedzę strawił; czyż nie powiada Pan: „Wszystko, cokolwiek w jatce sprzedają, spożywajcie, niczego nie dociekając dla spokoju sumienia”?

Miejsca mówiące o jedzeniu zawsze zapamiętywałem. I to, co Pan tak łaskawie przyznawał memu żołądkowi, mogło całkiem dobrze odnosić się i do mojej głowy.

## BARBAKAN

*Montségur, zima 1243/44*

Zapłaciwszy bez słowa krwawe myto — Loba, Wilczyca, przepowiedziała kapitanowi górali: „Płaszcz nocy nie daje żadnej osłony przeciwko ślepym pociskom!” — Baskowie wspięli się na Pas de Trébuchet i zaszytletowali bądź zadusili załogi katapult w zażartej walce wręcz. Obrońcy barbakanu nasłuchiwali jeszcze podejrzliwie w pomroce, dziwiąc się, dlaczego tak nagle zamilkł swojski syk i grzechot uderzeń, gdy Baskowie już na nich natarli. Za późno rozbrzmiał dzwon alarmowy. Zmorzonych snem wyrżnięto w pień, nim z zamku zdołała nadejść pomoc.

Kiedy wstał świt, górale popatrzyli ze zgrozą na pionowo opadającą ścianę, którą pokonali w ciemnościach.

— Zdobycie barbakanu przez Basków szybko da się nam we znaki — prawie bez emocji oznajmił na murach twierdzy Bertrand z La Beccalarii, zwracając się do swych gospodarzy. — Rzecz tylko w tym, ile czasu będą potrzebowali ludzie ekscelencji Duranda, aby tam ustawić *adoratrix murorum*, tę jego gigantyczną katapultę!

— Nie możemy temu przeszkodzić, ale przetrzymamy i tę próbę. — Kasztelan Raj-

mund z Perelhi, wymuszał wiarę swym uporem. Wkrótce uderzyły w zamek stufuntowe, topornie ciosane granitowe kule. Wschodni mur, gruby ponad cztery metry, wytrzymał uderzenie, lecz zbudowane na nim belkowanie obserwatorium rozpadło się od razu w drzazgi, a w znajdujących się poniżej, na dziedzińcu, dachach pojawiało się coraz więcej dziur.

Pociski nadlatywały z posapywaniem „w odstępach szybko odmawianych zdrowasiek”, jak drwiąco określał to kasztelan. Ich uderzeniom towarzyszył suchy trzask, gdy trafiały w drewniany cel, bądź głuchy łoskot, jeśli wwiercały się w piach pokrywający bruk zamkowego dziedzińca. Nękały serca kobiet i dzieci, które zastraszone siedziały nieruchomo w kazamatach.

Jednakże nie na wszystkich dzieciach te ogromne kule wywierały tak wielkie wrażenie. Nieśmiały mały chłopiec i jego odważna towarzyszka ukryli się przed swą opiekunką pod stopniami kamiennych schodów, które prowadziły do obserwatorium. Zamykali oczy, gdy nad ich głowami rozlegał się kolejny świst, i zakładali się w ciemno o cel: dach czy dziedziniec. Potem śledzili z entuzjazmem szkody poczynione w dachówkach bądź toczenie się kul po piasku, którym grubo wysypano bruk, aby zapobiec podskakiwaniu pocisków.

Niezwykłe wielka kula potoczyła się wolno w stronę kryjówki małych uciekinierów, co doprowadziło do ich odkrycia przez wystraszoną piastunkę. Kobieta machała rozpaczliwie rękoma, usiłując skłonić dzieci do powrotu, lecz one obmacywały z zaciekawieniem okrągły kamień, który się przed nimi zatrzymał. Żołnierze nakłonili je łagodną perswazją, by opuściły swój schowek, i pospiesznie, zanim nadleciał następny pocisk, zanieśli pod osłoną murów do bezpiecznego donżonu.

— Garnizon w żadnym razie nie traci nadziei — raportował nie bez dumy Rajmund z Perelhi komendantowi twierdzy, wicehrabiemu Mirepoix. — Katalońscy kusznicy utrzymują nadal wolny dostęp do zamku ze wszystkich stron, straty w ludziach nie przekraczają jeszcze dopuszczalnych granic, wciąż jesteśmy w stanie dostatecznie obsadzić wszystkie punkty obronne...

— Uwzględniając również fakt, że Doskonali nawet w sytuacji największego zagrożenia nigdy nie sięgną po broń — dorzucił z sarkazmem Beccalaria.

— Gdyby to uczynili — zaproponował młody komendant twierdzy — zaparliby się sobie samych i Montségur zostałby zdradzony, zanim by musiał skapitulować.

— O tym w ogóle nie może być mowy! — przerwał szorstko kasztelan. — Zapasów i drewna opałowego jest pod dostatkiem, a cysterny pełne po brzegi!

## KAPITULACJA

### *Montségur, wiosna 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Codzienne msze za zbawienie duszy mego pana seneszala odprawiali obaj moi kamraci z Nivernais, nie życząc sobie mojego współudziału. Zresztą widywali Hugona z Arcis niezwykle rzadko, a i wtedy brzękiem ostróg wyznaczał tempo ich litaniiom; ja tymczasem sterczałem jak głupi.

Przy tym nasz głównodowodzący nie miał wcale powodu do pośpiechu, ponieważ wkrótce dla wszystkich uczestników wyprawy, z wyjątkiem oczywiście arcybiskupa, jedno stało się jasne: szturmem także teraz ta góra ze swym dumnym zamkiem była nie do wzięcia, chyba że za cenę szalonych strat! Miałem więc dużo czasu na modlenie się, a przy tym z ciekawości włóczyłem się po różnych obozach.

Wszędzie spotykałem rycerzy, którzy zupełnie osowiali czyścili zgrzebłami swe bojowe rumaki; tutaj bowiem, Bóg świadkiem, nie nastroczała się żadna sposobność, aby *macte anime*\* pogalopować do walki i ciężką kopią wysadzić przeciwnika z siodła. Tak wędrując spotkałem również Gawina, templariusza.

Szlachetnie urodzony pan Montbard z Béthune był komandorem położonego niedaleko, w Rennes-le-Château, domu zakonnego i wybrał się tutaj z oddziałem swoich rycerzy, nie biorąc właściwie udziału w wyprawie: seneszalowi zakon nie mógł podlegać, również arcybiskup nie miał nad nim żadnej władzy. Tak więc Gawin miał status obserwatora. Rozbił swój namiot w najpiękniejszym miejscu na skraju wąwozu Lassetu, gdzie również rozłożył się obozem jego orszak. Zaprzyjaźniłem się z Gawinem i dzięki temu odbyliśmy szereg osobliwych rozmów.

Gawin Montbard pochodził z tych stron, co zdradzało z dumą dołączone nazwisko matki; panowie Béthune byli lennikami i przez liczne więzy krwi także krewnymi hrabiów Tuluzy. Gawin znał *in persona*\* Trencavela i był też niegdyś pod Carcassonne. Oszczędziłem sobie pytania po czyjej stronie. Carcassonne było dla niego wyraźnie przykrym wspomnieniem, co mnie znowu bardzo irytowało.

Sądząc po jego nastroszonej szpakowatej brodzie, musiał już przekroczyć pięćdziesiątkę. W otoczeniu twierdzy orientował się zadziwiająco dobrze. Był najlepiej poinformowany o stanie załogi Montségur, którą oceniał na ponad czterystu zdolnych do walki ludzi wraz z dobrym tuzinem znanych mu z nazwiska rycerzy, a także ich giermków, sierżantów i zwerbowanych pomocniczych oddziałów. Doskonali, jak z szacunkiem nazywał kacerzy, stanowili z pewnością razem z rodzinami dalsze dwieście głów.

---

\* *Macte anime* (łac.) — z nowym męstwem.

\* *In persona* (łac.) — osobiście.

Gawin zbyt dużo o tym wszystkim wiedział, musiał bywać już tam na górze, w kacerskim gnieździe! Czyżby, na Boga, istniały ukryte powiązania między templariuszami i katarami? Ostatecznie przebąkiwano o jakichś zwłokach bliskich jednym i drugim, złożonych w nieznanym grobie. O jakimś ukrytym, ściśle strzeżonym skarbie — może o tym Graalu? Czyżby chodziło o ciemne pogańskie obrządkie? Kto wie, co za potworności zawiera tajna reguła zakonu!

— Czy to prawda — zapytałem Gawina, żegnając się szybko — że ci przez Boga i Ducha Świętego opuszczeni heretycy nie tylko naigrawają się z naszego pana papieża, ale podają w wątpliwość narodziny naszego Zbawiciela z Dziewicy, zaprzeczają, że jest On Synem Bożym, i twierdzą, że nie umarł za nas na krzyżu?

— Bóg nie opuszcza nikogo — napomniał mnie templariusz z powagą, która zmuszała do zastanowienia się nad tym zdaniem ze wszystkimi jego konsekwencjami. Jednakże natychmiast sarkazm Gawina znowu wziął górę:

— *Quidquid pertinens vicarium, parthenogenesem, filium spiritumque sanctum\**, już Święta Trójca to dla nich za wiele.

Czyżby szydził z Kościoła? Chciał mnie sprowadzić na złą drogę, zachwiać moją wiarą w sakramenty? A może w Gawina wstąpił kusiciel, co nie zważając na czerwony krzyż na jego ramieniu wślizgnął się pod biały płaszcz?

— Wystarcza im „jedna boska istota” i jej przeciwnik, Lucyfer.

Więc jednak!

— A zatem wierzą w szatana, być może czczą go potajemnie?

— A ty nie wierzysz w diabła, bracie Williamie? — Gawin roześmiał się gromko nade mną wystraszonego mnichem gapiącym się na niego, jakby spotkał, Święty Boże miej mnie w swej opiece, właśnie złego ducha w odorze siarki i smoły. — Biedny bracie Williamie — dorzucił Gawin — są rzeczy między niebem i Asyżem, których franciszkanin nie potrafi sobie wyobrazić nawet w czasie najgorszych głodowych wizji!

Z rozbawieniem popatrzył na mój brzuch, na którym brązowy habit opinał się niepokojąco, chociaż tutaj, w obozie, traciłem każdego dnia kilka funtów, no, może nie funtów, ale uncji. Zawstydzilem się i Gawin napawał się moim zażenowaniem.

— Świątynia Salomona w Jeruzalem należy do innej sefiry\* niż Porcjunkula twojego Franciszka, jest magicznym miejscem. To samo dotyczy Montségur.

Milczałem, wzburzony do głębi. Jakież otchłanie otwierały się tutaj!

A może powinienem był zadać sobie pytanie, do jak wysokich lotów zdolny jest ludzki duch?

---

\* *Quidquid...* (łac.) — Co się tyczy zastępcy [Chrystusa], niepokalanego poczęcia, Syna i Ducha Świętego...

\* *Sefirot* (hebr., l. poj. *sefira*) — termin kabalistyczny oznaczający dziesięć boskich struktur, które pośredniczą w powstawaniu świata na drodze emanacji i składają się na rozmaite poziomy rzeczywistości, do tego stopnia ulegli jego podszeptom, że przysięgli nie spocząć, aż nasi „gardłami zapłacą za zdradę”.

Zatrzymanie naszego natarcia — dzięki swoim modłom czułem się związany z Baskami na górze, tak jakbym się sam, uchowaj Boże! znajdował na pierwszej linii — zachęciło komendanta kacerzy i jego kasztelana do śmiałego wypadu, aby uciszyć *adoratrix murorum* ustawioną w barbakanie.

Pewnego zimowego dnia, wietrznego i suchego, w sam raz, aby podłożyć smołę i ogień pod maszynę, z ukrytego bocznego wyjścia wyslizgnął się niewielki oddział: same dobrane diabły! Niestety, obrońcy Montségur także dysponowali baskijskimi najemnikami, ci zaś mieli czelność płonąć żądzą zemsty wobec naszych dzielnych górali, swych ziomków, którym zarzucali zdradę twierdząc, że za judaszowe srebrniki stanęli po stronie francuskich ciemiężców.

Tak powywracało się w głowach tym górskim gburom: ani przez myśl im nie przeszło, że swoimi niegodziwymi czynami zadają cios w plecy Świętej Matce, Kościołowi! Nie zdając sobie sprawy, że są na żołdzie złego ducha.

Ponieważ mową gadali tą samą, swojsko brzmiącą, omal nie powiódł im się ów niespodziewany wypad, jednakże w porę — dzięki niech będą Najświętszej Bogurodzicy! — rozpoznano dialekt napastników i powstał dziki tumult.

Szczęk broni słychać było aż u nas, w dolinie, gdzie u stóp wzgórza biskup Durand obserwował z przerażeniem, jak pierwsze płomienie liżą belkowanie jego cennej katarpulty.

Podszedłem do niego.

— Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... — zacząłem się głośno modlić. Jakże inaczej zresztą mogłem się przyczynić do ratowania *adoratrix murorum*?

— Stul głowę i skończ z tym pobekiwaniem — ryknął na mnie. — Lepiej zatroszcz się o to, żeby wiatr zmienił kierunek!

Nie dałem się wyprowadzić z równowagi.

— *Laudato si' mi Signore per il frate vento* — wpadł mi do głowy odpowiedni tekst mego świętego Franciszka — *et per aere et nubilo et sereno...*\*

— To przechodzi ludzkie pojęcie! — wrzasnął biskup i zamierzył się na mnie pastorałem, gdy tymczasem ponad nami w gryzącym smolnym dymie i w blasku migotliwych ognistych cieni walczył mąż przeciw mężowi. W lodowatym wietrze niosły się zawołania, przekleństwa i śmiertelne okrzyki.

— Więc mam się nie modlić? — spytałem zbity z tropu.

— Nie, dmuchać! — roześmiał się jak zawsze pełen sarkazmu Gawin, który nieopatrzenie przyłączył się do nas w ciemnościach. Milcząc spoglądaliśmy w górę; ciała

---

\* *Laudato...* (wł.) — Niech będzie pochwalony mój Pan za wiatr, co jest mi bratem, za powietrze i chmury, za wszystko co pogodne... (*Pieśń o stworzeniu*, zwana też *Pieśnią słoneczną* Franciszka z Asyżu, 1225).

przerzucane ponad krawędziami skał roztrzaskiwały się setki metrów niżej o kamienne ściany. Ostatecznie nasza załoga barbakanu wzięła górę, zdołała odeprzeć nacierających i zgasić ognisko pożaru.

— *Laudate e bendicite mi? Signore et reagratiare e serveateli cum grande humilitate!*\*

— Gawin zacytował zakończenie pieśni, ja zaś nie ośmieliłem się więcej otworzyć gęby. Durand rzucił Gawinowi takie spojrzenie, jakby chciał się upewnić, czy aby templariusz jest przy zdrowych zmysłach. Byłem dumny z tego, biskup przywrócił bowiem tym samym honor biednemu minorycie.

— Przywódcy obrońców powinni uświadomić sobie — oświadczył po chwili biskup — że takich wypadów nie będą mogli dowolnie powtarzać bez poważnego osłabienia swoich szeregów.

— Mogą jeszcze długo wytrzymać — rzekł zatopiony w myślach templariusz, nie odwracając wzroku od Montségur.

— Ale nie wiecznie! — Biskup nie był fanatykiem wiary, lecz trzeźwym praktykiem.

Gawin nie zadawał sobie najmniejszego trudu, aby ukryć sympatię dla obleganych.

— Samotne orle gniazdo w kraju, gdzie od dawna już nie śpiewa żaden ptak — powiedział.

Zabrzmiało mi to bardzo ckliwie, choć rzekłbym, że dosłyszałem nutę smutku; i o dziwo, biskup przystał na ów ton, zamiast ostro skarcić templariusza.

— I żadnego ratunku, jak okiem sięgnąć! — skonstatował cicho ten, co jeszcze przed chwilą tak grubiańsko mnie ofuknął.

Wymienili z templariuszem spojrzenia, które ujawniały podejrzanę porozumienie.

— Tak, żadnej pomocy przynoszącej ratunek, jednakże nie pozostaną bez pociechy: naradzą się ze swoim biskupem — wyraził przypuszczenie templariusz z niezwykłą pewnością, która spowodowała w mej głowie zamęt, natomiast wcale nie poruszyła katolickiego biskupa Albi.

— Bertrand en-Marti po długiej medytacji i modlitwie zażąda gotowości od swoich braci i sióstr. — Durand kontynuował wypowiedź templariusza bez cienia ironii, pozwolił mu zresztą doprowadzić myśl do końca.

— Tak, do przygotowania się na ostatni ofiarny krok!

Cóż za współdziałanie tajemnych i jakże różnych sił! Moja obecność w ogóle im nie przeszkadzała. Byłem jak powietrze, nic nie znaczący pyłek. „Miłujcie waszych nieprzyjaciół.” Czy można było słowa Chrystusa brać tak poważnie? Williamie, powiedziałem do siebie, prawdopodobnie życie wydawało ci się dotąd za proste, a może sam traktowałeś je zbyt lekko?

Zniesiono w dolinę pierwszych zabitych i rannych. Nieoczekiwanie nabrałem pew-

---

\* *Laudate...* (wł.) — Chwalcie i wysławiajcie mego Pana i dziękujcie Mu i służcie z wielką pokorą (tamże).



ności, że znajduje się wśród nich Jordi, choć przeczyłaby temu dziwna przepowiednia dotycząca jego śmierci, przepowiednia, którą mi niedawno zwierzył. A może Gawin był rzeczywiście heretyckim templariuszem? Duranda można było z pewnością określić jako katolickiego biskupa, mnie chyba jednak nie sposób uznać za strażnika Graala. Mimo to na wszelki wypadek wolałem się wymknąć po cichu.

— Hej, franciszuniu! — przywołał mnie ekscelencja Durand — nie ruszaj się stąd! Teraz będzie popyt na ostatnie namaszczenie, chyba że boisz się ujrzeć śmierć w gasnących oczach, nim je zamkniesz łagodną ręką?

— Skinął na mnie i wskazał na ciało, które akurat pospiesznie złożono u jego stóp.

Piers Jordiego była strzaskana, ale oddychał jeszcze i patrzył na mnie zdumionymi oczyma.

— Czy to ty, Williamie? Czy jesteś strażnikiem?

W tym momencie podszedł ku nam templariusz. Pochyliłem się nad Jordim i szybko położyłem mu dłoń na ustach.

— Powiedz, co ona naprawdę o mnie mówiła!

— Muszę umrzeć, minoryto! — wyrzeźił cicho. — Nade mną stoi już templariusz i biskup... — jego oddech stał się przerywany. — *Et tu mi rompi le palle!*\*

Czułem, że robi mi się niedobrze, ale koniecznie chciałem poznać słowa Loby, które mnie dotyczyły, nim Jordi zabierze je z sobą do grobu.

— Nie umrzesz — zapewniłem bardziej siebie niż jego. — Nie jestem żadnym strażnikiem Graala!

— Właśnie że tak! — wysapał. — Jesteś strażnikiem skarbu... powędrujesz na koniec świata, szczuty przez Kościół, szanowany przez królów... Ty, opasły mnich z Flandrii, którego los, tak jak mój, wypełni się, jeszcze nim padnie Montségur...

Spiesznie osunąłem się na kolana i zbliżyłem ucho do jego warg.

— Mów!... Mów dalej!

— Idź do diabła! — Krew trysnęła mu z ust. — Templariusz, biskup i tłusty minoryta! Zostaw mnie w spokoju...

Przestał poruszać ustami.

Nasłuchiwałem jeszcze przez chwilę, potem zamknąłem mu powieki i uczyniłem nad nim znak krzyża. Zbierało mi się na mdłości, co zwykle odczuwałem tylko po przejedzeniu. I nie sama śmierć Jordiego tak mnie poruszyła, lecz to, że zapowiadała nadejście ciemnych mocy, które miały zawładnąć również moim życiem.

W najbliższą niedzielę rano, tak jakby *Treuga Dei*, pokój Boży, uśmierzył wszelkie wrogie działania — co w walce przeciwko kacerzom uważałem za niepotrzebny, obra-

---

\* Et tu mi... (wł. wulg.) — Odpieprz się!

zający Kościół okres ochronny — komendant Montségur dał znać seneszalowi, że jest gotów omówić warunki poddania twierdzy.

Dla mnie już samo sformułowanie żądania wskazywało na niesłychaną arogancję: uważałem, wierny i naiwny syn Kościoła, że jedynie bezwarunkowa kapitulacja oraz zdanie się na łaskę i niełaskę zwycięzców byłyby stosowne! Wystrzegałem się wszakże, by nie ujawnić wobec Gawina swych myśli, gdy nie całkiem przypadkowo zastąpiłem mu drogę w wąwozie Lassetu.

Zanosilo się na to, że mój pan, seneszał, zabierze mnie z sobą na rokowania, ale przeciwstawili się temu skutecznie jego kapelani. Tak więc musiałem pozostać na dole, gdy tymczasem oni w orszaku pana z Arcis pocili się wspinając na wzgórze. Spotkanie z Piotrem Rogerem z Mirepoix, komendantem kacerskiej warowni, miało się odbyć gdzieś w połowie zbocza.

— Czy przyjmujemy kapitulację? — zacząłem niewinnie rozmowę z Gawinem.

— Wy, klechy — otrzymałem natychmiast cios — zapewne chętnie byście ją odrzucili! — natrząsał się ze mnie. — Ale żołnierzom, którzy dla was i za was nadstawiają głowy, nie jest zbyt miło czekać bez końca. Dotyczy to przede wszystkim tych, którzy nie z przekonania, lecz z obowiązku lennego już dziesiąty miesiąc tkwią w tych dzikich górach. Będą więc nalegać na to, żeby zakończyć oblężenie...

— A co będzie z karą dla tych heretyków? — wymknęło mi się.

Templariusz rzucił mi tylko pełne współczucia spojrzenie, które mnie do głębi zawstydziło, ale nie zmieniło mego zdania.

— Hugonowi z Arcis potrzebny jest sukces — oznajmił Gawin — potrzebuje go bardziej niż zwycięstwa. Otrzymał polecenie, żeby w imieniu króla Francji zająć Montségur, a nie mścić się na obrońcach. Zakładam, że spróbuje wypełnić swe zadanie, choćby nawet warunki były całkiem nie w smak Kościołowi.

Komandor skierował się ku namiotowi seneszala, który tymczasem powinien już być wrócić ze swej górskiej wyprawy; podążyłem za nim. Zupełnie bez zachęty z jego strony dreptałem jak pies, gdy się do kogoś przypląta, a jemu sprawiało chyba przyjemność udzielanie mi dalszych lekcji, z których każda była niby smagnięcie.

— Należy tylko przegłosować Piotra Amiela — oznajmił, nie odwracając się do mnie. — Arcybiskup pożąda, podobnie jak ty, bracie Williamie, dusz kacerzy ukrytych na górze, ale nie po to, by je nawracać, lecz by zobaczyć, jak w kształcie czarnej chmury zmierzają z płomieni stosu prosto do piekła!

Tego nie mogłem oczywiście znieść.

— Żałującemu grzesznikowi zawsze powinno się wybaczać — zauważyłem.

— A jeśli ktoś nie jest świadomy winy, to skąd ma wziąć uczucie żalu? — dręczył mnie templariusz, któremu przysłuchiwałem się uważnie, mimo że drwił ze mnie, i którego się poniekąd obawiałem. — Takie wyrzeczenie się własnych przekonań, jakie-

go żądacie, dopiero byłoby grzechem pierworodnym dla Czystych! Z dwojga złego wolą więc śmierć i już choćby z tego powodu zasługują na twój szacunek, Williamie!

Dałem za wygraną. Gawin miał rację: dostrzegłem pewne rysy na murach mego religijnego wychowania, a spoczywające na nich belkowanie teologicznych studiów skrzypiało i trzeszczało. Toteż zamilkłem i pozwoliłem sobie pozostać nieco w tyle; przed nami wyrósł bowiem porzecz naszego wodza.

— ...garnizon ma prawo swobodnie odejść — usłyszałem, jak mówił do arcybiskupa, który już chciał wybuchnąć gniewem, ale powstrzymał się, bo Hugon z Arcis dokończył: — Wszyscy inni mają się stawić przed trybunałem inkwizycyjnym! — Wyraźnie zachwyciło to Piotra Amiela, gdy tymczasem mnie przeszedł nagły dreszcz. — Kapitulacja nastąpi po upływie pół miesiąca! — dodał jeszcze jakby mimochodem seneszał.

— Jak to? — uniósł się arcybiskup, wietrząc pułapkę i na wszelki wypadek oburzony, że pozbawiono go natychmiastowej przyjemności.

— *Conditio sine qua non!*\* — oznajmił Hugon z Arcis, zmierzając do końca rozmowy. — Rad jestem, że dzięki tej czysto czasowej koncesji znalazłem rozwiązanie, ekscelencja zaś powinien dać przykład cierpliwości.

Arcybiskup odszedł pospiesznie, a jego gniew ciągnął się za nim jak obłok bździn. Gawin, zauważywszy ledwie dostrzegalny znak seneszała, wszedł za nim do namiotu. Ja usiadłem na kamieniu.

Zapadł wieczór, sterczącą nad nami niewzruszenie górę otoczył niespodziewany świąteczny spokój, nierzeczywista cisza nie tyle nawet pokoju, ile raczej oderwania się od czasu i przestrzeni. Czy płynęło to z mojego serca? A może od ludzi, którzy tam w górze zgromadzili się za masywnymi murami zamku?

Zażenowany rozejrzałem się wokół i zobaczyłem wielu żołnierzy, kapitanów, inżynierów, kuszników, strzelców, rycerzy i giermków, którzy stojąc z odkrytymi głowami, spoglądali w górę. Pierścień oblegających zastygł w milczącym napięciu, pełen niepewności wobec tego, co niewidoczne dla naszych oczu, niezrozumiałe dla umysłów, rozgrywało się wśród zamkniętych w warowni ludzi, a zwłaszcza wobec tego, co wkrótce miało się tam wydarzyć.

Ukląkłem i zacząłem się modlić. Modliłem się za mężczyzn, kobiety i dzieci z Montségur!

Doliny już dawno zatoneły w fiolecie szybko zapadającego zmierzchu, gdy w ostatnich promieniach słońca twierdza Graala, tkwiąca na niedostępnym szczycie tak długo atakowanej góry, zaśniła jeszcze raz na bladym lazurze bezchmurnego wiosennego nieba.

Od świąt wielkanocnych Anno Domini 1244 dzieliły nas zaledwie trzy tygodnie.

---

\* *Conditio...* (łac.) — nieodzowny, konieczny warunek.

Pierwszy upłynął bardzo szybko; minęło napięcie związane z bezpośrednią walką, rzemiosłem tych ludzi, ustępując miejsca potrzebie snu i odpoczynku. W parze z tym szło porządkowanie wojennego sprzętu, by go wyszykować do powrotnej drogi. Potem jednak, gdy wszystko, co zarządzone na czas wielkiej godziny, było wykonane, pojawiła się pustka, która niebawem mocno zaciężyla na ogólnym nastroju. Armia oblężnicza niczego nie oblegająca jest przecież niedorzecznością.

Czekanie szarpało nerwy. Zaczęliśmy liczyć dni drugiego tygodnia. Na polecenie seneszała, który nas teraz potrzebował jeszcze mniej niż przedtem, wędrowaliśmy jako kaznodzieje przez obóz, aby modlitwami podtrzymywać cierpliwość i zgodliwość żołdactwa, już bowiem rozpałały się pierwsze spory między oddziałami: bójki z powodu kobiet, pchnięcia nożem przy grze w kości, wszystko zrodzone z pijaństwa, nudy i złego humoru. Modliliśmy się również z tymi, którzy za takie sprawki mieli być powieszani.

Natknąłem się na biskupa Duranda z Albi; w jego obozie panował nastrój wymarszu. Biskup w spodniach i kaftanie pilnował rozmontowywania i pakowania swych miotających machin, z których pozostała tylko wiązka belek, pozwijane liny i stos kutego żelastwa.

— Czy to jest *adoratrix murorum*? — spytałem rozczarowany, widząc żaloszny szkielec tak sławnej konstrukcji.

— Ech, ty mój śpiewający drożdziej z Asyżu! — powitał mnie hałaśliwie. — Mój burzymur tkwi jeszcze tam w górze, póki się nie wycofa ostatni obrońca! — Otarł pot z czoła. — Pięknym byłbyś strategiem, gdybyś machinę za wcześnie zdemontował! Zaufanie jest jak wiara we Wszechmocnego, dopiero czyny dają pewność.

Scholar, którym się nadal czułem, został sprowokowany taką interpretacją Boga.

— Nasz Stwórca nie jest przecież ani czynem, ani przedmiotem... — zacząłem.

— Pleciesz — przerwał Durand mój wywód. — Jest jednym i drugim! Twoja nędzna pewność zmusza Go do tego, chociaż jako Sprawcy nie jest Mu to wcale potrzebne.

— A więc mogę Mu zaufać w modlitwie?

— Jemu tak, ale ludziom nie!

Myślę, że również ekscelencja Durand nie brał mnie zbyt poważnie. Z zakasanyimi rękawami nie wyglądał na biskupa. Widziałem się już uwikłany w grę umysłu, do której nie dorosłem, gdy mój seneszał, przejeżdżając obok na koniu, skinął na mnie, żebym za nim podążył. Był w towarzystwie Gawina Montbarda z Béthune, który jednak nie dał poznać po sobie, że się znamy.

Z wywieszonym językiem, posapując bieglem za rumakami aż do okrągłego namiotu arcybiskupa. Piotr Amiel, zaledwie usłyszał, że przybywamy, przyodziany w ornat wypadł na zewnątrz; opanował się jednak szybko, zapewne aby jego postać jako najwyższego w armii dostojnika kościelnego i papieskiego legata wywarła na nas odpowiednie wrażenie.

— Dlaczego — zaczął — nie kończymy z tym? To kacerskie plemię...

— Dlatego, ekscelencjo — Hugon z Arcis przerwał mu wylewanie żalów, które zazwyczaj osiągało apogeum w podzégających tyradach wygłaszanych z pianą na ustach — że dałem słowo. A także dlatego, że uzgodniony termin piętnastu dni jest niczym w porównaniu z życiem moich żołnierzy, których musiałbym stracić, gdybym chciał zerwać układ o kapitulacji i zaatakować ludzi...

— Kacerzy! — parsknął arcybiskup. — Jako przedstawiciel... — zaczął i raptem umilkł.

— Działam w imieniu króla Francji! — ciągnął stanowczo seneszał, który nie pojął, dlaczego Piotr Amiel przerwał tak nagle, nie widział bowiem tego, co już za jego plecami dostrzegł arcybiskup.

Na płasko wyrównanym łagodnym wzniesieniu, gdzie urządzono ołtarz dla odprawiania codziennych mszy, ukazała się, eskortowana przez ośmiu templariuszy, czarna lektyka. Niosło ją tyłuż tragarzy, sierżantów w ciemnych strojach, którzy wkrótce postawili ją na ziemi.

Zasłona w lektyce uchyliła się nieco i w szparze dało się dostrzec abakus, którym ktoś odsunął zasłonę lekko na bok. Przez moment mignęła też delikatna biała ręka. Władcze skiniecie buławą przywołało jednego z templariuszy. Był to zwracający uwagę młody rycerz o niemal dziewczęcych rysach. Jednakże Gawin już go ubiegł i zbliżył się do lektyki. Zsiadł z konia, ku mojemu zdumieniu przykląkł i w tej postawie otrzymał chyba zezwolenie albo żądanie złożenia raportu. Nikt z nas, którzyśmy stali przed namiotem bądź jak seneszał siedzieli na koniach, nie zdołał pochwycić ani słowa z tego, o czym tam mówiono.

Jego ekscelencja Durand zdobył się na śmiałość i szepnął do Hugona z Arcis:

— *La Grande Maîtresse!*\* Tak to właśnie jest, my nadstawiamy głowy, a zakon zbiera plony.

Człowiek króla pochylił się ku niemu ostrożnie.

— To jest o wiele prostsze, mój drogi, tu nie ma ani zwycięzców, ani zwyciężonych! Ręka, która tam w górze, w twierdzy, złożyła miecz, jest tą samą, która go przyjęła tutaj, na dole...

— A my, dzielni wojownicy i mądrzy stratedzy — odpowiedział mu cicho Durand — którzyśmy pozwolili się tutaj przysłać jako sztafaż, wmawialiśmy sobie, że walczymy za prawdziwą wiarę i właściwą koronę. Ale z nas głupcy!

Zamilkł, ponieważ młody templariusz skierował konia ku naszej grupie, a w ślad za nim również Gawin, który zamienił jeszcze ostatnie słowo z tajemniczym gościem. Potem abakus już za czarną aksamitną zasłoną zastukał krótko dwa razy i tragarze pod-

---

\* *La Grande Maîtresse* (fr.) — Wielka Mistrzyni.

nieśli ciemną lektykę. Nie zdobił jej żaden herb, nawet czerwony krzyż zakonu templariuszy.

— Wilhelm z Gisors, ekscelencjo! — przedstawił się rycerz, skłaniając głowę w prawie niewidocznym ukłonie.

— Co macie, panie, do przekazania legatowi Ojca Świętego? — natarł na niego obcesowo Piotr Amiel, aż drżący z wściekłości.

— Przesłanie brzmi: *pacta sunt servanda!*\* — oświadczył młodzieniec dźwięcznym głosem i nie czekając na odpowiedź arcybiskupa, spiął konia ostrogą, by dołączyć do oddalającego się oddziału.

Hugon z Arcis uśmiechnął się.

— Uzgodniony czas wkrótce minie — próbował pocieszyć osłupiałego legata, który zgrzytał zębami. — Jeszcze tylko dwa dni...

— W czasie których wasza czujność — wybuchnął wreszcie arcybiskup — jeszcze bardziej osłabnie! — Z jego słów przebijało nie szyderstwo, lecz prawdziwa troska. — A tymczasem ta przebiegła heretycka zgraja, która nie uznaje ani Najświętszej Dziewicy, ani prawa, ani danego słowa, może to wykorzystać i uciekając uniknąć sprawiedliwej kary!

Hugon cierpiał nie tylko z powodu nużącej wojny, ale również na skutek ciągłych swarów z żadnym zemsty przedstawicielem rzymskiej kurii.

— Załoga ma prawo swobodnie odejść — przypomniał. — A co się tyczy mojej oceny katarów, to żaden z nich, ekscelencjo, nie ucieknie przed waszym najwyższym trybunałem, nawet mając pewność, że nie znacie ani łaski, ani miłosierdzia! — Stary rycerz nie skrywał niesmaku. — Będziecie mieli dosyć żywych drżących ciał, by rzucić je na stos! Mężczyzn, a jeszcze więcej kobiet, starych i młodych, a także i dzieci!

Odwrócił się, pozdrowił krótko komandora i biskupa Albi i szybko się oddalił. Piotr Amiel próbował zapraszającym gestem przeciągnąć na swoją stronę biskupa, ale Durand wszedł wraz z Gawinem na skalny blok, ignorując tę żalospną próbę zbliżenia ze strony zwierzchnika. Arcybiskup wycofał się obrażony.

— Czy zaspokojono oczekiwania najwyższej władzy? — zwrócił się ostrożnie Durand do templariusza.

— Ratujący nie rozprawia o pokoju, musi zadowolić się tym, by przenieść w bezpieczne miejsce to, co jest do uratowania.

— Czy istnieje jeszcze gdzieś bezpieczne miejsce — zastanowił się cicho biskup — skoro nawet Montségur, „bezpieczna góra”, nie może go już gwarantować?

— Ten Monsalwat zostanie po wsze czasy ostoją zbawczego dobra — powiedział Gawin pogrążony w myślach — pocieszycielem...

---

\* *Pacta sunt...* (łac.) — umów należy dotrzymywać.

— Uważam, za pozwoleniem — Durand pozostał wierny swym pragmatycznym zasadom — że jest to dobro, które teraz należy niezwłocznie ocalić!

— Pomyślano o tym. — Gawin Montbard z Béthune, komandor zakonu templariuszy w białym płaszczu z krwistoczerwonym krzyżem, spoglądał nieruchomo ku Montségur, nad którym tymczasem również zapadła ciemność.

## OSTATNIA NOC

### *Montségur, wiosna 1244*

Do północy brakowało jeszcze tylko kilku godzin, potem nastąpić miało wiosenne zrównanie dnia z nocą. Doskonali, którzy mimo ostrzału i daleko posuniętego zniszczenia sprzętu astronomicznego nie zaniedbywali obserwacji niebieskich ciał, opuścili obserwatorium po wąskich, stromych kamiennych schodach. Obrońcy Montségur i ich podopieczni zebrali się na dziedzińcu zamkowym wokół swego biskupa Bertrana en-Marti. Wszyscy katarzy byli odświętnie ubrani, wielu ofiarowało swoje mienie żołnierzom garnizonu w podzięce za ofiarną obronę, a także dlatego, że nie potrzebowało już żadnej ziemskiej własności. Czyści żegnali się z dotychczasowym życiem.

Przez dwa długie tygodnie Bertran en-Marti był całkowicie do dyspozycji Wierzących, aby ich przygotować do ostatniego kroku. Wszyscy otrzymali *consolamentum* i teraz mogli razem obchodzić oczekiwane z utęsknieniem święto: wspólny ogień *maximae constellationis*.<sup>\*</sup> Radość z nadchodzącego wydarzenia, będąca rezultatem bezprzykładnego duchowego przygotowania, przyćmiewała wszystko, co jeszcze mogło nadejść na ostatnim odcinku drogi i co należało przecierpieć przed wstąpieniem do rajów.

Dwie osoby spośród przygotowanych do tego przejścia musiał Bertran en-Marti wyłączyć: dwaj Doskonali zostali wybrani, aby zatroszczyć się o bezpieczeństwo pewnych przedmiotów i dokumentów, i to niezwłocznie!

Oblegający żyli w przekonaniu, że kontrolują wszelkie drogi wiodące do Montségur. W rzeczywistości jednak oddziały szturmowe, zwłaszcza baskijscy górale i katapultery Duranda, nie ośmielili się nigdy obsadzić poprzerzynanego zapadliskami i gęsto zarosniętego grzbietu wzniesienia, ciągnącego się na wschód od twierdzy, obok barbakanu, ku Pas de Trébuchet i aż do Roc de la Tour. Atakujący przycupnęli na krawędzi ostrych skał, które dawały im osłonę przed daleko sięgającymi strzałami Katalończyków, ani myśląc badać tajemne ścieżki owej napawającej strachem okolicy, skąd dotychczas nie wrócił żaden zwiadowca. Mówiono, że szlaki te prowadzą z twierdzy bezpośrednio do

---

<sup>\*</sup> Maxima constellatio (łac.) — astrologicznie niezwykle znaczący układ planet.

jaskiń i korytarzy w stromo opadających ścianach góry, a więc tuż pod nogami napastników.

Ponieważ księżyc świecił bardzo jasno, obu wybrańców poprowadzono ciemnymi korytarzami, w których często słyszeli tuż nad sobą głosy wrogów. Wreszcie w grocie, zwężającej się przy wyjściu w niewidoczną szczelinę, zawinięto ich wraz z cennym dziedzictwem w białe płachty, obwiązano sznurami i po wschodniej stronie grzbietu, niezwykle trudnej do obserwacji, na długich linach opuszczono ponad ostrymi skałami w wąwóz Lassetu. Szum rzeki zagłuszał wszelki hałas. Wejście do skalnego parowu ryglowali nocą templariusze Gawina Montbarda z Béthune.

Na dole oczekiwała grupa tragarzy, trzymająca w pogotowiu juczne osły. Płachty rozwiązano, w mgnieniu oka objuczono zwierzęta i wkrótce Doskonali wraz z towarzyszącymi im pomocnikami pograżyli się w mroku. A gdy po chwili doświadczeni we wspinaczkach górskich baskijscy żołnierze zamierzali wciągnąć liny na górę, z ciemności wąwozu wyłonili się nagle dwaj rycerze.

Przyłbice mieli opuszczone, na pancerzach nie dało się dostrzec herbów, także na hełmach nie nosili żadnych ozdób. Prowadzili konie, trzymając je krótko za uzdy.

Jeden z rycerzy był olbrzymiej postury; garnkowaty hełm i kolczuga wyglądały na niemiecką robotę. Jego towarzysz o szczupłej sylwetce miał na sobie rynsztunek zdradzający kosztowny wyrób Wschodu; coś takiego można było zdobyć jedynie jako łup w Ziemi Świętej. Nie odezwawszy się ani słowem, chwycili za zwisające liny.

Ludzie pomagający w ucieczce Doskonałym stali przez chwilę bezradni i przestraszeni widokiem obnażonych mieczy w rękach intruzów. Wtedy w wąwozie pojawił się templariusz, krótkim skinieniem głowy wyraził aprobatę dla żądania rycerzy i zniknął.

Czas naglił. Pospiesznie owinięto nieznajomych w płachty i Baskowie wciągnęli ich na górę.

W ukrytej grocie przywitał gości przytłumionym głosem pan zamku.

— Obawiałem się, cesarski rycerzu — powiedział obejmując potężnego starszego przybysza — że już nie przybędziecie. Albo że — dodał witając młodszego — zjawicie się za późno, książę Selinuntu.

— I jedno, i drugie było bezpodstawne — roześmiał się książę i podniósł cyzelowaną przyłbicę — nawet jeśli ostatni odcinek drogi nadaje się tylko dla ludzi, którzy nie miewają zawrotów głowy! — Ostre rysy i gardłowy akcent zdradzały cudzoziemca. — Musimy pomóc Zygisbertowi uwolnić się z tego okrycia. — Wskazał na swego rośłego towarzysza, który miał trudności z wyplątaniem się z płachty. — W takim kokonie nie jest zbyt zgrabny!

Zagadnięty zerwał hełm z siwej głowy.

— Lepiej tuzinowi nieprzyjaciół spojrzeć w oczy — mruknął — niż jeszcze raz popatrzeć w tę przejmującą zgrozą przepaść!



— Wasza szaleńcza odwaga przynosi cesarzowi zaszczyt.

— Fryderyk nie wie o niczym — odparł mrukliwy Zygisbert. — I tak też powinno zostać.

Zaprowadzono rycerzy do zamku, gdzie właśnie Doskonali i Wierzący, wszyscy z płonącymi świecami, śpiewając zmierzali w uroczystym pochodzie do sali rycerskiej donżonu. Potem drzwi sali zamknięto. Przybysze musieli czekać na zewnątrz.

— A cóż to za chrześcijanie, którzy swe zmartwychwstanie świętują jeszcze przed śmiercią? — spytał bez respektu młodszy z rycerzy, Konstancjusz z Selinuntu.

Wiek tego człowieka trudny był do określenia: ciemna cera, dobrze przystrzyżony zarost, zwłaszcza zaś ostro zakrzywiony nos nadawały mu wygląd drapieżnego ptaka, a niespokojne ciemne oczy potęgowały jeszcze to wrażenie.

Stary rycerz nie spieszył się z odpowiedzią.

— Śmierć? Niewiele o nią dbają, twierdzą, że jej nie ma — odezwał się w końcu mrukliwie. — Na tym właśnie polega ich herezja!

Zygisbert z Öxfeldu, od wielu lat rycerz zakonu krzyżackiego, był istnym wielkoludem o alemańskiej czaszce, gładko wygolonym podbródku, zmarszczkach jak u dobrodusznego bernardyna.

Ponieważ żołnierze i rycerze, którzy stali dookoła, przejści trwali w milczeniu, przybysze również zaniechali rozmowy; nie zadawali też żadnych pytań.

## INTERLUDIUM NOCTURNUM\*

*Montségur, wiosna 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Od samego początku studiów kierowała mną, nieco już otyłym młodym wieśniakiem z Flandrii, skryta tęsknota, by poznać tajniki czarnej magii i mistykę Kabały. Odkąd przybyłem do Paryża, nie opuściłem żadnego alchemicznego pokazu, żadnych egzorcyzmów. Podczas gdy we dnie słuchałem wykładów zadziwiającego dominikanina Albertusa, który już wówczas nosił przydomek Magnus, czyli Wielki, nocą ciągnąłem uliczkami w orszaku mego angielskiego konfratra Rogera Baconiusa; on to, *magister artium* i *doctor mirabilis*\* zrobił z flamandzkiego „Willema” światowego „Williama”, na co chętnie przystałem. Odwiedzałem też sławnego astrologa Nasira ad-Dina at-Tusiego i dopychałem się na uniwersyteckie wykłady Ibn al-Kiftiego, szeroko wychwalanego medyka, aby uzyskać od niego wgląd w tajemnice Orientu.

---

\* Interludium nocturnum (łac.) — nocne interludium.

\* Magister artium (łac.) — mistrz nauk „wyzwolonych” (humanistycznych); doctor mirabilis (łac.) — doktor niezwykły, godny podziwu.

Jednakże wszystko to później zbladło i wydało mi się nic nie znaczącym mdłym bajdurzeniem i mędrkowaniem wobec faktu, że w głębi lasu, po drugiej stronie Lassetu, czyhała prawdziwa czarownica, która znała mnie nie tylko z imienia i wyglądu, lecz posiadała również tajemną wiedzę na temat mego losu.

Dokładnie przepowiedziane okoliczności śmierci Jordiego były wystarczająco niesamowite, chociaż co do „strażnika Graala” chyba się pomyliła; ja w każdym razie kogoś takiego nie zauważyłem. Ale ustawiczne poszeptywanie o Graalu nie dawało mi już spokoju.

Ta Loba czekała na mnie i jeśli nawet twierdziła coś przeciwnego, to tak przecież postępują kobiety, a cóż dopiero czarownica. Siedziała w ciemnej jodłowej puszczy Corret niczym pająk, ja zaś, głupi gruby bąk, brzęczałem krążąc wokół światła, chociaż jako uczony *theologus* musiałem wiedzieć, że może osmalić mi skrzydła, a nawet ciało i duszę. Taki to niepokój owej nocy pędził mnie z miejsca na miejsce.

Przez pewien czas przyglądałem się żołnierzom, jak pod kierunkiem oprawcy budowali olbrzymi stos u stóp góry: grube słupy po rogach, mocne poprzeczne belki, młode drewno, które długo się pali, dobrze przemieszane z suchym chrustem lub słomą. Zbudować porządną stogę to prawdziwa sztuka. Nie mogłem go jednakże podziwiać do woli, albowiem w czasie wizyty arcybiskupa, który zacierając ręce oceniał postęp robót, zrobiło mi się niedobrze, oddaliłem się zatem; to znaczy, zdecydowałem się odwiedzić Gawina i wreszcie zadać mu pytania, które nękały mi duszę. Wszelako przy wejściu do wąwozu Lassetu zatrzymali mnie sierżanci, mimo że mnie przecież dobrze znali.

— Teraz nie można — oświadczyli stanowczo. — Odbywa się zgromadzenie rycerzy.

Czując, że wszelkie nalegania są bezcelowe, zabrałem się stamtąd. Ale moja ciekawość została obudzona, intrygował mnie blask światła między namiotami.

Skręciłem w las i wspiałem się nieco w górę. W taką noc było to pełne zgrozy przedsięwzięcie, duchy i elfy zawładnęły już bowiem godzinami, które dzieliły nas od wiosennej równonocy. Trzeszczały drzewa, szumiały gałęzie, chociaż nie wiał najłżejszy wiatr. Nagle usłyszałem nad sobą stukot kopyt. Po wąskiej ścieżce dla jucznych zwierząt, która musiała przebiegać gdzieś powyżej mnie, przejechały na koniach dwie śnieżnobiałe postacie o zakrytych twarzach. Później w milczeniu przesunęło się wraz z mułami kilka widmowych sylwetek, po czym zjawy zniknęły.

Rzuciłem się na kolana i wcisnąłem w niski gąszcz poszycia. Pozostawało mi już tylko się modlić. Skoro biało ubrani jeźdźcy przybyli z wąwozu Lassetu, musieli niechybnie przeciąć obóz templariuszy. A może byli to sami rycerze zakonni? Czy powinienem spytać o to Gawina? Rozejrzałem się trwożnie dookoła, potem wstałem.

W dole między pniami drzew zobaczyłem namioty templariuszy. Tam gdzie zawsze panował ożywiony ruch, teraz królowała cisza. Przed namiotem Gawina ustawiono dłu-

gi stół, przykryty białym lnianym obrusem. Stały na nim trzy srebrne siedmioramiennne świeczniki. U szczytu stołu leżała na płótnie trupia czaszka. Migotliwy blask świec ożywił ciemne oczodoły i czaszka rzuciła mi straszliwe spojrzenie, tak że ledwie ośmieliłem się popatrzeć na nią jeszcze raz. Naprzeciwko niej stał Gawin, a przed nim leżała otwarta księga.

Boki stołu zajmowało po każdej stronie pięciu starszych rycerzy. Wszyscy wydawali się na coś czekać, choć nie zdradzał tego żaden gest zniecierpliwienia. Potem namiot za nimi rozchylił się i wyszedł ten sam piękny templariusz o dziewczęcych rysach, którego widziałem przedtem obok lektyki z czarnymi zasłonami. Wiódł pod ramię białą odzianą postać. Jej rysów nie sposób było dostrzec, na głowie bowiem miała spiczasty kaptur, który opadał aż na ramiona i zakrywał także twarz, odsłaniając jedynie w dwóch otworach oczy. Postać, krocząca powoli i z godnością, niosła w obu rękach tak kosztowny abakus, jakiegom jeszcze nigdy w życiu nie widział. Trzon był chyba z litego złota. Dwa cielska węży — jedno z kości słoniowej, drugie z hebanu — owijały się wokół buławy, której oba końce wieńczyły orle głowy; jedna z nich miażdżyła dziobem łeb pierwszego węża, podczas gdy drugi łeb godził w jej kark. Młody templariusz podprowadził zamaskowaną osobę do szczytu stołu, gdzie tajemnicza postać uroczyście położyła abakus. Piękny rycerz oddalił się wtedy. Wciąż nie słyhać było żadnego dźwięku.

Mimo że przycupnąłem w krzakach z dala od widowiska, jego obraz wypalił się w moim umyśle, gdy abakus zaiskrzył się liżącymi językami płomieni. Jak żywe wiły się splecione ciała węży. Biały czy czarny podstępnie pożerał drugiego? A może czyniły to nawzajem?...

— Kamień — wyrwał mnie z moich dociekań głos biało odzianej postaci — przemienił się w kielich! — Czy mówił to mężczyzna czy kobieta? Nie umiałbym odpowiedzieć. Nocny wiatr przywiewał słowa; odbijały się od drzew, wirowały, przelatywały szybko obok mnie. — Kielich przyjął krew...

Sublimacja, przemknęło mi przez głowę, gdym wspomniał nabytą wiedzę tajemną. Uszlachetnienie jednego przez drugie. Komu odsłaniano teraz tajemnicę i jaką? Czyżby chodziło o Graala?

— Kiedy Maria z Magdali przybiła tutaj do brzegu, przywiozła z sobą Świętą Krew, przyniosła ją w sobie — rozległ się głos zakapturzonej postaci. — Wtajemniczeni kapłani druidzcy oraz pełni nadziei żydowscy uczeni w Piśmie przyjęli ją, pozwolili jej urodzić, krwi stać się ciałem...

*Gesta Dei per los Francos*\* — czyżby mówca robił aluzję do nieustannie przypominanego nam faworyzowania przez Pana Boga francuskiej szlachty? Wprawdzie te ziemie nie należały do Francji, ale mocnośmy się przykładali, aby ją w tę stronę rozszerzyć, sko-

---

\* *Gesta Dei...* (łac. z domieszką hiszp.) — dzieła Boże [dokonane] za pośrednictwem Franków

ro już nawet Pan Bóg zechciał w tej sprawie poczynić starania!

— Krew! Wiecznie krążący strumień, pulsujący, żywy! — zawołał stary druid. — Nie potrzeba przeistoczenia, Krew mu nie podlega, sama się uduchawia, staje się Duchem, przemienia w wiedzę o Krwi...

*Sublimatio ultima*,\* pomyślałem zadowolony, jednakże skonfundowany; wolałbym realny kielich, niechby nawet z kilkoma zaschłymi kropelkami tej podniecającej cieczy!

Starca — a może jednak była to kapłanka? — wyczerpało to wystąpienie. Uchwycił się naraz mocno stołu, jakby zawróciło mu się w głowie. Miejmy nadzieję, pomyślałem, że nie ściągnie obrusu wraz z czaszką i abakusem. W każdym razie żaden rycerz nie pospieszył mu z pomocą, nadal, tak jak od początku tego rytuału, wszyscy trwali w bezruchu.

— Wiedza o tej najwyższej tajemnicy — ciągnął druid podobnym teraz do szepotu głosem — nie jest wprawdzie zagrożona, chyba jednak oni powinni ją ponieść i przekazywać dalej. To nakazuje nam... wezwać was, nasze zbrojne ramię, was, którzy swoje szlachectwo zawdzięczacie tej krwi... chrońcie... w duchu miłości... ocalcie dobro!

Nie zrozumiałem ani w czyim imieniu tutaj mówiono, ani kogo należało chronić. Wiatr i liście pochłonęły słowa. Templariusze z Gawinem na czele zbliżyli się do zaskapiturzonej postaci, położyli prawice na trupiej czaszce i przyklękli. Mruczełi coś, co brzmiało mi jak przysięga. Zgraja zadufanych w sobie butnych panków, odezwał się we mnie syn flandryjskiego chłopca. Tylko tego, kto pochodzi z prastarego frankońskiego rodu, dopuszczają do swego grona! Białe odziany strażnik tajemnicy, wysokiej rangi mistrz jakiejś sekty, widać dostatecznie znaczący, by rozkazywać dumnym templariuszom, którzy właściwie słuchali wyłącznie papieża, podsunął klęczącemu Gawinowi abakus do pocałowania, po czym rycerze podnieśli się w milczeniu. Młody Wilhelm z Gisors — jego imię przypomniało mi się właśnie w tym momencie — pojawił się znowu, a za nim dziesięciu giermków, którzy ustawili się za rycerzami, podczas gdy Wilhelm wyprowadzał ostrożnie białe odzianego człowieka.

Byłem niesłuchanie wzburzony. Jeśli szło tu o Graala — *lapsit exillis, lapis ex coelis*, całymi nocami łamaliśmy sobie w Paryżu głowy nad tym passusem u Wolframa von Eschenbacha — to pochodził chyba z obczyzny. I cóż miała z tym wspólnego Maria z Magdali, ta nierządnicą? Czyżby ci zaślepienci naprawdę wierzyli, że Zbawiciel tak dalece się zniżył? Czyż kult owocu jej żywota jako „Świętej Krwi” nie równa się zdradzeniu Maryi, tej Prawdziwej i Jedynej? Czyżby mój Jezus zgrzeszył?... Nie mogłem sobie wyobrazić u niego prawdziwie męskiego przyrodzenia, jeśli je bowiem przedstawia-

---

\* *Sublimatio ultima* (łac.) — ostateczne oczyszczenie, w znaczeniu przenośnym — uszlachetnienie, udoskonalenie (pojęcie z alchemii).

no odsłonięte, to tylko u Dzieciątka! *Pax et bonum!*\* Czyżby nierozważnie zbliżył się z tą rozpustną i podstępą, nie znaną Mu bliżej niewiastą, która namaściła Jego nogi olejem? A nawet jeśli spłodził potomka, czy należało przywiązywać do tego aż tak wielkie znaczenie? I przeciwstawiać Kościołowi katolickiemu, prawowitemu spadkobiercy Mesjasza, wątpliwą linię krwi? Oddawać taką cześć potomstwu zrodzonemu z nierządu, bez świętego sakramentu małżeństwa?

Coś jednak nie zgadzało się w moim oskarżycielskim łańcuchu myśli. Skoro mój pan papież jest bez skazy, czy nie powinien taki też być Pan Nasz, Jezus Chrystus? Tymczasem On — On! — obcował z tą z Magdali i za karę my, mnisi i kapłani, nie mamy prawa o czymś takim nawet myśleć, a cóż dopiero wprowadzić pięknie w czyn! To my pokutujemy za grzechy Pana, a nie odwrotnie!

Przeszedł mnie dreszcz. Po raz pierwszy złorzeczyłem swojej przekłętej ciekawości, która mnie tutaj przygnała, ponieważ wyraźnie stałem się świadkiem czegoś, co nie było przeznaczone dla oczu i uszu osoby postronnej. I jeśli nawet nie pojąłem wszystkiego z przedziwnego widowiska, które się przede mną rozgrywało, i przypuszczalnie coś tam z gruntu fałszywie rozumiałem, jedno było dla mnie jasne: dotknąłem rąbka tajemnicy przerastającej umysł prostego franciszkanina. Wiedziałem też, że nie powinienem puścić pary z gęby o tym, co tu zobaczyłem, jeśli nie chcę ucierpieć zarówno na ciele, jak i na duszy.

Williamie, rzekłem sobie tkwiąc nadal w zaroślach, przecież teraz mimo woli stałem się strażnikiem tajemnicy Graala! Ale nawet w tym momencie nie przypuszczałem, że oto istotnie wplątałem się w wielką tajemnicę.

Na polanie było cicho. Po prawej i lewej stronie komandora siedzieli zasłużeni rycerze zakonu, za każdym z nich stał młodzieniec z dzbanem w ręku. Wszyscy milczeli, zastygli w bezruchu, nie można było dostrzec najmniejszego drgnienia. Potem Gawin stuknął krótko buławą o stół. Templariusze podnieśli i opróżnili stojące przed nimi puchary. Po następnym uderzeniu buławą odstawili naczynia; młodzi rycerze napełnili je znowu, gdy tymczasem Gawin, który nie pił, odwrócił kartę w księdze i wszyscy ponownie zapadli w owo kontemplacyjne odrętwienie.

Nie wiem, jak długo gapiłem się na to nieme widowisko. Z zapatrzenia wyrwały mnie trzy uderzenia. Każdy z rycerzy siedzących przy stole zgasił jedną świecę, stojący za nimi postąpili tak samo, następnie starsi podnieśli się, pocałowali młodych podczaszych w policzki i w usta, Gawin zgasił ostatni płomień i scena pogrążyła się w ciemności.

Ostrożnie, wzdrygając się przy każdym trzaśnięciu gałęzi pod stopami, wyslizgnałem się z lasu i znów podszedłem do wartowników.

Tym razem zaprowadzono mnie do Gawina, który siedział na składanym stołku

---

\* *Pax et bonum* (łac.) — pokój i dobro; formuła pozdrowienia franciszkanów.

przed namiotem. Długi stół wraz ze świecami i trupią czaszką zniknął. Blask obozowego ogniska sprawiał, że czerwony krzyż na płaszczu komandora błyszczał jak świeża krew.

— Cóż to, mniszku, pędzi cię po świetle o tej porze? — spytał z odcieniem zwykłej ironii. — Czy nie wiesz, jak niebezpiecznie jest włóczyć się dzisiejszej nocy po lesie?

Serce podeszło mi do gardła. On nic nie wie, nie może wiedzieć, że ja...! Nie doprowadziłem myśli do końca, jednakże diabeł żywiący się każdą winą popchnął mnie do tego, bym zadał pytanie, które uparcie chodziło mi po głowie:

— Komu właściwie służy zakon templariuszy?

Gawin oznajmił z niewzruszonym spokojem:

— Jak sama nazwa wskazuje, ochronie świątyni w Jeruzalem...

— To dlatego wielki mistrz rezyduje w Akce! — ośmieliłem się bezczelnie wtrącić.

Gawin zagryzł wargi, lecz opanował się i ciągnął dalej:

— ...i utrzymaniu jedności wśród chrześcijan w Ziemi Świętej.

— Tylko tyle? — wpadłem mu znowu w słowo. — I nie macie żadnych tajemnych obrządków? Żadnego skarbu?

— Czy *Terra Sancta* nie jest dla ciebie dostatecznie cenna? — zapytał kpiąco, chociaż wyraźnie zagniewany, ja wszakże drążyłem dalej:

— Mam na myśli skarb w skarbie, to co naprawdę jest warte ochrony, zakon stojący nad zakonem, właściwego władcę, wielkiego sternika, o którym się mówi po cichu, i tę *Grande Maîtresse*, która niedawno...

— Gdzieś usłyszał to imię? — warknął. W jego spojrzeniu pojawiła się czujność, prawie złość. — Niech ci już ono więcej nie przejdzie przez usta! — ostrzegł mnie porywczo, a ja przysiągłem to w duchu natychmiast. Już i tak zaszkodziłem sobie nieostrożnym gadaniem. — Nie wszystko, co ktoś niepowołany posłyszyp przypadkiem — pouczył mnie potem tak łagodnie, aż ciarki mi przeszły po grzbiecie — można później bezkarnie powtarzać. — Przyglądał mi się długo. — Mnichu — odezwał się wreszcie z uśmiechem — niech ci się nie wydaje, że uniwersytecka katedra czy klęcznik nauczyły cię obcowania z tym, co zdołali pojąć nieliczni. Nawet Ewangelii świętego Jana nie wyłożono wam jak należy, a że istnieją apokryfy, nie macie w ogóle pojęcia! Strzeż się, Williamie! Kusiciel przychodzi w rozmaitej postaci.

Zapewne miał rację, bo chyba sam diabeł jeszcze raz mnie podbechtał, gdy w chwilę później Gawin podniósł się i chciał mnie zostawić, a ja chwyciłem go za rękaw.

— Co to za dobro — spytałem — które należy ocalić?

Komandor odwrócił się ku mnie powoli.

— Williamie, nie pytaj i nie szukaj, bo tylko to może być dla ciebie ratunkiem. Jeszcze masz szansę się ustrzec.

Starłem się znaleźć punkt zaczepienia, aby moje pytanie o *sublimatio ultima* ubrać

w słowa, które nie zdradziłyby, że podsłuchiwałem. O krwi nierządnic lepiej było nie zaczynać, bo może Maria z Magdali to najtajniejsza święta zakonu i posiadłszy tę tajemnicę musiałbym umrzeć? Może wszyscy templariusze pochodzili od niej, również Gawin Montbard z Béthune?

Gawin uwolnił mnie od moich rozterek.

— Jak w każdej baśni, Williamie — znowu zwrócił do mnie po ojcowsku wyniosłą twarz — miałeś prawo postawić trzy pytania, a teraz idź już do łóżka!

Wpadł znowu w ten swój ironiczny ton, którego wobec mnie był łaskaw używać, i to mnie zezłościło. Bardziej dla przekory, niż aby się wykazać swoją „wiedzą”, rzuciłem, ulegając nagłemu olśnieniu:

— A może powinienem poprosić o radę Lobę, Wilczycę? Może ona zna odpowiedź na moje pytania? To mądra kobieta i umie także leczyć!

— *Baucent à la rescousse!*\* — Doczekałem się oczywistego szyderstwa. — Bajanie obozowych kramarzy! — zirytował się. — Legenda, wprawdzie nie tak stara jak moja broda, ale istniejąca przynajmniej tak długo, jak długo czeladź i niewiasty nudzą się u podnóża tej góry. Czysty wymysł!

Wybuch tak opanowanego zazwyczaj templariusza powinien był mnie zastanowić, tymczasem pobudził jedynie mój upór.

— Stara istnieje naprawdę, jest istotą z krwi i kości — nie ustępowałem. — Opisano mi nawet drogę do niej i zaraz się tam udam...

Gawin przerwał mi z nieoczekiwaną surowością.

— Reguła świętego Franciszka nie daje wtajemniczenia! Strzeż się, Williamie, żeby nie znaleźć się w sytuacji, do której z braku odpowiedniego przygotowania nie dorosłeś! Idź spać i zapomnij o starej!

— Nie dzisiaj — odparłem zdecydowanie. — To noc pełna magii, ostatnia noc Montségur!

— Mnichu — pogroził mi z udaną rezygnacją, aby zaraz wpaść ponownie w swą ostrą ironię — mnichu, to nie jest wcale ostatnia noc, to jest ta noc. A ponieważ ty nie masz pojęcia, co to jest *maxima constellatio*, naciągnij lepiej derkę na głowę.

— To w jaki sposób mam osiągnąć wtajemniczenie? — wykrzyknąłem oburzony butą Gawina. Potem jednak dodałem zniechęcony: — Gdzieś i kiedyś muszę przecież zacząć!

— Czytaj księgi albo lepiej pozostań przy swoim zajęciu: módl się!

Skinąłem głową, jakbym się zgadzał. Ale pomyślałem sobie: nie utrzymasz mnie już dłużej z dala od tego wszystkiego, nie powstrzymasz mnie przed zgłębieniem tej tajemnicy i mojej w niej roli.

---

\* *Baucent à la rescousse!* (fr.) — zawołanie templariuszy (*baucent* — nazwa ich chorągwi; *à la rescousse* — na pomoc, na odsiecz).

Pożegnałem się. Mimo że dochodziła już chyba północ, postanowiłem nie zwlekając odwiedzić czarownicę. Wiedziałem bowiem od seneszala, że król się o mnie dopytywał i żąda, bym po zakończeniu wyprawy natychmiast wracał do służby, nazajutrz zatem powinienem był ruszyć w drogę do Paryża. A więc musiałem albo działać od razu, albo pogodzić się z tym, że przez całe życie nie odnajdę już spokoju!

Prawdopodobnie uczyniłbym lepiej, gdybym skorzystał z tej ostatniej szansy i uciekł, póki jeszcze mogłem to zrobić. A może wtedy także było już za późno? *Deus vult!*\*

## MAXIMA CONSTELLATIO

*Montségur, wiosna 1244*

Noc skrzyła się gwiazdami. Na wałach i blankach Montségur tkwiły nieruchome na tle nieba sylwetki wartowników. Na ciemnym dziedzińcu zamkowym, gdzie płonące zwykle ogniska wygaszono, skupiła się załoga garnizonu. Ludzie stali grupami w milczeniu. Żołnierze kryli się w cieniu wysokich murów, lecz nie dlatego, żeby szukać ochrony przed ciężkim ostrzałem; tym razem powodowało nimi nie wypowiedziane pragnienie, aby żadnym ruchem nie zakłócić ciszy tego miejsca, aby tamtym, którzy w sali rycerskiej połączyli się z Doskonałymi, okazać szacunek i poważanie. Nie padło ani jedno słowo, a przecież nad twierdzą nie wisało paraliżujące milczenie śmierci — zaległa tylko pełna oczekiwania cisza. Powietrze żyło, mury oddychały, gwiazdy w górze lśniły i migotały w taki sposób, że niejednemu wydawało się, iż słyszy ich śpiew, a jeśli któraś spadając zatoczyła łuk na firmamencie, mógł nawet pomyśleć, że podniosła się z ziemi, aby rozgorzeć w przestworzach niebieskiej kopuły.

We wnętrzu zamku trwali w takim samym oczekiwaniu rycerze. Zebrani w sieni, ciasno stłoczeni, stali nawet na zewnętrznych schodach. Mimo że krąg był tak zwarty, mimo że panowało ogromne napięcie, nikt nie zbliżał się zbyt do progu zamkniętej sali. I wcale nie dlatego, by się nie narazić na zarzut podsłuchiwania. Wydawało się, że jakaś niewidzialna strefa uduchowania odgradza od reszty tych, którzy się zdecydowali zgromadzić za dębowymi dwuskrzydłowymi drzwiami.

Wielu z oczekujących na zewnątrz wiedziało, że w środku znajdują się ich żony, matki i siostry, wiedzieli także, iż żadna z osób, które się tam zebrały, nie opuści nazajutrz Montségur wraz z nimi, wychodząc bezpiecznie główną bramą. Wcześniejsze walki i spory, przynoszące obustronne cierpienia, były już za nimi. Decyzja tych, którzy przyjęli *consolamentum*, była nieodwołalna. Podjęli ją z radością, otwierała im przecież bra-

---

\* *Deus vult!* (łac.) — Bóg tak chce!



my raj. Przyjaciele i krewni tłumili więc teraz szloch, choć niektórym łza spływała po policzku, a w zatłoczonej sieni najcichszy jęk słyszeli sąsiedzi. Zaciskano kurczowo pięści, piersi unosiły się w ciężkim oddechu.

Zygisbert, rycerz zakonu krzyżackiego, pogłaskał po głowie jakiegoś chłopca, który stojąc samotnie na uboczu, wpatrywał się w portal. Dziecko uchyliło się od czułego gestu. Jego spojrzenie było twarde. Starego wojownika ogarnął smutek.

Po godzinie rozwarło się lekko skrzydło ciężkich drzwi i wyszła Esklarmonda oraz Piotr Roger z Mirepoix ze swym orszakiem.

Konstancjusz z Selinuntu, który stał obok Zygisberta, nie mógł się oprzeć pokusie, by nie zerknąć do pogrążonego w półmroku pomieszczenia. Mimo że przesłaniała ją klęczący, widać było, że przeciwległa ściana zanurzona jest w magicznym świetle, jego źródła wszakże nie zdołał wykryć. Książę objął wzrokiem świat, który się dla niego zamknął, wapienną grootę, skamieniały cud, potem wyobraźnia wyniosła go na słoneczną powierzchnię, gdzie była Esklarmonda, promienność świata, czystość światła... Te wspomnienia jednak musiał wymazać z pamięci, toteż wrócił do rzeczywistości, do Monsalwatu i sali za dębowym portalem.

Co widzieli zebrani tam ludzie, czego on nie dostrzegął? Skąd się brała owa jasność bez cienia, bez migotania, która opromieniała zgromadzonych? A może to światło wydobywało się z nich samych? Może było odbłaskiem najwyższej duchowej koncentracji, świadectwem uwolnienia się od praw rządzących materią, od brzemienia cielesności?... Konstancjuszowi przypomniało się, jak ongiś pewien stary sufi mówił mu o uwolnieniu ciała od bólu i lęku śmierci przez ekstazę osiąganą dzięki medytacji. Czyżby Czyści doszli na tej drodze tak daleko, że już otwarły się dla nich wrota raj?

Zerknął ukradkiem na Zygisberta, lecz rycerz, jego przyjaciel bliski jak ojciec, stał z opuszczoną głową, oparty na mieczu, zamyślony. Zygisbert nie trapił się dociekaniem nad „skąd” i „dlaczego”. Jako człowiek praktyczny rozmyślał o zadaniu, jakie mu postawiono, i modlił się o jego powodzenie.

Szczelnie zamknięty wokół Esklarmondy krąg milczących, objętych ramionami postaci, które prawie stykały się głowami, utworzył się teraz przed czekającymi w sieni. Piastunki przyniosły młodej pani dwoje dzieci opatulonych tak szczelnie, że wystawały im tylko usta i nosy. Wyglądały jak mumie, jednakże — choć może tylko nierzeczywisty nastrój chwili to sprawił? — biło od nich coś podniosłego, niezemskiego. Dzieci, bojaźliwego chłopca i jasnowłosą dziewczynkę, odurzono chyba jakimś środkiem.

— *Diaus vos benesiga!*\* — Córka Rajmunda ucałowała jeszcze raz małe twarzyczki, nim bezcenne dobro oddała w ramiona cudzoziemców. Przekazując w ręce Konstancjusza tobolek z dziewczynką, zatrzymała się na moment, błysk rozpoznania pojawił się

---

\* *Diaus vos benesiga* (okcyt.) — Niech Bóg was błogosławi!

w jej oczach. — Przez wzgląd na waszą miłość, rycerzu, którą chcieliście mi służyć, prze-  
nieście swe uczucie na to dziecko! *Aitals vos etz forz, qu'el les pogues defendre!*\*

Obcy rycerz zgiął kolano i odpowiedział:

— Z ochotą wam to, pani, przysięgam. *N'Esclarmunda, vostre nom significa, que vos donatz clardat al mon et etz monda, que no fes non dever. Aitals etz plan al ric nom tanhia.*\*

Odwrócił się i bez słowa zanurzył w ciemność.

Zygisbert, który niósł chłopca, z wyraźnym zażenowaniem spostrzegł, że wszyscy  
czekający w sieni przyklękali, kiedy przed nimi przechodził.

Znaleźli się znów w podziemnym korytarzu. Komendant odprowadził rycerzy aż do  
wąskiego wyjścia z grotty na ostre skały, gdzie przejęli ich Baskowie. Opatulone dzie-  
ci przywiązano rycerzom do piersi, po czym zawinięto ich w lniane płachty i opasano  
sznurami pod pachami i wokół bioder.

— Pamiętajcie, przyjaciele — rzekł obrońca Montségur ochryłym głosem, w którym  
dało się słyszeć dumę i smutek zarazem — że te dzieci są naszym testamentem i nadzieją,  
że są... — Łzy nie pozwoliły mu dokończyć. Tymczasem obaj rycerze, mocno przyciska-  
jąc do siebie tobołki, zniknęli poza krawędzią skał. — *Ay, efans, que Diaus vos gardaz!*\*

---

\* *Aitals...* (okcyt.) — Bądźcie silni, abyście mogli ich bronić!

\* *N'Esclarmunda...* (okcyt.) — *Esclarmondo*, wasze imię oznacza, że dajecie światu jasne światło  
i że jesteście istotą nieskalaną, że nie uczyniliście niczego, co nie uchodzi; że więc jesteście godną nosi-  
cielką całego bogactwa tego imienia.

\* *Ay, efans...* (okcyt.) — Dzieci, niech Bóg was strzeże!

## II OCALENIE

### LOBA

*Montségur, wiosna 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

— Co to jest Graal?

Wiedziałem, że nie wolno mi było zadać tego pytania, wymówić tego słowa, ale nic nie dręczyło mnie bardziej niż chęć zgłębienia owej tajemnicy. Tkwiłem w chacie u starej już bez mała wieczność, a przynajmniej całą noc. Loba nie była pomarszczoną babką-zielarką ani bezzębną czarownicą, jak sobie wyobrażałem, w jej domostwie nie było widać żadnych ingrediencji, jak na przykład płodów jaszczurczych w zamkniętych słojach czy jadowitych węży i innych gadów, nawet kryształowa kula nie rzucała migotliwego magicznego światła, by rozjaśnić moją przyszłość. Przydomek „Wilczyca” nosiła zapewne z powodu muskularnej postaci i ostro zarysowanego profilu, uwydatniającego w sposób przerażający jej uzębienie, w którym nie potrafiłem odkryć ani jednej luki. Z dreszczem grozy wyobraziłem sobie, jak mogłaby wbić zęby w gardło koźlęcia lub jednym kłapięciem odgryźć kurze głowę. Przede wszystkim jednak ruchy nadawały jej pozór drapieżnego zwierzęcia, które czai się, skrada, obezwładnia wzrokiem ofiarę i potem nagle uderza! Tak i mnie zaczarowała, ledwiem zajął miejsce w tej kamiennej izbie. Kilkoma szybkimi cięciami odsłoniła moją duszę, przeprowadziła sekcję mych nadziei i lęków, wgryzła się w mój ochronny puklerz cnót i moralności, wypluła moją wiarę jak skorupę małża. Leżałem bardziej, niż siedziałem, odchylony do tyłu, z głową przyciśniętą do chłodnego kamienia, bezwolnie śledząc jej poczynania.

Loba milczała, pozwalając mi się dusić we własnym sosie. Jedynie z rzadka brała to kilka zielonych liści, to świeże gałązki i wsuwała je uważnie do ognia, w którym trzeszczały i trzaskały. Rozchodzący się zapach ożywiał mi umysł, wreszcie spowodował, że moje najskrytsze myśli zaczęły krążyć, krążyć coraz szybciej, aż miałem wrażenie, iż głowa zaraz mi się rozpadnie; myśli z całą mocą cisnęły się na zewnątrz, lecz skalna niecka obejmowała moją czaszkę, chroniąc ją niczym niewidzialna dłoń. Pot spływał mi po twarzy. W kociołku wrzał ukrop z ziół, których ziemiście stęchła woń uspokajała mnie, odurzała, kazała szybko wyparować złości i tylko rozpościerała przede mną moje kłam-

stwa jak białe kostki ropuchy.

Nie padło między nami żadne słowo, ani jedno. Loba nie pytała o nic i mnie też nic nie przeszło przez usta aż do chwili, kiedy zadałem to jedno jedyne pytanie, które mnie nękało, ale gdy tylko je wymówiłem, pojąłem, że nie jestem godzien ani tej, ani w ogóle żadnej odpowiedzi. Wstrząsnął mną dreszcz.

Naraz zagrzemiał tętent pędzących przez las koni, wśród obozujących przed chatą *faidits* zapanowało poruszenie, rozległy się stłumione podniecone głosy, szczęk broni. Rozwarto gwałtownie drzwi i dwie postacie w przybrudzonych białych płaszczach wtargnęły do środka.

— *Les enfants du mont!*\*

Stara podniosła się i stanęła przed żarzącym się paleniskiem jak pogańska kapłanka przed swym ołtarzem. Podniosła druidzką laskę.

— *Salvaz!*\* — szepnęła z szacunkiem i wyraźną ulgą.

I wtedy obaj rycerze dostrzegli mnie, franciszkańskiego mnicha z drewnianym Chrystusowym krzyżem na piersi...

— Zdrada! — syknął młodszy i w jego ręku błysnął miecz.

— *Salvaz!* — Loba szybkim ruchem wrzuciła do ognia garść jakiegoś proszku. Buchnęło z trzaskiem, sypiąc iskrami, i gęsty kłęb białego dymu oddzielił mnie od napastnika. Poprzez kłębiącą się mgłę uchwyciłem jeszcze kątem oka, że starszy z rycerzy sparował cios, ale ogniste gwiazdy świsnęły przez mleczny opar. W głowie zahuczał mi dzwon, uderzenie odrzuciło mnie do tyłu...

Wiosna nadciąga z ciepłym powiewem, co wielu dopiero teraz odbiera oswobodzonymi zmysłami. Pokój wraca do serc, łagodne światło...

Akurat wtedy gdy mój sen stał się tak piękny, zostałem z niego wyrwany, budząc się z omdlenia: wyniesiono mnie przed chatę, leżałem związany, z obolałą, owiniętą czymś głową. Wciąż jeszcze było zupełnie ciemno, a nade mną stał Gawin Montbard z Béthune.

— Czyż nie mówiłem ci, bracie Williamie, że owieczka z trzody świętego Franciszka nie powinna nocą w ciemnym lesie węszyć w jaskini Wilczycy? Ze szponów sokoła i z łap niedźwiedzia zdołałem cię jeszcze wyratować! — wyszczerzył zęby mój osobliwy stróż w płaszczu templariusza i wskazał na obydwu rycerzy, którzy nie zaszczycili mnie ani jednym spojrzeniem.

Z komina chaty unosił się wciąż w nieregularnych odstępach mleczny dym, który chyba uratował mi życie. Sygnał dla wypatrujących z dala oczu, co z podniebnej wysokości obserwowały ciemny las Corret: Monsalwat! Tak, to ich tam w górze dotyczył ten znak — znak ocalenia?

---

\* *Les enfants du mont* (fr.) — Dzieci z góry (tzn. z Montségur).

\* *Salvaz!* (okcyt.) — Ocalone!

— A co będzie ze mną? — szepnąłem z niepokojem, jednakże bez strachu, wciąż jeszcze oszołomiony. Moja głowa! Nie mogłem jej nawet pomacać.

— Udasz się w podróż — uśmiechnął się Gawin i oderwał z mojej koszuli szeroki pas. — To całkiem dobre i tanie wyjście dla wścibskiego mnicha, który znalazł się o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu!

Wokół nas podnieśli się katarscy banici, którzy obozowali przed chatą, gdy pojawiłem się tam ja, gruby osioł, wcale nie oczekiwany. Także teraz żaden nie traktował mnie szczególnie życzliwie czy chociażby ze współczuciem.

Gawin zawiązał mi oczy.

— Loba — usłyszałem jego głos — kurowała pogańskimi ziołami ten guz, którego cię nabawiła twoja żądza wiedzy. Wytrzymasz konną jazdę! — Wsadzono mnie na konia, poluzowano więzy.

— Nie dodawaj, minorityto — mruknął z alemańskim akcentem czyjś głos, chyba starszego z rycerzy — do swej ciekawości głupoty i idącego za nią fałszywego bohaterstwa, w przeciwnym razie...

— ...w przeciwnym razie twój zakon będzie miał jednego męczennika więcej! — wmieszał się młodszy, który zdaje się wciąż nastawał na moje życie.

— Tylko że tłuściochów rzadko kanonizują! — Gardłowe brzmienie jego głosu, jakie słyszałem tylko u Maurów i Żydów, zagłuszył śmiech banitów.

— On nie ucieknie — zapewnił mój templariusz i zaciął po zadzie chabetę, która miała mnie nieść. — Żegnaj, bracie Williamie! Jeśli nie sądzono ci iść do nieba, zobaczymy się znowu! *Vive Dieu Saint-Amour!*\*

## LE TROU DES TIPLI'ES

*Langwedocja, wiosna 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Jechaliśmy nocą, drogami niezbyt, zdaje się, ludnymi. Opaska na oczach przesunęła mi się nieco, tak że na prawo i lewo mogłem dostrzec w strzemionach buty z cholewami, za którymi tkwiły krótkie sztylety, co nakazało mym rękom bardzo spokojnie trzymać cugle. Zaczynało dnieć i widziałem już poszycie leśne pod kopytami koni. Ponieważ nikt ze mną nie rozmawiał, miałem czas na uporządkowanie myśli, choć z uwagi na położenie, w którym znalazłem się z własnej winy, nie było to wcale łatwe przedsięwzięcie. Nie czułem trwogi: gdyby mnie chcieli zabić jako niepożądanego świadka, uczyniliby to

---

\* *Vive Dieu...!* (fr.) — Niech żyje Bóg Świętej Miłości! (okrzyk bojowy templariuszy).

od razu, jak już przecież próbował ten porywczy sokół pustynny. Teraz jedynie nierozważny krok z mojej strony mógłby jeszcze dać do tego okazję bądź też nieprzewidziane wydarzenie, które wywołałoby wśród moich stróżów panikę. Nierozważnego kroku postanowiłem się wystrzeżać, reszta zaś spoczywała w rękach Bożej Rodzicielki.

— *Ave Maria, gratia plena...* — modliłem się po cichu. A potem zacząłem rozmyślać, jaką stratę poniosłem na skutek tej „ostatniej wyprawy krzyżowej” przeciwko kacerskiemu Montségur. Czyż święty Franciszek nie napominał wciąż nas, braci, żebyśmy nie zabiegali o żadną „wiedzę”, lecz żyli tylko Słowem Bożym i je głosili? Słusznie zatem wstyd i hańba spadły właśnie na mnie, nadętego „mędrca”, na mnie, zapominającego o obowiązku służyć ubóstwa — tak! ubóstwa, którym „pan” William z Roebroku pogardzał. Jakież dziwaczne rojenia mną powodowały, żem zamiast na przykład w pogańskich krajach głosić Ewangelię, miał czelność obnosić się z własnymi „mądrymi” mniemaniami! I jeszcze w głębi ducha cieszyłem się, że owe marzenia światłego krzewiciela wiary — powiedzmy wprost: z lepszego, zachodniego świata — mogłem śnić przy ciepłym kominku w stolicy, „filozofować” przy solidnym kielichu wybornego burgunda, po tłustym posiłku w królewskiej kuchni, gdzie czeladź słuchała mnie uniżenie i chętnie chowała smakowite kąski, nadmiar ze stołu najjaśniejszego pana, dla biednego brata z „zakonu wiecznych głodomorów z Asyżu”. Teraz jednakże wszystko się odwróciło, oto bowiem mnie nadziano na rożen i zamiast beztróska się objadać wśród ciepłych spódnic kucharek z Luwru, siedziałem w siodle, w brzuchu mi burczało z głodu, pod czaszką czułem kłujący ból i nawet nie wiedziałem, dokąd mnie los prowadzi.

Nagle ktoś złapał cugle mego konia i mocną ręką go zatrzymał, inni dokoła także zastygli w bezruchu. Dało się jeszcze słyszeć tylko ciche parskanie zwierząt i przyspieszone oddechy jeźdźców. W zapadłej ciszy usłyszałem wyraźnie tętent koni. Dochodził ku nam z doliny.

— Śmierć w habicie! — syknął cicho mój strażnik.

— Kruki fruną na miejsce kaźni — szepnął inny. — Muszą się pospieszyć, inaczej duże odlecą bez nich!

Odgłos kopyt i szczęk żelaza oddaliły się.

— Wielebny pan inkwizytor — mruknął Niemiec, który nami dowodził — trudzi się niepotrzebnie. To, czego szuka — roześmiał się hałaśliwie, rozładowując napięcie własne i swojej drużyny — sprzątnęliśmy mu sprzed nosa! W drogę, panowie! — I nasz oddział znów ruszył kłusem.

Jechaliśmy ostro cały dzień i połowę nocy, ciągle przez ciemne lasy, ścieżkami, spotykając nielicznych wędrowców, którzy milcząc ustępowali nam z drogi bez wezwania z naszej strony. W końcu, jak mi się zdawało, dotarliśmy do jakiegoś zamku, co rozpoznałem po stukaniu kopyt na brukowanej drodze i po ciemnym łuku bramy.

Wierzchowce zatrzymały się, a jakiś nie znany mi głos powiedział:

— Dzięki wam, bracia. Nie mogłem z wami jechać, bo zostałem tam w górze, pragnąc podzielić ich los!

— *Inszallah!*\* Myśmy na to odporni — usłyszałem śmiech młodszego z towarzyszących mi rycerzy. — Zygisbert z Öxfeldu stoi mocno na gruncie wiary krzyżackiego zakonu, a ja...

Nie musiał kończyć, teraz bowiem roześmiali się wszyscy.

Ktoś pomógł mi zejść z konia i zdjął z oczu opaskę. Znajdowaliśmy się na ponurym dziedzińcu zamkowym, który wyglądał raczej na opanowany gorączką pracowitości plac budowy. Widziałem w świetle pochodni potężne konstrukcje z belek, drewniane wieże z kołowrotami opuszczającymi na linach kubły w głąb ziemi bądź wyciągającymi je napełnione kamieniami.

— Crean z Bourivanu — przedstawił się oczekujący nas tu rycerz. Nie był stary, jednakże porwana bliznami twarz i posiwiałe włosy wskazywały, że wiele na tym świecie doświadczył, przede wszystkim wiele cierpienia. Jego szare oczy wyrażały smutek i zmęczenie życiem nawet teraz, gdy trzeźwo mnie lustrował.

— Wróbel z Asyżu! — odezwał się młodszy z rycerzy, który jak sokół ani na chwilę nie spuszczał mnie z oczu. — Dostał się pod kopyta akurat wtedy, gdy ciepło parującej spadały wspaniałe końskie pączki. Gawin kazał nam pozbierać go z ziemi i zabrać ze sobą, zamiast mu jego ptasi mózdzek...

— Komandor ręczy za niego — wmieszał się mrukliwie starszy rycerz, którego bardziej interesowała owa ufortyfikowana kopalnia niż moja osoba.

— Przebiegły templariusz! — oznajmił nasz nowy przywódca. — Wie, że z prawdziwym minorytą podróżuje się łatwiej przez kraj! Jednakże, drogi Konstancjuszu — dorzucił lekko — chciałbym cię prosić, abyś nie używał końskiego łajna dla opisu najwyższego dobra.

Zgany rycerz skłonił się przepaszająco z ręką na sercu. Crean przeciął moje więzy i kazał mi dać jeść.

— Twoje życie, Williamie, zależy od twego rozsądku. — Rzuciłem się żarłocznie na skromny posiłek. — Jeśli nas zdradzisz, wyprawimy cię do piekła, w przeciwnym razie puszcze cię wolno, skoro tylko będziemy bezpieczni.

Nie oczekiwał odpowiedzi. Pogodzony z losem skinąłem tylko głową i z pełnymi ustami rozejrzałem się ukradkiem dookoła. Pod osłoną wysokich murów wydobywano tu chyba rudę żelaza lub jakiś szlachetniejszy metal, gdyż uzbrojeni templariusze nadzorowali robotników znajdujących się we wnętrzu podwórcowego czworokąta, śledzili też z wysokich blanków ciemny las otaczający zamek. Czyżby natrafili na żyłę złota? Nie widziałem żadnych urządzeń do płukania wydobytego żwiru, poza tym, jak się wy-

---

\* *Inszallah!* (arab.) — Niech się stanie wola Allacha!

dawało, nikt tu o tym nie myślał. Budowniczkowie używali jedynie wydobytych kamieni do umocnienia otoczonych rusztowaniami obwarowań i bastionów i podciągnięcia ich jeszcze wyżej. Już teraz w migotliwym świetle latarni, zabezpieczonych osłonami przed wiatrem, ledwie można było wykryć wartowników na koronie murów.

Poza mną tylko starszy z rycerzy zwrócił uwagę na prowadzone prace. Słusznie oceniłem go jako Teutona, nosił imię Zygisbert i był chyba z zakonu kawalerów mieczowych, tutaj, na ziemi langwedockiej, nader rzadkie zjawisko. Rozmawiał z murarzami i górnikami, Niemcami z jakiegoś górskiego kraju. Strzegłem się, by nie dać poznać po sobie, że rozumiem ich mowę. Robotnicy byli małowówni, ba, wydawali się nawet zastraszeni.

— Kopalnia nie ma nazwy — odpowiedział czeladnik ciesielski na pytanie rycerza. — Mówimy na nią: „Trou des Tipli'es”. — To chyba znaczy „Dziura Templariuszy”, pomyślałem. — Niedaleko stąd jest wieś, Bugarach, ale nie wolno nam tam chodzić...

— Do roboty! — rozległa się z góry komenda i ludzie oddalili się spiesznie, nim Zygisbert zdołał ich do końca wypytać.

Konstancjusz i Crean nadeszli z dwoma tobołkami, które przypominały nienaturalnie wielkie opatulone oseski. Rzeczywiście odwinęli z tobołków dwoje dzieci, dawno wyrosłych z wieku niemowlęcego, ciemnowłosego chłopca i jasną dziewczynkę. Mogły mieć po cztery lub pięć lat.

W bramie twierdzy ukazał się Wilhelm z Gisors, ów templariusz o chłopięcym wyglądzie, którego widziałem już w orszaku Wielkiej Mistrzynie i w lesie podczas owego osobliwego nocnego rytuału. Nie zaszczycił mnie spojrzeniem, jego oczy z czułością skierowały się na dzieci, które sprawiały wrażenie odurzonych jakimś nasennym napojem, a może były odrętwiałe z wyczerpania. Zrobiło mi się ich żal. Chętnie bym się dowiedział, jak mają na imię. Z całą pewnością nie były ochrzczone!

## STOS

### *Camp des Crematz\*, wiosna 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Wyruszyliśmy znowu, nim jeszcze zaczęło świtać. Nie zawiązano mi już oczu. Crean z Bourivanu, który orientował się w terenie, pojechał pierwszy, potem ruszyli *faidits*, otoczywszy nakryty płócienną budą wóz, na którym siedziałem i gdzie z tyłu na sianie spały dzieci. Straż tylną tworzyli Niemiec Zygisbert i ów Konstancjusz, w moim mniemaniu nieco podejrzany.

---

\* Camp des Crematz (okcyt.) — Pole Spalonych. Tak nazywa się do dziś stok poniżej Montségur.



Podążaliśmy żwawo w kierunku południowo-wschodnim drogami położonymi na uboczu wielkich traktów i miast. Jeśliśmy odpoczywali, to tylko u przyjaciół, którzy o nic nie pytali i często towarzyszyli nam w drodze tak długo, póki nie powierzyli nas pieczy kogoś następnego. Musiały istnieć tajemne znaki rozpoznawcze, nigdy bowiem nie słyszałem, żeby ktoś zadawał jakieś pytanie albo żeby Crean musiał się komukolwiek opowiadać. Moje myśli nie wędrowały ani w daleką, ani w najbliższą przyszłość, przyjmowałem swój los obojętnie, *inszallah*. A w skrytości ducha byłem szczęśliwy, że mogę uczestniczyć w tak wyjątkowo tajnej misji, do której dopuszczono tylko szlachetnych rycerzy.

Odwracałem się często, by popatrzeć na śpiące dzieci, i rozmyślałem o Montségur. Dzisiaj już nie wiem, co się wtedy zrodziło w mojej głowie, a co zasłyszałem później o upadku twierdzy. Siły tak potężne, że potrafiły wcześniej zapowiedzieć mi swoje istnienie, czego w swej pysze nie chciałem przyjąć do wiadomości, porwały mnie z pola walki i włączyły tak gwałtownie do swojej gry, że opanowała mnie gorączka sprowadzając wizje. Wizje owe, podobne chorobliwym majakom, nawiedzały mnie na koźle i nawet w jasny dzień wprowadzały w letarg, z którego nieraz się budziłem zdjęty strachem, zlany potem, po czym na nowo popadałem w odrętwienie. Wizje Montségur...

O wczesnej porannej godzinie otwiera się mała ukryta furtka, której nikt przedtem nie widział. Nadszedł uzgodniony termin poddania się. Z twierdzy wychodzi młody hrabia Piotr Roger z Mirepoix wraz z żoną, bratem i kasztelanem, Rajmundem z Perelhi. Towarzyszy im większość rycerzy, co tak dzielnie i wytrwale bronili Montségur, oraz ci, którzy w zamku szukali schronienia. Dzięki Gawinowi znam wszystkich z imienia i chociaż ich nigdy w życiu nie spotkałem, udaje mi się, stojącemu w szpalerze widzowi, bez trudu przyporządkować miano do postaci. Przypominają orszak udający się na uroczysty turniej, widzę ich dumnie uniesione chorągwie. Zabierają swój majątek, konie i rynsztunek, a także sierżantów i oddziały najemne. Nawet katarskim banitom, owym *faidits*, poszukiwanym jak kraj długi i szeroki, pozwala seneszał odejść. Jednakże wszyscy są zobowiązani obejrzeć najpierw widowisko, które wymyślił jego ekscelencja arcybiskup.

Jakby pod przymusem śledzę przebieg wydarzeń. Nie chcę być świadkiem tego, co teraz ma nastąpić. Bronię się...

...i wymachując rękoma znajduję się znowu na koźle wozu, z którego omal nie spadłem, odurzony tą dzienną marą. Odwróciłem się wystraszony ku dzieciom, powodowany głupim lękiem, że mogły się wślizgnąć do moich wizji Montségur i skradać ku straszliwemu niebezpieczeństwu, którego wyobrażenia jeszcze sobie oszczędziłem. Dzieci wszakże spały z tyłu na sianie, rzucając się niespokojnie. W przekonaniu, że to

wszystko było tylko złym snem, popadłem z powrotem w stan jasnowidzenia i chcąc chyba jednak zobaczyć wszystko do końca, drżąc skrycie, stałem się znów podnieconym gapiem...

W południe rozwierają się szeroko skrzydła głównej bramy i powoli, w długim szeregu, przytuleni do siebie we dwoje lub troje, kacerze zaczynają schodzić po kamienistym zboczach. Kobiety, prowadzone przez piękną Esklarmondę, idą na przedzie w odświętnych białych strojach, ze spokojem i pogodą w oczach. Na czele mężczyzn kroczy sędziwy biskup Bertran en-Marti w otoczeniu Doskonałych, za nimi postępują Wierzący, dla których przyjęcie do wspólnoty Kościoła Miłości zbiegło się z ich fizyczną śmiercią. Wśród nich jest również paru rycerzy i giermków, a także kilku prostych żołnierzy. W ostatnią noc przyjęli *consolamentum*, aby dziś podzielić los swych przyjaciół.

Uroczysty orszak robi takie wrażenie, jakby aniołowie zstępowali wolno z nieba. Światło opromienia ich niby aureola, pragnę zatrzymać się przy tej wspanialej wizji i potem wynurzyć z niej jak z głębokiej czystej wody prześwieconej słońcem. Nie chcę dopuścić myśli o czekającej ich okrutnej rzeczywistości. Albowiem ja, William z Roebroku, wiem, co jest im pisane: widziałem już *le bûcher*, ogromny stos umiejętnie spiętrzony na kształt kwadratowej wieży. Wzniesiono go nie tyle w cichej i zapewne daremnej nadziei, że jego widok pozwoli jeszcze komuś z tych zdecydowanych na śmierć ludzi wstąpić na drogę skruchy i wrócić na łono jedyne Kościoła zapewniającego zbawienie, ile raczej w żądzy uciechy, jakiej dostarczy oglądanie cierpienia ofiar wydłużonego przedsmakiem piekielnych mąk.

Ale katarzy nie wyświadczą legatowi Rzymu i jego inkwizytorowi przysługi: pożegnali się z ziemskim życiem, wiedzą, że przejście na drugą stronę oznacza bolesną mękę, że taki jest jego koszt; widzą tylko cel, a ten leży poza ognistym progiem, który trzeba przekroczyć.

Ponad dwieście osób, mężczyzn, kobiet, starców i dzieci, przybywszy na zbocze przed obozem krzyżowców, ze śpiewem wstępuje na stos, którego słomiane podszycie natychmiast zostaje zapalone.

Wyobrażam sobie inkwizytora w czarnym płaszczu. Ściągnął tu w ostatniej chwili i oto pełni swój straszliwy urząd.

— Żałujcie! — woła do dzieci, gdy trzymając się matczynych rąk bądź spoczywając w ich ramionach przechodzą obok niego. — Czyńcie pokutę! — Może wyrwie matkom dzieci, aby je ratować przed straszliwym cierpieniem w ogniu?... Nie! Z pianą na ustach pędzi je na stos. — Spłońcie wszyscy! — krzyczy, przynagla i popycha.

Gęsty dym zakrywa wkrótce Święty Trybunał i wraz z podnoszącym się żarem dławii oddech skazanych, nim jeszcze płomienie dosięgną ich ciał.

Cały drżąc myślę o konwulsyjnie wijących się postaciach, chcę widzieć, jak niknie

piękno Esklarmondy. Lecz nie jest mi to dane, nie udaje mi się też wyrwać i ująć przed ogniem, którego języki już mnie liżą. Nie budzę się z letargu, chociaż niebezpieczeństwo rośnie jak chmura dymu: jeden z oprawców arcybiskupa rozpoznaje we mnie kacerza, chwytą mnie, ciągnie, wpycha w żar, zaczynam się palić, krzyczę...

Ocknąłem się, siedząc nadal na koźle wozu. Mój krzyk wisiał jeszcze w powietrzu, co poznałem po zmarszczonym czole Zygisberta, który podjechał, aby popatrzeć na powierzone mi dzieci. Zawstydziłem się. Okropny dźwięk z mego zduszonego gardła musiał je obudzić; płakały cicho. Niemiecki rycerz rzucił mi spojrzenie, które powinno było mnie skłonić do rozwagi, lecz mój wzburzony umysł spieszył na powrót na miejsce wydarzeń, aby nie przeoczyć przerażenia na twarzach ludzi poddawanych kaźni.

Oto zatem gruby franciszkanin, który już dawno powinien być w drodze powrotnej do swego króla, wchodzi ukradkiem w szeregi tych ludzi, wpycha się między nich, ukrywa wśród zebranych, rozkoszuje skamieniałym obliczem kasztelana, świadka umierania swej jedynej córki, małżonki i jej starej matki. Wraz z nimi ogień pożera tak wiele szlachetnej krwi! Żony bez wyjątku podążają za swymi mężami na śmierć, to one, wierne pocieszycielki, pomagały im w dniach *endury* i umacniały ich w postanowieniu.

Gdy rozżarzone główne stosy zapadają się wreszcie z trzaskiem, nad dolinami długo jeszcze wisi w powietrzu dym...

Długo jeszcze, niby ciężka kurtyna, której niepodobna podnieść, mgła zasnuwała także mój umysł. No i ta woń, ten okropny swąd palonych ciał! Nie mogłem się od niego uwolnić. Czułem go pośród pachnących kwiatnych pól i wiosennych traw. Było ciepłe popołudnie, dzień poddania Montségur. Opuściliśmy las i jechali przez pagórkowatą okolicę pokrytą łąkami. Trudno było nie usłyszeć, że *faidits* czują się tutaj jak w domu, ich nawoływania i śmiechy wskazywały, iż nie muszą już obawiać się szpiegów.

— *Maman!* — Żałosny głosik wtargnął do mego ucha. — *Maman!*

Próbowałem odróżnić, czy to woła chłopiec czy dziewczynka, nie odwracałem się jednak, nie potrafiłbym bowiem wytrzymać pełnego wyrzutu, smutnego pytającego spojrzenia. Moje położenie wydawało mi się niegodne biadań w porównaniu z losem dwu człowieczych tobołków, które niedawno widziałem w ramionach rycerzy. Przez owe dzieci właśnie tak podejrzliwie i surowo mnie potraktowano. Byłem tego tak pewien jak tego, że widziałem śmierć ich matki na stosie.

Zastanawiało mnie wszakże, co taki zaprzędany papieżowi zakon jak templariusze miał wspólnego z kacerzami? Czyżby rycerze spod znaku czerwonego krzyża trzymały jednak skrycie z diabłem? Czyżby ten przeklęty warowny zamek w lesie strzegł dojścia do piekła? Czego tam kopiąc szukali w pakcie z demonami, którym zapisali swo-

je dusze? A dzieci?... Zerknąłem do tyłu. Dziewczynka o szlachetnym, surowym profilu i jasnych, prawie białych kędziorach patrzyła na mnie szarozielonymi oczami. Nie było w nich wyrzutu, nie było skargi, jedynie wyraźna niechęć. Należałem wedle niej do winowajców, do tych, którzy to wszystko spowodowali.

— Jak masz na imię? — próbowałem pozyskać jej względy.

Wzmocniła swe spojrzenie szczyptą pogardy, nim znów się pochyliła nad swym towarzyszem, który teraz cicho popłakiwał. Pogłaskała go jak matka, a ja, pokonany, odwróciłem się od tej kruchej istotki.

Dym stosu jak mglisty wyziew mącił wciąż moje oczy, wgryzał się do nosa, nie chciał zniknąć, chociaż rozum mi mówił, że zgodnie z prawem miało miejsce jedynie stracenie kacerzy, którzy niczego innego nie pragnęli. A może byli ofiarą? Komu w takim razie złożoną?

## KSAKBERT Z BARBERY

*Langwedocja, lato 1244*

Mała grupa zmierzała dalej na wschód, zamiast skręcić ku wybrzeżu. Crean z Bourivanu obawiał się, że blisko położone porty będą wszystkie bez wyjątku strzeżone, nawet gdyby templariuszom udało się rozgłosić, że uciekinierzy z Montségur uszli przez wysokie Pireneje.

Droga przecinająca Roussillon, którą Crean obrał, była nie mniej uciążliwa. Często *faidits* musieli zsiadać z koni i chwycić za szprychy pojazdu, którym podróżował William i dzieci. Kamieniste ścieżki wiły się wzdłuż grani stromych pasm górskich, co dawało tę korzyść, że doliny widać było jak na dłoni, lecz nie pozostawiało żadnej szansy wyminięcia nieprzyjaciela, gdyby pojawił się z naprzeciwka. Tak właśnie zza załomu skały wyłonili się raptem wspaniale wyekwipowani rycerze.

Zygisbert i Konstancjusz dobyli mieczy i zatrzymali konie tuż koło wozu, jednakże *faidits* na widok obcych jęli wydawać radosne okrzyki i wymachiwać bronią na powitanie.

— *Lion de combat!* — wiwatowali. — Przyjaciel i obrońca!

Od grupy nieznajomych odłączyła się brodata postać o dzikim wyglądzie i pospieszyła w kierunku wozu i otaczających go osób.

Crean okiełznał konia i opuścił kopię.

— Szlachetni panowie! — zawołał brodac. — Nie obawiajcie się! Chcieliśmy tylko być pewni, że infanci Graala nie miną Quéribusu, nie skorzystawszy z gościnności Ksakberta z Barbery.

Nie czekając odpowiedzi dał znak i orszak ruszył znowu.

Jeśli pan zamku przykładał taką wagę do przyjęcia u siebie dzieci, którym chciał okazać szacunek, to nie można powiedzieć, by jego zachowanie o tym świadczyło. Ledwie bowiem wprowadził zaskoczonych wędrowców w wysokie mury warowni, pociągnął za sobą jedynie Zygisberta, Creana i Konstancjusza, aby ich podjąć wybornymi trunkami ze swej winnej piwnicy. Co się tyczy pozostałych, *faidits* i Williama z dziećmi, wydał czeladzi skąpe wskazówki co do ich ugoszczenia. Dopiero mnich zaczął się domagać, żeby dla jego małych podopiecznych przygotować cebrzyk z kąpielą — w końcu dzieci były w drodze od wielu dni. Nim spełniono to żądanie, pozostawiono ich samym sobie.

Ksakbert poprosił rycerzy, aby zajęli miejsca przy stole, podczaszowie wnieśli dzbany i napełnili puchary.

— Za Graala i jego spadkobierców! — wznosił toast gospodarz, wypił i strzepnął krople wina z bujnej, nie pielęgnowanej brody. Tylko Zygisbert dotrzymał mu kroku przy tym solidnym hańście, Konstancjusz odpowiedział krótko, ostentacyjnie nie przysiadając się do stołu, natomiast Crean odmówił grzecznie, lecz stanowczo.

— Nie zamierzałem was obrazić, panie z Bourivanu — zagrzmiał dobrodusznie Ksakbert. — Mam wciąż jeszcze przed oczyma syna Langwedocji i zapominam, że obraliście inną drogę.

Crean uśmiechnął się.

— Dziki chłopiec, który podobnie jak wy, panie Ksakbercie, walczył o wolność ojczyzny, już dawno stał się ascetą...

— ...któremu jednakże cielesność sprawia kłopot! — odezwał się Konstancjusz. — Jemu, podobnie jak mnie, idzie z pewnością o coś innego: bardziej niż pokrzepienia dla gardeł potrzebowalibyśmy odświeżenia się. Kąpielą w gorącej wodzie większą byście nam sprawili radość niż najchłodniejszym winem.

Ksakbert nie był rad takim wymaganiom, albowiem mogły zepsuć mu przyjemność, jaką dawało napicie się z przyjezdnymi. Wszelako zaraz wydał polecenie, by przygotowano łaźnię.

— Wobec tego woda i wino! — burknął.

Konstancjusz nie dał się zbić z tropu.

— Dziękuję za trud, jaki zadajecie sobie dla nas, cudzoziemców. Wiemy o sobie nawzajem tak mało — dorzucił przebiegle. — Nie wiemy nawet, jakie drogi nas tu przywiodły i połączyły.

— Jesteśmy rycerzami w służbie niewidzialnego zakonu — przypomniał mu Zygisbert i skierował puchar ku Ksakbertowi — i służymy o nic nie pytając.

Milczący Crean trzymał się na uboczu, lecz Konstancjusz ani myślał poskramiać ciekawości.

— Nie chcę pytać o tajemnicę Graala — rzekł — ale może byście coś powiedzieli o ludziach, którzy się kryją za tą legendą, ludziach, którzy...

— Za legendą? Rodzina Graala to żaden wymysł! — przerwał mu ostro gospodarz. — Przecież szlachetni Trencavelowie byli ludźmi z krwi i kości. Ja jeszcze ich znałem.

— Opowiedzcie, panie — wtrącił Zygisbert, którego także paliła ciekawość. — Wolfram von Eschenbach śpiewał nam o bohaterze, co „tnie na pół”, o prostodusznym Parsifalu...

— Parsifal wcale nie był głupi — oburzył się Ksakbert. — Był tylko za dobry. — Pan na Quéribusie poczuł się kronikarzem, zwłaszcza że Crean również się do nich przysunął. — Wicehrabiowie Carcassonne, choć spokrewnieni i spowinowaceni z dynastią z Tuluzy, byli lennikami królów Aragonii. Jak wam zapewne wiadomo, ja także służyłem Jakubowi Zdobywcy...

— Walczyliście z nim o Majorkę — z uznaniem w głosie rzekł Crean, co dobrze usposobiło Ksakberta.

— Majorka to koniec całej historii — pociągnął potężny łyk. — U początku tkwi krucjata Szymona z Montfortu przeciwko katarom. Dobry Trencavel, Rajmund Roger Drugi, którego ten Niemiec nazywa „Parsifalem”, bronił Carcassonne. Stara twierdza Gotów, co już Karolowi Wielkiemu stawiała czoło, była nie do wzięcia. Zgromadzili się w niej katarscy uciekinierzy, których wydania wicehrabia odmawiał. Wówczas legat papieski zaproponował rokowania. Pewien młody templariusz, Gawin Montbard z Béthune, zawiózł wicehrabiemu Trencavelowi list żelazny od dowodzącego oblężeniem Szymona z Montfortu. Szymon jednak złamał słowo, szlachetny Trencavel został ujęty, osadzony w lochu i zgładzony. Pomoc od króla Aragonii przybyła za późno, jego hufce marnie zresztą skończyły. Francuzi zagarnęli kraj dla siebie, Langwedocja stała się prowincją, Czystych wypędzono...

Słudzy zameldowali, że kąpiel gotowa. Ksakbert, rozpogodzony, złapał swój puchar i polecił gościom i podczasym z dzbanami wina udać się za nim. Schodami i korytarzami dotarli do wykutej w skale łaźni, gdzie czekał już olbrzymi parujący ceber.

Zrzucili odzienie.

— Mam nadzieję — zwrócił się gospodarz do Zygisberta — że wstrzemięźliwy pan z Bourivanu nie wypije nam wody, w przeciwnym razie musielibyśmy się kąpać w soku z winnej latorośli.

Zaśmiali się obaj i zanurzyli w ciepłej wodzie, w której siedział już Crean.

— Umiem się pohamować — rzekł przyjaźnie — a tym bardziej wobec takiej perspektywy. Ale dawno już chyba, panie Ksakbercie, nie wygniataliście wina, skoroście zapomnieli, jakie jest lepkie.

— Woda może być dobra dla nóg — łagodził Zygisbert. — Gardłu bardziej przystoi

wino. Podaj mi puchar, młody emirze — powiedział do Konstancjusza — i uczyni nam zaszczyt, pociągając z nami. Prawo Koranu nie dotarło do Quéribusu.

Zagadnięty przysiadł się do nich.

— Mylisz się, Zygisbercie, niedaleko stąd Roland dał w swój róg — uśmiechnął się mimo wszystko Konstancjusz.

Tak więc tylko Crean pozostał niezłomny, gdy podczasowie ponownie napełnili puchary. Służebne podeszły do brzegu kadzi i zaczęły szorować rycerzom plecy szczotkami i grubo tkanymi ręcznikami, a potem polewać kąpiących się wiadrami wody.

— Po upadku Carcassonne — Ksakbert wrócił do swojej opowieści — pociągnąłem po raz pierwszy za Pireneje i wraz z Jakubem prowadziłem wojnę, za pozwoleniem — zwrócił się do Konstancjusza — z niewiernymi, za co pan papież zdjął ekskomunię z zatwardziałego kacerza Ksakberta. — Wybuchnął grzmiącym śmiechem wiejskiego parobka. — Po powrocie do rodzinnej Langwedocji przyłączyłem się razem z Oliwerem z Termes do syna Trencavela, Rajmunda Rogera Trzeciego, i próbowaliśmy odbić Carcassonne. Młody wicehrabia zginął, Oliwer poddał się Ludwikowi, a ja wycofałem się tutaj. Odtąd ród Trencavelów uchodzi za wygasły, ale od dłuższego czasu mówi się po cichu wśród *faidits*, jakoby w twierdzy Montségur rosło dwoje dzieci, które go kontynuują. A to, że was, szlachetni panowie, posłano dla ich ocalenia, pozwala mi mieć nadzieję, że doczekam kiedyś dnia...

— I potraficie tak długo utrzymać Quéribus? — spytał Zygisbert pociągnawszy głęboki łyk. Odwrócił pusty puchar do góry dnem i wcisnął go do chlupiącej wody. — Ostatnia twierdza Czystych we francuskim morzu.

— O tym nie myślę! Skała Quéribus jest wciąż jeszcze langwedocka. I będzie, pókim żyw! — Podniósł puchar i wypił za swój los, spoglądając przy tym wyzywająco na Creana. — Tak powiadał również pan Leon z Belgrave, tam gdzie uczono was, panie, władania mieczem.

— Dziś to ruina bez nazwy — stwierdził Crean pełen sarkazmu. — Jeszcze tylko winnica przypomina o sławnym imieniu.

— Wypijmy więc za stare czasy! — zawołał Ksakbert. — Za to, jak pod Tulużą zgnieśliśmy hełm Montfortowi! — I zaintonował:

*E venc tot dreit la peira lai on era mestiers  
E feric lo comte sobre l'elm, qu'ès d'acers...*

Crean, znający *canço*\* zawtórował mu:

*Que'ls olhs e las cervelas e'ls caichals estremiers,*

---

\* Canço (okcyt.) — pieśń.

*E'l front e las maichelas li partie a certiers,  
E'l coms cazec en terra mortz e sagnens e niers!*

Wzniesli puchary i wypili.

## OSIOŁ ŚWIĘTEGO FRANCISZKA *Quéribus, lato 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

— Konie mogą się napić w twierdzy, tam woda jest dużo lepsza — troskliwie poradził brodaty pan zamku, zanim nie troszcząc się więcej o nas, dał bojowemu rumakowi ostrogę i wraz ze swym rycerskim orszakiem ruszył w górę wcinającym się w skały wąwozem.

*Nolens volens\** pociągnęliśmy za nim naszym wozem obok przydrożnej murowanej studni z żurawiem, która tak kusząco nas zapraszała, by przystanąć i odświeżyć się. Ale lepiej było nie odrzucać zaproszenia Ksakberta z Barbery.

Już za najbliższym zakrętem wyrósł przed nami tak potężny donżon, jakiego moje oczy nigdy jeszcze nie oglądały. Sterczał niby pięść giganta na szczycie stromej góry i zdawał się szydzić z każdego wroga. Podwórzec zamkowy, stosunkowo wąski, zapełniali katarscy uciekinierzy, jednakże zaraz poczułem, że w powietrzu unosi się duch walki. Nie panowała tu ani rezygnacja, ani „uduchowienie” jak na Monsalwacie!

Zaraz po przybyciu na miejsce rozżłościłem się — nie o siebie mi szło, lecz o dzieci — że ten butny wojownik tak grubiańsko nas potraktował. Nie poświęcił nam najmniejszej uwagi i natychmiast wraz z naszymi szlachetnymi panami zniknął w donżonie. Jeszcze z kozła poleciałem przybiegłej z ciekawości czeladzi, aby przygotowano nam kąpiel.

— Musielibyscie zadać sobie nieco trudu i udać się do łaźni — odparła na to młoda służebna, śmiejąc się zuchwale. — Tam bardzo chętnie wyszorujemy was zgrzebłem, a polewaniem na przemian zimną i gorącą wodą rozpalimy w was krew.

— Potem chętnie byśmy zobaczyły — zachichotała druga — co jest twardsze: moja szczotka czy wasz... — i roześmiały się chórem.

— Wszystkie będziecie mogły sprawdzić — zawołałem głośno — jeśli ty wejdiesz ze mną do cebra! — Bezczelność można tylko tak jak triumfem przebić *provocatio auctoritatis\** — Ale każdemu macie przynieść tutaj. Kąpiel będzie pod gołym niebem.

Odeszły trajkocząc, gotowe jednak, jak się wydawało, spełnić moją prośbę.

---

\* *Nolens volens* (łac.) — chcąc nie chcąc.

\* *Provocatio auctoritatis* (łac.) — nieustraszone wyzwanie.



— Muszę pod mur! — usłyszałem za sobą głos chłopca. Zsunąłem się z kozła i zsadziłem malca z wozu na ziemię.

Natychmiast odezwała się także dziewczynka:

— Myślisz — spojrzała na mnie błyszczącymi oczyma — że ja to nie chcę się wysiusiać?!

Wyciągnąłem więc również do niej ramiona, ale ona upierała się, że sama zeskoczy z wozu na bruk dziedzińca. Udało mi się ją złapać w ostatnim momencie.

— Jeza umie sama! — zaznaczyła lekko sepleniąc, podczas gdy chłopiec chwycił mnie za rękę.

Podeszliśmy do muru. Oboje przyglądali mi się wyczekująco.

— Kto dalej! — powiedziała Jeza, toteż gdy jej towarzysz zabaw wygrzebał ze spodni swego ptaszka, to i ja, skoro chciałem koniecznie zdobyć serca dzieci, musiałem podnieść habit i złapać za swój tłoczek.

Siusialiśmy naprzeciwko muru i oczywiście sromotnie przegrałem. Potem musiałem jeszcze przykucnąć, aby Jezie dotrzymać towarzystwa, a ponieważ na zamkowym podwórku nie rosło ani źdźbło trawy, sięgnąłem do kieszeni i wyczarowałem kilka liści podbiału, które zawsze tam trzymałem.

Podtarłszy Jezę uznałem, że chyba zawarliśmy przyjaźń.

— Nazywam się Roger Rajmund — rzekł chłopiec. — Ale możesz mówić do mnie Rosz.

— Rosz! — powtórzyłem.

— A ja tak naprawdę nazywam się Izabela — wyjaśniła mnie Jeza, wciąż sepleniąc z emocji. — A ty jak się nazywasz?

— Jestem bratem z zakonu świętego Franciszka... — zacząłem.

— Jesteś William — oznajmił Rosz. — Osioł, jak powiedział Zygisbert. Przełknąłem to i popędziłem dzieci z powrotem do wozu, na który się od razu wdrapały, aby mnie powitać z góry szyderczym okrzykiem „hi-ha-ha”.

— Opowiem wam historię o świętym Franciszku i osłach. — Podciągnąłem się na kozioł, a dzieci turlały się u moich stóp w sianie, pokrzykując „hi-ha-ha”. — Pewien stary osioł...

— William! William! — zawołały.

— No dobrze, William, stary osioł — poszedłem łagodnie na ustępstwo — skarżył się świętemu Franciszkowi na swój ciężki los...

— Hi-ha! — błaznowała nadal Jeza, ale Rosz dał jej szturchańca, więc ucichła, a ja opowiadałem dalej:

— Przez całe życie haruję jako juczne zwierzę, zad mam poobijany, skórę wytartą, uszy postrzępione, a żółte zęby połamane. Nocą krzyczę z głodu...

— Czy osioł nie może jeść trawy, ile zapagnie? — wtrącił Rosz.

— Jeśli mu się pozwoli! — powiedziałem. — Nigdy mi z grzbietu nie zdejmują rusztowania, obładowują mnie workami i koszami, aż przyginam się do ziemi, muszę biec kłusem pod górę i z góry, inaczej obrywam kijem, słaniem się ze zmęczenia, z bólu w kościach i od ran obsiadanych przez muchy, których mój wyliniały ogon nie może już osiągnąć. Jestem najnędrniejszą kreaturą na ziemi. Pomóż mi, bracie!

— I pomógł mu? — zapytał Rosz, który przysłuchiwał się uważnie, gdy tymczasem Jeza wybierała z siana zeschnięte kwiaty i ułożyła z nich bukiet.

— Bratu Franciszkowi napływają do oczu łzy z powodu cierpień osła i zaczyna go pocieszać: „Popatrz, powiada, na Pana Boga, a zobaczysz, jak jest do ciebie podobny. Czyż nie ma ust podobnie jak ty wykrzywionych męką? Czy nie widać u niego smutku twoich pięknych dużych oczu pod aksamitnymi powiekami? A uszy? Czy nie wydłużyły się Panu Jezusowi, ażeby usłyszał z nieba o twoich udrękach? Przecież On się poświęca, na swoim grzbiecie dźwiga cierpienia całego świata, a prócz tego otrzymuje jeszcze razy i tak samo jak ty krzyczy z bólu: hi-ha, hi-ha. Kto Pana Naszego przeżywa twoim imieniem, ten nie wie, że Bóg cieszy się tylko z takiego komplementu.” Wówczas wszystkie osły roześmiały się szczęśliwe i zakrzyknęły wspólnie: „Hi-ha!”

— Chciałbyś być teraz osłem, Williamie? — zapytał poważnie Rosz.

— Nie wiem — zastanowiłem się. — Czego lepszego mógłbym sobie życzyć, skoro sam Bóg jest osłem?

Jeza wręczyła mi bukiet kwiatów.

— Nie musisz go zjadać, Williamie, ale możesz sobie powąchać — powiedziała, zarzuciła mi rączki na szyję i uściśnęła mnie.

— A któż wymyślił tę bluźnierczą legendę? Bo z pewnością nie ten święty z Asyżu — odezwał się rozbawiony Konstancjusz, który mi się niepostrzeżenie przysłuchiwał.

— Macie rację, panie! — byłem zmuszony wyznać. — Ułożył ją brat Robert z Leric, który otrzymał za to czterdzieści razy batogiem z osłej skóry i czterdzieści dni w jarzmie.

— W mojej ojczyźnie ucięto by mu głowę. Nie powinieneś sobie wyobrazić...

— William nie jest osłem! — Rosz w obronnej postawie stanął wyprężony przede mną.

Konstancjusz śmiejąc się ciągnął:

— Ech, wy chrześcijanie! Palicie Czystych jako heretyków, a Boga Wszechmogącego traktujecie poufale i z niewiarygodną prostotą: z ojcem, matką, synem i zwierzętami przy żłobie...

Milczałem dotknięty. Według mnie ten Konstancjusz, którego towarzysze tytułowali niekiedy „księciem”, pochodził ze Wschodu i z pewnością był muzułmaninem. Dlatego złościło mnie, że nie mogę zaprzeczyć jego słowom.

Dopiero teraz przyciągnęli parobcy ogromny ceber kąpielowy i postawili go przed

wozem, podczas gdy służebne przyniosły na nosidłach każda po dwa drewniane kubły pełne parującej wody. Zanim wszakże zdążyły ją wylać do cebra, z donżonu wyszedł Crean i Zygisbert. Nasz przywódca krótkim gestem zniszczył nam przedsmak radości, potem pomógł Niemcowi wsiąść na konia. Zygisbert, zdaje się, dobrze pociągnął wina i chyba jako jedyny dotrzymał kroku gospodarzowi, który się teraz także ukazał. Crean sprawiał wrażenie równie trzeźwego jak Konstancjusz.

— Kiedy spotkam znów tutaj *inter pocula*\* tak mocnego cesarskiego rycerza?!  
— Ksakbert z Barbery ze wzruszenia wydmuchał nos, ucałował dzieciom ręce, klepnął jeszcze raz przyjaźnie po udzie chwiejącego się w siodle Zygisberta, zanim my, nie wykapani, za to pod eskortą, przy której upierał się pan zamku, ruszyliśmy z Quéribusu na północny wschód.

## CYGANIE

*Camargue, lato 1244*

*Z Kromki Williama z Roebruku*

W miarę jak opuszczaliśmy langwedocką ziemię, Crean coraz częściej szukał schronienia w lasach. Ostrożnie i nieraz na piechotę podążaliśmy z biegiem górskich strumieni, a na drogach wiodących przez skaliste parowy owijaliśmy koła wozu. W ten sposób przemierzaliśmy teraz Prowansję.

Dzieci przeważnie nie spały i rozmawiały cicho, używając języka *oc*, pewnie żebym nie mógł ich zrozumieć. Mimo to uśmiechałem się do nich zachęcająco. Jeza, odważniejsza, uspokajająco kładła rękę na ramieniu przestraszonego Rosza, który ilekroć spotykaliśmy jakiś wóz lub jeźdźca, trwożliwie wciskał się w siano.

Coraz częściej byli to ciemnoskórzy Cyganie, ciągnący tymi samymi drogami co nasza mała grupa. Ich kobiety, odziane nadzwyczaj barwnie i jaskrawie, siedziały przeważnie pośród okazałej gromadki dzieci na wozach wyładowanych sprzętem domowym i towarami na sprzedaż. Dotarliśmy do bagnistej Camargue!

Jeza wdrapała się do mnie na kozioł, aby z ciekawością obserwować życie wędrownego ludu, ale natychmiast podjechał do nas mrukliwy Zygisbert i polecił mi troszczyć się o to, aby nikt nie zobaczył dzieci. Jeza wycofała się posłusznie w głąb wozu, pokazawszy Zygisbertowi język, oczywiście za jego plecami.

Pod wieczór dotarliśmy do obozu Cyganów, którzy siedzieli wokół ogniska. Nasi *fa-idits* wymienili z ich przywódcą kilka słów w języku, którego jeszcze nigdy nie słyszałem, i to wystarczyło, żeby rozwiać nieufność koczowników. Z dumą odmówili propo-

---

\* *Inter pocula* (łac.) — przy kielichu.

nowanych przez Creana sztuk złota i zrobili nam z szacunkiem miejsce w swym kręgu, dzieląc się z nami także posiłkiem: pieczonym na rożnie zającem i jeżem z ząbkami czosnku, nadziewaną goździkami cebulą oraz pędami dzikiego kopru włoskiego.

Kiedy Crean naradzał się z naczelnikiem rodu, mówiącym trochę po francusku, usłyszałem, jak tamten ostrzega przed ludźmi króla, którzy na wybrzeżu „ich” Camargue budują miasto i port, olbrzymi warowny gród z ulicami i kamiennymi domami, co Cyganów szczególnie oburzało. Wszędzie roi się od obcych rzemieślników, którzy pościnali drzewa i połupali skały, i od żołnierzy, którzy zamiast ich pilnować, urządzają polowania na dzikie osły i na młode kobiety z jego ludu. W najbliższych dniach oczekują tam króla, pragnącego się osobiście przekonać o postępie prac.

Wraz z nami przy ognisku przykucnęli także dwaj cudzoziemcy, którzy na tę wiadomość zareagowali ożywieniem i zaczęli coś do siebie szeptać. Wydawało mi się, że mówią po arabsku. Ich zachowanie nie uszło uwagi niezmiennie czujnego Konstancjusza. Przysiadł się do nich niby przypadkiem, skoro jednak ich nie zagadnął, nie przypisałem swojej obserwacji żadnego znaczenia. Kiedy nadszedł czas snu, ułożyłem się na uboczu i stałem się mimowolnym świadkiem cichej rozmowy moich rycerzy.

— To asasyjni — oznajmił tajemniczo Konstancjusz i stary Zygisbert od razu sięgnął do miecza.

— I cóż z tego? — próbował uspokoić obu Crean, choć odniosłem wrażenie, że to odkrycie jest dla niego nadzwyczaj nieprzyjemne.

Pierwszy raz widziałem Zygisberta lekko wyprowadzonego z równowagi.

— Bez określonego zadania nie znaleźliby się tutaj... — powiedział.

— Z pewnością celem ich sztyletów jest wysłużony rycerz zakonu krzyżackiego! — zakpił Konstancjusz. — Na twoim miejscu dziś w nocy...

— Jak długo nam nie przeszkadzają — uciął zdecydowanie Crean — rozsądniej będzie o nich zapomnieć! — Nasz przywódca nie zamierzał roztrząsać historii, która go bardziej zirytowała, niż zaniepokoiła. — Dobrej nocy, panowie!

Przykrywszy troskliwie dzieci, które już zaczęły mnie uważać za kogoś w rodzaju grubej piastunki, spróbowałem się modlić. Za kogo? Za siebie?... Zdołałbym może uciec pod osłoną ciemności, tyle że kraj to był dziki, jego mieszkańcy nieokiełznani, a habit minoryty, choćby najnędrniejszy, nie wydawał mi się w żadnym wypadku bezpieczną osłoną. Nawet gdybym natrafił na ludzi Ludwika, cóż mógłbym mojemu pobożnemu suwerenowi powiedzieć? Że uczestnicy spisku zawiązanego przez templariuszy, zakon krzyżacki, *faidits* i sułtana uprowadzili mnie przy pomocy mieszkającej w lesie czarownicy, Loby, którą przecież z pewnością zna?!

A co z dziećmi? Co by się wtedy z nimi stało? Pomodliłem się za nie i starałem się zasnąć, wciąż jednak przed moimi oczyma przesuwiał się Montségur niczym chmury przed księżycem. Czyżby Graal był tym, co w tajnikach obcej mi wiedzy ezoterycznej łączyło

wojujące zakony chrześcijańskiego rycerstwa z Kościołem Miłości? Czy Roger i Izabela byli „dziećmi miłości” — czyjej? — że z ich powodu przedstawiciele tak odmiennych interesów, ba! wrogowie w sferze wiary, zjednoczyli się w tej akcji ratunkowej? Co było w dzieciach owym „excellens”, owym „ex coelis”? Chłopiec, Roger, którego nawet *faidits* wołali po prostu „Rosz”, miał bojaźliwy charakter, był cichy, ale nierzadko pełen niezwykłej godności. Jego nieco ciemniejsza cera i piwne oczy wskazywały na dziedzictwo śródziemnomorskie. Mógł być dzieckiem Langwedocji, zwłaszcza że biegle władał językiem *oc* ku radości *faidits*, którzy go czcili jak małego króla. Jeza już z wyglądu była tutaj „obca”, a jej dziarski sposób bycia całkiem inny niż u małych dziewczynek z Południa. Nie zachowywała się wcale jak „księżniczka z kraju między Wschodem a Zachodem”, jak ją kiedyś dwornie nazwał Konstancjusz, lecz jak przebrany za dziewczynkę giermek, który pragnie przygód i bohaterskich czynów. Była dzielna, śmiała, często zuchwała i w pełni zawładnęła sercem mrukliwego Zygisberta. Jednakże ani on, ani Konstancjusz nie powiedzieli dotąd nic, co mogłoby zdradzić jej pochodzenie, a Creana nigdy nie ośmieliłbym się o to spytać.

Sprawdziłem jeszcze raz, czy dzieci są dobrze przykryte. Spały już głęboko, objawszy się mocno ramionami. Na ich zmęczonych twarzach widniał uśmiech i szedł od nich jakiś zniewalający czar.

*Faidits* zaczęli nucić sprośne *sirventes*\* które traktowały przede wszystkim o królu Ludwiku i jego klekach. Długo tej nocy nie mogłem zasnąć, nawiedzany osobliwymi urojeniami.

Ponad bladawymi smugami dymu z dogasającego stosu, które jak nisko wiszące chmury ciągnęły wzdłuż wzgórza, nienaruszona twierdza Montsegur wyrastała ku niebu należącemu do nas wszystkich. Czy także do kacerzy?

Kiedy ostatni członek załogi opuścił warownię, rzucili się naprzód przez otwartą bramę zamku Francuzi i najemni żołnierze. Grabieżcy czuli się sowicie wynagrodzeni, katarzy bowiem w swoją ostatnią wędrówkę nic ze sobą nie zabrali. Natomiast arcybiskup, który zjawił się tuż po nich, nie znalazł tego, czego przyszedł szukać, mimo że kazał swoim żołnierzom przetrząsnąć każdy zakamarek, pędził ich w głąbie jaskiń, a nawet jako nurków w ciemną toń cysterny. Tajemniczego Graala, bezcennego skarbu przeklętych kacerzy nie udało się odnaleźć, a spytać nie było już kogo.

Piotrowi Amielowi towarzyszył biskup Durand, który nadzorował w barbakanie demontaż *adoratrix murorum*, swego oczka w głowie, i teraz, wiedziony ciekawością fachowca, chciał zerknąć na owe mury, co to bez uszczerbku oparły się jego miotającej machinie. Bawiły go daremne poszukiwania, pospieszne ostukiwanie ścian, nurkowanie

---

\* *Sirventes* (fr.) — pieśni „służebne”; utwory satyryczne tworzone przez trubadurów na zamówienie głównie przeciwko określonym osobom.

w cysternie i dłubanie w rumowisku cegieł; legat kazał nawet zerwać w kilku miejscach bruk z zamkowego dziedzińca. I nic! Natknęli się tylko na ciemną postać inkwizytora, dominikanina, który wyłonił się ni stąd, ni zowąd dopiero na czas kaźni kacerzy, nikomu się nie przedstawił i teraz szperał tutaj na górze. Czego szukał? Co chciał znaleźć?

— Czy pragniecie zbierać, czegoście nie posiali? — zirytowany legat natarł na mnicha w czerni. — Skarb należy do tych, którzy o niego walczyli...

Rosły dominikanin o mocnej, jakby niezdarnej posturze odwrócił się z prowokującą powolnością i zaszczyił legata jedynie pogardliwym spojrzeniem.

— Skarb należy do króla Francji — zagrział — jak każda inna rzecz! Nie znajdziecie go zresztą tutaj. Kościołowi natomiast przypadają w udziale grzeszne dusze, a w najgorszym razie zamieszkiwane przez nie ciała.

— Byli kacerzami, więc zostali spaleni! — Piotr Amiel nie pozwolił się zastraszyć, ale inkwizytor kąsał dalej.

— To poszło wam, ekscelencjo, nadzwyczaj szybko! — grzmiał. — Oddaliście inkwizycji niedźwiedzią przysługę. Zaprzysięgły wróg Kościoła nie mógłby mu wyrządzić większej szkody. Zatkaliście gęby, które powinny mówić, unicestwiliście mózgi, które niechybnie wiedziały!

Legat poszarzał niczym otaczające go nagie kamienne ściany. Nie potrafił znaleźć słów na stosowną odpowiedź, na skarcenie takiej bezczelności, toteż Durand wykorzystał chwilę ciszy.

— Mistyczny symbol zbawienia Czystych znikł — rzekł półgłosem, jakby do siebie — po objawieniu się wiernym i udzieleniu im ostatecznej pociechy. — Kto nie znał dobrze Duranda, nigdy nie wiedział, czy kpi, czy też pragnie kogoś nabrać.

Inkwizytor zmierzył go nie wzrokiem, jakim taksuje się przeciwnika, lecz spojrzeniem kata, który przymierza się do zadania ciosu.

— Nie tak, ekscelencjo, winien mówić hierarcha naszej świętej *Ecclesiae catholicae*! Wasze słowa niebezpiecznie zatrącają mi kacerstwem! — skwitował interwencję biskupa Albi, po czym nieposkromiony jak rozszalała burza napadł ponownie na legata: — Uratowaliście Graala, bo wedle waszego ograniczonego, łaknącego zemsty i jak widzę, także żadnego złota rozumu, jeśli go w ogóle macie! przedstawiał się po prostu jako skarb.

Piotr Amiel zdążył tymczasem zebrać siły, by stawić opór.

— Jakaż jest więc prawda o tym przeklętym Graalu? Znacie ją? — odszczeknął. — Możecie jej dotknąć? Położyć na niej rękę? Kim w ogóle jesteście, że ośmielacie się mówić do mnie w ten sposób?!

— Wit z Viterbo — wycodził tamten spokojnie i zostawił obu biskupów oniemiałych.

Ich postacie bledną w moim urojeniu, pozostaje tylko ogromny czarny cień inkwi-

zytora. Rośnie i rośnie, sięga po mnie. W obliczu niebezpieczeństwa wyciągam w jego stronę drewniany krucyfiks, zapala mi się w rękach, przemienia w źródło światła, które mnie oślepia, ale przegania zagrażający mi cień — zjawą rozplywa się w dymie. I wtedy spostrzegam, że trzymam *G r a l a*. Kiedy jednak chcę mu się przyjrzeć bliżej, trwożliwie czuły jak bijące serce, widzę, że moje dłonie są puste...

Skołowany kacerskimi myślami, dzięki łaskawości Matki Bożej zapadłem w końcu w zbawczy głęboki sen.

Panowała jeszcze jasna księżycowa noc, gdy Crean nas zbudził. On i jego towarzysze mieli teraz na sobie białe płaszcze templariuszy, *faidits* zaś czarne oponcze z czerwonymi krzyżami, jakie w zakonie nosili bracia słuźebni. Stroje te były uprzednio schowane pod sianem mego wozu.

O świcie zaskoczyła nas gęsta mgła. Zbiliśmy się ciasno, mimo to z trudem mogłem dostrzec biały płaszcz jadącego przede mną Creana. Nagle z tyłu usłyszeliśmy tętent końskich kopyt i urywany turkot szybko zbliżającego się pojazdu.

— Miejsce dla królewskiego profosa! — zawołał ochryply głos. — Z drogi!

Ledwie zdążyłem skrócić wozem w bok, a już przegalopowali obok żołnierze, za nimi zaś skrzypiąc przetoczył się odkryty wóz. Leżały na nim trzy ciała, trzech zabici z otwartymi ranami. Dojrzałem krew na bladych twarzach, co jednak przeraziło mnie najbardziej, to oblicze więźnia, który mijając nas wlepił we mnie przenikliwe, iście diabelskie spojrzenie!

Znałem te oczy. Ów człek studiował razem ze mną w Paryżu — cichy, zawsze trochę niesamowity kompan, który odciął się od nas, nie zamierzających marnować życia w stolicy. Ten zawzięty młody kleryk szybko zaczął mówić po arabsku lepiej niż my wszyscy. Teraz także był w wytartej sutannie, której, jak sobie przypominam, nigdy nie zdjął. Boże, miej nas w swej opiece!

Prędko uczyniłem znak krzyża. I już widmo przemknęło i skryło się we mgle. *Faidits* puścili rękojeści sztyletów, do których przed chwilą odruchowo sięgnęli. Skoro mój dawny towarzysz był skuty, musiał być mordercą! Jakże daleko zaszły sprawy ze sługami Kościoła!

## NA WYBRZEŻACH BABILONU

*Marsylia, lato 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Późnym popołudniem dotarliśmy do Marsylii. Myślę, że taki był grecki Konstantynopol, ten grzeszny Babilon, nim dopomogliśmy tam zwyciężyć prawdziwej katolickiej

wierze. To otoczone bagnami portowe miasto Prowansji nie jest częścią naszej chrześcijańskiej Francji, to już bezecny Orient, wrzód na ciele zachodniej prawości. Cudzoziemcy o ciemnej cerze, w długich szatach, z łańcuchami z ambrowca, jaspisu i kości słonowej na szyjach, nie starali się wcale ze wstydem ukryć swej odmienności, przeciwnie, obnosili wyzywająco swoją niewiarę obok naszych domów Bożych. Ani chybi byli to Sycylijczycy, a więc poddani cesarza, podłego Hohenstaufa! Pośród nich zdarzali się nawet osobnicy czarni jak smoła, ze złotymi pierścieniami w nosach. To biedni poganie, którzy nie odrzucają i wcale nie zwalczają naszego Pana Jezusa: oni go nie znają! Toteż ich dusze nie są jeszcze stracone, jeśli w takim dzikusie w ogóle mieszka dusza.

W rozgardiaszu, wrzawie i odorze rybnych targów, w gorączce bazarów nasza grupa nie rzuciła się w oczy. Torowaliśmy sobie drogę wśród bel jedwabiście błyszczących tkanin z Damaszku, otwartych worów pachnących korzennych przypraw, sandałowego drzewa z Aleksandrii, amfor z aromatycznymi esencjami z Tunisu. Na nabrzeżu piętrzyły się wyładowane z przybyłych właśnie żaglowców beczki, skrzynie i kosze, które licytowano, po czym zabierali je tragarze.

Crean dowiedział się przed pewną tawerną od podejrzanie wyglądającego człowieka, który natychmiast zniknął w ciżbie, że statek mający nas zabrać jeszcze nie przypląnął. Czekala nas zatem noc w gospodzie.

Bezzębnygo szynkarza wyraźnie przestraszył zaszczyt, że w swojej nędznej chacie ma gościć tak dostojne towarzystwo. Sztuka złota uciszyła jego sprzeciw, nie była jednak w stanie uciszyć ryków, przekleństw i wrzasków marynarzy i ładacznic w szynkowej izbie. Oczywiście wszyscy umilkli na krótką chwilę — ostatecznie nie co dzień odwiedzają takie miejsce templariusze, rycerze wraz z całym orszakiem i do tego minoryci, którzy mają wysokie mniemanie o sobie! Potem wszakże gęby otwarły się znowu, a spojrzenia hołoty odwróciły od nas, podobnie jak oczy dwu mężczyzn w kącie. Tych natychmiast rozpoznałem: asasyni!

Czeladź przygotowała w pośpiechu miejsce przy uprzątniętym najlepszym stole i zasiedliśmy do posiłku, który wkrótce stał się przepijaniem do siebie po kolei. Tuluzański kowal i czeladnik farbiarski z Ariege oburzali się przyciszonymi głosami tuż obok mnie na srożenie się inkwizycji w ich ojczyźnie:

— Wyłapują sieroty, ba! wyciągają dzieci nawet z przytułków parafialnych!

— Polują na każde, które potrafi chodzić i mówić, od trzeciego roku życia aż do siódmego, jeśli nie poręczą za nie rodzice, a urodzenia i chrztu nie potwierdzi Kościół.

— Król Herod — wtrąciła się do rozmowy handlarka ryb — zajmował się tym nie gorzej!

— A szczególnie okrutnie dręczą wędrowny lud, który podejrzewają o to, że udziela schronienia kacerskim dzieciom, toteż na oczach rodziców przebijają włóczniami potomstwo. Toż to hańba!



— Uważajcie — zwrócił się do mnie kowal — żeby te wasze pędraki — wskazał na Jeżę i Rosza, którzy, Bogu dzięki, byli zbyt zmęczeni, aby w panującym hałasie przysłuchiwać się coraz głośniejszej i burzliwej prowadzonej rozmowie — nie wpadły im w ręce, jeśli udajecie się w tamte kacerskie okolice.

Rzecz jasna słowem nie pisałem, że właśnie stamtąd przybywamy, i uśmiechnąłem się zafrasowany.

— One są chrześcijanami — szepnąłem — i wysokiego stanu. — Znaczące spojrzenie w stronę templariuszy podkreśliło wiarygodność moich informacji.

Zygisbert i Konstancjusz wyszli na dwór, aby wypatrywać statku. Ja zaniósłem dzieci do łóżka za przepierzeniem, gdzie żona gospodarza żwawo nasypała świeżej słomy. Zdziwiająco spokojnie pogodziły się ze swą przygodą po tym, jak Crean opowiedział im o długiej podróży, na której końcu piastunka znów weźmie je w swoje ramiona. Spodziewałem się, że chociaż ona uwolni mnie wkrótce od nich, na matkę bowiem nie mogłem już liczyć. Według mnie ta dama należała do grona kacek, które w imię swej herezji przedłożyły śmierć w płomieniach ponad macierzyńskie obowiązki. W przeciwnym razie dzieci nie zostałyby stamtąd wywiezione.

A może groziło im niebezpieczeństwo? Mordercze prześladowania, o jakich opowiadali ludzie w szynku?... Dlaczego Herod kazał pozabijać niewiniątka? Ponieważ chciał się pozbyć jednego z nich, Jezusa. Dlaczego jednak Kościół wysłał swych aniołów śmierci? Wiek dzieci mniej więcej by się zgadzał... Zostałem ostrzeżony, a moja niewiedza przynębiała mnie. Jeza, a teraz nawet Roger uznawali wszystko, co się dotychczas zdarzyło, za wielce podniecające, żadne już nie popłakiwało, stąd coraz trudniej było zaspokoić ich ciekawość. Odpowiadałem cierpliwie na wszystkie pytania, przy czym zadowolone malców przedkładałem często nad prawdomówność. Czyż Kościół także nie naucza, żeby uszczęśliwianie przez wiarę stawiać wyżej niż ludzką przemądrzałość?

Poczekaliśmy, aż dzieci zasnęły. Wracaliśmy właśnie do izby szynkowej, gdy drzwi wejściowe rozwarły się gwałtownie: żołnierze króla! Zobaczyłem, że *faidits* chcieli się zerwać i że Crean zatrzymał ich na ławie. W progu stanął szlachetny pan otoczony okazałym orszakiem, od którego odłączył się jakiś rycerz i podeszedł do Creana.

— Och, pan z Bourivanu! — zawołał z pozoru szczerze uradowany. — Od kiedyż to w zakonie?

Crean natychmiast się opanował.

— Podróżuję w tajnej misji! — poinformował zdumionego przybysza, który teraz podejrzliwie spytał:

— Czy służymy temu samemu królowi?

Wygrzebałem szybko z torby na piersiach nominację z pieczęcią króla Ludwika i szybko wystąpiłem do przodu.

— Jesteśmy w drodze do niego! — Powachlowałem się dokumentem. — Panowie są

mi przydani jako eskorta — dorzuciłem światowo. — Z kim mam zaszczyt, ja, biedny brat William, przeor Ordinis Fratrum Minorum?

Zaskoczony Crean przedstawił mnie swojemu ziomkowi Oliwerowi z Termes, ten zaś pospieszył stosownie zaprezentować swego wysoko postawionego towarzysza, hrabiego Jana ze Joinville, przybyłego do Marsylii, aby wynająć statek dla siebie i kuzyna wraz z wasalami, zamierzali bowiem towarzyszyć królowi Francji w planowanej krucjacie. Crean zaprosił panów do naszego stołu, który *faidits*, odziani w opończe braci służebnych, chętnie opuścili. Wyraźnie mierzyła ich bliskość francuskich żołnierzy, otaczających nas teraz niby mur obronny. A może więzienny?...

Wybroniłem się przed zajęciem miejsca przy stole, choć o ucieczce nie było nawet co marzyć. Pomyślałem o dzieciach licząc, że śpią mocno.

— Jak mogliście się odważyć, panie Oliwierze — Crean odzyskał pewność siebie, a jak wiadomo, atak jest najlepszą obroną — przyprowadzić szlachetnego seneszala Szampanii do takiej podejrzanej nory?

Joinville wyręczył swego przewodnika w odpowiedzi.

— W tajnej misji...! — uśmiechnął się do mnie, a ja, skromnie milcząc, przyoblekłem twarz w pobożne namaszczenie i splotłem ręce na brzuchu.

— Przybywamy właśnie od arcychrześcijańskiego króla — wyjaśnił ochoczo — który w Aigues Mortes lustruje budowę. Tam też po raz kolejny dał nam świetlany przykład swego poczucia ludzkiej sprawiedliwości i ustanowionego przez Boga porządku. Kiedy opuszczał kaplicę, pierwszy budynek, który kazał wznieść w tym mieście krzyżowców, dostrzegł wóz paryskiego profosa z ciałami trzech mężczyzn zamordowanych przez kapłana. Byli to sierżanci Korony. Król kazał profosowi złożyć relację i wówczas wyszło na jaw, że ci sierżanci na ustronnych drogach napadali na ludzi i ich ograbiali, nikt natomiast nie odważył się poskarżyć na nich, bo przecież nosili królewskie mundury.

Hrabia wydał mi się okropnym gadułą, musiał jednak dysponować albo politycznymi zdolnościami, albo stosunkami, inaczej nie byłby seneszalem! W każdym razie musieliśmy wysłuchać szczegółowej opowieści o zbrodniczych czynach królewskich żołnierzy, podczas gdy siedzieliśmy jak na rozżarzonych węglach, przynajmniej ja, w uzasadnionej obawie, że w każdej chwili mogą się przed nami pojawić zaspane dzieci, co nieraz robiły: Rosz, gdy mu się śniło coś nieprzyjemnego, a Jeza z czystej ciekawości. Również Crean starał się ukryć niepokój.

— Aż kiedyś — kontynuował Joinville niewzruszenie — wpadł im w ręce także ten chudy kleryk. Obrali go do koszuli i popędzili precz z szyderczym śmiechem, on zaś, nie rzekłszy ani słowa, pobiegł do siebie i nagle ukazał się znowu z kuszą i mieczem. Sierżanci wciąż jeszcze się śmiali, gdy pierwszemu przeszył strzałą serce. Wtedy pozostali dali drapak. Jeden próbował uciec przez płot do jakiegoś ogrodu, ale nasz księżulo odrąbał mu nogę. Potem pobiegł za ostatnim, który wzywał przeraźliwie pomocy, póki

miecz nie rozplątał mu czaszki aż po szczękę. Nie okazując żalu kapłan stawił się potem przed obliczem prawa, tak że profos mógł go aresztować bez oporu.

Moja nadzieja, że historia może się już na tym skończy, spełzła na niczym. Tymczasem, zauważeni tylko przeze mnie, powrócili Konstancjusz i Zygisbert, zatrzymali się jednak w głębi izby. Po co komplikować jeszcze sytuację przedstawianiem ich hrabiemu? I jakim imieniem ich nazwać? Templariusze pochodzili prawie bez wyjątku z francuskiej szlachty, trudno więc byłoby uzasadnić obecność na francuskiej ziemi rodowitego Teutona, a jeszcze mniej Sycylijczyka, jeśli Konstancjusz nim w ogóle był! Ponadto niebezpieczeństwo groziło nie tyle ze strony gadatliwego seneszała, ile ze strony tego Oliwera, prawdopodobnie odszczepieńca od katarskiej wiary, co mi jego nazwisko zdradzało, będącego teraz w służbie króla Francji. Renegat musi zawsze bardziej się zasłużyć niż każdy inny rycerz!

— „Młody człowieku” — Joinville przytaczał słowa króla — „twoja odwaga pozbawiła cię szansy sprawowania na przyszłość urzędu kapłana. Jednakże w uznaniu twojego męstwa pragnę cię wziąć na służbę, popłyniesz ze mną za morze. Jak się zwiesz?” — „Iwo Bretończyk”, zameldował profos, który takiego obrotu sprawy doprawdy się nie spodziewał. — „Czynię to, Iwone, oznajmił król, nie tylko ze względu na ciebie, lecz ponieważ życzę sobie, aby każdy widział, iż haniebne czyny nie są puszczane płazem!” Wszyscy obecni przy tym akcie salomonowej mądrości uczcili naszego Najwyższego Rozjemcę wiwatami — zakończył swą relację seneszał.

Wygłosivszy tę apoteozę, hrabia rozejrzał się wokół, żądając uznania, a że wyciekująco patrzył na Creana, szybko zacząłem z wielkim zapałem klaskać w ręce. Joinville podziękował mi z tajemniczym uśmiechem. Zachęcony tym Oliwer z Termes zwierzył nam teraz szeptem prawdziwy powód ich przybycia.

— I otóż właśnie — zaczął — takiego mamy dobrego pana, a tu rzecz wręcz nie do uwierzenia: niegodziwcy czyhają na jego życie!

Niestety, nasz zacny pan z Bourivanu nie umiał udawać zaskoczenia, którego okazywanie tak ujmuje rozmówcę, a ponieważ i tym razem jego reakcja nie spełniała oczekiwań, nie bez próżności przyjąłem na siebie rolę zagadniętego. Gorliwie pochyliłem się ku mówiącemu.

— Starzec z Gór — wtajemniczał nas Oliwer — nasłał na króla swych zaprzysiężonych fanatyków...

Te słowa poruszyły nagle Creana. Wyraźnie nie dowierzał temu, co usłyszał, chciał zaprzeczyć, zaprotestować.

— Jakże to? — wyrwało mu się.

— Najwyższemu władcy tych diabłów nie podoba się, że nasz suweren przygotowuje krucjatę...

— ...toteż skrytobójczo postanowił zakończyć jego cnotliwy żywot — wmieszał

się Joinville i ciągnął: — Wiadomo o tym, bo ci szaleńcy bez obaw zapowiadają wcześniej swoje nieczne czyny, uważają bowiem, że są w ich przeprowadzeniu niezawodni. — Zniżył głos, gdyż przy tej relacji czuł się trochę nieswojo, i dokończył: — Widziano już w tej okolicy dwóch asasynów!

Zlekceważyłem krótkie spojrzenie Creana, który jakby mnie zaklinał.

— Musimy ich aresztować, unieszkodliwić, zanim... — syknął Oliwer i teraz ja mogłem wreszcie odznaczyć się jako lojalny sługa swego króla.

— Widziałem ich! — oznajmiłem bacząc, aby to ważne oświadczenie wyszło z moich ust cicho i powoli. — Są tutaj, pod tym dachem!

Odwrociłem się ostrożnie, pragnąc ukradkiem wskazać obydwu cudzoziemców, i ręce wszystkich sięgnęły do mieczy, jednakże miejsce, gdzie obcy siedzieli przed chwilą, było puste. Napięcie rozładowało się moim kosztem — wszyscy zarechotali, zostałem wyśmiany, a przy pożegnaniu, które wkrótce nastąpiło, nie obdarzono mnie pozdrowieniem.

Znowu byliśmy sami. Zygisbert i Konstancjusz powiadomili nas, że statek przybędzie nazajutrz rano. Dopiero potem Crean zwrócił się do mnie, urażonego w swej dumie i oczekującego pochwały i wyjaśnień.

— Bracie Williamie — powiedział na swój rozważny sposób — dobrze uczyniłeś, że zachowałeś się lojalnie wobec nas i dzieci, ale to, żeś zamierzał przeszkodzić losowi, świadczy o twej naiwności lub czymś jeszcze gorszym! Ten franciszkanin — rzekł do towarzyszy — chciał pogodzić zbawienie swej duszy z donosicielstwem, którym trudnią się szubrawcy, ale występować przeciw asasynom, znaczy wystawiać Boga na próbę! Ich zdradzić to hańba, którą można zmyć tylko krwią! Podziękuj Stwórcy, że do tego nie doszło!

Udzieliła mi się jego gwałtowność i zapomniałem na chwilę o swoim położeniu:

— To podburzeni pogańscy skrytobójcy! — uniosłem się. — Zdradzić takich to chrześcijański obowiązek!

Crean opanował się i nie zważając na mnie mówił do tamtych:

— Minoryta nie może być takim ignorantem, nawet jeśli wzorem swych braci upodobił swój mózg do ptasiego: ismailicy są głęboko wierzącymi muzułmanami, to nie żadni poganie ani odurzeni haszyszem mordercy! Działają w imię wyższego prawa niż stanowione przez tego sentymentalnego Ludwika, który pozwala, żeby w jego królestwie kapłan udawał rycerza, a zabójcę stawiano innym za przykład! Ten król, co najszlachetniejszych poddanych oddaje w ręce Kościoła, inkwizycji i posyła na stos, ten „Święty” chce teraz jeszcze z całym wojskiem żądnych łupu, nie mających skrupułów awanturników napaść na kraj, który dla podkreślenia, że ma do niego prawo, przechrzcił na „Terra Sancta” i któremu przyniesie jedynie zamęt i zniszczenie. Och, modłę się z całego serca, żeby ci dwaj mężowie oddali życie dopiero wtedy, kiedy wypełnią swe

szlachetne zadanie!

Pan z Bourivanu mówił z wściekłością. Lepiej było nie drażnić go jeszcze bardziej.

— A teraz, Williamie z Roebruku, możesz iść i pomodlić się o coś całkiem przeciwnego. Dzięki temu znajdziesz się w lepszym, chrześcijańskim towarzystwie. Nie wyobrażaj sobie jednak w swej żarliwości, że Jezus Chrystus jest z tobą!

Milczałem, na pozór zawstydzony, w rzeczywistości zagubiony i urażony. Z opuszczoną głową, która wciąż tkwiła mi na karku, wycofałem się za przepierzenie, do dzieci. Prawdopodobnie Crean jest również renegatem, pomyślałem sobie, w przeciwnym razie nie zeżliłby się tak bardzo. Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Williamie z Roebruku.

Rankiem, kiedy przeciskaliśmy się przez ludzką ciżbę, rozglądałem się ukradkiem za obydwojma cudzoziemcami. Podejrzane twarze widziałem wszędzie: mieszkańców Północy ze spłaszczonymi nozdrzami, jasnymi jak len kosmykami włosów zaplecionych w warkocze, z żądzą mordy w niebieskich oczach; Gotów o nosach będących jakby przedłużeniem niskich czół, za którymi lęgną się ponure instynkty; Bizantyńczyków z nosami haczykowatymi, zakrzywionymi jak ich zdradzieckie sztylety; ostronosych Armeńczyków — mówią, że trzeba policzyć własne palce, gdy się Armeńczykowi podało rękę. Oglądałem zatem wiele różnych twarzy, lecz asasynów nie zauważyłem, co sprawiło mi ulgę. Z pewnością nie dali się schwytać temu Joinville'owi!

Konstancjusz poprowadził nas do położonego na uboczu pomostu, gdzie oczekiwali już żaglowiec. Ledwie z podnieconymi dziećmi znaleźliśmy się na pokładzie — *faidits*, którzy zostawali, machali rękami na pożegnanie — zaraz odbiliśmy od brzegu. Gdy minęliśmy najdalej wysuniętą wieżę strażniczą zatoki portowej, olbrzymi Niemiec zwrócił się do mnie:

— Przepowiedniom nikt nie powinien się przeciwstawiać, zwłaszcza gdy pochodzą z ust osoby jasnowidzącej jak Loba. Byłeś „strażnikiem skarbu”, czeka cię jeszcze wędrówka „na koniec świata”. A czy cię z tego powodu twój Kościół zaszczuje, czy też twój król będzie cię za to poważał, dowiesz się w przyszłości.

Popatrzyłem w stronę Creana, szukając u niego pomocy, lecz stał z dziećmi na dziobie statku i spoglądał w morze. Słowa czarownicy były mu chyba także znane. Ogarnął mnie strach.

— Jednakże ocalenie dzieci — ciągnął Zygisbert — nie powinno się dłużej wiązać z tobą, któryś przez ślepy traf, bo trudno tu mówić o powołaniu, znalazł się na naszej drodze. Stałeś się świadkiem ich uratowania, ale to wyłącznie nasze święte zadanie.

Nigdy nie słyszałem, żeby wygłosił taką długą mowę. Skończywszy podszedł do mnie.

— Wypada mieć nadzieję, bracie Williamie — odezwał się życzliwie — że umiesz pływać!

Jakby szykując się do uścisku, złapał mnie olbrzymimi łapami pod ramiona, Kon-

stancjusz zaś doskoczył bez słowa od tyłu i poderwał mi nogi do góry. I niczym pośledni połów krabów wyrzucili mnie z rozmachem za burtę.

Zobaczyłem jeszcze z daleka twarze dzieci: przestraszonego chłopca z szeroko otwartymi oczyma i Jeżę klaszczącą w ręce z uciechy. Potem już tylko starałem się, płynąc „pieskiem”, dotrzeć do spadzistego brzegu, nim nasiąknięty wodą habit wciągnie mnie w głębię. Wreszcie sapiąc poczułem grunt pod nogami.

Cisnęli za mną worek.

— Zabierz to, *poverello!*\* — zawołał Crean. — My, asasyni, pozwalamy się wprawdzie kupić, ale niczego nie darujemy, a już bynajmniej życia!

Byłem śmiertelnie przerażony. Kimże naprawdę byli ci spiskujący nikczemnicy?... Stałem drżący na brzegu. Nie odważyłem się pomachać im ręką na pożegnanie. Patrzyłem, aż zniknęli mi z oczu, stając się wkrótce niewielkim punktem na morzu...

---

\* *Poverello* (wł.) — biedaczyna; przezwisko każdego minoryty pochodzące od przezwania św. Franciszka: *il poverello d'Assisi* — biedaczyna z Asyżu.

### III IN FUGAM PAPA\*

#### MAPPA MUNDI\* *Castel Sant' Angelo, lato 1244*

W górę Tybru, więcej wiosłując niż żeglując, płaską barką płynęli przewoźnicy, rybacy z Ostii, gdzie rzeka uchodzi do morza obok zapiaszczonych i zabagnionych terenów portowych Klaudiusza. Oprócz ustalonej zapłaty za przejazd nie spodziewali się od swego pasażera napiwku. Jednakże zgodzili się popłynąć. Pasażerem był niezdarny dominikanin w nieokreślonym wieku, chyba Francuz. Naciągnął nisko czarny kaptur na kanciastą twarz i lakonicznie zbył ich narzekania, lecz w drodze wciąż czuli na sobie jego twarde spojrzenie, tak że zaniechali zwykłych żartów i nieledwie z przymusem wykonywali swą męczącą pracę. Tym większe było ich zdumienie, gdy przed wyskoczeniem na brzeg poniżej zamku Świętego Anioła wynagrodził ich francuską złotą monetą. Mocnym krokiem pokonał nabrzeżny stok, ale nim zdążył pociągnąć za zwisający sznur dzwonka, otworzyła się wysoko położona furtka i opuściła jak wąski i stromy zwodzony most, po którym mnich musiał się wspiąć. I już mury połknęły ciemną postać.

Podróżny, Wit z Viterbo, nie był Francuzem, pochodził z okolicy północnego bastionu Państwa Kościelnego. Viterbczycki, o czym powszechnie wiadomo, byli zdeklarowanymi zwolennikami papieża, o co troszczyli się członkowie rodu Capoccio. W służbie jednego z nich pozostawał Wit i wówczas, gdy papież wysłał go do Paryża, nie tyle nawet po to, by mieć swoje ucho tuż przy ustach bogobojnego Ludwika, ile raczej po to, by królewską pobożność skierować na właściwe tory. Ale także jako spowiednik króla Wit pozostał człowiekiem Capoccia. I teraz przybył do Rzymu, aby jemu właśnie złożyć sprawozdanie.

Orientował się doskonale w plątaninie korytarzy i schodów, które szukający schronienia papież wydrążyli w grobowcu Hadriana, czyniąc z budowli jakby brzuszysko wypełnione jelitami i przyległymi narządami. Słabo oświetlony przez oliwne lampki korytarz nawet dla wtajemniczonych ciągnął się niby zamknięty zewsząd

---

\* In fugam papa (łac.) — papież w czasie ucieczki.

\* Mappa mundi (łac.) — mapa świata.

labirynt, wznosił się w górę i zaraz opadał w dół, skręcał spiralnie i łamał zygzakowato, jeśli miał ominąć ukryte dojścia wiodące do zapadni.

Witowi nie wyszedł naprzeciw żaden wartownik, nie zażądał hasła czy też nie obmacał go, szukając ukrytej broni. Castel Sant' Angelo czuwał nad sobą sam. Był tajnym ośrodkiem dowodzenia kurii, tutaj magazynowano w suchych pomieszczeniach *archivi secreti*\* tutaj w opuszczonej cysternie, zabezpieczone żelaznymi kratami, stały w rzędach skrzynie wojennego skarbcza, tutaj też na samym dnie „na czas nieokreślony” gniły w pieczarach *personae sine gratia*\* którym Stolica Piotrowa odmówiła pomocy swej dobrotliwej ręki.

Z dużą pewnością siebie, co wynikało z wieloletniej służby, przechodził Wit pod łukami spoczywającymi na masywnych filarach, mijał podobne mostom wiszące balustrady zaopatrzone w skomplikowane układy kołowrotów. Owe urządzenia miały na grubych linach zawieszony ciężary, które opuszczone w mroczne otchłanie lochów, windowały do wedyt i gzymsów skrzynie z rzemieślnikami utrzymującymi w należytym stanie niewidoczne dla oka wyloty, prowadzące — o czym tylko oni wiedzieli — donikąd albo do kolejnego sklepienia.

W końcu otwarła się przed nim wielka sala *mappae mundi*. Dopiero tutaj napotkał ludzi. Dwu franciszkanów balansowało na drabiniastym rusztowaniu przesuwającym przed mapą świata, która pokrywała trzy ściany sali od podłogi do kopulastego sufitu. *Mappae mundi* zaczynała się na zachodzie oceanem, morzem świata. Potem obok Dżabal at-Tarik prawie stykały się pustynne królestwo emira i al-Andalus. *Mare Nostrum*\* falowało na wysokości głowy ponad mauretańskim wybrzeżem z jego targami niewolników, załamywało się przy Kartaginie, obszarze panowania emira Tunisu, przechodziło na środkową ścianę z Zatoką Wielkiej Syrty, podnosiło się znów wraz z Cyrenajką, poniżej której rozciągała się aż do listwy podłogowej pustynia (*hic sunt leones*\*), na trzeciej ścianie zaś rozlewało się błękitem delty Nilu o ramionach spiętych przez Kair niczym lśniący diadem. Przy Gazie wyrastała znienacka w górę *Terra Sancta*, Ziemia Święta z Jeruzalem w promienistym wieńcu, wyżej Damaszek, miasto znakomitych kling i tkanin oraz Pawła Apostoła, potem babiloński Bagdad, przyćmiewający wszystkie miasta kalifa położone wokół. A jeszcze dalej na wschód rozpościerała się *terra incognita*. \* Tatarów, którzy nie mają żadnych miast. Na wybrzeżu za sławnym Trypolisem piętrzyły się góry opanowane przez asasynów, za nim leżał stary czcigodny patriarchat Antiochii, a później przy Armenii, której nie można dowierzać,

---

\* *Archivi secreti* (łac.) — tajne archiwa.

\* *Personae sine gratia* (łac.) — osoby nie ułaskawione.

\* *Mare Nostrum* (łac.) — Nasze Morze, czyli Morze Śródziemne.

\* *Hic sunt leones* (łac.) — tu przebywają lwy; tak oznaczano na dawnych mapach kraje nieznane.

\* *Terra incognita* (łac.) — ziemia nieznaną.



wdzierała się nagle w morze lądowa masa *Asiae Minor*\*. W tak powstałym basenie pływał jak ryba Cypr, wyspa Afrodyty. Potężny cypel Seldżuków lizał przy Bosforze konstantynopoliński Chrysokeras, wyżej Morze Czarne przypominało duże jezioro, za nim zaś ciągnęło się imperium mongolskich chanów, których jedwabny szlak ginął w ciemności.

Otoczone wianuszkiem greckich wysp Achaja z Epiirem wcinały się głęboko w morze, pnąc się w górę dalmatyńskim wybrzeżem Adriatyku. Ze starym Bizancjum, teraz kruchym Cesarstwem Łacińskim, sąsiadowały Węgry, a obok popadłego w zapomnienie patriarchatu Akwilei oko patrzącego ulegało czarowi Republiki Weneckiej, zwanej Serenissimą, Najjaśniejszą. Poniżej w błękicie Morza Śródziemnego tonął sporny but Italii, mając na wywiniętej sztylpie Ligę Lombardzką, wokół łydki niby podwiązkę *patrimonium Petri*\* na której *Roma Aeterna, caput mundi*\* lśniła jak ozdobiona klejnotami klamra, dalej widniała neapolitańska goleń, apulijska pięta i kalabryjskie podbicie stopy — znieawidzone imperium Hohenstaufa; szpic buta zdawał się przydeptywać Sycylię jak uwierający kamień. Powyżej tańczyły Sardynia i Korsyka, obie we władzy genueńskich fal.

Ponad italskim butem, za łańcuchem Alp, z zachodu na wschód ciągnęły się księstwa Szwabii, Bawarii i Austrii, potem królestwa Czech i Polski oraz dziki stepowy kraj Mongołów, tutaj zwany Złotą Orda, imperium bez miary — należałoby się właściwie cieszyć, że powierzchnia *mappae mundi* nie była w stanie objąć jego rozmiarów! Na północy leżały wyspy Duńczyków i Wikingów na Morzu Północnym, stamtąd wzrok biegł przez ziemie Saksonii, przekraczał Ren i już na zachodniej ścianie ponad Lotaryngią i Flandrią prześlizgiwał się do Francji i Paryża.

Po drugiej stronie wąskiego Oceanu Brytyjskiego tkwiła wykrzywiona bryła Anglii, ustawicznie waśniącej się z upartą Irlandią i dumną Szkocją, po tej zaś z północy na południe rozpościerały się ziemie Bretanii, Akwitanii, kacerskiej Tuluzy, za Pirenejami zaś chrześcijańskiej Aragonii, dręczonej przez arcychrześcijańską Kastylię, która sąsiadowała z al-Andalus, muzułmańskim kalifatem Almohadów.

— Pewnego dnia żelazna pięść naszej rekonkwisty wycisnie tych pogan z Iberii przy samym Gibraltarze jak ze spiczastego worka słodką pianę i wypisze pięknymi literami na piaszczystej pustyni słowo „Chrystus”!

Snujący te marzenia franciszkanin był krępyim łysym człowiekiem o nalanej twarzy i wodnistych oczach. Miał nieco wystające kości policzkowe, charakterystyczne dla ludzi zza wschodnich marchii Rzeszy, gdzie minoryci rekrutowali swoich najgorliwszych krzewicieli wiary.

---

\* Asia Minor (łac.) — Azja Mniejsza.

\* Patrimonium Petri (łac.) — dziedzictwo Piotrowe, czyli posiadłości Państwa Kościelnego.

\* Roma Aeterna... (łac.) — Wieczny Rzym, stolica świata.

Benedykt z Polski był opanowany dziwną mieszaniną nienawiści do pogan i marzeń o jedzeniu.

— Posłuchaj mnie, Wawrzyńcze — zwrócił się do szczupłego konfratra — i przestań oblizywać palce! — Gniewało go, gdy widział, że ktoś się z niego wyśmiewa. — Wyciśniemy z nich wszystką krew, która skrzepnie na skwarze i oni się nią udławiają. Zginą z pragnienia, bo ich źródła są zatrute przez fałszywą wiarę, szczerzą z głodu, bo serce Zbawiciela nie...

— Bracie — uśmiechnął się z wysokości rusztowania mnich nazwany Wawrzyńcem — powinieneś spożyć kawałek chleba ze swej sakwy, nim przedstawiś ciało Naszego Pana jako niedzielną pieczeń.

Benedykt odwracając się spostrzegł między kolumnami nieznanego, który w milczeniu studiował mapę świata, nie powitawszy ich zwyczajowym *Pace e bene!*\* czy jakimś innym pozdrowieniem. Wit był tutaj zaproszony, przybył jednak za wcześnie i został za to ukarany paplaniną tych minorytów, którzy nie poczuli się do zabawiania milczącego gościa, skoro ów dał wyraźnie poznać, że wcale o to nie dba.

Benedykt tymczasem dotarł do swego towarzysza na chwiejnym rusztowaniu, ustawionym po prawej stronie środkowego pola, gdzie przebiegała wschodnia granica Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Mapa świata, wykonana trwałymi farbami wapiennymi na starannie zagruntowanym, cienkim topolowym drewnie, przytwierdzonym do niewidocznych dębowych ram, nie obfitowała w szczegóły geograficzne, chyba że akurat rzeka czy pasmo górskie wytyczały jednocześnie naturalną linię graniczną, lecz opisywała przede wszystkim przebieg granic posiadłości feudalnych. Obaj zakonnicy mieli za zadanie z ziem sąsiadujących z niemieckimi marchiami wschodnimi usunąć ślady najazdów tatarskich sprzed trzech lat.

Osadzone na ostrych szpilkach pękate drewniane figurki zwieńczone krzyżami oznaczały opactwa, siedziby biskupstw i innych stałych kościelnych osad, chorągwie herbowe zaś siedziby świeckich władców oraz ich hufców. Wawrzyniec wyjął z koszyczka kilka figurek z krzyżami i umieścił je na spustoszonej Śląsku w miejscach, gdzie z pożogi ocalały klasztory, gdy tymczasem Benedykt przesuwając ku wschodowi symbole uszłych w popłochu z Węgier mongolskich oddziałów pod wodzą Batu-chana.

— Gdyby twój heretycki cesarz pomógł mojemu władcy tak jak rycerze zakonu krzyżackiego, książę Henryk nie straciłby życia pod Legnicą, a gdyby...

— Gdyby, gdyby! — przerwał mu podniecony Wawrzyniec. — Gdyby nasz pan papież nie powstrzymał Fryderyka, rzeczy nie zaszłyby tak daleko. Czyż cesarz nie wezwał bezzwłocznie wszystkich książąt tej ziemi, aby się przeciwstawili napastnikom? Koniec końców to jego sława wojenna zmusiła wroga do ucieczki!

— Nie rozśmieszaj mnie! — Benedykt skupił się teraz na mongolskich chorągiewkach,

---

\* *Pace e bene* (wł.) — pokój i dobro (pозdrowienie franciszkanów).

z których zamierzał oczyścić Węgry. — Do ucieczki? Dlaczego więc napadli biednego króla Bełę, którego brata pobili nad Sajo? Tylko groźba Ojca Świętego, że sprzymierzy się z księdzem Janem, przepędziła ostatecznie tę hołotę.

Wawrzyniec z Orty, z jasnym wiankiem drobnych kędziorów, w których dawno już przeważała siwizna, postury był wprawdzie nikłej, lecz nie dał się Polakowi zakasować i odwieść od swego uwielbienia dla cesarza.

— Papież Grzegorz umarłby na sam widok szpetoty Mongołów, a księdza Jana jeszcze żaden chrześcijanin nie widział na oczy! Powiem ci, co tych Mongołów napawa drżeniem i trwogą...

— Występny Hohenstauf przywołał wprawdzie tych diabłów na zgubę chrześcijańskiego świata — wmieszał się teraz sucho, prawie gniewnie gość stojący u stóp rusztowania — ale odwrót nakazała im śmierć Ugedeja, ich wielkiego chana, i nic poza tym! — Wit był rozdrażniony i właściwie niezbyt usposobiony, aby minorytom udzielać lekcji. — Gdy kurułtaj wybierze następcę, przybędą ponownie, a my znów nie będziemy mogli ich zatrzymać!

— Święte słowa! — W górze na galerii zawieszanej na jedynej wolnej ścianie sali otwarły się ukryte drzwi i wysoka, chuda postać podeszła do balustrady.

— Szary Kardynał! — szepnął przestraszony Benedykt i omal nie uczynił znaku krzyża.

Człowiek w płaszczu antracytowej barwy, choć twarz miał całkowicie zakrytą kapturem, osłaniał ją dodatkowo maską, jakiej w karnawale ludzie używają w czasie zabawy. Jednakże maska ta była również szara jak mysz i wcale nie przywodziła na myśl wesołości. Nawet zuchwały Wawrzyniec był wstrząśnięty.

— Jego Świątobliwość mianował dwunastu nowych kardynałów — zwrócił się zamaskowany człowiek do Wita. — Idź do Archiwum do spraw Rzeszy, tam brat Anzelm zaznajomi cię ze wszystkim, co się tyczy dalszych kroków. — Władczym gestem odprawił Wita, który natychmiast ruszył w drogę. — Tobie, bracie Benedyckie, wierny synu Kościoła, polecono wciągnąć nazwiska wybranych do rejestru. — Kardynał rzucił na dół przewiązany sznurkiem rulon, który Polak pospiesznie podniósł z podłogi. — Ty zaś, Wawrzyńcze z Orty, pójdziesz do karceru i pozostaniesz w nim tak długo, aż zaczniesz zlizywać wodę ze ścian. W ten sposób nauczysz się pilnować swego języka.

Szara postać na galerii odwróciła się i zniknęła.

— To mógł być tylko Rajner z Capoccio — burknął przywołany do porządku mały mnich i posłusznie zszedł z drabiny. — Nikt tak nie nienawidzi cesarza jak on!

— Cicho! — syknął Benedykt przerażony. — Przez to gadanie jeszcze stracisz życie.

— Ty za to awansowałeś na kardynalskiego skrybę! — szydził szczerząc zęby Wawrzyniec i patrzył, jak Polak stoi bezradny i blady z listą w ręce. Wiedział, że Benedykt nie umie napisać nawet własnego nazwiska, a cóż dopiero cudzych. — No,

jazda! — zawołał z dobroduszną szorstkością. — Daj to już i przynieś mi do lochu pióro, atrament i świecę. Zrobię to za ciebie.

— Dziękuję, bracie — szepnął Benedykt i rozejrzał się trwożliwie. — Przyniosłbym ci chętnie także kawałek chleba, gdybym...

— ...gdybyś się nie bał tak strasznie tego nadzorującego nas stracha na wróble!

Benedykt wciągnął głowę w ramiona.

— To mógł być także Jakub z Preneste — powiedział bez przekonania.

— Ten już jest właściwie martwy, podobnie jak Colonna, co zmarł tak nagle w lutym, jego poprzednik na tym makabrycznym urzędzie *spaventapasseri!*\* Nie, to był Capoccio!

Benedykt zakrył uszy, by nie słyszeć zuchwałej mowy swego konfratra, który teraz wesoło nucąc opuścił salę, aby zejść do lochu.

Przez umieszczony wysoko w kopule okrągły otwór słoneczne światło padało na regały, między którymi przechadzał się Wit z mnichem Anzelmem, dominikaninem podobnie jak on, młodszym bratem sławnego Andrzeja z Longjumeau.

*Omnes praelati  
papa mandante vocati  
et tres legati  
veniant huc usque ligati\**

— Ludzie lubią się śmiać z cudzego nieszczęścia, bracie — skarcił Wit młodszego towarzysza. — Był to ciężki cios dla Ojca Świętego i z tego powodu jego słabe serce przestało bić dla tego niewdzięcznego świata. Nikczemność Pizańczyków i cesarskiego bastarda, Enzia, zbyt dotknęła papieża...

— Ale, jak przyznano, było to genialne posunięcie złośliwego przeciwnika: na pełnym morzu porwać pobożnych prałatów z genueńskiej galery, gdy chcieli się zebrać na pokojowym soborze, który z pewnością wykląłby Hohenstaufa...

— Tak czy tak, ten rzeźnicki bachor\* jest wyklęty. A musiał jednak wszystkich wypuścić i ci, którzy przeżyli tę udrękę, będą go teraz nienawidzić do końca jego dni. Właśnie mianowano dwunastu nowych kardynałów. Na pewno nie należą do przyjaciół Fryderyka!

---

\* Spaventapasseri (wł.) — strach na wróble.

\* Omnes praelati... (łac.) — Wszyscy prałaci z papieskimi mandatami i trzej legaci byli skuci łańcuchami (satyryczny wiersz na zdobycie przez Enzia, naturalnego syna cesarza, i Pizańczyków genueńskiego statku pełnego kardynałów 3 V 1241 r.)

\* Rzeźnicki bachor — złośliwa aluzja do pogłosek, jakoby Fryderyk II nie był królewskim synem. Jego matka rzekomo pozwoliła sobie podsunąć noworodka żony miejscowego rzeźnika.

— A jak było z Galfrydem z Mediolanu, kardynałem-biskupem Sabiny? — przerwał mu Fra' Ascelin z wyraźną drwiną. — Nie uchodził przecież nigdy za wroga Hohenstaufa. Czy z tego powodu jako Celestyn Czwarty musiał odejść od nas po czternastu dniach sprawowania papieskiej władzy?

— Ach, wielu opuściło nas w ostatnim czasie — uzalił się Wit. — Nie tylko my straciliśmy naszego Ojca, i to dwukrotnie w tym samym roku, także naszemu przyjacielowi Fryderykowi zmarła znów w połogu jedna z jego nałożnic, boleśnie opłakiwana, a potem odebrał sobie życie jego pierworodny, aby się usunąć ojcu, temu potworowi.

— Jakże musisz go, bracie, nienawidzić — zauważył swobodnie Ascelin — że stałeś się ślepy na to, iż jedno zło zawsze pociąga za sobą następne.

— Nasz nowy papież, Innocenty Czwarty, potwierdził natychmiast klątwę wielkiego Grzegorza. Czy chcesz bronić ekskomunikowanego? Ostrzegam cię, Anzelmie z Longjumeau!

— Nic nie jest mi bardziej odległe od tej myśli — Anzelm ustąpił nieco, nie dając się jednak zastraszyć. — Zachowuję tylko zdrowy *sensus politicus*\*. Mam nadzieję, bracie, że zważywszy na odpowiedzialność naszej *Ecclesiae catholicae*, wzięłeś pod uwagę w swych działaniach także bezpieczeństwo Ojca Świętego. Czy nie pomogłeś panu Rajnerowi przy zdradzie w Viterbo?

— Jestem z tego dumny! — Wit spojrział na rozmówcę błyszczącymi oczami. — Każdy podstęp, każde złamanie słowa wobec tego antychrysta i jego zgrai przybliży mnie do Królestwa Niebieskiego!

— O to królestwo może się dla ciebie zatroszczyć Fryderyk — mruknął sucho Ascelin — jeśli nie każe twojej zdrady innym odpokutować.

— Po czyjej stronie właściwie stoisz, bracie Anzelmie?

— Jestem *canis Domini*\* tak jak ty, bracie. Co mogę teraz zrobić dla twojego chwalebego przedsięwzięcia? Jak mogę ci być pomocny?

Viterbczyk zawahał się spostrzegłszy cyniczny unik rozmówcy. Czy jednak z drugiej strony Szary Kardynał nie skierował go właśnie do tego brata zakonnego? I jakby jego nieufność znalazła posłuch u wyższej instancji, w tym momencie rozległ się skądś wyraźny głos:

— Mów, Wicie z Viterbo! A może chcesz się ważyć na nieufność wobec mojej ufności?

Wit drgnął, Fra' Ascelin uśmiechnął się wyzywająco.

— Chodzi o dzieci — szepnął viterbczyk. — Te kacerskie bękarty, pomiot

---

\* *Sensus politicus* (łac.) — zmysł polityczny.

\* *Canis domini* (łac.) — pies pański. Stąd gra słów: *Domini canes* (l.m.) — dominikanie, czyli psy Pańskie.

Hohenstaufa. — Zachowywał się jak spiskowiec. — Dzieci uciekły z Montségur. Niejaki William z Roebroku, jeden z tych niepewnych brunatnych wróbli naszego przyjaciela ptaków z Asyżu, zniknął bez śladu z obozu oblegających w noc poprzedzającą kapitulację warowni. Nie chcę wprawdzie twierdzić, że ma coś wspólnego z tą ucieczką...

— Czy to jest powód, żeby w Langwedocji urządzić krwawą łaźnię wśród sierot w wieku tych dzieci? Nazywają cię Herodem. To wstyd i hańba dla Kościoła! — zagrzemiał głos.

— Po sprawdzeniu pochodzenia każdego złapanego dziecka — bronił się Wit — oddawaliśmy je rodzicom lub przekazywaliśmy jakiemuś klasztorowi, żadnemu nie spadł włos z głowy. Widzicie więc, eminencjo, jak się oczernia inkwizycję!

— „Nie ma dymu bez ognia”, powiada lud. Kacerze tryumfują. „Popatrzcie, mówią, święty katolicki Kościół, powszechny morderca dzieci!” A ty stoisz tutaj z pustymi rękoma!

— Wszystkie porty są strzeżone — dodał pokornie Wit.

— Widziano dzieci w Marsylii — dał się słyszeć jeszcze raz głos kardynała, który nie ukrywał rozczarowania. — Rozważ dobrze następne kroki!

Wit przełknął ślinę i rozejrzał się wokół siebie, potem uniósł głowę. Widział jednak tylko szafy i półki wypełnione poufnymi dokumentami, sprawozdaniami szpiegów, aktami osobowymi, falsyfikatami i tajnymi wyrokami, oficjalnymi bullami i nie opublikowanymi traktatami.

— Myślę... — zawahał się — że zdradziecki franciszkanin mógł się udać tylko pod jeden adres: do Eliasza z Cortony...

— Bądź spokojny, bracie, mamy oko na Bombarona — podjął znów rozmowę Ascelin — ale prawdopodobnie minoryta został tylko wykorzystany po to, aby stworzyć fałszywy ślad. Ktokolwiek uknuł ten plan, nie złożyłby jego wykonania w ręce takiego...

— Niechybnie tak było — przyznał Wit, nabrawszy do rozmówcy zaufania. Chciał kontynuować temat, lecz Ascelin przerwał mu szorstko i nakazał milczenie. Dał się słyszeć jakiś szelest. Za ścianą z regałów na wysokiej bibliotekarskiej drabinie jak nastroszona sowa siedział Wawrzyniec ze szkicownikiem na kolanach i kawałkiem ochry w ręku. Najwyraźniej obrał sobie dominikanów za przedmiot studiów.

— Chodź tutaj! — rozkazał Ascelin. Wawrzyniec kilkoma śmiałymi pociągnięciami dokończył swoje dzieło i dopiero posłuchał wezwania. — Czy nie powinienesz być w lochu? — rzucił od niechcienia Ascelin, odbierając mu szkicownik.

— Tylko póki nie zliżę wody ze ścian — roześmiał się szyderczo Wawrzyniec — a to zrobiłem natychmiast.

— Kardynał wie o tym? — Ascelin próbował udawać surowość.

— On wie o wszystkim — odpowiedział Wawrzyniec radośnie.

Tymczasem Wit przyjrzał się kartce. Widniał na niej jego portret, jeśli nawet lekko

przesadzony, to przecież całkiem udany, natomiast nie było studium Ascelina, nawet śladu szkicu. To go zdumiało.

— Co to ma znaczyć?! — natarł na szczupłego minoritytę.

— Masz tak interesującą głowę, bracie — schlebiał mu odważnie artysta, rzucając ukradkiem spojrzenie na potężne łapska rozmówcy — że nie mogłem się oprzeć.

Wit odsłonił zęby w nieco zażenowanym uśmiechu, niedbałym gestem zwracając szkicownik Wawrzyńcowi.

— Wawrzyniec z Orty korzysta z przywileju niejakej błazeńskiej swobody — uśmiechnął się Ascelin. — Monotonny tryb życia w zamku, dzień i noc tajna i odpowiedzialna służba kurii rodzą potrzebę odświeżenia, w przeciwnym razie zagryźlibyśmy się tutaj nawzajem!

— Wybacz, bracie — mruknął Wit, zaledwie Wawrzyniec się oddalił — że ci z początku nie ufałem. Tak długo jestem w służbie zagranicznej, że już odwykłem od zwyczajów starego zamku Świętego Anioła. — Ponieważ Ascelin uśmiechnął się zachęcająco, Wit fałszywie go zrozumiał, wpadł w poufny, gawędziarski ton: — Co więc wiadomo tutaj o dzieciach, bracie Anzelmie?

— Wiesz dosyć! — Głos Szarego Kardynała i tym razem nie zdradzał żadnej emocji. — Dosyć, aby wykonać swoje zadanie. Wicie z Viterbo, jesteście oczekiwani w sali *mappae mundi*!

Wit znając człowieka, z którym miał do czynienia, cieszył się, że został ułaskawiony. Taki Wawrzyniec z Orty mógł korzystać z błazeńskiej swobody, dla innych jedno fałszywe słowo było tutaj ostatnim. Skinieniem głowy pożegnał zakonnego brata i opuścił Archiwum do spraw Cesarstwa.

W wielkiej sali Benedykt z Polski szorował podłogę, Wawrzyniec bowiem rzucił z rusztowania cebrzyk z czerwoną farbą. Bryzgi sięgnęły w górę aż do Neapolu, także na Ziemi Świętej widniały plamy, ale główny strumień czerwieni rozlał się od wschodu poprzez Bagdad aż po Syrię.

Wit stał niezdecydowany przed *mappae mundi*, myśląc o wzlotach i upadkach oraz obficie przelanej krwi, gdy u jego stóp upadł rulon. Zrozumiał, że odtąd polecenia będą mu wydawane na piśmie, ażeby Szary Kardynał mógł go lepiej trzymać na wodzy. Schylił się i podniósł zwój. Kiedy się wyprostował, jego spojrzenie padło na umieszczonego w rogu sali ukrzyżowanego Chrystusa. I użalił się nad sobą.

## ZŁUDZENIA PRZEŚLADOWANEGO

*Sutri, lato 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Gdy w Marsylii wyratowałem się z przymusowej kąpieli, odeszła mi ochota do życia. Nie ośmieliłbym się już pokazać na oczy seneszałowi, a cóż dopiero memu królowi. Te dni podróży z dziećmi odcięły mnie od dotychczasowej egzystencji. Wyczołgałem się na brzeg jak rozbitek na nieznaną wyspę. Owszem, zostałem do tej wędrówki zmuszony, mógłbym pozwać przed sąd jako świadka tę starą czarownicę, tylko czego ja u niej szukałem? A Gawin?... Zaprzeczyłby wszystkiemu lub przekazał mnie trybunałowi inkwizycyjnemu. W najlepszym wypadku kazano by mnie potajemnie zamordować. Wykluczony z kręgu, w którym się dotąd obracałem, stałem się banitą. Straciłem dobre imię. Wrócić mogłem jedynie do Roebruku we Flandrii — tyle że ku pohańbieniu moich rodziców.

Kiedy tak stałem rozważając, czyby nie lepiej było rzucić się z powrotem do morza, w pobliżu pojawił się kupiecki statek z Pizy. Niemało uciechy dostarczył mój widok Italczykom, którzy nie okazywali szczególnego współczucia dla przemokłego na wylot mnicha. Wtedy się zdecydowałem — wepchnąwszy pod habit swój worek, jedyny niezbity dowód mej wcześniejszej egzystencji, wszedłem do wody. Płynąłem, póki nie dotarłem do pierwszego wysuniętego ku mnie wiosła, pomocne ręce wciągnęły mnie na pokład.

Starałem się być tak użyteczny, jak tylko to było możliwe, ukarałem się sam postem, jednakże przez większość czasu musiałem się modlić za pomyślność kupca, niejakiego Plivana. Żeglowaliśmy wszak po wodach genueńskich! Wprawdzie wyspy z ich garnizonami opływałyśmy nocą, a całe dni tkwiliśmy w ukrytych zatokach, ale kupiec bał się straszliwie.

W końcu dotarliśmy do Toskanii. Nim Pizańczycy powiosłowali w górę Arno, wysadzili mnie na brzeg, hojnie obdarowawszy, gdyż przyniosłem im szczęście. Dostałem przede wszystkim cenny jaskrawoczerwony brokatowy płaszcz z jedwabną podszewką i aksamitny kaftan tej samej barwy, do tego spodnie i safianowe buty z cholewami. Czułem się jak artysta, jak jeden z tych widywanych na dworze Ludwika sławnych italskich portrecistów, których każde pociągnięcie giętkim pędzlem było równoważone złotem, do których uśmiechali się książęta i fortuna; w nowym podróżnym stroju widziałem się takim obdarzonym łaską panem. Mój franciszkański habit, tak czy owak cuchnący wodą morską, wyrzuciłem precz. Zatrzymałem tylko drewniany krzyż.

Wędrowałem wybrzeżem na południe, aż natknąłem się na rybaków zajętych naprawą sieci. Patrząc na mnie ze zdumieniem, zażądali błogosławieństwa, którego im



chętnie udzieliłem. Czyżbym mimo wszystko wyglądał na sługę bożego? Kazałem tym dzielnym ludziom wskazać sobie najbliższą oberżę.

Przed samotnie położonym gospodarstwem, przy prowadzącej do Rzymu Via Aurelia, stał wóz, dziwacznie przyozdobiony dzwoneczkami i kolorowymi wstążkami. Był to dwukołowy pojazd nakryty płócienną budą. Oporządzający konia garbaty parobek o mocnej posturze otaksował mnie spojrzeniem.

Izba w gospodzie była pusta. Długo trwało, nim pojawił się rozczochrany gospodarz i ujrawszy mnie, dostojnego gościa, zaczął po drodze podciągać portki. Kazałem się zaprowadzić do izby na piętrze, następnie poleciłem podać zaraz wino, chleb i ser, a na rano przygotować konia.

Małomówny oberżysta nie wydawał się uradowany. Przeszkodziłem mu widać w chędożeniu. Stał niezdecydowany, tak że poczułem się zmuszony zapłacić mu z góry. Złapał w locie monetę, mrugnął do mnie niedorzecznie jak do współnika i poczłapał schodami na dół. *Pace e bene!*

Zaledwie wyciągnąłem się na łóżku, drzwi otwały się na oścież i przecudna niewiasta pozdrowiła mnie słowami:

— Witaj, piękny cudzoziemcze!

Niosła przed sobą na tacy wszystko, czego sobie życzyłem, ale ja gapiłem się ponad serem na jej falujące piersi, które opaska ledwie podtrzymywała, a koszula odsłaniała większą część z tego, co oferowały. Nieznajoma miała czarne jak smoła włosy i chorobliwie błyszczące oczy. Postawiła tacę na podłodze przed moim łóżkiem z prowokującą powolnością; nasze głowy prawie się zetknęły, gdy się z uśmiechem prostowała.

Nie pytając o zgodę, ujęła moją nogę, obróciwszy się tyłem przycisnęła ją szybko do uda i zręcznie ściągnęła mi pierwszy but. Później popatrzyła wyzywająco przez ramię, tak że wydało mi się, iż powinienem podać drugą nogę, kobieta wszakże miał ją chwycić, uniosła suknię i nagle moim oczom objawiła się cała wspaniałość kobiecej nagości. Ręce przestały mi być posłuszne i zaczęły się poruszać jak dwie pijane gęsi.

— Noga, dostojny panie! — zagruchała nieznajoma rozkraczywszy się teraz lekko.

Bliski utraty zmysłów, drżąc przesunąłem nogę pod otwierającym się łukiem tryumfalnym obiecywanej błogości, ostrożnie, by w podnieceniu nie dotknąć końcem buta zwisających gałązek ciemnego ogrodu rozkoszy. Jak marmurowa furta zamknęły się pośladki, spódnica zakrywając wszystko opadła w dół, gdy tymczasem uda zacisnęły się na mych spodniach i anim się spostrzegł, jak kobieta ściągnęła mi drugi but.

Nie puściła jednak mojej nogi, lecz pochyliła się, wciąż do mnie odwrócona tyłem, i tylko po bulgotaniu mogłem się domyślić, że nalewa nam wina. Teraz dopiero rozluźniła uścisk, pozwoliła mi, drżącemu, jeszcze raz przesunąć nogą po ciepłej skórze wnętrza jej ud i niżej, póki nie dotknąłem ziemi; wtedy odwróciła się do mnie z kubkami w obu

rękach. Wręczyła mi jeden, przysiadła na łóżku i zaczęliśmy pić i jeść.

— Jestem Ingolinda z Metzu — wyjaśniła mi rozpromieniona. — *La grande puttana!*\* — dodała, gdy życzliwie skinąłem głową, i zaczęła mnie karmić godziwymi kawałkami sera, odkroiwszy uprzednio skórkę.

— Możesz mnie nazywać William — powiedziałem protekcyjnie — i mówić po francusku.

— Wyobrażam sobie, Williamie — zaczęła ochoczo rozprawiać Ingolinda — że wytwornego stylu życia można się nauczyć tylko w Paryżu!

Z kiści przyniesionych winogron oderwała grono, wzięła je między wargi i podsunęła ku moim chciwie otwierającym się ustom, po czym tak zręcznie wypuściła, że stałem się więźniem jej wspaniałych piersi, w których dolinę spadały teraz naprzeciwko mych spragnionych ust nabrzmiące sokami owoce. Wystarczająco licznie toczyły się również po mnie, pokrywając moje spodnie, tak że dama z Metzu poczuła się zmuszona nie dopuścić, aby się coś zmarnowało. Ze zręcznością złodzieja kieszonkowego odsłoniła wnet mój winogronowy tłoczek, cmoknęła go na powitanie, uniosła suknię i zamknęła go w połyskującej wilgocią piwnicy; z zapalem jęliśmy tłoczyć wino.

Po tym, jak przegnano mnie z izb czeladnych w królewskim zamku w Paryżu — gdzie próbowałem miękkości białych brzuchów dobrodusznym kucharek, poznałem żyłaste boki praczek, co nigdy nie miały czasu pokrzepić się żartobliwym słowem, penetrowałem krągłości chichoczących pokojówek, które ze względu na suknie pozwalały się w kątach ścisnąć tylko na stojąco, doświadczyłem przytulności swojskich stogów, w których tak miło zaspokajając pożądanie — przez długi czas, w trakcie oblężenia Montségur i podczas późniejszej podróży po lądzie i morzu, nie było mi dane zakosztować niewieścich wdzięków. I oto znów doświadczałem rozkoszy miłości!

Ingolinda z Metzu wiedziała, dlaczego została ladacznicą. I pozwoliła, abym ja również się tego dowiedział. Dopiero gdy wytłoczyliśmy wszystkie winogrona, rozlaliśmy całe wino, a ja myślałem już, że nie zobaczę więcej mego tłoczka zdatnym do takich zadań, ze śmiechem zwolniła rytm pracy naszej wytłaczarni, nic wszakże nie wskazywało, że pamięta o przerwie na Anioł Pański i chwili zasłużonego wytchnienia. A mój piwniczny nie ma zwyczaju odchodzić pierwszy.

Jakby odgadłszy konflikt między panem a jego sługą, oznajmiła:

— Nie musisz wynajmować konia, zawiozę cię, gdzie zechcesz, ale za to jutro wieczorem jeszcze mnie poujeżdżasz. — Co powiedziawszy, pocałowała mnie w usta, nim zdołałem się temu sprzeciwić.

— Muszę jechać do papieża! — wyrwało mi się, jakkolwiek nigdy o tym nie myślałem. Jednakże zamiast oczekiwanego onieśmielającego wrażenia, jakie to na mojej damie

---

\* *La grande puttana* (wł.) — wielka ladacznica.

powinno wyrzucić, Ingolinda, *la grande puttana*, roześmiała się głośno.

— Ja też! — Zeszła ze mnie ze słowami: — Zatem do jutra rana! — Memu tłoczkiwi zaś przesłała ręką całusa i dodała: — Do jutrzejszej nocy! — Po czym opuściła mój pokój tak naturalnie, jak się w nim pojawiła.

Byłem zbyt zmęczony, nawet aby się rozebrać, zasnąłem natychmiast i spałem kamieniem, wskutek czego zbudziłem się bardzo wcześnie.

Wymknąłem się cichaczem do studni i znalazłem tam gospodarza, który mrugnął znów do mnie z tą samą plugawą poufałością. Dałem mu jeszcze trzy sztuki złota, wskazałem przy tym niedwuznacznie na wózek ladacznicy i kazałem przyprowadzić konia. Na nędznej szkapie opuściłem po cichu oberżę, z której, jak mi się wydawało, dochodziło chrapanie Ingolindy, i ruszyłem w dalszą podróż na południe w towarzystwie gamoniowatego parobka.

Nie miałem pojęcia, jakie będą moje dalsze losy. Wszystko to źle się dla ciebie skończy, Williamie! powiedziałem do siebie. I niedługo czekałem, aż coś się wyjaśni. Dotarliśmy właśnie do etruskiej Tarquinii, szczęśliwie nie napastowani przez rozbójników, od których roiło się zwłaszcza w pasie nizin nadmorskich zwanych Maremmy. Zbyt rzuciło się chyba w oczy moje odzienie, musiałem działać jak wyłożona przynęta, za którą zatrząskuje się groźna pułapka, tak że żaden zuchwały zbójca nie wyciągnął po mnie ręki. A przecież nie było ze mną nikogo poza gamoniowatym Filipem, który dreptał z tyłu bez słowa i troszczył się bardziej o konia niż o moją osobę.

Raptem wyłoniła się przed nami grupa jeźdźców. Żołnierze papiescy! Przestraszyłem się, mając na sumieniu nieodpowiedni przecież strój. Kapitan przywitał mnie jednak z szacunkiem, po czym zaraz z wyrzutem zauważył:

— Za pozwoleniem, cóż za lekkomyślność! Eminencjo, nie powinniście podróżować tak bez ochrony! Inni panowie kardynałowie już dawno zebrali się w Sutri wezwani przez papieża. Pozwólcie, abym wam towarzyszył.

Teraz mój strach jeszcze wzrósł: kapitan uważa mnie za purpurata, którego chce w uroczystym orszaku doprowadzić do Ojca Świętego! Zaniemówiłem, co zostało przyjęte ze zrozumieniem, jako że byłem cudzoziemcem. Dotarło do mnie tylko pytanie:

— Skąd przybywacie tak późno, eminencjo?

— Pizańczycy... — zacząłem.

— Och, ci podstępni zbrodniarze! — nie pozwolił mi, Bogu dzięki, dokończyć. — Możecie się uważać za szczęśliwca, żeście uszli tym piratom. Ale i tutaj nie jest bezpiecznie — dorzucił, podkreślając swą opiekuńczą rolę. — Roi się tu od żołnierzy cesarza!

Odprawiłem Filipa, od którego odkupiłem szkapę za taką cenę, za jaką w mojej wsi mógłbym nabyć czterokonny zaprzęg. Parobek chciał jeszcze mimo to pyskować, lecz

kapitan raz, dwa go przepędził.

— Na pewno jest spod Pizy! Należy się tylko cieszyć, że wam nie odciął nocą głowy i sakiewki!

Jechaliśmy w milczeniu, kierując się w głąb kraju. W mojej pełnej zamętu głowie krążyła tylko jedna myśl: w ten sposób żadną miarą nie mogę się pokazać Ojcu Świętemu na oczy. Co za hańba dla zakonu, co za strapienie! Nie mówiąc już o przesłuchaniu, na które byłbym narażony! Od Scylli do Charybdy!... Och, gdybym nie był wyrzucił mego habitu! Święty Franciszku, tak karzesz pyszałka! Muszę pozbyć się tego diabelskiego czerwonego stroju, który mi teraz pali skórę, wymienić go na jakikolwiek łachman! Ale jak? Gdybym spostrzegł jakiegoś ubożego braciszka, mógłbym odejść na stronę niby to za potrzebą, choć wcale nie musiałbym udawać: moje kiszki już dawno zbuntowały się ze strachu i wzburzenia! Weź się w garść, Williamie, zachowaj jasny umysł: żaden franciszkanin nie wda się w taką wymianę, żaden nie sprzeda ci swej brązowej honorowej sukni, symbolu ubóstwa, i nie będzie biegał za twym przykładem jak farbowany lis!

— Dlaczego papież przebywa w Sutri?

Zaledwie te słowa wymknęły się z moich głupich ust, już ich pożałowałem. Jako kardynał powinienem zapewne wiedzieć, co wypędziło Ojca Świętego z Rzymu, jednakże kapitan uśmiechnął się wyrozumiale.

— W Civitacastellana już byście go nie zastali, bo fortyfikacje tego miasta wydały się szlachetnemu panu z Capoccio niewystarczającą gwarancją bezpieczeństwa Jego Świątobliwości... — Zmierzył mnie badawczym spojrzeniem, jakby chcąc sprawdzić, co o tym sądzę. Nie wiedziałem, jak inaczej mogę sobie pomóc, więc mrugnąłem chytrze do niego. — Zapewne słusznie, skoro kardynał Capoccio we własnej osobie rozdrażnił Hohenstaufa! — wyraził własne zdanie, nabrawszy widać do mnie zaufania. — Komu ja dam się we znaki, tak jak...

Teraz wzbudziły się w nim jednak wątpliwości co do mojego punktu widzenia.

— Jestem Francuzem z Północy — pospieszyłem z zapewnieniem. — Wszystkie te rzymskie intrygi...

— A ja Genuńczykiem — podziękował mi za możliwość wynurzeń. — Przychodzimy z pomocą papieżowi Innocentemu, który przedtem był naszym wielce szanowanym biskupem i jako taki dobrym przyjacielem cesarza. Ale chociaż Fryderyk ustawicznie faworyzował Pizę, nie jesteśmy wrogami Cesarstwa!

— Dla dobra chrześcijaństwa — westchnąłem, jako pełen odpowiedzialności purpurat, na którego barkach ciążyą troski Kościoła — powinni się zjednoczyć!

— A pewnie, eminencjo, tyle że wśród czerwonych sutann, wybaczcie *vox populi*\* jest parę wilków, nie czarnych owiec!, które doskonale wiedzą, jak temu przeszkodzić. Ojciec Święty udał się do Civitacastellana, bo wielu rozumnych mężów, podobnie jak

---

\* *Vox populi* (łac.) — głos ludu.

wasza eminencja, nakłaniało go, żeby się porozumiał z cesarzem. Fryderyk jak lwica, której odebrano młode, wypadł z Toskanii, aby odebrać Viterbo najgorszemu z wilków, kardynałowi Rajnerowi z Capoccio, który je w sposób nikczemny przejął w osobiste posiadanie...

— I papież nie mógł...? — zapytałem oburzony. Było mi to wszystko obce, lecz tego nie należało okazywać.

— Nie miał innego wyjścia, jak udawać, że nie wie o niczym. Zganił kardynała publicznie, a viterbczyków, którzy najmniej zawinili, ukarał grzywną.

— Która zasiliła jego wojenną kasę? — domyśliłem się.

Kapitan skinął głową. Nie pochwalał tego, ale pojmował.

— Ojciec Święty — roztrząsał sytuację — lęka się, że kiedyś w ogóle przyjdzie mu wystąpić przeciw Fryderykowi...

— Stąd zatroskanie wobec przebiegłości Hohenstaufa jest na wskroś uzasadnione — wniosłem i ja swój wkład, co z wdzięcznością zostało przyjęte.

— Tak, cesarz przez niespodziewany wypad mógłby pojmać papieża! Z drugiej strony — ciągnął swój wywód gadatliwy kapitan — strach Innocentego może się brać stąd, że mogłoby mu się przydarzyć to, co jego poprzednikowi, który ledwie pozwolił sobie okazać wobec cesarza pewną gotowość do zawarcia pokoju...

— ...a zadziwiająco szybko został powołany do boskiej chwały! — dokończyłem.

— Szary Kardynał — szepnął i po raz pierwszy usłyszałem o tej tajemniczej instytucji, o tej upersonifikowanej żądzy władzy, o nastawionej na doczesne sprawy kurii, która z niewypowiedzianą groźbą siedziała papieżowi na karku jak zmora. — Tylko tak długo, jak długo udaje się Ojcu Świętemu utrzymać klątwę przeciw Fryderykowi, jest pewien swego zycia! — zwierzył mi kapitan papieskiego wojska i w końcu pojąłem, że rozwiązanie problemu nie może być proste.

— Ale cesarz pragnie właśnie uchylecia tej klątwy *a priori*\* — strzeliłem na chybił trafił, szukając godnego zakończenia.

Znalazłem je w samą porę, przed nami bowiem wynurzył się spośród drzew zamek w Sutri. Chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej o delikatnym przedziwie rzymskiej kurii, ale mój kapitan pogalopował teraz na czoło swego oddziału, chyba z respektu wobec napawającego wszystkich strachem Rajnera z Capoccio, który, jak się wydawało, bardziej niczym kuglarz w teatrze marionetek niż jako zwyczajny kardynał pociągał tutaj za sznurki. Na nich wisiał więc także mój pan papież. Williamie z Roebruku, mały mnichu w przywłaszczonej purpurze, jesteś tylko pyłkiem, na który ci dostojni panowie mogą nadepnąć przez nieuwagę, bo jeśli im się przypadkiem narazisz, wówczas zapewne rozgniotą cię jak wesz. Znowu zrobiło mi się niedobrze. Spotęgował to widok

---

\* *A priori* (łac.) — z założenia, z góry, uprzedzając fakty.

czarnych murów, co wznosiły się pośepnie za wałami z omszałych ciosowych bloków, z pewnością o wiele starszych niż rzymskie imperium. Skały wulkaniczne, przebiegło mi przez głowę. Takie są chyba tajemne wrota piekieł, którymi wychodzi zły duch i sprawuje swoje panowanie na ziemi. Tamtędy przeciąga biedne dusze, które przez lekkomyślność, ciekawość lub niechrześcijański sposób życia przypadły mu w udziale. Biada ci, Williamie, prawdopodobnie zwęszył już twoje przyjście! Mijany właśnie rzymski amfiteatr, jak wykarbowany z ciemnych murów, przywiódł mi od razu na myśl taneczne klepisko czarownic i koboldów. To tutaj Belzebub musiał świętować w Noc Walpurgi, gdy przez którąś z jaskiń wydostawał się na górę z głębokości swego kasztelu lub z upragnioną zdobyczą, śmiejąc się szyderczo, zjeżdżał w dół!

Na górę do warownego zamku dojechaliśmy wózem. Żadnej szansy ucieczki! Moja eskorta zsiadła z koni, skłoniła się przede mną, sięgnąwszy do sakiewki, nagrodziłem ją hojnie, straż przy bramie salutując uniosła włócznie i ruszyłem kamiennym podejściem dalej.

Także drugi łańcuch straży, przy schodach, pozwolił mi przejść bez przeszkód. Niechby mnie złapali, zdemaskowali, wtrącili do najgłębszego lochu! Wszystko wydawało mi się lepsze niż ta straszliwa siła przeznaczenia, która niosła nieszczęsnego Williama z Roebruku jak napuszonego pawia, na dodatek ogniście czerwonego, przed tron Jego Świątobliwości.

Wypatrywałem, czy nie istnieje jakaś możliwość ucieczki, wszędzie jednakże przebiegała w pośpiechu służba, pozdrawiali mnie pobożnie diakoni, a dookoła stali uzbrojeni żołnierze. Jakże chętnie zniknąłbym po prostu za drzwiami pierwszej lepszej izby, wyskoczył oknem do fosy czy też zamknął się w miejscu, gdzie zaspokaja się potrzeby naturalne!

Znajdowałem się coraz bliżej pomieszczeń, w których miała się dokonać moja egzekucja; zauważyłem to po narastającej gorączce i ścisku. I wówczas podszedł do mnie młody dominikanin o bladej, uduchowionej twarzy.

— Wybaczcie, że zakłócam spokój, ale wasza eminencja powinien się teraz pilnie przebrać.

Przestraszyłem się okropnie i stropiłem. Stało się! I oto nagle — zaiste, diabeł musiał tkwić w tych szatach! — usłyszałem, jak mówię:

— Muszę iść do Ojca Świętego, mój synu!

Czy naprawdę oszalałem, żeby tak wyzywać los? Na szczęście jednak młody dominikanin nie pozwolił się wyminąć. Uśmiechnął się pobłaźliwie — z purpuratami trzeba postępować wyrozumiale, zwłaszcza jeśli są tak ubodzy w lata i przy tym tak opaśli jak ja, typowe tuczone ciele oszukańczej kariery!

— Ojciec Święty oczekuje waszą eminencję przygotowanego do podróży — oświadczył zdecydowanie i pstryknął palcami na pazia: — Zaprowadź jego eminencję do wolnej

komnaty i przynieś ubranie. — Otaksował mnie rzeczowo i z pewnym współczuciem dodał: — Odpowiednie ubranie!

Lekko skinąwszy głową przekazał mnie paziowi, który zawołał skwapliwie:

— Wszystko będzie, jak trzeba, Fra' Ascelin!

Ruszył przodem, po chwili zatrzymał się i prawie wepchnął mnie do jakiejś izby, gdzie stało tylko łóżko i zydel.

— Musimy się bardzo spieszyć, wszyscy są już gotowi!

Zwietrzyłem niepowtarzalną szansę, toteż sięgnąłem znów do sakiewki.

— Gdybyś mi mógł przynieść jakąś prostą zakonną suknię, może habit franciszkański...?

— Mamy wszystko na składzie, dostojny panie. — Schował monetę. — Ale właściwie nie powinien to być strój duchowny — wyjąkał zakłopotany. — Wasza eminencja powinien wyglądać jak świecki pan...

— Jeśli wpadnę w ręce władcy tego świata, rozpozna mnie w każdym przebraniu — pocieszyłem go. — Ja zaś chciałbym w skromnym stroju udać się przed tron mego Stwórcy — skończyłem z namaszczeniem.

Młodzieniec wyszedł, jak mi się wydawało, pod głębokim wrażeniem moich słów.

Nie mogłem niczego pojąć. Szybko pozbyłem się czerwonych szat i rzuciłem je na podłogę. Nie chciałem jednak być niewdzięczny, przecież to one przywiodły mnie tutaj, podniosłem je zatem i ułożyłem starannie na łóżku. Kto wie, może będę ich jeszcze potrzebował? A może lepiej w ogóle nie pozostawić po sobie śladu?

Podszedłem do ściennej szafy, otworzyłem drzwi, uderzył mnie zapach pleśni wydobywający się ze szczeliny w tylnej ścianie, która dała się przesunąć w bok. Czyżby tajne przejście?

Jeśli teraz nie ucieknę, nie będę miał prawa robić jakichkolwiek wyrzutów memu niebiańskiemu stróżowi! Tak więc w samych gaciach po omacku zacząłem posuwać się do przodu. Niestety, już za pierwszym rogiem ucieczka się skończyła. Zagroziła mi drogę drewniana przegroda, prawdopodobnie znowu jakaś szafa z przejściem. Właśnie chciałem się wycofać, gdy usłyszałem głosy.

— ...czy butny pan z Cortony złapie się na przynętę?

— Eliasz pragnie akurat przysłużyć się swemu władcy, eminencjo! — To mówił przecież młody dominikanin, który mnie przyłapał w sieni, ten Fra' Ascelin! — Myślę — ciągnął — że jeszcze dziś nocą pod osłoną ciemności trzystu tokańskich jeźdźców wpadnie tutaj, aby porwać pana papieża!

Pot wystąpił mi na całym ciele: oto spiskowano przeciwko Najwyższemu Kapłanowi chrześcijaństwa, a ja, William z Roebruku, którego właściwie w ogóle nie powinno tutaj być, ja, zawieszony między purpurą i habitem, to znaczy w gaciach między dwoma szafami, byłem jedynym świadkiem knowań i nie mogłem nic uczynić! Trzeba więc

wracać, nim paż... Jednakże moja ciekawość była silniejsza.

— Kiedy posłaniec, mam nadzieję broczący krwią z ran odniesionych w walce, przybędzie z tą wiadomością z Civitacastellana?

Głos pytającego miał w sobie coś, co mnie zmroziło do szpiku kości, aż zadrżałem.

— Kiedy wasza eminencja sobie zażyczy! — odpowiedział dominikanin.

Przycisnąłem oko do dziury po wypadłym sęku. Czy to ten straszliwy Capoccio albo nawet sam Szary Kardynał?

Zacząłem szczerkać zębami. Zobaczyłem tylko rękę, która się wysunęła z rękawa, i przelotnie profil szczupłego mnicha, co wskazywałoby na ucałowanie pierścienia.

— Zaczekaj, Anzelmie z Longjumeau. — Młody mnich zatrzymał się posłusznie.

— Jakie znaczenie ma tych dwoje infantów, których Hohenstauf kazał uratować z Montségur?

Nastała chwila milczenia, nim padła odpowiedź, podczas gdy ja znów pokryłem się kroplami potu: teraz szatan nabił mnie na widły! Zrobiło mi się zimno.

— Wcale nie jest pewne, czy Fryderyk wie o tym — odezwał się z namysłem dominikanin. — Pojawili się tam dwaj zobowiązani mu do wierności rycerze, jeden z zakonu krzyżackiego w Starkenbergu i jeden poganin, którego nasz najwyższy obrońca chrześcijaństwa własnoręcznie pasował na rycerza...

— Wiem — rozległ się głos kardynała. — Syn wezyra. Szkoda, że nie możemy z tego zrobić użytku. W każdym razie nie teraz i nie tutaj.

Wydawało mi się, że usłyszałem westchnienie. Mnie tymczasem spadł kamień z serca. A więc uciekli i jak dotąd ich nie złapano! O mnie w ogóle nie było mowy. Czy nie powinienem się rozgniewać z powodu urażonej dumy? Chyba jednak lepiej się cieszyć. Ci za ścianą nie sprawiali wrażenia, że robiliby wiele ceregieli z nic nie znaczącym franciszkaninem, który świadomie i umyślnie, czy nawet wbrew swej woli, uczestniczył w tego rozmiaru przysiężeniu przeciwko Kościołowi.

— Nie interesuje mnie ich pochodzenie czy droga ucieczki, lecz ich rola. Dlaczego Francuzi tak bardzo chcą dostać te dzieci?

Zapadłe na chwilę milczenie sprawiło, że zatrwodziłem się o los dwóch maleństw, którym tyle uwagi poświęcały te budzące zgrozę osoby.

— Nawet Wit z Viterbo zapomniał, jak się zdaje, po cośmy go delegowali na dwór w Paryżu. Zachowuje się, jakby był posłem królewskim w specjalnej misji! Tylko te dzieci mu w głowie! — Kardynał był wyraźnie rozgniewany.

— Król Ludwik nie wie nic o zagrożeniu, jakim są te dzieci dla dynastii Kapetyngów...

— Czyż one mogą komukolwiek zagrozić — jego eminencja pozwolił sobie przez chwilę na ślad ludzkiego uczucia — skoro wy, *canes Domini*, zaczęliście węszyć?

— Akurat zgubiliśmy ślad. — Fra' Ascelin sformułował to wyznanie tak lekko, jak



tylko było możliwe. Zapadło milczenie.

Zapukano do drzwi i jakiś głos oznajmił:

— Przejeliśmy pismo dla Eliasza z Cortony...

— Pokażcie... — powiedział Fra' Ascelin, jednakże kardynał musiał mu je wyrwać grubiańsko z ręki, drzwi szafy bowiem otwarły się nagle i prosto w kierunku moich piersi pofrunął pergaminowy zwój.

— Na to będzie czas później...

Stałem jak skamieniały, wstrzymując oddech, gdyż wpadające światło oślepiło mnie i bałem się, że zostanę odkryty.

— Dopilnuj, żeby to spakowano wraz z pozostałymi rzeczami i potem mi przedłożono! — polecił kardynał, wyraźnie zajęty innymi problemami, i zatrzasnął drzwi szafy. — Stwierdzam — jego eminencja odnalazł swą dawną nieprzystępność, a jego głos odzyskał lodowaty ton — że cesarz nie wie o niczym, że król nie wie o niczym, że papież nie wie o niczym, w każdym razie nic, o czym ja bym nie wiedział, tylko moja tajna służba ma, jak się zdaje, tak niewiele do roboty, że wymyśla sobie spiski, które w ogóle nie istnieją.

— Proszę mi wybaczyć, eminencjo, są jeszcze inne siły...

— ...którymi nie zaprzętaj sobie dłużej głowy, Anzelmie z Longjumeau — przerwał mu szorstko zimny głos — ażebyś mógł wreszcie poświęcić się zadaniom w tej chwili pilniejszym!

Milczenie, kroki, drzwi zamknęły się.

Ani chybi diabeł mnie opętał w tych gaciach. Elias z Cortony, generał mego zakonu, został wprawdzie złożony z urzędu, a w dodatku ekskomunikowany, jednakże wciąż był jeszcze kimś, może więc do niego powinienem się zwrócić? Z pewnością zyskałbym jego przychylność, wręczając mu jako gościniec ten przechwycony przez wrogów dokument. Macałem w ciemnej szafie szukając zwoju ostrożnie, jakby to była jadowita żmija, a znalazłszy wsunąłem do gaci; gdzież poza tym mógłbym go jeszcze wetknąć? Jeśli mnie złapią, będę tak czy tak zgubiony i zadyndam na stryczku, nieważne, czy tylko jako zwykły szpieg, czy jeszcze do tego jako złodziej, a zresztą, powiedziałem sobie, co nazywa się tutaj kradzieżą?

Popędziłem z powrotem do izby i rzuciłem się na łóżko. W samą porę, bo właśnie nadbiegł paź.

— Jest tylko czarny habit, brązowego nie ma w odpowiednim rozmiarze, ale to przecież bez znaczenia.

Musiał to wiedzieć. Ja nie wiedziałem nic, nie mogłem jednak dać tego poznać po sobie. Naciągnąłem zatem habit benedyktyński.

— Raczcie tutaj czekać, eminencjo, aż ktoś przyjdzie po was — powiedział chłopiec i zamknął drzwi.

William z Roebroku w przedpokojach papieża, pomyślałem. Czy nie był to znak, że powinienem może wypowiedzieć się przed Nim ze swojej historii, ulżyć swemu sumieniu, uwolnić się od wątpliwości? „W Twoje ręce składam swój los...”

Tak, to był krok, który musiałem zrobić, po to mnie Pan tutaj przyprowadził. Niezbadane są drogi Pańskie, chcę pójść za tym znakiem, teraz, tutaj, natychmiast. Czyż nie powinienem ostrzec Ojca Świętego przed tym, co się rozgrywa za jego plecami? Albowiem Pan oświeca i osłania mnie, Jemu chcę być posłuszny!

Otworzyłem ostrożnie drzwi i znalazłem się w sieni. Ciężka zrzęda, ale dziwne napięcie wisiało w powietrzu. Jak przed burzą. Także moja dusza potrzebowała oczyszczenia! Zawsze o tym marzyłem: Ojciec Święty w jasnych wysokich pokojach, ściany zawieszane drogocennymi gobelinami, świadkami wielkiej historii Kościoła i jego męczenników, na suficie freski w wesołych kolorach, sceny niebiańskiego panowania i chwały. A tymczasem teraz znalazłem się w przygnębiająco ciemnych korytarzach, gdzie ledwie wpadał promień słońca; pierwsze pokoje, do których zająrzałem, były skromne, bez żadnych ozdób, ba!, podupadłe. Ten sam łańcuch straży, który dopiero co przede mną salutował, nie zagroził mi teraz wprawdzie drogi, ale oficer kazał mnie obszukać, czy nie mam przy sobie broni. Ukryty w spodniach zwój pergaminu przetrwał próbę ogniową; nie parzył mi skóry, lecz oparł się niby soplem lodowym tam, gdzie normalnie mój tłoczek miał swoje stałe miejsce.

Jak aresztant zostałem poprowadzony do komnat, prowizorycznie zamienionych na pomieszczenia urzędowe. Jako kardynał mógłbym przez nie przejść z głową podniesioną lub „pograżony w myślach”.

Nie tak wyobrażałem sobie przedpokój sali tronowej Jego Świątobliwości. Tymczasem zobaczyłem na wpół zrujnowany, bez dostatecznego ciągu kominek, z którego uchodził do przepelnionego pokoju niebieskawy dym ze zbyt mokrego drzewa, żołnierzy grających w kącie w kości, a na środku, w charakterze bariery, podłużny dębowy stół pełen tłustych plam, kałuż czerwonego wina i okruchów jedzenia; za stołem siedział sekretarz, który nie podnosząc wzroku spytał protekcyjnie, czego sobie życzę. Zabrakło mi słów.

— Do kogo jesteście zamówieni? — dorzucił mrukliwie.

— Moja dusza jest zagubiona — odpowiedziałem zgodnie z prawdą; zaszczylił mnie krótkim, podejrzliwym spojrzeniem.

— Nic dziwnego, w tym domu wariatów... — zażartował pisarz przebiegający z rękoma pełnymi pergaminowych zwojów i zachęcająco wyszczerzył do mnie zęby.

— Potrzebuję pomocy... — ciągnąłem swoje nie przygotowane wyjaśnienie.

— Na miłość boską! Żadnych petentów! — syknął do sekretarza chudy, wysoki prałat, nim przeszedłszy obok nas nie zniknął w otwartych drzwiach prowadzących do dalszych pokojów. To tam musiałem dotrzeć, tutaj był tylko czyszciec. A ja, głupiec,

oczekiwałem, że zostanę zaprowadzony wprost do Ojca Świętego, który na mój widok od razu się podniesie ze swego tronu i ze słowami: „W końcu przybyłeś!”, przyciągnie do siebie klęczącego mnicha z Roebruku i powie dobrodusznie: „Powiedz nam o wszystkim, co cię dręczy, Williamie!” Ale jak miał papież mnie rozpoznać, skoro nie nosiłem brązowego habitu franciszkanina?

Sekretarz zabębnił naraz palcami po blacie stołu. To wyrwało mnie z marzeń.

— Muszę się dowiedzieć, jakie znaczenie mają dzieci — szepnąłem w rozpaczy.  
— Mogę zwierzyć dziwne wydarzenia, ale tylko uszom Najwyższego Kapłana. Chcę się wypowiedzieć Ojcu Świętemu!

Kilka osób obróciło oczy ku pokrytemu sadzą sufitowi, inne zachichotały. Sekretarz, jak się zdawało, przywykł radzić sobie z pomyślnymi.

— Ojciec Święty uczestniczy teraz w ważnych obradach — z uprzejmą rutyną poinformował głupkowatego mnicha. — Gdybyś mógł, bracie, swoją prośbę z dokładnym opisem wszystkich wizji, jak również dotychczas poniesionych kosztów, przedstawić na piśmie, zostanie przedłożona Ojcu Świętemu! — Na tym cała sprawa była dla niego zakończona.

Nie wziął wszakże pod uwagę mojego flamandzkiego uporu.

— Te wizje są z krwi i kości — oburzyłem się, podnosząc głos. — Muszę mówić z samym dostojnym papieżem. — Przerażony własną śmiałością, ostatnie słowa wymówiłem szeptem.

Zza drzwi bocznego pokoju odezwał się czyjś głos. Fra' Ascelin!

— Co to za wiadomość?

Sekretarz odpowiedział:

— Pilna i tajna.

— Czy on krwawi?

Sekretarz popatrzył niedowierzająco na moje ręce i stopy, jakby spodziewał się na nich odkryć stygmaty ran Chrystusa. Z uśmiechem pokazałem dłonie.

— Nie — zawołał sekretarz — jest całkiem zdrowy!

— To przepędź go precz!

Ubiegłem go; nim ktokolwiek zdołał mnie zatrzymać, opuściłem spiesznie ten pokój pełen niebezpiecznych błaznów. W drzwiach omal się nie zderzyłem z posłańcem; krwawiąc z poranionego czoła i ramienia, w poszarpanym skórzanym kubraku, otoczony gromadą podnieconych strażników, którzy nie wiedzieli, czy powinni mu pomóc czy przeszkodzić, torował sobie drogę do przedpokoju sali audiencyjnej.

— Zdrada, zdrada! — wysapał. — Hohenstauf...!

Sekretarz zerwał się z miejsca.

— Trzymajcie go!

Pomyślałem, że chodzi o mnie; ogarnięty panicznym strachem, popędziłem przez

korytarze, potem schodami w dół, w końcu przebiłem się od tyłu przez zmieszane straże, które właśnie pospiesznie usiłowały zamknąć ciężkie skrzydła bramy.

W ten sposób wyrwałem się z tej warowni diabła. Tylko kto kazał mi się tam udać? Poślizgnąłem się na kamiennym bruku, potknąłem o korzeń drzewa, ogień rozpalił się wokół mej głowy i jak ogłuszony padłem na ziemię.

Przypomniała mi się chata Loby, cios, który tam otrzymałem, buchające z trzaskiem płomienie... Tętent kopyt i szczęk broni przywróciły mnie teraźniejszości. Przedemną rosło drzewo. Rozwinąwszy nie podejrzewaną przy mojej otyłości niezwykłą żywość ruchów i postępując z wysiłku zacząłem się wdrapywać między gałęzie. Zatrzymałem się dopiero, gdy byłem pewien, że skryłem się przed wzrokiem moich prześladowców. Zły duch upatrzył sobie ciebie, Williamie, znowu mu się jednak wymknąłeś! Jeszcze nie mogąc złapać oddechu zauważyłem, że zapadła ciemność i łaskawie otuliła mnie pośród listowia. Panie, niech będą Ci dzięki!

W pełnym zaufaniu do Niego wspiąłem się tak wysoko, że mogłem spojrzeć ponad murami. Wszędzie w oknach zamku migały teraz światła, przemykały pochodnie i cienie, rozbrzmiewały wołania i rozkazy, słychać było nawet jęki. Fantazja podsuwała mi obrazy, jak to w sypialni papieża pokojowcy pomagają ubrać się Innocentemu, jak w przedpokoju kardynał Rajner nagli do pośpiechu, a jego owczarek Fra' Ascelin przeczesuje pokoje i zagania do stada moich przebranych kolegów. Także papież nie włożył zapewne białej peleryny, lecz ubiór prostego jeźdźcy. Zdenerwowani kardynałowie i prałaci tłoczą się wokół niego, wszyscy podobnie jak on w nie rzucających się w oczy strojach, i gdyby tu i tam nie błysnął kosztowny miecz albo pierścień na palcu, można by ich łatwo uznać za różnorodne towarzystwo myśliwych.

Na zamkowym dziedzińcu konie parskają i niecierpliwie grzebały kopytami ziemię. Po blankach chodzili łucznicy. Ledwie odważyłem się oddychać. Gdyby usłyszeli jeden podejrzany szelest, przemieniliby mnie w świętego Sebastiana, nim znalazłbym się ponownie na ziemi.

Skrzydła wrót rozwarły się, wyskoczyła straż przednia, a zaraz potem armia jeźdźców. Tam gdzie ciżba była najgęstsza i tarcze uniesione najwyżej, musiał tkwić On, nieszczęsny papież w ręku diabła! Dokąd tym razem pragnął go ten zły duch uprowadzić?

Dudniąc i pobrzękując piekielna banda zniknęła w mroku nocy, jeszcze tylko kilka pochodni błyszczało jak świętojańskie robaczki. Łucznicy żartując opuścili posterunki.

— W ten sposób pan papież wyjechał!

Nie mieściło mi się to w głowie, ale tak się stało.

Gdy bramę na powrót zamknięto, odważyłem się opuścić mą napowietrzną kryjówkę, by wynieść się stąd jak najprędzej. Tylko dokąd teraz się zwrócić?

## PUNKT PRZECIĘCIA DWÓCH DRÓG UCIECZKI

*Civitavecchia, lato 1244*

Statek, który płynął z Marsylii przez Morze Tyrreńskie, miał sześćoosobową załogę, tak że wraz z rycerzami i ich końmi był w pełni obciążony; waga dzieci praktycznie nie miała znaczenia. Statek był jednak stary, toteż kiedy ostatnim razem na Elbie brano na pokład pitną wodę i żywność, Crean z Bourivanu kazał go jeszcze raz uszczelnić smołą i żywicą, zwłaszcza że port Civitavecchia leżał jeszcze dość daleko na południu.

Cudzoziemska załoga, którą dowodził niejaki Ruiz, nie buntowała się dotychczas, obiecano jej przecież za dostarczenie frachtu na miejsce przeznaczenia tak sówite wynagrodzenie, że po jego otrzymaniu każdy będzie mógł sobie pozwolić na własny statek, a kapitan nawet na trzy. Marynarze twierdzili wprawdzie, że złoto w żadnym wypadku nie jest siłą napędową ich działań, i utrzymywali, że pochodzą z Andaluzji, lecz mówili jakimś przesyconym greckimi wtrętami dialektem, który tylko Crean, dzięki długiemu pobytowi w Achai, z trudem rozumiał. Jednakże traktowali go jako równorzędnego partnera w rozmowie, co nasuwało myśl, że podobnie jak on, zaliczają się do pokrywającej Morze Śródziemne sieci gockiego korsarskiego bractwa. Ludzie ci nie znali strachu, a jeśli schodzili z drogi genueńskim czy pizańskim statkom, to wyłącznie z ostrożności.

Gdy statek dotarł na wysokość głęboko wysuniętego w morze cypla, na którym wznosi się Monte Argentario, wody przy stępce zaczęło nagle przybywać, mimo że nie odkryto nigdzie przecieku. Dzieci nie okazały ani odrobiny trwogi. Czołgały się między zwierzętami, które je szczególnie oczarowały, i zadowolone brały udział w uciążliwym zajęciu marynarzy: wraz z nimi czerpały wodę z łodzi miseczkami do jedzenia i wylewały za burtę. Ale woda podnosiła się nieustannie, tak że w końcu Ruiz zmienił kierunek i posterował w stronę wybrzeża. Słońce stało w zenicie, korzystna bryza pędziła ich na ukos ku brzegowi.

— Tam na południu leży Tarquinia — zameldował Ruiz. — To tylko jeszcze kilka mil, być może...

— Nie zdążymy — wyspał Zygisbert. — Musimy tutaj zejść na ląd.

Crean zastanawiał się krótko.

— Każcie koniom położyć się i przykryjcie je sieciami, nim będzie nas widać z brzegu!

— Wobec tego, panie, pozwólcie też opuścić żagle i zarzucić przynajmniej jedną sieć, inaczej będziemy zwracać na siebie uwagę — dorzucił Ruiz.

I tak postąpiono. Dla Rosza i małej Jezy było to szczególnie podniecające przeżycie, nareszcie bowiem mogli z bliska popatrzeć wielkim zwierzętom w oczy i w chrapy,

wpychać im do pysków źdźbła trawy i wspinać się na ich potężne cielska, zwłaszcza że dorośli nie mieli czasu, by troszczyć się o dzieci. Ukryły się więc razem z końmi pod siecią i głaskaniem i poklepywaniem uspokajały wierzchowce o gładkiej skórze, nerwowo trzepiące ogonami o burty.

— Uważajcie na kopyta! — upomniał dzieci Konstancjusz, na co Rosz odparł obrażony:

— Przecież im nie zrobimy krzywdy!

— Teraz schowajcie się i bądźcie cicho! — zawołał Crean.

Pędzony tylko uderzeniami wiosł, ciągnąc za sobą zarzuconą sieć, statek zbliżył się do wybrzeża na odległość wzroku, jednakże to, co ujrzeli, kazało im natychmiast odstąpić od dotychczasowych zamiarów. Małe grupy jeźdźców przemierzały szlak nadbrzeżny tam i z powrotem i za każdym razem gdy sądzono, że droga jest już wolna, na pagórkach ukazywał się nowy oddział zwiadowczy i rozglądał uważnie, jakby oczekiwał nieprzyjacielskiego ataku — oczywiście nie od strony morza, lecz z głębi lądu.

— Zbyt wiele zaszczytu dla nas! — mruknął Zygisbert, który teraz razem z Konstancjuszem musiał pomagać przy czerpaniu wody, póki dwaj marynarze męczyli się z siecią.

— Byle dużo nie złowili — żartował Konstancjusz — bo rybki będą miały w czym pływać!

Nie zanosilo się wszakże na obfity połów, Ruiz bowiem i jego towarzysze nie wykazywali żadnego doświadczenia w rybackim rzemiośle.

— Ktoś musi wydostać się na ląd i dotrzeć do naszych ludzi w Civitavecchia — powiedział Crean. — Kto wie, co tam się dzieje. Te patrole nie wróżą nic dobrego.

— Ja popłynę do brzegu — Zygisbert zaczął już ściągać koszulę. — Wezmę parę fląder na sprzedaż...

— Na Allaha! Zyskasz tym sympatię u rybaków — zakpił Konstancjusz. — Poza tym wystarczy, żebyś otworzył usta, a zaraz rozpoznają Niemca. To papiescy jeźdźcy...

— A ty, Czerwony Sokole — odezwał się Crean — tym bardziej nie wchodzisz w rachubę. W tobie każdy od razu wywęszy szpiega, a gdyby cię aresztowano, to jeśli nawet nie zawiśniesz na szubienicy, narazisz cesarza na poważne kłopoty. Ja popłynę. — W końcu to Crean był dowódcą przedsięwzięcia i miał prawo podejmować decyzje. — A wy o zmierzchu dopłynicie na odległość tysiąca stóp od latarni morskiej. Jakoś was tam wyłowię.

— Miejmy nadzieję, że nie będzie trzeba — zauważył młody emir, wciąż jeszcze skłonny do żartów. — Do tej pory powinniśmy naszą krypę utrzymać na wodzie!

— A więc bierzcie się do czerpania! — zarządził Crean i wskoczył do morza. Wkrótce w odbłasku popołudniowego słońca nie sposób już było dostrzec głowy pływaka.

— Czy utonięcie jest niebezpieczne? — spytała Jeza rycerza zakonnego.

— Tylko jeśli się połknie zbyt wiele wody — pocieszył ją stary i pogłaskał po gładkich jasnych włosach.

Wszyscy czerpali wodę. Ruiz upiekł na odkrytym ogniu kilka przez przypadek złapanych w sieć ryb, przy czym najpierw trzeba było przewyciężyć protesty Rosza, który nie pozwalał, by tak wesoło trzepoczące diabły morskie ogłuszać uderzeniem i ciąć nożem, a potem jeszcze smażyć. Nie chciał ich także jeść, dopiero gdy rozumniejsza Jeza zaczęła go karmić małymi kawałkami, przełknął parę kęsów.

Oddalili się znów dostatecznie daleko od wybrzeża i płynęli wolno na południe.

W Civitavecchia życie biegło normalnym trybem, chociaż mieszkańcy zauważyli oddziały jeźdźców, które pojawiały się w pobliżu murów, to znowu znikwały, jakby chciały wyszpiegować siłę obrony, nim ruszą do ataku. Papież mocną ręką trzymał to portowe miasto i uścisku nie zamierzał rozluźnić. Miał ku temu ważny powód: położona blisko Rzymu Ostia była ustawicznie narażona na humory rzymskiej gminy, przeważnie nieżyczliwej papieżowi. Dlatego też kuria, szczególnie odkąd Innocenty udał się na północ Lacjum, dużą część ruchu podróźnego kierowała przez ten stary port Etrusków.

Rankiem przyplłynął żaglowiec z Bejrutu, przywożąc dwu wysokich dostojników duchownych z Ziemi Świętej. Chociaż komendant portu zwierzył im w zaufaniu, że mogą tutaj czekać na Ojca Świętego, który wkrótce powinien przybyć, nastawali, aby im przydzielić eskortę do Civitacastellana, ponieważ z wiarygodnego źródła wiedzieli na pewno, że Innocenty tam się właśnie zatrzymał.

Mimo że tak pilnie pragnęli ujrzeć Ojca Świętego, zaszli do portowej tawerny, by przedtem posmakować tokańskiego wina. Gospodarz za punkt honoru postawił sobie dogodzić podniebieniu przybyszów, serwował im zatem na swój koszt najprzedniejszy miejscowy trunek, póki nie musiano ich wsadzić na konie i jeszcze dobrze przywiązać. Gdy chwiejąc się i wśród cierpkiego śmiechu opuścili tawernę, licznie zgromadzeni goście ze zgrozą usłyszeli od pozostałych na miejscu marynarzy, jakie straszliwe nieszczęście wydarzyło się w Ziemi Świętej.

Najlepszym narratorem był bosman. Miał czarną jak smoła skórę i nosił złoty pierścionek w przekłutym nozdrzu, a drugi, olbrzymi, w prawym uchu. Lewego brakowało.

— Chorezmijczycy — powiedział, mieląc to słowo w ustach, aż nieomal krwią spływało — szczep dzikich jeźdźców, uciekając przed jeszcze straszliwszymi Tatarami, wtargnęli do Syrii. Ponieważ Damaszek okazał się zbyt dobrze ufortyfikowany, zwrócili się nagle przeciwko Jeruzalem, które niczego nie przeczuwało... — przewrócił oczyma tak, że widać było jedynie białka — zaskoczyli strażę... — wyciągniętą na płask dłońią

zademonstrował na własnej szyi podcinanie gardła — wyłamali bramy, a potem hańbili mniszki, mordowali kapłanów i wszystkich, którzy nie zdołali się schronić w cytadeli. A wszystko to robili nie zsiadając nawet ze swych zwinnych koni, w pełnym galopie! — Oberżysta postawił narratorowi i jego przyjaciom kolejkę. — Namiestnik — ciągnął bosman, rozkoszując się swą opowieścią — z braku chrześcijańskiego wojska zwrócił się o pomoc do muzułmańskich sąsiadów...

— Hańba! Hańba! — rozległy się okrzyki. — Gdzież się podziewają nasi krzyżowcy? — Na wieść o sojuszu z poganami w słuchaczach wezbrało falą oburzenie. Bosman nakazał spokój.

— Muzułmanie — mówił — nie bili się wprawdzie za chrześcijan, ale uzyskali swobodne wyjście dla ludności, która się schroniła w Wieży Dawida. Nieufni Żydzi zostali, a sześć tysięcy chrześcijan pociągnęło do Jafy, czyli Joppy, jak my ją nazywamy. I wiecie co? Żywych przybyło tam trzystu!

Gniew, oburzenie i niedowierzanie brzmiały w okrzykach, które wybuchły:

— Jeruzalem stracone?

— Tak, stracone ostatecznie! Święty Grób jest już tylko kupą gruzów!

— Panie, przebacz nam nasze winy!

— O mój ukochany Syjonie!

Wielu płakało. Pośród ogólnej rozpaczli gospodarz dolewał wina marynarzom, którym także po policzkach spływały gorące łzy. Jęki i bolesne skargi buchnęły z tawerny, rozchodziły się coraz dalej, jak niewidzialne macki rozpełzały się po ulicach i zaułkach miasta...

Tymczasem na połyskliwej tafli morza widniał niewielki punkt, stateczek płynący z Marsylii z dziećmi na pokładzie. Pod komendą Zygisberta, olbrzymiego rycerza zakonu krzyżackiego, załoga jak szalona wylewała wodę, przesiąkającą jednak wciąż przez zbutwiałe burty; siły ludzi były na wyczerpaniu.

— Niebawem będziemy mieli już tylko wybór między jaskinią lwa a paszczą rekina — rzekł Konstancjusz robiący co w jego mocy, by nastrój przygnębienia nie przerodził się w rozpacz.

— Albo przybędzie statek i wyratuje nas z opresji... — powiedział marząco Zygisbert i wskazał na pełne morze, gdzie od południowej strony ukazał się na horyzoncie żagiel. Nie jeden, wiele żagli! Nadymały się mocno na wietrze i kierowały prosto na stateczek. Wkrótce dało się wyraźnie dojrzeć białe krzyże na brunatnoczerwonym płótnie. — Genuńczycy! — ryknął wściekle. — Przestańcie dawać znaki! Położyć konie!

Łatwo było dać polecenie, trudniej je wykonać, ponieważ zwierzęta mocno się wcześniej wycierpiały, leżąc do połowy w wodzie, teraz więc opierały się jak mogły. Konstancjusz zmusił je w końcu, aby się położyły, dzieci zaś przykucnęły tuż przy



głowach koni i głaskaniem i poklepywaniem dodawały im odwagi. Znów przykryto je siecią, drugą Ruiz zarzucił jeszcze raz w morze, równocześnie sprowadzając łódź z kursu najbliższego genueńskiego kolosa, który kierował się do portu w Civitavecchia.

Ku przerażeniu wszystkich sieć napełniła się szybko, tak że Zygisbert, aby nie wzbudzać podejrzeń, polecił ją wciągnąć. Rozedrgana ławica srebrzystych ryb rozlała się po pokładzie i tak już ryzykownie przeciążonej łodzi, jednakże połów zakrył tajemnicę statku przed oczyma przepływających teraz tuż obok Genueńczyków. Kiedy pomachali załodze, półnadzy Zygisbert, Konstancjusz i marsylczycy odpowiedzieli z uśmiechem na pozdrowienie.

— A teraz precz z tym kramem! — krzyknął Konstancjusz, zaledwie flota minęła ich z łopotem żagli. — Bo nabierzemy wody górą!

Oburącz zaczęli wszyscy wyrzucać do morza wspaniałą zdobycz. Pozostawiono tylko kilka małych rybek, które Rosz i Jeza zgodnie obronili, aby sobie żyły na dnie łodzi.

Potem znowu wzięli się do czerpania wody. Niewiele to wszakże dawało. Z napięciem oczekiwano wieczoru i osłony ciemności.

Papież Innocenty IV i jego orszak, w tym również kardynał Rajner z Capoccio, bez odpoczynku pędzili konno całą noc i cały następny dzień. Tylko w czas południowego skwaru, który dopadł ich przy górze Tolfa, odświeżyli się krótko w rzymskiej termie. Wreszcie wieczorem znaleźli się w ufortyfikowanym porcie Civitavecchia.

Tutaj czekał na nich Wit z Viterbo ze sprowadzoną z Rzymu znaczną genueńską flotą: dwadzieścia trzy galery, każda z ponad setką wioślarzy i mnóstwem zbrojnych.

Zamiast radosnego entuzjazmu — tak w każdym razie wyobrażał sobie Jego Świątobliwość uczucia mieszkańców uszczęśliwionych niespodziewaną wizytą — w Civitavecchia panowało przygnębienie i smutek z powodu utraty Jeruzalem, a chyba także skrywany gniew. Bo gdyby nie ten nieszczęsny konflikt między Fryderykiem a kurią rzymską, cesarz dawno już byłby interweniował w Ziemi Świętej i taka straszliwa hańba zostałaby chrześcijaństwu oszczędzona. Prości ludzie bardzo nad tym boleli, natomiast dostojnikom miejskim, jak również poselstwu przybyłych Genueńczyków z admirałem na czele, wieść owa była nie w smak, niweczyła bowiem ich plany, aby przybycie Ojca Świętego uczcić uroczystą biesiadą. Papież Innocenty, pojmujący oczekiwania i obawy ludu, odprawił mszę na wolnym powietrzu, w trakcie której gorzko opłakiwał utratę świętych miejsc i uroczyste przyrzekł ich odzyskanie.

Kardynał Rajner, klęcząc u boku papieża, *coram publico*\* posypał głowę popiołem. Przeklinał w duchu Jeruzalem, które ściągnęło na siebie uwagę, gdy tymczasem Hohenstaufa, tę zmorę Kościoła, należało postawić pod pręgierzem za zajadłe

---

\* *Coram publico* (łac.) — publicznie.

prześladowanie papieża. Zaledwie kardynał się podniósł, osuszył łyzy i strząsnął popiół z głowy, wezwał Wita z Viterbo. Co tam utrata Jeruzalem! Tutaj szło o losy *Ecclesiae romanae!*\*

Rajner czekał przy blankach portowych obwarowań na swego „posłusznego oprawcę”, jak niegodziwe języki określały szydlerczo ich dziwny, a raczej niewłaściwy stosunek między „mądrą głową” i „głupią łapą”. Kardynał niechętnie pokazywał się z Witem.

— Moja gwiazdo zaranna! — przywitał wchodzącego ponuro po schodach viterbczyka pozdrowieniem, na które Wit za każdym razem od nowa się nabierał, chyba w skrytej nadziei, że kiedyś poczuje tkliwość urodzonej z piany Wenus w lodowatym chłodzie tego nieprzystępnego człowieka władzy. Ten jednak miał na względzie tylko użyteczność bijącej na wszystkie strony okutej żelazem pałki. — Nasza liczna załoga zażywa przyjemności w porcie — dodał zaraz kardynał ostro — zamiast utworzyć wokół miasta kordon uzbrojony od stóp do głów!

— Oszona murów... — próbował przeciwstawić się Wit, lecz kardynał wpadł mu w słowo:

— ...nie będzie żadną przeszkodą dla cesarza, jeśli się dowie o ucieczce Innocentego!

— A dlaczego miałby mu w tej ucieczce przeszkadzać? Ten antychryst będzie się cieszył!

— Cóż ty wygadujesz, Wicie?! — zdumiał się kardynał, którego wciąż od nowa zaskakiwała niesłychana ignorancja viterbczyka. — Cesarz nie chce papieża przepędzić, lecz go zatrzymać. Niech siedzi w Rzymie z łaski Fryderyka, niech będzie pierwszym kapłanem Świętego Cesarstwa Rzymskiego i ani więcej, ani mniej! Bezwolny, całkowicie do usług Hohenstaufa! — drwił Capoccio.

— Ale w końcu kazałby go zgładzić! — wybuchnął Wit zdenerwowany. — Innocenty... wybaczenie, Ojciec Święty nie byłby nigdy pewien życia!

— Widzę, że nie rozumiesz żadnego z nich. Hohenstaufowi niepotrzebny jest martwy papież, następny mógłby być jeszcze bardziej oporny! Niepotrzebny mu wzbudzający współczucie męczennik na wygnaniu. On chce mieć na stolcu Piotrowym kukłę ozdobioną tiarą!

— A czego chce papież?

Capoccio nie odpowiedział. Na schodach pojawił się Anzelm z Longjumeau.

— Fra' Ascelin! — zawołał kardynał łaskawie i chyba także z ulgą; cenił ambicję i bystrość młodego dominikanina. — Chodź tutaj i udziel panu z Viterbo krótkiej lekcji o konflikcie interesów Kościoła i imperium, tylko szybko!

Kardynał podszedł do krawędzi murów i zajął miejsce pomiędzy blankami, gdy

---

\* *Ecclesiae romana* (łac.) — Kościół rzymski.

tymczasem dominikanin skłonił się przed Witem z przesadną grzecznością.

— Papiestwo — zaczął — musi się uwolnić od zaciskających się wokół niego kleszczy cesarstwa, którego marchie rozciągają się już od niemieckiej Północy po Toskanię i Spoleto. Na Południu tymczasem rozrasta się chwast normańskiego królestwa, a jego zielsko owija się już dokoła Gaety. — Ascelin odchrząknął i popatrzył na Wita, który cierpliwie słuchał wyводу, stojąc z opuszczoną jak byk głową. — Jeśli chcemy zachować dla Kościoła jego przyrodzony stan, musimy odgiąć jedno ramię tych kleszczy, najlepiej zaś obydwaj! Z Hohenstaufami nie będzie pojednania, bo zanadto we władzy i jej owocach zasmakowali...

— A stara prawda powiada — wmieszał się kardynał, którego spojrzenie powędrowało w zamyśleniu od Wita i jego nauczyciela gdzieś ponad port i morze — że jeśli drzewa nie można przystrzyć, trzeba mu uciąć pień, nim korzenie rozsądzą mury.

— Załóżmy, że powiedzie się to wielkiemu ogrodnikowi — próbował się podchlebić Wit. — Co stanie się potem z dziko rosnącym ogrodem Europy?

— Zasadzimy jedną roślinkę na Sycylii, może nawet drugą w Neapolu, będziemy je ochraniać i pielęgnować — uśmiechnął się Fra' Ascelin. — Od północy wyrasta nieprzenikliwy żywopłot z wolnych miast Lombardii, a po drugiej stronie Alp w odpowiednim czasie jakaś niesforna latorośl być może ogłosi się królem. Jeśli Fryderyk zechce cesarskiej godności, wówczas obyczajnie ostrzyżony, z ofiarnym koszyczkiem pełnym wybornych owoców będzie musiał się udać do Rzymu, aby oddać pokłon najpiękniejszemu i największemu ze wszystkich kwiatów...

— Nie wyobrażam sobie, by kiedykolwiek Fryderyk tak się poniżył — ośmielił się wtrącić Wit, jednakże groźne spojrzenie kardynała kazało mu zamilknąć.

— To koty będą mu szczać na korzenie! — ostro rzekł młody dominikanin. — Mszyce uszkodzą mu pędy! Gąsienice i inne robactwo pożrą jego liście, ptaki niebieskie rozdziobią mu owoce, dzikie zwierzęta połamią gałęzie, a nocą...

— ...zetniesz piłą jego pień? — zakpił Wit.

— Do tego rodzaju działań ty jesteś najodpowiedniejszy, Wicie z Viterbo — powiedział chłodno kardynał, który stojąc przy murze nie spuszczał teraz oczu z zakonników. — Ale godzina sprawiedliwości jeszcze nie nadeszła.

— Dlatego też jesteśmy zmuszeni — ciągnął podniecony Ascelin — na krótki czas przesadzić z Rzymu Chrystusową różę, symbol czystości i niebiańskiego dobra, wraz z całym krzewem, do bezpiecznego ogrodu pobożnego Ludwika...

— Nie zwlekajcie — przerwał kardynał niecierpliwie, opuszczając swe miejsce przy murze — i zatroszczcie się o to, żebyśmy mogli wszystko przeprowadzić, zanim Hohenstauf...

— Jego armia kolejny raz zaległa bezsilnie pod bohaterskim Viterbo! — chciał przebić atutem Wit.

— Tylko dlatego, że oszczędza jeszcze ten gród, aby nie zaszkodzić rokowaniom — westchnął kardynał, chyba bardziej w przekonaniu, że Wit nigdy nie stanie się użytecznym strategiem, niż ze współczucia dla rodzinnego miasta ich obydwu.

— Wygodnym traktem z Tarquinii Fryderyk mógłby przybyć tu szybciej, niżby nam odpowiadało. O tym właściwie chciałem zameldować — skończył swój wywód dominikanin, ucałował pierścień kardynała i z lekkim ukłonem w stronę Wita oddalił się schodami w dół.

Wit, o głowę wyższy od kardynała, był do niego podobny jak dwie krople wody, tylko rysy miał grube, chłopskie. Stał przed wyniosłym Capoccim niczym ułożony scholar.

— Pozwólcie, ojcze, że ja także...

— Nie nazywaj mnie ojcem, jeśli łaska, nawet kiedy jesteśmy sami! Siła przyzwyczajenia może spowodować nieopatrzny krok!

Jednakże ostra przygana wywołała sprzeciw potomka.

— Eminencjo — powiedział Wit grzmiąco — spodziewam się, że niezbyt odległy jest dzień, kiedy będę mógł mówić do was nie tylko „ojcze”, ale i „święty”. Tymczasem musi wam wystarczyć, także *privatissime*\* tylko pierwsza część tej formuły. Choćby przez cześć dla mojej matki!

— Taki sam hardy jak ona! — roześmiał się kardynał. — Tylko że ty w głowie zamiast siana masz same wykręty. Ruszaj do roboty!

Wit stał jak podrażniony byk. Jakże nienawidził swego ojca! Nie dlatego, że ten nie chciał się przyznać do własnej krwi, co łatwo mógłby zrobić, lecz dlatego, że na mocy tego „cielesnego poddaństwa” wciąż traktował syna, który przekroczył już czterdziestkę, jak gburowatego przybłądę, ograniczonego pacholka.

— Nasza dusza uciekła jak ptak z sideł myśliwego, sieć ptasznika została zerwana! — dobiegł lekko podchmielony głos z sali, gdzie ucztowano.

— Świętują swą ucieczkę jak zwycięstwo! — zauważył Wit gorzko. — Mieliby z pewnością mniej ochoty do żartów, gdyby znali zwycięzcę.

Ten, do którego odnosiła się ta uwaga, umyślnie udał, że jej nie dosłyszał. Kto był tak głupi, by tego rodzaju myśli ubierać w słowa, nie miał widoków na długi żywot, w każdym razie nie prowadziło to do niczego dobrego. Rzecz godna ubolewania!

— Po co tu jeszcze stoisz? — fuknął niechętnie Capoccio na swego bastarda. Jego gniew wzrastał. — Mam cię popędzić?

— Popędźcie raczej tych panów tam na górze — odparł Wit bezczelnie. — Ranga wasza stawia przed wami zaszczytne zadanie rozwiązania tego biesiadnego stołu: na zewnątrz, na morzu, czyha niebezpieczeństwo. I powiększa się z każdą minutą, którą tutaj spędzamy. Flota pizańska wyćwiczyła się w łapaniu kardynalskich okoni w sieci

---

\* *Privatissime* (łac.) — jak najbardziej prywatnie.

i nie potrzebuje do tego cesarskiego rozkazu!

— Jak kto nie ma w nogach, musi mieć w głowie. Masz rację, mój synu. — Capoccio popatrzył w dół na port. Cóż to byłby za połów!, pomyślał. I oczyma wyobraźni ujrzał obraz, który przysporzył mu nie lada uciechy, musiał go wszakże zachować dla siebie: w sieci trzepocze się nie tylko genueński admirał z łapiącymi powietrze skrzelami, ale także *vicarius Petri*\* jedyny w swoim rodzaju egzemplarz, niepowtarzalny, trzepocze się bezradnie w... nie, nie dziś, nie tak! Nie wolno mi ani tak myśleć, ani tak mówić!

Wit jakby wyczuł te zdradzieckie myśli. W kurii rzymskiej każda ryba tylko czyhała, aby pożreć tę, która była przed nią. Przyszło mu do głowy, że i jego również mogłaby zdobić purpura. Jednakże dostanie się do akwarium *papabiles*\* zależało od tego, czy jego ambitny ojciec długo jeszcze pozostanie szczupakiem wśród karpia w stawie, a nie sam na najwyższym stolcu broniał się będzie przed chciwymi ukąszeniami tych, co cisną się za nim.

— Dla uniknięcia ewentualnego ataku od strony morza proponuję, eminencjo — hierarchia została przywrócona — nakazać wszystkim łodziom rybackim, żeby wypłynęły z portu i towarzyszyły genueńskim galerom aż na pełne morze. Nocą nawet Pizańczycy z trudem będą tam mogli oznaczyć na czas położenie oddalającej się ławicy, a żeby ją zatrzymać, trzeba by uderzenia całej ich floty!

— Mam nadzieję, że nie oczekujesz pochwały, mój synu, oprócz tego, że cię z dumą tak nazwę. Zabieraj się wreszcie do roboty! — Kardynał wysunął rękę z pierścieniem do ucałowania i Wit z Viterbo zniknął w ciemności.

Uczta skończyła się, żołnierze utworzyli podwójny kordon wokół portu i miasta; nikt już nie miał tu wstępu. Rybaków wywlekano z domów przy zawodzeniach kobiet, które obawiały się najgorszego, opornych zapędzono kijami i zmuszono, by zepchnęli łodzie na wodę i trzymali gotowe do wypłynięcia. Wkrótce potem papież, prowadzony przez admirała, udał się na jego galerę, gdy tymczasem kardynałowie wsiadali na pozostałe.

Odbito od brzegu. W mrowiu rybackich łodzi Genueńczycy faktycznie byli prawie nie do wykrycia. Postawiono ponad setkę żagli, a tysiące uderzeń wiosł spieniło wodę w basenie portowym i flotylla wypłynęła szybko na otulone ciemnościami morze.

Rajner z Capoccio z zadowoleniem obserwował manewr wypłynięcia.

— A teraz chodźmy spać — powiedział do Wita, który się zjawił natychmiast po wykonaniu zadania. — To znaczy: ja się położę, a ty będziesz czuwał!

Wit nie spodziewał się niczego innego.

— Dzień i noc!

— A gdyby coś się działo, każ mnie natychmiast budzić!

— Tylko jeśli cesarz przybędzie osobiście, eminencjo. Życzę dobrego wypoczynku,

---

\* *Vicarius Petri* (łac.) — wikariusz Piotrowy, czyli papież.

\* *Papabiles* (łac.) — kardynałowie, którzy wchodzi w rachubę przy wyborze na papieża.

boście zasłużyli.

Rybacy, odłączywszy się od Genuńczyków już na pełnym morzu, opuścili żagle i zarzucili sieci. Mieli obfity połów, jakby Ojciec Święty, oddalający się pospiesznie, szczególnie im pobłogosławił.

W szczęśliwym rozgardiaszu, kiedy trzeba było wciągać przepełnione sieci, nikt nie troszczył się o obcą łódź, która niepostrzeżenie wmieszała się między barki i towarzyszyła rybakom wracającym tuż po świtaniu do portu. Właściwie powinna budzić zdziwienie, gdyż niosła trzy osiodłane konie i trzech rycerzy w pełnym rynsztunku. Rycerze narzucili białe tuniki templariuszy i wyszli na ląd, skoro tylko ich statek dotknął żwirowatego dna. Nikt także nie zwrócił uwagi na dwa tobołki, które rycerze nieśli w ramionach.

Kiedy żołnierze strzegący portu ujrzeli rybaków, zwinęli natychmiast posterunki i pospieżyli odrobić nocne niedospanie. Wit sprawdził raz jeszcze łańcuch straży wokół miasta.

— Nie wpuszczać nikogo, póki słońce nie stanie wysoko na niebie! — polecił i potem zdrzemnął się w jednej z wież.

Trzej rycerze na rumakach torowali sobie drogę przez miasto, w którym tego dnia o porannej godzinie wszyscy właśnie zmierzali do łóżek. Jeźdźcy minęli już bramę prowadzącą na południe, kiedy ich zatrzymano. Dłonie Konstancjusza i Creana sięgnęły do mieczy, ale Zygisbert powstrzymał towarzyszy. Kazał przywołać oficera, który dowodził strażą na rogatce. Ten także się już zdrzemnął i był tym nieco zawstydzony.

— Jak brzmi rozkaz? — natarł na niego Zygisbert.

— Nikogo nie wpuszczać!

— Dobrze, mój synu — wychrypiał znający *codex militiae*\* rycerz zakonu. — Macie jakieś kłopoty?

— Żadnych, dostojny panie!

— Czyńcie tak dalej! — przyzwoli! Zygisbert łaskawie, skinął otumanionemu snem dowódcy, zerkającemu niepewnie na dwa tobołki, w których ukryte były dzieci.

— Czyńcie tak dalej! Oczy miejcie otwarte! Wróg nie śpi!

Z derki w ramionach Creana wyłuskała się Jeza i zaczęła stroić miny do młodego oficera.

— Co to za dzieci? — zapytał, zebrawszy wreszcie nieco myśli.

— Na najwyższy rozkaz wieziemy je do chrztu — wychrypiał Zygisbert i chciał swemu koniowi dać ostrogę.

— My jesteśmy kacerskie dzieci! — zapiszczała Jeza z radością i teraz również obudził się Rosz, którego Konstancjusz trzymał przed sobą na siodle.

---

\* *Codex militiae* (łac.) — kodeks wojskowy.

— Gdzie papież? — spytał malec.  
Papiescy żołnierze otoczyli oddziałek.  
— Nie zważajcie na niego — łagodził autorytatywnie Zygisbert. — Miał na myśli Ojca Świętego.  
— Nie, papieża-potwora! — obstawał Rosz i żołnierze roześmiali się.  
Zygisbert rzucił im kilka monet, zaporę spiesznie usunięto i rycerze pojechali dalej. Wkrótce po oddaleniu się od niespodziewanej przeszkody opuścili prowadzącą do Rzymu Via Aurelia i skierowali się w głąb kraju.

## IL BOMBARONE

*Cortona, lato 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Tam gdzie pod Cortona krzyżują się drogi ze Sieny do Perugii i z Arezzo do Orvieto, znajdowała się karczma „Pod Złotym Cielcem”.

Nie wyróżniała się niczym szczególnym, przeciwnie, była na oko raczej zubożałą, rozpadającą się budą, jednakże nikt sobie nie przypominał, żeby widział ją kiedykolwiek w innym stanie. Należał do niej jeszcze „zajazd”, to znaczy w sąsiednich budynkach, stajniach, można było się przespać na gołej ziemi, chyba że od Bira, gospodarza, kupiło się kilka garści siana, które chętnie sprzedawał każdemu, ale drogo, po cenie paszy. Jedzenie podawane gościom było tak nędzne, że nawet franciszkanie starali się wyżebrać parę kości i trochę chleba, nim wstąpili do tego domu. Mimo to „Złoty Cielec” był stale pełen towarzystwa wszelkiego autoramentu, a wiele osób mieszkało w jego murach tygodniami i miesiącami.

Powodem był sam Biro, jedyny niezawodny i w pełni neutralny punkt przekazywania wiadomości między Apeninami a Górami Albańskimi. Za żywą gotówkę klient otrzymywał, czego pragnął: nowiny, pogłoski, dyskretne podanie wieści dalej, także zatrzymanie tychże, przekazanie fałszywych informacji i milczenie. Wysokie wynagrodzenie owocowało specjalnym traktowaniem hojnego klienta wobec innych, którzy pragnęli tego samego lub dokładnie czegoś przeciwnego.

W miejscu tym w pewnym sensie panował ciągły *Treuga Dei*. Nie dlatego, że Biro i jego pachołcy byli szczególnie pobożni — opuszczona kaplica pomiędzy zaniedbanymi budynkami wcale na to nie wskazywała; jej dzwon odzywał się tylko wtedy, gdy w wielkiej izbie szynkowej miano ogłosić wieść o niezwykłym znaczeniu.

„Pod Złotym Cielcem” bywała unikająca światła dziennego wszelkiego rodzaju

hołota: lancknechci wydaleny z Rzeszy, *sbirri*\* Serenissimy, szpiedzy kurii rzymskiej i oprawcy z Palermo, wynajęci skrytobójcy w trakcie swej misji lub do wynajęcia, zbiegli złodzieje i zdrajcy, werbownicy żołnierzy i markietanki, kuglarze i wróżki, paserzy i ladacznice — wszyscy tkwili tu zgodnie obok siebie, najczęściej przejazdem, wszyscy w poszukiwaniu czegoś. Jeśli kto wszczywał kłótnię, szybko otwierano nim drzwi, a pacholcy dbali już o to, żeby awanturник złamał sobie kilka żeber; kto potem jeszcze nie miał dosyć albo wyciągnął nóż, ten znikał i nikt o niego nie pytał.

Takie były zasady Bira, a tutaj on był prawem. To prawo pozwalało wstępować do karczmy zebrzącym mnichom i tłustym prałatom, bogatym handlarzom i pocziwym wieśniakom, którzy cuchnące, obrzydliwe powietrze zepsutego świata wciągali nosem trwożliwie, z pogardą, po czym podnieceni, ale też radzi z własnej przyzwoitości udawali się w dalszą drogę. Goście i klienci — Biro robił w tym względzie subtelne rozróżnienie — mimo że tak różnorodni, stanowili jedną całość. I to tworzyło reputację gospodarza.

Kiedym zdążył przez Toskanię, usilnie mi radzono — jak chyba każdemu, kto dobrze nie wiedział, czego chce i dokąd zmierza — zajrzeć do Bira. Stał przed drzwiami karczmy, gdy ja, wciąż w czarnym habicie benedyktyna, zsiadałem z konia, na którego pozwalał mi dobrze jeszcze wypchany pizański mieszek. Dożyłem go zaraz, aby Biro zrozumiał, że chcę się od niego czegoś dowiedzieć.

— Wyglądasz jak przebrany franciszkanin. — Biro mówił każdemu „ty”, co było częścią jego interesu i sławy — który inaczej nie ośmiela się odwiedzić generała zakonu — przywitał mnie szczerząc zęby, a ja poczerwieniałem. — Coś wszyscy się dziś cisną, żeby Bombaronowi złożyć uszanowanie! — Spróbował zębami moją monetę, schował i mówił dalej: — Przybyli dostojni goście! — Za moje złoto miałem prawo do tej wiadomości. — Patriarcha Antiochii, któremu towarzyszy biskup Bejrutu. Nie dotarli do Civitacastellana, gdzie jak uparcie twierdzą, chcieli spotkać papieża. — Biro bawił się opowieścią o dostojnikach, równocześnie jednak był wyraźnie dumny, że zabłądzili do „Złotego Cielca”. — Po drodze wpadli w ręce cesarskiej straży!

— Co za lekkomyślność! — wyrwało mi się, lecz Biro uspokoił mnie:

— Bóg strzeże głupiego! Oficer Hohenstaufa odesłał ich dalej, do Viterbo, gdzie jeden z najwyższych sędziów nadwornych Fryderyka kieruje oblężeniem...

— I tam opuścił ich anioł stróż? — spytałem, aby gospodarz nie uważał mnie za bigoteryjnego papistę.

— O nie! — roześmiał się Biro. — Im niepotrzebny anioł stróż, bo pojęcia nie mają, o co tu chodzi... Otóż ten sędzia, człowiek rozważny, zamiast się z nimi krótko rozprawić, skoro na głos mówili, że chcą do papieża, odesłał ich tutaj, do Eliasza, który

---

\* Sbirri (wł.) — hist. strażnicy porządku, agenci tajnej policji; tutaj — agenci Wenecji.



pomaga cesarzowi radą i czynem, więc może sobie trochę połamać głowę, co z nimi począć...

— I cóż generał...?

— Jeszcze ich nie widział na oczy, bo mocniejsze niż tęsknota, by stanąć przed Ojcem Świętym, jest ich pragnienie, aby wlać w siebie jak najwięcej tokańskiego wina. Od wczorajszego wieczoru siedzą tam... — zadowolony wskazał palcem za siebie, na izbę, skąd dochodził gwar głosów jak na otwarciu soboru laterańskiego i zamknięciu bazaru w Konstantynopolu jednocześnie. — Żłopiają wino i lamentują, piją i plotą jak bajarze ze Wschodu.

Chciałem wejść do środka, ale Biro przytrzymał mnie za rękaw:

— Jeśli wejdiesz ot, tak, zwyczajnie, wezmą cię za wysłannika, który ma ich powieść do Ojca Świętego, i już się od nich nie uwolnisz!

— Pobijmy ich własną bronią — powiedziałem. — Przedstaw mnie jako nikczemnego mnicha, który za ich pośrednictwem spodziewa się posłuchania u papieża i rozgrzeszenia.

— Na takiego mi wyglądasz! — rzekł doświadczony karczmarz i wepchnął mnie do izby. Nikt nie odwrócił się w naszą stronę, oczy wszystkich bowiem wisały na wargach obu dostojnych kapłanów. Mimo siwej brody starszego i garnkowatego nakrycia głowy młodszego niewiele w nich było godności. Każdy jedną ręką opartą na stole podtrzymywał ciężką od wina głowę, w drugiej zaś mocno dzierżył kufel.

— ...zamiast natychmiast zająć znowu święte Jeruzalem... — perorował starszy.

— Przecież dzikich Chorezmijczyków, jak tylko wymordowali, zrabowali i spalili, co się dało, od razu wymiotło — wpadł mu w słowo towarzysz i szerokim gestem przesunął ręką po mokrym od wina dębowym blacie.

— Ofiarowali swe usługi Egipcjanom — sprostował siwobrody. — A co było z Jeruzalem?... — Stracił wątek, pociągnął więc potężny łyk. Słuchacze roześmiali się. — No! — mruknął — teraz znowu wiem wszystko. Postawiono na nogi wojsko, baronowie z Akki...

— Sześciuset siedemnastu rycerzy — pomógł mu współtowarzysz, u którego nadużycie trunku objawiało się uciążliwą dokładnością. — Do tego zakony rycerskie, podlegające bezpośrednio papieżowi...

— Musimy się udać do Ojca Świętego! — przypomniał sobie starszy. — Jeszcze jeden, ostatni łyk i potem...!

To ponownie wyzwoliło wesołość — widać ów zamiar został już kilkakrotnie utopiony w tokańskim winie.

— A więc zakony rycerskie, każdy po trzystu ludzi, Niemców trochę mniej...

— To ile razem? — Liczenie sprawiało kłopoty, publiczność pomagała, co jeszcze potęgowało zamieszanie. Obaj przybysze pili nadal, z każdym łykiem rozwiązywały się

im języki. — W każdym bądź razie: siła!

— Do nich dołączył jeszcze znaczny oddział muzułmanów z Damaszku...

Było to dla winogrodników, handlarzy bydła i pocziwych rzemieślników z Toskanii nie do pojęcia; absolutnie w to nie uwierzyli.

— Nie do nich! — zawołali. — Ruszył przeciwko nim!

— Nie, dołączył do nich! — Siwobrody uderzył pięścią w stół, aż zatańczyły kufle.

— To sojusznicy!

A jego kompan dokończył:

— I jeszcze Al-Mansur Ibrahim, emir Homsu ze swym wojskiem.

— Nie do wiary! — wołali ludzie. — I to ma być krucjata?!

— Nawet An-Nasir z Keraku, zażarty wróg chrześcijan, zjawił się ze swymi Beduinami i włączył do szeregów...

Wśród stłoczonych wokół stołu zapanowało powszechne przekonanie, że obaj przybysze to przebrani bazarze ze Wschodu, żartownisie, którzy miejscowych mają za głupców. Bo to, co prawią, jest przecież niemożliwe! Śmiech narastał.

— I co było potem? — nagabywano o dalszy ciąg niewiarygodnej opowieści.

— Wzięli się grzecznie za ręce?

— Tak, tak właśnie było! — zaręczał siwowłosy patriarcha, któremu ktoś przewrócił kufel. — Pomaszerowali ramię w ramię, zjednoczeni przeciwko arcywrogowi, Egipcjowi...

Słuchaczom odjęło mowę.

Tymczasem biskup zebrał ze stołu kufle i zaczął demonstrować przebieg bitwy.

— Tak, przeciwko sułtanowi Egiptu — potwierdził, zbierając dalsze naczynia, aby wszystko unaocznić. — Jego oddziałami, liczebnie słabszymi, chociaż wzmocnili je Chorezmijczycy... — odsunął dzban od talerza pełnego ogryzionych kurzych kości, który przedstawiał Jeruzalem — dowodził młodziutki emir Rukn ad-Din Bajbars, zwany „Łucznikiem”. Na piaszczystej równinie niedaleko Gazy wojska stanęły naprzeciwko siebie...

— I co dalej! — naciskali niedowierzający, zmieszani i zdumieni słuchacze, ale w tejże chwili do karczmy wkroczyli żołnierze Eliasza, utworowali sobie drogę przez ciżbę i wezwali obu duchownych dostojników, aby udali się z nimi do zamku.

W tłumie rozległy się pomruki, lecz nikt nie podniósł ręki w obronie przybyszów. Może byli oszustami, kuglarzami opowiadającymi facecje? Przecież ta historyjka o pójściu ramię w ramię naszych chrześcijańskich rycerzy razem z tymi poganami nie mogła być prawdą!

Biro zatrzymał jednak eskortę. Żołnierze chętnie przyjęli zaproszenie, nawet ich dowódcy odmowa wydawała się niewskazana. Dzięki temu duchowni mogli sobie jeszcze pozwolić na „najostatniejszy” łyk.

Mnie zaś karczmarz odwołał na bok.

— Ruszaj zaraz na górę do zamku, tam do nich niepostrzeżenie dołączysz. Bombarone nie wszystkich przyjmuję! Ja zatrzymam ich jeszcze trochę!

Podziękowałem mu dodatkową sztuką złota i pospieszyłem w drogę.

Kasztel barona Coppi z Cortony leżał na zboczu wzgórza panującego nad miastem. Z pałacem w mieście łączył go podwójny wijący się mur, który ochraniał dojazd. Odziany wciąż w czarny habit, kroczyłem drogą wytyczoną pod górę.

Właściwie każdemu zwykłemu minorycie było najsurowiej zakazane, pod karą wykluczenia z zakonnej wspólnoty, utrzymywanie stosunków z Eliaszem z Cortony, dwukrotnie ekskomunikowanym byłym generałem naszego zakonu, ale w tym przebraniu nikt mnie przecież nie znał, ponadto w mojej sytuacji — miałem już gorsze grzechy na sumieniu — nie zważałem na skutki.

Nie dotarłem jeszcze na górę, gdy po kamiennym bruku przetoczył się obok mnie eskortowany przez żołnierzy pojazd z herbem odszczepieńczego Eliasza. Obaj dostojnicy — jakże uspokoiło to moje sumienie! — znajdowali się w pożałowania godnym stanie: byli, krótko mówiąc, pijani w sztok! Trzeba im było pomóc wysiąść z powozu i zaprowadzić do środka. O mnie nikt się nie troszczył, poszedłem więc za nimi, wobec czego wszyscy sądzili, że towarzyszę przybyłym.

I tak znalazłem się przed Eliaszem, który siedział za stołem w bogato zdobionej komnacie i nawet nie zadał sobie trudu, aby się podnieść na nasz widok. Wyrażającym pewność siebie zapraszającym gestem wskazał nam, obu duchownym i mojej skromnej osobie, miejsca, gdzie powinniśmy usiąść, i czekał, żebyśmy przedstawili swoje życzenia. Ze strony dostojników doczekał się tylko kilku beknięć i dość głupawego chichotu.

Wzrok Eliasza powędrował więc ku mnie, ja zaś mogłem jedynie wzruszyć bezradnie ramionami.

— Nie czynię cię odpowiedzialnym za ich stan — odezwał się Eliaz — ale powinienes mi ich przynajmniej przedstawić.

Zawstydzony opuściłem oczy. Teraz pomyśli z pewnością, że ja również nie jestem całkiem trzeźwy, nie znałem jednak imion kapłanów, a mojej historii nie chciałem wyjawiać w obecności osób trzecich.

Wybawił mnie z opresji dowódca żołnierzy, meldując głośno niczym mistrz ceremonii:

— Jego eminencja Albertus z Rezzato, patriarcha Antiochii! — wskazał na chudego, wysokiego starca z falującą siwą brodą, który rozglądał się gniewnie wokół, lecz uporczywie milczał. — I jego ekscelencja Galeran, biskup Bejrutu!

Ten ostatni na dźwięk swego nazwiska drgnął i powiedział:

— Chcemy się widzieć z Ojcem Świętym!

Eliasz spojrział zdziwiony.

— Bardzo proszę! — rzekł, wchodząc z godną podziwu giętkością do gry, której celu i reguł także on nie mógł znać. — Opowiedzcie mi o naszej drogiej Syrii, gdzie sam niegdyś przebywałem jako prowincjał. Naturalnie tylko to, co może być przeznaczone dla moich uszu. Ach, jakże często brakowało mi jej uroków, jej spokojnego...

W tym miejscu Albert przerwał mu prawie cholerycznym wybuchem:

— Spokojnego? — zawołał szyderczo. — Jeruzalem zniszczone, królestwo na skraju przepaści, niewierni tryumfują!

Galeran wpadł mu w słowo lamentując patetycznie:

— W piaskach niedaleko Gazy, pod wioską Harbijja lub, jak my mówimy, La Forbie, legło w gruzach nasze szczęście, skończyła się sława zachodniego oręża! Poległ mistrz templariuszy i ich marszałek, dostał się do niewoli mistrz szpitalników!... Trudno uwierzyć, ale zaledwie trzydziestu trzech templariuszy uratowało się ucieczką do Askalonu, i jeszcze dwudziestu sześciu joannitów, i trzech rycerzy zakonu krzyżackiego! Jesteśmy zgubieni — załkał — jeśli nam nie pomożecie!

— Jakże często błagaliśmy Ojca Świętego, zebraliśmy o pomoc — zagrzmiął teraz także patriarcha i podniósł się chwiejnie. — Teraz żądamy od głowy chrześcijaństwa, od naszego papieża, żeby całą swą siłę skierował do kraju, który także dla niego powinien być święty, do którego obrony i ratunku wezwał niegdyś wszystkich jego wielki poprzednik Urban... — Beknął głośno. — Trzeba bronić tej ziemi, zamiast wieść tutaj egoistyczne spory z cesarzem i światem! Jeśli zarzuty papieża wobec Hohenstaufa są prawdziwe, chętnie poprę go na soborze, by Fryderyka poskromić, ale Innocenty, jako ojciec nas wszystkich, ma również obowiązek...

— Chcemy dostać się do papieża — powtórzył Galeran, próbując wstać.

Eliasz klasnął w ręce i zjawiła się postawna kobieta z dzbanem wina i pucharami. Ja także chwyciłem jeden kielich. Niebawem Albert od czasu do czasu tylko gniewnie pokrzykiwał, Galeran zaś natrętnie powtarzał, że chce wreszcie ujrzeć papieża — i nic więcej nie można było od nich usłyszeć.

Nim pospadali ze stołków, Bombarone polecił swojej gospodyni, nazywanej Gersendą, odprowadzić obu dostojnych gości z pomocą żołnierzy do komnaty, aby przespali odurzenie. Potem zwrócił się ku mnie.

— *Pax et bonum* — zacząłem. — Wybaczcie, przewielebny ojcze, ten strój. Jestem minorytą, na dobre i na złe, podobnie jak i wy.

Eliasz czekał bez słowa.

— Nazywam się William z Roebruku i znajduję się w potrzebie, pomóżcie mi!...

— Zauważywszy jednak, że Eliasz nie daje się wzruszyć, zmieniłem taktykę. Opowiedziałem, co mnie spotkało w drodze od Montségur do Marsylii, potem o podróży przez morze i o mojej próbie wypowiedzenia się przed papieżem.

Eliasz nie przerywał mi, lecz okazywał wzrastające zaniepokojenie, zwłaszcza gdy wyłuszczyłem moje skromne przypuszczenia raczej niż wnioski co do pochodzenia dzieci.

— To królewskie dzieci — stwierdziłem znacząco, rozwiewając tym jednym zdaniem także własne wątpliwości. — One są przeznaczone do wielkich rzeczy — dodałem zachwycony. — Czy to wszystko nie przypomina wam, przewielebny ojcze, nocy betlejemskiej? Układ gwiazd na niebie, prześladowanie przez siepaczy Heroda, święty Jerzy i święty Michał jako przebrani za rycerzy aniołowie stróże — stopniowo wpadałem w emfazę — statek przybywający na ratunek... A czyż Maria Magdalena nie wyszła na ląd właśnie w Marsylii?

— Z pewnością! Ale ty wpadłeś tam do wody!

— Zostałem wyrzucony za burtę...!

Eliasz nakazał mi milczenie. Wstał, wyciągnął z regałów przy ścianie rozmaite foliały i zaczął przerzucać karty.

— Jak sądzisz, bracie Williamie, do jakiej dynastii mogą należeć? Czy to brat i siostra? Czym się różnią?

— Są jak kochające się rodzeństwo, ale charaktery i wygląd mają z gruntu odmienne... chociaż nie! — Postarałem się dokładnie opisać Rosza i Jeżę, Eliasz bowiem zganił gwałtownie moje wykrętne, sprzeczne objaśnienia. — Pozwalam sobie sądzić — odważyłem się pod koniec zauważyć — że z tych okoliczności należy wysnuć dwa wnioski: miejsce, kacerska twierdza, przemawia za langwedocką katarską krwią...

— A może przyjmiemy, że to efekt nierozważnego kroku kogoś z rycerzy Okrągłego Stołu? — zakpił Bombarone, co mnie jednak wcale nie zbiło z tropu.

— Dlaczego nie? Czyż wtajemniczeni, do których wasza przewielebność się zalicza, nie wyprowadzają Świętego Graala od *sang réal*?\*

— Kacerska mistyka — prychnął Eliasz pogardliwie. — Powinniście byli spalić te dzieci razem z innymi.

— Wasza przewielebność nie mówiłby tak — rzekłem rozzłoszczony jego bezwzględnością — gdyby je mógł trzymać w ramionach! Nie odezwę się już ani słowem. Żałuję...

— Chciałem tylko sprawdzić twoje przekonania, bracie Williamie. Pozwól mi snuć dalej moją hipotezę. Powiadasz, że z dziećmi są rycerze naszego cesarza... Wierz mi, cesarz nie dba o kacerzy, nie dba też o własną koronę. I z całą pewnością nigdy nie dbał.

— A jednak — wtrąciłem — trzeba...

— Daj mi skończyć: może tu przecież chodzić o jego, Hohenstaufa, potomków!

---

\* Sang réal (fr.) — królewska krew.

— Ważył swoje myśli bardziej niż słowa. — Tylko że musiały się ich wyprzeć, nawet prześladować! — Napełnił mój kielich; zawiązywało się między nami swego rodzaju porozumienie. — Wziąłem już na siebie wiele z tego, co cesarz przez wzgląd na swoją pozycję musiał od siebie oddalić. Nie po raz pierwszy dla stworzenia dynastii coś zostałoby zrobione wbrew woli bądź poza plecami beztrosko panujących. Oczywiście przez „wierne” sługi, Williamie! — Podniósł swój kielich, wypiliśmy. — Kto wie, czy to nie palec Boży doprowadził cię nie do Innocentego, lecz do mnie?

Uroiłem sobie, że pozyskałem ostatecznie jego przychyłność. Przywołał Gersendę, ową postawną niewiastę, która nie tylko prowadziła mu gospodarstwo, lecz, jak się zdaje, cieszyła się jego zaufaniem.

— Pozwól eminencjom spać, jak długo będą chcieli. Są i będą moimi gośćmi, dopóki nie uznam tego za zbędne. Powiadom gospodarza „Złotego Cielca”, że mają pić na nasz rachunek. Żadna cena nie jest za wysoka, byle nie połączyli się z Innocentym, żeby głosować przeciw Fryderykowi!

— Nie będzie im u nas źle — zapewniła Gersenda. — Jeśli nie trafi ich apopleksja albo wątroba nie odmówi posłuszeństwa, będą tu jeszcze, gdy wasza wielebność wróci z Apulii.

— Wezmę ze sobą Williama — oznajmił Bombarone jej, nie mnie. — Hmm... W tych okolicznościach dziwne życzenie mego starego przyjaciela Turnbulla, który po tylu latach chce mnie pilnie widzieć, i to na końcu świata, bo aż w Apulii, nabiera sensu — zauważył Elias, choć nadal głęboko nad czymś dumał. Powody tego zaproszenia, nawet na tle mojej historii i sprawy dzieci, chyba jednak nie były dla niego całkiem jasne. — Daleki jestem od tego, żeby cię zakuwać w łańcuchy, Williamie — powiedział — ale bądź moim niewidzialnym gościem. Nie chcę, żeby cię jeszcze ktokolwiek oglądał. Zachowuj się tak, jakbyś znikł z powierzchni ziemi. Za kilka dni wyruszamy.

Podniosłem się i wtedy poczułem, że mnie coś w spodniach uciska. Pergamin! Zupełnie o nim zapomniałem. Mój Boże! Nie mogłem przecież przed generałem mego zakonu podnosić habitu i sięgać do spodni! Zawstydzilem się. Najchętniej schowałbym się do mysiej dziury.

Z opromienionej słońcem powierzchni ziemi istotnie zniknąłem, jak zażądał Elias: zostałem zagnany w czeluście kuchni i piwnic.

Ledwie znalazłem się sam, wydobyłem na światło dzienne zwój, a raczej to, co kiedyś było zwojem, teraz zaś pomiętą bryłą pergaminu o ostrej woni. W tym stanie nie mogłem ani go oddać Eliaszowi, ani niczego wyjaśnić. Ukryłem pismo ufając, że Pan lub łaskawa Dziewica natchną mnie jakąś myślą i zwój w cudowny sposób trafi na pulpit Eliasza, co prawda zgnieciony, ale już nie tak zdradziecko cuchnący. Nie odważyłem się też rozwinąć pergaminu i przeczytać, chociaż bez wątpienia był niezwykle ważny.

I w pierwszą noc, i w następane spałem źle. Żaden pomysł nie przychodził mi do

głowy. Tak mijały tygodnie. Nasz wyjazd tymczasem przesuwał się z dnia na dzień, tak samo jak mój zamiar, aby wręczyć Bombaronowi zdobyte przypadkiem pismo. Eliaz zbywał mnie obietnicą bliskiego odjazdu, a ja „zbywałem” jego, czekając wciąż na znak z nieba.

## IV ZATARTE ŚLADY

### PRZECIW ANTYCHRYSTOWI

*Aigues Mortes, lato 1244*

Kwadrat murów Aigues Mortes wzniesiono na „martwych wodach”, czyli bagnach Camargue, albowiem król Ludwik w swym bigoteryjnym uporze nie chciał korzystać z portu Marsylii — i bardzo grzesznej, i niezaprzeczalnie cesarskiej — potrzebował zaś przystani na wyprawę krzyżową. Skoro myślał zgromadzić potężną armię, musiał być dostatecznie przewidujący i nie mierząc wszystkich własną żarliwością religijną, liczyć się ze spóźnieniem powołanych na świętą wojnę wasali. Dlatego też zbudował od razu całe miasto z mocnymi kamiennymi domami.

W jednym z takich domów, niczym nie różniącym się od innych, obradowało gromadzenie dominikanów o wspólnych zapatrywaniach, na poły trybunał inkwizycyjny, na poły przedni oddział soboru. Uczestnikom spotkania ani trochę nie przeszkadzało, że za oknami stała szubienica i mieli stale przed oczyma nogi powieszonych.

— Potrzebujemy jak najwięcej materiałów, które by obciążały Hohenstaufa — zagał napuszony Andrzej z Longjumeau. — Wszyscy tu wiemy, że papież pragnie zwołać sobór, aby zniszczyć cesarza. Najlepiej byłoby przedstawić jakiś żywy dowód, który poświadczałby haniebne, niegodziwe czyny antychrysta.

W skład nielicznego doprawdy audytorium Andrzeja wchodził: jego młodszy brat Anzelm, zwany Fra' Ascelin, człek ambitny, bystrością umysłu dalece przewyższający Andrzeja, nadętego pawia; Mateusz z Paryża, znany kronikarz, który zarządzał tajnym *documentarium*\* kurii rzymskiej oraz znajdował posłuch u Szarego Kardynała; ostatni słuchacz, Iwo Bretończyk, nie należał do *Ordinis Praedicatorum*,\* a nawet nie był znany pozostałym, przybył zaś jako obserwator, reprezentował bowiem francuską Koronę, na której terytorium się zebrano. Mimo że występował w roli gościa, odezwał się pierwszy i w jego słowach od razu pojawiło się ledwie skrywane szyderstwo, które pozwolił odczuć starszemu z braci Longjurneau.

---

\* *Documentarium* (łac.) — pomieszczenie w zamku Świętego Anioła służące do sporządzania, kopiowania, a także fałszowania dokumentów.

\* *Ordo Praedicatorum* (łac.) — zakon kaznodziejów, od imienia swego założyciela, św. Dominika, zwany dominikańskim.



— Innocenty dopiero co ratował się ucieczką do Genui — powiedział — a wy już myślicie o zgromadzeniu wszystkich biskupów. Najpierw ich trzeba mianować a potem muszą się zdecydować na niebezpieczeństwa podróży przez morze i kraj Hohenstaufa, gdy będą jechać na to spotkanie.

— Wasz król, Iwonie, wychodzi nam, jak się zdaje, bardziej naprzeciw niż wy sami. Sobór dojdzie do skutku, i to nie dalej jak w ciągu roku. W dodatku na francuskiej ziemi!

— W to ośmielam się szczerze wątpić, ekscelencjo, lecz wy wciąż trwacie przy swoim — zakończył Bretończyk ostro.

Fra' Ascelin poczuł się w obowiązku przyjść z pomocą wodzonemu za nos bratu:

— We dwóch z uczonym bratem Mateuszem przygotowaliśmy szczegółowe zestawienie, które ty, czcigodny bracie, jeśli uznasz je za odpowiednie, przedłożysz Ojcu Świętemu. Może Jego Świątobliwość znajdzie czas i ochotę, aby się z nim zapoznać. Obejmuje ono tematy, które powinien by poruszyć w swoim wystąpieniu, oraz wskazówki inscenizacyjne dla mówcy, aby jego słowa przyniosły pożądany, ba, konieczny skutek. — Zatrzymał się i uśmiechnął szelmowsko, czekając, aż Mateusz poprze ich wspólny projekt, którego Andrzej od młodszego brata nigdy by nie przyjął. Dla zasady!

Mateusz ruszył mu w sukurs.

— Skoro nasze *scriptum*\* zawiera również propozycje dotyczące gestów i mimiki, których nikt tak jak wy, bracie Andrzeju, nie może przybliżyć Ojcu Świętemu, pozwólcie, że przedstawimy je na dwa głosy: ja właściwy tekst, a Fra' Ascelin poufny komentarz...

Andrzej skinął łaskawie głową.

— *Intricata* w zamku Świętego Anioła, *composita* i *cantata*\* przez mnichów, jeszcze do tego na przemian! Tego nie muszę wysłuchiwać! — powiedział szorstko Iwo Bretończyk. — Wróć, gdy będą omawiane rzeczy istotne — dodał i wyszedł.

Andrzej oburzony dał znak, żeby zaczęli. Mateusz i Ascelin podnieśli się i położyli przed sobą na pulpitych zapisane gęsto stronice.

— Musimy przytoczyć mocne argumenty — rzekł Mateusz na wstępie — ponieważ królowie Anglii i Francji przyślą obserwatorów, którzy naszej sprawie nie są przychylni, jak przed chwilą widzieliśmy, a cesarza będą reprezentować jego najlepsi juryści, wielcy sędziowie nadworni. Nastroje będą przeciwko nam, a potępienie Hohenstaufa wcale nie jest przesądzone, bo nasi prałaci mogą się wahać. Mogą się nawet nabrać na fałszywe zaręczenia o dobrej woli i pokojowych rozwiązaniach. Temu należy zapobiec!

— Wejście w świątecznym ornacie — deklamował teraz Ascelin, który starał się zachowywać odpowiednio do powagi sytuacji. — Wezwanie Ducha Świętego, uroczyste!,

---

\* *Scriptum* (łac.) — pismo, rozprawa

\* *Intricata*... (łac.) — uknute... skomponowane... zaśpiewane.

potem zaakcentowana „wspólna” modlitwa na znak jednomyślności, wreszcie dłuższa chwila milczenia dla skupienia się. Gracji w żadnym wypadku nie należy zaczynać zbyt wcześnie bądź zbyt pośpiesznie!

— Temat — podjął Mateusz — brzmi: „Wszyscy, co drogą zdążacie, przyjrzyjcie się, patrzcie, czy jest taka boleść, jak boleść, co mnie przygniata!”

— Lamentacje Jeremiasza — objaśnił Ascelin. — Pierwszy, jeszcze powstrzymywany szloch.

— Teraz następuje wywód — powiedział Mateusz — Jego Świątobliwość porównuje swoją boleść z pięcioma ranami Ukrzyżowanego. — Dźwięcznym i miło brzmiącym głosem zaczął wyszczególniać: — Boleść pierwsza: „Z powodu nieludzkich Tatarów szykujących zagładę całemu chrześcijaństwu”.

— Wstrząsająca skarga! — wtrącił młodzieńczy głos Ascelina. — Można przyjąć, że uzyska szeroką aprobatę.

— Boleść druga: „Z powodu schizmy i odpadnięcia greckiego Kościoła, który się odłona Matki, jakby była macochą, oddzielił i odwrócił wbrew słuszności i rozsądkowi”.

— Głęboki smutek — powiedział Ascelin. — W ciszy znoszone cierpienie.

— Boleść trzecia: „Z powodu heretyckich sekt, które niby trąd splamiły wiele chrześcijańskich miast, zwłaszcza w Lombardii”.

— Jeszcze powstrzymywane, ale już zauważalne oburzenie — szepnął Ascelin. — Niepokój!

— Boleść czwarta: „Z powodu Ziemi Świętej, gdzie barbarzyńscy Chorezmijczycy zniszczyli i zhańbili miasto Jeruzalem, topiąc je w chrześcijańskiej krwi...”

W tej chwili drzwi otwarły się gwałtownie — to Iwo przerwał zebrany, nie ukrywając złośliwego zadowolenia.

— Wasz dzielny brat, Wit z Viterbo, ujął dwu tutejszych Cyganów, którzy widzieli jakieś zbiegłe dzieci!

Wepchnął do pokoju Wita, który ciągnął za sobą na powrozie dwu wynędzniałych Cyganów; wszyscy byli pokryci błotem, jakby się tarzali w bagnach Camargue. Iwo Bretończyk niezdecydowany zatrzymał się w drzwiach i rzucił spojrzenie za siebie, na szubienicę, jakby wypatrywał wolnego miejsca, nie spostrzegł więc, że Ascelin nakazał Witowi milczenie wzrokiem, a Andrzejowi — kładąc palec na ustach.

Wit dla pewności sam przedstawił stan rzeczy:

— Udzielili schronienia uciekinierom. Byli to trzej rycerze z zakonu templariuszy...

— O tym wiemy przecież od dawna, drogi Wicie! — przerwał mu Ascelin.

— Ale nie o tym — odparował Wit urażony w swej myśliwskiej dumie — że dwaj z nich mówią po arabsku, w dodatku porozumiewają się z dwoma asasynami!

— Obu izmailitów, hojnie obdarowanych, mój król odesłał już do domu! — wtrącił drwiąco Iwo.

— A więc mam tych Cyganów puścić wolno? — warknął Wit, nie kwapiąc się jednak, aby więźniów uwolnić z powroza.

— Nie — powiedział Iwo sucho. — Udział w spisku mającym na celu zamordowanie króla to zdrada stanu! Zostaną powieszoni!

Cyganie, widać nie rozumiejący francuskiego, ani drgnęli.

— Oni są niewinni! — oburzył się Wit. — Nie wiedzą o niczym!

— Niewiedza nie chroni przed karą — odparł zimno Bretończyk. — Czyżbyście chcieli przeszkodzić wymierzeniu sprawiedliwości?

— Nie powinniście tak mówić, Iwonie! — Czoło Wita nabrzmiało nieprzytomną złością. — Czy nie ten sam król przyjął was z otwartymi ramionami, zamiast przekazać w ręce kata?

— Czy ja jestem królem? — spytał szyderczo Iwo i wypchnął Cyganów za drzwi. — O jakie dzieci chodzi? — zagadnął na odchodnym.

— Ach — zbagatelizował szybko Fra' Ascelin — to następstwa nieopatrnego kroku jednego z rodu Capocciów!

Śmiech, który towarzyszył wyjaśnieniu, przekonał Bretończyka o błahości sprawy. Roześmiał się również i wyszedł. Tylko Wit nie śmiał się wraz z innymi. Wkrótce potem mogli zobaczyć przez okno, jak profos zakłada stryczki na szyje nieszczęśliwców.

— Na czym stanęliśmy? — odezwał się zrzędliwie Andrzej z Longjumeau.

— Na przelanej chrześcijańskiej krwi — podjął przerwany wątek Mateusz, a Ascelin dorzucił:

— Rosnące wzburzenie, jeśli możliwe przerywane szlochem. Pod koniec powtórzenie okrzyku: „O moje biedne, święte Jeruzalem!”, najlepiej głosem zdławionym łzami. Po-tem długa pauza: cisza nabrzmiała cierpieniem...

Za oknem rozległo się rozpaczliwe wycie i lament. Cyganki, prowadząc dzieci za ręce lub trzymając przy piersi, przedarły się przez straże i otoczyły szafot. Ich wycie przeszło w zawodzenie. Dwie pary nóg zatrzepotały jeszcze krótko, a potem kołysały się jak zwiedłe łodygi kwiatów na jesiennym wietrze.

Fra' Ascelin mówił dalej:

— Nawet zatwardziali stronnicy Hohenstaufa muszą sobie zadać pytanie: „Dlaczego do tego doszło?” I otrzymają odpowiedź...

Skinął głową Mateuszowi, który przez jakiś czas w zamyśleniu obserwował wisielców.

— Piąta zaś i największa boleść: „Z powodu księcia...

— Imienia nie wymieniać! — napomniał Ascelin.

— ...który mógłby temu wszystkiemu przeszkodzić...

— W domyśle: ale nie przeszkodził! Dlaczego?

— ...nazywa się przecież najwyższym świeckim panem świata, panem ponad wszyst-

kimi królami...

— Czego Anglicy, a przede wszystkim Francuzi bardzo niechętnie słuchają — skomentował Ascelin łagodnie, niby przeprasząc Mateusza za swe ustawiczne wtręty, tamten jednak uśmiechnął się wyrozumiale.

— ...który miał być tarczą Kościoła Chrystusowego, w istocie zaś stał się najzagorzalszym przeciwnikiem okrutnie prześladowającym jego wierne sługi, skrycie porozumiewającym się z wszystkimi wymienionymi wrogami, zadającym się z nimi bezwstydnie i dzień i noc rozmyślającym o zgubie naszej Najświętszej Matki, o zgubie *Ecclesiae catholicae!*”

— Tu Ojciec Święty — wtrącił podniecony Ascelin — z bólu i smutku nie może mówić dalej, zaczyna płakać. Płakać! Gwałtowny strumień gorzkich, gorących łez musi wzbudzić w braciach soborowych falę współczucia. Najlepiej niech się Ojciec Święty podeprze i pochyłony szłocha, może nawet osunąć się na ziemię i leżeć w niemej, przez łkanie przerywanej modlitwie, aż wszyscy przychylni mu prałaci pójdą w jego ślady, antagonistom zaś zamrą słowa na ustach!

— Dobra robota, Mateuszu! — pochwalił Andrzej. — Czy takich rzeczy uczą w opactwie Sankt Albans?

Mateusz zaprzeczył, uśmiechając się skromnie, i wskazał z uznaniem na młodego dominikanina, wyczerpanego odgrywaniem roli mówcy.

— Wszystko — odparł — zależy od siły wymowy Ojca Świętego. Ufamy, że nasze sztuczki wspomogą jego sławny aktorski talent w przedstawianiu „Chrystusa cierpiącego na krzyżu”, co pozwoli mur obrońców szatana najpierw nadkruszyć, a potem obalić!

— Byłoby dużo lepiej — odezwał się teraz Wit, który z trudem nadażał za przemienią grą obu mnichów i najczęściej patrzył ponuro przed siebie — byłoby dużo lepiej przypisać Hohenstaufowi te kacerskie dzieci! Jego haremowe wybryki mogą się wydawać niewinne, ale świadome zmieszanie swojej krwi z kacerską mogłoby odstręczyć nawet jego królewskich kuzynów.

— Zgoda, Wicie z Viterbo! — powiedział Andrzej z Longjumeau.- To będzie twój wkład w zniszczenie antychrysta. Pod warunkiem, że doprowadzisz kacerskie potomstwo na rozpoczęcie soboru wraz z przyznającymi się do winy nałożnicami!

## HAREMOWA HISTORIA

*Otranto, lato 1244*

Warowny zamek wznosił się naprzeciwko miasta na pozostałościach murów ja-

kiejś greckiej świątyni. Miał własny port i strzegł portu starego rzymskiego Hydruntum, jak nazywało się Otranto, nim najpierw Arabowie, a później Normanowie wzięli je w posiadanie. Fryderyk II ofiarował tę najdalszą warownię swej apulijskiej rodowej posiadłości admirałowi Henrykowi Pescatore, gdy dowiedział się o jego małżeństwie z Laurencją z Belgrave. Tutaj więc Przeorysza, jak ową niepoślednią kobietę nazywano, po burzliwych latach zarzuciła kotwicę. A gdy hrabia Malty wkrótce potem pożegnał się ze światem, otrzymała zgodę na zatrzymanie sobie lenna. Powodem tego był w mniejszym stopniu respekt Hohenstaufa dla energicznej damy, której lojalności nigdy zresztą nie musiał podawać w wątpliwość — zaważyła tu przede wszystkim okoliczność, że Laurencja roztropnie uwolniła cesarza od wychowywania pewnej dziewczynki, przejąwszy nad nią pieczę niemal jednocześnie z poślubieniem hrabiego Malty. Cesarz był przywiązany do swoich nieślubnych dzieci, toteż zapewnił małej Klarion należyte dochody oraz obdarzył ją tytułem hrabiny Salentyń.

Czas mijał, dziewczynka dorosła. Miała już dziewiętnaście lat i każda matka rozglądałaby się pilnie za odpowiednim narzeczonym. Każda, ale nie Laurencja, która tymczasem przekroczyła dyskretnie pięćdziesiątkę, lecz niewiele straciła ze swego uroku. Wciąż jeszcze była Cyrce, wielką czarodziejką, mimo że od dawna nie przemieniała mężczyzn w świnie — raczej w barany i durniów. Stała się surowsza. Znalazła inną drogę podporządkowywania sobie mężczyzn.

Była mądra, mądrzejsza niż większość tych, których się radziła. Była potężna, ponieważ ona ustalała rodzaj broni i nikt nie potrafił przewidzieć, jakiego wyboru dokona. I korzystała z protekcji. Jawnej protekcji cesarza: przebąkiwano, że była jego kochanką, jedyną, która mu odmówiła urodzenia dziecka. Uchodziła także za czarownicę i ludzie w Otranto obawiali się jej. Ale żadnemu ze stu sześćdziesięciu wioślarzy, którzy w razie potrzeby stanowili załogę jej statku, na co dzień wraz ze swymi rodzinami żyjąc z rybołówstwa, nie wpadłoby do głowy zbuntować się przeciwko świadczeniu tej usługi.

Hrabina Otranto stała się w ciągu lat opoką, która utrzymywała leżące naprzeciwko miasto, opoką niezależną od wszystkich feudalnych zamieszek, polityki stronnictw, walk o władzę i imperialnych sporów, jednakże uwikłaną w sieć stosunków, które sięgały daleko poza Otranto, Apulię i morze. Mówiono, że posiada tajemne moce, że jest w sojuszu z diabłem! W mieście tolerowała biskupa, czyniła również okolicznościowe dotacje na rzecz Kościoła, ale biskup mógłby tylko wówczas przybyć do zamku, gdyby go wezwano. A nie wezwano go nigdy.

Laurencja stała na tarasie wybudowanej przez Normanów części zamku i rozmawiała z Zygisbertem z Öxfeldu, rycerzem zakonu krzyżackiego, człowiekiem także już nie najmłodszym. Zatopili się w rozważaniach, skrywając uczucia mówili o wydarzeniach fortunnnych i niepowodzeniach minionych dni, wyciągali z namysłem i ostrożnie nieskoń-

czenie wiele wspólnych nici, które życie utkało dla nich i dla wszystkich obecnych tutaj w zamku przez przypadek lub zrządzenie losu, spozierając na innych z góry, czujni na każde słowo rozmówcy.

— *Bi-ismi Allahi ar-Rahmani ar-Rahim!*

Na jednej z katapultowych platform położonego niżej pierścienia murów modliło się dwu mężczyzn zwróconych twarzami w kierunku Mekki.

— *Kul a'uzu bi-Rabbi an-nasi...*

Rozpostarli do modlitwy drogocenny dywan, nie nosili już uciążliwego rynsztunku jak w czasie podróży ani ochronnych tunik templariuszy: Crean z Bourivanu i Konstancjusz z Selinuntu narzucili na siebie lekkie dzellaby w jaskrawych kolorach, obficie i kosztownie zdobione. Tutaj, na dworze hrabiny, tolerancja nie była sprawą dworskiego obyczaju, lecz eliksirem życia, którego sama pani zamku potrzebowała bardziej niż jej goście i podopieczni.

— *...Maliki an-nasi, Ilahi an-nasi...*

Przenoszony wiatrem unosił się ponad ogrodami i podwórcami monotony śpiew modlitewnych sur.

— *...min szarri al-waswasi al-channasi; al-lazi juwaswisu fi suduri an-nasi, min al-dżanna wa-an-nasi.*

— Czy w zakonie, panie Zygisbercie, nauczyliście się arabskiego? — Laurencja podjęła znów wątek, rzuciwszy badawcze spojrzenie na wodotryski w ogrodzie. Ich perliste strugi iskrzyły się wprawdzie w słońcu, ale szmer zagłuszała fala przyboju, która w dole zamku uderzała o zewnętrzne mury.

— Nie, najpierw zresztą nie chciałem się uczyć tego języka — przypominał sobie Zygisbert na swój rozważny sposób. — Uważałem to za niegodne chrześcijańskiego rycerza, którym chciałem przecież zostać. Byłem w gwardii biskupa Asyżu...

— Och! — przerwała mu hrabina z rozbawieniem. — Chyba nie u Gwidona?

— I owszem. Służyłem mu jednak źle.

— Zła służba należała się temu tłustemu straszylu za jego nienasycone obżarstwo. Ach, ten mój przyrodni brat!

— Co?

— Jesteśmy z jednej matki, wspaniałej kobiety! Nasienie bardzo różnych ojców spowodowało chyba *la petite différence!*\* Och, ci mężczyźni! — powiedziała Laurencja i w tym stwierdzeniu trudno było dosłyszeć uznanie dla przeciwnej płci. — Mówcie dalej, panie z Öxfeldu! Zaraz: Öxfeld?... Mieliście starszego brata?

— A jakże! — przytaknął Zygisbert, zafascynowany rozmową z tą kobietą, o której tak wiele słyszał, lecz dokładnie wywiedzieć się o nią od nikogo nie mógł. — Guntrama.

---

\* *La petite différence* (fr.) — drobna różnica.

Za jego namową przybyłem do Asyżu. Był kurierem w biskupiej gwardii. Ale dlaczego?...

Laurencja patrzyła w zamyśleniu na morze.

— Zdezerterował i udał się za mną do Konstantynopola. Obiecywał sobie chyba inną zapłatę, niż ja byłem gotowa mu dać. Podjął potem służbę u Gotfryda z Villehardouin. Nigdy więcej o nim nie słyszałam.

Milczeli oboje. Zygisbert był rozczarowany, albowiem przez chwilę miał nadzieję, że natrafił na ślad zaginionego brata.

— Posłuchałabym chętnie dalszego ciągu waszej własnej historii. — Laurencja nie poczuwała się do winy, ale milczenie w związku z przypomnianą sprawą Guntrama było jej przykre. — Czemu opuściliście Gwidona i Asyż?

— Strzała Amora! — roześmiał się Zygisbert, teraz, z perspektywy czasu, mogąc już traktować ten epizod beztrąsko. — Biskup, zresztą słusznie, wsadził mnie do karceru. Anna mnie uwolniła, a ja byłem tak zaskoczony, że uciekliśmy razem. Bez zastanowienia! Jak dzieci, którymi byliśmy, do tego zakochane! Opadła nas gorączka, aby nasze pragnienie przygody, młodzieńcze porywy połączyć z walką o odzyskanie Jeruzalem. Dziecięca krucjata! Daliśmy się ponieść prądowi wiary i miłości... Miłości do Jezusa, która zlała się w jedno z naszą miłością...

Zygisbert wspomniał wydarzenia roku 1212, w którym dzieci z całej Europy ruszyły w świat w poszukiwaniu innego życia — życia w Chrystusie, w raju nie wyszumianych radości, w odurzeniu zmiatającym na bok wszelkie przeszkody.

— Początkowo szliśmy razem na południe, w Rzymie przyjął nas nawet sam papież, który powiedział tylko, żebyśmy zawrócili do domu. My jednak pociągnęliśmy dalej ku portom na południu. Anna miała piętnaście lat, ja byłem dwa lata starszy. Nie chciała być dłużej dzieckiem, nie po to wydostała mnie skrycie z karceru, żebym teraz jak starszy brat kroczył u jej boku, trzymając ją za rękę. Pragnęła ze mną żyć jak z mężem... — Zygisbert miał kłopot z nazwaniem przeznaczonej mu wówczas roli. — Miałem wysokie mniemanie o prawdziwej miłości i myślałem nieco pogardliwie o zbliżeniu cielesnym. Nigdy nie byliśmy sami. Annie to nie przeszkadzało, ale ja się wstydzilem robić to, jak niektórzy, na oczach wszystkich. Odsuwałem wciąż na jakąś „godniejszą” okazję tę pierwszą noc, pierwszą dla nas obojga, bo Anna także była jeszcze niewinna. A później pojawili się wśród nas żarliwi nowicjusze i blade mniszki z boleścią na twarzy. Przejęli nad nami komendę i odtąd zaczęto zważać na surowy rozdział płci. Widywali się z Anną rzadko, po kryjomu, ledwie mogliśmy wymienić ukradkiem pocałunek. W końcu dotarliśmy do Amalfi. Załadowano nas na różne statki, a potem... — Zygisbert przerwał. Ciężiej przychodziło mu snuć wspomnienia, niż zrazu sądził. Chyba jeszcze nigdy nie miał sposobności opowiadać komuś tak jednym tchem o swoim życiu.

Laurencja nie naciskała natrętnymi pytaniami. Wiedziała, co się dalej wydarzyło.

— Znaleźliście się w rękach mauretańskich handlarzy niewolników? — przerwała wreszcie milczenie.

— Tak — potwierdził Zygisbert z goryczą — zostaliśmy sprzedani, sprzedani przez chrześcijan, zanim wsiedliśmy na statki. Co do losu Anny nie robiłem sobie złudzeń. Straciłem ją z oczu, gdy opuściliśmy Amalfi. Ja trafiłem do Egiptu, gdzie kupiła mnie małżonka pewnego uczonego z Aleksandrii. Mój pan nie chciał zostawiać mnie w domu, w każdym razie nie w ciągu dnia, kiedy wychodził, toteż pod pretekstem, że muszę nosić jego księgi, zabierał mnie z sobą do wielkiej biblioteki. Gdy zauważył, że interesuję się pismami, polecił mnie uczyć arabskiego i greckiego i przyjął do grona swoich studentów. Pewnego dnia zjawił się u nas wielce wykształcony emir. Zachwyciła go moja wiedza o ukrytych dziełach tej największej biblioteki świata, w której, jak sobie wyobrażałem, mogłem na czytaniu i notowaniu spędzić resztę życia. Mój pan właściwie odczytał zachwyty emira. Nawet nie wypowiedzianego pragnienia tak wysoko postawionej osobistości nie mógł nie spełnić, podarował mnie więc emirowi, a właściwie wymienił na inne prezenty i dowody wdzięczności. Ale miałem szczęście: emir był łaskawym panem, wolnym od uprzedzeń wobec chrześcijan...

— I co dalej? — Zygisbert nie zwrócił uwagi na to, że jego cierpliwa dotąd słuchaczka okazała nagle zainteresowanie. — Znaleźliście się więc w Kairze?

— Mój nowy pan oznajmił od razu, że nie myśli traktować mnie jak niewolnika, zwłaszcza że jestem Niemcem, a on mego cesarza nadzwyczaj ceni i z tego powodu życzyłby sobie poznać jego język. Wprowadził mnie do swego pałacu jako „domowego nauczyciela”, aby służba od początku nie miała wątpliwości co do mojego stanowiska. Na jego polecenie opowiedziałem swoją historię, tak jak ją teraz wam, pani, przedstawiam. Musiała nim wstrząsnąć do głębi. Objął mnie i powiedział: „Jesteś wolnym człowiekiem. Możesz opuścić ten dom, a ja hojnie cię obdaruję. Jeśli jednak zechcesz pozostać, mój dom będzie twoim domem!” Nie pojmowałem, co mogło zmienić jego dotychczasową życzliwość w aż taką wspaniałość. On tymczasem posłał służbę do harem i za chwilę w drzwiach ukazała się Anna! Była bez kwefu, szczupła, krucha... Już chyba wtedy chorowała. Uśmiechnęła się do mnie i zajęła miejsce u stóp swego pana, któremu popłynęły z oczu łzy. Zaniemówiłem i ukryłem twarz w dłoniach, zamiast powitać swoją od dwunastu lat nie widzianą miłość. Dopiero gdy emir położył mi rękę na ramieniu, znowu podniosłem wzrok. Obok Anny stał chłopiec. „To Fassr ad-Din, nasz syn”, powiedział emir.

— ...*Kul a'uzu bi-Rabbi al-falaki, min szarri ma chalaka...*

— Wtedy poczułem, że kocham ich oboje. Podszedłem do chłopca i objąłem go. „Allah pobłogosławił cię wspaniałymi rodzicami — powiedziałem tak uroczyście, jak tylko potrafiłem. — Pozwól mi być twoim starszym przyjacielem.” Chłopiec potraktował mnie najpierw jak intruza, ale szybko zmienił nastawienie. „Zawsze chciałem



— oświadczył — mieć za przyjaciela cesarskiego rycerza!” Nie mogłem go rozczarować. Tak więc zostałem „rycerzem Zygisbertem” dużo wcześniej, nim opuściłem Kair i wstąpiłem do zakonu. Anna zmarła niebawem, a ja stałem się dla Fassra ad-Dina ojcem i matką jednocześnie.

— ...*wa-min szarri an-naffasati fi-l-ukadi, wa-min szarri hasidin iza hasada.*

Laurencja i Zygisbert podeszli do balustrady i spojrzeli w dół ku murom, gdzie Crean i Konstancjusz skończyli właśnie modły i zrolowali dywanik.

— Cóż za *pax mediterranea*\* — zauważyła hrabina z lekką kpina w głosie. — Chrześcijanin kacerskiego pochodzenia, który przeszedł na islam, i muzułmanin wyniesiony do stanu rycerskiego przez cesarza. Obaj połączeni w modlitwie do jednego Boga...

— Przed wami, pani, nic się nie ukryje — rzekł Zygisbert jakby wyrwany ze snu. — Wiecie zatem, kim naprawdę jest Konstancjusz?

— To jest jak zaklęty krąg — oznajmiła zatopiona w myślach Laurencja. — Wszyscy, których w życiu spotkałam, są ze sobą powiązani jak więźniowie pajęczej sieci. Przy czym ja ani nie rozpinam nici, ani nie jestem pajakiem, wysysającym zdobycz, mimo to wciąż u mnie krzyżują się drogi, które jeśli nawet wiodą do uczciwych celów, nigdy nie powinny się ze sobą spotkać.

— Magia jest darem, nie kuglarstwem. — Zygisbert był zbyt zaabsorbowany wspomnieniami, żeby się bliżej zainteresować troskami Laurencji. — To na pewno skutek waszego niezwykłego życia, pani, tego, że jesteście latarnią morską i portem dla tak wielu. Bo gdyby nie to, nie byłoby tutaj ani nas, ani dzieci.

— Dzieci!... — ocknęła się Laurencja. — Gdzie one się właściwie podziały?

— Przed chwilą bawiły się w ogrodzie i skradały cichaczem ku naszej młodej parze — Zygisbert wskazał na fontannę, na której skraju siedziała Klarion, a u jej stóp młodzieniec o wyraźnie cudzoziemskich rysach twarzy.

Teraz wstali i ruszyli wokół wodotrysku. Trudno było powiedzieć, czy to gra zakochanych, czy sprzeczka. Klarion bawiła się swym młodym towarzyszem jak kotka, na co hrabina patrzyła z wyraźną niechęcią. Gniewna pionowa zmarszczka przecięła jej czoło, jakby Laurencja chciała przywołać młodych do porządku. Rozmyśliła się jednak i po chwili rzekła do Zygisberta:

— Mój syn Hamo i Klarion nie są parą, ale nie są również rodzeństwem, choć razem się wychowali.

— Sądziłem... — zaczął Zygisbert, jakby się usprawiedliwiając.

— Tak, mogło się wam tak wydawać — przyznała Laurencja, po czym usiłowała skierować rozmowę na inne tory: — Ciekawe, czy zaskoczy was, panie, że mogę do-

---

\* *Pax mediterranea* (łac.) — pokój w basenie Morza Śródziemnego (pojęcie utworzone przez cesarza Augusta).

prorowadzić waszą historię do końca, poniekąd na dowód mojej magicznej mocy... — roześmiała się gorzko. — Wasz emir nazywał się Fachr ad-Din. Na polecenie sułtana prowadził tajne rokowania z Fryderykiem. W ten sposób pozyskał łaskę i zaufanie cesarza, które znalazły wyraz w tym, że ukochany syn emira, Fassr, został przyjęty na dworze w Palermo i osobiście przez Hohenstaufa pasowany na rycerza. Tak, Konstancjusz z Selinuntu, wasz wychowanek, panie! Emir w rewanżu wysłał na ślub cesarza z młodą królową Jeruzalem, Jolantą, najpiękniejszą ze swych córek, Anais, której matka była podobno potomkinią wielkiego Salomona. Anais, która w charakterze druhny zjawiała się w Brindisi, była niewiele starsza od trzynastoletniej narzeczonej, ale fizycznie już dojrzała i kokieteryjnie tego świadoma. Hohenstauf, z pewnością podpity, choć trzeźwy w swej zarówno nienasyconej, jak i prostackiej żądzy — Laurencja dała odczuć, jak bardzo ten typ mężczyzny jest jej wstrętny, a Zygisbert pomyślał, że nigdy nie była kochanką cesarza — nie znalazł chyba w ślubnym łożu zaspokojenia, opuścił więc Jolantę, która poczęła syna dopiero dwa lata później, i skierował uwagę na dworki czuwające przed drzwiami. Anais zaćmiewała wszystkie. Nie opierała się, kiedy cesarz na oczach wszystkich wziął ją na stojąco, *a tergo*,\* podczas gdy za drzwiami upokorzona oblubienica szlochała w poduszkę. Anais zaszła w ciążę. Przyjęcie jej do haremu cesarza w Palermo, z czym się zresztą liczył emir, jej ojciec, nie wchodziło w grę, Jolanta bowiem mściłaby się na niej za swą hańbę. Dlatego też Anais oddano aż do czasu rozwiązania starej matce cesarskiego admirała...

— Henryka Pescatore, waszego małżonka, pani? — przerwał jej Zygisbert.

— Jeszcześmy się wówczas nie znali — oddaliła Laurencja jego rodzącą się ciekawość. — Kiedy oddałam rękę hrabiemu — powiedziała w taki sposób, żeby słuchacz pojął znaczenie, jakie nadawała temu, iż przynajmniej dla niej nie było to małżeństwo z miłości, o pożądaniu już nie mówiąc — Klarion, córka cesarza, miała dwa lata. Jolanta wtedy już nie żyła...

— Zmarła wydając na świat księcia Konrada — wtrącił znów Zygisbert, aby pokazać, że nawet z daleka potrafił śledzić przebieg wypadków.

— Tak, w połogu, i Anais, której brak Fryderyk boleśnie odczuwał, mogła wreszcie przenieść się do haremu. Klarion została tutaj. Wychowywałam ją jak własne dziecko razem z Hamonem, którego wkrótce potem urodziłam.

— A więc Klarion jest wnuczką mojego emira i siostrzenicą Konstancjusza, o czym ten z pewnością nie wie?

— I wiedzieć nie musi. Niech Klarion robi do niego słodkie oczy, sprawa się przecież sama przez się rozwiąże wraz z waszym rychłym odjazdem!

— Chyba z tego powodu nie wypędzicie nas, pani, z raję? — wyraził nadzieję Zygis-

---

\* *A tergo* (łac.) — od tyłu.

bert, przechodząc do porządku nad wyrządzonym jemu i Konstancjuszowi afrontem. — W tym wieku wszystkie panny starają się wybadać swój wpływ na mężczyzn, co nie oznacza, że są gotowe każdemu się oddać...

— Klarion zachowuje się jak marcująca kotka! — rozgniewała się hrabina i rzuciła spojrzenie w dół ku fontannie nie po to bynajmniej, by się przekonać o czymś przeciwnym. — Gotowa by się dopuścić nawet kazirodztwa, obojętne, z bratem czy ze stryjem. Lubieżne ścierwo!

Dla Zygisberta ten wybuch nie był przyjemny, ale za bardzo zajmowały go własne myśli, żeby miał cokolwiek odpowiedzieć.

Wiatr od morza przynosił woń rozmarynu i tymianku zmieszaną z zapachem słonej morskiej piany omywanej ze skał. Unosząc się ponad murami natrafiał na delikatną smugę płynącą od jaśminowych krzewów oraz pasmo ciężkiej, odurzającej woni blado-fioletowych lilii. Niewidzialne aromatyczne chmury przewijały się przez wesołość i ból, podobnie jak dźwięk szarpanych strun lutni, który skądś dochodził i ginął gdzieś między kamieniami i morzem.

## OFIARA BECCALARII

*Montauban, jesień 1244*

Człowiek, który wspinał się ponad ociosywane akurat kamienne kapitele i profile kolumn na placu budowy katedry Świętego Piotra, nie wyglądał na biskupa. Jego ekscelencja Durand nosił brązowy strój myśliwski — był na polowaniu, które go tutaj, do Montauban, niby przypadkiem zawiodło. Przybył sam, u stóp potężnego rusztowania przywiązał konia, z którego zwisała upolowana zwierzyna, a gdy zapytał kamieniarzy o budowniczego i ujrzał palec zwrócony do góry, ruszył ku najbliższej drabinie.

Kiedy wspinał się szczebel po szczeblu, ogarniał go coraz większy podziw nad śmiałością wysmukłych filarów chóru, które na dobre sto stóp wystrzeliwały ku niebu, aby podprzeć ostre łuki. „Na coś takiego i my powinniśmy się w Albi odważyć — przemknęło mu przez głowę. — I zamiar zrealizować.” Z chwiejnego rusztowania przeszedł na kładkę poniżej triforium i znalazł wejście na wąskie kręte schody, ukryte pośród arkad. Doliczył się przynajmniej kopy stromych stopni wijących się w ciemności, aż w głowie się kręciło, nim wydostał się znów na światło dzienne już na wysokości okien ponad dachami bocznych naw. Roztaczający się widok pozbawił go reszty oddechu: niczym włócznie wystrzeliwały co najmniej na pięćdziesiąt stóp w niebo żebra wysokich okien — w niebo, które jakby zapowiadały swymi filigranowymi maswerkami. Biskup Durand spoglądał z góry na lśniąca krętą wstęgę Tarnu; za ciemną zielenią lasów Montechu

wznosił się błękitny łańcuch pirenejskich szczytów. Teraz biskup wspinał się po drabinie dużo ostrożniej, skupiając całą uwagę na każdym następnym szczeblu, aż dotarł na górę, gdzie wąskie przedłużenie sklepienia było poszerzone kilkoma grubymi deskami. Wtedy też dostrzegł budowniczego. Bertrand z La Beccalarii nadzorował rozbieranie drewnianego szalunku, niezbędnego przy stawianiu łuków przyporowych.

— Taka delikatna kamienna konstrukcja — zaczął posapujący, ale roześmiany Durand — nie wytrzymałaby żadnego strzału waszej katapulty, mistrzu, nie mówiąc już o mocniejszym chrząknięciu mojej *adoratricis murorum!* Przyjmijcie pozdrowienie i wyrazy poważania!

Zagadnięty ledwie nań spojrzął, śledząc wzrokiem napiętą linę wciągarki, póki drewniany kłoc nie spoczął na niżej położonym rusztowaniu. Nie uszło uwagi doświadczonego Duranda, jak niewiele lat musi mieć budowniczego, choć jego włosy wcześniej posiwiały. Beccalaria poruszał się ze zręcznością kozicy. Dopiero teraz odpowiedział na powitanie biskupa:

— Liczę, że nie zechcecie, ekscelencjo, użyć także tutaj swej pobożnej maszyny — odezwał się drwiąco. — *Sanctus Petrus* jest budowlą osadzoną na mocnych katolickich fundamentach — wskazał na śmiało wygiętą konstrukcję, którą dzięki karkołomnej pracy cieśli uwolniono z drewnianej obudowy — a jedyne, czego się obawiam, to zimy i jej mrozu. — Podszedł do biskupa i podał mu rękę.

— Mamy teraz pokój — powiedział Durand — toteż maszyna spoczywa rozłożona na części i naoliwiona, a ja mam nadzieję, że nie będę musiał wydobywać jej z ukrycia. Teraz powinniśmy tylko budować ku większej chwale Pana, jak wy tutaj czynicie, mistrzu.

Beccalaria nie wydawał się przekonany nagłym pokojowym nastawieniem wojowniczego biskupa.

— Czyżby mury Quéribusu nie wymagały sprawdzenia siły waszej *adoratricis*? — zapytał spokojnie.

— To nie jest sprawa Kościoła, a w każdym razie nie biskupa Albi. To wyłącznie kłopot króla Francji, no i może jeszcze pana z Termes.

— Oliwera? — spytał cicho budowniczego i biskup spostrzegł, że twarz mistrza pociemniała, lecz Beccalaria, nie oczekując potwierdzenia, zagadnął swego gościa wprost: — Z jakiegoż powodu wasza ekscelencja fatygował się tutaj? Przecież nie po to, by odgrzewać stare „braterstwo broni”?

— Cóż za zręczny eufemizm, mistrzu!... Przywiódł mnie tu szczerzy podziw dla waszej sławnej sztuki. W Albi nosimy się z miłą Bogu myślą...

— I to długo! — wpadł mu w słowo Beccalaria. — Bo znane jest sknerstwo i tępota waszych statecznych mieszczan, które każą im przysiąść tłustymi tyłkami na zamkniętych skrzyniach i sakiewkach, zamiast dla zbawienia dusz wysupłać parę sztuk złota na

upragnioną przez biskupa budowę katedry!

— Tak jest w istocie! — westchnął duchowny i zamilkł.

— Ale nie dlatego wasza ekscelencja osobiście zjawił się tutaj...? — przerwał milczenie Beccalaria.

Biskup Durand długo patrzył na rozciągający się przed nim krajobraz: miasto nad rzeką, zamki i klasztory na wzgórzach, miasteczka z targowiskami i zagrody w dolinie między polami i lasami. Od tego widoku bił spokój, przyzwoitość i bojaźń boża — jakże zwodnicza! Duch kacerstwa bowiem unosił się wciąż jeszcze pod dachami jak nie uszły dym, a za murami tliło się zarzewie buntu przeciw wymuszonemu panowaniu Francuzów.

— Żyło w Montségur dwoje dzieci — rozpoczął biskup swoją misję niczym baśń.  
— Chłopiec i dziewczynka...

— Prowadziliście wojnę przeciwko wielu dzieciom — natarł nań ostro budowniczy.  
— Byłem zbyt zajęty ochroną miejsca, skąd uciekały, żeby o nie się troszczyć.

— Ach, tak?... — zdziwił się biskup. — A więc budowniczy chrześcijańskiego kościoła nie miał innego powodu, by opuścić swoje miejsce pracy, oprócz sympatii dla kacerzy?

— Kiedy usłyszałem — odparł Beccalaria ze smętnie zwieszoną głową — że wasza ekscelencja zawiesił na kołku duchowną szatę, aby ze śmiercionośną katapultą...

— Dajmy temu spokój! — przerwał mu Durand pojednawczo. — Nie przybyłem tu po to, by rozliczać się nawzajem z okrucieństw wojennych... — Położył przyjaźnie budowniczemu rękę na ramieniu i zmusił go, aby zamiast wbijać spojrzenie w ziemię, skierował je na jasną przestrzeń przed nimi. — Pozwólcie, mistrzu, że zacznę tę historię całkiem inaczej... Przed pięciu laty do Fanjeaux przyjechała *incognito* ze świetną eskortą pewna wysoko postawiona dama, jak mówią, z najznakomitszej, najstarszej francuskiej szlachty. Tu w klasztorze Maryi Panny z Prouille mniszki wychowywały jej córkę, surowo odizolowaną, do tego pod fałszywym nazwiskiem. Było tak nie bez powodu... — Biskup kątem oka obserwował stojącego tuż obok Beccalarię, ale budowniczy patrzył w dal, gdzie z mgieł wynurzały się pokryte śniegiem szczyty Pirenejów. — Blanchefleur, jak nazywano dziewczynę, skończyła w owym roku szesnaście lat. Była ładnym, wrażliwym dzieckiem. Matka... możemy ją chyba nazywać księżną... — Durand próbował uchwycić jakiś znak porozumienia, lecz budowniczy przyglądał się w milczeniu przepływającym w oddali obłokom. — Otóż księżna oznajmiła córce, kto jest jej ojcem i jaka jest jego ranga. Blanchefleur łamała sobie nad tym głowę od czasu, gdy wraz z wiekiem i postępami w arytmetyce zdołała wyliczyć, że w chwili jej urodzenia matka od trzech lat była wdową. Wiadomości o ojcu nie przyjęła z dumą i szczęściem, jak oczekiwała matka, lecz ze wzburzeniem, a jej przestrach wzrósł jeszcze, gdy księżna powiedziała, że w dynastycznych układach wiąże z jej osobą wielkie i ważne plany. Jakie,

tego dostojna dama nie wyjawiała. Uznawszy w ten sposób dojrzałość córki do małżeństwa i przygotowawszy ją na to szczęście, odjechała.

— Blanche fleur — ciągnął Durand — miała odmienne wyobrażenia o swoim szczęściu. Wiem o tym, ponieważ byłem jej spowiednikiem. Otóż kochała, miłością niewinną, pełną tęsknoty, lecz zdecydowaną, pewnego młodego szlachcica, o wiele niższej rangą, co od rozmowy z matką wiedziała na pewno, w dodatku biednego, tak biednego, że nawet nie został rycerzem, lecz musiał zarabiać na życie pracą własnych rąk i wiedzą. Chciał zostać budowniczym, ale wówczas pracował jako czeladnik przy odnawianiu kościoła w klasztorze założonym jeszcze przez świętego Dominika. Spotykali się niekiedy w klasztornym ogrodzie, gdzie snuli fantazje o wznoszeniu w magicznych punktach Ziemi, dających się wyliczyć na podstawie biegu gwiazd, coraz wyższych i smuklejszych katedr, których strzelistość, jak wiadomo, zależy od właściwego umiejscowienia, od krzywizn, nachylenia kątów, mocy i podpór konstrukcji. Te rozmowy bardzo ich zbliżyły. Młody architekt szkicował swe marzenia, a zdolna uczennica dokonywała nocą stosownych obliczeń. Początkowo widywali się przypadkiem, później, po kryjomu, coraz częściej, wreszcie regularnie. O miłości, której ktoś stojący z boku łatwo mógł się domyślić, nie ośmielali się mówić. Wyrażali ją w szkicach z planami i rzutami, z matematycznymi formułami, które sobie skrycie przekazywali. Kiedy Blanche fleur dowiedziała się od matki, że te zachwycające marzenia wyrażane w równaniach Pitagorasa, Talesa i Euklidesa czeka szybki koniec, zdecydowała się działać. Ale nie tak, żeby ukochanemu wyznać miłość, o, nie! Poleciła mu bez emocji, aby się zatroszczył o jej ucieczkę z klasztoru, a ciąg dalszy miał sam nastąpić...

Biskup przerwał opowieść, by wreszcie wymóc na milczącym słuchaczu jakiś odzew, jednakże Beccalaria, nieobecny duchem, patrzył na rozciągającą się przed nim krainę, wzrokiem błędził daleko po chmurach i grzbietach gór. Durand, rozczarowany, kontynuował zatem:

— Ciąg dalszy istotnie nastąpił: Blanche fleur dotarła do Montrealu, gdzie miała się spotkać ze swym budowniczym, ale ten się nie zjawił, ona zaś wpadła w ręce młodego Trencavela, syna waszego Parsifala. — Beccalaria nie okazał najmniejszym drgnieniem twarzy, jak dalece dotknęła go ta historia. — Rajmund Roger Trzeci zamierzał wówczas odbić Carcassonne, swoje ojcowskie dziedzictwo, i właśnie w Montrealu urządził tajną główną kwaterę buntowników i banitów, których wokół siebie skupił. Wicehrabia, rycerz w męskim wieku z charyzmą tragicznej śmierci ojca i wciąż jeszcze osnutą wędną aureolą mitu Graala, traktował swą piękną więźniarkę z na tyle uprzedzającą grzecznością, na ile intrygi mu pozwalały. Nie zabiegał o względy panny, a ona czekała na swego nie dającego znaku życia bohatera, którego obraz coraz bardziej w jej pamięci blaknął. W wigilię rozstrzygającego ataku na Carcassonne Blanche fleur została z własnej woli kochanką Trencavela. Rankiem wicehrabia ucałował zalęknioną dziewczynę, któ-

ra mu osłodziła noc czułością i pełnym oddaniem, i ruszył do bitwy. Zginął w walce, a Blanchefleur przy pomocy jego nielicznych stronników uciekała z miejsca na miejsce, z kryjówki do kryjówki w kraju obcym, gdzie poza niewiernym czeladnikiem nie miała przyjaciół. Oliwer z Termes, towarzysz broni nieszczęsnego Trencavela, zapewnił wreszcie brzemiennej dziewczynie bezpieczeństwo w Montségur...

— Nie! — odezwał się wreszcie Beccalaria. — Oliwer zdradził ją, i to po raz drugi! Znalazłem moją ukochaną w nędzy, prawie umierającą, i zaniósłem do twierdzy Graala. Wcześniej, kiedy Blanchefleur zażądała, żebyśmy razem uciekli, zwróciłem się do Oliwera z prośbą o radę i pomoc. Znał moją rodzinę, obaj sprzyjaliśmy wierze Czystych, obaj kochaliśmy Langwedocję. Oliwer zajął się wszystkim aż nazbyt chętnie! I za moimi plecami zaoferował Trencavelowi, do którego swity należał, łatwą zdobycz, mnie zaś kazał czekać nie w Montrealu, lecz w Villeneuve de Montreal i ani pisnąć, „nawet gdyby to miało trwać wiele dni”. Tam polecił mnie wytropić jakimś zbirom, porządnie wychłostać i pod groźbą śmierci przepędzić. Minęły miesiące, zanim wpadłem na ślad uciekającej Blanchefleur. Kłamliwy Oliwer pozostawił ją samej sobie, a zaraz po nieudanej próbie zdobycia Carcassonne przeszedł na stronę Francuzów. Wiem, że Blanchefleur, której nigdy więcej nie widziałem, wkrótce potem urodziła w Montségur chłopca. Nazwała go Roger Rajmund Bertrand.

— To naprowadziło mnie na wasz ślad, mistrzu — powiedział biskup ochryplym głosem. — Blanchefleur pojawiła się jeszcze raz na krótko, bez dziecka, u Maryi Panny w Prouille, ale niebawem wyjechała i w jakimś klasztorze schroniła się na resztę życia przed światem, przede wszystkim jednak przed swą matką. Więcej mi nie zwierzyła.

— Dziwnie los czasem zrząda — zauważył budowniczy. — Blanchefleur wybierając ojca dla swego syna być może o wiele lepiej wypełniła oczekiwania matki, niż dostojna pani mogła sobie życzyć, oczywiście jeśli zmierzały one w takim kierunku, jak przypuszczam. Wymierający dom Trencavela łączy nadzwyczaj bliskie pokrewieństwo ze świętą linią Graala — dodał gorzko.

Biskup mimo wszystko nie mógł przyjąć tego tak zranionego człowieka pod szeroko rozpostarte skrzydła Kościoła.

— Jest tylko jedna Święta Krew: Pana Naszego Jezusa Chrystusa! — oświadczył.

— Słusznie — przyznał Bertrand.

— Wiernym ukazuje ją kapłan w świętej monstrancji.

Budowniczy potrząsnął głową.

— Dla wtajemniczonych płynie w żyłach szlachty, której wolno się zaliczyć do rodziny Graala, prawdziwych spadkobierców Mesjasza z królewskiego domu Dawida.

— Kimże więc jest matka Blanchefleur, skoroście tak pewni, że w chłopcu imieniem Roger Rajmund Bertrand objawiła się jedyna w swoim rodzaju kulminacja królewskiej krwi?

— Nie wiem, nie wiem także, kto jest ojcem dziewczyny. A nawet gdybym wiedział...

— Kto jest ojcem, mistrzu, mogę wam powiedzieć: cesarz! Ale przez was chciałbym dotrzeć do tajemnicy księżnej.

— Tego trudu, ekscelencjo, mogliście sobie oszczędzić. Nigdy o to nie pytałem i mogę spokojnie w nieświadomości dokończyć żywota.

Wzrok obydwu padł na czarny powóz, który pod eskortą grupy zbrojnych w kłębach kurzu zmierzał drogą ku wznoszonej katedrze.

— Ten, co nadjeżdża, nie oszczędzi wam żadnego trudu i zmusi was do wyjawienia tajemnicy, zanim wolno wam będzie dokończyć żywota — powiedział biskup cicho i bez cienia groźby, raczej tonem ubolewania. — Powinniście uciekać, mistrzu Bertrandzie. Przybywa inkwizytor...

— Wiele pytań pozostanie bez odpowiedzi — stwierdził budowniczy i wychylił się mocno do przodu, aby dokładnie śledzić, jak ponury pojazd zatrzymuje się na dole przed otworem przeznaczonym na portal, a jeźdźcy zeskakują z koni i otaczają plac budowy. Biskup, szczerze zatroskany, szarpnął Beccalarię za rękaw.

— Możecie uciec schodami. Na dole stoi mój koń, w Albi...

— Wasza katedra, ekscelencjo — przerwał mu przyjaźnie Bertrand, na chwilę rozpraszając obawy Duranda — i wiele innych katedr — dodał dobrodusznie — nie zostaną zbudowane!

Powiedziawszy to, cofnął się o krok, jakby zapomniał, że ma za sobą przepaść, i runął w dół. Nie był to jednak swobodny upadek: Beccalaria uderzył pod kątem w dolną część konstrukcji, odbił się od niej i cisnęło nim najpierw o filar, potem o dach absydy. Wtedy jakby ręka boska uwolniła wiązania muru — potracony łuk przyporowy wolno się rozsypał, starannie obrobione kamienie skierowały się śladem swego mistrza, najpierw jeden, potem drugi, trzeci... W ogłuszającym łoskocie zgiął suchy odgłos pęknięć w należącym do zespołu filarze, który zachwiał się, potem przechylił i załamał. Przeciwnie do łuku przyporowego ściana, straciwszy oparcie, niczym płomień przyginany przez wiatr jęła się leniwie osuwać na zewnątrz, pociągając za sobą z obu stron arkady, filary i ściany. Wszystko zagłuszał trzask łamiącego się drewna, huk pękających kamieni, aż w chmurze pyłu wapiennej zaprawy monumentalna świątynia legła w gruzach, z których sterczała ku niebu jedynie samotna wieża.



## WIELKI PLAN *Cortona, lato 1244*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

— *De profundis clamavi ad te, Domine...*\*

Taką modlitwą zaczynałem dzień w piwnicach Cortony. Z początku Eliasz odwiedzał mnie czasami, niby się usprawiedliwiając z powodu opóźnienia wyjazdu i wtajemniczając mnie tymczasem w swoje plany wzniesienia kościoła i klasztoru poświęconych Franciszkowi z Asyżu. Pokazywał mi rysunki i skarżył się na krnąbrną gminę, która mu wprawdzie obiecała miejsce pod budowę, ale sporządzenie stosownego dokumentu przekładała z tygodnia na tydzień. Później jednak przez ponad miesiąc wyjeżdżał gdzieś ciągle i prawie go nie widywałem, a jeśli już, to w pośpiechu, nieprzychylnie nerwowego, aż w końcu zapomniał chyba o mnie całkowicie.

Zapoznałem się tymczasem dobrze z obszernym podziemiem kasztelu. Pani Gersenda wpuszczała mnie popołudniami do piwnicy z winem, a nocą zezwalała zaczerpnąć powietrza na kuchennym dziedzińcu. Pod jej spódnice wszakże nie mogłem sięgać, a sypialnie służących leżały wysoko na poddaszu. Gersenda była cnotliwą kobietą, pełną macierzyńskich uczuć, chętną do pomocy, ale też umiejącą przywołać do porządku. Kto się do jej wymagań stosował, pędził spokojny żywot.

Oddawałem się zatem regularnemu pijaństwu, a że izdebkę miałem w bliskim sąsiedztwie beczek z winem, nad moim łóżkiem wisiał nieustannie ciężki opar jak miękka puchowa poducha. Odsypiałem odurzenie do samego południa, nocą bowiem to, co wypilem, ganiało mnie na stronę. Jakże zazdrościłem obu kapłanom z Ziemi Świętej, którzy każdego wieczoru ze śpiewem przypominającym ryk zataczali się spod „Złotego Cielca” do swoich łóżek. Mogłem ich tylko słuchać, bo oglądać czy mówić z nimi już mi nie było wolno.

Stawałem się coraz bardziej opasły, co znajdowało wyraz zwłaszcza w złośliwych żartach dziewczek służebnych. I dręczyło mnie podsycane wspomnieniem łagodnej Ingolindy pragnienie, by uszczęśliwić kobietę w łóżku, na sianie lub gdzie indziej, na leżąco, stojąco, siedząco.

Pewnego dnia przypomniał mi się pergamin z Sutri, który od dawna już traktowałem jak pismo zwyczajne, tyle że mogące dokonać pewnych zmian w moim ropuszym półośnie.

Poczłapałem niezwłocznie do pani Gersendy i poprosiłem o pióro, atrament i pergamin mówiąc, że chcę pisać na chwałę Pana i dla spokoju własnego sumienia. Nie powiedziałem jej, że zamierzam sporządzić wierną kopię listu do jej pana, ale to wcale

---

\* *De profundis...* (łac.) — Z głębokości wołam do Ciebie, Panie...

nie było potrzebne, gdyż pochwaliła mój zamiar już choćby dlatego, że zwracałem myśli w inną stronę, zamiast z lubieżnym szczerzeniem zębów gapić się na jej bądź służebnych dziewczek spódnice. Że nie wspomnę o zaglądaniu pod nie.

Gersenda przyniosła mi więc to, o co prosiłem, ponadto świece łożowe. Wycofałem się do swej komory, dobytek z kryjówki dokument, wygładziłem go jak tylko się dało i zacząłem czytać.



Wielorako spleciona jest pieczęć Tajnego Sprzysiężenia, grot oszczepu wiary wychyla się z kielicha lilii, trygon przenika krąg i unosi się nad wodami. Komu jest przeznaczone, by wiedział, ten wie, kto do niego mówi!

Kto szuka prawdy, dobrze czyni zagłębiając się w Słowo Boże, tak jak zostało zapisane w Biblii. Nie czyni dobrze ten, co ufa Ojcom Kościoła. Oni nie są poszukującymi, tak jak on, lecz komentatorami Pisma, które wedle uznania wykładają z korzyścią dla siebie.

Kto szuka prawdy, może jednak prosić Boga, aby mu zezwolił zajrzeć do wielkiej księgi historii. Bóg nie pisze atramentem dziejopisów, lecz życiem ludzi i narodów.

Kiedy przysłała pora, Bóg uwolnił Izrael od roli narodu wybranego, oswobodził go od tego przygniatającego ciężaru. Albowiem niosąc owo brzemie, Izrael nie znajdował już sił, aby dopuścić inne narody do jedyne Boga. Spostrzegłszy, że dusze dzieci Izraela stwardniały jak skóra na słońcu i stały się łamliwe, Stwórca zaczął posyłać proroków, by świadczyli o wielkości Jego Królestwa.

Jako pierwszy zjawił się Jan Chrzciciel, jego wezwanie wszakże nie dotarło do ludu, ogłuchłego i nieczułego.

Po nim przyszedł wywodzący się z domu Dawidowego Jezus, który złożył w ofierze swoje życie. Ale uczniowie przeinaczyli jego posłannictwo miłości i sfalszowali testament jego ofiary.

I wreszcie pojawił się Mahomet, który błędzącym narodom wskazał drogę bez winy i przebaczenia, wiodącą prosto do rajy dzięki pobożnemu i sprawiedliwemu życiu na ziemi.

Bóg karze lud Izraela od jego wyjścia z Egiptu, gniewa się także na muzułmanów od hedżry, ucieczki Mahometa z Mekki. Od tego czasu dziedzictwo Proroka rozdarte jest pomiędzy sunnitów, posłusznych ślepo przesłaniu sunny, to jest tradycji, oraz szytów, którzy jak głusi uznają tylko Koran i władców wywodzących się w prostej linii od Mahometa. Bóg jeden wie, która droga jest właściwa. Muzułmanie tego nie wiedzą.

Niemym z gniewu jest jednak Pan, gdy widzi, jakiego Potwora wydali na świat ci, co

uzurpują sobie miano następców Chrystusa. Stworzyli bowiem Kościół, który samowolnie rośnie i potężnieje, a jego służba Bogu polega na tym, aby innych karać: Żydów siłą „rozproszyc po całym świecie”; oba odłamy podzielonego mahometanizmu wydać na pastwę Potwora, jego siejących spustoszenie ogonów i chciwych macek.

Ale krwawy ślad, który ten Zwierz ciągnie za sobą niby tren, jest także obietnicą, że Pan nie zapomni zbrodni. Bóg jeden wie, kiedy nadejdzie dzień sądu, ale dzień ów nastanie! Ponieważ okrucieństwa następców Chrystusa wołają o pomstę do nieba.

Najpierw zaprzeczyli cielesności Jezusa z Nazaretu. W swym szaleństwie i zuchwalstwie posunęli się tak daleko, że ogłosili go Synem Bożym, drugim Bogiem. Co więcej, jego matkę, naigrawając się z macierzyństwa, podnieśli do godności boskiej Dziewicy. A ogołoconą z Arki Świątynię, poświęconą Bogu Jedyńemu, zapełnili mnogością ołtarzy.

Potem jęli zabiegać o przychyłność Rzymu, albowiem w stolicy świata zamierzał się próżny Potwór zagnieżdżyć, stamtąd wyciągnąć macki, wszystkich ludzi przycisnąć do piersi i udusić tych, którzy go wielbić nie chcieli.

Zagrożenie owo zwróciło się przeciwko tym chrześcijanom, którzy podążyli za wezwaniem Jezusa: „Idźcie na cały świat...”, by głosić Słowo tym, co mają otwarte uszy. Uczniów rozesłanych po świecie było dwunastu.

Szawel nie należał do ich grona, w Damaszku nie stał się apostołem. Był tylko Pawłem, Pawłem-strategiem. To on podjął decyzję tak znaczącą dla Rzymu cesarów — nie wybrał Bagdadu, kolebki ludzkości, nie wybrał Aleksandrii, ostoju duchowości, ani Jerozolimę swoich ojców. Nie prostemu rybakowi Piotrowi, ale jemu, Pawłowi, zawdzięczamy tę ośmiornicę. Paweł umieścił Zwierza tam, gdzie mógł się on rozwinąć w Potwora.

Aby się Rzymowi przypochlebić, zwierzchnicy Kościoła postarali się zapomnieć, że to właśnie Rzymianie, stosując się ściśle do swego kodeksu wojskowego, ukrzyżowali Jezusa z Nazaretu. Mało tego — zwierzchnicy Kościoła poszli jeszcze dalej: zrzucili winę na własny naród, na Żydów, twierdząc, że zamordowali Mesjasza. I podnieśli go do godności zamęzonego bóstwa, ba, do godności samego Boga. Tak oto Zwierz wypuścił z nozdrzy pierwszą zatrutą chmurę, która odtąd brzemienią w nieszczęścia unosi się nad światem. To chmura nienawiści do dzieci Izraela i ich potomstwa. Nic nie jednoczy stronników tak mocno jak wspólny wróg.

Zwierz przywłaszczył sobie posłannictwo ukrzyżowanego, jego ciało, a także, jak mu się wydaje, jego krew. I nic nie irytuje Potwora w Rzymie tak bardzo jak świadomość, że potomstwo domu Dawidowego nie wygasło, że jego nasienie się rozkrzewia. Skoro zaś Jezus został obwołany Bogiem, jego ród — nie podniesiony wraz z nim do godności boskiej — jest teraz Zwierzowi cierniem w oku. Żonę Jezusa okrzyknięto zatem nierządnicą, jego synów zaś potraktowano jak rzezimieszków. Komu się udało uratować przed ukrzyżowaniem przez Rzymian, ten zamilkł całkowicie.

Podobny los spotkał gminy pozostałych apostołów. Zaledwie Zwierz wypełił z katakumb i zasiadł na tronie rzymskiego Kościoła państwowego, rozpoczęło się zapalczywe prześladowanie tych, którzy odstąpili od „prawdziwej” wiary. Najpierw oskazywano ich jako sekciarzy, potem jako heretyków postawiono pod pręgierzem. Kto się nie ugiął przed żądaniem Kościoła powszechnego — tak nazwało się Monstrum — który utrzymywał, że tylko on posiada klucze do Królestwa Niebieskiego, podlegał ekskomunice. Pod pręgierzami zaczęto gromadzić drewno i słomę. Zwierz, stąpając śladami imperium, pluł już teraz nie tylko jadem, lecz również ogniem. Zapłonęły pierwsze stopy.

A reszta świata? Wyznawców proroka Mahometa, którego Bóg wysłał po Jezusie — a Bóg wiedział, co czyni — zaliczono do armii „niewiernych”, do pogan. Jeśli okazali pokorę i dobrowolnie ucałowali krzyż, można ich było ochrzcić. Jeśli nie pozwalali się nawrócić, należało zatłuc ich na śmierć.

Teraz, w ostatnich latach, dowiedzieliśmy się, że daleko na Wschodzie żyją jeszcze inne ogromnie liczebne ludy; dla ich władców my tutaj, skupieni wokół *Mare Nostrum*, jesteśmy tylko „resztą świata”. Co powinno się z tymi ludami począć? I jak one wobec nas postąpią?

Zwierz usadowił się na kruchej skale: *Imperium Romanum* rozpadło się na dwie części.

Część wschodnia, Bizancjum, z racji swego położenia z początku znacznie potężniejsza, bez trudu zdołała utrzymać rozdział władzy świeckiej i duchownej, które mimo to szły ramię w ramię. Bizancjum uważało się za pocisk wymierzony przeciwko ludom wschodzącego słońca, a zarazem za pośrednika między nimi a Zachodem.

Zwierz siedział w Cesarstwie Zachodniorzymskim. Gdy cesarstwo jęło się chylić ku upadkowi, władza przeszła najpierw w ręce germańskiego żołnierza-cesarza, później Niemców i powstało *Sacrum Imperium Romanum*.\*

Jednakże Kościół, od początku istnienia zaprawiony w osiągnięciu ziemskich sukcesów, w żaden sposób nie zamierzał zrezygnować z prymatu władzy. Papieże — tak nazywali się najwyżsi kapłani Potwora — przyozdabiali głowy tiarą i pokazywali bez żenady nagromadzone bogactwa: wyglądali jak prawdziwi następcy cesarów. Ci *vicarii Christi*, namiestnicy Chrystusa, Syna Bożego, żądali posłuszeństwa i wzywali przed swój tron świeckich władców dla złożenia hołdu. Spodziewali się, że patriarcha Bizancjum i niemiecki cesarz pokłonią się również przed Zwierzem, lecz wywołali tylko schizmę i spór o inwestyturę: kto powołuje kogo? Papież patriarchę? Cesarz papieża?

Od upadku Cesarstwa Rzymskiego i wtargnięcia barbarzyńskich ludów z Północy i Wschodu zmieniło się oblicze świata. Kolonia, Londyn, Paryż dawno już przestały być garnizonami osadzonymi w germańsko-celtyckiej głuszy — stały się znaczącymi punk-

---

\* *Sacrum Imperium Romanum* (łac.) — Święte Cesarstwo Rzymskie.

tami potężnych krajów. Trafił się jeszcze światu zachodzącego słońca Carolus Magnus podobny cesarom. Później powstawały wprawdzie samodzielne królestwa, jednakże nad wszystkimi stał, jak instytucja z bożej łaski, cesarz!

Na Półwyspie Iberyjskim i na południu Italii, które należało do Bizancjum, Zachód musiał pogodzić się z wtargnięciem młodych sił islamu. Za to cesarstwo rozprzestrzeniło się coraz dalej na wschód, podporządkowało sobie królów Czech, Polski i Węgier, szerzyło swoją wiarę na północy, a marchie graniczne przekształciło w księstwa.

Król Francji chętnie by naśladował Niemców, ale pozostało za mało nie zagarniętych ziem, brakowało mu też autorytetu cesarskiej korony.

Bogate krainy południowo-zachodnie, Tuluza i Langwedocja, nie podlegały ani jemu, ani Rzymowi. Tutaj gnoza oraz nauki Manesa padły jak rosa na żyzną ziemię, *sang réal*, królewska krew, przekształciła się w *San Graal*, Świętego Graala.

Jak głosi podanie, tutaj przybiły do brzegu dzieci Jezusa i zostały przyjęte przez Żydów przebywających na wygnaniu. Krew tych dzieci zmieszała się najpierw z krwią królów celtyckich, a potem gockich. Dynastia Langwedocji, Merowingowie, Trencavelowie, ba, cała szlachta kraju wywodzi się od nich. Tutaj powstało pojęcie szlachectwa, pożądane przez Boga wyróżnienie określonej krwi. Ta przez stulecia zamknięta przed światem wyspa szczęśliwości, kraina z własnym językiem, *langue d'oc*, z własnymi prawami i religią, w której blisko znajduje się raj i nie ma papieża, podarowała Zachodowi poezję miłosną i trubadurów. Wpadła też pierwsza w pożądliwe oko Francji i zawistną źrenicę Rzymu, gdy w drugim tysiącleciu po narodzeniu Chrystusa Zachód, na własną zgubę, ruszył się jeszcze raz.

Rzym od dawna już nie był centrum zachodniego świata. Półwysep Apeniński stracił dawne znaczenie. Lombardia, najważniejsza część cesarstwa, próbowała zrzucić zwierzchnictwo Hohenstaufów. *Patrimonium Petri*, bo tak Zwierz nazwał swój rewir, przekształciło się tymczasem w samodzielne państwo, w Państwo Kościelne. Kwitnące, ale dzikie południe kraju, dawne Królestwo Obojga Sycylii, wyrwała Arabom garstka normañskich awanturników.

Papieże zostali zepchnięci na margines wydarzeń, które rozgrywały się coraz dalej na północ, zachód i wschód, i tylko od czasu do czasu odwiedzali ich mocarze, częściej natomiast ciężko doświadczali.

Tego Zwierz nie mógł ścierpieć. Dlatego też Rzym bez potrzeby wywołał oficjalną schizmę i wówczas Bizancjum odmówiło ostatecznie uznania zwierzchności papieża.

Mniej więcej dziesięć lat później doszło do brzemiennych w następstwa walk na północy Europy. Normanowie przeprawili się przez Kanał i podbili Królestwo Anglii, przez co na ziemi francuskiej naruszona została równowaga sił. Odtąd władcy tych terytoriów myśleli tylko o własnym interesie, nie zważając na cesarza i papieża.

W następnym dziesięcioleciu papież Grzegorz VII upokorzył niemieckiego kró-

la Henryka IV, każąc mu przez wiele dni czekać przed zamkiem w Canossie, nim zdjął z niego klątwę. Henryk zemścił się: zapędził Grzegorza do zamku Świętego Anioła i antypapieżowi kazał się koronować na cesarza. Grzegorz przywołał na pomoc Normanów z południowej Italii, ale ci tak srożyli się w Rzymie, że wywołali powstanie. Grzegorz wraz z Normanami musiał uciekać z miasta i zmarł na wygnaniu w Salerno.

W tym ciężkim położeniu jego następcą Urban II na synodzie w Clermont wezwał do krucjaty: „*Deus lo volt!*” Bóg tak chce!

Czy Bóg chciał krucjaty, jest rzeczą wątpliwą; z pewnością należała ona do plag, którymi zamyslił karać ludzkość, a co mieści się w boskich zamierzeniach, do tego Bóg dopuszcza.

Zwierz niefrasobliwie wywołał lawinę krwi i łez, nienawiści, żądz i zaślepienia. Monstrum liczyło się chyba skrycie z tym, że pewnego dnia rozjuszony tłumy pokonają je, rozerwą na strzępy i spalą. Ale wiedziało też, że nie będzie przeciwnikom obojętne — nie zostanie zatem zapomniane.

Krucjata była butną demonstracją papieżstwa mającą wykazać, że stoi ono na czele całego Zachodu, bo potrafi nakłonić władców do takiego kroku. Książęta jednak nie wysłali na wyprawę swych pierworodnych. Tylko następni synowie, bez widoków na dziedzictwo czy lenno, przypinali do płaszczy krzyże i stawali na czele pochodu. Za nimi postępowała armia biedaków: zbiegli opryszkowie, hycle, kuplerzy, szubienicznicy, rabusie, rzezimieszki, żebracy i pozostała hołota — a także kobiety, sprzedajne i żarliwie pobożne, niedbałe i troskliwe, kochające i zawiedzione. Ponadto mnisi i kapłani, rozłajdaczni lub pełni płomiennej wiary, fanatycy i chciwi nowych beneficjów. Taki był ten pochód, który przetoczył się przez Europę.

Poprzedzały go dzikie pogromy, wzeszedł bowiem zatruty siew Zwierza. Zatłuczenie na śmierć Żyda było dobrą wprawką do tego, co przewidywało się dla poganina. A Potwór obiecał przecież całkowite odpuszczenie wszystkich grzechów, co było ważne dla tych nielicznych, którzy przypięli krzyż kierując się chrześcijańskim sumieniem. Tych zaś, co wyruszyli z całkiem świeckich powodów, bardziej niż zbawienie duszy pociągało zdobywanie bogactw.

Wielu marzyło o ogrodzie Edenu, który od wypędzenia pierwszych rodziców z raju pozostał nie zamieszkały, i o opuszczonych pałacach, gdzie stały otworem skrzynie pełne złota i klejnotów. I Zwierz pozwalał im o tym marzyć. Wielu uważało, że „niewierni” czekają na przybycie krzyżowców z tęsknotą, z jaką dzieci wyglądają rodziców. Wielu nie myślało w ogóle nic i tym bardziej dziwiło się temu, że napotkali wyrosłą przez stulecia feudalną strukturę, cywilizację i naukę, które nasz rozwój dalece przewyższają.

Ci wszyscy, których jad Zwierza nie uczynił ślepymi, głuchymi i nieczułymi, przyjęli doświadczenia z Ziemi Świętej jak policzek. Ale Zwierz także został ciężko ugodzony. Z krajów Bliskiego Wschodu przeniknęły na Zachód nie tylko wody kwiatowe

i eteryczne olejki, nie tylko sztuka miłości, tańca, muzyki, śpiewu, poezji, lecz przede wszystkim upiory — upiory filozofii i wolnej myśli, które już Zachodu nie opuściły, choć Zwierz bardzo parsknął i zionął ogniem. Czuł, że w czystym powietrzu rozumu nie będzie się już mógł rozwijać, a wiatr Orientu przepędzi pewnego dnia jego zatruty oddech.

Pierwsza wyprawa krzyżowa zakończyła się zdobyciem Jeruzalem. Zwycięzcy przez trzy dni nurzali się we krwi zabitych muzułmanów, uduszonych Żydów i wyciętych w pień chrześcijan świętego miasta. Potem powołali Wieczne Królestwo Jerozolimskie i podzielili kraj, zamki i miasta między siebie, to znaczy między szlachetnych przywódców. Biedacy, którzy pociągnęli wraz z nimi i nie zginęli z głodu, pragnienia, upału i zimna, podczas bitew lub w niewoli, pozostali tym, czym byli przedtem.

Minęły trzy generacje, nim świat arabski ochłonął z przerażenia, nim zjednoczył się pod jedną ręką. Najpierw musiał pojawić się Saladyn, który połączył wszystkie siły od Syrii do Kairu. Wtedy z chrześcijanami rozprawiono się szybko. Po bitwie pod Hattinem krzyżowcy stracili Jeruzalem. Nie w taki sposób, jak je zdobyli — o nie! Saladyn nie przelał krwi zwyciężonych. Czy ich zawstydził? Skądże! Oni nie znali wstydu. Najważniejsze, że przeżyli.

Za następców Saladyna rozpadł się świat islamu na trzy wielkie centra: Bagdad, gdzie na tronie zasiadał kalif, najwyższy władca wszystkich wiernych; bogaty Damaszek, silnie dążący do wolności i niezależności, dzięki temu otwarty nawet dla chrześcijan; wreszcie siedziba sułtana, potężny Kair, więzień swej sławnej przeszłości oraz najemnego wojska. Istniało ponadto wiele mniejszych i większych emiratów, które raz współdziałały z jedną, innym razem z drugą stroną. Poniechano w tamtych czasach wprowadzenia jednej wiary, ustały też wojenne podboje. Kością niezgody był tylko handel i porty. Nie panował wprawdzie w Ziemi Świętej pokój, ale prawie nieprzerwane pasmo zawiesznień broni. Raz emiraty Homsu i Hamy płaciły trybut chrześcijańskim panom z Bejrutu, kiedy indziej asasyni podnosili podatki dla Sydonu i Trypolisu, to znów Anglicy pożyczali wojsko z Mosulu i prowadzili je przeciwko Francuzom z Jafy czy Tyru. A dwór Królestwa Jerozolimskiego rezydował w Akce.

Sto lat minęło od początku wypraw krzyżowych. Pod palącym słońcem Azji Przedniej każdy znalazł sobie zacienione miejsce, czy to chrześcijanin, czy muzułmanin. Jednakże przyszła pora, gdy Zwierz poczuł ból i urodził Monstrum, purpurata, jakiego jeszcze świat nie widział: Innocentego III.

Instynkt nie zawiódł Zwierza. Wietrzył nadciągające niebezpieczeństwo: Bóg wykuwał gdzieś miecz, który mógł Zwierzowi rozplatać gardziel.

Tym mieczem okazali się Hohenstaufowie, którzy Królestwo Niemieckie uczynili dziedzicznym, podobnie jak od czasu wielkiego Barbarossy dziedziczny był tytuł cesarza. A syn Rudobrodego poślubił ostatnią normańską księżniczkę, sukcesorkę Króle-

stwa Obojga Sycylii.

Doszło do tego, czego Zwierz obawiał się najbardziej: do połączenia Południa z Rzeszą, *unio regni ad imperium*\* i wzięcia *Patrimonii Petri* w śmiertelny uścisk!

Cesarskiej parze urodził się w Iesi syn: Fryderyk II. Innocenty, który objął urząd z zamiarem zdobycia świeckiej władzy dla papieży, adoptował młodego Hohenstaufa; Zwierz próbował usidlić Fryderyka swymi mackami, wstrzyknąć mu truciznę uległości.

Wraz z Innocentym, który zasiadł na Stolicy Piotrowej, wyrósł Potworowi niebezpieczny łeb, którego ruchów niepodobna było przewidzieć. Nie uderzał dookoła na ślepo, lecz atakował z ukrycia, zadawał śmiertelne ciosy, pod którymi zadrżał cały Zachód.

Z iście szatańską chytrąścią skierował Innocenty następną krucjatę przeciwko schizmatycznemu Bizancjum, korzystając z pomocy Wenecji, która w ten sposób mogła powiększyć swoją potęgę handlową. Wschodniorzymski patriarcha, tak długo będący papieżem solą w oku, musiał uciekać. A napełniony nienawiścią jeździec siedzący na Bestii niewiele się troszczył o to, że tym samym zburzono tamę odgradzącą Zachód od Wschodu.

Potem wymierzył zjadliwy cios kacerzom, uderzając w katarów langwedockich. Ich herezja, przeciwstawiająca przepychowi rzymskiego Kościoła niemal całkowite wyrzeczenie się dóbr przez swoich kapłanów, posępnym groźbom dominikanów — radosną pewnością rajy, przekupstwu i nepotyzmowi *Ecclesiae catholicae* — dobrowolną gotowość do poświęceń Czystych — ta herezja od dawna napawała Zwierza wstrętem. Teraz nadszedł dzień zemsty.

Potwór obiecał Francji Kapetyngów ziemie i godności bogatego Południa i żądza władzy królów w Paryżu przewyciężyła wszelkie wątpliwości. Ogłoszono krucjatę przeciwko Graalowi, czyli rozpętano wojnę przeciw katarom. Być może Potwór nie zasłużył wcześniej na to miano, teraz wszakże dowiódł jego prawdziwości okrucieństwem, jakiego nie okazało przed nim żadne Monstrum na ziemi.

W płomiennym oddechu Zwierza ginęły całe miasta, ginęli katolicy, katarzy i żydzi. „Spalcie wszystkich! — brzmiało hasło Rzymu. — Na Sądzie Ostatecznym Pan swoich znajdzie!”

Potwór przetoczył się przez Langwedocję, wcisnął się do Tuluzy i Carcassonne, zdławił Beziers i Termes, torturował szponami inkwizycji, tratował wspaniałą kulturę Południa, wymazywał ludzi i język.

Kiedy Zwierz pokrzepił się krwią niewinnych, zwrócił się ku swemu wychowankowi. Fryderyk po przedwczesnej śmierci rodziców jeszcze jako chłopiec wstąpił na tron. Zo-

---

\* *Unio regni...* (łac.) — zjednoczenie królestwa z cesarstwem.



stał wprawdzie tak mocno zatruty jadem nienawiści, że po dziś dzień widzi w katarach jedynie kacerzy, których należy wytrzebić, ale jasno pojmując swoją rolę jako cesarza, wyrwał się z objęć opiekuna.

Innocentego III trafiła apopleksja, jednakże Potworowi wyrosła natychmiast nowa smocza głowa: Grzegorz IX. Za jego pontyfikatu rozpoczęło się nieubłagane prześladowanie Hohenstaufa. Obecny papież, Innocenty IV, toczy pianę, kiedy przysięga, że zniszczy Fryderyka i jego „źmijowe plemię”. Och, dlaczego cesarz nie zbierze wszystkich sił i nie zabije straszliwego Potwora, nie spali go na dziedzińcu Castel Sant’ Angelo na tak ogromnym stosie, żeby mury popękały, i nie rozsypie jego prochów na wietrze?...

Stoimy dziś u progu nowej krucjaty, wielkiego przedsięwzięcia starannie przygotowywanego przez Ludwika IX, króla Francji. Ja, autor tego memorandum, ośmielam się przewidywać, czym ta wyprawa się zakończy: katastrofą.

Jeruzalem jest stracone na zawsze. Nawet gdybyśmy je odzyskali, nie będziemy w stanie go utrzymać. Jedna wyprawa krzyżowa nie wystarczy, albowiem potężne zastępy wojsk musiałyby pozostać na stałe w *Terrae Sanctae*, aby bronić zdobyczy. Sto pięćdziesiąt lat bezwzględnego okrucieństwa i niesprawiedliwości, zagrożenia i nienawiści zrodziły po obu stronach tak wiele rozgoryczenia, że nie ma widoków na pokój, na pojednanie.

To wszystko napełnia mnie głębokim smutkiem i niepokojem. Dla kogoś takiego jak ja Morze Śródziemne to nie *Mare Nostrum* Rzymian, lecz *mediaterra*,\* a zatem ogniwo łączące, nie zaś rów oddzielający kraje Wschodu i Zachodu; nadszedł więc czas, by poczuwający się do odpowiedzialności zmienili kierunek tego zawstydzającego rozwoju wypadków.

Jestem synem Langwedocji, gdzie zawsze stał dla mnie kielich Zachodu — tam, a nie w Rzymie, i to na długo przed przybyciem Zwierza! I nawet jeśli zatruty oddech Potwora skazał mnie na wygnańczy pobyt na Wschodzie, myślę wciąż jeszcze jak człowiek Zachodu.

Nie mogę dostrzec palca Bożego, gdy władca jest przez ludzi obrany. Pomazaniec ma być nadany!

Ale dynastia, jakiej potrzebuje śródziemnomorskie cesarstwo, nie istnieje. Jeszcze nie istnieje!

Panie, oświeć mnie, proszę, powiedz, jakie elementy Zachodu należy wrzucić do tygła, z jakich żył powinny wypłynąć soki życia, jakie krople krwi boskiej mieszanki są nieodzowne. Panie, pozwól mi stać się *lapis exillis*, aby dokonać Wielkiego Dzieła!

Podstawą jest z pewnością potomstwo domu Dawidowego, zachowane w wymierającym rodzie Trencavelów. Jego praw nie sposób podać w wątpliwość, co na-

---

\* *Mediaterra* (łac.) — ziemia wspólna, powszechna.

pełnia moje serce dumą; krew jego krąży po obu stronach Pirenejów i reprezentuje całą Langwedocję.

A dalej szlachta Francji. Wszak wielki Bernard z rodu Chatillon-Montbard był inicjatorem założenia zakonu templariuszy, wypełniającego powierzone mu zadanie! Czy nie warto również zastanowić się nad rodem z Gisors, strażnikiem normañskiego wozu? Do grona wybrańców dołączyliśmy zatem Anglików w osobach hrabiów Andegawenii i Akwitanii.

Z Niemców wchodzi w rachubę jedynie potomek Hohenstaufów; czuję ich dążenie do związania się z *sang réal*. Oni mają siłę, którą straciła dynastia langwedocka. Fryderyk II tego tryumfu już nie dożyje, lecz jego nasienie wszędzie w przyszłych władcach.

Dzisiaj mogę mówić tylko w imieniu Zachodu. Jego krew, krew najgodniejszej szlachty, została uratowana, kiedy przyjęła za swoją ideę pożądanego przez Boga cesarstwa. Naszym zadaniem jest teraz doprowadzić do połączenia z rodem Mahometa — stąd nasz pakt z asasynami z plemienia Ismaila, strażnikami innej krwi. Zamknie się wówczas krąg przez wspólne ariańskie pochodzenie, przez wielkiego Zaratustrę, przez naukę Manesa: dynastyczne związanie potomstwa obydwu proroków połączy kalifat i cesarstwo. Wtedy też nastąpi duchowe przejście w najwyższą doskonałość — w Graala.

Teraz trzeba tylko jeszcze stworzyć państwo, państwo pojednania Wschodu i Zachodu, państwo królów pokoju. Gdzie powinno się znajdować centrum takiego państwa? Imię Rzymu jest skalane po wsze czasy. Palermo?... Czy przystałby na nie świat arabski? Tak, gdyby zaoferować islamowi równoprawny powrót na Sycylię. Do tego jednak nie dojdzie, jak długo panuje Zwierz, czy to w Rzymie, czy na wygnaniu we Francji.

Gdyby centrum znalazło się w Jeruzalem, wówczas idea połączonych światów niewiele by obeszła księżęta Zachodu. Wszyscy jednak wspieraliby pokojowe Boskie Jeruzalem zarówno pieniędzmi, jak i siłą, a przede wszystkim żarliwością. Tylko czy nie doprowadziłoby to do ucisku arabskich narodów, do prześladowania islamu? Kalifat bagdadzki i sułtanat kairski musiałyby uznać zwierzchność Jerozolimy, zamiast się szarpać o jej posiadanie, Damaszek powinien by zaniechać swych wielkosyryjskich snów. Trudno to sobie wyobrazić! Tak jak trudno sobie wyobrazić, że chrześcijanie utorują drogę do tolerowania innowierców, czego nie praktykują od pokoleń. Zwłaszcza że teraz muzułmanie nie byłoby już skłonni uwierzyć w taki zwrot. Musimy się zatem pożegnać z Jeruzalem.

Czy nie należałoby więc od nowa zastanowić się nad religiami? Po pierwsze, w żadnej wspólnocie nie może być miejsca dla Zwierza. Tymczasem jednak islam również zaczyna dawać dowody nietolerancji. Mniemam wobec tego, że wyłącznie Kościół Miłości Graala mógłby sprostać tak szeroko pojętemu zadaniu. Przypomnienie jego początków, podkreślenie, że Jezus z Nazaretu, tak jak Mahomet, był prorokiem — nastawiłoby islam

przychylnie, tym bardziej że obie dynastie wciąż istnieją, chociaż w ukryciu.

Piszemy to w Roku Pańskim 1244. Naród Izraela czeka ciągle na Mesjasza, dla islamu minęły od hedzry 622 lata. Wszystkie trzy religie cierpią pod brzemieniem Zwierzra, znosząc straszliwą plagę zesłaną przez Boga. Szczególnie zaś cierpią ci chrześcijanie, którym udało się dotrzeć do nie zafałszowanego posłannictwa Jezusa z Nazaretu i skrycie — prześladowani i wyklęci — wedle niego w życiu postępują. Świat czeka.

Jedynka przeszła w dwójkę; podwojona — to cztery; trzy i jeden razem z nią dają osiem, jak cztery i cztery. 1244. Sześćset dwadzieścia dwa lata po urodzeniu proroka Jezusa prorok Mahomet opuścił święte miasto Mekkę. Od tego momentu minęły znowu 622 lata. Rok 1244 jest rokiem ostatecznej utraty przez chrześcijan Jeruzalem i apoteozy Czystych z Montségur, jest progiem nowego wieku. Powstanie nowe państwo, państwo królów pokoju, państwo Graala. Światło Graala wyłoni się z ciemności, w których pozostaje ukryte. Jego ponowne ukazanie się na ziemi jest warunkiem panowania boskiej pary, królów pokoju i rozjemców.

Miejsce ich panowania powinno wobec tego ustąpić na dalszy plan. Jedno jest pewne: Morze Śródziemne nie może być dzielącym rowem, musi być ogniwem łączącym. Miasta nie wchodzą w rachubę. Ideałem byłaby wyspa na morzu. *Lapis ex coelis*. Wyspa? Cypr byłby dla Zachodu zbyt odległy, wyspa Rodos zbyt grecka, podobnie Kreta mimo swych prastarych tradycji. Malta?... Jej położenie jako pośrednika jest niezrównane, a świątynie dowodzą, że upodobali ją sobie bogowie. A może statek? Statek, który pływa po morzu i nikt nigdy dokładnie nie wie, gdzie się akurat znajduje?... Tak, to byłoby najlepsze! Para władców powinna być nieuchwytna, nie musiałyby szukać schronienia w żadnym porcie, nie wpadłaby w niczyje ręce. Królewska flotylla na morzu, o każdej porze gotowa do działania, osiągalna, lecz niedostępna, zawsze obecna i nieuchwytna — najwyższy autorytet, największa tajemnica.

Własnoręcznie te myśli spisałem w ukrytym miejscu i przekazałem przyjacielowi przez posłańca w dniu, w którym się dowiedziałem, że Montségur padło, ale dzieci zostały uratowane. Wielki Plan zaczyna się przeobrażać w rzeczywistość. Góra Syjon niechaj będzie jego strażnikiem.

\* \* \*

Dotąd nawet nie tknąłem dzbana z winem, który sobie przygotowałem. Teraz pociągnąłem solidny łyk. Mój Boże, co za potworna herezja! Głowa mi skołowaciała od apokaliptycznego przerażenia i wzniosłych wizji, które jednak w moim umyśle z wolna poczęły blednąć, gdyż wzbraniał się on przyjąć to, co przeczytałem. Potem zanurzyłem pióro w kałamarzu i zacząłem sporządzać kopię.

Pisałem, czasem nie wiedząc, co piszę, przerywając tylko coraz częściej, by pomasażować zdrętwiałe palce i przy sposobności, niemal bezwiednie, posilić się nieco. Pisałem

cały wieczór i przez całą noc, przez cały następny dzień i jeszcze sporą część kolejnej nocy — i wreszcie byłem gotów. Bluźniercze dzieło kusiciela! On to, nie kto inny, musiał mi wsunąć je do spodni. Powinienem był to spalić. Jednakże moją uwagę przykuła kabała: 6 i 2 to osiem i zależy od Dwojga, królewskiej pary pokoju. A 622 i 622 daje właśnie 1244!

Moja kopia wyglądała tak, jak niegdyś oryginał, jeśli nie lepiej. Ostrożnie zwinąłem oba dokumenty razem i wetknąłem pod łóżko. I jakby w nagrodę za mój chwalebny czyn — minęły tymczasem dobre trzy miesiące, odkąd przybyłem do Cortony — żołnierze Eliasza przynieśli mi parę skórzanych spodni do jazdy konnej, bardzo szerokich, ale dla mnie mimo wszystko o wiele za wąskich. Co prawda spodziewałem się, że wrócę do powierzchowności franciszkanina — chodziłem, spałem i piłem wciąż w benedyktyńskim habicie, nad czym serdecznie ubolewałem — teraz wszakże było mi to obojętne, ponieważ wreszcie miałem wyruszyć w podróż.

Zaszedłem do kuchni, do czcigodnej Gersendy, żeby łątami, szydłem i dratwą udoskonaliła moje spodnie. Gersendę znalazłem jednak dopiero w głęboko położonej piwnicy, zwykle zamkniętej ciężkimi żelaznymi drzwiami. Dochodził z niej stęchły zapach, pod sufitem wisiały nietoperze. Stary murarz pod nadzorem gospodyni oczyszczał zagłębienie w ścianie.

— Resztki rzymskiego cmentarza — powiadomiła mnie tajemniczym szeptem. — Ale tyś tu niczego nie zgubił, Williamie — odprawiła mnie ostro. — Poczekaj na mnie w kuchni!

Więcej nie potrzebowałem, żeby się oddalić głośno człapiąc, a potem wrócić na palcach do żelaznych drzwi.

Gersenda trzymała rozpostarte nasączone oliwą płótno, które przedtem, kiedym się niespodziewanie pojawił, natychmiast złożyła. Musiała w nim ukrywać coś bardzo cennego.

— Drzazga z drzewa prawdziwego Świętego Krzyża — wyjaśniała staremu murarzowi, który cieszył się chyba zaufaniem domu. — Podobno to drzazga z drzazgi, którą ofiarował świętej Helenie jej syn Konstantyn. Bombarone otrzymał relikwię od cesarza Jana Dukasa, co to go zwą Watatzes, za to, że postarał mu się o córkę cesarza Fryderyka. — Zaśmiała się szelmowsko, całkiem inaczej, niż byłem przyzwyczajony, i teraz zobaczyłem w jej ręku ozdobną szkatułkę z kości słoniowej, która przedtem, gdy pokazywała relikwię murarzowi, była zamknięta w hebanowej kasetce.

— Wierzycie w coś takiego? — spytał, bo nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

— Powinnam. Z racji stanowiska. — Mrugnęła porozumiewawczo do starego. — Powinnam też być cnotliwa, w co wierzy każdy obcy.

Wtedy także murarz roześmiał się beklowie.

Gersenda ostrożnie zawięła skrzyneczkę w płótno.

— Zamurujcie ją tak, mistrzu, żeby nikt nie mógł jej znaleźć. Wiecie przecież, jak zaprawić dziury, żeby były niewidoczne. — Teraz oboje wybuchnęli głośnym śmiechem. — Bombarone wybiera się w podróż — dorzuciła — kto wie, na jak długo. Ten skarb mógłby zwabić kogoś chciwego, a ze mnie przecież tylko słaba kobieta...

Wymknąłem się z piwnicy i czekałem, aż Gersenda zjawi się w kuchni. Pokazałem jej spodnie.

— Chętnie ci je, Williamie, dopasuję! — powiedziała ta przechera, znów teraz udając świętą i przy mierzeniu mego brzucha zbytnio się do mnie nie zbliżając. — Nie wiadomo, ile was tu nie będzie.

— Bardzo już chcę wyruszyć wreszcie na Południe — oznajmiłem, a w myśli dodałem: „I wrócić stamtąd, co wcale nie jest pewne”. Zostawiłem jej spodnie.

Podczas gdy Gersenda szyła, pobiegłem do swojej izby, wygrzebałem spod łóżka zmiętoszony oryginał pergaminu, o którego treści cuchnącej stosem zaledwie ważyłem się myśleć, dobyłem z mieszka sztukę złota i jeszcze raz wślizgnąłem się do zabronionej mi piwnicy. Dopadłem murarza akurat w chwili, gdy zamierzał położyć zamykający wnękę kamień.

Wcisnąłem staremu monetę do ręki i poprosiłem, żeby zamurował również mój „testament”, jak nazwałem pergamin. Zrobił to chętnie, choć musiała go pewnie zdziwić ta pergaminowa bryła. Odczekałem jeszcze, aż skrytka z relikwią zostanie zatynkowana, i pobiegłem żwawo do kuchni, do Gersendy. Jak się okazało, nie musiałem się tak bardzo spieszyć.

W ograniczonych ilościach czerpałem odtąd z mojej ulubionej beczki, a nocami biegałem po izdebce w kółko, to przykucając, to podskakując, aby się przygotować do jazdy na Południe. Teraz dobrze by mi zrobiła inna jazda. Jednakże pocziwa Gersenda nie miała zrozumienia dla moich potrzeb.

Minęły jeszcze trzy tygodnie, nim wreszcie ścisnąłem łydkami końskie boki i ruszyłem w drogę z moim Bombaronem.

## ŚMIERĆ W PALERMO

*Palermo, lato 1244*

Słońce stało w zenicie nad Palermo. Różowe kopuły małego kościółka San Giovanni degli Eremiti, leżącego w pobliżu normańskiego pałacu, niewiele dawały chłodu pomieszczeniom dawnego meczetu. Przez kratę otwartego okna zakrystii widać było mięsiste owoce na iglastych kaktusach rosnących w przyległym krużganku.

— To było chyba trzy albo cztery lata temu — szepnął benedyktyn. — Do Fryderyka przybyła młoda kobieta ze swoim ojcem, oczywiście kacerze, żeby błagać o pomoc dla Montségur, a więc o zwrócenie się przeciwko Francji i nam, jedyneemu dającemu zbawienie Kościołowi rzymskiemu i Jego Świątobliwości papieżowi.

— Należało wziąć pod uwagę przymierze z Anglią — odezwał się człowiek obdarzony zaufaniem benedyktyna, zakrystian kartkujący swoje annały. — W maju Anno Domini 1241 brat cesarzowej, Ryszard z Kornwalii, gdy wracał okryty chwałą z Ziemi Świętej, zatrzymał się w Palermo i został przyjęty przez cesarza z najwyższymi honorami...

— I wówczas, zgodnie ze wschodnimi obyczajami na tym plugawym dworze — podjął chciwie wątek benedyktyn — wypadało drogiemu gościowi i szwagrowi...

— Który liczył dopiero trzydzieści jeden wiosen — wtrącił zakrystian.

— ...dać do alkowy nałożnicę, oczywiście odpowiednią do jego stanu! Kacerka tu, pogańskie dziewczę tam, jak to w haremie!

— Hohenstauf wrócił dopiero w kwietniu z oblężenia Faenzy, gdzie towarzyszył mu Elias. Niedługo potem wysłał do Rzymu Ryszarda, wyposażonego we wszelkie pełnomocnictwa, z ukrytą myślą, żeby się sam przekonał, jak zgorzkniały Grzegorz przesładuje swego wroga, antychrysta Fryderyka.

— Aby później tym śmieiej pokryć „córkę Artura”,\* tę kacerską księżniczkę...

— I jak kundel w cieczcze pilnować w Langwedocji tej suki i angielskich interesów!

— Naprawdę tak było z tą kacerską suką?

— Nie leżałem przy nich — wyszczerzył zęby zakrystian. — Ale ty, bracie, tak właśnie powinienes to sobie zapisać, zawinąć w jelito i połknąć!

— W kronice kaplicy Palatyńskiej widnieje wpis — zwierzył się benedyktyn swemu informatorowi — wedle którego pierwszego grudnia tegoż roku miała zemrzeć w połogu cesarzowa. Czy Fryderyk, jurny i bezwstydnny, jak wiadomo, mógł w czasie zaawansowanej ciąży swej małżonki...

— Trzymaj język za zębami, bracie — przestrzegł zakrystian — jeśli się jeszcze trzyma reszty twego ciała.

— Moje wnętrzności będą milczącym grobem, najwłaściwszym miejscem dla wszystkiego, co dotyczy tego bastarda!

— Hohenstauf przyjął niedawno w gościnę dwu mężczyzn, potem jednemu kazał biegać, drugiego zaś wysłał spać tylko po to, aby się przekonać, który lepiej trawi...

— No i co?

— Bez wątpienia śpiący, uznali lekarze, gdy porozcinali żołądki!

Benedyktyn z wysiłkiem przełknął pergaminową kielbaskę.

---

\* Córka Artura — aluzja do mitologicznego związku katarów z królem Arturem i rycerzami Okrągłego Stołu.

Wkrótce potem udał się do Martorany, kościółka położonego niedaleko katedry, który lud nazywał także Santa Maria dell' Ammiraglio.

Czekająca tam na niego kobieta z zasłoniętą twarzą była pokojówką cesarzowej Izabeli. Klęcząca w jednej z pierwszych ławek, benedyktyn zaś skierował się do konfesjonału, wiedział bowiem, że po południu żaden nie jest zajęty. Kobieta podeszła do niego po pewnym czasie.

— To, czego chcecie się dowiedzieć, ojcie — odezwała się spieszenie — wydarzyło się dwa lata wcześniej i odpowiada chyba waszym miarom co do wieku dzieci. W roku 1239 dzięki pośrednictwu Anglików, o czym wiem od mojej pani, zjawił się na naszym dworze pan Rajmund z Perelhi, kasztelan Montségur, w towarzystwie córki i swojej świty. Esklarmonda była piękną panną, delikatną, subtelną i czystą jak anioł, co moją panią zaniepokoiło, bo wiedziała, jak Fryderyk ma zwyczaj obchodzić się z córkami petentów. Ale tym razem małżeńskiemu spokojowi cesarskiej pary nic nie zagrażało. Każdy widział, że Esklarmonda jest niewinna, chociaż nie chodziła z nami do kościoła. W tym samym czasie był tu urodziwy dwudziestosześcioletni muzułmanin, którego cesarz nazywał Czerwonym Sokółem i traktował jak własnego syna. Pogański emir zakochał się w Esklarmondzie i zalecał się do niej z całym dworskim obyczajem. Esklarmonda zachowywała się chłodno i nie przyjmowała zalotów rycerskiego emira, obojętne, czy walczył dla niej w turnieju, czy śpiewał miło brzmiącym głosem.

— Cesarz przy ojcu robił kiedyś pannie szydercze wymówki, pytając, czy zamierza najpiękniejsze lata strawić jak mniszka. Esklarmonda odpowiedziała mu, że jest służebnicą Graala, więc poświęciła się wyższej miłości, w której dla mężczyzny nie ma ani miejsca, ani czasu. I dodała, że cesarz by zrobił dobrze, gdyby wsparł Montségur rycerską pomocą. Fryderyka rozgniewało jej żądanie. Nie chciał urazić ani Kościoła, mimo że występował przeciw niemu, ani króla Ludwika, który go dotąd nigdy podstępnie nie napadł, choćby nie wiem jak podburzany przez papieża Grzegorza. „A pani, Esklarmondo, uczyniłabyś dobrze — oświadczył — gdybyś z uciechą dla swego łona pozyskała dla ojca i twierdzy dzielnego bohatera, który cios swojej kopii dałby mocno odczuć zarówno wam, jak i waszym wrogom!”

— Na tym rozmowa się skończyła. Czerwony Sokół nie ustawał w zalotach, kochał i cieszył się z tego, chociaż na pewno rozumiał, że ani Esklarmonda nie pojedzie za nim do Egiptu, ani on nie zdecyduje się przyłączyć do załogi Montségur. Wtedy to umarł Herman von Salza, wielki mistrz zakonu krzyżackiego i jedyny przyjaciel cesarza, a parę dni później papież znowu rzucił klątwę na Hohenstaufa. Chyba to była Niedziela Palmowa...

— Wielki Czwartek — sprostował benedyktyn i w jego głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie.

— Fryderyk — ciągnęła kobieta — popadł najpierw w smutek, potem we wściekłość,

wreszcie w szaleństwo. Użył podstępu. Wezwał Esklarmondę, samą, na rozmowę do swych komnat... Musiał się rzucić na nią jak zwierzę. Zaraz następnego dnia o brzasku kazał ją i jej ojca odesłać wraz z całą świtą na pokładzie jednego ze swych statków do Barcelony, skąd w eskorcie Aragończyków wrócili do Montségur. Esklarmonda ani nie krzyczała, ani się nie skarżyła, nie powiedziała słowa na temat gwałtu. Nie mogła się nawet pożegnać ze swoim wielbicielem, młodym emirem, który potem robił sobie wyrzuty z powodu jej nagłego wyjazdu i niezwykle się frasował. A Fryderyk uspokoił sumienie tym, że na Wielkanoc pasował emira na rycerza i nadał mu tytuł księcia Selinuntu. Sam zaś, gdy w sierpniu zmarł jego stary przeciwnik Grzegorz, udał się do Pizy, gdzie dołączył do niego Elias — zakończyła swą relację zawołana kobieta.

— Gdyby więc wynikiem tego wymuszonego spotkania był dla Hohenstaufa następny bastard, to musiałby ujrzeć światło kacerskiego świata w Montségur między Bożym Narodzeniem a Trzema Królami.

— Gdyby... — zgodziła się kobieta i podniosła się z klęczek. — Cesarzowa nie widziała powodu, żeby robić szum wokół tego zdarzenia i jeszcze w przyszłości śledzić jego skutki.

Opuściła świątynię. Benedyktyn odczekał chwilę, nim wyszedł na zewnątrz. Palermo nurzało się w pomarańczowoczerwonym świetle zachodzącego słońca. Mnich pospieszył z powrotem do kościoła San Giovanni.

Kościół był pusty — rzecz niezwykła w godzinie niesporów. Drzwi do zakrystii stały otworem. U sufitu, na przedłużeniu żelaznego łańcucha od lampki oliwnej, wisiał zakrystian. Sznur wokół jego szyi był cienki i wcinał się w nabrzmiałe sine ciało, wywieszony język miał kolor granatowy. Pod wisielcem leżał przewrócony stołek, trudno to było jednak uznać za samobójstwo — pachniało tu raczej wykonaniem wyroku.

Owa woń chwyciła benedyktyna za trzewia. Zamknął drzwi do prezbiterium i przykucnęła w kącie.

Ledwie się zdażył wypróżnić — ściemniło się tymczasem — gdy za zakratowanym oknem pojawiła się jakaś sylwetka i zapukano w umówiony sposób. Benedyktyn podniósł się chwiejnie i zobaczył mnicha o twarzy prawie całkowicie zasłoniętej opuszczonym kapturem. Dla benedyktyna tylko jedno było teraz ważne: nie zostać samemu z zakrystianem powieszonym na łańcuchu i niewidzialnym katem na karku.

Z wahaniem przesunął między żelaznymi sztabami pergaminową kiełbaskę, którą zakapturzony człowiek skwapliwie chwycił.

— Nie chcesz wiedzieć, gdzie ją przechowywałem? — próbował obudzić ciekawość posłańca. — Nie czujesz nic? — Zrozpaczony benedyktyn uczepił się kraty. — Dowiedziałem się jeszcze więcej, dowiedziałem się prawdy!

Tamtego wszakże pochłoneła już ciemność.

Benedyktyn chciał za nim wołać, zawrócić go, lecz zmienił zamiar. Zabarykadował



drzwi, postanowiwszy jakoś przeczekać noc. Podszedł znów do okna i spoglądał na kaktusy, których owoce lśniły w srebrzystym świetle księżyca. Umilkło już monotonne dzwonięcie cykad.

Nie widział nikogo, nie słyszał żadnego dźwięku, a przecież na zewnątrz czaili się mordercy. Cofnął się od okna, ale nie odważył się spojrzeć na wisielca. Rozebrał barykadę, unikając hałasu. Musi się odważyć wyskoczyć w noc, nie ma innego wyjścia.

I wtedy ponownie zastukano do okna. Benedyktyn potykając się podbiegł do kraty i wcisnął twarz między pręty. Ujrzał przed sobą spiczasty nos i zezujące oko. Za późno pojął, że to nie posłaniec.

Wąż rzucił się naprzód; nie syknął nawet, lecz błyskawicznym ruchem wbił zęby w wargi benedyktyna. Ten szarpnął się, zatoczył i runął na wznak.

## WODOTRYSKI

### *Otranto, lato 1244*

— W ten sposób odczuliście, panie, na własnej skórze — odezwała się hrabina Otranto — jak norny\* swym działaniem przysparzają ludziom mało radości i wiele zmartwień, podobnie jak wiedza o zbyt wielu rzeczach może stać się ciężarem. *Meden agan!*\*

— Nosicie, pani, ten ciężar z wdziękiem i godnością — pocieszył ją na swój mrukliwy sposób rycerz zakonu krzyżackiego — i pobudziliście moją ciekawość. Statku, na który czekacie, jeszcze nie widać...

Podszedł ku niej i teraz oboje spoglądali na morze. Gdy jednak zachęta nie skłoniła Laurencji do podjęcia wątku, Zygisbert poczuł się zobowiązany przerwać milczenie. Uczynił to niezgrabnie, zacinając się.

— Kiedy cesarz odwiedził wreszcie Jeruzalem, zostałem przedstawiony przebywającemu tam wielkiemu mistrzowi zakonu krzyżackiego i wkrótce do zakonu przyjęty. — Gładka niebieska płaszczyna, która jak aksamit rozpościerała się pod nimi, wciąż była pusta. — Kontakt z Fachrem ad-Dinem nigdy nie zerwałem. Gdy zmarł przyjaciel Fryderyka, sułtan al-Kamil, jego syn i następca, Ajjub, podniósł mego dobroczyńcę do godności wielkiego wezyra Egiptu...

Jeśli rozmawiający sądzili, że ich spotkanie odbywa się bez świadków, mylili się. Za brzuchatymi terakotowymi wazami zdobiącymi balustradę przyczyli się dzieci. Jeza jak zawsze dowodziła swym małym towarzyszem zabaw. Wdrapali się z ogrodu po sko-

---

\* Norny — w mitologii germańskiej boginie losu, podobnie jak greckie moiry czy rzymskie parki.

\* *Meden agan* (gr.) — nigdy za wiele; tu w zn.: co za dużo, to niezdrowo.

śnej rynnie — czego zabraniała im Laurencja — przeleźli na czworakach po wystającym dachu i uczepili się występu poniżej balustrady. Jeza postawiła Rosza na pochyłych ceglach przy ścianie, kazała mu spleść dłonie i wspięła się po chwiejącym się chłopcu jak po składanej drabinie. Potem podciągnęła się po zwisających gałęziach bugenwilli i w końcu przywarła do rynny za wazami. Nie skrzywiła się nawet, gdy Rosz, aby się obok niej wcisnąć, wykręcił jej boleśnie rękę. Byli teraz ukryci przed spojrzeniami dorosłych, których głosy słyszeli nad sobą.

Wygrzewające się w słońcu spłoszone na chwilę jaszczurki wróciły niebawem, dzieci bowiem nie poruszały się, nie drgnęły nawet wtedy, gdy usłyszały, że ich szukają. Z ogrodu z trudem dałoby się je odkryć; kto odróżni kolorowe strzępki tkaniny od bujnej strelicji, a smagłe ramiona i nogi od ceglanego muru? Zwłaszcza że zwieszające się oleandry, kołysane wiatrem gałęzie jaśminów i krzewy hibiskusa rzucały ruchliwe cienie.

Potem zrobiło się dzieciom zbyt nudno, a i mrówki zaczęły je łaskotać.

— Wiem teraz wszystko — szepnęła Jeza.

— Co to jest harem? — dopytywał się Rosz, ale dziewczynka położyła mu palec na ustach.

Przeczozłgali się ze strefy niebezpiecznej aż do wysoko położonej cysterny, która zawierała zebraną w zimie słonawą wodę deszczową, używaną tylko do podlewania kwiatów. Jeza wiedziała, jak się otwiera zasuwę, aby puścić do rynny odpowiedni strumień. Wkrótce mech był cudownie śliski, mogli więc zjechać w dół. Na dole stała olbrzymia kadź, do której niechybnie wpadliby z pluskiem, gdyby rozpęd był za duży. Klarion ostrzegała ich, że mogą w niej utonąć. Ale raczej z powodu nieprzyjemnego smaku wody, a przede wszystkim mogącego ich zdradzić głośnego plusku Rosz odwiódł Jeżę od tego ulubionego przez oboje zakończenia zabawy.

— Za kadź dostaniemy cięgi oboje — szepnął. Tak, to było zbyt niebezpieczne. Zahamowali więc wcześniej i zeskoczyli na kwietne grządki, gdzie ziemia była miększa.

Jeza pociągnęła swego towarzysza w cień arkad. Poprzez ciemną zieleń drzew pomarańczy widzieli, jak Konstancjusz i Crean podeszli do fontanny; na jej krawędzi przeciągała się Klarion.

Konstancjusz przyniósł lutnię, której struny trącał równie biegle, jak władał ostrzem miecza.

— *Oi llasso nom pensai si forte...* — zaczął śpiewać płomiennookiej piękności, przysiadłszy u jej stóp, gdy tymczasem Crean wspiął się na brzeg fontanny i usadowił naprzeciw dziewczyny. — *Nom pensai si forte mi paresse lo dipartir di madonna mia...*

Hamo oddalił się nadąsany, gdy zobaczył, że zbliżają się rycerze, których co prawda podziwiał, ale wrażenie, jakie wywierali na Klarion, przyprawiało go o wściekłość. Dlaczego nie był starszy? Wówczas także byłby rycerzem i Klarion traktowałyby go cał-

kiem inaczej: patrzyłaby na niego z zachwytem, a on nie zwracałby na nią uwagi, lecz wziąłby miecz i tarczę i pożeglował za morze. Długo machałaby mu ręką na pożegnanie i płakała z jego powodu.

— O Panie w niebiesiech, nigdy nie myślał, że tak ciężko mi będzie pożegnać ukochaną — brzmiał za nim cicho gardłowy głos młodego emira. — *Mi paresse lo dipartir di madonna mia.*

Nie wydawało się jednak, żeby śpiewak bardzo cierpiał z powodu czekającego go rozstania. „*Madonna mia!*”

— Chodź, pobiegnijmy do fontanny, wtedy Klarion się rozzłości — zaproponował Rosz. — I możemy ją opryskać!

— Nie! — zabroniła ku jego zdumieniu Jeza. — To dziecinada! Pobawimy się w „nagą narzeczoną z Brindisi”!

— W nagą narzeczoną? — zdziwił się Rosz. — Chyba w „noc poślubną”.

— Wszystko jedno, nocą jest się tak czy tak nago, więc rozbieraj się! — poleciła i nie czekając, aż Rosz to zrobi, ściągnęła mu koszulę.

— A ty?

— Ja jestem cesarzem, a ty dziewczyną narzeczoną! — ustaliła zdecydowanie. — Stań przed drzwiami i śpij!

— Na stojąco? — zdumiał się Rosz, lecz mimo wszystko zamknął oczy.

Jeza podkrađła się doń od tyłu i objęła go ramionami.

— Nie wolno ci otwierać oczu — szepnęła. — Biorę cię teraz na stojąco.

— Jak to mnie bierzesz? — spytał Rosz, który zawsze godził się na wszystko.

— No wezmę ci łańcuszek, wtedy będziemy mężem i żoną i ja też się rozbiorę.

— Cesarz się nie rozbierał! — zaprotestował Rosz.

— Właśnie że tak! — oświadczyła Jeza i ściągnęła sukienkę. — W nocy każdy jest nagi.

Objęła chłopca mocno, nie zapomniawszy zabrać mu przedtem łańcuszka. Założyła go sobie na szyję i pobiegła do kadzi, aby się przejrzeć w wodzie, lecz krawędź była za wysoko.

Rosz z zaciśniętymi powiekami czekał dzielnie w półmroku arkad. Zrobiło mu się trochę chłodno. Zachwiał się, gdy Jeza nagą stopą nacisnęła mu nogę pod kolaniem, i rzucił się na swą towarzyszkę zabaw. Przewrócili się na ziemię i kotłowali, aż zasapany Rosz zwyciężył. Leżeli potem przy sobie, wsłuchani w swoje oddechy i bicie serc.

— A co teraz?

— Jest już rano i cesarz zostawia nagą narzeczoną...

— Przestań! Nie zostawia żadnej nagiej narzeczonej, tylko kończy się noc poślubna! Nie rozumiesz?

— Ubieramy się — zarządziła Jeza. — Zrobimy Klarion niespodziankę. Narwiemy

dla niej kwiatków na narzeczeński bukiet!

Wkrótce potem buszowali zgodnie po rabatach.

Klarion, która poczuła na sobie spojrzenie szarozielonych oczu hrabiny niczym palący policzek, wyprostowała się natychmiast jak należy, gdy podeszli do niej obaj ryccerze.

Nie była zdecydowana, któremu powinna dać pierwszeństwo. Konstancjusz z Selinuntu był z pewnością przystojniejszy: młodszy, muskularny, miał w sobie coś z drapieźnika, co burzyło jej krew, ale także niepokoiło. Tyle że zachowywał się wobec niej tak, jakby była małą dziewczynką, jedną z wielu, którą piękny szlachcic mógłby mieć, gdyby tylko kiwnął palcem.

Crean był całkiem inny. Nie wyróżniał się urodą, miał całą twarz w bliznach, a włosy na skroniach już lekko posiwiałe. Chodził pochylony i doświadczył chyba w życiu wiele cierpienia. Mówiono, że zmarła mu żona. Milczał i przysłuchiwał się Klarion, nie dając jej odczuć, że papie same głupie rzeczy. I czuła, że jej pożąda.

— Miła panno — rozpoczął Konstancjusz słowny korowód; bawił się nią jak lutnią, którą trzymał w swych szczupłych dłoniach — twoje usta lśnią niby wśród listowia ostatnia nie zerwana wiśnia, jednakże tylko perłowy brzeg twych białych zębów może rozgryźć dojrzały owoc!

Klarion skierowała wzrok na Creana, nim odpowiedziała, dokładając starań, by się nie ośmieszyć.

— Łatwo jest sokołowi kpić, gdy krąży wysoko i fruwa, dokąd i kiedy chce. Mała wiśnia nie może ukryć się przed jego wzrokiem, choć przesłania ją wiele liści. Nie może uciec. Musi czekać, aż ją ktoś zerwie albo wiatr strąci z drzewa. Nie może się sama pośladować!

— Jesteście, pani, zachwycającą istotą — skłonił się przed nią Crean. — Chciałbym... mógłbym wam...

— Uważajcie, panie! — ostrzegł nagle Konstancjusz. — Przerwijcie swą mowę i nie podnoście wzroku do góry! Strażniczka wiśniowego ogrodu stoi nad wami z błyszczącą włócznią gotową do rzutu wypróbowaną w boju ręką!

W istocie znajdująca się na tarasie Laurencja zbliżyła się szybko jak czujna jaszczurka do krawędzi balustrady, gdy dostrzegła obu ryccerzy zabawiających jej wychowanicę. Klarion spuściła oczy i ukradkowym uśmiechem wyraziła Creanowi podziękowanie.

— Jesteście, pani, poetką wysokiej rangi. Życzyłbym sobie posiadać taki dar, aby móc najtajniejsze uczucia ująć w tak smutne słowa jak krople rosy przylegające do samotnej wiśni...

— Jak łyzy wokół waszych samotnych ust! Z was, panie, także niezgorszy poeta — zakpił Konstancjusz i jego szczery śmiech rozładował napięcie. Szmaragdowe oczy

strażniczki zniknęły. — Dzięki naszemu Zygisbertowi nie musimy się zalecać również do starszej damy!

— Do mnie też nie — oburzyła się Klarion — zwłaszcza że wy, panie, korzystacie tylko z okazji, żeby się ze mnie wyśmiewać! Ach, Creanie, przyjdźcie mi z pomocą!

Rycerz jednak natychmiast cofnął się o pół kroku.

— Życie wam przyjdzie z pomocą, Klarion. Jesteście taka młoda, pani...

— Już nie na tyle młoda, abym na własnej skórze za dnia i w nocy, przede wszystkim w nocy, nie czuła zapachu butwienia. Wicie przecież, jak to jest — Klarion tupnęła nogą — kiedy się czuje gnicie własnego ciała!

— Jeśli mi wolno, pani — zaproponował Konstancjusz — skierować moje bezpieczne spojrzenie na to, co widzę, i uzyskam zgodę, by pomyśleć o tym, co przede mną zakryte, będę mógł was zapewnić, o najpiękniejsza Klarion, że nie wyglądacie, jak opadły owoc!

— Och, wielkie dzięki za takie pocieszenie. Ale chciałabym przedtem... ach, nie chcę znaleźć się w łóżu jakiegoś starca!

— Miejcie zaufanie do życia, pani — pospieszył teraz znowu z zapewnieniem Crean, co Klarion jeszcze bardziej rozżłościło. — Na pewno będziecie mogli wybierać jeszcze spośród wielu mężczyzn.

— Jeśli wszyscy będą się zachowywać tak jak wy, ślamazarny Creanie z Bourivanu, który czuje, zamiast brać, albo jak wy, próżny panie Konstancjuszu, co sobie swawolnie gadacie, zamiast działać jak mężczyzna, to... Och, nienawidzę was!

## SŁUGA DWU PANÓW

*Cortona, jesień 1244*

Gersenda, gospodyni kasztelu w Cortonie, stała w kuchni przy ogromnym palenisku i mieszała coś w niedużym kotle. Miała teraz pod opieką niewiele osób, ponieważ gospodarz i załoga opuścili zamek.

Zaabsorbowana gotowaniem nie zauważyła szczupłego mężczyzny w brązowym habicie braci mniejszych, który z naciągniętym głęboko na twarz kapturem podkraść się do niej. Pochylił się, wypróbowanym chwytem uniósł jej spódnicę i czule uszczypnął w pośladek.

Kobieta odwróciła się gwałtownie, ale skoro tylko zerknęła na brązowy kaptur, zawołała radośnie:

— Wawrzyniec! — Przycisnęła drobnego minorytę do piersi. — Dobrze, że przybywasz.

Wawrzyniec pocałował ją, nie cofając ręki ze zdobytego terenu, a przeciwnie, wzmacniając jeszcze uchwyt.

— Ty jurny minorityto! — roześmiała się. — Poskarżę się generałowi, jak wróci! Wyjechał tydzień temu.

Wawrzyniec z Orty przyjął do wiadomości, że Bombarone jest poza domem, i tym natarczywiej zaczął dobierać się do gospodyni.

— Wiesz przecież, najmilsza, że my, franciszkanie, to dziobiące ptaszyny!

Klepnęła go energicznie po natrętnej ręce.

— Mamy gości!

Zaledwie to powiedziała i odsunęła się od niego, w drzwiach pojawili się Albert i Galeran, obaj o czerwonych, nabrzmiąłych twarzach, zapuchnięci od snu i przepicia, gotowi wszakże dodać jeszcze blasków swemu życiu. Na widok Wawrzyńca z Orty przypomniał im się papież i sobór, jeśli więc przekonywać mętnie franciszkanina, że absolutnie muszą zobaczyć Ojca Świętego, i wmawiać minoritycie, iż został z pewnością przysłany, aby ich do niego zaprowadzić.

Wawrzyniec szukając pomocy obejrzał się na Gersendę, która szepnęła, że te dwa zapite dziecięta za nic nie mogą dotrzeć na obrady soboru, zaniósła obu dostojnikom Kościoła śniadanie: chleb, słoninę, jaja na twardo i potężny dzban młodego wina, i zaraz wróciła do kuchni.

— Właściwie miałem ostrzec Bombarona — zwierzył się gospodyni Wawrzyniec. — W Zamku Anioła podejrzewa się, że to on popchnął do działania niejakiego Williama. Szary Kardynał skierował bystry wzrok na naszego pana Eliasza ze względu na miejsce pobytu pewnych dzieci...

— Nie wiem o żadnych dzieciach — zapewniła Gersenda — ale ten William był tutaj, sam, i pan Eliaz zabrał go ze sobą do hrabiny Otranto!

— Do Otranto? — Wawrzyniec nie wierzył własnym uszom. — Ależ to przecież...

— Najdalszy kraniec Apulii — potwierdziła Gersenda widząc jego zaniepokojenie. — Koniec świata!

— Wobec tego nie mogę nic pomóc. — Wawrzyniec wyciągnął portret, który zrobił Witowi w zamku Świętego Anioła. — To właśnie oprawca działający z ramienia kardynała — podał jej rysunek. — Zapamiętaj dobrze tę twarz!

— Jaki ładny obrazek! — zachwyciła się Gersenda. — Jesteś bardzo zdolny, Wawrzyńcze!

— Ten człowiek jest niebezpieczny — mruknął mały mnich, mile połączony pochwałą. — Teraz muszę już iść.

Z pokoju, w którym biesiadowali dostojnicy, rozległ się hałas, jakby ktoś spadł ze stołka i potłukł dzban.

— Ach, Wawrzyńcze — westchnęła gospodyni i uścisnęła go serdecznie — uwolnij

mnie od tych opojów, którzy co noc rzygają do łóżek!

— Co mam z nimi zrobić?

— Zaprowadź ich do lasu, utop w rzece, zrób wszystko, co chcesz, tylko usuń ich stąd.

I dopilnuj, żeby nie dotarli do papieża!

Wawrzyniec z Orty opuścił więc zamek Eliasza w towarzystwie patriarchy Antiochii i biskupa Bejrutu. Nie wiedział, dokąd ma się z nimi udać, lecz oni wiedzieli dobrze, dokąd chcą pójść.

— Idziemy do „Złotego Cielca”!

— Na ostatnią szklaneczkę przed długą podróżą, dobry bracie!

Nie znający ich przyzwyczajęń Wawrzyniec dał się namówić.

Przed karczmą, do której skierowali się Albert i Galeran, stał przywiązany samotny koń; był okryty czarnym czaprakiem i sprawiał złowieszcze wrażenie.

— *L'inquisitore!* — oznajmiły bawiące się przed karczmą nastraszone dzieci, pokazując palcami wierzchowca.

Dominikanin-inkwizytor rzadko podróżował sam, nigdy zaś wykonując swój urząd, obawiał się bowiem, że skrycie zamordują go miejscowi. Przybysz musiał być zatem człowiekiem, który swemu wyglądowi lub sile ufał tak dalece, że mógł i chciał zrezygnować ze straży. A więc samotny wilk, może sam diabeł. Wawrzyniec wcale się nie zdziwił, gdy w prawie pustym szynku zobaczył przy stole Wita z Viterbo.

Tamten także nie był zaskoczony, raczej w złym humorze.

— Co tu robisz? — warknął na Wawrzyńca, nie ukrywając wrogości.

— Jego eminencja patriarcha Antiochii — przedstawił Alberta mały minorityta, nie bacząc na nieprzyjazne przyjęcie. — I jego ekscelencja biskup Bejrutu. Chcą, żebym ich zaprowadził do papieża.

— Eliasza nam obiecał — wtrącił Galeran — że zobaczymy Ojca Świętego.

— I może jeszcze Duch Świętego? — zadrwił złośliwie Wit, nie podniósłszy się nawet. Nie mieściło mu się w głowie, że w takim miejscu spotyka dwu dostojników z Ziemi Świętej w skromnym, ba! nędznym towarzystwie franciszkanina, który jawnie zlekceważył nakaz zakonnej zwierzchności, by nie kontaktować się z ekskomunikowanym generałem zakonu. A może wypełniał tajną misję, o której on, Wit, nie powinien nic wiedzieć? — Eliasza wyruszył z Williamem z Roebruku na Południe. — Obserwował, jakie wrażenie robią jego słowa na Wawrzyńcu. — Pan papież przeciwnie, udał się w drogę do Lyonu, aby na soborze wykląć Hohenstaufa i jego stronników. — Wit nie dodał już: „Niebawem wyklinie także ciebie, Wawrzyńcze z Orty!”

Franciszkanin nie dał się zbić z tropu i trwał przy swej życzliwej postawie:

— Jedno z drugim się nie kłóci, czcigodny Wicie!

Przysiedli się do stołu viterbczyka, a Biro, gospodarz, nie proszony podał dzban szlachetnego czerwonego wina.

— Papież oczekuje cię w Lyonie — oświadczył nagle Wit — w związku z misją, z którą udasz się do Antiochii.

Wawrzyniec osłupiał. A może dominikanin zuchwale kłamie? Może chce go wytrącić z równowagi? Mimo to starał się nadal spoglądać życzliwie, Albert natomiast okazywał narastający niepokój, wręcz oburzenie.

— Po co? — zagrzemiał patriarcha, co zachęciło Wita, żeby z rozkoszą informować dalej Wawrzyńca:

— Masz wprowadzić w życie polecenie Ojca Świętego, aby tych Greków, którzy uznają zwierzchność papieża, stawiać na równi z łacinnikami.

— Ja jestem patriarchą Antiochii — huknął Albert. — Papież tylko ze mną może rozmawiać. — Twarz nabiegła mu krwią, broda drżała. — Taka misja jest niepotrzebna, niesłychana, niewybaczalna. — zaczerpnął powietrza — potworna!

Jego towarzysz poczuł się w obowiązku przyjść mu z pomocą.

— Grek — zaczął lamentować, jakby prosił o wybaczenie — jest wprawdzie najlepszym przyjacielem człowieka...

— Stolica Apostolska nie może stawiać ortodoksów na równi ze swymi wiernymi sługami! — protestował Albert.

— Chcemy do papieża! — nalegał Galeran, lecz nikt go nie słuchał.

— Mam więc jechać do Antiochii? — zapytał rozbawiony Wawrzyniec.

— Nie — fuknął wyprowadzony z równowagi Wit — do Lyonu!

— Eliasza chciał nas zawieźć do papieża — jęczał Galeran, Albert zaś, który teraz nikomu już nie ufał, dodał nagle olśniony:

— Skoro generał zakonu udał się na Południe, to może papież wcale nie jest w Lyonie?

Ani Wit, ani Wawrzyniec nie mieli ochoty wyjaśniać duchownym przybyłym z Królestwa Jerozolimskiego, że pan Cortony i Jego Świątobliwość Innocenty IV chodzą całkowicie różnymi drogami.

— A czego ty tutaj szukasz? — zapytał Wawrzyniec viterbczyka. — Wybierasz się może do Eliasza?

— Moja noga nigdy nie przestąpi progu domostwa człowieka wyklętego przez Kościół. Jadę... — zająknął się, a Wawrzyniec dał mu czas na wymyślenie łgarstwa. — Jadę do Lyonu!

Franciszkanin tylko na to czekał.

— Wicie, bracie mój — odezwał się — gdy mówisz, że jedziesz do Lyonu, wiesz, że ci nie uwierzę. Bo po co niby tam cię ciągnie?

Wit chciał natrzeć na niego z oburzeniem, lecz Wawrzyniec nie dopuścił go do słowa.

— Ale dzisiaj dam wiarę temu, co powiedziałeś. A skoro już zdążasz do Lyonu, mo-



żesz zabrać ze sobą obu dostojnych gości.

Oznajmiwszy to wstał i już był przy drzwiach.

— A ty dokąd? — zawołał za nim zaniepokojony Wit.

— Tam, dokąd ty nie chcesz! — Wawrzyniec skłonił się wszystkim siedzącym przy stole. — Do Eliasza!

Zamknął za sobą drzwi. Na dworze odwiązał Witowego wierzchowca i przyłożył mu tego po zadzie, aż wystraszony koń popędził przed siebie na oślep.

Wawrzyniec żwawo zmierzał w kierunku Asyżu. Tam będzie mógł pomodlić się z braćmi, a potem powędrować dalej, do wybrzeża Adriatyku, jeśli bowiem popłynie statkiem, to mimo okrężnej drogi i tak dotrze do Otranto szybciej niż łądem. Nie mówiąc o tym, że w ten sposób uniknie pościgu oprawców, których niechybnie pośle za nim Szary Kardynał. Jego zaś pan i mistrz, Eliasz, popełnił wyraźnie wielki błąd, że tego podejrzanego Williama z Roebruku, którego śladem, jak widać, biegły już znakomite posokowce, tę zdradziecką przynętę włókł ze sobą przez cały kraj, i to akurat tam, gdzie prawdopodobnie ukryte zostały dzieci. Zbytnią ostrożność jest równie głupia jak zbyt-  
nia mądrość! Słowa świętego Franciszka.

Wawrzyniec spieszył się, by zostawić Cortonę za sobą, i zwolnił kroku dopiero wtedy, gdy dotarł do wąskiej drogi wiodącej przez góry. W dole w słonecznym blasku zaśniło jak lustro Jezioro Trazymeńskie.

Minoryta zupełnie był w zgodzie ze swym sumieniem. Zachował się bardzo zu-  
chwale wobec powszechnie znanego człowieka kurii rzymskiej, ponadto nie tylko zlek-  
ceważył wezwanie papieża, by stawić się u niego z powodu owej misji do Antiochii, lecz  
jeszcze obciążył się ujawniwszy własne intrygi, co mogło go drogo kosztować. A o to  
ostatnie już się Wit z pewnością zatroszczy.

Hałas szybko nadjeżdżającego z tyłu pojazdu na tej pustej, ustronnej drodze prze-  
straszył franciszkanina. Czy nie powinien skoczyć w krzaki? Zakłopotany rozglądał się  
wokół gdy usłyszał dźwięk dzwoneczków. Niemożliwe, żeby nadciągał niebezpieczny  
wróg!

W stronę Wawrzyńca toczył się prędko zabawny wóz nakryty budą, przy której po-  
wiewały kolorowe wstążki. Minoryta zszedł na bok. W głębi wozu ujrzał prowokująco  
powabną niewiastę. Przejeżdżając obok z uśmiechem skinęła wędrowcowi ręką.

— Witaj, piękny cudzoziemcze!

Podczas gdy Wawrzyniec stał jeszcze jak wryty pod wrażeniem tego spotkania  
z grzechem i zawstydzony spuścił oczy, pojazd wykonał karkołomny zwrot na stromo  
wznoszącej się drodze i przystanął obok.

— Wsiadajcie, bracie — zaprosiła kobieta o dojrzałej urodzie.

Wawrzyniec odruchowo uczynił znak krzyża i wskazał zdecydowanie przeciwny kie-  
runek.

— Idę do Asyżu!

— Nic nie mówcie! — poleciła cicho i teraz Wawrzyniec usłyszał wyraźnie stukot kopyt galopującego w ich kierunku konia. Zebrał się na odwagę i wdrapał do wnętrza wozu, gdzie utonął w miękkich poduszkach. Kilka z nich wprawna ręka narzuciła jeszcze na niego, gdy pojazd ladacznicy, podskakując na kamieniach, zjeżdżał na powrót z góry.

Tymczasem jeździec z naprzeciwka zbliżył się. Wawrzyniec wstrzymał oddech. Tuż nad jego uchem zagrział głos viterbczyka:

— Wszeteczna niewiasto, czyś nie widziała po drodze mnicha?

— O, tak — zagruchała kobieta. — Gnał, jakby go diabeł gonił... albo kat!

Wit zmeł w ustach przekleństwo, dał koniowi ostrogę i wkrótce zniknął za zakrętem biegnącej pod górę drogi.

— Dobry brat w Chrystusie powinien zawsze wychodzić prześladowcom naprzeciw! — roześmiała się ladacznica i klepnęła Wawrzyńca w zadek na znak, że niebezpieczeństwo minęło. Wawrzyniec podniósł się ostrożnie, pozostał jednak w głębi wozu. — Żeby nie było nieporozumień — dodała nie odwracając się. — Ukryłam was tylko dlatego, że spodziewam się uzyskać ważną dla mnie informację...

Wawrzyniec przysunął się na kolanach nieco bliżej, ale tak, żeby plecy kobiety go zasłaniały.

— Szukam pewnego dostojnego pana, który mieszkał u Bombarona, w tym samym zamku, z którego, jak widziałam, wyście też wychodzili, bracie. Nazywa się William.

— William? — powtórzył niepewnie Wawrzyniec, chociaż natychmiast pojął, o kogo chodzi. — Znasz go?

Po raz pierwszy odwróciła się do niego i Wawrzyniec zobaczył iskierki miłości w jej ciemnych oczach.

— No cóż... — mruknął, próbując zyskać na czasie, zrodził mu się bowiem w głowie dość karkołomny pomysł. — Czego chcesz od niego?

— Chcę go znów zobaczyć! — rzuciła porywczo.

Czy ladacznica może szlochać?... Wawrzyniec pospieszył z zapewnieniem o swoim współczuciu, włączywszy już kobietę do swego planu. Kazał zatrzymać pojazd.

— Opisz mi tego Williama! — Wyciągnął z habitu kradziony papier i pogrzebał w swym worku, szukając kawałka ochry.

— Młody, o jędrnym ciele — mlasnęła Ingolinda, upajając się wspomnieniami — delikatnej skórze, a w spodniach...

— Jaką miał twarz! — przerwał jej Wawrzyniec karcąco.

— Okrągłą, upartą, mocną, falujące rude włosy, miękkie usta, silny nos, lekko wygięty, krzaczaste brwi...

— Mów dalej — zachęcał ją Wawrzyniec. Jego kreda śmigała szybko po pergaminie,

poprawiała, podkreślała. — Jakie miał oczy?

— Wielkie dziecięce oczy, szare... nie, zielonobrazowe.

— Jasne?

— Nie, raczej ciemne, w kształcie migdałów. — Brała teraz żywy udział w rysowaniu portretu, zwłaszcza że Wawrzyniec z powodu lepszego światła usiadł obok niej. — Podbródek mocno zaznaczony, ale okrągły, no a szyja... — teraz roześmiała się znowu — nieco krótsza, właściwie jak u parobka.

Wawrzyniec kończył pracę ostatnimi pociągnięciami, pofalował włosy, nie szczędził również cieniowania.

— Tak, to mój William! — zawołała radośnie ladacznica. — Teraz musicie mnie jeszcze do niego zaprowadzić!

— Powoli! — rzekł Wawrzyniec i odebrał jej portret, który już uważała za swą własność.

— Odkupię go, braciszku, jesteście wielkim artystą!

— Ubijmy interes — zaproponował Wawrzyniec. — Ja wskażę ci drogę i miejsce, a ty dostarczysz pewną wiadomość...

— Zgoda! — Wyciągnęła rękę, ale Wawrzyniec nie oddał jeszcze portretu.

— Posłuchaj uważnie: trzymaj się drogi, inaczej dotrzesz do gniazda za późno i twój ptaszek zdąży wyfrunąć — ostrzegł tonem mędrca. — Jedź stąd prosto do Ankony, zażądaj rozmowy z komendantem portu i powiedz, że przysyła cię generał i że musisz dostać się do Przeoryszy. Komendant da ci miejsce na statku. Tu są pieniądze...

— Zatrzymajcie je sobie — odmówiła dama z Metz. — Dla kaprysu serca sama pokryję koszty, dajcie mi tylko portret!

Wawrzyniec tymczasem nabazgrał u dołu kilka słów po grecku, słusznie wychodząc z założenia, że ladacznica, choćby najbardziej bywała w świecie, nie potrafi ich przeczytać: „Wielka nierządnicą babilońska szuka ojca dzieci. Wie, że u was przebywa.”

— Ukryj to dobrze — upomniał — bo jeśli wpadnie w niewłaściwe ręce, twój piękny grzbiet i przylegająca do niego wrażliwa część ciała zostaną tak zeszpecone pręgami, że stracisz źródło utrzymania.

— Zapomnijcie o moim tyłku, bo on będzie strzegł mojego Williama! — oświadczyła i chciała wsunąć portret pod spódnicę.

— Zaczekaj! — zawołał Wawrzyniec — muszę go posikać, bo wszystko się zetrze.

— Na mojego Williama sama naszczam, mistrzu, możecie mi wierzyć!

Wawrzyniec uwierzył na słowo.

— Jeszcze jedno — dodał pogodnie. — Gdy przybędziesz na miejsce, pytaj o hrabinę, w żadnym wypadku o Przeoryszę. Inaczej dostaniesz jeszcze gorsze cięgi niż te, które daje z radością katowski pomocnik! Pokaż portret hrabinie, a potem będziesz go mogła zatrzymać.

— Potem zatrzymam sobie oryginał! — roześmiała się Ingolinda z Metzu, strze-  
liła batem i zamtuz na kółkach ruszył znowu w drogę z brzęczeniem dzwoneczków  
i powiewaniem barwnych wstążek na wietrze.

Kiedy znaleźli się w Cortonie, Wawrzyniec wysiadł i długo patrzył za oddalającym  
się pojazdem. Potem westchnął głęboko i postanowił zejść do zamku, by zobaczyć się  
z Gersendą, nim zaopatrzonego w konia i parobka wybierze się jednak do Lyonu, do pa-  
pieża.

Bliższa ciału koszula, pomyślał. Jeśli Bóg chce ostrzec Eliasza i osłonić dzieci, dopro-  
wadzi tę kobietę wraz z wiadomością do Otranto. Brat William musi być niezłym ko-  
złem, skoro ta ladacznica ciągnie za nim przez całą Italię!

## HRABINA OTRANTO

*Otranto, jesień 1244*

— Statek! Statek!

Rosz i Jeza zobaczyli go pierwsi i jak wichur popędzili z ogrodu wąskimi schodami  
na mury.

Klarion zerwała się i pobiegła za dziećmi, nie czekając na obu rycerzy, którzy leże-  
li w słońcu u jej stóp. Konstancjusz opiewał ją arabskimi pieśniami miłosnymi, podczas  
gdy Crean zalecał się do niej na swój milczący, za to tym bardziej natarczywy sposób.

Co za okrutna zabawa! Dla obydwu miłość była tylko rozrywką i wcale nie myśle-  
li o tym, żeby tak kwieciste przedstawiane pragnienia lub wymowne milczenie urze-  
czywistnić.

Laurencja, jak niejednokrotnie bywało w ciągu długiego lata, stała na bastionie  
w towarzystwie Zygisberta. Rozumieli się dobrze: czy to gdy rozmawiali, czy gdy spo-  
glądali na morze, wdychali dochodzące zapachy, patrzyli na zmieniające się barwy liści,  
wsłuchiwali się w jesienną ciszę.

Hrabina podeszła do balustrady. Patrzyła na bliską jej sercu trierę, na „swój” statek,  
jedyne, co we wspomnieniu o starym admirale napełniało ją czymś w rodzaju wdzięcz-  
ności. Żagle z powodu słabego wiatru były opuszczone, a triera jak stunoga wodna  
pchła ślizgała się po morzu. W małym basenie portowym u podnóża twierdzy opusz-  
czano już ze szczękiem zwodzony most, tragarze zajęli stanowiska, stała przygotowana  
lektyka. Laurencja patrzyła z troską na swego syna, który zjawił się tam, na dole.

— Chciałabym, panie, żebyście porozmawiali z Hamonem — powiedziała do Zygis-  
berta, nie spuszczać oczu ze statku. — Już pora, żeby na parę lat opuścił ten babiniec  
i w cudzoziemskich zamkach dostał do rąk skórę i żelazo, zamiast tutaj trzymać się mo-

jej spódnicy lub bielizny Klarion. Skończył szesnaście lat. Jest za delikatny, za miękki, zbyt marzycielski. Muszą go wygarbować piaski pustyni i morska sól. Musi nauczyć się walczyć, Zygisbercie, bo nie utrzyma Otranto, kiedy mnie nie będzie!

— Mogę go zabrać do Starkenbergu — odparł rycerz otwarcie. — Ale pod warunkiem, że sam zechce. Życie w Ziemi Świętej stało się ciężkie, przynajmniej dla zakonu krzyżackiego, zwłaszcza że Konrad dotąd nie objął swego dziedzictwa i my, wierni cesarzowi, jesteśmy w mniejszości. Hamo musi więc być gotów do wyrzeczeń i surowych wymagań.

— Porozmawiajcie z nim, panie — powtórzyła Laurencja i zniknęła w zamku, aby sprawdzić, czy dom jest gotów na przyjęcie gości.

— Och — zawołała Jeza — tych nawet będą nieśli! Czy oni już nie mogą chodzić?

Tragarze istotnie weszli na pokład i dwaj starsi ludzie wsiedli bezzwłocznie do lektyki, kryjąc się przed spojrzeniami obcych.

— Zobaczyle, jaka jesteś wścibska, dlatego się schowali — dokuczał małej Konstancjusz, lecz Jeza nie dała się zbić z tropu.

— Stamtąd nie da się trafić z kuszy w strzelnicę, a więc mnie też nikt nie może zobaczyć, a nie jestem przecież taka głupia, żeby się pokazywać na górze.

Ostatnie słowa były skierowane pod adresem towarzysza zabaw, który wspiał się na blankę. Chłopiec natychmiast jednak odparł atak:

— Nigdy nie byłaś na dole, bo nie wolno nam tam schodzić, to skąd wiesz? Poza tym dziewczyny nie mają czego szukać na murach... w czasie wojny!

— Zygisbert wszystko mi wytłumaczył, a on zna się na wojnie!

— Przecież nie mamy wojny — wmieszał się do rozmowy Hamo, który zatrzymał się nie opodal.

— I lepiej, żebyśmy nie mieli — upomniał go Crean, lecz Hamo tupnął nogą.

— Poszukam jej!

Klarion, rozumiejąc jego bojowy nastrój, położyła mu dłoń na ramieniu.

— Nie opuszczaj mnie.

Hamo jednak strącił jej rękę.

— Masz przecież dostatecznie dużo rycerzy, którzy rwą się do tego, żeby cię chronić!

— Klarion! — rozległ się nie dopuszczający sprzeciwu głos hrabiny. Dziewczyna odaliła się z grona otaczających ją mężczyzn i udała się przejściem przez wieżę do zamku.

Crean ruszył za nią w należyтым odstępem, już choćby dlatego, aby na wąskich, krętych schodach nie znaleźli się sam na sam. Chciał zobaczyć swego ojca, Jana, uścisnąć go bez świadków, nim podda się surowym wymaganiom bractwa, do którego należał.

Siedemdziesięciopięcioletni Jan Turnbull, pozostający w stanie spoczynku ambasador nadzwyczajny na dworze cesarza, honorowy komtur zakonu krzyżackiego w Starckenbergu, był posiadaczem niezliczonych odznaczeń i przeważnie najwyższych tajnych urzędów. Tytuł, który dla niego najwięcej znaczył — a miał ich w swym życiu wiele — brzmiał: „Conde z Mont Sion”.

Drugim starcem, którego z Ziemi Świętej przywiozła triera, był bezpośredni przełożony Creana, Tarik ibn-Nasir, kanclerz asasynów z Masnatu, gdzie syryjska gałąź sekty miała siedzibę. Ten zasuszony mędrzec, nie był w żadnym razie charyzmatycznym przywódcą jak Starzec z Gór, lecz co najwyżej zręcznym politykiem, odpowiednim dla tych czasów, kiedy w Ziemi Świętej nie chodziło już o podbój, uzyskanie i rozszerzenie władzy, lecz tylko o przeżycie.

Kanclerz oczekiwał wiele po Creanie i wyróżniał tego konwertytę szczególnym zaufaniem. Crean, nie chcąc mu dać powodu do nagany, zamierzał spotkać się z ojcem sam na sam, by choć przez chwilę okazać, jak bardzo się cieszy, że jeszcze go widzi żywym. Umiejętność tłumienia uczuć była bowiem warunkiem uzyskania pierwszego stopnia wtajemniczenia w skomplikowanej i skostniałej hierarchii asasynów. Zamiast uczuć wpajano ascezę, pobożność i dążenie do osiągnięcia ekstazy. Polecenie mistrza nie było prostym nakazem, lecz w zachwycie wypełnianym zadaniem. To przyniosło asasynom sławę fanatycznej sekty morderców. Ich głęboka religijność, wysoki stopień uduchowienia celowo nie były zauważane, a przez większość chrześcijan nie rozumiane bądź ignorowane.

Ojciec Creana był tutaj wyjątkiem; balansujący między światem pierwotnie chrześcijańskiej, to znaczy kacerskiej wiary i światem ortodoksyjnego mahometanizmu, niezależny, buntowniczy ducha, sam popchnął syna, na którego od wczesnych lat wywierał wpływ, do ismailickich asasynów, choć uczynił to dość późno.

— Crean! — Uścisk Jana, który oczekiwał syna u stóp schodów, był serdeczny jak zawsze w tych rzadkich chwilach, kiedy się widywali, Crean jednak boleśnie odczuł kruchość ojca. — Czy powitałeś już Tarika?

— Jeszcze nie kazał mnie przywołać. — Czyżby Jan ze starości zaczynał zapominać? Czyżby nie pamiętał, że było nie do pomyślenia, aby Crean nie wzywany stanął przed kanclerzem? — Na to jest jeszcze czas — złagodził swoją szorstkość. Z Janem nie należało już obchodzić się tak bezceremonialnie, jak przywykł wobec swego rodzica, do którego nigdy nie zwracał się inaczej jak po imieniu zgodnie z jego życzeniem. — Chodź, Janie, opowiedz najpierw, co słyhać w *Outremer*.\*

— Templariusze przeciw zakonowi szpitalników, Wenecja przeciwko Genui, Genua przeciw Pizie — zażartował Turnbull, odnalazłszy dawny ton ich rozmów. — Ale mów,

---

\* Outremer (fr.) — kraj za morzem; nazwa odnosząca się w średniowieczu tylko do Ziemi Świętej.

co z dziećmi! Ocalone?

— Ależ, Janie! — obruszył się Crean. — Są tutaj i dobrze się mają!

— To ogromnie ważne! Wiesz przecież...

— Oczywiście, Janie, przecież przydzieliłeś mi najlepszych rycerzy, aby mieć pewność, że to zaszczytne zadanie będę mógł wypełnić po myśli Przeoratu Syjonu.

— To dobrze, dobrze, opowiadaj!

Weszli na opustoszały taras i Crean rozpoczął relację...

Dzieci tymczasem popędziły na dół głównymi schodami, których stopnie ułożono tak płasko, że można było nawet na koniu wjechać na górę aż do wielkiej sali przyjęć. Konstancjusz i Zygisbert pokazali im to kiedyś. Teraz chciały rzucić okiem na lektykę i przyjrzeć się dokładniej obu przybyszom.

Dotarły jedynie do środkowego pasa straży, gdzie w schodach kryła się zapadnia, która pozwalała strącić w przepaść rycerza wraz z koniem. Straże wiedziały dobrze, że nie wolno im przepuścić dzieci, Jeza i Rosz wiedzieli o tym także; czekali więc, ukryci za nogami żołnierzy, aż lektyka wyłoni się zza rogu. Niosła tylko jednego pasażera, który wzbudził zachwyty Jezy.

— On ma turban, prawdziwy turban!

Rosza wszakże zajęło dużo bardziej zniknięcie drugiego gościa, który, jak przecież widział, również wsiadał do lektyki.

— Ten drugi wysiadł chyba przy kręconych schodach — zaczął zastanawiać się głośno, lecz zaraz umilkł wspomniawszy, że nie ma prawa znać tajnego wejścia.

Pobiegł za Jezą, która podskakiwała obok lektyki i pokrzykiwała:

— Prawdziwy muzułmanin w turbanie!

Tarik mrugnął do niej porozumiewawczo, zastukał laską w przednią ścianę lektyki i tragarze przystanęli. Podał Jezie rękę i wciągnął dziewczynkę do wnętrza, gdzie wskazał jej miejsce naprzeciwko siebie, nie odzywając się ani słowem. Uśmiechnęli się tylko do siebie, gdy po dwu stuknięciach laską lektyka ruszyła dalej.

Rosz pozostał na miejscu rozczarowany, ale spostrzegłszy, że straż nie zwraca już na niego uwagi, przesunął się ku stojącemu w niszy posagowi Erosa i nacisnął na jego łuk. W ścianie ukazała się szczelina, więc naparł na łuk ze wszystkich sił. Wystarczyła mu szpara grubości męskiego ramienia, aby się przecisnąć.

Poczuł znajome wilgotne powietrze wewnętrznych korytarzy, tajemnych schodów i umieszczonych między piętrami *intercapedine* — przejść umożliwiających ucieczkę w razie niebezpieczeństwa. To był osobny świat. Szkoda tylko, że nie było tutaj Jezy. Jej mógłby objaśniać swoje odkrycia, ona zaś miałaby pomysły, jak je wykorzystać. Z nią było po prostu weselej, chociaż bywała czasem męcząca. Rosz westchnął i udał się samotnie w swój obchód.

— ...Zakon może być dla ciebie ojczyzną! — usłyszał nagle.

Zapanowało długie milczenie i Rosz zamierzał już powędrować dalej, kiedy dobiegł go głos Hamona:

— Dzięki wam, panie Zygisbercie, za wielkoduszny gest, ale nie zasługuję na to, nie jestem godzien *Ordinis Equitum Theutonicorum*...\*

— Rozstrzygać o tym może przełożony... — przerwał rycerz te na pozór pełne wątpliwości słowa, lecz fałszywie ocenił wypowiedź młodego rozmówcy.

— Czyż wasza prawdziwa pełna nazwa nie brzmi: rycerze i bracia Zakonu Szpitalnego Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jeruzalem?

— Nie mylisz się — potwierdził Zygisbert.

— Matka tak mnie wychowała, że dla mnie istnieje tylko jedna „ukochana kobieta”, która nie zniesie obok siebie żadnej Marii... no, może tylko Magdalenę! — Słowa Hamona były cierpkie; mówił chłodno, w przeciwieństwie do Zygisberta.

— Ale w sercu, Hamonie, musisz przecieżyć...

— Nie mam serca — wpadł mu w słowo Hamo — i nie potrzebuję ojczyzny. Chcę obczyzny! — Gdy Zygisbert milczał bezradnie, Hamo dodał jeszcze: — Jestem samotnym wilkiem, nie chcę należeć do żadnego stada, poddawać się zakonnemu rygorowi. Otranto jest dla mnie za małe. Matka myli się, ja nie chcę go dziedziczyć.

— Rozważ to sobie dobrze — namawiał go Zygisbert, lecz głos Hamona stał się odpychający.

— Odejdę i nie chcę jej już nigdy widzieć! Możecie jej to powiedzieć albo nie!

— Rozmowa między mężczyznami powinna między mężczyznami pozostać. Pamiętaj, Hamo, zawsze jesteśmy przede wszystkim rycerzami.

— Czy zostanę rycerzem, to się jeszcze okaże. Może skończę jako złodziej, szpieg, skrytobójca albo szubienicznik, a może zostanę podróżnikiem-odkrywcą!

— Szeroka paleta możliwości! — próbował zażartować Zygisbert, aby zakończyć rozmowę pojednaniem. — Może się więc kiedyś zobaczymy: w Ziemi Świętej pełno jest takich poszukiwaczy przygód, wielu potem jednak zostaje rycerzami, zarówno spośród rozczarowanych dyscypliną zakonu, jak i spośród zawiedzionych w małżeństwie.

— Opowiedzcie mi o tych, którym oszczędzone było jedno i drugie...

Rosz postanowił podjąć dalszą wędrowkę. Miał powyżej uszu budujących historii z Ziemi Świętej. Jakby nie istniało nic innego! A Hamo to też lepszy łgarz! W rzeczywistości chciałby tylko poślubić Klarion. Ale ona go nie chce, bo jest za młody. Czy Jeza jemu też to powie, gdy będzie chciał, żeby została jego narzeczoną? Musi to sobie dobrze rozważyć. W przeciwieństwie do Hamona Rosz miał jeszcze dużo czasu...

---

\* *Ordo Equitum Theutonicorum* (łac.) — zakon rycerzy niemieckich (zakon krzyżacki).



Laurencja weszła do sali jadalnej i ogarnęła krytycznym wzrokiem stół nakryty do południowego posiłku. Nie lubiła ciężkiego jadła, lecz tutaj każdy mógł coś dla siebie znaleźć. Na stole stały tace i misy wypełnione po brzegi. Aromatycznie przyrządzone sałatki z ośmiornicy i małży, kalmary i krewetki, marynowane w oliwie i occie winnym karczochy, oliwki, smażone sardynki i bakłażany w plasterkach, świeżo sparzone langusty, gotowane i już ostudzone młode włóczniki. — Wśród tego połyskiwały ciepło cytryny i pomarańcze, w dzbanach stało chłodzone wino i świeża woda. Wszystko było przygotowane, tylko punktualność gości pozostawiała nieco do życzenia.

Miało to być przyjęcie pożegnalne. Laurencja podeszła do jednego z wysokich okien. Na dole w porcie kołysała się jej triera, już wymyta, otakielowana i załadowana. Jeszcze tego popołudnia z panem z Öxfeldu i księciem Selinuntu na pokładzie miała ponownie wyjść w morze. Obaj wypełnili swoją misję i Zygisbert znów zagrzebie się w Starckenbergu, Konstancjusz zaś na powrót przeobrazi się w emira Fassra ad-Dina. Wracali do Syrii.

Pierwszy wszedł cicho i skromnie Tarik, kanclerz asasynów. Laurencja klasnęła w dłoń. Przyniesiono gościowi miednicę z letnią wodą, w której pływały kwiaty róż, aby opłukał palce.

— Widzę, ekscelencjo — hrabina wzięła jeden z ręczników, by dostojnemu gościowi osobiście osuszyć ręce — że nie muszę przynajmniej jeść sama. Inni zapomnieli chyba, że wymóg grzeczności stoi ponad radością powitania i bólem rozstania.

— Punktualność powinna zawsze stać ponad ludzkimi uczuciami, podobnie jak szacunek i posłuszeństwo — zgodził się z nią Tarik. — Ukarzę Creana z Bourivanu.

— Proszę mu wybaczyć przez wzgląd na mnie! — Laurencja słusznie obawiała się, że Tarik rzeczywiście zamyśla to, co powiedział. — Crean jest jeszcze zapewne z ojcem.

— Wstępując do naszego zakonu każdy zostawia za sobą wszelkie rodzinne więzy. Crean też musi się tego nauczyć.

— Ale tym razem nie będzie jeszcze ukarany, dobrze? — Umiała być urocza i nadal świadomie oddziaływać na mężczyzn.

Tarik uśmiechnął się do niej, tak jak chwilę wcześniej w lektyce mrugnął porozumiewawczo do Jezy, gdy przestraszyła się bury, ujrzawszy hrabinę na końcu rampy. Szybko zaciągnął wtedy zasłonę i dziewczynka wymknęła się drugą stroną lektyki. Kanclerz był dzisiaj w dobrym humorze, prawie wesoły. Podniósł w górę kciuk na znak łaski.

— Nie zrozumcie mnie źle, hrabino. Kocham Creana jak własnego syna. Przyjąłem go w trudnym dla niego czasie, gdy zabito mu żonę, a on z dwiema córkami musiał uciekać z Blanchefort...

— Jak im się wiedzie? — Laurencja próbowała nadać rozmowie nieco weselszy ton. — Czy wyszły za mąż?

— Nie można tego tak określić — uśmiechnął się filuternie Tarik. — Kiedy całe to nieszczęście spadło na ich rodzinę, poczciwy stary Jan, nie mogąc nic zrobić dla syna, zwrócił się do mnie. Wtedy zapewniłem całej trójce bezpieczne życie w Persji, gdzie panujemy i gdzie znajduje się nasza główna kwatery. Inkwizycja tak zaciekle ściagała Creana, że w krajach chrześcijańskich, a zatem i w Syrii, nie mógł się pokazać. Potem jego dorastające córki oświadczyły, że chcą u nas pozostać, i dobrowolnie poszły do haremu naszego wielkiego mistrza...

— Dziwne istoty — pozwoliła sobie wtrącić Laurencja. — Jak może wolna kobieta...

— Czy kobiety są rzeczywiście wolne? — przerwał jej łagodnie kanclerz. — Wy, pani, jesteście wyjątkiem. Ale poza tym?... Harem daje im poczucie bezpieczeństwa, dużo wolnego czasu i możliwość pielęgnowania urody.

— I zmusza je do jednego: kobieta powinna być stale przygotowana na zachcianki swego właściciela, wobec którego musi jeszcze udawać miłość i namiętność! — oburzyła się Laurencja.

— Nie oceniacie należycie reguł gry dobrze prowadzonego haremu. Namiętność rozbudzić i odczuwać to sztuka, której można się nauczyć. A miłość?... — Uśmiechnął się do hrabiny. — Miłość przychodzi i odchodzi. Nie zależy od haremu. Czy wy, pani, rozwiązałyście problem miłości?

W tym momencie do sali weszli stary Turnbull i Crean. Jan usiadł, Crean zaś zajął miejsce za krzesłem kanclerza. Tarik w żaden sposób nie okazał mu ani gniewu, ani łaski.

Potem zjawił się także Zygisbert, który skłonił się lekko przed Laurencją.

— Wasz syn, pani, prosił o usprawiedliwienie. Udał się do portu, żeby dopilnować przygotowań do odjazdu.

— Czy rozmawialiście z nim, panie Zygisbercie?

— Bez pożądanego wyniku. Hamo ma chyba ochotę pobrudzić sobie ręce, ale nie pod znakiem czarnego krzyża na białym płótnie.

Dopiero teraz wszyscy zauważyli, że po raz pierwszy w Otranto Zygisbert włożył tunikę zakonu krzyżackiego. Był, można powiedzieć, gotów do drogi. W odróżnieniu od Konstancjusza, który wszedł właśnie pospiesznie, lekko rozczochrany.

— Dzieci zupełnie powariowały ze zdenerwowania i żalu z powodu naszej „dezercji”, jak mi gniewnie oświadczył Rosz. A Jeza omal nie powyrywała mi włosów, tak się mnie uczepliła. Jedyną pociechą malców jest to, że Crean jeszcze zostaje, w przeciwnym razie popłynęliby z nami, jak zapewnia Rosz.

Laurencję rozgniewała nieco ta publiczna opowieść Konstancjusza, a jej gniew spętał się jeszcze, gdy Klarion, z oczami zaczerwienionymi od płaczu, ostatnia zajęła w milczeniu miejsce.

Przykrą ciszę przerwał Tarik.

— Proszę, zajmijcie miejsce z nami, panie z Bourivanu — rzekł zachęcająco — nie jesteśmy przecież w Masnacie. Poza tym — roześmiał się lekko, co inni przyjęli z wdzięcznością — jestem tutaj *incognito*.

— Jak to? — spytał stary Jan, który nie wszystko pojmował, i teraz wszyscy już wybuchnęli gromkim śmiechem.

Zabrali się do biesiady, zaczęło krążyć wino i w końcu zrobiło się wielkie rodzinne święto.

Gdy słońce schyliło się ku zachodowi, Laurencja przypomniała, że czas wyruszać.

Tymczasem do sali wtargnęły dzieci. Jeza przyniosła trzy zerwane lilie: ognistą dała Konstancjuszowi, białą Zygisbertowi, wdrapała się także rycerzom na kolana i obu wycałowała. Wszyscy czekali teraz w napięciu, komu podaruje trzeci kwiat, pachnącą odurzająco bladoflołkową *Reine Innocente*, „Niewinną Królową”. Jeza obiegła stół dookoła i wręczyła ją uroczyście kanclerzowi.

— Obiecałeś nam, że będziemy pomagać ci przy pakowaniu — przerwał ciszę Rosz, szarpiąc Konstancjusza za rękaw.

Laurencja podniosła się od stołu. Podeszła z Tarikiem i Janem do okna.

— Teraz musimy jeszcze poczekać na Eliasza — powiedział Jan. Crean odprowadził przyjaciół do portu, gdzie triera czekała gotowa do wypłynięcia. Załoga górnego pokładu uniosła na powitanie zakończone kosami wiosła.

Crean uścisnął rosnącego Zygisberta.

— Dziękuję wam, panie, za odwagę i stanowczość. Uchroniły mnie przed niejednym głupstwem. Pozwólcie mi pozostać waszym przyjacielem, jeśli się znowu zobaczymy.

Potem uścisnął Konstancjusza, który go ubiegł mówiąc:

— Ja dziękuję wam, panie, za tę wspólnie przeżytą przygodę, za to, że wasz pan ojciec uznał niewiernego godnym wzięcia udziału w ocaleniu dzieci. Jeśli kiedykolwiek potrzebne wam będzie moje ramię, możecie na mnie liczyć. *Allahu Akbar!*

— *Wa-Muhammad Rasulu Allah!*\* — odpowiedział Crean i zamierzał odejść, ale wtedy wystąpił Zygisbert.

— Wszyscy służyliśmy realizacji Wielkiego Planu, byliśmy zaledwie kółkami w maszynie, a to przecież dopiero pierwszy stopień. Co dalej, nie wiemy, nie wolno nam wiedzieć i nie chcemy...

— A ja chciałbym wiedzieć! — przerwał mu Konstancjusz. — Jestem niezwykle ciekaw...

Jednakże Zygisbert nie zważając nań ciągnął:

— Przysięgnijmy tutaj, że zawsze będziemy dzieciom służyć, gdy zostaniemy wezwa-

---

\* Allahu akbar... (arab.) — Allah jest wielki... A Mahomet jest jego prorokiem.

ni!

Dobyl miecza. Konstancjusz uczynił to samo. Ponieważ Crean był bez broni, wyciągnął do przysięgi rękę. Widział, że przyjaciele niechętnie odjeżdżają.

Odwrócili się jeszcze raz, popatrzyli w górę i pomachali rękami.

Crean obejrzał się na potężną warownię, popatrzył na jej szczyty. Wysoko na okalającym ją murze stały małe, kruche figurki: Jeza i Rosz. Machały rękami.

— Jak zostanę rycerzem — powiedział Rosz — nikt mi nie zabroni odprowadzać rycerzy na statek.

— Żeby nam chociaż pozwolili zejść do portu! — wyraziła skromniejsze życzenie Jeza. — Jakiś statek zawsze by się znalazł.

Hamo podszedł do dzieci.

— Nigdy nie zostanę rycerzem — mruknął — ale pojedę do obcych krajów i będę odnosił zwycięstwa!

Triera wprawiona w ruch powściągliwymi uderzeniami wiosł opuściła basen portowy. Dopiero na otwartym morzu postawiono żagle i statek szybko zniknął z oczu wszystkich, którzy za nim spoglądali.

## ZŁODZIEJE

*Lucera, zima 1244/45*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

— Czekają nas trudna droga, zanim w Lucerze spotkamy znów ludzi wiernych Fryderykowi — wyjaśnił mi Elias. — To miasto Saracenów założył cesarz jako kolonię i obsadził pokonanymi muzułmanami z Sycylii. Odcięci od swoich we wrogim chrześcijańskim kraju, przekształcili się z zaciekle przeciwników Fryderyka w oddaną mu na śmierć i życie *guardia del corpo*.\*

Niewiele mnie to obchodziło, przeżywałem bowiem przemianę innego rodzaju. Mój zadek był jednym czerwonym guzem, a wewnętrzna strona ud żywym mięsem, które w strzępach zwisało z siodła, gdy mnie z szeroko rozstawionymi nogami z niego uwalniano. Z bólu nie mogłem już nawet krzyknąć, tylko łzy ciekły mi po policzkach. Żołnierze Eliasza ograniczyli się do wyrazów głębokiego ubolewania; żadnemu nie przyszło na myśl, że nigdy jeszcze nie spędziłem na końskim grzbiecie więcej niż kilka godzin, i to jadąc dostojnym stępem.

Z Cortony ciągnęliśmy przez cesarską Perugię, a pod Asyżem, w Porcjunkuli, de-

---

\* *Guardia del corpo* (wł.) — gwardia przyboczna.

monstracyjnie odprawiliśmy modły. Chociaż obecny biskup, brat Krescencjusz z Iesi, nienawidził wyklętego generała zakonu, nie odważył się przecież wysłać przeciwko nam swojej straży — wśród braci było zbyt wielu takich, którzy trzymali z Eliaszem, mogłoby zatem dojść do buntu.

Mimo że w Foligno fotel biskupi nie był obsadzony, poradzono nam nie jechać dalej drogą na Spoleto, lecz ciągnąć na południe przez góry. Bombarone musiał zrezygnować z wygodnej lektyki i zamienić ją na grzbiet jednego z luzaków, które gwardia przyboczna prowadziła ze sobą.

Dotarliśmy do Montereale, chcieliśmy skierować się na L'Aquilę, ale kasztelan ostrzegł nas, że okolica jest niepewna, bo przysłane tu papieskie oddziały starają się przeciąć połączenie miasta z apulijskimi twierdzami Fryderyka. Powinniśmy raczej poczekać tutaj, aż odsiecz z Południa oczyści drogę albo aż on zmusi papieskich do ucieczki.

Omam nie popłakałem się ze szczęścia na myśl o tym, że moim usianym pęcherzami pośladkom będę mógł dać parę dni spokoju i ochłody. Jednakże Eliasz postanowił wyruszyć natychmiast, na przełaj przez góry, przez tak zwane Cesarskie Pole. Musieliśmy teraz prowadzić konie za cugle. Niektórzy przeklinali, mnie to odpowiadało. Byłem gotów całą pozostałą drogę iść na piechotę, nawet boso, byle nie jechać na tym kołyszącym się narzędziu tortur pełnym stalowych cierni, które przy każdym stąpieniu końskiego kopyta wbijały się we mnie. Przysięgałem Matce Bożej, że już nigdy nie pomyślę o kobiecie, jeśli mi ocali przynajmniej przyrodzenie!

Droga była niebezpieczna. Dwu naszych spadło w przepaść. Marzliśmy nocami i kończył się nam prowiant, dotarliśmy jednak do zamieszkanym okolic, nim zaczął nam doskwierać głód.

Ciągle nie miałem sposobności i nie zdobyłem się też na odwagę, aby Bombaronowi podsunąć kopię Wielkiego Planu, którą starannie zapakowaną wiozłem na piersi; obawiałem się pytań i wymówek.

Przejechaliśmy bez przeszkód Popoli i Roccaraso i wspinaliśmy się ku kasztelowi del Sangro, gdy na drodze do przełęczy dogoniliśmy dwu franciszkanów, którzy pokornie poprosili, żeby wolno im było przyłączyć się do nas. Pielgrzymowali do Świętego Mikołaja z Bari. Jednego z nich, Bartłomieja z Cremony, Eliasz chyba znał, bo nazwał go „Bart” i powitał. Drugi był mu obcy. Przedstawił się jako Walter z Martorany i zrobił na mnie wrażenie człowieka niezwykle przebiegłego. Miał nos jak ptasi dziób i zezował lewym okiem.

Eliasz trzymał obydwu z dala ode mnie i nie powiedział im, że jestem również minorytą. Przyszło mi do głowy, że mógłbym teraz wreszcie doręczyć Eliaszowi pergamin przez tego Barta, który wydawał mi się godny zaufania.

Gdy wkrótce potem zatrzymaliśmy się na spoczynek w obozisku pod kasztelelem, a Eliasz został zaproszony do zamku w gościnę, zwróciłem się do mego brata w zakonie.

— *Pax et bonum!* — wyrwało mi się i Bart spytał:  
 — Jesteś jednym z nas?  
 — Nie! — ugryzłem się w język. — Jestem sekretarzem Bombarona i chciałem was prosić o przysługę. Sporządziłem pewną petycję, a nie chcę mu jej sam wręczyć...  
 — Chyba podpisaliście ją swoim imieniem? — Braciszek był podejrzliwy.  
 — Nie — zaprzeczyłem prędko. — To generalna propozycja, raczej ogólnie sformułowane orędzie.  
 Bartłomiej zmierzył mnie wzrokiem.  
 — Jak się nazywacie?  
 O Boże, pomyślałem, jeśli zechce najpierw przeczytać ten kacerski, bezdennie bluźnierczy pamflet, jestem zgubiony. Powinienem był spalić pergamin. Teraz kopia, sporządzona moją własną ręką, paliła mi pierś.  
 — Jan z Flandrii — rzekłem, pewien, że tu mnie nie podejda.  
 — Znacie może niejakiego Williama? — wtrącił się nagle ostronosy. — Williama z Roebruku?  
 — Nie... to znaczy, może... — mruknąłem. — Czy aby nie studiował w Paryżu?  
 — Brał udział w wyprawie przeciwko Montségur. — W zezowatych oczach Waltera z Martorany widniało napięcie.  
 — Przeciwko komu? Nie znam tego szlachetnego pana! — powiedziałem bezczelnie.  
 — To kacerska twierdza!  
 — Przykro mi — odparłem — nigdy o niej nie słyszałem. Od lat pędzę życie w Cortonie na studiach i pracy dla Bombarona, odcięty od świata...  
 — Dajcie tę prośbę — powiedział Bart — mam pomysł, jak to zrobić. Jutro rano, jeszcze przed *matutiną*\*, obudzę Eliasza i powiem, że w nocy przybył posłaniec, oddał pismo i zaraz odjechał. No dajcie to — ponaglił mnie niecierpliwie, wygrzebałem więc pergamin spod koszuli i wcisnąłem mu do ręki. Schował zwój nawet na niego nie spojrzawszy.  
 — A jeśli Eliazs spyta, jak wyglądał ten posłaniec? — wystąpiłem jako *advocatus diaboli*\*  
 — Ponury, wysoki, kościsty, w czarnej pelerynie, na karym koniu — fantazjował mój konfrater z godną uwagi siłą przekonywania.  
 — Dzięki, bracie — powiedziałem. Kamień spadł mi z serca.  
 — Połóżmy się wcześniej — zaproponował ten o wyglądzie ryjówki. — Musimy wcześniej zerwać się z pościeli.

---

\* *Matutiną* (łac.) — godzina kanoniczna.

\* *Advocatus diaboli* (łac.) — adwokat diabła; w czasie procesów kanonizacyjnych rola krytycznego badacza.

— Z siana! — sprostowałem żartobliwie, umieszczono nas bowiem w stajni. Ogromnie rad zawiąłem się w derkę i zmówiwszy modlitwę, od razu zasnąłem.

Gdy zbudziłem się rano, miejsce obu mnichów było puste. Zerwałem się i pobiegłem do Eliasza.

— Czy Bart i ten Walter byli już u was? — spytałem, zaniepokojony w najwyższym stopniu.

— Zapewne spoczywają jeszcze w objęciach Morfeusza — odparł Bombarone. Był w złym humorze. Słońce stało już wysoko na niebie.

— Oni mnie okradli! — krzyknąłem. — Was, przewielebny ojcze, okradli! — W jednej chwili opadła ze mnie senność. — Dziś w nocy przybył posłaniec i przywiózł dla was pismo. Nie chcieli was budzić, teraz już wiem dlaczego! — wrzeszczałem wzburzony.

— Jak wyglądał ten posłaniec? — spytał pobladły Eliasz.

— Ponury, rosły i czarny jak jego kary koń — zmyślałem. Wyrósł mi nagle przed oczyma obraz posępnego inkwizytora z Montségur.

— I gdzie pojechał? — Eliasz nie był już beztroski; wyglądał niedobrze, jakby zbierało mu się na wymioty.

— Sądząc po odgłosach, drogą w dół — łąłem jak najęty.

Bombarone nie pytał już o nic, tylko kazał natychmiast dosiadać koni.

Nie ujechaliśmy nawet dwu mil, gdy ujrzeliśmy na drodze martwego człowieka. Był to ostronosy mnich. Z ust zwisał mu granatowy język. Eliasz odwrócił zwłoki czubkiem buta i przyjrzał się karkowi zmarłego.

— Tak też myślałem — powiedział i wyrzygał się.

Po pergaminie nie było naturalnie śladu, po bracie Bartłomieju również. Milcząc pojechaliśmy dalej. Eliasz dostał wysokiej gorączki.

Straciłem z pewnością dobre dwanaście funtów, zanim wreszcie dotarliśmy do Lucery. Skórzane spodnie, które mi Gersenda specjalnie poszerzała, zwisały ze mnie teraz luźno.

Kapitan Saracenów okazał mi współczucie i przysłał swego arabskiego medyka. Ten wysmarował mnie jakąś maścią, która najpierw paliła jak ogień, ale bardzo szybko przyniosła cudowną ulgę. Mało tego, kapitan obiecał też, że na dalszą drogę postara się dla mnie o lektykę. Chciałem go za to całować po nogach, mimo że był poganinem.

Pozostaliśmy u muzułmanów kilka tygodni. Tyle było trzeba, by Bombarone wrócił do sił, ja zaś miałem czas, by się nadziwić, jak cesarz mógł pozwolić, żeby w środku chrześcijańskiego kraju całe miasto pełne niewiernych modliło się pięć razy dziennie, zwracając się ku Mekce:

— *Wa-ra'ajta an-nasa jadchuluna fi dini Allahi afwadżan fa-sabbihi bi-hamdi Rabbika wa-istaghfirhu innahu kana tawwaban.*

## V UCHO DIONIZOSA\*

### FONTANNA *Otranto, wiosna 1245*

Było jeszcze daleko do uderzenia dzwonu oznajmającego południe i wczesne wiosenne słońce stało niezbyt wysoko na niebie, mimo to jego promienie paliły ognistym żarem mury warowni Otranto. Przebywać dało się tylko w cieniu wewnętrznych dziedzińców i arkad, na tarasie bowiem czuć było co prawda jak delikatne tchnienie podnoszącą się z morza bryzę, ale nie łagodziła ona dostatecznie migotliwego skwaru nad kolorowymi kaflami posadzki.

Pogrążony w ciszy był także mały port leżący u podnóża zewnętrznych obwarowań, które zamek wysunął aż na skraj zatoki jak łapę czuwającego lwa. Kilku marynarzy tkwiło w półśnie w swych izdebkach; admirałska triera nie powróciła jeszcze z Ziemi Świętej.

Był to wystarczający powód dla Laurencji, by wciąż się podnosić z łoża, uchylać długie ciemne zasłony i spoglądać ku południowi na gładki, rozciągający się w nieskończoność błękit. Bez swego oczka w głowie, bez swego statku czuła się jak okaleczona. Jego obecność, stała gotowość do walki lub do ucieczki dawała hrabinie silne poczucie niezależności. Móc w każdej chwili ten zawładnięty przez ludzi kraj zamienić na przestwór morza — oto prawdziwa wolność! Laurencja z irytacją opadła na rozgrzany adamaszek małżeńskiego łoża, czując krople potu, które łaskotały jej skórę. Próbowała o niczym nie myśleć.

Klarion kazała sobie powiesić duży hamak w głębokim cieniu arkad, w pobliżu zbiornika wodnego, który parując dawał odrobinę chłodu — przynajmniej tak sobie wyobrażała, podobnie jak to, że łagodne kołysanie hamaka rodzi chłodny powiew.

— Przypuszczałem, że znajdę was, pani, w naszym ulubionym miejscu — bąknął Crean. Dlaczego się usprawiedliwiał? — Dziś chyba najłatwiej wytrzymać przy fontannie.

---

\* Ucho Dionizosa — dawna konstrukcja architektoniczna w kształcie tuby, za pomocą której można było słuchać rozmów prowadzonych w oddalonych pomieszczeniach.



— To idźcie tam, Creanie, niech zobaczą was dzieci. — Klarion przeciągnęła się, aby jeszcze bardziej podkreślić swą zwierzęcą cielesność. — Nie znają piękniejszej zabawy niż opryskać każdego, kto się znajdzie w ich zasięgu. — Zwinęła się jak leżąca na grzbiecie kotka.

— Są szczęśliwe siedząc nago w basenie fontanny i cieszą się życiem — odparł łagodnie jej zarzut Crean. — Godne pozazdroszczenia dzieciństwo!

Położył się na wznak u jej stóp i wprawiał hamak w lekkie kołysanie palcem uniesionej w górę nogi. Nie zdecydował się zająć miejsca obok niej, świadom, że nic tak nie sprzyja przytuleniu się dwu ciał jak bliskie sąsiedztwo w hamaku. Człowiek jest wtedy złapany w sieć jak ryba... nie, jak dwie ryby. Klarion wyraźnie tęskniła za tym, lecz Crean się wzbraniał. Było jej gorąco, ale z radością zniosłaby jeszcze większy żar, żar jego objęć, rzuciłaby się nawet w palące płomienie, pot spływałby jej gwałtownym potokiem między piersiami, po brzuchu, na uda, nie gasząc jednak ognia, który w niej płonął. Tymczasem tuż pod nią, oddalony tylko na szerokość dłoni, sterczał przez siatkę hamaka wielki palec mężczyzny poruszający się z niezmaconym spokojem. Przysunęła się o parę centymetrów, napięła mięśnie, by go dotknąć, ścisnąć, wessać w siebie, ale jej się to nie udało, bo Crean ze smutnym uśmiechem cofnął nogę i w innym miejscu zaczepił palec o siatkę.

Czuł pożądanie dziewczyny i nawet by je zaspokoił, nie miałby nic przeciw temu, lecz nie mógł zrobić tego tutaj, uwięziony wśród tych murów, z gotową do pęknięcia Klarion podobną glinianemu naczyniu o cienkich ściankach napełnionemu greckim ogniem; po rozbiciu naczynia ogień rozlewa się szeroko i nie daje się ugasić wodą. Klarion hrabina Salentyny była nie tyle naturalną córką cesarza, ile — co było aż nienormalne — pasierbicą, niewolnicą, klejnotem, współniczką i towarzyszką hrabiny Otranto, smoka, który strzegł swego skarbu. Cud, że ta samotna księżniczka nie została zamknięta w potężnej wieży, do której klucz przechowywałaby stara czarownica. Spojrzenie Creana powędrowało w górę ku wysokiemu donżonowi, który wznosił się stromy i niedostępny pośrodku terenów zamkowych, ponad dachami, tarasami i murami. Tak, to cud, że Klarion nie została tam zamknięta!

Ale nie tylko zazdrosna hrabina powstrzymywała go od ulegnięcia bezwstydnemu już uwodzeniu przez Klarion. Wpływała na to również obecność kanclerza, przypominając o obowiązkach. Nie musiał składać ślubów, mógł także w każdej chwili zrezygnować, ale spadłby wówczas na dół jak kamień, jak zgniłe jabłko, utraciłby wiele stopni wtajemniczenia, rangę, o którą tak mozolnie zabiegał, duchowe przestrzenie wolności, do których się wznosił, w których czuł się wyzwolony i podniesiony jednocześnie. I to miałby oddać za parę chwil cielesnej rozkoszy, upojenia zmysłów? Nie były tego warte, nie była tego warta żadna kobieta!

Naturalnie mógłby skrycie dostarczyć swemu ciału krótkiego zadowolenia, mógł-

by oszukać siebie, swego zwierzchnika i — z przyjemnością — również hrabinę. Klarion jednak wybuchłaby z hukiem, krzyknęłaby prawdopodobnie z rozkoszy, krzyknęłaby na znak oswabadzającego tryumfu, że wszyscy by usłyszeli, zbiegłby się cały zamek. A potem załamałaby się, gdy wróciwszy do przytomności uświadomiłaby sobie, że dla niego był to tylko epizod, chwilowe zejście z wytyczonej drogi, pospieszny łyk zimnej wody, ponieważ poczuł właśnie pragnienie i natknął się na źródło. Nauczył się panować nad ciałem, ona zaś swego ciała pragnęła po raz pierwszy doświadczyć. Crean litował się nad nią.

Klarion była gotowa cierpieć, lecz przedtem chciała zaznać mężczyzny. Bezwarunkowo, bez zahamowań i zaraz! Do diabła! Jej towarzysz nie powinien mieć żadnych oporów! Ani ze względu na jej złowróźbne pochodzenie, ani na powiązania z Laurencją, a już najmniej na nią samą. Była silniejsza niż wielu mężczyzn, przypuszczalnie dużo silniejsza niż Crean; przetrwałaby wszystkich! Klarion zastanawiała się, czy nie powinna z hamaka splunąć w twarz temu tchórzowi, a może stoczyć się na ziemię, rzucić na niego i zgwałcić...

— Klarion! — przenikliwy głos hrabiny przestraszył oboje. — Klarion! Mamy gości! — Zabrzmiało to co prawda jak pretekst, lecz było jasne, że skończyło się ich intymne sam na sam.

Crean zerwał się pierwszy, pochylił nad uwięzioną jeszcze w hamaku Klarion i pocałował ją w usta. Chwylił jego głowę obydwoma rękami, jakby chciała jeszcze teraz, w ostatniej sekundzie, wciągnąć go na siebie. Jednakże Crean stawiał opór. Za to pocałunek trwał dłużej, niż przewidział, zwłaszcza że jej język wparł się w jego usta, jak gdyby pokazywała, czego właściwie oczekuje od doświadczonego mężczyzny. Nim się zdołała całkowicie wessać i naznaczyć jego wargi zębami, a twarz ostrymi paznokciami — takich właśnie preliminariów słusznie się obawiał — udało się Creanowi kosztem paru kosmyków włosów uratować głowę i oderwać się od dziewczyny.

— Potrzebny mi łyk zimnej wody — oznajmił szybko i niedwuznacznie, już w bezpiecznej odległości od hamaka, gdy Laurencja wypadła zza rogu jak furia. — Bardzo dziś gorąco — powitał zmęczony hrabinę, która go zignorowała, za to na Klarion spojrzała błyszczącymi oczyma. — Pewno przybył Elias? — rzucił jeszcze pytanie, ale tylko po to, żeby się czym prędzej oddalić.

— Ty rozpustnico! — usłyszał odchodząc głos hrabiny, potem śmiech Klarion i odgłos uderzenia w twarz; leż obu już nie widział...

Spotkał za to po drodze Hamona, który obrzucił go wrogim spojrzeniem; przypuszczalnie podsłuchiwał. W tym hrabina i jej syn byli do siebie podobni, oboje czyhali na Klarion jak pustynne szakale na gazelę. Jak zachowywali się wówczas, kiedy w zamku nie było gości?

Nie zdążył tego przemyśleć, struga zimnej wody chlusnęła mu bowiem prosto

w twarz. Z basenu fontanny wynurzyła się Jeza i pisnęła ucieszona:

— Pierwsze odświeżenie za darmo!

Rosz tymczasem nabierał drewnianym czerpakiem następną porcję.

— Kto chce wody, musi płacić!

— I kto chce przejść obok, też płaci! — dodała Jeza i uderzywszy dłonią w wodę, skierowała następną strugę na Creana.

— Jestem biednym wędrowcem i umieram z pragnienia! — zaczął żebrać skrzekliwym głosem. — Zlitujcie się, dajcie łyk wody!

— Biedni nie muszą płacić — oświadczył Rosz zwracając się do Jezy i ta podała zaraz Creanowi kubek.

— Masz, biedaku, pij, ile chcesz!

Crean przełknął łyk, podziękował i oddalił się, powłócząc nogą.

— Dziękuję wam, dobre dzieci, uczyniłyście mnie bogatym...

## DRZWI BEZ KLAMKI

*Otranto, wiosna 1245*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Kapitan Saracenów z Lucery dał nam przewodnika dobrze znającego drogę, tak że już po tygodniu rozciągała się przed nami błękitna zatoka starego Hydruntum.

— Nic nie rozumiem — odezwał się Elias, jadący na koniu obok mojej lektyki. Przemówił do mnie po raz pierwszy od przybycia do Lucery. Był jeszcze bardzo blady na twarzy. — Mój przyjaciel Turnbull prosi, żebym mu przywiózł z powrotem do Otranto jakieś pismo, które mi przesłał pół roku temu czy nawet wcześniej, a więc mniej więcej wtedy, Williamie, kiedy diabeł przywiódł cię do Cortony. Ten dokument jednak nie dotarł do moich rąk. A teraz, tuż przed bramami Otranto i umówionym spotkaniem z Janem Condé z Mont Sion... Czy to nazwisko nic ci nie mówi, Williamie? — Potrząsnąłem głową w poczuciu całkowitej niewinności. — Otóż teraz zjawia się jakiś czarny piekielnik i podobno przywozi mi pismo. Gdyby mi go nie dostarczył, lecz zrabował, wszystko byłoby jasne. Tymczasem kradnie ten pergamin minoryta, którego już od dawna podejrzewałem, że stoi bliżej zamku Świętego Anioła niż generała swego zakonu! Czy ten nieszczęsny posłaniec nie zdradził choćby jednym słowem, o co chodzi?

Znowu pokręciłem przecząco głową; nie mogłem mu pomóc.

— Może ten kurier obserwował nas, śledził złodzieja i go ukarał, a pismo dawno już zostawił dla was w Otranto? — snułem głośno domysły.

— To nie ma sensu, Williamie.

Wydawało mi się, że w ten sposób sprawa została zamknięta. Nagle usłyszałem, jak Eliasz rozkazuje:

— Związać mu ręce na plecach!

Pomyślałem, że wybiła moja ostatnia godzina. Wyciągnięto mnie brutalnie z lektyki i zmuszono, bym wsiadł na konia. Zasłonięto mi także oczy.

Potem Eliasz wysłał naprzód jednego z Saracenów, aby nas zapowiedział, bo jak wyjaśnił, hrabina Otranto znana jest z tego, że najpierw strzela, a potem pyta: „Kto tam?”, jeśli do jej kasztelu zbliżają się ludzie, o których nic nie wie. On zaś zrezygnował z zabrania cesarskiego proporca, sam był odziany jak prosty ciężkozbrojny jeździec.

Domyśliłem się, że przekroczyliśmy okuty żelazem most z belek, potem powiedziano mi, wciąż na koniu, kamienną rampą w górę, po krótkiej wymianie zdań, jak mi się zdawało, po grecku, zdjęto mnie z wierzchowca i bardziej niosąc niż prowadząc, umieszczono w jakiejś komnacie.

Nim zamknęły się drzwi, ktoś rozwiązał mi ręce. Przepaskę z oczu zdjąłem sobie już sam. Znajdowałem się w dużej komnacie z widokiem na morze; przez zakratowane okno wpadały promienie słońca. Oprócz łóżka, stołka i stołu w izbie był jeszcze tylko kominek, poza tym nic.

Zbliżyłem się ostrożnie do drzwi: były z twardego dębowego drzewa i nie miały klamki. Podszedłem do okna i wcisnąłem nos między żelazne sztaby. W dole sprężystym krokiem szła przez ogród ku Eliaszowi wytworna kobieta o surowej smukłej postaci. Była to chyba owa sławna hrabina. Powitała go bardzo naturalnie, zapewne się znali, i w chwilę potem przedstawiła starszemu mężczyźnie, który nie mógł dotrzymać jej kroku. Szczupły, z pewnością już po siedemdziesiątce, ze śnieżnobiałą rozwichrzoną grzywą, która mu nadawała wygląd mędrca lub artysty.

Zniknęli mi z pola widzenia. Usiadłem na łóżku i zacząłem nasłuchiwać. Na zewnątrz, u stóp murów, grzmiały fale przyboju, uderzając o brzeg, którego nie mogłem dostrzec. Widziałem tylko pianę burzącej się wody, w nieregularnych odstępach wytryskującą w górę.

Nagle dywan przed moim łóżkiem drgnął. Williamie, masz przywidzenia!, pomyślałem. Mimo to instynktownie podciągnąłem nogi i przycupnąłem na łóżku, wpatrując się jak urzeczony w dywan, który teraz zaczął się wyraźnie fałdować.

Diabeł mnie dopadł! Uczyniłem znak krzyża i zamknąłem oczy. Coś skrzypnęło pode mną. Naciągnąłem derkę na głowę i leżałem zdrętwiały ze strachu; pot wystąpił mi na całym ciele, mimo okropnego skwaru trząsałem się z zimna. Zerknąłem ostrożnie spod przykrycia: dywan zniknął! I coś mnie uderzyło od spodu przez materac. Nadeszła moja ostatnia godzina! Eliasz przywiózł mnie tutaj, abym w tym kasztelu, nie widziany przez nikogo, zniknął na zawsze za sprawą jakiegoś wymyślnego mechanizmu! Święty

Franciszku, stój przy mnie w godzinie śmierci.

Diabły zaczęły ściągać ze mnie przykrycie. Były wszędzie, pasły się moją śmiertelną udręką. Nie odważyłem się obejrzeć, gdy derka całkiem opadła.

— To on! — rozległ się dziecięcy głos. Zły ukazuje się zazwyczaj w takiej postaci, jakiej dobry chrześcijanin nigdy by się nie spodziewał.

— Williamie! — usłyszałem i poczułem, że pchnięto mnie czymś ostro zakończonym w tył głowy. A więc byłem już w piekle. Teraz nastąpią dręczące tortury: kłucie rozżarzonymi gwoździami, wyrywanie pojedynczych włosów, potem obdzieranie ze skóry, oślepienie, wyrwanie języka, obcięcie nosa. Coś łaskotało mnie już w nozdrza. Wbrew woli otworzyłem oczy.

Przede mną na łóżku klęczała Jeza i machała źdźbłem trawy nad moją twarzą. Uśmiechnęła się do mnie uszczęśliwiona i zawołała:

— To naprawdę William! Możesz wyjść!

Spod łóżka wyrzała twarz małego Rosza, który wysunął się na plecach.

— Przytrzymaj pokrywę, bo spadnie mi na nogi.

Zerwałem się, odsunąłem łóżko na bok i przytrzymałem klapę w podłodze, póki Rosz nie wyszedł, potem zamknąłem ją ostrożnie. Jeza natychmiast przykryła tajne wejście dywanem.

Dzieci usiadły teraz na nim i wpatrywały się we mnie.

— Jesteś naszym więźniem — oznajmił Rosz. — Nie przejdiesz przez otwór, jesteś za gruby!

— Ale możemy go uwolnić — rzekła Jeza do chłopca.

Minał zaledwie rok, a moi zagubieni mali podopieczni przeobrazili się w pewne siebie osóbki.

— W jaki sposób? — spytałem.

— Najpierw obiecaj, że nas ze sobą zabierzesz! — postawił warunek Rosz.

— Dlaczego nie przywiozłeś mojej mamy? — zapytała Jeza. Odebrałem to jak skargę, zwłaszcza że nie mogłem powiedzieć jej prawdy, której się domyślałem. A przecież nie miałem nawet pojęcia, kim była jej matka, choć zakładałem, że należała do tych, co weszli w płomień na Camp des Crematz.

— Wasza mama jest... nie może teraz przyjechać, bo nie ma czasu — skłamałem.

— Ciągle to samo — powiedział Rosz zawiedziony. — Jej mama — wskazał brodą na Jezę — stale mi to mówiła.

— Nie jesteście dziećmi jednej matki? — Jakoś zawsze uważałem ich za rodzeństwo, postanowiłem zatem wykorzystać okazję, by wreszcie dowiedzieć się czegoś bliższego.

— Właściwie nie wiemy — odparła Jeza z namysłem. — Moja mama może być też jego mamą! — dorzuciła wspaniałomyślnie.

— Każda chciała być moją mamą — powiedział Rosz — dlatego myślę, że nie mam

w ogóle mamy.

— A ojciec? — spytałem głupio.

— Nie istnieje! — oznajmiła twardo Jeza.

— Naszym mamom nie był potrzebny! — Rosz ostatecznie zdecydował się na matkę.

— Była przecież wojna! — wyjaśniła mi Jeza, a Rosz zaczął z podnieceniem opisywać to, co z oblężenia Montségur pozostało mu w pamięci.

— Strzelali do nas takimi wielkimi... wielkimi...

— Kamieniami — uzupełniła Jeza. — Leciały z wiatrem albo spadały z nieba!

— Ach — rzekł Rosz wyrozumiale — to były katapulty. My też mieliśmy katapulty.

— To było niebezpieczne — upierała się przy swoim Jeza. — Trzeba było uważać, żeby nie trafiło w głowę jak tego... — Nie mogła sobie przypomnieć imienia.

— I co dalej? — pytałem z ciekawości. — Nikt was nie chronił? Twoja... wasza... matka?

— Ona nie miała czasu, bo się przygotowywała...

— Do czego? — dążyłem.

— Nie wiem. Potem położyli nas spać, a kiedyśmy się obudzili, byliśmy z tobą!

— Jak się dostałeś do Montségur? — zainteresował się Rosz.

— Zwyczajnie — zmyślałem. — W nocy nikt mnie przecież nie widział.

— I nikt do ciebie nie strzelał? — Rosz wyraźnie nie dowierzał.

— Była przecież wojna — poparła go Jeza.

— Skradałem się bardzo cicho.

Popatrzyli na mnie z powątpiewaniem i umilkli.

— No to stąd — odezwał się po chwili Rosz — też możesz nas zabrać. Nie chcemy tu być!

Zabrzmiało to tak stanowczo, że znalazłem się w kłopotcie nie wiedząc, co odpowiedzieć, aby ich nie rozczarować.

— Sam nie wiem, co zamierzają ze mną zrobić...

— Możesz podsłuchać.

Rosz wstał i skinął na mnie, żebym poszedł za nim. Pomyślałem najpierw, że chodzi o kominek, chłopiec jednak skierował się do najdalszego kąta obszernego pomieszczenia, gdzie ściana była wyraźnie zaokrąglona, co mi się wcześniej nie rzuciło w oczy. I sufit był wysklepiony, a w samym zenicie znajdował się otwór. Rosz pociągnął mnie dokładnie pod niego i nagle zupełnie wyraźnie usłyszałem głosy:

— ...przywożenie go tutaj, drogi Eliaszu, nie było konieczne!

To mówił chyba ów starzec, którego widziałem razem z hrabiną w ogrodzie.

Eliasz tymczasem zaczął się tłumaczyć:

— Nie chciałem w tak delikatnej materii sam podejmować decyzji, a wasze pismo,

drogi Turnbullu, niestety do mnie nie dotarło.

A zatem to pewne, jak dwa a dwa cztery, że człowiek nazwany „Turnbullem” był autorem Wielkiego Planu! Siedziałem tutaj bezradny, nad moją głową zaś gotowano spiszek przeciwko wszystkim bliskim mi światom.

— O ile mi wiadomo, szanowny Eliaszu... — tego głosu nie znałem; miał cudzoziemski akcent.

Jeza przyszła mi z pomocą.

— To muzułmanin — szepnęła. — W turbanie! Ma prawdziwy turban...

— Cicho bądź! — skarcił ją Rosz — bo nic nie zrozumiemy!

— ...uchodziliście wcześniej za generała zakonu, który nie robi zbyt wiele ceregie-li ze swymi współbraćmi. — Odchrząknął, a jego słowa stały się zimne i precyzyjne. — Przecież dla wszystkich wtajemniczonych w to przedsięwzięcie było od początku jasne, że kto mu zagraża, musi umrzeć! — Przerwał, czas jakiś panowało milczenie, po czym zaczął mówić dalej: — Ktokolwiek nowy dowiaduje się o naszych zamierzeniach, staje się niebezpieczny, dlatego należy go usunąć, i to bezzwłocznie!

O, biedny Williamie, pomyślałem, to dla ciebie wyrok śmierci. Gdybym nie był zaufałem Eliaszowi, mogłem nocą z Cortony łatwo wyrwać się w szeroki świat. Teraz było na to za późno. Miałem nadzieję na jedno chociaż słowo ze strony Eliasza, tymczasem zabrała głos hrabina.

— Za wiele oczu widziało jego przybycie. Nie powinien nagle zniknąć w Otranto, mogłoby nam to zaszkodzić. Niech stąd odejdzie, a rozprawimy się z nim w drodze, bez świadków... Byłabym wdzięczna za takie rozwiązanie.

— Wypadek w podróży — zgodził się natychmiast z hrabiną starzec. Eliasz poparł tę ratującą mnie tymczasem propozycję i dodał:

— Mógłby odwiedzić Castel del Monte, gdzie cesarz buduje właśnie zamek myśliwski, i spać tam z rusztowania.

— Dlaczego nie usunąć go w sposób jeszcze bardziej skomplikowany? — zadrwił zgryźliwie muzułmanin. — Czyżbyście nie wiedzieli, jak szybko i prosto pozbyć się zdrajcy? Zostawcie już mnie to zmartwienie, mam do tego swoich ludzi. Nie zabieram ich nigdy na próżno.

— Ale poza granicami moich posiadłości — nalegała hrabina z troską w głosie.

— Wasza znana gościnność, droga hrabino, w żadnym razie nie ucierpi.

— Chodźmy więc się posilić, panowie!

Usłyszałem zgodne pomrukiwanie i oddalające się kroki.

— Ojej, obiad! — powiedział Rosz. — My też musimy iść, bo zaczną nas szukać!

— A William nie dostanie jeść? — Jeza przynajmniej okazała zrozumienie dla moich cielesnych potrzeb, choć prawdę mówiąc zupełnie straciłem apetyt. Ostatni posiłek skazanka!

— Po jedzeniu każą nam zawsze iść do łóżek, ale potem jeszcze cię odwiedzimy!

Jeza odsunęła dywan, ja podniosłem klapę i dzieci wślizgnęły się do otworu, który dla mnie faktycznie był za wąski.

Przesunąłem łóżko na miejsce i położyłem się. Popatrzyłem na otwór w suficie i wydało mi się, że sycząc wypełza z niego wąż. Czemu nie? Wszak diabeł miał w tym wszystkim udział.

— *Apage satana!*\*

Zerwałem się, chwyciłem krzesło, aby roztrzaskać gada, kiedy jednak podszedłem do kąta, zjawa zniknęła.

Nasłuchiwałem. Oprócz szumu morza nic nie zakłócało spokoju. Podszedłem ostrożnie do drzwi i przycisnąłem do nich ucho. Cisza! Żadnego skrytobójcy. Mogą mnie przecież otruć. Chyba odmówię przyjmowania pokarmów. Umościłem się na łóżku. Mimo wszystko poczułem głód.

## QUÉRIBUS

*Langwedocja, jesień 1245*

— Tortury bez przesłuchania! To niegodne Świętej Inkwizycji!

Pachołek z biczem wzniesionym do uderzenia zatrzymał się ze zdziwieniem i kobieta wykorzystała sposobność, aby podnieść swego poranionego męża, który potknął się czy zemdłał i przez ostatnie metry był wleczony przez zamkniętą karetę. Pojazd przed chwilą stanął i kobieta po raz pierwszy zobaczyła inkwizytora, który z niego wysiadł.

Fulko z Procidy nie odpowiadał powszechnym wyobrażeniom o inkwizytorze. Przede wszystkim nie był dominikaninem, habit zdradzał cystersa. Mnich nie był też ani chudy, ani ascetyczny. W jego mięsistej twarzy, okolonej tłustymi, nastroszonymi kędziorami, nie płonął ogień świętego żaru; cechowała go grubiańska dobroduszość neapolitańskiego handlarza ryb.

Tych dwoje ludzi wyrwano z łóżka — mieli jeszcze na sobie nocne stroje, czego bardzo się wstydzili — wypędzono z chaty, bez wyjaśnień związano im ręce powrozem i przytroczono do karety. Mężczyzna jęczał; miał porozrywaną koszulę, a pokaleczone kolana i łokcie krwawiły.

Inkwizytor przyglądał się kobiecie. Jej białe piersi z błękitnymi żyłkami wychylały się z wycięcia koszuli, pod którą rysowały się bujne kształty bioder.

Fulko z Procidy rozejrzał się dookoła.

---

\* *Apage satana!* (łac.) — Idź precz, szatanie!



Znajdowali się w dzikiej górskiej okolicy, na porośniętej rzadko drzewami, nie zamieszkaną wyżynie. Tym większe zainteresowanie wzbudziła w nim murowana studnia z kołowrotem, widoczna nie opodal na skraju drogi. Nie zwrócił uwagi na sterczący w pobliżu donżon, który znającemu się na rzeczy zdradziłby warownię. Mury i skały w przepaścistej linii szczytów zlewały się w całość, tak że nawet fachowe oko z trudem już je odróżniało.

Fulko z Procidy myślał jednak o czym innym. Kazał żołnierzom podprowadzić więźniów do studni, sam zajął miejsce w otwartych drzwiach karety, dwu pisarzom zaś polecił, by usiedli wewnątrz, na ławkach, i przygotowali się do sporządzenia protokołu. Żołnierze otoczyli kręgiem miejsce widowiska, a pachołcy trzymali ofiary na powrozach, czekając na rozkazy swego pana.

— Oboje służyliście w kacerskim Montségur — zaczął inkwizytor, raczej stwierdzając niż pytając. — Należeliście do tych, którzy przy poddaniu twierdzy jednym „Ave Maria” wyłudziło życie i wolność...

— Jesteśmy chrześcijanami! — przerwał mu trwożliwie mężczyzna.

Mnich uśmiechnął się lekko.

— Wobec tego postarajcie się ulżyć mi w pracy, a swoim duszom przywrócić spokój. — Dopiero co przychylnie usposobiony, w następnej chwili nadał swemu głosowi ton uderzającej surowości. — Co to za dzieci w ostatniej godzinie uszły ramieniu sprawiedliwości? Jak je nazywano? Jak wyglądały? Co wam o nich wiadomo?

— Jakie dzieci? — zdziwił się mężczyzna.

Takiej właśnie odpowiedzi nie wolno mu było udzielić. Inkwizytor dał znak i pachołcy wepchnęli mężczyznę głową w dół do stojącego obok cembrowiny drewnianego wiadra, nogi przywiązali mu mocno do studziennej liny, po czym jęli opuszczać powoli ofiarę w głąb studni.

Mężczyzna nie wydał żadnego dźwięku, za to młoda kobieta o dużych białych piersiach i lnianych włosach zaczęła lamentować. Łzy trwogi wypełniły jej jasne oczy.

— Darujcie mu życie! — błagała. — On naprawdę nic nie wie, był prostym żołnierzem.

— A ty, kobieto? — kusił Fulko. — Byłabyś gotowa...

— Wyciągnijcie go! — krzyknęła przeraźliwie — a powiem wam wszystko...

Nie dokończyła, gdyż w tym momencie zza zakrętu drogi biegnącej wąwozem wypadli czterej rycerze.

— Do broni! — krzyknął kapitan.

Żołnierze inkwizytora porwali za kusze, składając się do strzału, lub nastawili włócznie. Dzięki bystrości dowódcy zasypali jeźdźców gradem strzał, tak że musieli zawrócić opancerzone konie i schronić się za załomem skalnym. Wtedy pod osłoną kuszników ruszyli do szturmowania włócznicy. Dotarłszy do wyjścia z wąwozu, poukrywali się za

skalami i po obu stronach drogi wparli w ziemię włócznie w kierunku grożącego niebezpieczeństwa.

Przestraszeni pachołcy puścili wyciągnięty do połowy kubeł, który runął w głąb studni, pociągnęli kobietę do karety, zatrzasnęli drzwi i zacięli konie. Ponieważ walka rozegrała się z przeciwnej strony, udało im się umknąć niepostrzeżenie w głąb doliny podskakującą na wybojach kareta.

Tymczasem na włóczników runęła z góry lawina kamieni, zmuszając ich do opuszczenia dogodnej pozycji.

— Tnij i kłuj! — ryknął potężny głos ze skały i rycerze ruszyli za cofającymi się włócznikami. Na czoło wysunął się czarnobrody jeździec o dzikiej postaci, który ze skały skoczył na koniu między uciekających.

— Ksakbert z Barbery! — wrzasnął przerażony kapitan. — Ratuj się, kto może!

Kusznicy nie mogli strzelać, aby nie razić własnych ludzi, a w walce wręcz dosiadający koni rycerze mieli zdecydowaną przewagę. Najpierw porąbali włócznie, potem włóczników i wreszcie przebili się do studni. Tam reszta żołnierzy inkwizytora zgromadziła się wokół kapitana.

Czterej jeźdźcy Apokalipsy okrążyli ich jak zażarte wilki zagubione stado owiec. Ilekroć któryś z żołnierzy próbował napiąć kuszę, padał z rozplataną mieczem czaszką lub odciętym wraz z bronią ramieniem.

Kiedy kapitan zobaczył, że jego ostatni ludzie zostali wycięci, i usłyszał, jak straszny Barbera ryknął: — Obetnę ci nos i uszy, papisto! — nie czekając wskoczył do studni.

## JASKINIA MURENY

*Otranto, jesień 1245*

Crean zdrzemnął się w hamaku. Obudziło go nie tyle łaskotanie w czoło, ile słodka-wy mocny zapach. Zerknął w górę i z trudem dostrzegł wieniec z białych lili, który delikatna ręka nałożyła mu na głowę.

Od razu pomyślał o Klarion — pewnie w ten sposób natrzęsała się z jego „czystości”. Już chciał podnieść rękę, aby ostrożnie zdjąć wianek, lecz zastygł w bezruchu.

Na jego piersi, tuż przy rozcięciu dzellaby, siedział skorpion.

Crean wstrzymał oddech. Oprzytomniały całkowicie, utkwiał wzrok w stworzeniu, starając się nie poruszać nawet oczyma. Patrzyli na siebie i Creanowi wydawało się, że sekundy płyną tak wolno, jak krople potu ściekające mu po szyi.

Dopiero po chwili zauważył, że wyprostowany ogon z trującym kolcem nie kołysze się, nie poruszały się także szczękoczułki: skorpion był martwy!

Stracił go z piersi. To mogły zrobić tylko dzieci!

Chciał wyjść z hamaka, lecz wylądował rękami na ziemi — przywiązano mu nogi! Nie ma nic gorszego niż być zaplątanym w sieć i bujać między niebem, które mocno trzyma, a ziemią, na której nie można postawić stóp. Śmieszne położenie! Jakby tego było mało, w obramowaniu balkonowego okna ukazała się twarz Klarion; dziewczyna popatrzyła na niego z politowaniem.

Nie chcąc niszczyć odzienia, mozolnie porozwijał niezliczone supełki, którymi nieznośne dzieciaki połączyły jego dzellabę z frędzlami hamaka. Wreszcie uwolniony, zamierzał pomachać ręką pięknej dziewczynie, ale ta dawno już zniknęła w głębi jadalnej sali.

Kanclerz nie zaprosił Creana do udziału w obiedzie, a ponieważ rycerzowi nie odpowiadało jedzenie z dziećmi w kuchni, ponadto nie chciał sprawiać przykrości staremu ojcu, który nie miał należytego zrozumienia dla bardzo surowego porządku rang w zakonie asasynów i obstawał przy swoim prawie, by widzieć syna siedzącego u swego boku, Crean udawał, że nie czuje głodu. Przechodząc przez kuchnię oparł się wszelkim pokusom, sprawił też zawód dzieciom, nie skarżąc się na splątany figiel. Dzieci sprawiały zresztą wrażenie dziwnie zamkniętych w sobie i nie przywitały go zwykłym wybuchem radości. Jedząc spokojnie zupę, spoglądały na siebie tak znacząco, jakby ujrzawszy go już wiedziały, jaki mu teraz cios zadadzą.

Crean nie włączył się do gry, przezwyciężył uczucie głodu i zatroszczył się o to, żeby Williamowi dostarczono do izby solidny posiłek.

Zastanawiał się przez chwilę, czy sam nie powinien mu go zanieść, porzucił jednak tę myśl, nie potrafiłby bowiem odpowiedzieć na pytania mnicha. Jeśli dobrze znał kanclerza, Williama można już było uznać za martwego. Ta świadomość sprawiała Creanowi przykrość, mimo że po złożeniu relacji z wypełnienia misji został ukarany przez Tariana trzema dniami milczenia za to, że nie zabił mnicha najpóźniej w Marsylii. Dlatego ten gruby pechowiec, kierując się swoim głupim węchem, znalazł się po raz drugi na drodze dzieci?

Crean powlókł się na dół do portu zewnętrzną krętą ścieżką, choć prowadziły tam niewidoczne dla oka bezpieczne schody wykute w skale. Nie spieszyło mu się wszakże, chciał odetchnąć zapachem dzikiej roślinności, która obrzeżała ścieżkę, obserwować umykające jaszczurki i wchłaniać w siebie jasne barwy krzewów, kamieni i morza.

Już na dole natknął się na Hamona, który jak zawsze usiłował zejść mu z drogi. Crean zapragnął jeszcze raz spróbować dotrzeć do tego dziwnego chłopaka, tym bardziej że barierę zazdrości, jaką Hamo uparcie się zastawiał, zazdrości z powodu Klarion, on zaczynał odczuwać jako śmieszna i uciążliwa.

— Popływajmy razem! — zaproponował dostrzegłszy, że Hamo ma za cały strój tylko ręcznik owinięty wokół bioder, ale chłopak odmówił.

— Kąpałem się już, nurkowałem aż do koralu, to mi na dzisiaj wystarczy.

Crean zrzucił dzellabę i zawstydził się swej białej skóry.

— A umiecie w ogóle pływać? — spytał kpiąco Hamo. — Nie będę was ratował, a w wodzie roi się od rekinów!

Crean zobaczył szeroki nóż, który chłopak miał przywiązany rzemieniem do nogi.

— Dlaczego miałbym się spodobać rekinowi, skoro nawet ty uważasz, że jestem tak odrażający? — odparł Crean i skoczył z nabrzeża do wody głową naprzód.

Popłynął w kierunku otwartego morza, nurkując od czasu do czasu, by się upewnić, czy w pobliżu nie ma rekina. Hamo nie przesadzał — duży ruch żeglowny wokół przylądka przyciągał drapieżne ryby.

— Hej, piękny cudzoziemcze!

Crean nie słyszał, jak łódź nadpływała, dopiero teraz zauważył obok siebie towarowy żaglowiec. Przy niskim relingu klęczała kobieta, spoglądając na niego z góry. Z powodu upału podciągnęła suknię, ale wrażenie większe niż gołe nogi wywarły na Creanie jej falujące obfite piersi.

Ingolinda zostawiła mu czas, aby się oswoił z tym widokiem. Jej pojazd stał na pokładzie, mocno przywiązany; opierało się o niego kilku marynarzy. Sądząc po minach i sprośnych gestach, jakie wykonywali spozierając na wypięty w ich stronę zadek Ingolindy, wyszli w czasie podróży na swoje.

Każda praca jest dobra, jeśli przynosi właściwą zapłatę. Ingolinda osiągnęła swój cel. Teraz pokazała Creanowi, który trzymał się mocno wanty, pognieciony portret Williama.

— Czy znajdę tego pana w zamku na górze? — zagruchała i ruchem piersi wskazała ponad głowę Creana kasztel.

— To, czy go znajdziecie — odpowiedział Crean z namysłem — zależy przede wszystkim od tego, czy pozwolą wam go szukać...

— Mam się zgłosić do hrabiny Otranto. Przywiozłam dla niej wiadomość...

— Może ja ją doręczę? — Crean nie wiedział, jaką rolę odgrywa kobieta w toczących się wydarzeniach, zorientował się natomiast, że gamoniowaty William pozostawił za sobą ślad! Tarik miał rację: ten mnich był w swojej głupocie nieobliczalny i przez to nadzwyczaj niebezpieczny!

— Oddam ją tylko hrabinie do rąk własnych. — Ingolinda wstała i wepchnęła portret Williama pod spódnicę. — Wiadomość za Williama! — oświadczyła oparłszy ręce na biodrach i spoglądając na Creana wyzywająco.

— Przybijcie do brzegu. Zobaczą, co da się zrobić.

Crean popłynął naprzód i wyszedł na skały. Hamo obserwował całą scenę.

— Schadzka z samotnie podróżującą damą — zakpił. — Moja matka ucieszy się, że zawrze z nią znajomość.

— W istocie — przyznał sucho Crean. — Bo to nie do mnie gość, lecz do hrabiny. Po-  
biegnij na górę i powiadom matkę, że nadeszła wiadomość dotycząca Eliaszewego mni-  
cha, którą osobiście musi odebrać.

— A dlaczego wy nie pójdziecie sami tego przekazać? — opierał się Hamo.  
— Naprawdę wierzycie, że matka przerwie obiad i przybiegnie na dół, aby takiej perso-  
nie złożyć uszanowanie?

— Jak sobie życzysz, młody człowieku! — odparł Crean. — Wobec tego zaprowadzę  
tę damę do jadalni, zaznaczając, że takie było twoje życzenie...

— Tego nie powiedziałem, panie z Bourivanu!

— Nie mogę zostawić cię sam na sam z taką personą — oznajmił Crean zimno.  
— Sprawa, o którą idzie, jest zbyt ważna.

— Właśnie! — przytaknęła Ingolinda, która tymczasem kazała marynarzom, by prze-  
nieśli ją na ład. Oglądała teraz z upodobaniem opalone na brąz nagie ciało Hamona.

Chłopak poczerwieniał. Nie dorósł do takiego spojrzenia, odwrócił się więc  
i spiesznie podążył do zamku.

— Nie powiedzieliście mi, panie, czy będę mogła zobaczyć mojego Williama. Jest  
chyba jeszcze u was? A może...

— Jest, oczywiście! — zapewnił Crean. — Nie mam tylko pewności, czy teraz przyj-  
muje. O tej porze przeważnie odbywa sjęstę.

— Powiedzcie mu tylko: Ingolinda z Metzu czeka w porcie. — Była bardzo pewna  
siebie i chodziła napuszona jak paw tam i z powrotem po nabrzeżu, chyba w nadziei, że  
wyśledzi ją oko ukochanego.

Crean narzucił już dzellabę i czekał milcząc. Było mu żal tej kobiety. Niewinna jak  
William, uwikłała się w sprawę, z której kanclerz nie wypuści jej żywej, chyba że się oka-  
że, iż nic o dzieciach nie wie. Ale nawet w takich wypadkach Tarik zwykł był mówić:  
„Lepiej za dużo ostrożności niż za mało”, i po stokroć miał rację. Należało się tego Wil-  
liama od razu pozbyć, wówczas nie byłoby nowego problemu, a Ingolinda z Metzu mo-  
głaby jeszcze długo cieszyć się życiem...

## FAŁSZYWY TROP

*Otranto, jesień 1245*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Obudziło mnie stukanie. Najpierw pomyślałem, że przyniesiono zatruty posiłek.  
Stale sobie obiecywałem nic nie jeść, ale za każdym razem dławiąc się przełykałem  
w końcu stawę i ciągle jeszcze żyłem. Tym razem jedzenie stało już jakiś czas na sto-

le, stukanie natomiast nie dochodziło od drzwi, lecz spode mnie. Zerwałem się z łóżka i pomogłem dzieciom wyjść przez klapę.

— Znowu nic nie zjadłeś! — powitała mnie Jeza wymówką, ledwie dostrzegła na stole nie tknięte wspaniałości: homara na zimno, cielęcinę bez kości z siekanymi oliwkami, przyprawioną ziołami, cebulą, oliwą i żółtkiem, przyrumieniony wiejski chleb pachnący czosnkiem i naszpikowany orzechami, owoce tutejszych kaktusów smażone w miodzie i marynowane z cytrusami, wszelkiego rodzaju pieczone łakocie oraz dwie karafki z winem, jedną z jasnym, wytrawnym, i drugą z ciemniejszym, prawie pomarańczowym, ciężkim i słodkim. Rosz chciał zaraz po coś sięgnąć w słusznym przekonaniu, że to o wiele za dużo dla jednej osoby, nawet tak żarłocznej jak ja, lecz wyrwałem mu z ręki pasztet z raków, bo mógł być zatruty. Rosza ogromnie to speszyło.

— Pozwól najpierw mnie skosztować! — próbowałem wyjaśnić swoje zachowanie.  
— Chcę być pewien, że tobie też przypadnie do smaku.

— Możesz sobie sam wszystko zjeść! — powiedział urażony.

— Nie bądź taki łakomy — przyszła mi z pomocą Jeza. — William czeka przecież zawsze, żeby wszystko wystygło, bo wtedy dopiero naprawdę mu smakuje.

— Nie jestem głodny! — oświadczył Rosz i zmienił temat. — Przyjechała jakaś pani i pytała o ciebie, Williamie. — Długo czekałem na ciąg dalszy. — Hrabina była bardzo zła, nazwała ją kortizoną czy jakoś tak i spotkała się z nią w stajniach... Wiesz, to te wielkie piwnice pod zamkiem, gdzie trzyma się też paszę dla koni...

Nie wiedziałem tego naturalnie, wyraziłem jednak głośno swoje przypuszczenie:

— Tam można się dostać prosto z morza, nie trzeba przechodzić przez zamek, prawda?

— Tak — potwierdził gorliwie Rosz. — Tam jest nawet pochylnia na zboże i inne jedzenie. Po niej wszystko zjeżdża prosto na statek...

— Jeśli jakiś jest! — zauważyła Jeza. — Wątpię, żeby ta dama wdrapywała się po pochylni.

— Pewno, że nie! Weszła po schodach. Są zaraz obok, ale nikt o nich nie wie.

— A kim jest ta kobieta? — naciskałem, nie mając pojęcia, o kogo mogłoby chodzić.  
— Widzieliście ją?

— Nie — odparła Jeza — bo staliśmy za ścianą. Ale hrabina była wściekła i nakrzyczała na Bombolona, że cię tutaj przywiózł...

— Bo wiesz? Oni cię nie cierpią — dorzucił Rosz, nie wyjaśniając, czy podziela to stanowisko, czy też już mi wybaczył małostkowe skąpstwo.

— Ale my cię lubimy, Williamie! — zapewniła Jeza.

Tymczasem Rosz skierował się znów do kąta mojej komnaty, lecz z otworu nie dochodziły żadne głosy.

— To jest ucho boga Nosa — objaśniła mnie Jeza.

— Raczej jego dziurka od nosa — zażartowałem.

— Wcale nie — sprzeciwiła się. — Zygisbert powiedział: ucho Dio Nosa, wiesz, takiego bóstwa, które myśli o tych, co kichają!

Byłem poruszony.

— Skoro Zygisbert tak powiedział... — zgodziłem się. Były to przecież pogańskie dzieci, a tutaj, u hrabiny, z pewnością nie kapano ich w święconej wodzie.

— Wiesz, że Crean jest jeszcze tutaj? — wtrącił się znowu Rosz. — Ale nie wolno mu przebywać ze wszystkimi w sali na górze, musi czekać przed drzwiami! — rzekł dumny ze swych wiadomości, z którymi ja nie miałem co począć.

— Kim jest ten stary pan? — spytałem.

— Przyplłynął z tym muzułmaninem naszym statkiem, którym odpłynęli Zygisbert i Czerwony Sokół.

— A kto to jest Czerwony Sokół?

— To Konstancjusz. Tak się nazywa tam u siebie, gdzie mieszka — wyjaśnił mi Rosz.

— A ten stary pan to ojciec Creana, ale żeby nikt się nie dowiedział, Crean mówi do niego „Janie”.

— I z kim on przybył?

— No z tym miłym panem w turbanie! — Jeza się zniecierpliwiła, że tak trudno mi pojąć, kto jest kim.

— A kimże jest ta kobieta, która o mnie pytała?

W tym momencie rozległy się nad nami kroki i głosy:

— ...przysłała mi ktoś sprzedajną dziewczkę, a ta wręcza mi portret waszego mnicha, Eliaszu. — Hrabina musiała drzeć z oburzenia. — Ponadto chce ten portret mieć z powrotem, właściwie chce tego Williama. A na portrecie u dołu znajduje się rzekomo jakaś ważna wiadomość. Popatrzcie!

— To po grecku! — Eliasz zaczął tłumaczyć: — „Wielka nierządnicą Babilonu...”

— Co za bezczelność!... — przerwała mu hrabina.

Po chwili Eliasz czytał dalej:

— „...szuka ojca dwojga dzieci. Wie, że przebywa on u was.”

W sali na górze zapadło milczenie.

— Należy i ladacnicę, i mnicha przywiązać do młyńskiego kamienia i wrzucić do morza! — To odezwał się ten miły muzułmanin.

— Autor tego tekstu — włączył się Eliasz — pisząc o wielkiej nierządniczy Babilonu, nie miał na myśli właścicielki portretu, lecz kurię rzymską — wyjaśnił. — Z jej strony grozi nam niebezpieczeństwo. Natomiast słowa: „ojciec dwojga dzieci” dotyczą Williama jako jedyne go znanego Kościołowi ich opiekuna. Kuria wie, że William jest w Otranto.

Ponownie zapadło milczenie, potem znów zabrał głos muzułmanin:

— Od kogo ta kobieta otrzymała portret i wiadomość?

— Od mnicha, franciszkanina o kędzierzawej głowie, którego podobno ukryła przed papieskim zbirem — uzupełniła hrabina swą relację.

Eliasz zastanawiał się chwilę.

— Tu może chodzić tylko o jedną osobę: o mojego człowieka z zamku Świętego Anioła, Wawrzyńca z Orty. Miał jechać do Lyonu, do papieża.

— I to ma być zaufany człowiek? Nie do wiary! — szydził muzułmanin.

— Pewno chciał mnie ostrzec, ale już nas nie zastał. — Eliasz nie bronił się, jego zachowanie było wyraźnie oceniane przez innych jako głupie. Mógł mnie przecież wysłać na pustynię czy uwięzić w Cortonie, jeśli już nie potrafił polecić Gersendzie, by mnie po prostu otrula. — Wawrzyniec nie miał czasu — ciągnął Eliasz — w dodatku był ścigany, wybrał więc dla przekazania wiadomości mądrą i nie budzącą podejrzeń markie-tankę, która, jak Bóg czasami zrząda, zakochała się w tym nieszczęsnym Williamie. Jak ona się nazywa?

— Ingeliza, Ilzelinda lub jakoś podobnie. Niemka — dorzuciła lekceważąco hrabi-na. — Z Merzu.

Strach przeniknął mi członki! Potem jednak pomyślałem: co za radosna niespo-dzianka! W moim położeniu ta kobieta mogła mi tylko być pomocna, mogła mnie oca-lić. Niewykluczone jednak, że zginiemy oboje...

## ŚLEPA SZTOLNIA

*Langwedocja, jesień 1245*

Bliski kontakt ze skąpo odzianą kobietą — miała przecież na sobie tylko cienką mu-ślinową koszulę, kiedy leżała na nim podczas tej szaleńczej jazdy uciekającej z łoskotem karety — niemal pozbawił inkwizytora zmysłów. W każdym razie nakazanego przez Kościół zmysłu wstrzemięźliwości. Kobieta miała związane ręce, pacholcy zaś wepchnę-li ją tak do powozu, że jej dłonie trafiły na krocze mnicha i teraz poruszały się w rytm gwałtownego kołysania. Inkwizytor choć modlił się i przeklinał, czuł mimo woli, że jego męskość rośnie w rękach uwięzionej. Jej białe piersi przywarły do pozbawionej zarostu twarzy, toteż Fulko zacisnął wargi, aby przynajmniej język nie zaznał rozkoszy, która już stała się udziałem jego nozdrzy i zamkniętych w popłochu oczu.

Kiedy gwałtowne podskoki ustały i kareta potoczyła się spokojniej, Fulko wiedział, że bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło. Lubieżność zaczęła ustępować powoli z jego członków, potem także z głowy.

W półmroku pojazdu wygrzebał się spod kobiety i sapnął ze złością ujrawszy, że leży nadal bez ruchu, jak omdlała po płomiennym przeżyciu, w którym on brał udział,



aczkolwiek go nie zakosztował. Błękitnie żyłkowane piersi drżały, gdy cicho płakała, cudowna niczym Madonna, jasne oczy w twarzy otoczonej lnianymi warkoczami dopiero teraz nabrały wyrazu. Poczul nieodparte pragnienie, aby delikatnie przesunąć jej koszulę w górę, odsłonić pośladki i wziąć ją *a tergo*, byle tylko nie patrzeć w te przejrzyste oczy, które spoglądały na niego ze strachem i tęsknotą, ba, z tak piekielną uległością.

Kareta stanęła i inkwizytor rzucił się do okna.

— *Le Trou des Tipliès!* — oznajmił woźnica i wskazał na las, gdzie wznosiły się posępne niebieskoczarne bazaltowe mury. — Kasztel templariuszy, niezbyt słynący z gościnności.

— Nie mamy wyboru — odparł inkwizytor — oni zaś nie mogą odmówić schronienia człowiekowi papieża.

Kareta poturkotała więc w kierunku warowni, której gładkie mury w miarę zbliżania się wystrzeliwały coraz bardziej w górę na przejmującą zgrozą wysokość. Nie było widać ani blanków, ani wież, tylko lekko ścięty sześcian, który tkwił między jodłami, jakby go wcisnęła w ziemię pięść giganta. Huczący w wąwozie potok wymusił przerzucenie zwodzonego mostu, a znajdująca się w głębi brama nie pozwalała niepożądanym gościom zajrzeć do wnętrza.

Zaledwie pojazd inkwizytora przejechał most i wtoczył się w bramę, opadła za nim żelazna krata, most podniesiono i przybysze zostali uwięzieni w ciemnej kamiennej komorze. Z otworu strzelniczego dobiegło zwięzłe pytanie, czego sobie życzą.

Inkwizytor mimo narastającego gniewu zachował spokój.

— Sługa kurii rzymskiej w specjalnej misji... — Spytał o nazwę zamku i jego kasztelana, dodał, że inkwizytor Fulko z Procidy prosi o schronienie i opiekę na jedną noc.

Głos furtiana pozostał niewzruszony.

— Zamek nie ma nazwy i właściwie nie jest zamkiem. Możemy wam zapewnić bezpieczeństwo, ale nie nocleg. Nie dostaniecie nawet siana czy słomy.

— Niech tak będzie! — warknął inkwizytor, dla którego stało się jasne, że komendant twierdzy również nie złoży mu uszanowania.

Ze szczękiem podniosła się wewnętrzna krata, brama się rozwarła i wypuściła karety z ciasnego więzienia na zamkowy podwórzec.

Był to pusty kwadrat, żadne schody nie prowadziły na koronę murów, tylko po przeciwległej stronie dziedzińca, która przylegała do skalnej ściany, znajdowało się kilka zamkniętych bram wystarczająco dużych, by przepuścić pojazd, a wysoko w murze widniały podobne do okien otwory.

Dwaj sierżanci z czerwonymi krzyżami na czarnych płaszczach podeszli do karety.

— Wjedźcie przez czwartą bramę Apokalipsy, przetniecie grotę Apokryfu Ewangelii, potem skręćcie na lewo w drugą sztolnię Nierządnicy Babilonu, potem w pierwszą w prawo i znajdziecie się w katedrze Wielkiego Zwierza. Tam możecie ułożyć się na spo-

czynek z takimi wygodami, jakie zapewnia wam ekwipunek. Jutro o szóstej rano musicie opuścić twierdzę.

— Dziękuję wam z całego serca... — zaczął inkwizytor, ale młodszy z sierżantów przerwał mu tę podniosłą mowę.

— Oszczędźcie sobie podziękowań, zamiast tego zważajcie na wskazówki!

— Jeśli zboczyte z drogi — dorzucił starszy ostro — liczcie się z przykrościami. Dobrej nocy!

Zgrzytając zębami inkwizytor dał znak woźnicy, by ruszał, w nadziei, że pacholek zapamiętał drogę. Niewidzialna ręka otworzyła czwartą bramę i kareta wtoczyła się do podziemnego świata.

Podczas gdy na dworze panowało dokuczliwe zimno, wewnątrz góry wypełniało łagodne powietrze. Ciepłe światło wielu lampek oliwnych, które płonęły umieszczone w załomach skał, przemieniało jaskinie w czarodziejskie królestwo. Raz zwężyły się one do wąskich przejść, potem otwierały przed gośćmi niczym olbrzymie sale. Leżące w nich jeziora odbijały przepych zwisających stalaktytów, z wody zaś wyrastały osobliwe struktury stalagmitów.

Dotarli do katedry Wielkiego Zwierza. Była to grota wysoka jak kościelna nawa, z kolumnami i filarami oraz ołtarzem przerażającego bóstwa: ustawionym w głębi na podwyższeniu posągiem barana podobnego sfinksowi. Wrażenie było tym niesamowitsze, że wzmocnione przez grę światła. Fulko uczynił znak krzyża, gdy dostrzegł to wszystko, wysiadając z karety.

Następnie kazał pacholkom wyciągnąć kobietę z pojazdu i przywiązać do przedniego i tylnego koła, tak że najmniejszy ruch koni musiał szarpać jej ciałem.

— Prowadźmy dalej przykre przesłuchanie — powiedział ochrypłym głosem, pozycja bowiem, w jakiej przywiązano kobietę, uwypukliła jeszcze mocniej jej bujne kształty, a migotliwe światło pobudziło imaginację inkwizytora. Delikatna twarz z jasnymi oczyma kusila, uwodzicielsko obiecująca. Czyż te błyszczące wargi nie wabią? Nie obiecują nagrody?... — A więc twój mąż nic nie wiedział i nie chciał mówić dostatecznie szybko — szydził Fulko z rozkoszą. — A ty, Alfio z Cucugnanu, wiesz dużo i aż palisz się, żeby mi to powiedzieć, prawda?

Na wspomnienie śmierci męża kobieta znowu zaczęła płakać, lecz jej łzy tylko podnieciły inkwizytora. Skinął na woźnicę, ten cmoknął na konie, kareta ruszyła i koła prawie wyłamały kobiecie jedną rękę w barku, pociągając drugą w dół. Ramiączka koszuli pękły, ukazały się pełne piersi, a kiedy koła wróciły na poprzednie miejsce, koszula zsunęła się powoli na biodra, odsłaniając krągły brzuch, a potem kędzierzawo-złote łono. Runo na nim nie było na tyle gęste, by okryć wewnątrz przyrodzenia przed wybałuszonymi oczyma inkwizytora i jego pacholeków.

Kobieta zacisnęła rozpaczliwie uda, zaczęła gwałtownie oddychać, drżały jej piersi.

— Ja... ja byłam mamką tych dzieci! — wyrzuciła z siebie. — Leżały przy moich piersiach, piły moje mleko — krzyknęła do swych prześladowców. — Co chcecie jeszcze wiedzieć?

— Kto był ich matką? — Fulko dyszał podniecony.

Nie zważając na obecność pachołków chciał do niej podejść, wygrzebać spod habitu swoje sztywne szydło i wbić je w tę złotą płeć, która poruszając się przed nim, jakby mu się sama ofiarowywała. Inkwizytor powściągnął jednak chuć.

— Matka! — wrzasnął.

— Córka... — wystękała kobieta i przerwała, ponieważ niepostrzeżenie pojawił się za oprawcami templariusz i położywszy palec na ustach, dał jej znak, by milczała. Uśmiechnął się do niej pocieszająco, jakby chciał ją powiadomić, że jej bieda wkrótce się skończy.

Inkwizytor odwrócił się i wlepił oczy w złoto, w nie obrobione kawałki lśniącego złoto-kruszcza, które templariusz niósł niedbale w płaskim koszyku.

— Nie przeszkadzajcie sobie w wykonywaniu obowiązków! — mruknął templariusz i zamierzał pospieszyć dalej.

— Skąd to macie? — zatrzymał go Fulko.

— Ach — powiedział sierzant — kilka sztolni dalej spada ze ścian, ledwie nadążamy zbierać. Wiecie, jakie ciężkie jest *aurum purum*!\* — I odszedł spokojnie swoją drogą.

Inkwizytor był zbity z tropu.

— Czyja córka? — pytał dalej, ale kobieta milczała i tylko płakała coraz głośniej. — Kasztelana? — drążył w przekonaniu, że perswazją osiągnie więcej niż torturami. — Esklarmonda z Perelhi? — Szlochając skinęła głową. — Czy oboje są jej dziećmi? Czy to bliźnięta? — Kobieta uśmiechnęła się, jakby ją spotkało szczęście podwójnego macierzyństwa. — A kto jest ojcem i jak się te dzieci nazywają? — badał wytrwale Fulko.

— O tym się nigdy nie mówiło — szepnęła. — Esklarmonda zachowywała się tak, jakby dzieci nie miały ojca...

— Anioł Pański zwiastował... — zadrwił inkwizytor. — Tylko że dziewicze poczęcie jest przywilejem Maryi i Kościoła. A więc mów, kto chędożył tę kacerkę!

— Nie wiem — wyszeptała czerwieniąc się. — W Montségur nie było takiego — dodała — wyczułabym to...

Inkwizytora naszła znowu pokusa, by dalsze przepytывanie pozostawić swemu instrumentowi; ten wytłoczyłby już z niej prawdę.

Do katedry wszedł inny templariusz, z jeszcze większym koszem, w którym pośród złota lśniły także szlachetne kamienie, krwistoczerwony okruch rubinu o wspaniałej sile światła, szmaragdowa druzna świeżo odłupana ze skały i krystalicznie czyste diamenty,

---

\* *Aurum purum* (łac.) — czyste złoto.

zbite w bryły niespotykanej wielkości. Inkwizytorowi oczy omal nie wyszły z orbit; gapił się za sierżantem, który z trudem taszczył ciężar i po chwili znikł w jakimś chodniku.

— Skąd? — charczał. — Nazwiska! — krzyknął zniecierpliwiony. — Wymień nazwiska, niewiasto! Albo..

Kobieta uśmiechnęła się przez łzy.

— Roger Rajmund Bertrand i Izabela Konstancja Rajmunda! — powiedziała z dumą.

Wtedy wrócił pierwszy templariusz i rzekł jakby mimochodem:

— Jeśli chcecie, pokażę wam jaskinię, gdzie wydobywamy kruszec. — Wyczuwszy wstrzymywaną, a zarazem pożądaną zgodę, ciągnął zachęcająco: — Zabierzcie karetę, wasza dostojność, bo trudno wam będzie to przynieść. Tyle tego jest — szepnął — że nawet się nie zauważy, jeśli sobie na pamiętkę... — Uśmiechnął się kusząco. — Pokażę wam drogę. Chodźmy!

Kobietę szybko odwiązano, inkwizytor narzucił na nią płaszcz i ruszyli pieszo za kareta.

Sierżant prowadził ich przez plataninę korytarzy i jaskiń drogą, której sami nigdy by nie odnaleźli. Korytarz robił się coraz węższy i niższy, grube dębowe bale, podparte po obu stronach drewnianymi stemplami, chroniły strop przed zawaleniem. „Zbliżamy się do celu”, pomyślał radośnie Fulko. Jego żądza złota wzrastała, pachołcy także parli naprzód chwytając za szprychy kół, by pomóc koniom, gdy karetą opornie przejeżdżała przez jakieś rumowisko.

W końcu ciemna sztolnia doprowadziła ich do małej groty. Paliło się tu jedynie kilka oliwnych lamp umieszczonych w skale, jednakże w ich świetle tu i ówdzie błyskała bryłka złota bądź szlachetny kryształ. Pachołcy zaczęli gorączkowo przeszukiwać żwirowisko.

Inkwizytor chciał się do nich przyłączyć, gdy jego wzrok padł na kobietę. Spostrzegł, że rozchylający się płaszcz odsłonił jej nagie uda. Fulko podszedł do niej.

Pozwoliła się zaprowadzić do pojazdu, pierwsza wślizgnęła się do wnętrza, położyła na wznak i rozchyliła nogi. Ręce miała nadal związane. Fulko uniósł habit, opuścił spodnie, ale wygrzebał z nich całkiem obwisły członek.

— *Vasama la uallera!* — zaklął po neapolitańsku, rozwścieczony na zawodny instrument.

Głowa Alfii, obramowana rozluźnionymi warkoczami, spoczywała na podłodze pojazdu. Zły inkwizytor unikał spojrzenia kobiecie prosto w twarz, w przeciwnym razie może by zauważył, jak zimno i okrutnie patrzyły nań jej błyszczące oczy. Usłużnie wyciągnęła do niego ręce, a on nerwowo uwolnił je z więzów.

Sięgnęła nieśmiało po jego męskość, którą trzymał w zaciśniętej pięści. Wysunęła się z karety, opuściła przed nim na kolana i pochyliła do przodu. Widział z góry tylko jasne

włosy, ale głos dotarł wyraźnie do jego uszu:

— Okłamałam cię.

— Pospiesz się! — parsknął, Alfia jednak zwlekała.

— Roger i Izabela nie są bliźniętami. Na krótko przed położeniem Esklarmondy, o czym w Montségur wiedział każdy, przywieziono do zamku w największej tajemnicy pannę szlachetnego rodu bliską rozwiązania. Medycy przy pomocy pewnej mądrej kobiety urządzili wszystko tak, że obie urodziły jednocześnie.

Fulko z zadowoleniem poczuł, że opór Alfii, jeśli w ogóle kiedyś istniał, maleje. Przyciskał do niej coraz natarczywiej swoje przyrodzenie, aż wreszcie jego sflaczały korzeń natknął się na jej zęby.

— Mówić dalej? — spytała.

Inkwizytor pełen wątpliwości miotał się teraz między lubieżnością, wściekłością i grzechem, między surowym wypełnianiem obowiązku i straconym czasem. Ileż złota mógłby już zgarnąć!

Alfia oszczędziła mu podejmowania decyzji.

— Esklarmonda wydała na świat córkę, a koło niej położono w kołysce noworodka tej drugiej, chłopczyka. Gdy...

— Ekscelencjo! — zawołał cicho woźnica; wstydził się przeszkadzać dostojnemu panu w pełnieniu jego urzędu. — Ta sztolnia jest ślepa, nie ma stąd wyjścia, a templariusz nie wrócił...

— Poszukaj go! — jęknął inkwizytor, sam już nie wiedząc, która tajemnica powinna być w tej chwili najważniejsza: rodowód dzieci, pochodzenie złota czy spełnienie w łonie tej kobiety.

— *La uallera!* — ryknął, chwycił Alfie za włosy, odchylił jej głowę do tyłu i wepchnął jądra do jej rozwartych z przerażenia ust. Poczuł drgania języka i zamknął oczy. Ręce kobiety prześlizgnęły się po nim w górę, przyciągnęły jego głowę, palce głaszcząc obmacywały mu skronie. Poczuł, jak jego żądło nabrzmiewa krwią i twardnieje.

— Dalej! — wrzasnął.

Alfia nagle zacisnęła zęby, wgryzła się w nabrzmiałe jądra, tnąc je i miażdżąc, równocześnie ręce przesunęła ku jego twarzy, palce wczepiła w mięsiste policzki, a kciuki wbiła w oczy.

Krzyk inkwizytora przeszedł w gardłowe charczenie. Machał rękoma jak cepami, nie wiedział, czy ma nimi sięgnąć między nogi, czy też przycisnąć je do krwawiących oczodołów. Kobieta pchnęła go na rumowisko. Upadł na wznak i zwijał się, rżąc z bólu.

Alfia wypluła krew i przeskoczyła przez niego, kierując się ku wyjściu. Nim któryś z przerażonych pacholców zdążył ją przytrzymać, wypadła z groty, jak oszalała przemknęła obok dwu sierżantów, którzy uderzeniem ciężkich młotów wybili stemple przy wejściu do sztolni. Gdy z głuchym stęknieniem upadły słupy, najpierw zatrzęszczało bel-

kowanie stropu, a potem z trzaskiem runęła kamienna lawina.

Fulko z Procidy i jego pachołcy zostali zasypani w grocie razem z karetą i końmi. Nie wydobył się już stamtąd żaden dźwięk. Inkwizytor zginął od razu — kamień roztrzaskał mu czaszkę. Pachołcy skończyli żywot w ciemnej jaskini dopiero po upływie wielu dni, a nawet tygodni, gdy końskie mięso zaczęło gnić.

## BABSKIE HISTORIE

### *Otranto, jesień 1245*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Jęczyzek małego gekona wyskoczył do przodu po dokładnie wyliczonym torze i owinął muchę w momencie, gdy zamierzała odfrunąć.

Muchy odpoczywały na świeżo wybielonej ścianie, przy niej bowiem na podłodze stały prawie do czysta wyjedzone miseczki z mocno pachnącymi resztkami zsiadłego mleka z miodem i słodkim sokiem wyciśniętym z fig. Naczynia postawiły dzieci, aby sprawić przyjemność gekonowi. Upłynęło trochę czasu, nim płochliwe zwierzę przyjęło zaproszenie, a Jeza zrezygnowała z chęci pogłaskania go. Rosz leżał na podłodze na brzuchu i przeganiał muchy na ścianę. Oboje czekali w napięciu, czy cierpliwość gekona wywiedzie w pole głupią ruchliwość much.

Ja zaś przesunąłem stołek pod ucho „boga Nosa” i robiło mi się coraz lżej na sercu z powodu tego, co mówiono na górze, ale też cieszyłem się, że do dzieci nie dociera nic z tego, co ja słyszałem.

— Coś mi się zdaje — zabrał głos Jan, ten starzec — że potrzebny nam jest teraz żywy William z Roebruku. Jedyne niebezpieczeństwo, któremu należy zapobiec, to złaknieni krwi siepacze antychrysta. Musimy ich trzymać od dzieci z daleka. Być może oprawcy papieża stoją już pod drzwiami, być może skrytobójcy wtargnęli nawet do środka. *Sang réal* musi natychmiast... — Drżący głos starca załamał się ze zdenerwowania.

— Uspokójcie się, czcigodny mistrzu — przerwał mu Elias. — Na razie nie ma niebezpieczeństwa, Otranto jest miejscem pewnym...

— I wewnątrz, i z zewnątrz — pospieszyła z zapewnieniem hrabina. — Moi ludzie są mi całkowicie oddani, daliby się za mnie posiekać na kawałki! I posiekają każdego zdrajcę!

— Sytuacja jest poważna — podsumował chłodno muzułmanin. — Nie chcę teraz dociekać, kto w jakim stopniu zawinił, ale miejsce pobytu dzieci przestało być tajemnicą.

— Muszą się natychmiast znaleźć w bezpiecznym miejscu! — krzyczał stary Jan.

— Wy, panie, jako kanclerz asasynów, którzy przysięgali na świętą krew ocalenie tych dwojga...

— *Venerabile maestro*\* — przerwał mu wyrozumiale zagadnięty — nie dokładajmy nowych błędów do już popełnionych. Ten William powinien opuścić Otranto żywy, i to z dziećmi. Ale czy to muszą być te dzieci? Kto je zna? Tylko my. Z pewnością da się wyszukać chłopca i dziewczynkę mniej więcej tej samej postawy i podobnego wieku. Wyślę natychmiast moich ludzi...

— Zaraz! — przerwała hrabina. — Cenię, panie kanclerzu, waszą pomysłowość i zdecydowanie, ale niepotrzebnie narobiliście w Otranto zamieszania, gdybyście stąd jak piraci porwali dzieci. Ludzie by mnie przeklęli, a co ważniejsze, poszłyby w ruch języki i zaczęłaby się niepotrzebna gadanina. I w końcu cały wysiłek poszedłby na marne... — Nie zastanawiała się długo. — Utrzymuję tu przy porcie dobroczynnie przytułek dla sierot, tam możemy spokojnie poszukać. Po bezimiennych robaczkach nie zapieje żaden kogut, poza tym o dwie gęby będzie mniej do żywienia!

— Ach, Laurencjo — zaseplenił Elias — czym bylibyśmy bez waszej dzielności?

— Tym, czym jesteście, panie Eliasz: słabym człowiekiem!

— W takim razie, hrabino — kanclerz zażegnał rodzący się konflikt — podajcie mi swoje silne ramię i poprowadźcie mnie do swych piskląt. Nie mamy czasu do stracenia!

Dźwięk oddalających się kroków spowodował, iż nie usłyszeliśmy, że ktoś wszedł do mojej komnaty. Jakiś młody człowiek.

— To Hamo — oznajmił Rosz. — Syn ciotki Laurencji.

Gość stał koło nas milcząc. Jak długo już słuchał wspólnie z nami? Dzieci były dosyć wzburzone, widać doszło do nich coś z tego, co rozlegało się z ucha ich „nosowego bóstwa”.

— Mamy wyjechać z Otranto? — spytała podniecona Jeza. — Słyszałeś?

Rosz wydawał się coś rozważać.

— Chcą się nas pozbyć!... — Zastanawiał się dalej intensywnie. — Całe szczęście, że William pożegluje z nami!

— Ale statek jeszcze nie przypłynął — ośmieliła się zauważyć Jeza.

— Co tam! Zabiorą statek tej pani, której tak nie lubią. Zakład?

— Myślę — Hamo zrobił na mnie wrażenie bardzo dojrzałego — że powinniście teraz stąd zniknąć. Będą was szukać i lepiej, żeby nie znaleźli u Williama. Jakżeście się tu w ogóle dostali?

— Drzwiami, panie, tak jak wy! — wtrąciłem szybko i od razu też poparłem jego sugestię. — Rzeczywiście — zwróciłem się do dzieci — będzie lepiej, jak teraz odejdziecie.

---

\* *Venerabile maestro* (wł.) — Czcigodny mistrzu.

— Widząc ich zawód, dodałem pocieszająco: — Mamy przecież przed sobą wesołą podróż i będziemy codziennie razem.

To nastroiło dzieci pogodniej, tak że wybiegły przez drzwi, które Hamo zostawił otwarte.

— Ty też możesz uciec, bracie Williamie — zaproponował mi poważnie. — Jeszcze możesz.

Jednakże ja nie myślałem o ucieczce. Czułem się za dzieci odpowiedzialny, skoro teraz tytułowano mnie ich „ojcem”. Byłem zresztą raczej namiastką ich matki, przynajmniej sam tak to odczuwałem.

— Dlaczego, młody panie, okazujecie tyle łaskowości człowiekowi niegodnemu? — spytałem ostrożnie.

— Nienawidzę tego, jak się tam na górze igra z losem. Posłuchaj dalej!

Jan i Elias, którzy wrócili do sali, prowadzili rozmowę w zasięgu naszego „ucha”.

— Oddam do dyspozycji moich żołnierzy i proponujemy Tarikowi, żeby wyznaczył Creana na dowódcę — przedstawiał Bombarone swój plan. — Grupa z Williamem i dziećmi, tymi podstawionymi, powinna w sposób jak najbardziej rzucający się w oczy zmierzać na północ, i to tuż przy granicach Państwa Kościelnego, ale nie na tyle blisko, by ich napadnięto i uwięziono. Ponieważ naszych marionetek nie może nikt z bliska zobaczyć, należy rozsiewać tylko wieść o ich wędrówce tak, żeby dotarła aż do zamku Świętego Anioła, do papieża...!

— Wspaniała myśl, drogi Bombarone — skrzeknął Jan — tak wspaniała, że zadaję sobie pytanie, dlaczego od razu nie wpadliście na to. Gdybyście Williama prosto z Cortony wysłali do piekła albo do Mongołów...

— Czcigodny mistrzu — Elias był wyraźnie speszony — czy mogłem wypuścić Williama bez waszego zezwolenia? A w Cortonie nie mógł zostać. Jak wiadomo, papiescy osmielają się tam tańczyć jak myszy na stole...

— Ledwie czarny kocur Elias wyniesie się z domu! — Stary Jan nie tracił humoru.

— Czyż mogłem nie być posłuszny? Wasza *preces armatae*\* była dla mnie rozkazem, wezwaliście mnie tutaj mocą swego urzędu w imieniu zakonu, któremu obaj służymy. Rozważyłem wszystko i uczyniłem to wedle mej najlepszej wiedzy i sumienia! Wybaczcie mi!

— Przeorat Syjonu nie wybacza błędów, nasz pakt z asasynami tego zabrania. Ale... — stary Jan okazał wyrozumiałość. Mógł to chyba zrobić, pozycja bowiem nie chroniła go przed wszelką krytyką, ale przed zwykłą na pewno. — Nie mogliście jednak wiedzieć, że Williama ścigają. Za to, że on w ogóle jeszcze żyje, odpowiada mój syn, Crean. Nie mogliście też wiedzieć, że dzieci są tutaj, w Otranto. System, w którym nie wszyscy

---

\* *Preces armatae* (łac.) — usilna prośba.



są we wszystko wtajemniczeni, ma swoje dobre i złe strony. Kto nie wie nic, nie może też nic zdradzić. Wy nie wiedzieliście, a więc nie jesteście zdrajcą, jedynie człowiekiem opuszczonym przez boginię szczęścia. Dzięki temu możecie żyć. Uniewinniam was.

Eliasz milczał długo.

— Czcigodny mistrzu, cechuje was niezwykła mądrość, wiecie, że jestem oddany cesarzowi. Rozważyliście także sprawę własnego syna. Dlaczego nie macie współczucia dla Williama, który działał również niczego nieświadom, a więc nie jest zdrajcą?

— Bo należy iść za znakiem Allacha — włączył się niespodziewanie ostry głos Tarika. — A jak twierdzi wasz filozof Boecjusz, jeśli ktoś dostanie się pod koła losu, lepiej nie-szczęśliwca od razu dobić nie czekając, aż narobi szkód lub znowu wdrapie się na górę. I jeśli, *venerabile*, mucha wpadnie do zupy po raz wtóry, wówczas nawet kucharz, który ją wyłowił, podlega karze za to, że jej za pierwszym razem nie uśmiercił!

— Znaleźliśmy rozwiązanie — oznajmił z urazą Jan Turnbull — które polepszy naszą sytuację nawet w odniesieniu do *status quo ante*...\*

— Lepsze jest wrogiem dobrego — ostrzegł Tarik drwiąco, ale Jan nie dał się zbić z tropu.

— Do tego potrzeba rozważnego, energicznego przywódcy. Pomyśleliśmy o Creanie...

— Nie wchodzi w rachubę! — oświadczył Tarik stanowczo. — Już raz żałowałem, że pozwoliłem mu wziąć udział w tym przedsięwzięciu. Nadawał się do niego ze względu na znajomość terenu, jednakże nie okazał się w pełni odpowiedzialny. I choćby z tego powodu nie powinien być brany pod uwagę. My nie podlegamy emocjom tak jak wy, ludzie Zachodu, gdzie z sentymentu chętnie udziela się „drugiej szansy”. A rozkazywać Creanowi mogą tylko ja, *venerabile maestro*!

— Pozwólcie jednak, szanowny kanclerzu, przedstawić sobie nasz plan — wmieszał się niezadowolony Eliasz. Z chwilą gdy miecz Damoklesa w postaci wiszącego nad nim wyroku został usunięty znad jego głowy, stał się znowu pewnym siebie, aroganckim Bombaronem. — Nasz ukochany Ojciec Święty w tym samym czasie, który my tu tracimy, wysyła misje na cały świat: mojego Wawrzyńca z Orty do Antiochii, podobnie dominikanina Andrzeja z Longjumeau. Jednego w celu rokowań z greckim Kościołem, drugiego dla przekonania jakobitów, żeby uznali papieskie zwierzchnictwo. Anzelma zaś, brata Andrzeja, do Syrii i Tebrizu...

— A jakież może być w tym nasz interes? — zapytał z wściekłością Tarik.

— Cierpliwości: franciszkanin Jan z Pian del Carpine wyrusza właśnie przez południowe Niemcy i Polskę z misją do Tatarów. Ma dotrzeć do Karakorum na dwór wielkiego chana...

— No i co?

---

\* Status quo ante (łac.) — stan, jaki istniał przedtem.

— Jemu dodamy Williama i dzieci do towarzystwa. W ten sposób przez następne dwa lata ich los będzie na ustach wszystkich, poruszy wszystkie serca, a jeśli dzieci nie wrócą, będą szczerze opłakiwane. Ale nikt nigdy ich podróży nie poda w wątpliwość! Pian jest osobą stojącą poza wszelkimi podejrzeniami, także, a może przede wszystkim, w oczach papieża i jego kamaryli! Chodzi więc tylko o to, żeby Williama i dzieci doprowadzić do miejsca, gdzie ich szlak przetnie się z drogą Piana. Im dłużej będziemy zwlekać, tym bardziej się to od nas oddali!

— Potrzebuję Creana do innych zadań. — Kanclerz pozostał nieugięty.

— Ja ich poprowadzę! — usłyszałem nagle nad sobą głos Hamona. Nie zauważyłem, kiedy opuścił moją komnatę, prawdopodobnie jednak słyszał przebieg rozmowy.

— Wyjdź, proszę, i poczekaj, aż zostaniesz zawołany! — rozległ się niespodziewanie głos hrabiny; z jego tonu nie dało się poznać, czy jest dumna z syna, zadowolona, że wyprawi go z domu, czy też jako matka pełna trwogi i zmartwienia. I nim rozgorzała ogólna dyskusja, Laurencja ujęła znowu cugle w ręce.

— Czas na posiłek, dostojni panowie!

Pokój nade mną opustoszał. Zaraz potem i mnie przyniesiono obfitą kolację, a ja, będąc już pewny, że chcą mnie żywego wyprawić do Tatarów, zacząłem ją pochłaniać z wielkim apetytem. Najpierw świeże ostrygi, które posypałem pieprzem i pokropiłem sokiem z cytryny. Drgnęły, tak jak mi opowiadano. Siły żywotne znów obudziły się we mnie. Naprzeciw powinienem jeszcze mieć Ingolindę. Wpychalibyśmy sobie ostrygi do ust i z cmoknięciem zbieralibyśmy je nawzajem z naszych języków. Ale dobre dziewczę z Metzu prawdopodobnie dawno już odjechało obrażone i rozczarowane. Pociszyłem się zatem wspaniałą zupą rybną, następnie złakomiłem się na skorupiaki, kruszyłem powłoki, mlaskałem, lizałem i wysysałem nogi, łby i ości. Tłustą duszoną murenę, przyprawioną włoskim koprem i szałwią, oraz gąbczaste smardze ledwie już w siebie wtłoczyłem. Jakże by mi teraz dobrze zrobiła ostra jazda z Ingolindą, moją cudowną wszetecnicą! Jednakże na deser były tylko same winogrona bez jej wilgotnych warg. Ani falujące piersi, ani ciemne łono nie kazały gronom tańczyć, pękać lub znikać, wmusiłem więc w siebie owoce bez entuzjazmu i padłem na łóżko.

Niemal w tej samej chwili otworzyły się drzwi i wszedł Elias z hrabiną. Miała pańską postawę, rude, chyba farbowane henną włosy, gładko zaczesane do tyłu, i zielone oczy z niebezpiecznym błyskiem. Prawie nie nosiła ozdób, tylko jeden drogocenny pierścień i szeroką bransoletę.

Zerwałem się natychmiast. Hrabina kierując się ku oknu, rzuciła do strażników, którzy zajęli miejsca po obu stronach drzwi:

— Przywołajcie Hamona!

Elias popatrzył na resztki mego posiłku.

— Mam nadzieję, Williamie — powiedział — że dobrze wypocząłeś, bo dziś

w nocy udasz się w dalszą podróż... — Popatrzyłem na niego z udanym zdumieniem i ciekawością. — Syn hrabiny obejmuje dowództwo nad moimi żołnierzami, a ja oczekuję od ciebie podobnie rozumnego zachowania jak dotąd. Dla twego własnego dobra. Pamiętaj: jeśli spróbujesz zamienić choć jedno słowo z kimś obcym, nie mówiąc o próbie ucieczki, będzie to koniec twego krótkiego żywota!

— Wasza przewielebność może być spokojny — odparłem ulegle, jak przystało. — Pójdę, dokąd mnie wyślecie, nawet na koniec świata, tylko pozwólcie mi iść, to znaczy, nie każcie mi znowu wsiadać na konia! Drugi raz tego nie wytrzymam, to przyprawi mnie o niechybną śmierć. Raczej jeden sztych w serce niż tysiąc sztyletów w mój... — Połknąłem słowo ze względu na obecność damy, która już mi się i tak surowo przyglądała, gdy tylko rozpocząłem swą przemowę.

— Nie musi się martwić o swą tłustą dupę — rzekła hrabina do Eliasza. — Dam wam dwie lektyki, jedną dla niego i jedną dla dzieci. To będzie się nawet bardziej rzucało w oczy.

Eliasz skinął głową; ja także, pełen wdzięczności.

— Po drodze — ciągnął Eliasz — spotkasz brata Jana z Pian del Carpine i powędrujesz z nim do wielkiego chana. Po dotarciu do państwa Mongołów możesz wlec dzieci aż do Karakorum albo się ich pozbyć. Rzecz w tym, żeby zniknęły bez śladu, w każdym razie masz wrócić bez nich!

Hamo, który wszedł właśnie do pokoju, usłyszał ostatnie zdania Bombarona. Zwrócił się do niego ze słowami:

— O Williama się nie martwię, zrozumiał, o co idzie w jego wypadku. Ale boję się o dzieci. Na czas podróży, a przynajmniej na tę jej część, kiedy będziemy dla wszystkich widoczni, zwłaszcza dla złych oczu papieskich szpiclów, potrzebują towarzystwa kobiety...

— Nie! — zachnęła się hrabina. — Nie! — powtórzyła ostro.

— Tak — oświadczył Hamo zdecydowanie i okrutnie. — Muszą dobrze się czuć i mieć co trzeba, bo tylko wtedy będą się zachowywały jak należy. Jeśli zachorują, będą płakały, ktoś nas zatrzyma i wówczas może się wydać, kim są. Na takie niebezpieczeństwo...

— ...nie wolno się narażać! — Tarik bezszelestnie pojawił się wśród nas. — Jasno pomyślane i dobrze powiedziane, młodzieńcze. Widzę, że jesteś godnym synem swojej matki i cofam zarzut o niedojrzałości. Pozostaje brak doświadczenia, ale to już nie twoja wina. Na dodatkowe zaś ryzyko nie możemy się zgodzić!

— Żądam — oświadczył Hamo z lekkim ukłonem — żeby towarzyszyła nam Klarion i opiekowała się dziećmi.

— W przytułku są trzy piastunki — odezwała się hrabina — mam też do dyspozycji żeński klasztor. Możesz sobie wybrać taką opiekunkę, jaką zechcesz. Wszystkie mają

większą wprawę w obchodzeniu się z dziećmi niż...

— Upieram się przy Klarion. — Zwrócił się do Tarika, nie zaszczycając matki ani jedynym spojrzeniem. — To przedsięwzięcie tak ważne i poufne, że nie podejmę się odpowiedzialności, jeśli matka się nie zgodzi, żeby jechała ze mną Klarion.

Zaległo milczenie. Hrabina patrzyła przez okno, szarpiąc ledwie dostrzegalnie pręty krat. Kostki jej dłoni znaczyły się bielą.

— Powiadomię Klarion — wykrztusiła wreszcie przez ściśnięte gardło. — Natychmiast zaczniesz się szykować do podróży — dorzuciła rzeczowo nie odwracając się i szybkim krokiem opuściła pomieszczenie.

Tego synowi nie zapomni, pomyślałem. Ta kobieta umie nienawidzić...

— Ty, Williamie, pójdiesz teraz ze mną — zarządził Hamo. — Nie chcę, żeby cię w tym pokoju jeszcze ktoś zastał.

Wiedziałem, że ma na myśli dzieci, i mnie także wydało się to słuszne. Pożegnanie rozdarłoby im serca, liczyły przecież, że będą ze mną podróżować.

— Williamie — oznajmił Elias — ja też muszę natychmiast wyjechać, cesarz mnie potrzebuje. Nie przynieś wstydu zakonowi braci mniejszych — poklepał mnie pokrępiąco po ramieniu. Trochę mało za to piwo, którego mi nawarzył. Wszyscy jednak jesteście sługami jakiegoś pana, a jemu, odjawszy nawet Kościół, który się go wyrzekł, pozostało tych panów przynajmniej dwóch.

Strażnicy wzięli mnie pomiędzy siebie i poprowadzili schodami i korytarzami w dół. Szliśmy skrzydłem kasztelu bardzo rzadko, a może nigdy nie używanym, wychodzącym na morze. W końcu znaleźliśmy się chyba w tych końskich stajniach, o których opowiadał Rosz. Panował tu ruch i krzątania, karmiono i oporzadzano zwierzęta, ze zbrojowni wynoszono broń.

Nie widziałem dotąd nikogo z załogi zamku. Głównego traktu, w którym byłem uwięziony, używano chyba tylko w razie nieprzyjacielskiego ataku czy oblężenia. Byłem zdumiony widokiem tak wielu żołnierzy i oficerów kręcących się po suterynach kasztelu.

Hamo, który szedł za nami, kazał strażnikom odejść. Zostaliśmy sami.

— Nie jestem twoim katem, Williamie. Pozwolono ci się najeść, dobrze i obficie. A jak dla lepszego trawienia spędzisz tę ostatnią godzinę przed wyruszeniem w drogę, to już twoja sprawa!

— Mam nadzieję, że mój stolec pojawi się na czas — zapewniłem. Hamo roześmiał się.

— Myślę raczej o duchowych wzdęciach, o drobnych sercowych radościach! — Byłem wzburzony. Co on zamierza ze mną zrobić? Następne słowa wzmożyły jeszcze mój niepokój: — Nikt ci się nie będzie przyglądał, ale pamiętaj, że reguły już obowiązują: jedno słowo, jedno jedyne słowo i umrzesz. I nie tylko ty, także osoba, do której je skierujesz!

Wepchnął mnie do jakiegoś pomieszczenia i zamknął za mną drzwi. W półmroku izby, wyciągnięta na sianie, leżała przede mną Ingolinda.

— William!... Nareszcie! — Rozwarła ramiona, gotowa przyciągnąć mnie do swych wspinających, już obnażonych piersi. Położyłem palec na ustach i próbowałem wyjaśnić jej gestami, że zakazano mi mówić. Pewnie pomyślała, że w głowie mi się pomieszało, że wskutek uwięzienia i tortur nie jestem już panem swoich zmysłów. — Mój biedny chłopiec! Co oni z tobą zrobili?

Zdecydowałem się zamknąć jej usta, ponieważ pytania pozostawione bez odpowiedzi również mogły działać zdradziecko, a ja nie chciałem teraz umierać, właśnie teraz! Rzuciłem się ku niej na siano, potoczyliśmy się po tym miękkim, pachnącym łożu, które tak przyjemnie drażniło nagą skórę. Pocziwa dziewczyna z Metz u miała zrozumienie dla mego pośpiechu — otwierała natychmiast swe miękkie uda i przytuliła mnie, trapiście mimo woli, do piersi. Wbijałem się w nią, jakby szło o moje życie, czyniąc to bardziej na zapas, gdyż po ugaszeniu pierwszego porywu — przez dwa czy trzy tygodnie przecież tylko koński grzbiet wypełniał rolę partnera moich łądźwi — z całą ostrością dotarło do mojej świadomości, że teraz zawartość moich portek czekają długie samotne miesiące. Moje ruchy osłabły na myśl o tej smutnej perspektywie, ale właśnie owa powolność rozpałiła łono mej damy, które kiedy indziej ożywało od szybkich ataków. Jęczała, jej piękne oczy napełniły się łzami, krzyczała z rozkoszy, a ja bezradny chędożyłem ją dalej, wciąż myśląc o moim głupim losie, o lodowatych nocach w dalekich, skalistych, bezludnych górach, o dręczącym pragnieniu i upale w stepach i na pustyni. I powoli gasła we mnie ochota do życia, już tylko z rozpędu pchałem raz za razem, aż siano uginało się rytmicznie. Ingolinda rozedrgała się pode mną, jakby przeciągał przez nią cały regiment jeźdźców, cała tatarska horda; rzucała się, wiła, wyginała i wreszcie opadła w ten dół, który wygnietliśmy w sianie jak króliki; jej piersi drżały.

W końcu otworzyła oczy mokre od łez i uśmiechnęła się do mnie.

— Witaj, piękny cudzoziemcze!

Pocałowałem ją delikatnie w usta, nie opuszczając jej łona, ba, gotów do nowej jazdy. I wtedy zastukano do drzwi.

— Już czas, Williamie!

Ingolinda popatrzyła na mnie pytająco. Nie przedłużałem pożegnania. Podniosłem się, strzepnąłem źdźbła z habitu i zostawiłem ją na łożu naszej rozkoszy. Nie odwróciwszy się ani razu, zamknąłem za sobą drzwi. Stali przed nimi obaj strażnicy, nie dając poznać po sobie, czy nas podglądali, czy też podsłuchiwali, może zresztą jedno i drugie. W milczeniu poprowadzili mnie do głównej bramy.

Była już głęboka noc, nieliczne pochodnie rozjaśniały sklepienie. Zwodzonego mostu jeszcze nie opuszczono. Kazano mi czekać. Wsiadłem do wskazanej lektyki i natychmiast zasnąłem.

AIGUES MORTES  
*Aigues Mortes, jesień 1245*

— Jesteś wolna, Roksalbo Cecylio Stefano z Cab d’Aret, zwana Lobą. Możesz odejść!

Inkwizytorem, który przewodniczył trybunałowi, był ekscelencja Durand, biskup Albi. Z jego rękawa sterczał żelazny pazur, a szyję obejmował sztywny skórzany kołnierz, który uniemożliwiał ruchy głową. Ale błyszczące oczy biskupa żwawo wędrowały po sali, dowodząc, że pogodził się ze swoim kalectwem.

— Ten przydomek nadał wam trubadur Peire Vidal, czy tak? — zwrócił się żartobliwie do przesłuchiwanej, która podniosła się i ukazała swe mocne uzębienie za szerokimi czerwonymi wargami, gdy otworzywszy usta stwierdziła pogardliwie:

— Ten półgłówek, rozpalony miłosną żądzą, przebierał się za wilka. Moje psy mocno go poturbowały...

— ...kiedy wyście się zabawiali z Rajmundem, dziedzicem Foix? — rzucił biskup podchwytliwe pytanie, którego Loba nie pozostawiła jednak bez odpowiedzi:

— Dziedzic Foix miał poezję w swojej kopii i nie musiał się zachwalać głośnym śpiewaniem, tak jak Vidal.

Pisarz trybunału odłożył pióro i zwijał starannie protokół przesłuchania, który potwierdzał nie nasuwającą zastrzeżeń działalność Loby jako zielarki i kończył się konkluzją: „...płynnie wypowiedziała wyznanie wiary, umiała odmówić *Ave Maria*, okazała szacunek obecnym kapłanom, stoi więc niewątpliwie na gruncie wiary Kościoła katolickiego”.

Loba patrzyła na niepozorne kamienne domy na rynku Aigues Mortes, gdzie obok szubienicy sterczał czarny zwęglony pał z żarzącym się jeszcze stosem popiołu: taki los jej został oszczędzony.

— Możecie odejść — powiedział jeszcze raz uprzejmie Durand — bądź uczestniczyć w dalszych rozprawach, aby powziąć wyobrażenie, jak bardzo Kościół trzyma się w walce o prawdę.

Loba zatrzymała się niezdecydowana, potem jednak usiadła. Oprócz biskupa Albi — on właśnie ją tu wezwał, tak jak wszystkich podejrzanych mieszkańców okolic Montségur z hrabstw Foix i Mirepoix, wytropionych w lasach i jaskiniach — w skład trybunału wchodził przysłany z Rzymu Wit z Viterbo i delegowany przez króla Iwo Bretończyk. Trzej dominikanie pełnili obowiązki ławników. Pisarz i tuzin żołnierzy inkwizycji dopełniali składu.

Loba czuła na plecach ciekawe, niezycliwe, ba, zawiedzione spojrzenia widzów. Były to przeważnie poczciwe kobiety z garnizonu, żony kwatermistrzów i płatnerzy, któ-

re spędzały tutaj czas, nastawiając żadne krwawych sensacji uszy, czekając nie na wieści o rozpoczęciu krucjaty, lecz na następny wyrok i stos. Niektóre chętnie ujrzałyby ją na stosie!

Ku rozczarowaniu wszystkich biskup kazał teraz opróżnić salę. Wychodzono sarkająco. Żołnierze także zostali wyprawieni za drzwi.

Pisarz odchrząknął.

— Sprawozdanie z Palermo — zapowiedział krótko. — Esklarmonda z Perelhi... — na pozór nikt nie zauważył, że Loba zaczęła nagle uważnie słuchać — obcowała tam z ekskomunikowanym Fryderykiem, cesarzem i potępionym antychrystem. Rezultat: kolejny bastard, córka, urodzona w zburzonej twierdzy szatana, nie ochrzczona, nosząca imiona: Izabela Konstancja Rajmunda.

— „Izabela” wskazuje na pretendowanie do korony Jeruzalem, „Konstancja” na skupioną w jednym ręku dynastyczną potęgę rodzica, normańską matkę, powiązanie z Aragonią — objaśniał biskup — a „Rajmunda” na langwedocki rodowód rodzicielki bękarta! — Coraz bardziej uwidaczniała się zawziętość kalekiego dostojnika, któremu piana zaczęła występować na usta.

Iwo Bretończyk wzruszył ze wstrętem ramionami i opuścił salę.

Pisarz pragnął jak najprędzej przekazać otrzymane informacje. Rozwinął pergamin.

— „Protokół obostrzonego przesłuchania Mory z Cucugnanu, kucharki w twierdzy szatana i siostry przebywającej tamże mamki, a uzupełniony zeznaniem jego ekscelencji Duranda, zwolnionego specjalnym reskryptem z *secreti confessionis*\* — odczytał spiesznie. Oczy biskupa zaświeciły pożądliwie w oczekiwaniu na wynik własnych, tak drogo opłaconych poszukiwań, czekała również Loba, pełna niepokoju. — Kobieta imieniem Blanchefleur, której matką jest nieznana osoba szlchetnego francuskiego rodu, ojcem zaś rzeczony Fryderyk, a więc sama będąca nieślubnym dzieckiem, obcowała z ostatnim potomkiem linii Trencavelów, byłym wicehrabią Carcassonne, Rajmundem Rogerem Trzecim. Rezultat: męski bastard, urodzony w tej samej warowni szatana, nie ochrzczony, nazwany: Roger Rajmund Bertrand.”

— Tutaj „Roger” wskazuje na rodzica, ale również na obu dziadków — komentował gorliwie biskup. — „Rajmund” podobnie, a „Bertrand”?... — Biskup wydawał się sam ze sobą pasować. — „Bertrand” nie ma tu nic do rzeczy — usprawiedliwił się jakby ze swego zamilknięcia.

— Mamy tu do czynienia z jasnym, chociaż haniebnym zamysłem Hohenstaufa — grzmiącym głosem wyciągnął końcowy wniosek Wit z Viterbo przy zastanawiającym milczeniu Duranda i wzrastającym oburzeniu Loby — by wymierzyć Świętemu Kościołowi policzek. Ten sługa szatana celowo zmieszał swoją krew z kacerską! Dziś

---

\* Secretum confessionis (łac.) — tajemnica spowiedzi.

trzyma jeszcze potomstwo w ukryciu, ale jutro je zaprezentuje jako władców „nowego świata”, świata, w którym urząd najwyższego kapłana, a może kapłanki, połączy się z urzędem świeckiego władcy i powstanie kacerskie papieństwo hohenstaufowskich cesarzy po wieczne czasy!

Biskup przysłuchiwał się zdumiony.

— Wicie z Viterbo, powinniście byli to przedstawić soborowi, ale przychodzicie za późno, kości w Lyonie zostały już rzucone.

— Kościół i papież odnieśli tam wprawdzie piękne zwycięstwo, antychryst jednak nie został unicestwiony. Syczy jeszcze jego potomstwo!

— Czy pomyśleliście kiedyś, Wicie — rzekł biskup w zamyśleniu — że sprawa może się całkiem inaczej przedstawiać? Że stoimy wobec uniwersalnego spisku, w którym szatan pragnie swe zepsute nasienie związać z „władzą na ziemi” za pomocą kacerskiej krwi albo czegoś znacznie gorszego? Wciąż jeszcze rozpościera się przecież cesarska pajęcza sieć od Lubeki do Akki, od Nicei do Saragossy, a kiedy Fryderyk powędruje do piekła, wtedy znajdą się może sukcesorzy gotowi podnieść do góry niekoniecznie barwy Hohenstaufa, lecz zebrać się pod całkiem innym sztandarem: jako zastępy Księcia Ciemności! Ostrzegam was: tutaj sięga po władzę tajny związek. Hohenstauf i jego ród są tylko wykorzystywani jako zaśłona, nowa zaś para władców to owoc świadomego, na wielką skalę założonego planu...

Durand mówił z taką pasją, aż Loba się dziwiła, że jeszcze nie poderwał się na nogi. Jedno ramię miał chyba sparaliżowane, lecz żelaznym pazurem drugiej ręki rysował w powietrzu dziwne linie, gdy z rozpromienionym wzrokiem zaczął recytować:

— *Uf einem grüenen achmardi truoc si den wunsch von pardis daz waz ein dinc, das hiez der gral!*\*

Wtedy podniosła się Loba; jej oczy zaiskrzyły się.

— Mierzycie za wysoko i niecelnie, dostojni panowie: musielibyście wprowadzić obyczaje faraonów, inaczej wasi przyszli władcy świata nie mogliby się pobrać. To rodzeństwo, bliźnięta!

— Straże! — ryknął Wit i natychmiast wpadli żołnierze. — Związać tę kobietę!

— Spróbujcie tylko! — parsknęła Loba. — Komu światło oczu miłe, niech się trzyma ode mnie z daleka! Chcecie mnie martwą czy wolicie, żebym coś wyznała?

— Pozwólcie jej mówić! — polecił inkwizytor i Wit podporządkował się, choć niechętnie.

— Dziecko Blanchefleur było martwe już w jej łonie. Sama przygotowałam ukrop do abortu.

— Czarownica! — sapnął Wit. — Przeklęta czarownica!

---

\* *Uf einem...* (śr.-wys.-niem.) — Na zielonym jedwabiu niosła pragnienie raj, rzecz, która zwała się Graal (z *Parzivala* Wolframa von Eschenbacha).



Loba roześmiała mu się w twarz, jak szczerząca zęby wilczyca.

— Esklarmonda urodziła bliźnięta pewnego pachółka, który służył w zamkowych stajniach...

— Kłamstwo! — zawył Wit. — Obcowała z cesarzem!

— Wymyśliła zgwałcenie przez Hohenstaufa, gdyż bała się gniewu ojca. Zwróciła się do mnie o radę, ale było za późno. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby powstające życie stłumić, co nie pozostało bez następstw, ale ciąża była już zbyt daleko posunięta, a Esklarmonda okazała się silną kobietą. Dzieci są parą bastardów kacerki niepotrzebnie urodzonych!

— Zbliź się! — kiwnął inkwizytor swym żelaznym pazurem. — Kto ci zapłacił za spędzenie płodu tej Blanchefleur? — jak wąż trysnął Lobie w twarz swoim jadem. — Czy była to dostojna dama? — wrzasnął piskliwie załamującym się głosem. — Widziałaś ją?

Loba potrząsnęła dumnie grzywą czarnych włosów.

— Przybyła w lektyce?

— Nie — odparła Loba spokojnie.

— To ona, ona! — skrzeczał przeraźliwie Durand.

Wit dał znak żołnierzom. Podeszli do wrzeszczącego biskupa, po dwóch z każdej strony, i podnieśli go do góry razem ze stołkiem. Durand nie miał nóg. Wynieśli go z sali.

— Nie — powtórzyła Loba. — Blanchefleur nie wiedziała, że nosi w łonie martwe dziecko, kiedy ją do mnie przyprowadzono. Ale doprowadziłam do poronienia dopiero wtedy, gdy byłam pewna, że Esklarmonda nosi pod sercem bliźnięta.

Znęcony spektakularnym wyniesieniem biskupa, wrócił do pomieszczenia Iwo Bretończyk i wysłuchał końca relacji.

— Kiedy Blanchefleur się ocknęła — ciągnęła bez trwogi Loba — była przekonana, że ma przy sobie własne dziecko.

— Jako dzieciobójczyni ta kobieta powinna być ścięta, jako czarownica spalona — powiedział Iwo. — Przekażcie ją mnie!

— Nie popełniła morderstwa — odparował Wit — a o tym, kto jest czarownicą, orzeka Kościół. — Odwrócił się od zaskoczonego Bretończyka. — Związać ją! — rozkazał straży i tym razem Loba nie wyraziła sprzeciwu.

Na dworze wsadził ją na swego konia i wraz z nią opuścił Aigues Mortes. Jechali w jesiennym kwietnym przepychu Camargue, pośród mocno pachnących krzewów i rzadkich brzozowych gajów, aż przybyli nad otwartą wodę. Wit zeskoczył z konia i zsadził Lobę. Do tej pory nie zamienili ani słowa.

— Chcesz mi odebrać życie — odezwała się Loba; nie było to pytanie.

Wit skinął głową, nie patrząc na nią. Poszła przed nim w kierunku wody. Zafurko-

tały ptaki.

— Nie możesz mi powiedzieć prawdy — oznajmił Wit — a ja muszę znaleźć dzieci.

— Wykonaj dobrze swoją robotę — zażądała Loba i zatrzymała się.

Przekroczyła chyba pięćdziesiątkę, była jednak wciąż postawną kobietą. Wit podszedł do niej od tyłu, objął mocnymi rękoma jej szyję, ułożył kciuki na kręgach i cisnął, póki trzask nie zdradził mu, że złamał Lobie kark. Obciążył związane ciało dwoma ciężkimi kamieniami i ciągnął je przez jezioro, aż woda sięgnęła mu bioder. Potem wyszedł na brzeg, wsiadł na konia i odjechał.

Inkwizytor, ekscelencja Durand, wraz ze swymi ławnikami, pisarzem i protokołem nie dotarł do Albi. Mówiono, że *faidits*, podburzeni przez Ksakberta z Barbery, zabili ich wszystkich, ponieważ w drodze powrotnej nie było już z nimi Loby.

## PUSTE ŁÓŻKA

*Otranto, jesień 1245*

Tylko w tej części zamku, gdzie mieszkała hrabina, w wysokich oknach widniało jeszcze światło. Laurencja stała w sypialni i spoglądała w noc, na morze. Za jej plecami biegła zaaferowana Klarion, wyciągała suknie z szaf i skrzyń, przykładając je do siebie na próbę, odrzucała, wymieniała, składała wstążki, paski, chustki i torby i pakowała do różnorodnych podróżnych koszy, których pokaźna już liczba stała gotowa do wyniesienia.

— Chcesz mnie opuścić na zawsze? — zakpiła Laurencja. — Do wypełnienia roli niańki dwu bezimiennych bękartów nie musisz ciągnąć ze sobą wyprawy księżniczki.

Klarion nie odezwała się ani słowem, lecz zawzięcie pakowała się dalej.

— Najpóźniej za dwa, trzy miesiące będziesz z powrotem — hrabina próbowała przywieść ją do opamiętania. — Tyle bagażu niepotrzebnie cię obciąży, poza tym trudno ci będzie zrobić użytek z całego tego przepychu. — Laurencja okrążyła kosze i pozawiazywane toboły, trącając je lekceważąco czubkiem stopy.

Klarion, nie przerywając krzątania, wysypała właśnie na łóżko zawartość szkatuły z ozdobami i zaczęła w nich od nowa przebierać.

— Po pierwsze, nie muszę niczego ciągnąć — zauważyła cierpko. — Po to są juczne zwierzęta i służba. Po drugie, jeśli będę mogła piękną suknię włożyć choć jeden jedyny raz, wysiłek się opłaci.

Laurencja stanęła naprzeciwko dziewczyny po drugiej stronie łóżka. Z trudem opanowywała gniew.

— A więc chcesz sobie znaleźć narzeczonego?

Zaczęła grzebać ręką w łańcuchach, broszach i pierścieniach, mieszając niedbale

uporządkowane z trudem przez Klarion klejnoty. Wreszcie złapała złotą bransoletę.

— Czy po to ci to wszystko podarowałam, żebyś się tym popisowała przed mężczyznami, szukała ich lubieżnego upodobania?

— Jeśli się spodobam tylko jednemu, tylko na jedną noc... — Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo Laurencja ją uderzyła.

Klarion zacisnęła zęby; jej oczy zaiskrzyły się.

— Jeśli coś należy do ciebie, Laurencjo, to proszę, zabierz sobie. Ja...

— Ty należysz do mnie! — Laurencja jednym susem, jak tygrysyca, wskoczyła na łóżko i objęła ramionami biodra Klarion. Na dziewczynie wywarło to takie wrażenie, że wypuściła z rąk kosztowności i pochyliła się ku Laurencji. Nie zważając na ostre i twarde klejnoty, szpilki i klamry, upadły obie na łóżko.

— Kazałaś mi jechać — zaszlochała Klarion. — Mogłaś mi nie pozwolić, mogłaś mnie zatrzymać...

Laurencja przywarła do jej warg, po chwili podniosła się z westchnieniem.

— Tak musi być. Przeorat nie wybaczyłby mi odmowy.

Klarion również wstała i osuszyła łzy.

— Nie jadę przecież na długo, Laurencjo. A skoro wszyscy musimy ponieść ofiarę, nie powinniśmy sobie tego niepotrzebnie utrudniać.

— Ty też mogłaś się sprzeciwić — usprawiedliwiała Laurencja swoją gwałtowność. — Nie zdałoby się to wprawdzie na nic, ale czułabym, że mnie kochasz, tylko mnie!

Hrabina bezradnie przytuliła się do Klarion, która pogłaskała ją po głowie.

— Wkrótce będę znowu przy tobie, cała twoja, i znowu będziesz pieściła swoją bezwstydnicę! — Roześmiały się obie. — Ciekawam, co właściwie pędzi tę sprzedajną dziewczkę, że tak ściga naszego mnicha? — Klarion zmieniła temat i zaczęła ponownie porządkować szkatułę.

Laurencja podeszła do okna, lecz w ciemności nie mogła już dostrzec zacumowanego statku tamtej kobiety. W dole migotały wyraźnie tylko latarnie sygnałowe oznaczające wejście do portu.

— Ona jest tak zuchwała, że nie zgadza się odpłynąć, póki nie wydamy jej Williama. Aby uniknąć kłopotów, Hamo pozwolił jej zostać jeszcze przez dzisiejszą noc.

— A jutro rano będziemy już razem z jej skarbem daleko, za siedmioma górami — radowała się Klarion. — Dopiero się zdziwi!

— Jutro rano przepędzę ją stąd!

— Każ jej powiedzieć — wtrąciła Klarion, powiadomiona przez Hamona o znaczeniu i celu podróży — że William uciekł przed nią z dziećmi. Im więcej będzie gadania o wędrówce Williama z Roebruku, tym lepiej wyprawa się powiedzie. Przecież zabieram te kosztowne błyskotki, żeby jak najbardziej rzucać się w oczy.

— Najmilsza, ty jesteś i pozostaniesz ladacznicą! — Laurencja objęła czule wycho-

wankę i zaczęły się całować jak szalone. Z rosnącym pożądaniem błędziły rękoma po swych ciałach, aż osunęły się jeszcze raz na łożo. Wtedy jednak Klarion wyrwała się.

— Czekają na mnie!

Hrabina zadzwoniła po tragarzy, one zaś udały się do głównej bramy, gdzie zastały Eliasza udzielającego Hamonowi ostatnich wskazówek co do podróży.

Laurencja pożegnała Klarion przed opuszczaną kratą. Z synem żegnać się nie zamierzała.

W ciemnej komnacie Williama skrzypnął cicho otwór w podłodze pod pustym łożkiem.

— Williamie! — szepnął głosik Jezy. — Williamie!

Nie usłyszała odpowiedzi. A wokół panowała ciemność. Tylko światło księżycy wpadało przez zakratowane okno. Dziewczynka popchnęła klapę jak mogła najmocniej i zajrzała do środka z rosnącym niepokojem, który przemienił się w strach.

— Nie ma go — powiedziała ze smutkiem do przytrzymującego ją Rosza.

— Na pewno?

— Jak śpi, to chrapie — odparła cicho. — Zabrali go stąd!

— Na statek! — rzucił Rosz i pociągnął dziewczynkę za nogi. Kłapa strzeliła nad ich głowami. — Na statek! — parsknął z wściekłością. — A nie mówiłem?

Popęzli korytarzem z powrotem, aż dotarli do otworu w murze, skąd mogli dostrzec towarowy żaglowiec przy nabrzeżu. Jeszcze nie odpłynął!

— Chodź! — powiedział Rosz energicznie. — Nie oszukają nas!

Zeszli na dół ukrytymi w murze krętymi schodami, macając przed sobą w całkowitej ciemności.

— Pójdę spakować nasze rzeczy — oznajmiła Jeza szeptem. Gdy szło o decydujące zdanie co do włóczędzy i przygód, zawsze była pierwsza; przygotowanie i przeprowadzenie wszystkiego należało do Rosza. Teraz znów komenderowała: — A ty zakradnij się do kuchni po szynkę i jabłka. Potrzebny nam prowiant!

Taki podział pracy chłopiec uznał za sprawiedliwy i tylko aby wykazać się fachową wiedzą, napomniął Jezę:

— Zabierz wełniane ubrania i ciepłe derki. Na morzu nocami jest bardzo zimno!

— Spotkamy się przy pochylni, koło pomieszczeń na paszę, za stajniami — szepnęła Jeza. — Na schodach mógłby nas ktoś spotkać.

— A potem zjedziemy tym ukrytym spustem i wylądujemy dokładnie przy statku...

— ...albo w wodzie! — dokończyła dziewczynka.

Podczas gdy Jeza, mimo fantazji i nieustannej gotowości do wymyślania wciąż czegoś nowego, zawsze zachowywała niejaką ostrożność, Rosz przeciwnie, w miarę jak co-

raz bardziej wciągała go przygoda, przemieniał się z uważnego, wytrwałego badacza w szaleńczo odważnego wykonawcę. Strachu oczywiście nie znali oboje.

— Nie pleć głupstw! — oburzył się Rosz.

— Przecież nigdy nie byliśmy na dole — obstawała przy swoim Jeza.

— Ale ja to wiem! — upierał się chłopiec.

— A ja wiem, że to niebezpieczne, tak jak utonięcie... I dlatego jest takie piękne!

— roześmiała się w ciemności dźwięcznym jak srebro śmiechem elfa. — Zwłaszcza jeśli o tym nikt nie wie.

Teraz Rosza naszły wątpliwości.

— Ale trzeba powiadomić Williama! Przecież musi nas jakoś ukryć!

— Eee, tam!... Ukryjemy się na statku sami, a jak będziemy na morzu, zrobimy Williamowi niespodziankę.

Rosz wiedział, że dalszy sprzeciw nie ma sensu.

— Musimy się pospieszyć, bo odpłyną bez nas!

W ten sposób miał przynajmniej ostatnie słowo. Teraz każde z dzieci udało się w swoją stronę.

## LEKTYKA

### *Otranto, jesień 1245*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Było już dobrze po północy, kiedy nasz orszak wreszcie wyruszył. Obudziłem się na krótko, gdy lektyka zaczęła się kołysać. Zobaczyłem jeszcze, że do drugiej wsiada młoda panna. To była pewnie ta piękna Klarion, przyrodnia siostra Hamona czy też wychowanka hrabiny.

Wręczono jej dwa tobołki, takie same jak wówczas, gdy Jeżę i Rosza zabierano z chaty Loby. Wyobrażam sobie, jak stanowczo te prawdziwe dzieci — przecież już je trochę poznałem — zaprotestowałyby dziś przeciw takiemu opatuleniu!

Ciekawe, kiedy te szkraby znów zobaczę? Że nie po raz ostatni skrzyżowały się nasze drogi, byłem już wtedy absolutnie pewny. Jakże odległą przeszłością wydawała się teraz Francja i jej pobożny król, a nawet Montségur! Gdyby nie dzieci, które wciąż wspominały utraconą tam matkę, zapomniałbym dawno i o tej twierdzy. Zanurzyłem się w nowe życie, byłem innym człowiekiem, przypadkowo noszącym nadal to samo imię. Nie pojmowałem, dlaczego Bóg roztacza nade mną pieczę, chociaż służyłem Mu mniej niż kiedykolwiek przedtem; ledwie się jeszcze trochę modliłem, zdając się z całkowitą beztrąską na łaskę Opatrzności, a jednak, mimo braku skruchy z mej strony, Pan ofiaro-

wywał mi rozkosz, nade wszystko zaś pewność siebie.

Tymczasem, rozpatrzywszy rzecz dokładnie, istniało niewiele powodów, żeby być w tak ufnym nastroju. Miałem przed sobą niechybnie uciążliwą podróż, w której nie wiadomo, co nas czekało. Naszym najbliższym celem była Lucera. Tam żołnierzy hrabiny miała zastąpić załoga saraceńskiego garnizonu. Otranto nie mogło przecież pozostać bez ochrony. Saraceni mieli nam towarzyszyć do Cortony, gdzie Eliasz wyznaczył pierwszy dłuższy popas. Tego wszystkiego dowiedziałem się od Hamona, który ledwieśmy opuścili Otranto, skierował konia ku mojej lektyce.

— A najgorszy odcinek — ciągnął młodzieniec — to przebycie Abruzzów, gdzie nikt nie jest bezpieczny, bo zarówno papiescy, jak i cesarscy dowódcy wysyłają tam podjazdy. Dalej będzie łatwiej, bo przejścia przez Apeniny i Alpy trzyma mocno w rękę Hohenstauf.

Miałem wrażenie, że Hamo jest niezmiernie zadowolony, iż znalazł we mnie doświadczonego w podróżowaniu i rozumnego partnera do rozmowy, przy którym nie musiał, jak wobec podległych mu teraz wiarusów, odgrywać mądrego, wszechwiedzącego wodza. Polegał głównie na prostym sierżancie, starym piracie o pałkowatych nogach. Guiscard z Amalfi, o normańskim rodowodzie, służył niegdyś jako bosman u nieżyjącego już admirała i przeżeglował wszystkie zakątki Morza Śródziemnego, nim jako hrabiowski zbrój mistrz stał się szczurem lądowym w kasztelu Otranto.

— Guiscard jest kartograficznym geniuszem; tak jak inni znają na pamięć „Eneidę” Wergilego, tak on zna cały kraj. Paroma kreskami potrafi narysować na piasku drogi, rzeki i brody, góry i przełęcze, a wszystkie proporcje i odległości zgadzają się co do joty. Sam się zresztą przekonasz — chwalił go przede mną Hamo.

Jednakże wadą Guiscarda, jak się szybko miało okazać, było niestety to, że nie istniało na ziemi nic, na co by się nie poważył. Każdy czyn wymagający posuniętej do zachwalstwa odwagi wydawał mu się normalny, każdy niedorzeczny nawet pomysł był wyzwaniem. Szaleństwo powiewało przed nim jak sztandar, a co najgorsze, atakowało szczeniące uszy Hamona jak zgraja pcheł.

Znajdowałem się w trudnym położeniu: byłem więźniem, tymczasem norny zapraszały mnie do tkania wspólnie z nimi losu nas wszystkich. Hamonowi nie mogłem ufać; jego działaniem, jak mi się wydawało, za bardzo kierowała urażona duma i głupia próżność, a rozwagę przytłumiał zupełny brak doświadczenia nabytego w surowej codzienności wojennego przedsięwzięcia. Sierżant przeciwnie, jadł chleb z niejednego pieca, wojna była jego rzemiosłem, niestety, szukał tylko przygody.

Gdybym trzymał się od tego z daleka, czułbym się jak wciśnięty między dwa młyńskie kamienie. A tak mogłem sobie przynajmniej wyobrazić, że moja rada jest wodą, która leje się to na jeden, to na drugi młyn. Skoro nie zdecydowałem się uciec, nie chciałem także trwać przy swoim jak uparty osioł.

Wygodna lektyka była pierwszą nagrodą za takie nastawienie. O pozostałe cielesne sprawy także nie musiałem się martwić. Los więźnia jest prawdopodobnie tylko wtedy straszliwy, gdy bez żadnej nadziei i możliwości wyróżnienia się jest częścią szarej masy. Jeśli natomiast ktoś wzniesie się ponad tłum, zwróci na siebie uwagę i utrzyma ją, dobre traktowanie jest już właściwie logicznym następstwem. Mogłem sobie całkiem dobrze wyobrazić resztę swego życia w charakterze takiego specjalnego więźnia. Niebezpieczeństwo pojawiłoby się tylko wtedy, gdybym stracił zainteresowanie wielkich tego świata. Wówczas bez skrupułów pozwoliliby mi spaść nisko i wydaliby na mnie wyrok śmierci. Natomiast w szarej armii bezimiennych istnieje szansa przeżycia. Tylko co to za życie?...

O brzasku przejechaliśmy obok murów Lecce. Zdążający na targ wieśniacy zdejmowali przede mną czapki...

## PRZYKRE PRZEBUDZENIE

*Otranto, jesień 1245*

— Dzieci! Dzieci zniknęły!...

Głośne zawrodoenie pokojówek i służebnych wyrwało hrabinę gwałtownie z głębokiego snu. Słońce stało już wysoko na niebie. Laurencja wyskoczyła z łóżka, odpchnęła kąpielową, garderobianą i ochmistrzynię i pospieszyła do pokoju dzieci. Na łóżkach brakowało przykryć, nie było też części odzieży.

— Cóż tak głupio stoicie?! — natarła na kobiety. — Szukajcie ich!

Kazała przywołać strażników, ale żaden nie widział dzieci tego ranka. Żołnierzy wpuszczono do wewnętrznych ogrodów i do tych części budynku, do których zazwyczaj nie mieli wstępu.

Crean usłyszawszy nowinę chciał natychmiast budzić Tarika. Hrabina powstrzymała go.

— Mam straszne podejrzenie — zwierzyła mu się, gdy zostali sami. — Bóg nas pokarał! — Drżała na całym ciele. — Czy nie jest możliwe, Creanie, że dzieci, mam na myśli te prawdziwe, zamieniono na podstawione?

Crean potrząsnął przecząco głową, jednakże Laurencja się nie uspokoiła.

— A może Hamo posunął się tak daleko, że nie tylko zabrał mi Klarion, ale jeszcze dzieci?

— W żadnym wypadku! Uważam, że powinniśmy najpierw przesłuchać opiekunki. Przesłuchanie nie ujawniło nic ciekawego.

— Dzieci — stwierdził ostatecznie Crean — położono do łóżek o zwykłej porze.

Były nadzwyczaj grzeczne, jak mi wśród łez wyznała piastunka, która każdego wieczoru ostatnia je opuszcza, zawsze starając się je zmusić do wspólnej modlitwy. Tym razem nawet jej się to powiodło.

Hrabina odciągnęła go na bok.

— Byliście przy ich odjeździe. Czy istniała jakakolwiek możliwość zamiany dzieci?

— Nie — odparł Crean bez zastanowienia. — Hamo kazał fałszywe dzieci przyprawić do zamku już wieczorem. Przy kolacji dostały silny środek nasenny. Klucz do ich izby zatrzymał wprawdzie przy sobie, ale teraz pomieszczenie jest puste.

— Kto obejrzał dzieci, które przyniesiono Klarion do lektyki? — Laurencja była wściekła na siebie, że osobiście nie nadzorowała wymarszu. Mogła przecież śledzić wszystko z okna!

— Przesłuchałem kucharki, które je przyniosły — powiedział Crean. — Nic podejrzanego nie rzuciło im się w oczy...

— A może te fałszywe zawinięto razem z...

— ...z naszymi? — podjął sugestię Crean. — Klucz do zagadki tkwi w samych dzieciach! Przywiązały się do Williama. Może chciały razem z nim...?

— Któż chciałby jeszcze z tym wstrętnym mnichem... — oczy rozwścieczonej hrabiny roziskrzyły się. — Najpierw ta otakielowana dziewczka...

— Zaraz! — przerwał gwałtownie Crean. — Czy ta ladacznica jest jeszcze w porcie?

— Mam nadzieję, że podniosła już żagle! — fuknęła Laurencja — bo inaczej nogi jej z...

— Przeciwnie, powinniście się, pani, modlić, żeby jeszcze tu była! — wpadł jej w słowo Crean. — Bo może to rozwiązanie naszej zagadki!

— Straże! — krzyknęła hrabina i pospieszyła w ślad za Creanem, który już zmierzał ku schodom prowadzącym do portu. — Za mną!

Podążyła na przedzie, wciąż jeszcze w koszuli; pokojowej udało się jedynie narzucić na nią płaszcz. Piastunka, guwernantka, ochmistrzyni podreptały za swą panią.

Ingolinda spała dobrze i obudziwszy się rankiem na statku pragnęła tylko jednego: móc także dzisiaj znów zamknąć w ramionach swego Williama. Podejrzała jednak, że natrafi na pewne trudności, które będzie musiała przezwyciężyć.

Nie przeszkadzało jej wcale, że ledwie William ją opuścił, weszło do izby pół tuzina żołnierzy, pospiesznie sobie na niej użyli i potem, nie szczędząc ordynarnych żartów, zanieśli ją do pochylni na paszę. Podłożyli jej dostatecznie dużo siana pod zadek, żeby sobie nie wbiła drzazgi, lecz gładko wylądowała na nabrzeżu przed swym żaglowcem. To wszystko było niczym drobne bryzgi brudnej piany, z którymi należało się pogodzić. Mogła je łatwo obetrzeć. Nie czyniły uszczerbku jej wielkiej miłości.

Przeciągnęła się i wypełzła ze swego wozu. Marynarze powitali ją sprośnymi żarta-



mi. Nie zważała na nich, myślami będąc przy Williamie. Poleciała właśnie, by jej pomogli zejść na nabrzeże, gdy przy bramie prowadzącej do twierdzy powstało nagłe zamieszanie.

Z bramy wypadła hrabina; towarzyszył jej Crean, którego Ingolinda pierwszego tutaj poznała i który okazał się jedynym przystępnym człowiekiem. Za nimi szli żołnierze i kilka zdenerwowanych kobiet.

— Gdzie są dzieci? — wrzasnęła hrabina. — Uprawdziliście je!

Ingolinda nie należała do takich, co to pozwalają podstarzałej wronie wydziobać sobie oko, chociaż mina rozzłoszczonej dostojnej damy w białej bieliźnie nakłaniała do ostrożności.

— Przychodźcie, pani, z tak znacznym orszakiem. Nie mogliście przyprowadzić także Williama?

Laurencja ledwie się powstrzymała, a raczej Crean ją powstrzymał, żeby nie wpadła do wody, pragnąc tej zuchwałej dziewczce własnoręcznie ukręcić łeb.

— Szukamy dzieci — próbował wyjaśnić Crean. — Być może pomyślały, że William jest tutaj...

Wydawało się, że Ingolinda nic nie rozumie lub też odgrywa z godnym podziwu talentem osobę niczego nieświadomą.

— Jakich dzieci? Ja nie mam dzieci... A William? Przecież wiecie, że go tu nie ma!

— Tak, tak — przyznał Crean. — Nie o niego nam idzie...

— Ale mnie tak! — Ingolinda tryskała teraz chęcią walki, zwłaszcza że nie zdążyła jeszcze opuścić statku. — Oddajcie mi Williama, wtedy pomówimy! — ośmieliła się postawić żądanie. Zawiodła się jednak w swoich rachubach.

— Przeszukać statek! — rozkazała hrabina.

Żołnierze przyciągnęli żaglowiec za liny do brzegu, aż jego kadłub dotknął skał, i wskoczyli na pokład. Marynarze nie odważyli się ich zatrzymać.

— Nikogo tu nie znajdziecie! — oburzyła się pewna siebie Ingolinda.

— Są dzieci!! — rozległy się okrzyki żołnierzy, którzy weszli pod pokład, i zaraz wyciągnęli na górę zaspaną Jezę i rozgniewanego, opierającego się Rosza.

Ingolinda była naprawdę przestraszona. Kiedy dzieci podawane z rąk do rąk znalazły się na ładzie, gdzie piastunka i guwernantka odebrały je i zakłopotane poprowadziły do zamku, Laurencja utkwiała wzrok w ladacznicy.

— Powinnam kazać cię wychłostać!

Ingolinda wyprostowała się dumnie.

— Tak zapewne robiła Przeorysza — odparła, wytrzymując spojrzenie hrabiny.

Laurencja zdołała się opanować.

— Wynoś się do diabła! — Odwróciła się powoli. — Zatrószcie się, panie, żeby ona zniknęła! — poprosiła Creana zmęczonym głosem. Sprawiała wrażenie nagle postarza-

łej o całe lata. W towarzystwie reszty kobiet skierowała się ku bramie kasztelu.

— Nie odjadę — zawołała Ingolinda do Creana dostatecznie głośno, by hrabina ją usłyszała — póki mi nie oddacie Williama!

Stała na statku z rękoma na biodrach. Jest na czym oko zatrzymać, pomyślał Crean, nim przystąpił do wykonania swego niewdzięcznego zadania. Wiedział, że musi Ingolindę przykro rozczarować.

— William — powiedział — wyjechał dziś w nocy. Nie macie co dłużej czekać. — Żal mu było tej kobiety. — Zwłaszcza — dodał zniżonym głosem — że hrabina każe was ostrzelać z katapult. Są bardzo dokładnie wycelowane. Straciliście tutaj swego mężczyznę, możecie stracić jeszcze statek, a nawet życie.

Usłyszawszy to, marynarze pospiesznie odbili od brzegu.

Ingolinda bez słowa wycofała się do swego zamtużu na kółkach, gdzie z oczu popłynęły jej łzy.

## VI CANES DOMINI

### SAMOTNY WILK *Castel del Monte, jesień 1245*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Moja lektyka kołysała się gwałtownie jak statek na pełnym morzu. Jeźdźcy popędzali także konie, które daleko w przedzie niosły lektykę z Klarion i dziećmi. Z jednej strony cieszyłem się, że nie muszę oglądać tych biedaczyn, uważałem bowiem pomysł zabawiania się małymi ludzkimi istotami jak marionetkami w teatrze za niegodny i przykry, złościło mnie jednak, że nie mogłem rzucić okiem na piękną Klarion. Ale Hamo, który okrężał naszą grupę jak nerwowy pasterski pies stado owiec, troszczył się nieustannie, żeby na razie nikt nie mógł jej zobaczyć — zasłon w lektyce ani na chwilę nie podniesiono.

Jechaliśmy poniżej warowni Goia di Colle, gdy szablonogi Guiscard znalazł się nagle przy nas.

— Nie rozglądajcie się teraz — powiedział przytłumionym głosem. — Z tamtego wzgórza obserwuje nas jeździec, który depcze nam po piętach od jakiegoś czasu.

Mimo wszystko zwróciłem wzrok we wskazanym kierunku i dostrzegłem ciemną sylwetkę otulonego w czarną oponczę jeźdźca; stojąc nieruchomo przyglądał się przeciągającemu dołem orszakowi. Nieznajomy miał imponującą posturę, a jego postać przejmowała zgrozą. Gdzieś, w jakichś ponurych majakach ta postać już raz mi się ukazała. Dym, ogień?... Mimowolnie uczyniłem znak krzyża.

— Czy sądzisz, Guiscardzie — spytał drwiąco Hamo, który również dostrzegł jeźdźca kątem oka — że papieski wywiadowca odważyłby się zapuścić aż tutaj, do Apulii, gdzie przeznaczono by mu najbliższą gałąź, gdyby wpadł w ręce ludzi Hohenstaufa?

— To nie jest zwykły szpieg — odparł Amalfitańczyk. — Nosi strój inkwizytora i wyraźnie nie boi się ani Fryderyka, ani innego diabła! — Roześmiał się. — Chcieliście przecież, żebyśmy zwrócili na siebie uwagę. Osiągnęliśmy cel.

Zerknąłem jeszcze raz — jeździec zniknął. Chociaż nie wiedziałem wówczas, że nasze drogi już się skrzyżowały i jeszcze wiele razy się skrzyżują, posępny ten obraz zapadł mi głęboko w pamięć. Jeśli Hamo był młodym psem, a my stadem owiec, to nieznajo-

my pełnił rolę złego wilka. Mieliśmy jednak Guiscarda, amalfitańskiego doświadczonego wojaka, którego hrabina z ciężkim sercem przydzieliła nam na drogę. Pokryta bliznami twarz starego pirata świadczyła o wielu mocnych przeżyciach, a on sam zdawał się znajdować coraz większą przyjemność w naszej wyprawie.

— Powinniście, panie, zmienić teraz kierunek i skręcić na zachód — poradził młodemu hrabiemu, lecz Hamo ani myślał go słuchać.

— Pojedziemy najkrótszą drogą do Lucery — oświadczył.

— Wy dowodzicie, panie — ustąpił Guiscard, lecz zanim się oddalił, rzucił: — Tylko że robicie dokładnie to, czego oczekuje nieprzyjaciel!

Hamo milczał. Wmieszałem się ostrożnie.

— Nie traktujcie rad starego wygi jako upokorzenia, ale jako dar: sława i tak pozostanie przy was!

Uznałem, że tych kilka słów wystarczy. Ja także nie powinienem wywierać na niego większego nacisku. No i poskutkowało. Hamo dał nieznacznie rumakowi ostrogę i wysunął się na czoło.

Wkrótce potem skręciliśmy w stronę Altamury i następnego wieczoru natknęliśmy się na budowę Castel del Monte, zamku myśliwskiego, który cesarz kazał postawić w lasach Monte Pietrosa, swoim ulubionym rewirze łowieckim.

Bywałem już trochę w szerokim świecie, rzadko jednak cieszyłem oczy równie podniosłym widokiem. Zamek spoczywał na wzgórzu lekko jak zdjęta korona, którą w każdej chwili przejeżdżający obok galopem cesarz mógł podjąć sokolniczą rękawicą i dla zabawy postawić w innym miejscu. Cała budowla, mająca służyć rozrywce i zadumie, przyjęła pełen harmonii foremny kształt ośmiościanu, którego kąty podkreślały samotne wieże. Ósemka jest cyfrą doskonałą, jak mi niegdyś wyjawiał brat Humbert. Dwupiętrowe budynki o wytwornej prostocie zgrupowano wokół wewnętrznego dziedzińca, którego podziemie służyło jako ogromna cysterna. Jednakże nie architektoniczne subtelności, kręte schody, proporcjonalność pomieszczeń, pozbawionych jeszcze wszelkich ozdób i będących w ten sposób przykładem czystej estetyki miary i liczby — któż je znów kiedykolwiek takimi zobaczy? — nie, nie to sprzyjało skupieniu, a równocześnie kazało cieszyć się sercu; sprawiał to duch szlachetności, który emanował z całej budowli, widoczny już na pierwszy rzut oka.

Zmierzchało, kiedy uzyskawszy niechętnie przyzwolenie budowniczego, wspięliśmy się po drabinach na koronę jednej z ośmiu wież równej wysokości. Było nas tylko trzech: ja, Hamo i stary Guiscard. Przetrzęsaliśmy wzrokiem pagórkowaty krajobraz. Jeździec stał pod drzewami, które obrzeżały jezioro! Sądził, że jest dobrze ukryty.

— I po cośmy tak bardzo zбочyli z drogi? — dąsał się Hamo. — Żeby naszego papieskiego anioła stróża zbić z tropu?

— To pierwszy krok do zwycięstwa — zauważył sucho stary. — Jeśli mi zechcecie po-

stawić kubek czy dwa wina, wyłożę wam swój plan.

W szybko zapadających ciemnościach zesliśmy na dziedziniec zamkowy, gdzie wokół ognisk rozsiedli się żołnierze ze straży Hohenstaufa, jeźdźcy Eliasza, nasza grupa z Otranto, murarze, cieśle i kamieniarze, którym okoliczni rybacy i wieśniacy oferowali swe towary. Zaczęły krążyć naczynia z trunkami. Początkowa nieufność komendanta z powodu podejrzenie okrężnej drogi, jaką zmierzaliśmy do rzekomego celu, ostatecznie się rozwiązała; mogliśmy spędzić noc między murami, ba, komendant wskazał nam zadane pomieszczenie na nocleg. Hamo zmieszany odmówił życzliwej propozycji gospodarza, który chciał wysłać kilku swoich ludzi, by ujęli naszego prześladowcę, a ponieważ odmowę należało jakoś usprawiedliwić, zerwałem się i poprosiłem, aby przez miłość Pana Naszego Jezusa Chrystusa nie wieszać papieskiego człowieka dla samej uciechy cesarskich żołnierzy. Komendant bardzo żałował zmarnowanej okazji, polecił jednak przynieść nam dzban wina i odszedł.

— Dobrzeście zrobili — pogratulował Guiscard młodemu hrabiemu — że nie daliście usunąć człowieka, który w Rzymie powinien o nas świadczyć. Macie, panie, zadatki na wielkiego wodza.

Hamo uśmiechnął się zawstydzony, a ja wykorzystałem okazję i dodałem:

— Przyjmijcie, panie, i uznajcie za własną radę starego, twardego żołnierza. Bo skoro on żyje, znaczy to, że chyba wie, kiedy głowę wysunąć, kiedy jej użyć, a kiedy schować.

— Czasy mamy niespokojne — przytaknął mi Guiscard z zadowoleniem — toteż ła-two wyciąga się sztylety i sakiewki.

— Wyłóż ten swój plan — powiedział Hamo zaciekawiony. — Posłuchamy!

— Jutro rano wyślecie, panie, naszych ludzi, tych z Otranto, do Lucery, żeby wyprawili stamtąd w kierunku Rieti kompanię Saracenów.

— A my mamy zostać bez ochrony? — przerwał mu Hamo.

— Zostaną przecież żołnierze pana z Cortony! — stary wojak nie dał się zbić z pantafelku, ja zaś z ciekawością nastawiłem ucha. — Do tego jutro strażę się tu wymieniają i dobrze uzbrojony cesarski oddział pociągnie ku Benewentowi...

— Aha, chcesz ruszyć ku morzu? — Według Hamona plan był niebezpieczny, lecz przygoda zaczęła go podniecać.

— Wy, panie, nie musicie się śpieszyć, wystarczy, że ja pociągnę naprzód i wszystko przygotuję.

— Będzie nam cię brakowało, Guiscardzie — odezwałem się, mając na myśli również to, że gdy zostanę sam z tym młodzikiem, nie zdołam przewidzieć, co może mu z głupoty bądź zuchwalstwa wpaść do głowy, nie mówiąc już o przeciwdziałaniu takim pomysłom.

— Postępujcie zgodnie z planem, a wszystko będzie dobrze — uspokoił mnie Amalfitańczyk i zwrócił się znów do Hamona. — Najpierw pozwólcie wyroić się żołnierzom

waszej matki. Nasz posępny przyjaciel musi się poczuć osaczony. Złapać go nie złapią, ale podrażnia samotnego wilka. A to dość, żebym niepostrzeżenie ruszył w stronę wybrzeża. Po jakimś czasie, może nawet bardzo krótkim, nasz cień wywęszy podstęp, uwolni się od prześladowców i zacznie wam znowu towarzyszyć...

— I dokąd powinniśmy się wówczas udać?

— Jedźcie zygzakiem, raz ku Benewentowi, raz ku Salerno, jakbyście się chcieli pozbyć szpiega, co jeszcze bardziej go dotknie. Będzie w ciągłym napięciu...

— Ja też! — prychnął Hamo nieco pogardliwie. — Dokąd więc?

— Jak już spokojnym stępem zbliżycie się do Salerno, zostawcie żołnierzy cesarza, dajcie koniom ostrogę i skoczcie ostrym kłusem do Amalfi. Tam wsiądziecie na statek, który będę trzymał w pogotowiu. Pożeglujemy okrężną drogą!

— I uwolnimy się od prześladowcy?

— Jeśli taka jest, panie, wasza wola — powiedział Guiscard — nie zobaczy nas już nigdy. A mureny w naszej zatoce nie zostawią ani kawałeczka z konia i z jeźdźca.

— To dla mnie za proste i za szybkie! — rozgniewał się Hamo. — Nasz ślad ma się ciągnąć przez cały kraj. Rzym powinien rozdziawić gębę...

— Ha! w to mi graj! — szare oczy Guiscarda rozblęły. — Skoro tak, opłyniemy tylko przylądek Sorrento i ukryjemy się po drugiej stronie. Nasz przyjaciel wynajmie statek, co go będzie słono kosztować, i zacznie nas ścigać. Będzie żeglował dzień i noc aż do Ostii, bo wpadnie w panikę. Wyprowadzi papieską flotę z portu na Tybrze i zablokuje odcinek między Civitavecchia a Elbą, żebyśmy nie wylądowali w Toskanii albo nie przedarli się do Pizy. Potem papieskimi oddziałami zagrozi drogi od Viterbo do Orvieto, ponieważ przyjmie nie bez racji, że jak najszybciej będziemy chcieli dotrzeć do wiernej cesarzowi Perugia albo Cortony pana Eliasza...

— Ale jakże my tam dotrzemy? — wtrąciłem stropiony, gdyż znałem tę okolicę, podczas gdy Hamo nigdy nie wyjechał poza Neapol, który kiedyś zwiedzał z matką. Wszystkie tereny położone bardziej na północ były mu tak obce jak lodowate Morze Północne czy Ocean za skałą Dżabala at-Tarika.

— Pożeglujemy w górę Tybru, do Rzymu, aż do portu Ripa przy Wyspie Trędowatych. — Odebrało mi mowę.

— Do Rzymu?! — wykrzyknął Hamo pełen podziwu; było to po jego myśli, jakby sam na to wpadł. — Przez środek Rzymu! Przez jaskinię lwa!

Stary Guiscard cieszył się skrycie, że jego wikingowski podstęp znalazł takie uznanie.

— Nigdzie nie będą się nas mniej spodziewać, a zanim ktoś powźmie podejrzenie, będziemy już za Monte Tiburtini w drodze do Rieti!

— A tam będą na nas czekać Saraceni — dorzuciłem, aby wykazać, że jestem w stanie śledzić jego wywody.

— To nasz odwód, powinni wkroczyć tylko wtedy, gdyby nas ścigano. W razie czego musimy ich poświęcić, żeby za ich plecami dotrzeć do Spoleto, Perugii i potem Cortony!

— Tak zrobimy! — zdecydował Hamo niczym prawdziwy wódz, chociaż nie pan sytuacji.

Rzymski wypad oczarował go. Ja czułem się mniej zachwycony na myśl o przejechaniu pod murami zamku Świętego Anioła. Myślałem też o posępnej postaci naszego prześladowcy, który nie sprawiał wrażenia, że tak łatwo da się położyć na łopatkę. Dołączyłem zatem do mojej wieczornej modlitwy prośbę o ślepotę, którą Pan mógłby go przecieź porazić.

Tymczasem zrozumiałem taktykę starego amalfitańskiego korsarza: pokazać bykowi czerwoną płachtę, podrażnić go, znękać, rozstroić mu nerwy, aż zapieni się z wściekłości i niecierpliwości, a tym samym straci ostrość postrzegania, potem osłabnie i z pokorą będzie już oczekiwał tylko jednego: aby się w końcu pojawiło coś, na co mógłby się rzucić. Ale nawet to nie będzie mu dane. Wtedy dopiero otrzyma pchnięcie, szybkie i lśniące jak błyskawica. Oburzenie prześladowcy przerodzi się w wybuch gorzkiej żółci, albowiem jego równowaga zmysłów od dawna będzie zachwiana. W gorączce zacznie robić błąd za błędem, gdy tymczasem my, chłodni, nie napastowani, odniesiemy zwycięstwo. Amen!

Poszliśmy spać.

W środku nocy zbudziły mnie podniecone okrzyki:

— Cesarz!... Cesarz zdetronizowany!...

Wrócił Guiscard.

— Sobór w Lyonie odebrał Fryderykowi tytuł i godność, tylko że Hohenstaufa niewiele to obchodzi... — Wczołgał się na swoje legowisko. — Pies szczeka...

— ...a karawana idzie dalej — dokończył Hamo. — Dobrej nocy, panowie!

Ja jednak długo jeszcze nie mogłem zasnąć. Nie byłem wcale taki pewien, że to wydarzenie pozostanie dla nas bez znaczenia.

## WYKLĘTY

*Iesi, jesień 1245*

Eliasz z Cortony, pozbawiony własnych żołnierzy, także w Lucerze nie otrzymał eskorty, nie udało mu się też zwerbować ludzi w najbliższej okolicy. Wszyscy wierni Hohenstaufowi Apulijczycy przycupnęli teraz w swoich warowniach i czekali na roz-

wój wydarzeń.

Bombarone przyłączył się więc do oddziału, który pod dowództwem jednego z admirałów Fryderyka pożeglował w górę Adriatyku, aby zapewnić bezpieczeństwo Ankonie, portowi ważnemu na tym wybrzeżu — Rzesza graniczyła tutaj z terytorium przyległym do *Patrimonii Petri*. Na przekór jednak wszystkim ostrzeżeniom Bombarone opuścił cesarskie wojsko i na czele niewielkiej grupy wyruszył, by przebić się do Cortony.

Nie wjechał daleko w głąb kraju. Przejeżdżali właśnie przez Iesi, gdy z przeciwległej ulicy wychodzącej na Piazza della Signoria wyłonił się poczet zbrojnych: papiescy! Otaczali gęstym kordonem podróżny pojazd legata.

Obie strony zatrzymały konie, pięści zacisnęły się na włóczniach i rękojeściach mieczy, legat zaś wysiadł bez trwogi z karety. Eliasz rozpoznał go natychmiast.

— Wawrzyniec! — zawołał.

— Mój generał! — zakrzyknął tamten i ku zdumieniu swego orszaku, zarówno „kluczowych”<sup>\*</sup> żołnierzy, jak i franciszkanów, ruszył, by na piechotę, samotnie, przeciąć pusty rynek, prosto w kierunku oddziału, który skupił się wokół znienawidzonego cesarskiego sztandaru.

Eliasz zeskoczył z konia i wyważonym krokiem, na jaki mu godność pozwalała, pospieszył małemu mnichowi naprzeciw. Potem przystanęli, nagle niepewni, który któremu powinien się pierwszy pokłonić: prosty mnich generałowi swego zakonu, nawet zdjętemu ze stanowiska, czy też ekskomunikowany minorityta Eliasz legatowi Ojca Świętego; stali przed sobą zakłopotani.

— Jestem w drodze do Ziemi Świętej — przerwał milczenie Wawrzyniec z Orty i spojrzał swemu rozmówcy prosto w twarz. — W Ankonie chcę wsiąść na statek.

— Stamtąd akurat przybywam — odpowiedział Eliasz. — Nie jestem pewien, czy papieski legat będzie tam teraz mile widziany. Port jest w ręku cesarza!

— Jadę z daleka, z Lyonu — oznajmił Wawrzyniec, rzucając na Eliasza badawcze, lecz zatroskane spojrzenie. — Długo was tam oczekiwano, przewielebny ojcze, i wreszcie ekskomunikowano, ale to was chyba nie zaskakuje.

Eliasz nie należał do tych, którzy okazują emocje bądź łatwo dają się skonsternować. Nawet na własną egzekucję kroczyłby z takim samym melancholijnym wyrazem twarzy, co wielu myliło z zarozumiałością.

— Papież próbował już tego w ostatnim roku, kiedy zmarł mój następca, Aymon, i Innocenty mocą swego urzędu prędko zwołał do Genui kapitułę generalną. Wtedy musiał jeszcze przyjąć moje pisemne usprawiedliwienie...

— Tym razem jednak dopadł wiernego przyjaciela Hohenstaufa. Bezlitośnie!

---

<sup>\*</sup> Kluczowi żołnierze — oddziały papieskie nazywane tak od herbu Państwa Kościelnego, tj. skrzyżowanych kluczy.



— Nie po raz pierwszy! — smutny uśmiech przemknął przez szczupłą twarz Elia-  
sza.

— Ale z pewnością ostatni — pocieszył go Wawrzyniec — ponieważ tym razem wy-  
kluczono was także z zakonu.

— Święceń kapłańskich nikt mi nie może odebrać! — oburzył się Bombarone.  
— A to, kto jest lepszym chrześcijaninem...

— ...ustala *pontifex maximus*\* — przerwał Wawrzyniec. — On zdetronizował cesa-  
rza!

— Tego należało się spodziewać — powiedział Eliaz znużony — mimo to porusza  
mnie ta potworność! Opowiedz, co pan Sinibald z Fieschi, nasz wspaniały papież, ka-  
zał z tej okazji wymyślić.

— Tam w gospodzie jest wolny stół i wygodna ława — zauważył Wawrzyniec.  
— Pozwólcie, przewielebny ojcze, zwilżyć gardło i wznieść cichy toast za Fryderyka,  
który całą tę soborową komedię określił jednym zdaniem: „Winienem podziękować pa-  
pieżowi, któremu dotąd musiałem oddawać cześć, teraz bowiem nie mam już obowiąz-  
ku kochać go, czcić i żyć z nim w pokoju!”

— Za to istotnie należy wypić, Wawrzyńcze! — zgodził się Eliaz. Kazali swoim lu-  
dziom zsiąść z koni i czekać na dwu końcach placu, sami zaś udali się do gospody.

— Pan Sinibald miał wejście jak sama *innocentia*,\* którą obłudnie udaje, gdy chodzi  
o przeprowadzenie własnej woli. Zjawiła się w ogóle tylko jedna trzecia biskupów, bra-  
kowało Niemców, Węgrów i Sycylijczyków, jeśli nie liczyć arcybiskupa Palermo, który  
przyjechał bronić cesarza. Po papieskiej prawicy siedział bezsilny władca Cesarstwa Ła-  
cińskiego, Baldwin, obok niego pozbawiony hrabstwa Rajmund Siódmy z Tuluzy, dalej  
hrabia Prowansji Rajmund Berengar...

— ...obdarzony przez Pana czterema córkami, które bez wyjątku chcą zostać królo-  
wymi! — przerwał mu Eliaz i podnieśli puchary.

— Po lewej ręce papieża — ciągnął Wawrzyniec — zajmowali miejsca patriarchowie  
Konstantynopola, Akwilei i Antiochii...

— Więc temu brodatemu pijaczynie udało się jednak przybyć w porę na obrady?  
— Bombarone wyraźnie się zirytował, Wawrzyniec zatem rozsądnie przemilczał, że to  
on sam ulitował się w końcu nad starcem i zabrał go z Cortony do Lyonu. W mgnieniu  
oka zmienił zrzecznie temat.

— Pan papież wygłosił płacziwą mowę, w której pozwolił sobie porównać swoje  
cierpienia z pięcioma ranami Chrystusa. Te rany to: srożenie się Tatarów; schizma Gre-  
ków, którzy mają czelność nie uznawać w papieżu swego zwierzchnika; zło kacerstwa,

---

\* Pontifex maximus (łac.) — najwyższy kapłan, papież.

\* Innocentia (łac.) — niewinność, prawość.

które sądzi, że wie, jak postępował prawdziwy Chrystus; i wreszcie utrata Jeruzalem...

— Przecież sama kuria rzymska przeszkadzała i przeszkadza cesarzowi w wyruszeniu z odsieczą na czele nowej krucjaty! — przerwał Eliasz tę wyliczankę, a Wawrzyniec przytaknął skinięciem głowy.

— W końcu Jego Świątobliwość zaczął mówić o tym, co mu rzeczywiście leżało na wypełnionym nienawiścią sercu: o wrogości cesarza! I wtedy, jakby ktoś otworzył śluzy *Cloacae Maximae*\* wylało się na Hohenstaufa całe plugastwo: Saraceni z Lucery! Harem w Palermo! Wydanie córki za schizmatycznego cesarza Greków!... Skądinąd to wam zarzucono doprowadzenie do tego, czcigodny bracie Eliaszu!

— Tak, wiem. Niestety, Watatzes tak źle traktuje to cesarskie dziecko, że Anna poskarżyła się podobno patriarsze — musiał z żalem przyznać Eliasz. — Swatanie, Wawrzyniec, to niewdzięczny interes!

Obaj franciszkanie, zatroskani, opróżnili puchary i kazali je ponownie napełnić.

— W każdym razie papież wzbudził wiele współczucia, z oczu lały mu się strumienie łez, a głos przerywało łkanie. Patriarcha Akwilei próbował ująć się za cesarzem, wówczas papież huknął i zagroził, że odbierze mu pierścień...

— Odważny człowiek z tego księcia Bertolda! — wyraził uznanie Eliasz. — A czy w obronie cesarza nie wstał nasz wielki sędzia nadworny?

— A jakże! Tadeusz z Sessy wystąpił z mądrą mową i obalał oskarżenie punkt po punkcie, ba, uderzył jeszcze w papieski ród Fieschich, zarzucając im lichwę i nepotyzm, czego cesarz nie cierpi i co oburzyło Anglików i Francuzów. Udało się więc Tadeuszowi przerwać posiedzenie tego trybunału...

— Użyłeś, bracie, właściwego słowa: ci żądni władzy, przekupni kapłani ośmielili się sprawować sąd nad cesarzem!

— Niestety, pan Fryderyk nie wziął sobie tej sprawy wystarczająco do serca, w przeciwnym razie ruszyłby z wojskiem spod Turynu i przepędził na cztery wiatry tę chmarę gnojnych much. Tego zresztą papież bardzo się obawiał, nie czując się powołany do roli męczennika.

— Masz słuszość — oświadczył Eliasz. — Kto myśli i kieruje się tak ziemskimi zasadami jak pan Sinibald, tego święci muszą napawać odrazą. Naszego kochanego Franciszka spaliby z pewnością na stosie jako kacerza!

— Jako kacerza przedstawił też cesarza po wznowieniu obrad soboru. Oczywiście znowu zalewając się łzami. Tadeusz z Sessy proponował gwarancje pokojowe, odszkodowanie, natychmiastową krucjatę pod przewodnictwem cesarza. Wszystko na nic! Papiescy stronnicy wypisali na swoim sztandarze zniszczenie „antychrysta”. Z niewiarygodną zawziętością opuścili pochodnie, zgasili na kamiennej posadzce i ogłosili, że Fryderyk

---

\* Cloaca maxima (łac.) — największy ściek; kanał podziemny odprowadzający nieczystości z miasta.

zostaje zdetronizowany i pozbawiony wszelkich godności i urzędów.

— Cóż za tryumf dla wszystkich wrogów Rzeszy, ba, chrześcijaństwa! I cóż za żało-  
sne przedstawienie! — westchnął Eliasz wstrząśnięty i pełen gniewu.

— Byłem w Turynie razem z Mateuszem z Paryża, gdy przekazano cesarzowi wia-  
domość. Wybuchnął gniewem, krzyknął, żeby mu podać koronę, wsadził ją na głowę  
i tocząc wokół strasznym wzrokiem zawołał: „Za długo byłem kowadłem, teraz będę  
młotem!”

— Tak, tak — przyznał Eliasz — będą niektórzy zbierać guzy, bo któż go naprawdę  
zrzuci z tronu i pozbawi cesarskiej władzy?! Wracam do Cortony i zaraz...

— Przejeżdżaliśmy wczoraj tamtędy — wspomniał Wawrzyniec. — Pani Gersenda,  
strażniczka waszego domu, powiedziała mi, że gmina na przekór soborowi, który taki  
wam jest wrogi, zgodziła się sprzedać teren pod klasztor i kościół Świętego Francisz-  
ka...

— Wreszcie dobra wiadomość w tych złych dniach! — zawołał Eliasz i opróżnił pu-  
char. — Wobec tego nie chcę tracić czasu...

— Zaraz, zaraz! — zatrzymał go Wawrzyniec. — Zmartwiona Gersenda napomknęła  
też, że ma nadzieję, iż w najbliższym czasie będziecie, przewielebny ojcze, unikać Corto-  
ny. Wokół miasta rozlokowali się zuchwale żołnierze papiescy z Viterbo, co może ozna-  
czać, że kardynał Capoccio nastaje na waszą głowę. — Wawrzyniec rzucił pogardliwe  
spojrzenie na oddziałek, który Bombarone prowadził z sobą dla ochrony. — Powinniście  
raczej wrócić do Ankony i tam przeczekać.

— Teraz moje miejsce jest przy boku cesarza! — bronił się Eliasz, aczkolwiek słabo,  
nie będąc bynajmniej bohaterem. — Dobrze by było — dodał ścisząc głos — wstawić  
się za Fryderykiem u naszych braci, żeby ich nie wykorzystano do szczytnego wygnań-  
ca. Chętnie poszedłbym za twoją radą, Wawrzyńcze — w końcu Bombarone wyja-  
wił swą myśl — gdybyś ty zawiesił na pewien czas swoją papieską misję i na północy,  
w buntowniczej Lombardii, odwiedził klasztory naszych braci. Trzeba ich dobrze nastaw-  
ić *pro imperatore*...\*

— I wobec Eliasza? — uśmiechnął się mały mnich, co Bombarone fałszywie zrozu-  
miał.

— W południowych Niemczech też miałbyś zadanie szczególnej wagi. Zatrószyły-  
byś się mianowicie o to, żeby nasz brat Jan z Pian del Carpine nie wyruszył na Wschód,  
póki nie dołączy do niego William z dziećmi. Czy przybyli już może do Cortony?

— Nie natknąłem się na żaden ślad — odparł Wawrzyniec — a za Alpy także mnie  
nie ciągnie. — Wstał. — Postaram się dla was i dla dobra Rzeszy przez jakiś czas pro-  
wadzić działalność misyjną w Italii, ale z rozważą — wyszczerzył w uśmiechu zęby

---

\* Pro imperatore (łac.) — wobec cesarza.

— w przeciwnym razie może mnie dosięgnąć klątwa za to, że tak jawnie zaniedbuję obowiązki legata...

Eliasz wydawał się zadowolony z takiego załatwienia sprawy. Chętnie by uściskał Wawrzyńca, lecz obaj musieli zważać na czujne oczy swych orszaków, toteż zrezygnowali z braterskiego pożegnania.

— Ale William tak czy siak nie złapie już Piana, bo miał zaraz po mnie wyruszyć z Lyonu — dorzucił odchodząc Wawrzyniec. — Powinniście go zresztą zatrzymać, przekraczanie Alp zimą to szaleństwo.

— Drogi Pańskie... — Eliasz urwał, gdyż Wawrzyniec był już za daleko, ponadto on sam nie był przekonany, czy słusznym jest składać odpowiedzialność na Boga za własne ziemskie matactwa. Może jedynie zasięgnąć języka, jak daleko William zawędrował. Ważny był tutaj nie cel, bo przecież nie miał żadnego, ale tuman kurzu, który wzbijał. A jeśli nieszczęsny Flamandczyk na zawsze zniknie w śniegach, będzie to także zgodne z wolą Bożą!

Podczas gdy oddział legata, co Eliasz stwierdził z zadowoleniem, skierował się faktycznie ku północy, on tkwił wciąż niezdecydowany na rynku w Iesi. Zadrżał, bo nagle przyszło mu na myśl, że przecież tutaj więcej niż pół wieku temu w namiocie przyszedł na świat Fryderyk, *stupor mundi*!\* Czyżby jego promienna gwiazda przekroczyła zenit? Czy on, Eliasz, powinien trwać przy cesarzu i razem z nim zmierzać ku upadkowi? A może nadszedł już czas, by zawrzeć pokój z Kościołem, obojętne, w jak nędznym stanie się znajduje, obojętne, jaki niegodny kapłan stoi akurat na jego czele?

Przypomniała mu się budowa kościoła, którą rozpoczął w Cortonie. Czy nie był to znak pojednania, a nie tylko przekora, jak głosili jego wrogowie? Zestarzał się przecież i nie wie, ile lat jest mu jeszcze pisane. Bardziej niż o zdjęcie klątwy kościelnej martwił się więc o ukończenie domu Bożego, który miał się stać szkatułą godną relikwii drzewa Świętego Krzyża przywiezionej z Bizancjum, przede wszystkim zaś miał zamanifestować jego przywiązanie do Franciszka, pokazać jeśli już nie obecnemu, jakże głupiemu światu, to przyszłym pokoleniom, że brat Eliasz i *santo poverello* byli nierozdzielni. Najchętniej pojechałby teraz do tak mu bliskiej rodzinnej Cortony, aby się cieszyć postępami budowy, lecz zabrakło mu odwagi. Nie chciał także spotkać się z Williamem, na którego czole wyraźnie był wypisany pech. Nie miał ochoty choćby przez chwilę oglądać tej grubej ropuchy przynoszącej nieszczęście! Niech sobie skacze niezdarnie ku swojej zgubie wraz z tymi fałszywymi „dziećmi Graala”! On, Eliasz, nie chciał już mieć z tym wszystkim nic wspólnego!

---

\* *Stupor mundi* (łac.) — „Osłupienie Świata”, przydomek Fryderyka II, który 26 XII 1194 r. ujrzał światło dzienne na rynku w Iesi k. Ankony. Aby zapobiec wszelkim podejrzeniom co do jego urodzin, matka, Konstancja, kazała na czas swego rozwiązania rozbić wielki namiot i zmusiła 18 prałatów, kardynałów z Rzymu i biskupów z okolicy, do obecności przy porodzie.

To ostatecznie przeważyło. Bombarone odwrócił się i ruszył z powrotem do Ankonny.

## AMALFITAŃCZYK

*Amalfi — Rzym, jesień 1245*

Wit z Viterbo, on to bowiem był tajemniczym jeźdźcem śledzącym wyprawę Hamona, nie zmrużył oka tej nocy. Zbyt wielki ruch panował na budowie Castel del Monte. Jakże chętnie wślizgnąłby się do środka i podłożył ogień, byle tylko wyrządzić szkodę znenawidzonemu Hohenstaufowi! Opanował się jednak. Tak czy tak w najbliższym czasie Fryderyk nie będzie miał wiele pociechy z tego zamku, choćby go kazał wyłożyć różowym marmurem, ozdobić drogocennymi dywanami i gobelinami, darami od swego przyjaciela sułtana, i zapełnić pogańskimi posągami, wyłowionymi z morza przez jego flotę. Teraz na pewno przejdzie temu antychrystowi dobry humor i ochota do zabawiania się tutaj polowaniami z sokołem bądź spacerami ze swym haremem!

Nie, Wit widział swój cel w tym, aby ugodzić cesarza w bardziej czułe miejsce: porwać mu dzieci, krew z jego krwi i kość z kości! To powinno tego kacerza, tego antychrysta powalić na kolana... Wit widział się już, jak tryumfujący staje przed swoim ojcem, a bękarty Hohenstaufa trafiają do najgłębszych lochów zamku Świętego Anioła jako cenni zakładnicy w rękach Szarego Kardynała.

Utrzymywany w czujności przez nienawiść, z palącymi ze zmęczenia oczyma, patrzył Wit na nocną sylwetkę Castel del Monte, a im dłużej się w nią wpatrywał, tym bardziej przypominała mu więzienie i tym bardziej podobało mu się to, co widział.

O świcie wysypała się z kasztelu bezładna gromada i skierowała na południe, co Wit uznał za fortel. Nie mógł przecież wiedzieć, że to dezercerujący żołnierze Eliasza, którzy usłyszawszy przerażającą wieść o obaleniu cesarza zgodzili się ze swymi kapitanami, że teraz w żadnym razie nie mogą jechać dalej do Cortony, ale jak najszybciej powinni zawrócić do Otranto i oddać się pod Eliazsowe rozkazy. Aby przypadkiem nie otrzymać od Hamona innych poleceń lub nie natknąć się na przeszkodę ze strony jego ludzi, nie pytali w ogóle o nic, tylko pospiesznie zniknęli.

Hamo także uważał ich ucieczkę na południe za świadome wprowadzenie go w błąd, był jednak zbyt dumny, aby z tego powodu zmieniać „swój” plan. Guiscard nalegał na niego, by w tej sytuacji zatrzymał przynajmniej ludzi swej matki, jednakże młody hrabia stanął przed zebraną załogą i oświadczył głośno:

— Kto chce zostać przy mnie, niech wystąpi, reszta może wracać do domu, jak było obiecane.

Wraz z Guiscardem zgłosiło się wszystkiego ośmiu żołnierzy. Amalfitańczykowi udało się jedynie nakłonić Hamona, by wysłał kilku kurierów z wiadomościami do Lucery, a resztę ludzi hrabiny zachęcić, by przed odjazdem złapali papieskiego szpiega, który śledził ich nieustannie od wielu dni. Żołnierze z Otranto bezładnie i bez dowódcy wyroili się z zamku i rozpoczęli polowanie na Wita.

Stary wilk nie musiał zadawać sobie wiele trudu, aby jednego ze swych prześladowców zwabić w zasadzkę, ściągnąć z konia i przygwoździć do ziemi. Z nożem na gardle złapany wyjąkał wszystkie szczegóły, których Wit jeszcze potrzebował. O tym, że właśnie odjeżdżała do Benewentu złuzowana straż, wiedział już od dawna. Pozostało tylko zdobyć wiadomość, jakie polecenie przekazano Saracenom w Lucerze.

— Rieti! — wykrztusił ów człowiek i Wit poderżnął mu gardło.

Gdy następnie skierował się ostrożnie do Castel del Monte, budowa była opuszczona. Zrezygnował jednak z myśli, by wzorem Herostratesa podłożyć ogień pod to co prawda nie gotowe jeszcze dzieło, podciął konia i rączym kłusem popędził przez całą Italię do Viterbo.

Tutaj mógł rozporządzać garnizonem Capoccia, wkrótce więc z pospiesznie wezwanym pod broń wojskiem ruszył forsownym marszem ku górcom otaczającym Rieti, aby tam urządzić zasadzkę na przybywających z Lucery hohenstaufowskich Saracenów.

Za oczywiste uważał, że dzieci i ten mnich William będą wraz z nimi. Wróg chciał go wprawdzie przekonać, że zmierza ku morzu, ale Wit wiedział, iż od Benewentu ruszą drogą na północ, prowadziła bowiem prosto jak strzelił przez L'Aquilę do Rieti. Człowiek z Otranto nie okłamał go, kierunek się zgadzał, tylko że obie grupy musiały się spotkać dużo wcześniej, aby potem razem przebić się na północ. Wilk umiał czekać i czekał...

Saraceni nie przybywali. Kiedy kurierzy Hamona zjawili się w Lucerze, już tam dotarła wieść o detronizacji Fryderyka. Komendant, zawsze uczynny wobec hrabiny przez pamięć starego braterstwa broni, tym razem uznał za roztropniejsze nie rozpraszać swoich oddziałów i czekać na wskazówki cesarza. Z żalem odesłał kurierów z tą wiadomością do Otranto.

Wit wzmocnił czujność. Nie powiadamiając Szarego Kardynała ani zamku Świętego Anioła, kazał części papieskiej floty wypłynąć z Ostii i patrolować wybrzeże w kierunku północnym, jak przewidział Guiscard. Viterbczyk rozciągnął szeroko papieskie wojsko, aby mieć pewność, że również bocznymi drogami Saraceni z Williamem i dziećmi nie będą mogli się przedostać; wysyłał wywiadowców aż do jeziora Fucine i na skraj Abruzów, lecz nadaremnie — znikąd nie otrzymywał wieści, że natrafiono na ślad, nie przychodziły żadne pogłoski...

Tymczasem grupka z Otranto miała zupełnie inne plany. W dodatku gdy Guiscard

spostrzegł, że szpieg ich opuścił, pozostał przy Hamonie i przejął komendę. Oddziałek rozstał się z żołnierzami Hohenstaufa, którzy pociągnęli Via Appia do Benewentu, i skierował się prosto ku wybrzeżu.

W Amalfi zatrzymała się na postój powracająca z Ziemi Świętej flotylla pizańska i z oburzeniem dowiedziała się o krzywdzie, jaką w Lyonie wyrządzono ich cesarzowi. Wprawdzie między obu morskimi republikami dochodziło często do konfliktów na Morzu Tyrreńskim — bogaci kupcy z Pizy uważali Normanów z Amalfi za wikingów, piracką hołotę, ci zaś Pizańczyków za sardyńskich kozich pastuchów — ale w wierności cesarzowi obie republiki sobie nie ustępowały. Konsulowie Amalfi i pizański admirał szybko doszli do porozumienia. A gdy zjawił się jeszcze Guiscard i napomknął coś o „dzieciach hohenstaufowskiej krwi”, problemem stało się nie to, czy jakiś statek ma wyruszyć, lecz który powinien pozostać.

W mig przygotowano statki, które wzięły na hol mniejsze łodzie. Hamo, Klarion — pieczołowicie strzegąca „cesarskich dzieci” — William i Guiscard zostali razem, żołnierzy z Otranto zaś rozdzielono między Amalfitańczyków. I flotylla wypłynęła z portu...

Wit niczym głodny wilk strzegł nadal w górach wokół Rieti przełęczy prowadzących do Umbrii. Gdy dotarła do niego wieść, że Eliaz z silnym wojskiem wylądował w Ankonie, zaczął rozważać, czy nie byłoby lepiej przerwać po cichu całe przedsięwzięcie, nim zostanie odcięty od Rzymu, nawet gdyby przyjąć, że Bombarone chciał jedynie chronić własne dobra w Cortonie.

Dzieci w każdym razie przy nim nie zauważono — przynajmniej szpiegdy o nich nie meldowali. Naturalnie było możliwe i inne rozwiązanie: z Castel del Monte w dwa dni ostrej jazdy uciekinierzy dotarli do wybrzeża adriatyckiego koło Andrii, gdzie przejął dzieci zdradziecki Eliaz. Jeśli tak, to on, Wit, wychodził na gamoniowatego wieśniaka wyprowadzonego w pole przez sztuczki oszustów! Teraz nie mógł już odciąć Eliazowi drogi do Cortony, nie mówiąc o tym, że w Umbrii nikt palcem nie kiwnie w obronie papieskich interesów. Przeciwnie! Tam sami cesarscy obwiesie i bezbożna hołota!

Kiedy viterbczyk tak się ze sobą pasował, nadbiegł zakrwawiony posłaniec, noszący barwy Capoccia: zaatakowano Rzym! Pizańczycy podpalili pozostałą w Ostii flotę i posuwają się w górę wybrzeża, urządzając polowanie na resztę statków pod papieską banderą. Normañscy piraci natomiast żeglują w górę Tybru i dotarli już do zamku Świętego Anioła! Ludność tłumnie ucieka z miasta. Kuria oszańcowała się w zamku!

Wit wyszczeakał rozkazy niezbędne dla zebrania wojska, oczami wyobraźni widząc, jak Szary Kardynał, który pod nieobecność papieża chętnie sam odprawiał mszę u Świętego Piotra, z zadartą sutanną ucieka tajemnym korytarzem do twierdzy. Miasto zostało bezbronne, огоłocone z floty i wojska tylko dlatego, że on, Wit, przeczesywał te-

ren za jakimiś kacerskimi czy hohenstaufowskimi dziećmi, których ten ogier spłodził przecież tyle, ile wydołał jego obrzezany ogon!

Nie, nie mógł się teraz pokazać ojcu na oczy, musiał coś zrobić. Co najmniej ucięta głowa Eliasza i nadziane na włócznie cesarskie bękarty — oto co powinien złożyć kardynałowi u stóp, by ten zechciał potraktować biczem jego goły grzbiet, na co po tysiąc-kroć zasłużył.

Właśnie chciał wydać rozkaz do wymarszu na północ, gdy następny posłaniec nakazał mu natychmiastowy powrót do Rzymu...

## LA GRANDE MAITRESSE

### *Castel Sant' Angelo, jesień 1245*

Rajner z Capoccio, kardynał diakon od Najświętszej Marii Panny z Cosmedin, odprawił mszę w bazylice Świętego Piotra; był to przywilej, na który sobie pozwalał, kiedy Ojciec Święty nie przebywał *intra muros*.<sup>\*</sup> Kardynał udzielał jeszcze błogosławieństwa kilku ziomkom, którzy przybyli z Viterbo, aby mu złożyć uszanowanie, gdy usłyszał pierwsze krzyki przed bazyliką.

Pomyślał od razu o Fryderyku. Na miasto napadł cesarz lub jego szalony bastard Enzo! Nie zważając na swoją godność, popędził w kierunku ufortyfikowanego przejścia, które prowadziło bezpośrednio do zamku Świętego Anioła. Unosząc kardynalską szatę, biegł prędko wystającym ponad dachy korytarzem i dopiero gdy poczuł się bezpieczny, odważył się rzucić okiem na zewnątrz przez jeden z otworów w murze.

Ujrzał w łuku Tybru wyglądające jak cienie długie łodzie piratów, ogień i dym na brzegach aż do szpitala Świętego Ducha. Napastnikom nie stawiano większego oporu, toteż byli coraz bliżej. Kardynał widział, jak w dole z krzykiem biegną uciekający ludzie. Nie tracąc więcej czasu, ruszył jak burza przez salę *mappae mundi* na najniżej położony pierścień obronny, zobaczył, że katapulty zostały już załadowane i łucznicy zajęli stanowiska, zwolnił więc kroku i nieco zadyszany — ostatecznie nie był już najmłodszy — udał się po stromych schodach do swoich prywatnych komnat. Zrzucił szaty liturgiczne, zamieniając je na wygodniejszą sutannę antracytowej barwy, przed którą wszyscy drżeli ze strachu i przerażenia. To także było wygodne!

Strażnikom bez wyraźnego rozkazu nie wolno było wstępować na górny wieniec murów, kardynał bowiem nie znosił, gdy stali tam żołnierze i spoglądali w dół na niewielkie patio, po którym — zresztą dosyć rzadko — się przechadzał, przeważnie nad

---

<sup>\*</sup> *Intra muros* (łac.) — wewnątrz murów miasta.



czymś rozmyślając. Dziś jednak zauważył uspokojony, że tam również są uzbrojeni ludzie. Ale potem jego wzrok padł na podwórzec, jego podwórzec, na który nikomu nie wolno było wchodzić!

Na podwórku stała czarna lektyka.

Szaremu Kardynałowi zrobiło się nagle niedobrze, przeszył go dreszcz. Czyżby ONA przejęła władzę w twierdzy? Czyżby dla niego przygotowano już pień? ONA mogła przybyć tylko na egzekucję.

Wyprostował się. Spodziewano się po nim godności, nawet w tej godzinie. Przecież wciąż jeszcze był panem zamku Świętego Anioła!

Do diabła z heroicznymi gestami! Nie miał ochoty umierać! Ostrożnie zerknął jeszcze raz w dół. Nie dostrzegł ani jednego templariusza z JEJ eskorty ani kata, a jego żołnierze na blankach baczili tylko na to, co się dzieje na Tybrze.

Capoccio przypomniał sobie, że tuż za lektyką znajdują się wpuszczone w mur kręte schody, którymi niegdyś wprost z blanków można było zejść na podwórzec. Na rozkaz kardynała drzwi na dole zamurowano, aby żaden z wartowników tamtędy nie schodził i nie zakłócał mu spokoju. W połowie wysokości schodów znajdowało się ukryte wejście. Mógł się więc do NIEJ zbliżyć, ONA zaś jemu nic nie mogła zrobić.

Rzucił ostatnie spojrzenie w dół. Zasłony lektyki były zaciągnięte, nie dostrzegł najmniejszego ruchu, a przecież wiedział, że ONA jest w środku i czeka. Umiejętność czekania stanowiła właśnie o jej budzącej grozę mocy.

Kardynał ruszył prosto ze swej przebiegłej labiryntem korytarzy, które tylko do niego należały, choć nagle przestał być tego zupełnie pewien. I po raz pierwszy wędrówka w ciemności dała mu poczuć smak strachu, który jako Szary Kardynał sam rozsiewał. Tajnym przejściem wszedł na schody i wówczas uderzył go w nozdrza ohydny fetor. Nie pomyślał o tym, że strażnicy mogli z nie używanego zejścia zrobić wychodek. Zaklął i poprzez ekskrementy zszedł na sam dół, gdzie w miejscu drzwi pozostawiono tylko szczelinę. Trzymając przy twarzy maskę, choć najchętniej zatkałby sobie nos, wychylił się najdalej jak mógł.

Czarna zasłona poruszyła się i postać w lektyce, czego zresztą oczekiwał, pokazała mu na moment abakus, a potem usłyszał JEJ głos:

— Rajnerze z Capoccio — powiedziała z wyrzutem — z miejsca, gdzie stoicie, ciągnie obrzydliwy smród! Czy jest wam niedobrze, że zamierzacie ze mną mówić z latryny? A może chcecie mi pokazać, jak mam was oceniać?

— Nic nie czuję — odparł zdecydowanie kardynał — a wolę nie być widziany.

— Ze mną?

— Nie, ten, do którego teraz mówicie, prawie nigdy się nie pokazuje...

— Ach — odezwała się drwiąco — *spaventapasseri*, straszdyło, szary upiór zamku Anioła! Czcigodny pan z Capoccio... Czyżby obleciał go strach dlatego, że paru amal-

fitańskich piratów w pocie czoła wiosłuje w górę Tybru? Bez obawy, zamku nie da się zdobyć z zewnątrz, można go tylko wypatroszyć od środka, jak raka, któremu trzeba wsunąć nóż pod skorupę!

— Kpijcie sobie, pani, ale jesteście w moim ręku! Jedno moje słowo i łucznicy stojący na murach naszpikują strzałami każdego rycerza z waszej eskorty jak świętego Sebastiana i wasza głowa...

— Mylicie się podwójnie: hydrze zawsze odrasta łeb, a nad waszą głową stoją dwaj moi ludzie gotowi ściągnąć z najbliższej katapulty garnek greckiego ognia i wlać go do dziury, w której tkwicie! Inaczej po tak długim czasie wyobrażałam sobie naszą rozmowę, to ponowne widzenie, które zresztą nie jest widzeniem.

— Wówczas nie wiedziałem jeszcze, kim jesteście, dziś to wiem...

— Co nie dodało wam rozumu.

— Wiedza rzadko czyni mądrzejszym, użycza tylko pewności: wiem, kto was na łożu śmierci...

— Nawet jeśli wiecie — przerwała mu gwałtownie — nie wolno wam o tym mówić. W przeciwnym razie pożegnacie się z życiem.

— Wobec tego pozwólcie mówić martwemu: gdy król Filip leżał na łożu śmierci, delfin wysłał do Italii swoich ambasadorów, żeby w Ferentino byli świadkami pojednania papieża Honoriusza i Fryderyka. Cesarz złożył jedną z wielu obietnic poprowadzenia wyprawy krzyżowej, a Francuzi odnowili stare przymierze Kapetyngów z Hohenstaufami. Na czele Francuzów stała pewna dama z najwyższej i najstarszej szlachty francuskiej, wdowa w kwiecie wieku. Podróżowała w czarnej lektyce eskortowana przez templariuszy, a jej imienia i wyglądu większość nie znała...

— Imiona są tylko dźwiękiem i dymem.

— Ale nie ciało pełne soków żywotnych. Była postawną niewiastą o fascynująco jasnych włosach, które nas, Rzymian, doprowadzają do szaleństwa, była władczynią, którą ujarzmić i pojąć za punkt honoru stawia sobie każdy mężczyzna. Ona jednak cel miała wyraźny, a mierzyła wysoko. Cesarzowa Konstancja zmarła poprzedniego roku, toteż spotkanie tej damy z cesarzem odniosło skutek, bez wątpienia zamierzony: pozwoliła się bezwstydnie zapłodnić przez Hohenstaufa, chociaż na spotkaniu w Ferentino prowadzono pertraktacje w sprawie ślubu zmysłowego Fryderyka z będącą jeszcze dzieckiem, Jolantą z Brienne, przyszłą królową Jeruzalem. Ani obecność ojca narzeczonej, Jana z Brienne, ani patriarchy Ziemi Świętej, papieskiego legata Pelagiusza, wielkiego mistrza szpitalników oraz wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, który zresztą ukartował to haniebne małżeństwo, nie pohamowały zalotów szlachtetnej pary: Fryderyka i...

— Nim zaczniecie się zachowywać po grubiańsku, jedno muszę sprostować: to ja namówiłam i przekonałam Fryderyka do poślubienia Jolanty.

— Co? Chcecie mi wmówić, że wasze pragnienia i dążenia nie zmierzały do zdoby-

cia ręki Hohenstaufa?

— Cóż Kościół wie o znaczeniu krwi? Nie potrafi ani myśleć, ani działać dynastycznie.

— Dama wróciła więc do Francji, osiągnąwszy zamierzony cel, jeśli wolicie ten wariant. Jej naturalna córka została przekazana mniszkom w klasztorze Maryi Panny w Prouille i wychowywana tam jako Blanche fleur. Czy mam jeszcze coś dodać?

— Wiem, że śledziliście, w złym tego słowa znaczeniu, to znaczy ścigaliście moją linię aż do mego wnuka. I chociaż się zdziwicie, muszę wam powiedzieć, że to mnie napawa spokojem!

— Chcecie mnie uznać za anioła stróża spadkobiercy Carcassonne?

— Jego dziedzictwo jest większe! I będziecie nad nim czuwać aż do końca waszych dni. To zresztą nie uwalnia was od grzechów przeszłości, którymi już zasłużyliście sobie na piekło. Czy stoicie wygodnie, eminencjo?

— Wiecie, gdzie stoję.

— Przyjrzyjmy się zatem pewnemu zabójcy, który za cel obiera sobie papieży. Perugia: Innocenty Trzeci umiera nagle na udar mózgu, ale konklawe nie wybiera waszego mentora, Ugolina, lecz starego Honoriusza. Ten w mig nadaje mordercy godność kardynała i ma się na baczności do końca życia. Umiera w łóżku.

— I co jeszcze? — drwił Szary Kardynał spoza swej maski.

— Czy wielki Innocenty nie atakował wystarczająco ostro znienawidzonego Hohenstaufa?

— Pofolgował w działaniu.

— Nastąpił pontyfikat Ugolina jako Grzegorza Dziewiątego, który dorównywał wam charakterem i brakiem skrupułów. Kiedy zszedł z tego świata, zakładałam, że bez waszego udziału, konklawe popełniło błąd, wybierając Galfryda z Castiglione, kardynała-biskupa Sabiny, człowieka zdecydowanego pogodzić się z cesarzem. Nie nosił tiary nawet dwa tygodnie. I już zadziałała wasza trucizna, a poruszony chrześcijański świat otrzymał Sinibalda z Fieschi jako Innocentego Czwartego. Jak długo pozwolicie mu jeszcze żyć?

— Nie przeszkadza mi.

— Wiem, i wasze *vita sicarii*\* wyraźnie dowodzi, że przysięgliście sobie bez wątpienia zniszczyć Hohenstaufa. Raz prawie wam się udało. — Kobieta za zasłoną nie usiłowała nawet stłumić śmiechu. — Myśleliście zapewne, że uszło to mojej uwagi, ja tymczasem zachowałam to sobie na później. Gdy przed wyjazdem do Ferrentino doszły mnie wieści, że wybiera się tam również *venefex*\* uznałam, że mój plan jest w najwyższym stopniu zagrożony. Przypadek sprawił, że tuż przed odjazdem z Francji pewna szlachcianka

---

\* *Vita sicarii* (łac.) — życiorys zbira.

\* *Venefex* (łac.) — truciciel.

z Południa poprosiła mnie, abym ją zabrała ze sobą jako damę dworu. Okazała się nadzwyczaj obeznana w używaniu leczniczych ziół, w przygotowywaniu napojów wszelkiego rodzaju, przede wszystkim jednak potrafiła rozpoznać natychmiast każdą truciznę. Była to dorodna piękność, wysoka, silna kobieta, promieniejąca zwierzęcą zmysłowością. Zaufaliśmy sobie.

— Co mogliście wtedy o mnie wiedzieć? — spytał gniewnie kardynał.

— Wyobrażałam sobie truciciela kurii rzymskiej jako zgryźliwego starca i byłam zaskoczona, gdy na moje powitanie wyjechał z Ferrentino ognisty rzymianin. Zdobywca! Jego oczy rozebrały mnie do naga, a ja wzięłam udział w tej grze. W nocy, o której wam przypomnę, eminencjo, aczkolwiek niechętnie, byliście chyba głęboko przekonani, że zastaniecie drzwi mojej sypialni otwarte. Tak też było, tylko że ja w tym czasie leżałam u boku Fryderyka, wy zaś znaleźliście w łóżku moją damę dworu, czekającą niecierpliwie i z ochotą, by przyjąć wasz szturm. Niestety, zabrakło harmonii między waszym płomiennym pożądaniem a...

— Ona się śmiała! Ta kobieta się śmiała! — jęknął kardynał, broniąc się zajadle. — Zaatakowała mnie jak... jak wojownik!

— Bo taki już miała sposób bycia, wasz respons zaś był raczej marny. Że też mocarstwu Rajnerowi nie stało mocy, żeby sprostać tej kobiecie!... A co dalej? Jużeście jej nie posiadli? O, hańba wam! A była gotowa was przyjąć. Przecież dziewicy zależy na pierwszym rytowniku, chociaż rzadko który na to zasługuje! Miała wielką nadzieję, że przyjdziecie, i była przygotowana na wszystko, także na to, żeby zapobiec poczęciu, ale nie na to, że jej nie weźmiecie...

— Z płaczem wybiegła z komnaty! — wykrztusił kardynał ochryłym głosem. — Wiedźma! Gdybym ją od razu rozpoznał, kark bym...

— Nie zrobiliście tego, a ona właśnie zapobiegła w Ferrentino waszemu zamachowi na Fryderyka. Wam sława urzekającego kochanka bardzo leżała na sercu, a tacy byliście zawstydzeni, że okazaliście mojej damie dworu coś na kształt zaufania, przymknęliście oko na jej zachowanie. Cieszyła się nawet przywilejem, że wszystkie puchary, które wręczaliście cesarzowi dla spełnienia toastu, przechodziły przez jej ręce. No i udało jej się wywachać tę najsubtelniejszą, podstępna truciznę! Wówczas umyślnie potknęła się, rozlała wino i pozbawiła was szansy...

— Z podejrzeń o próbę zamordowania Fryderyka nie zdołacie ukręcić mi stryczka! A dzisiaj za taki czyn Kościół ogłosiłby mnie błogosławionym! Ale przysięgam na wszystko, co jest mi święte: dziś również, tak samo jak wówczas w Ferrentino, nie rozumiem z waszej gry prawie nic. Nie wiem, o czym mówicie, do czego robicie aluzję!

— Należałoby was zamurować żywcem tam, gdzie stoicie, żebyście mieli czas sobie przypomnieć. Pamiętacie rok pański 1207? Młody cysters z bogatego domu, ze szlacheckiej patrycjuszowskiej rzymskiej rodziny nominalnych panów Viterbo, znalazł się

na spotkaniu w warowni w Pamiers, które zwołała wielka Esklarmonda, strażniczka Graala i jako „siostra” Parsifala, sławna opiekunka katarów. Zaproponowaliście natrętnie bratu Dominikowi Guzmanowi swoje towarzystwo. Jego przykład życia w biedzie, surowości i czystości wchodził akurat w modę.

— Na zamku w Pamiers gościła właśnie daleka krewna Esklarmondy, wówczas trzynastoletnia. Łatwo wam przyszło ją uwieść, zwłaszcza że obiecaliście jej zrzucić jak najszybciej suknię duchowną, co też chyba najlepiej by do was pasowało, Rajnerze z Capoccio, i zawieźć dziewczynę jako narzeczoną do swego zamku w Viterbo. Jednakże wróciwszy z Pamiers do rzymskich rozkoszy... właściwie należałoby powiedzieć: wypędzony z Pamiers, ponieważ Dominik był nadzwyczaj oburzony grzesznym wypadkiem w szeregach swego orszaku... zapomnieliście o pannie. W całym świecie rozgłaszaliście, że wasz syn, Wit, jest dzieckiem służebnej dziewczki...

— Chcecie temu zaprzeczyć? — w głosie kardynała wyczuwało się napięcie.

— Wasz bastard jest synem kacerki i zawszeście o tym wiedzieli!

— Udowodnijcie to!

— Chcecie wiedzieć, kto przywiózł dziecko do Rzymu i położył wam pod drzwiami? Sam święty Dominik, który miał wyjątkowe poczucie sprawiedliwości! Dlatego też Wit został wychowany w zakonie i ostatecznie stał się tym, czym jest dzisiaj: *canis domini!* Psem swego pana!

— Takie rzeczy możecie sobie opowiadać, to bez znaczenia. Iluż młodych mnichów spłodziło dzieci i zostawiło ich matki!

— Tylko że niewielu kardynałów ma synów z kacerkami! I żeby było jasne: wszystko, co wam tu przedstawiłam, zostało zapisane i złożone w archiwum, i to w takim miejscu, którego nie znajdziecie i którego nie zna nawet Mateusz z Paryża.

Jęk wściekłości wyrwał się z piersi kardynała.

— Chciałbym tylko wiedzieć, kim była ta mała czarownica w Pamiers! Nie mogę sobie przypomnieć jej imienia.

— Nigdyście o to nie pytali. Ach, jaką ona miała nadzieję, że kiedyś znów zobaczy syna, że może macie go przy sobie! Teraz zostało jej to oszczędzone. Od czasu kapitulacji Montségur ta nieszczęśnica ukrywa się i nie zdradzę wam jej przybranego imienia, bo wydalibyście ją w ręce wrogów!

Kobieta umilkła, milczał też Rajner z Capoccio. W tej samotności we dwoje słyszeli teraz wyraźnie wzmagający się odgłos utarczki; zbliżał się w górę rzeki. Szczęk broni i krzyki docierały aż do nich. Walka musiała się już toczyć u podnóża kasztelu, ponieważ na murach zwróconych w stronę Tybru komendy stały się bardziej nerwowe, a świst i stek katapult dużo żywszy. Od czasu do czasu dobiegały także z platform radozne okrzyki — zapewne gdy dzielnym strzelcom udało się trafić przeciwnika. Wrogowie zaś chyba świadomie nie strzelali w kierunku blanków, gdyż dotąd ani jedna strza-

ła nie dosięgła obrońców i żaden żołnierz nie naraził Szarego Kardynała na przykry widok, z krzykiem spadając z murów na podwórzec. Wyglądało to, jakby piraci usiłovali przebić się na północ, co po minięciu zamku Świętego Anioła mogło im się udać, ponieważ dalej w tej części Zatybrza nie było już żadnych obwarowań.

Hałas ucichał.

— Wobec tego — odezwał się znów Szary Kardynał — zaspokójkcie przynajmniej w jednym punkcie moją ciekawość: co skłoniło Przeorat Syjonu, żeby strzeżoną w Langwedocji przez stulecia krew, krew Graala, pomieszać z tak nędzną lurą, jaka płynie w żyłach Hohenstaufów? Jakie jest w tym dynastyczne myślenie i jaki plan? Przecież temu rodowi przeznaczona jest zagłada! Możecie mi to wyjaśnić?

— Chyba macie słuszność co do przyszłości Hohenstaufów, oni zmierzają do upadku, ale ich krew jest godna i połączy wszystkich nieprzyjaciół Kapetyngów. A dla Przeoratu, jak zapewne wiecie, ma to takie samo znaczenie jak dla was ślepa nienawiść do Hohenstaufów. Kościół, papieństwo wpadną w ręce Francji i wspólnie z nią doprowadzą do zniszczenia Hohenstaufów. Ale my ocaliliśmy krew!

— A więc to wy stoicie za dziećmi?

— Chronimy je i strzeżemy przed złem, póki nie przyjdzie dzień, w którym objawi się ich przeznaczenie. Wiecie o Wielkim Planie, nawet jeśli w ręku nie macie nic. Tak, Rajnerze z Capoccio, wiem także o tym, że przez swych ludzi weszliście w posiadanie dokumentu, gdyż przejąłem go przez przypadek, a być może przez zrządzenie losu. Nie potrzebujecie niczego czarno na białym; mniej rzeczy pisanych, a więcej przechowanych w głowach będzie bardziej przydatne ludzkości.

— A może sporządziłem odpis? — Szary Kardynał nie dawał się zbić z tropu.

— Nie sporządziliście — ucięła chłodno. — Chodzi zresztą tylko o kopię, złą i do tego nie autoryzowaną. A wy i tak *nolens volens* wniesiecie swój wkład w powodzenie Wielkiego Planu.

— Jak możecie zakładać, że wyzbędę się lojalności wobec Kościoła, który mnie uczynił tym, kim jestem, i stanę się strażnikiem tych biednych dzieci?

— To nie jest sprawa wiary, lecz rozsądku: kochacie swoją władzę i chcecie ją zachować. Zadbacie więc o to, żeby wasz bastard, Wit, nie zbliżał się do królewskich dzieci. Dalsze wskazówki dostaniecie, jeśli uznamy to za konieczne. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia.

— A jeśli się nie zgodzę? — Głos Szarego Kardynała nie brzmiał już tak stanowczo.

— Przypłacie to głową! Ale przedtem na waszych oczach zostanie zabity Wit jak wściekły pies, a ród Capoccio wymazany aż do trzeciego pokolenia. Ucałujcie teraz abakus i czyńcie, co wam rozkazano!

Czarna zasłona uchyliła się i buława wielkiej mistrzyni wyskoczyła jak wąż w stronę wąskiego okna.

— Zdejmijcie tę błazeńską maskę!

Kardynał posłusznie ucałował koniec abakusa. Była to figura diabła, który chędożąc sterczący ku niemu zadek, jechał jak na koniu na hebanowej lasce. Kardynał w milczeniu przycisnął wargi do drewna. Wielka mistrzyni cofając abakus uderzyła nim dostojnika w nos, tak że zaczął krwawić. Capoccio miał ochotę krzyczeć z wściekłości, ale zacisnął zęby. Jego pobladła twarz widoczna przez wąski otwór w murze zastygła w odrętwieniu.

Po zrzuconych w dół linach opuścili się z murów ponad jego głową dwaj ubrani na modłę muzułmańską młodzi ludzie, zręczni jak koty. Obaj nieśli przed sobą jakby laski: sztylety osadzone jeden w rękojeści drugiego. Choć kardynał nigdy jeszcze takich jak oni nie spotkał, odgadł natychmiast, kim są: asasyni! Skłonili się przed lektyką i zniknęli.

Wówczas z cienia murów wystąpiło ośmiu templariuszy. Wsunęli miecze do pochew i wypchnęli przed siebie Mateusza i braci kluczników. Gestem kazali im otworzyć drzwi. Ośmiu sierżantów podniosło lektykę i ruszyło miarowym krokiem, znikając szybko z pola widzenia kardynała.

Capoccio przysłuchiwał się trwożliwie ciszy, która go nagle otoczyła w jego więzieniu, wreszcie, jakby z innego świata, dotarły doń od strony rzeki odgłosy walki, potem nawoływanie i bieganina żołnierzy na murach, syk cofających się katapultowych lin i plusk uderzeń w wodę.

Oszołomiony, chwiejąc się wchodził po stopniach. Nie miał ochoty pokazywać się swym ludziom i zagrzewać ich do walki. W połowie schodów otworzył cicho tajne drzwi i wślizgnął się do środka. Gdy zamknął je za sobą, w drewnianej boazerii, która podtrzymywała dokładnie dopasowane kamienie ściany, zobaczył wetknięty sztylet. Przejął go zabobonny strach przed dotknięciem rękojeści, pozostawił więc sztylet tam, gdzie go wbito w ścianę.

Dotarłszy do swojej sypialni, znalazł na łóżku jeszcze ciepłe bułki.\* Szczypcami od kominka wyrzucił je na patio i przyglądał się, jak rzuciły się na nie gołębie i rozdziobały je. Życzył sobie, żeby bułki były zatrute, tak bardzo poczuł się tym dotknięty. Jednakże żaden ptak nie padł. Gruchanie, dreptanie i łopot skrzydeł skończyły się dopiero wtedy, gdy nie pozostała już ani okruszyna.

Kardynałowi zrobiło się niedobrze.

---

\* Ciepłe bułki — znane już z relacji kronikarskich Ryszarda Lwie Serce i Saladyna „ostatnie ostrzeżenie” asasynów. Jeszcze ciepły chleb miał demonstrować, że niepostrzeżenie mogą się dostać do każdej prywatnej komnaty.

## NAPAD

*Cortona, jesień 1245*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Gdy zobaczyliśmy, że płynący na przedzie Pizańczycy zadziałali niezwykle skutecznie — czarna chmura dymu zwiastowała zniszczenie papieskiej floty w basenie portowym Ostii, a oddziały abordażowe niezwykle zręcznych Amalfitańczyków płynęły tuż za ciężkimi trierami, które taranowały płonące statki — Guiscard kazał nam położyć się płasko na dnie łodzi i rozpostarł nad nami wilgotne derki i plecionki. To było moje pierwsze krótkie spotkanie twarzą w twarz z Klarion. Nie widzieliśmy się w mroku, czułem tylko bliskość jej skóry i słyszałem oddech. Obce dzieci, które cichutko popłakiwały, przycisnęła po matczynemu do piersi, i to było ostatnie, co mój wzrok ułowił, zanim nad nami zapadła ciemność.

Klarion rzuciła mi krótkie, badawcze spojrzenie, w żadnym wypadku nie zachęcające do tego, aby teraz niby przypadkiem wyciągnąć ramię i podać w wątpliwość prawo pochlipujących malców do miejsca przy niej. Mimo to przesunąłem rękę w ich kierunku, lecz natrafiłem tylko na mokre włosy któregoś dziecka. Pogłaskałem je ostrożnie, nawet czule, jako namiastkę tego, co było nieosiągalne.

Hamo uparł się i on jeden nie korzystał z żadnej kryjówki i osłony. Chciał widzieć na własne oczy, jak Amalfitańczycy żeglują w swych płaskodennych łodziach w górę Tybru. Załoga każdej liczyła około trzydziestu wiosłarzy i dwudziestu zbrojnych, którzy ze względu na prąd rzeki musieli także chwycić za wiosła. Aby całkowicie nie przegapić tego, co działo się nade mną, a także by uniknąć bliskości dziewczęcego ciała, którego przecież nie odważyłem się dotknąć, przesunąłem się ku burcie łodzi i uchyliłem trochę nakrycia.

Zbliżyliśmy się do murów Wiecznego Miasta. Wznosiły się tak potężne, że wydawało mi się zuchwalstwem prowokować je tymi kruchymi stateczkami, nawet jeśli po naszej stronie była przewaga wynikająca z zaskoczenia, choć trudno to sobie wyobrazić. Moje oko prześlizgując się ku tym murom spozstrzegało obrazy pełne tak groźnego piękna, jakie człowiek znieść może tylko w marzeniu sennym.

Normanowie klęcząc w łodziach, tarcze ustawili ukośnie dla ochrony przed strzałami, w rękach trzymali napięte luki. Guiscard nawet Hamona zmusił, aby postarał się o tego rodzaju osłonę. Obok nas płynęła łódź z siedmioma ludźmi z Otranto. Stali wyprostowani, z dłońmi zaciśniętymi na rękojeściach mieczy. Sztandar hrabiny powiewał przeciw Rzymowi.

— Zaraz dopłyniemy do portu — usłyszałem nad głową głos Guiscarda.  
— Wychodzimy na ląd na Wyspie Trędowatych!



Zaciągnąłem szybko szparę w przykryciu. Strach dalece przewyższał moją ciekawość. Zwinąłem się w kłębek, instynktownie chyba przybierając tę pozycję obronną wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa, i zgubiłem sandały. Usiłowałem odszukać je stopą i natknąłem się przy tym na coś miękkiego, na gołą nogę. Moje palce — dobrze, że Klarion nie mogła zobaczyć, jakie były brudne — ostrożnie macając, zaczęły nieśmiało przesuwac się po tej nodze. Odniosłem wrażenie, że zostały życzliwie przyjęte, wydało mi się nawet, że czuję drżące podniecenie ciała, które przywarło do mej stopy. Minąłem kolano i małe czułki mego organu ruchu powędrowały śmiało dalej, popęzły w górę po udzie — i wciąż nie rozlegał się krzyk oburzenia, szorstki gest ręki nie przywoływał mnie do porządku. Nie śmiałem w to uwierzyć!

Nade mną zaczynał się zgiełk, wiosłarze przyspieszyli uderzenia wiosł, buty stąpały niespokojnie wokół, krzyki ludzi z brzegu docierały stłumione poprzez nakrycie, którego ciemna osłona stała się moim niebem. Energicznie przesunąłem nogę, która znalazła się w raj, w gęstej wełnie, gorącej i wspaniałej; teraz należało jeszcze tylko dużym palcem odnaleźć wilgotny bród i przebrnąwszy go wtargnąć do bramy. Przyjęła mnie, wylewając jakby rozżarzoną lawę, objęła natręta, zdawało się, że pragnie go wessać, i poddaliśmy się falowaniu. Krótkimi, rytmicznymi ruchami, jak przy naciskaniu kołowrotka, zacząłem nogą przeorywać bruzdy ogrodu, ślizgać się w górę i w dół łożyskiem strumienia, dowiercać się do źródła, a przecież samo wiercenie jest już źródłem szczęścia. Drażony otwór otwierał się coraz szerzej i coraz mocniej o mnie uderzał. Nie wiem, dokąd by to doprowadziło, gdyby w tym momencie kil naszego statku nie osiadł zgrzytając na nabrzeżnej skarpie. Ludzie zaczęli wyskakiwać ze statku nad naszymi głowami, krzyczały jakieś kobiety, rozlegały się przekleństwa. Normanowie plądrowali składy towarów, handlarze porzucili stragany, wieśniacy wozy.

— Wracać! — usłyszałem wrzask Guiscarda, który nie oczekiwał takiego obrotu sprawy. — Płyniemy dalej!

Chyba jednak ziomkowie nie dali mu posłuchu, gdyż dobiegł mnie głos Hamona:

— Otranto! Otranto! Do mnie!

I zaraz potem wezwani skoczyli do naszej łodzi z takim impetem, że nie tylko przeszła mi ochota na słuchanie i patrzenie, lecz także wszelka pożądlivość: nadepnięty ciężkim buciorem, cofnąłem szybko nogę, którą rozpalałem krater wulkanu.

Powiosłowaliśmy jeszcze spieszniej niż przedtem i wkrótce zrobiło się wokół nas ciszej, słyhać było tylko plusk fal i uderzenia długich wiosł.

— Zamek Anioła! — usłyszałem, jak Guiscard szepnął cicho, prawie ze czią.

Obleciał mnie prawdziwy strach. Wyrzależ przez szparę i zobaczyłem wznoszący się przede mną potężny krąg murów, groźnych, nie do zdobycia. I wtedy poczułem rękę Klarion. Wślizgnęła mi się jak wąż pod habit, przesunęła po nodze, przemieniła w ciepłe zwierzątko, które wtuliło się w moją kryzę, skąd niby grzyb po deszczu, tylko o wiele

szybciej, wychynęło żądło — i równie prędko czujny zwierzątek zmienił się w dłoń wytrawnej zbieraczki. Kiedy badawczo prześlizgiwała się w górę po trzonie, a potem objęła go mocno pod kapeluszem, mój grzyb przekształcił się w normański donżon. Na szczęście Klarion wiedziała również, jak się szturmuje wieże...

— Uwaga! Kuszniczy! — zawołały wzburzone głosy. Dziwny świst przeciął powietrze, rozległo się uderzenie, potem następne, od którego zadrżał korpus łodzi, ktoś jęknął.

— Guiscard trafiony! — usłyszałem zatroskany głos. Poczułem, że moja wieża się wali, a rozczarowana ręka wycofuje się chłodno.

— Nie troszczcie się o mnie — jęknął Guiscard. — Wynieście dzieci na ląd! — Wydawało się, że z bólu ledwie może wydusić z siebie słowa.

— Nie zostawimy cię! — oświadczył zdecydowanie Hamo, któremu teraz przypadła znowu rola przywódcy.

— Szybciej! — zaskrzeczał Amalfitańczyk. — Tam stoją porzucone wozy!

— Do wozów! — zawołał Hamo podniecony, gdy łódź uderzyła mocno o brzeg. Odrzuciłem ciężkie nakrycie, wyskoczyłem na zdrętwiałych nogach i z obwisłą ozdobą moich łędźwi pod suknią. Chciałem właśnie podać Klarion pomocną rękę, gdy ktoś krzyknął:

— Uwaga! Katapulty!...

Zaszumiło donośnie i w to miejsce, gdzie przed chwilą jeszcze leżałem, uderzył pocisk, zgruchotał kadłub łodzi, złamał wiosło jak suchą drzazgę i coś rąbnęło mnie chyba w tył głowy, bo upadłem na twarz jak mokry worek...

## BURZA NAD APULIĄ

*Otranto, zima 1245/46*

— Śpisz?

— Nie, myślę o Williamie.

— Jesteś w nim zakochana? — Rosz wcale nie próbował ukryć zazdrości; wprawdzie nie umiał dokładnie określić, co czuje do Jezy, ale nie zamierzał jej oddawać nikomu. A jednocześnie wiedział, że zawsze mogą go zastąpić inni, jeśli Jeza będzie tak chciała.

— Nie — odpowiedziała powoli, lecz stanowczo. — Wstrętny jest, że zostawił nas samych!

W Otranto panowała czarna noc, księżyc nie odbijał się w morzu, niebo zakryły ciemne chmury; w oddali, na drugim brzegu cieśniny, widać było błyskawice.

— Hamo i Klarion też wyjechali — rozżalił się Rosz. — To niesprawiedliwe, że inne dzieci mogą podróżować, a my musimy tu siedzieć! To naprawdę podłe! Przecież my też

jesteśmy dziećmi! — Starał się jednak zawsze zrozumieć i usprawiedliwić sytuację, dodał więc: — Na pewno go zmusili...

— Mógł coś napisać! — Jeza nie dawała się tak łatwo odwieść od stawianych zarzutów. — Jeśli się kocha, trzeba się bronić!

To było dla Rosza zrozumiałe: jeśli ktoś kocha Jezę, ten musi właściwie bić się o siebie. Mimo wszystko...

— William był więźniem! — nie dawał za wygraną.

— My też jesteśmy! — stwierdziła Jeza z uporem.

Zbliżała się nawałnica, zaczęły pomrukiwać grzmoty.

— Możesz przyjść do mnie do łóżka. — Jeza wiedziała, że Rosz boi się burzy. Właściwie była zmęczona, ale nie dałby jej spokoju, a ponadto lubiła, gdy niezręcznie podciągał jej koszulę i przytulali się nadzy do siebie. Nie powiedziała mu nigdy, jak bardzo ją to podnieca, nawet jeśli wcale o nim nie myślała. A o kim myślała?... O Williamie?... Nie, naprawdę nie! Ale Rosz to było obce ciało, skóra, ścięgna, włosy, zapach, dotyk palców, ucisk kolana, ocieranie się nogi, łaskotanie po brzuchu, lubiła to wszystko i podejrzewała, że musi być jeszcze coś, co kiedyś przyjdzie. Była to miła pewność, idąca w parze z niepewnością, z drżeniem, nadzieją, marzeniami, podnieceniem.

— No chodź już! — powiedziała, ponieważ zobaczyła, że Rosz stanął przy oknie i spogląda na nocne morze, pieniające się pod pierwszymi uderzeniami wiatru. Chłopiec ściągnął koszulę, jego sprężyste ciało wyłoniło się na moment z ciemności w świetle pierwszej błyskawicy, Rosz jednak, zamiast cofnąć się przestraszony, podszedł do balustrady i wystawił się na rozpoczynającą się właśnie ulewę. Krople deszczu klaskały po jego piersi, a Jeza wiedziała, że robi to dla niej — był przecież jej dzielnym rycerzem, który nawet gromom stawiał czoło. Cieszyła się na wilgotny chłód jego skóry.

— Rosz! — zawołała zatroskana i zdziwiła się swojej tęsknocie, aby go polizać i ściśle przylgnąć do niego. — To niebezpieczne!

Zwolniony ze swej próby męstwa, Rosz pobiegł do jej łóżka.

— Niebezpieczne jak utonięcie! — pokpiwał śmiejąc się i otrząsał nad Jezą włosy. — Przynoszę ci deszcz!

Nie zaczęła jednak pisać, jak oczekiwał, nawet się nie poruszyła pod natryskiem delikatnych kropli. Nie musiał też podciągać jej koszuli: Jeza była naga.

Szkwał szarpnął zasłonę w bok i wydał ją do wnętrza pokoju. Przez długą chwilę można było widzieć szalejące morze rozjaśnione światłem prześcigających się błyskawic; wichura ścisnęła fale w pienne korony, które z dudnieniem grzmotów toczyły się ku zewnętrznym murom twierdzy. Pioruny trzaskały jak uderzenia bicia boga nawałnic, którego potężny pojazd przetaczał się nad zamkiem, nad głowami dwu mężczyzn siedzących w sali przy stole.

— Pora burz — rzekł Jan Turnbull, jakby musiał się usprawiedliwić z niepogody przed Tarikiem, ten jednak był myślami gdzie indziej. — Mam nadzieję, że dowódca triery okazał rozsądek i na czas zawinął do jakiegoś portu. Jutro chyba przypląną.

— Powinien się na tym znać! — Tarik niemal karcąco uciął zatroskany wywód starego człowieka. — Teraz musimy podjąć decyzję.

— Ach, tak, dzieci... — ocknął się Turnbull. — Czy będą spać spokojnie?

— Nie chodzi o to, czy boją się burzy, czy też uważają błyskawice i grzmoty w środku nocy za zabawne — w głosie Tarika pojawił się lekki sarkazm — tylko czy pozostając tutaj przez dłuższy czas są bezpieczne. Czy otrzymany cios wzmocni siłę cesarza, czy też jest to podzwonne dla Hohenstaufa na Sycylii i tym samym także tu, w Apulii?

— Jak długo... — wydawało się, że na Turnbulla sływa natchnienie, jego głos brzmiał niczym wyrocznia. — Jak długo Ludwik będzie dotrzymywał mu przyjaźni, nikt nie sięgnie po normañskie królestwo!

— W Niemczech pojawił się już antykról — zauważył kanclerz asasynów — chociaż dotyczy to bardziej cesarskiego syna.

— Dopóki Fryderyk żyje — oświadczył zdecydowanie Turnbull — dopóty pozostanie cesarzem i nie ścierpi, żeby obcięto gdziekolwiek jego posiadłości, choćby o jeden cypel, a już na pewno nie o ten tutaj, w Otranto!

Stary Jan zdenerwował się, toteż Tarik rzekł pojednawczo:

— Rozważam tylko nową sytuację jako gwarant podtrzymania rodu, do czegoście mnie, czcigodny mistrzu, powołali. Mam obowiązek być ostrożnym. Arcyostrożnym!

— Przeorat Syjonu doceniał i docenia to, że wasz zakon podjął się tej odpowiedzialności — opamiętał się Turnbull. — Jeśli trzymanie dzieci pod pieczę hrabiny uważacie za zbyt niebezpieczne...

— Byłbym spokojniejszy, gdyby się znajdowały u asasynów...

Przeciąg szarpnął zasłonami, do sali weszła Laurencja; wiatr z trzaskiem zamknął za nią drzwi.

— Wybaczcie spóźnienie. — Jej włosy i suknia, mimo narzuconej peleryny, były przemoczone. — Triera zdążyła się schronić przed nawałnicą w Tarencie i jutro powinna być tutaj! — wyrzuciła z siebie, wyraźnie rada, że statek szczęśliwie wraca. Wzięła z półki dzban wina i napełniła puchary sobie i gościom. — Nadeszły również wieści z Ankony od Eliasza: Hamo, ten mnich i nasze *pupazzi*\* wszyscy w dobrym zdrowiu, są w drodze do Cortony, skąd minoryta natychmiast uda się dalej na północ. Eliasz powiadamia też, że udało mu się zatrzymać w południowych Niemczech Piana, żeby William mógł się do niego przyłączyć. Ale jeśli to potrwa za długo...

— Czyżby wpływ generała na franciszkanów osłabł do tego stopnia — zakpił Tarik

---

\* Pupazzo (wł.) — kukielka, lalka, pajac na sznurku.

— że nie są mu już *sine glossa*\* posłuszni?

— Nie zapominajcie, że jest ekskomunikowany i zaprzyjaźniony ze zdetronizowanym cesarzem! — Turnbull poważnie wziął żart kanclerza.

— Niepokoi mnie tylko — przerwała im Laurencja — że Bombarone ani słowem nie wspomina o Klarion...

— Tak powinno być, droga Laurencjo — uspokoił ją Turnbull. — Ale to, że w świecie mężczyzn nie zawsze mówi się o kobietach, wcale nie dowodzi, że nie mają one znaczenia.

— Przy całym szacunku dla płci pięknej — wmieszał się Tarik, z przyganą raczej dla starego Turnbulla, bo przed hrabiną skłonił się z uśmiechem — i z podzięką za gościnność, którą okazaliście dzieciom... — Laurencja zaalarmowana odwróciła się szybko, zagryzła jednak wargi, pozwalając mu dokończyć — ...powinniśmy zapoznać was, pani, z naszą decyzją: Roger i Izabela opuszczą ten kraj.

Hrabina opanowała się i nie proszona zajęła miejsce na przeciwległym końcu stołu. Wyjęła spod szala zwój pergaminu i złamała przy nim pieczęć. Przebiegła oczyma pismo, po czym chłodno podsunęła je przez stół obu mężczyznom.

— To jest pieczęć cesarza — wyjaśniła jakby mimochodem i bez cienia tryumfu w głosie. — Pełnomocnictwo, które mnie upoważnia, aby w tej sprawie mówić jako ambasador Rzeszy i jako kobieta, panie kanclerzu.

Zapadła cisza.

— I żeby uniknąć nieporozumień — hrabina przejęła prowadzenie rozmowy — oświadczam, że nie rwę się naprawdę do odpowiedzialności za bezpieczeństwo dzieci, zwłaszcza że — to było pod adresem Tarika — Przeorat Syjonu wyszukał dla tego przedsięwzięcia sprzymierzeńców, którzy z życiem innych wcale się nie liczą, jeśli, panie kanclerzu, właściwie zrozumiałam alternatywę: posłuszeństwo albo śmierć.

— Posłuszeństwo aż do śmierci! — poprawił zagadnięty i zamilkł.

— Jutro wraz z trierą — Turnbull próbował rozładować nieprzyjemne napięcie — powinny nadejść dalsze wskazówki. Dowiedzmy się, jak osądza sytuację głowa Przeoratu, jesteście przecież wszyscy tylko członkami...

— Mam swoje wskazówki — powiedział Tarik nieporuszony. — Wynikają one jasno z umowy z nami: podjąć wszelkie środki konieczne dla ochrony dzieci!

— Jednakże wszyscy, jak tu jesteśmy, nie możemy zapominać, że każdy środek, jaki podejmiemy, musi mieć na celu dobro dzieci — ciągnął Turnbull — nie zaś to, by sobie nawzajem udowadniać, jak wierni jesteśmy pryncypiom.

— Nie widzę też bezpośredniego zagrożenia — wtrąciła się hrabina. — Nie zamierzam uszczuplać władzy opiekuńczej waszego zakonu, panie kanclerzu, ale nie widzę na

---

\* *Sine glossa* (łac.) — bez [ograniczającego] komentarza; tutaj kpiące powołanie się na tzw. Testament Franciszka.

razie powodu, aby już teraz wplątywać dzieci w polityczny zamęt, który jest nie do uniknięcia przy okazji planowanej krucjaty Ludwika, gdy tymczasem tutaj, w normkańskich krajach dziedzicznych, stosunki pozostaną stabilne. Kto zechce odebrać Fryderykowi Otranto? — Laurencja pociągnęła solidny łyk wina i podniosła do góry swój puchar. — A gdyby Hohenstauf miał stracić wszystko, także ten ostatni bastion, wtedy zawsze możemy jeszcze uciec morzem!

— Ucieczka jest rzeczą kobiecą — mruknął Tarik. — Mądry mężczyzna zapobiega wypadkom.

Spoglądali na siebie przez stół i najwyraźniej żadne nie miało zamiaru ustąpić.

— Chodźmy spać — rzekł pojednawczo Jan — a jutro na chłodno podejmiemy właściwą decyzję dla dobra sprawy. Burza przeszła, powietrze jest czyste, z pewnością będzie piękny dzień!

Podnieśli się, skinęli sobie głowami i opuścili salę.

Było jeszcze bardzo wcześnie, zaledwie blade światło na horyzoncie zapowiadało nadejście nowego dnia, gdy kanclerz asasynów wszedł bezgłośnie do komnaty swego wychowanka.

Łóżko było puste; Crean udał się już na taras, rozwinął matę i ukląkł do modlitwy.

Tarik bez słowa zajął miejsce obok niego i nie mogąc liczyć na wezwanie mueżina, obaj czekali w milczeniu, aż na wschodzie pojawią się pierwsze promienie ognistej kuli.

— *Bi-ismi Allahi ar-Rahmani ar-Rahim.*

— *Al-Hamdu li-Allahi Rabbi al-alamina.*

— *Ar-Rahmani ar-Rahimi.*

— *Maliki jaumi ad-dini.*

— *Ijjaka nabudu wa-ijjaka nasta'inu...*

Na przemian zawodzili śpiewnie inwokację do Allacha, a ich głosy, jak każdego ranka o tej godzinie, rozbrzmiewały ponad murami i tarasami nadmorskiej twierdzy.

— *...ihdina as-sirata al-mustakima. Sirata al-lazina anamta alajhim ghajri al-maghdubi alajhim wa-laad dallina. Amin.*

Kiedy skończyli, jasność dnia wspięła się już na blanki, ogrzewała im twarze i zeszywniała członki, oślepiała ich nawet, odbijając się w lustrzanej tafli morza.

Wciąż klęcząc, Crean czekał, aż Tarik się odezwie.

— Skończy się na tym, że odjedziemy bez dzieci. — Kanclerz mrużył oczy od blasku światła. — Mimo to należy zatrzeć wszelkie ślady. Stary Jan wraca ze mną. Chociaż bywa śmieszny, język potrafi trzymać na wodzy. Trzeba nam też zdać się na dyskrecję hrabiny, zwłaszcza że jeszcze przez jakiś czas musi nam służyć jako strażniczka krwi. Ale ten mnich, William z Roebroku, po wypełnieniu swojej misji będzie tylko ciężarem, nie-

potrzebnym zagrożeniem. Kiedy przyłączy się do Piana i znajdą się na ziemiach Złotej Ordy, należy go usunąć po cichu. To zadanie dla ciebie, Creanie.

Crean nie był zdziwiony poleceniem, zamierzał je zresztą wypełnić, jednakże nie mógł opanować lekkiego dreszczu, który go przebiegał, ilekroć jego przełożeni decydowali o ludziach jak o figurach na szachownicy, przy czym strącenie wcale nie oznaczało odłożenia do następnej partii, lecz nieuchronną śmierć.

— Już go nie dogonię — oświadczył uświadomiwszy sobie odległość do przebycia oraz czas, jaki miał do dyspozycji.

— Nie idzie mi o to — uśmiechnął się Tarik — żebyś miał zaraz sam popędzić z wydobytym sztyletem, lecz o to, że będziesz przede mną odpowiedzialny za to przedsięwzięcie. — Kanclerz widział, że Crean jest nieswój, nie przypisywał tego jednak w żadnym razie moralnym skrupułom. — Otranto dysponowało niegdyś sprawnym urządzeniem sygnalizacyjnym. Myślę, że nadal funkcjonuje. Znajduje się chyba w tej wystającej kopule donżonu, dlatego dojście do niego jest zwykle zamknięte.

Spojrzenia obu powędrowały w górę ku wysokiej wieży kasztelu, która wznosiła się samotna pośrodku podwórca. Można było dostrzec gołym okiem, że najwyższa platforma skrywa bramę otwierającą się bardziej ku niebu niż na zewnątrz.

— Klucz może mieć tylko hrabina — powiedział Crean. — Poproszę, żeby mi zezwoliła korzystać ze zwierciadła i nauczyła, jak je obsługiwać.

— To już twoje zmartwienie — uśmiechnął się Tarik kwaśno. — Mnie, jak sądzę, odmówiłaby pod jakimkolwiek pretekstem.

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni dzellaby pęk rzemieni, na każdym były węzłki różnej grubości. Wręczał je Creanowi po jednym, a ten owijał rzemienie wokół palców .w takiej kolejności, w jakiej je otrzymywał. Następnie Crean chciał się podnieść, lecz kanclerz zatrzymał go.

— Oprócz mnicha jest jeszcze problem pozostałych osób towarzyszących tej misji do Mongołów...

— One przecież nic nie wiedzą — odważył się wtrącić Crean. — Wtajemniczony jest tylko Hamo i Klarion...

— A czy to nie są osoby? — spytał Tarik zimno. — I do tego bardzo niedojrzałe.

— Nie chcecie przecież...

— Jestem tylko konsekwentny — odparł Tarik ostro. — Wiem też, że nie pojedą z tym Williamem aż do wielkiego chana, lecz wrócą do Otranto, gdy nas tu już nie będzie...

— Nas? — spytał Crean.

— W drodze powrotnej wysiądziesz gdzieś na obszarze pozostającym we władaniu Bizantyńczyków i upewnisz się, że nasze rozkazy dotyczące mnicha zostały ściśle wypełnione. Jeśli nie, przedostaniesz się do kraju Tatarów, żeby własnym sztyletem wyko-

nać zadanie. Szansę, że wrócisz stamtąd żywy, są znikome. Mongołowie nie mają zbyt wiele zrozumienia dla nas, asasynów. Ale nie możesz tam jechać bez mojego rozkazu, w przeciwnym razie także nie będę się spodziewał ujrzeć cię wśród żywych. *Inszallah*.

Crean skłonił się nisko.

— *Allahumma inni ala zikrika wa-szurika wa-ibadatika*. — Podniósł się z nieruchomą twarzą i oddalił.

## STŁUCZONE NACZYNIA

*Conona, jesień 1245*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Kiedy wróciłem do przytomności, leżałem zagrzebany w słomie na jednym z wozów, a obok mnie jęczeli cicho dwaj żołnierze z Otranto. Głowa przy dotyku wydawała mi się jak ogromna maślnica, w której ubija się masło na całą zimę; pomacałem ostrożnie, ale zamiast śmietany do ręki przykleiła mi się krew.

Podniosłem się powoli. Przed nami była Cortona. W sąsiednim wozie siedziała Klairion z dziećmi. Na kolanach trzymała głowę Guiscarda, którego ogorzała twarz była biała i pokryta potem. Jechaliśmy obwarowaną drogą pod górę.

— Przegapiłeś, Williamie, co najlepsze — rzekł Hamo, który, jako jedyny konny, znalazł się nagle obok mnie.

I opowiedział, jak wyjechaliśmy z Rzymu przez Porta Flamina nie nagabywani przez nikogo. Podnieceni strażnicy nie kontrolowali tych, którzy opuszczali miasto, zapytali tylko z ciekawości, czy my także widzieliśmy piratów. Hamo pokazał im rannych, w łydce Guiscarda tkwiła jeszcze ułamana strzała; pozwolili nam przejechać. W jakiejś wsi znaleźliśmy balwierza, który wyciął strzałę i opatrzył ranę. Potem ruszyliśmy kłusem na północ, w górę Tybru. Nagle z naprzeciwka rozległ się głośny tętent: to nadciągali papiescy, a na ich czele ten posępny jeździec w czarnej opończy, który nas na południu tak uparcie śledził! Hamo rozpoznał go natychmiast, on jego, Bogu dzięki, nie. Nawet na nas nie spojrział — na drodze było przecież tak wiele ludzi, którzy w popłochu opuszczali Rzym. Żaden z pędzących w stronę Rzymu „kluczowych” żołnierzy nie przystanął, aby przyjrzeć się bliżej naszym wozom, które prawie zepchnęli z drogi. Przemknęli obok niczym złowrogi rój szerszeni, a my ruszyliśmy dalej tak szybko, jak na to pozwalał stan rannych.

— Z tobą jeszcze nie jest najgorzej, Williamie — zakończył Hamo opowieść. — Martwię się jednak o starego.

Dał koniowi ostrogę i wysunął się na czoło. I nagle znów zatrzepotał przed nami



sztandar Otranto. Cóż za lekkomyślność!, pomyślałem. To zradzieckie płótno należało wrzucić do Tybru najpóźniej w Rzymie. Gdyby nas z tym złapano, dyndalibyśmy teraz wszyscy na moście pod zamkiem, a może i jeszcze gorzej.

Skręciliśmy do bramy wysoko położonego kasztelu Eliasza. Przy wejściu stała Gersenda, jego gospodyni. Ostrożnie zniesiono Guiscarda. Klarion wzięła dzieci za ręce i nie obdarzywszy mnie spojrzeniem, ba! popatrzysz przez mnie, jakbym był powietrzem, zniknęła we wnętrzu domu.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że Klarion od wyjazdu nie odezwała się słowem ani do Hamona, ani do nikogo innego, nie słyszałem nigdy, żeby z kimś żartowała, nawet z dziećmi, które znosiły wszystko cierpliwie, w milczeniu, najwyżej trochę pochlipując. Może były po prostu głuche? W każdym razie nie wydawały mi się zbyt rozgarnięte. Hrabina sięgnęła na samo dno skrzyni swego przytułku i wydłubała parę robaczków, z których nawet tortury nie zdołałyby wycisnąć jednego rozumnego słowa. Piękne „cesarskie dzieci”!

Zawołano mnie na kolację do kuchni, gdzie półleżąc spoczywał Guiscard karmiony troskliwie przez Gersendę. Dzieci położono już do łóżek.

Od Eliasza nadeszła wiadomość z Akwilei, że zatrzymał go tam jeszcze rozkaz cesarza, aby się zorientował, jakie jest stanowisko sławnej siedziby patriarchy. Nie powinniśmy na niego czekać, mamy jednak czuć się jego gośćmi.

— Wyobraź sobie — zwierzyła mi się Gersenda — że zelanci, członkowie tego samego zakonu co pan Eliasz!, podburzeni przez papieża natarli na kościół, który Bombarone wznosi tutaj z własnych środków ku czci świętego Franciszka! Chcieli zniszczyć świątynię! — mówiła oburzona niecnym czynem. — I dlatego mój pan odwrócił się od tej niewdzięcznej miejscowości.

Podano *pasta ai fagioli* — rozgotowany makaron z gruboziarnistą fasolą i tartym parmezanem, szczerze podlany tłoczoną na zimno oliwą, do tego gotowane ośle kiełbasy, które Gersenda kroїła dla Guiscarda na odpowiednie kęsy. Stary rozkwitał pod jej opieką, chociaż każdy ruch nogi, jak się wydawało, przysparzał mu bólu.

Tylko dla Hamona i Klarion przygotowano posiłek w dużej jadalni przy długim stole. Hrabowski „rodzeństwo”, za jakie teraz uchodzili, spożywało kolację w lodowatym milczeniu; w każdym razie przez otwarte drzwi nie dotarło jak dotąd ani jedno słowo. Gersenda spieszyła tam od czasu do czasu, aby dolać im czerwonego tokańskiego wina.

W końcu jednak cisza pękła. Najpierw było to jakby ukłucie, potem zaś natężenie dźwięku wzrastało już szybko i bez zahamowań. Zaczęła Klarion.

— Nie mam ochoty — syknęła — brać dalej udziału w tym szaleństwie!

Hamo, chyba uradowany, że wreszcie otworzyła usta, próbował się usprawiedliwić:

— Musieliśmy zwrócić na siebie uwagę...

— Zwróciłabym większą uwagę — szydziła Klarion — gdybym wyszła nago na rynek!

Hamo usiłował zachować spokój, tym bardziej że pięknej pannie wyraźnie szumiało już w głowie.

— Dzieci powinny być widziane razem z Williamem – wyjaśnił.

Klarion odebrała te słowa jako lekcję dla głupiej gęsi, toteż dodała teraz ze śmiechem:

— Jego też nagiego możesz przy mnie postawić!

Cios wymierzony był we mnie, lecz policzek musiał nadstawić Hamo.

— Ścierwo! — ryknął i jakieś naczynie roztrzaskało się o ścianę.

— O Boże, czeski kryształ! — jęknęła ze zgrozą Gersenda, przerywając nabijanie na szpikulec kawałków kiełbasy, którymi napychała wygłodniałego Guiscarda. Nie przeczyłem sposobności i obsłużyłem się szybko i obficie wspaniale przyprawionymi kiełbaskami.

— Takie chełpliwe ścierwo — ciągnął Hamo z uporem — łatwo wzbudza sensację i zgorszenie, kiedy wie, że jest pod ochroną mężczyzn, którzy za nie nadstawiają głowę.

— Po cośmy się właściwie narażali? — spytała rozzłoszczona Klarion. — Nikt nie widział Williama i dzieci na oczy! Wtargnęliśmy do Rzymu jak rozbójnicy, a wymknęliśmy się jak złodzieje!

— Mieliliśmy dać się złapać? — odszczeknął Hamo. — Byłabyś wspaniałym wodzem, Klarion z Salentyny!

Hamo był wściekły, albowiem to, co mówiła Klarion, nie było pozbawione racji. Należało zostawić w Rzymie przynajmniej sztandar jako namacalny dowód, że prześladowców wywiedziono w pole.

— Jutro ruszamy dalej! — zadecydował. — I odtąd twoja w tym głowa, żeby się o nas dowiedział cały świat...

— Możesz ruszać, ale beze mnie! — oznajmiła chłodno Klarion. — Oszalałeś chyba, żeby jechać nie czekając, aż Guiscard wyzdrowieje. Wprawdzie on też ma pomieszanę w głowie, ale przynajmniej nie jest żółtodziobem jak ty...

— Nie mamy czasu do stracenia. William i dzieci muszą się spotkać z Pianem, żeby wraz z nim...

— Nie ruszy mnie stąd nawet dziesięć koni — oświadczyła Klarion.

— Wobec tego z dziećmi pojedzie Gersenda!

— Gersenda będzie pielęgnować Guiscarda... — warknęła Klarion zawzięcie.

Hamo wybuchnął:

— Rozkazuję ci...!

— Nie masz mi nic do rozkazywania. Nie masz nawet prawa rozkazywać żołnierzom, którzy przy mnie zostali i będą mi towarzyszyć z powrotem do Otranto!

Teraz zaczęły znowu trzaskać talerze i szklance, Gersenda się przeżegnała, Guiscard roześmiał szyderczo, a ja szybko napełniłem sobie jeszcze raz miskę. Obficie spożyte toskańskie wino zaczęło teraz działać i na Hamona.

— Mam sztandar — obwieścił piskliwie — i jeśli wszyscy uciekniecie, zwerbuję najemników! Wynajmę piastunkę do dzieci, a Williama też zabiorę ze sobą! A może chcesz także spierać się o mnicha?

— Weź sobie piastunkę, powinna cię zawinąć w sztandar razem z tym mnichem!

— Pilnuj swego ozora, zdrajczyń! — Trzasnęło szkło, chyba ostatnie.

— Dzieciuch! — Klarion z podniesioną głową przeszła przez kuchnię. — Doprowadzisz ich wszystkich do zguby!

Zaledwie opuściła izbę, w progu chwiejąc się stanął Hamo z pustym dzbanem w ręku.

— Wina, czcigodna pani Gersendo! — Gospodyni zerwała się i jak broniąca kurczęcia kwoka stanęła przed Guiscardem, podczas gdy ja zwiesiłem nos nad miską. — Wina! — zabełkotał Hamo. — A może wy też nie chcecie ze mną wypić?

Guiscard i ja podnieśliśmy kubki, które napełnił, wziąwszy nowy dzban od Gersendy.

— Zdrowie fałszywych dzieci Graala — wrzasnął i wypił prosto z dzbana — i zdrowie wszystkich fałszywych kobiet tego świata!

Wypiliśmy w milczeniu, po czym Hamo zataczając się wyszedł.

## BŁYSKI

*Otranto, zima 1245/46*

— Statek, statek! Statek wrócił!

Rosz i Jeza, podskakując z podniecenia, dotarli aż do okalających zamek murów, tam gdzie żelazne drzwi broniły im zejścia do niewielkiego portu. Wdrapali się na kamienną balustradę, aby przynajmniej stąd obserwować, jak wioślarze schodzą z pokładu, a przywiezione towary są wyładowywane i układane na nabrzeżu.

— Widziałam, jak nadpływał! — zawołała Jeza i pomachała marynarzom, którzy wspinali się na maszty, by zdjąć zrefowane żagle i poluzować mocno wygładzone rzeniemie.

— Przecież jeszcze spałaś, jak okrążał przylądek — próbował ostudzić jej entuzjazm Rosz, lecz bez skutku. Jeza nie dała się zbić z tropu.

— Płynął po morzu, widziałam.

— Zatrzymał się na noc w Tarencie — Rosz próbował jeszcze raz przedstawić swo-

je logiczne rozumowanie — więc musiał opłynąć przylądek! Ty nawet nie wiesz, gdzie jest południe!...

— Czarny człowiek! — wrzasnęła Jeza, teraz zupełnie już nie panując nad sobą.  
— Ma czarną skórę i kółko w nosie!

— To Murzyn — stwierdził rzeczowo Rosz; nie zauważył, jak otwarła się furta i za nimi pojawiła się Laurencja. Jeza dostrzegła ją pierwsza i wprost z balustrady skoczyła jej na szyję.

— Czarny człowiek! Czy to prezent dla nas?

Hrabina popatrzyła zdumiona. Taka myśl nie przysła jej do głowy, ale właściwie czemu nie? Dzieci potrzebowały kogoś, kto by się nie tylko o nie troszczył, lecz kogo by także zaakceptowały raczej jako towarzysza zabaw niż opiekuna.

— Dobrze, ofiaruję go wam — powiedziała, usiłując jak najprędzej uciec od radosnego wycia, gdy nagle pojawił się Crean i poprosił ją uprzejmie o chwilę rozmowy. Tymczasem Rosz i Jeza ruszyli przed siebie jak burza.

Ciężkie, okute żelazem drzwi, do których można się było dostać tylko po drabinie, bo znajdowały się znacznie powyżej głowy, otwarły się skrzypiąc.

Nie używano ich chyba od lat. Normkański donżon miał być ostatnim schronieniem mieszkańców kasztelu, lecz tego rodzaju zły los nie dotknął Otranto jak sięgała ludzka pamięć, a przynajmniej odkąd rządziła tutaj Laurencja. Ostatni raz mogło się to zdarzyć, gdy Hohenstaufowie „przejmowali” twierdzę.

Hrabina szła przed Creanem po wąskich, wykutych w kamieniu krętych schodach, prowadzących najpierw do okrągłego pomieszczenia bez okien. Stąd zaczynała się biegnąca w górę drewniana konstrukcja, na której kolejne piętra wchodziło się po wciąganych drabinach. Wszystko pokrywał tu kurz, światło wpadało tylko przez ukośne otwory. Potem nad głowami znów się zamykało kamienne sklepienie z wylotem pośrodku, akurat na tyle dużym, aby zmieścił się w nim człowiek. Crean szedł za hrabiną i po karkołomnym przejściu dalszych pięter, z których wybiegały na wszystkie strony otwory strzelnicze, dotarli na otwartą platformę zabezpieczoną podwójnymi blankami. Znajdowała się tutaj potężna kamienna kopuła z jakby bramą umieszczoną w sklepieniu, otwieraną tylko od wewnątrz. Laurencja przesunęła jeden z blanków i odsłoniła przejście.

Wczołgali się pod murem do kopuły. Było tam ciemno choć oko wykol, jedynie kilka cieniutkich promyków światła przedostawało się przez delikatne pęknięcia w drewnie bramy. Laurencja wymacała żelazny łańcuch i brama uchyliła się ze stęknieniem niczym rozwierająca się paszcza. Jasne słoneczne światło padło na dzieci, które tu przykucnęły i zdumienie obojga dorosłych powitały dźwięcznym śmiechem.

— Jak się tu...? — zaczęła hrabina surowo, lecz przerwała w pół zdania, gdyż Jeza już

kręciła się w kółko jak fryga, by zobrazować wchodzenie wąskimi krętymi schodami; obracała się coraz szybciej, aż jej się zakręciło w głowie.

— Przestań, jeszcze spadniesz! — powiedział złapawszy ją Crean.

— Tak wchodzi się o wiele szybciej niż po drabinie — przechwalał się Rosz. — Takimi samymi schodami idzie się do piwnic, a drugimi... może aż do portu...

— Ale tego nie wiemy! — wtrąciła szybko Jeza. — Schodzą głęboko pod ziemię!

— I owszem — rzekła hrabina, przechodząc do porządku nad opisem nie znanych jej tajemnych przejść. — Wobec tego możecie także sami zejść na dół.

— Och, pozwólcie nam zostać!

Jeza potrafiła ująć Laurencję, która rzadko odmawiała czegoś dziewczynce, może dlatego, że gdy trzeba było dzieci ukarać, mała żądała dla siebie takiej samej miary jak dla Rosza, ba, często się za nim wstawiała. Inna rzecz, że to ona przeważnie ponosiła winę za to, co się stało, gdyż była inicjatorką wszelkich działań.

Hrabina popatrzyła pytająco na Creana, który wyraził zgodę skinieniem głowy. Dzieci nie mogły zrozumieć, jaką wiadomość miał do przekazania; nawet Laurencja nie była w stanie odczytać szyfru asasynów, choć miała doświadczenie w sygnalizacji.

— Zawsze chciałem zobaczyć, jak coś takiego działa — powiedział uradowany Rosz, spoglądając z wdzięcznością na dorosłych. — Sygnały świetlne w biały dzień...

— Odsuńcie się na bok — poleciła Laurencja — i ani słowa!

Ściągnęła z wygiętej drewnianej ścianki wyblakły pokrowiec z cienkiej skóry, odsłaniając zwierciadło. Było sporządzone z wielu poczerniałych srebrnych płytek, które łagodną krzywizną pokrywały wklęsły krąg drewnianej obudowy.

— Nie mamy wiele czasu — zwróciła się do Creana, który starał się być pomocny, Laurencja jednak mimo swego wieku nie należała do kobiet pozwalających się mężczyźnie wyręczać. — To działa tylko w południe, został nam jeszcze kwadrans. — Wzięła cebrzyk z popiołem drzewnym i wręczyła dzieciom szmatki. — Wy też możecie się przydać. Im bardziej zwierciadło lśni, tym dalej sięga błysk.

— Czy ono także grzmi? — spytała Jeza poważnie i zagapiła się na srebrne płytki z licznymi plamami. Rosz zabrał się od razu do ich usuwania, ale bezowocnie, póki Laurencja nie pokazała mu, jak należy to robić: splunęła na szmatkę, nabrała na nią popiołu, potarła metal i srebro załśniło natychmiast.

— Dlaczego ślina jest dobra na wszystko? — dociekała Jeza idąc w ślady hrabiny, podczas gdy Rosz przyglądał się jeszcze z niedowierzaniem.

Hrabina tymczasem przeszła na tył lustra, gdzie znajdował się drewniany stółek połączony mocno z ramą poprzecznymi listwami. Nie stał na kamiennej posadzce, lecz wisiał nad nią mniej więcej na grubość palca. Laurencja wytarła kurz ze stołka i z kontrolnych znaków wpuszczonych w podłogę. Potem zajęła miejsce i wypróbowała działanie łańcuchów po prawej i lewej stronie: jeden otwierał, drugi zamykał bramę.

Crean, oczyściwszy górną część zwierciadła, której dzieci nie mogły osiągnąć, podszedł teraz do hrabiny. Ściągnął pierwszy rzemień z palca i badał węzły. Laurencja zerkała nań z zaciekawieniem, nie zdołała jednak odkryć znaczenia węzłków.

— Zaczynamy od trzech długich sygnałów? — spytała rzeczowo.

— Od dwóch — odparł Crean. — Krótkiego i długiego.

— Jesteście gotowi?

Crean skinął głową.

— Dzieci — poleciła hrabina — stańcie z tyłu, bo światło was oślepi!

Rosz i Jeza przycupnęli z boku za urządzeniem, zasłonili twarze rękoma i tylko zerkali przez palce w cichej nadziei, że coś przecież z tych błysków dostrzegą.

Laurencja zaczęła otwierać i zamykać bramę w określonym porządku. Najpierw przytrzymała ją otwartą przez trzy uderzenia serca, potem zamknęła, policzyła cicho do dziesięciu, otwarła na trzy uderzenia, zamknęła na trzy, otworzyła na dziesięć i czekała.

— To sygnał wywoławczy Aulony — objaśniła. — Żadna tajemnica. Pochodzi jeszcze z czasów cesarza Aleksego.

Wpatrywali się wszyscy w morze, którego lekko zamglony horyzont przechodził w błękit nieba, lecz niczego nie widzieli.

Laurencja powtórzyła wezwanie: trzy uderzenia serca — długa pauza — trzy — krótka pauza — dziesięć.

Czekali, zaczynały ich piec oczy.

— Tam! — krzyknęła Jeza. — Błysnęło!

Faktycznie po drugiej stronie Adriatyku błysnęło światło, niezbyt jasne, ale dobrze widoczne. Laurencja potwierdziła sygnał, otwierając bramę trzy razy na krótko i raz dłużej.

— Zaczynajmy! — syknął Crean, który z zamkniętymi oczyma obmacywał rzemień i podawał czas sygnałów.

Dzieci były wkrótce mniej zafascynowane otwieraniem i zamykaniem bramy niż hrabiną. Laurencja z furją pociągała za łańcuchy, co rusz spoglądając za siebie na znaki kontrolne, po których jak jasny punkt wędrował promień słońca. Dzieci szukały otworu w kopule przepuszczającego ów promień, nie dostrzegły go jednak, albowiem w tym celu musiałyby się wczołgać pod stołek hrabiny, czego im szorstko zabroniła.

Spocona Laurencja szalała. Jednostki czasu odmierzane według swego pulsu wypowiadała najpierw szeptem, potem głośno, wreszcie wykrzykiwała; w regularnych odstępach korygowała pozycję zwierciadła, przesuwając je odpowiednio wraz ze stołkiem; łańcuchy szczękały, trzaskała podnoszona i opuszczana kłapa, wirował pył, Laurencja kaszłała, skrzeczała ochryple, zerkając od czasu do czasu na rzemień, które Crean po „odczytaniu” upuszczał na ziemię. Wreszcie przez jego palce prześlizgnął się ostatni, rozległ się ostatni trzask kłapy i w kopule zapanował mrok.

Gdy oczy wszystkich przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegli, że Laurencja jakby się zapadła na stołku. Oddychała ciężko. Kurz powoli osiadał.

Crean przy pomocy dzieci, którym zupełnie odebrało mowę, założył pokrowiec na zwierciadło i podał Laurencji rękę. Tym razem skorzystała z oparcia, choć na krótko — w chwilę później bez pomocy schodziła po drabinach jak młódka. Nie czekała też, aż Crean i dzieci pojawią się na dole, lecz pospieszyła do cysterny na podwórku, poleciła wyciągnąć kubel świeżej wody, zwilżyła twarz, zanurzyła ręce. Potem kazała komuś ze stojącej dookoła z szacunkiem i niepokojem służby pójść do Creana z prośbą, żeby zamknął donżon i przyniósł jej klucz.

## KRÓLEWSKIE DZIECI

*Lombardia, zima 1245/46*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

— Królewskie dzieci mówią — mruknąłem jakby z niechęcią, że muszę odkryć tajemnicę — że udacie się w daleką podróż, a na jej końcu sprzedacie osła poniżej jego wartości.

Chłopina, który z szacunkiem stał przed moim „tronem”, z zakłopotaniem miętosząc w ciężkich rękach czapkę, chciał jednak dowiedzieć się więcej ode mnie, Williama z Roebroku, wielkiego maga, tym bardziej że było to ostatnie publiczne posłuchanie.

— I znajdę żonę? — spytał.

Jako doradca we wszystkich sprawach życiowych, sławny mędrzec, jedyny żyjący strażnik pieczęci chemicznych zaślubin i adept Hermesa Trismegistosa zamierzający na zawsze odwrócić się od Zachodu i zdążający do wielkiego chana wszystkich Mongołów i Tatarów, położyłem ręce na głowach stojących obok mnie dzieci, zamknąłem oczy, odczekałem dobrą chwilę, po czym dopiero nachyliłem się do malca. Jednakże chłopiec ani mruknął, skłoniłem więc ucho ku dziewczynce, ale ta szepnęła, że musi się natychmiast wysusiać, wyprostowałem się zatem powoli i powiedziałem:

— Na końcu drogi spotkacie młodą kobietę, która wam we dnie pomoże, a nocami was ogrzeje!

Dla mnie porada była skończona, lecz wieśniaka jeszcze coś gnębiło.

— I naprawdę muszę osła tak źle sprzedać? — zapytał.

— Nie — szepnąłem groźnie — ale wtedy nie dostaniesz żony.

Z tymi słowami odprawiłem go wraz z jego zmartwieniem. Zapłacił już wcześniej, więcej zresztą, niżbym się po nim spodziewał.

Hamo, mój „książę”, uśmiechnął się zadowolony. Trapiło go przedtem, że nasz pochód

przez Italię wzbudził tak niewiele zainteresowania. Zarzut Klarion, że w tym względzie Hamo zawiódł, tkwił jak cień w jego duszy. Z determinacją wyruszył też z nami z Cortony, dzięki Bogu dobrze wyposażony w pieniądze i żołnierzy. Eliasza w dalekiej Akwilei, gdzie wciąż jeszcze utrzymywał pozycję dla swego cesarza, dręczyły chyba wyrzuty sumienia, że młodzika obarczył tą trudną misją, przy czym słusznie czuł, że sam był jej przyczyną. Przysłał więc oddział wiernych żołnierzy, a gospodynię zobowiązał, by zaopatrzyła Hamona należycie we wszystko co niezbędne.

Znaleziono także piastunkę, grubą babę bezdennej brzydoty. Miała świńską głowę, jej twarz ozdabiała dwie owłosione brodawki, była jednak dobra dla malców, których przytulała do swych obfitych, falujących piersi. Dzieci wprawdzie nie stały się przez to bardziej ożywione, ale przestały popłakiwać i zaczęły bełkotliwie wyrażać swoje skromne potrzeby.

Omijając znane antycesarskie miejsca, dociągnęliśmy pod mury Bolonii. Łamaliśmy sobie z Hamonem głowy, co i jak należałoby urządzić, aby dla naszego przedsięwzięcia pozyskać więcej rozgłosu.

— Nadstawiamy karku, Williamie — skarżył się — cierpimy od upału, much, odparzeń i pęcherzy, wlecemy się przez żwirowiska i bagna, łykamy kurz i wypruwamy sobie kichy, a nikt się nami nie przejmuje!

I wtedy natknęliśmy się na starą Larysę i jej ród, wędrownych Cyganów, którzy uważali się za komediantów, lecz w najlepszym wypadku oferowali tanie kuglarские sztuczki. Pramatka rodu, Larysa, bezzębna, o rzadkich siwych włosach, wróżyła z ręki i przepowiadała przyszłość, jej synowie i synowe, wnuki i prawnuki robili młynki, ustawiali ludzkie piramidy, uwalniali się z więzów, połykali ogień, wyczarowywali króliki i białe gołębie, wyciągali sobie jajka z uszu, pojedynkowali się drewnianymi mieczami, a malcy na ramionach dorosłych jak na koniach nacierali na siebie kopiami, których końce były przezornie okręcone szmatami. Dziewczęta grały na cymbałach i tamburynach, tańczyły, ich szerokie spódnice wirowały wysoko odsłaniając spodnie. I nikt im się nie przyglądał oprócz kilku pasterzy, którzy nic nie płacili. Żołnierze śmiali się, puszczały oko do cygańskich dziewcząt i czynili im sprośne propozycje.

Zatrzymaliśmy się przy tych ludziach. Hamo dał im pieniądze, gdy zaistniała groźba, że widowisko się powtórzy. Najstarszy z synów zaprowadził nas do Larysy, która zaczęła lamentować, że jej ród przymiera głodem, albowiem straż przy bramie traktuje ludzi teatru jak hołotę i wzbrania im wejścia za mury i na place targowe. Czy Hamo, ważny młody pan, co łatwo dostrzec, nie mógłby ich wprowadzić do miasta? I stara rzuciwszy się na ziemię, zaczęła całować buty Hamona.

Wówczas po raz pierwszy objawiło mi się obficie tryskające źródło fantazji syna Przeoryszy, jego spontaniczna siła wyobraźni.

— Jest tutaj ze mną równie osobliwy, jak sławny William z Roebroku — zaczął roz-



ważać głośno i wskazał na mnie z szacunkiem. — Jest także dwoje królewskich infantów. — Dzieci patrzyły wystraszone i pochlipując szukały obrony u potężnych boków tłustej piastunki. — Czy nie byłoby możliwe, aby czcigodnego mistrza nauk tajemnych i dzieci niewidzialnej korony wprowadzić do waszego szlchetnego kręgu i uczynić szczególną jego atrakcją?

Starucha chyba nie zrozumiała, co Hamo zamierzał, bądź też ja nie mogłem pojąć tego, co wypowiadały bezzębne usta Larysy, ale jej najstarszy syn, Robert, siłacz, który rozrywał opasujące mu pierś łańcuchy lub miotał nożami do celu, natychmiast pojął, w czym rzecz.

W ten oto sposób powstała „Nadzwyczajna trupa artystyczna śmiałego księcia z Otranto”.

Narzucono na mnie szeroki liliowy płaszcz przybrany srebrnymi gwiazdami, na głowę wsadzono spiczastą czapkę ozdobioną półksiężycem, dzieciom włożono kolorowe kaftany, a na głowy małe korony sprawiające wrażenie złotych; Hamo rozwinął swój sztandar, z którym się nie rozstawał. Herold zapowiedział nasze przybycie, straż nie ośmieliła się zabronić nam wejścia, do czego przyczyniły się zapewne zręczne rzucone sztuki złota. Ja miałem znowu własny wóz, na którym tronowałem, byłem wyrocznią zamiast Larysy, „nasze” dzieci otoczone żołnierzami jechały na drugim wozie, a pozostała gromada obrzucała je kwiatami.

Tak ciągnęliśmy z targu na targ, gapiono się na nas, dziwowano i szeptano, gdyż Hamo i Robert prześcigali się w wymyślaniu coraz to nowych opowieści o wielkim magu Williamie i królewskich dzieciach. Sława poprzedzała nas i ciągnęła się za nami jak szeroki tren, zwłaszcza gdy dowiadywano się o podniecającym celu naszej podróży, mianowicie dalekim dworze potężnego i krwiożerczego wielkiego chana.

W ten sposób przybyliśmy do Parmy. Zbudowaliśmy scenę, postawiliśmy na niej mój tron pod baldachimem i ja wobec ciekawego narodu występowałem jako wyrocznia, w skrytości ducha dziękując Bogu za okultystyczne studia odbyte swego czasu w Paryżu, teraz przydatne jak znalazł.

Jakaś mieszcza, wdowa, prosiła mnie właśnie zawstydzona o radę przeciwko rżnięciu w brzuchu oraz o towarzysza do łóżka, gdy nagle zobaczyłem po drugiej stronie rynku grupę jeźdźców. Uświadomiwszy sobie, że to franciszkanie jak ja, poczułem się jak obłany ukropem. Eskortowali papieskiego legata. Ten popatrzył na mnie uważnie, zsiadł z konia i ruszył w moją stronę.

— Dużo cieplej wody, od środka i z wierzchu — próbowałem szybko załatwić pentkę, ona jednak upierała się przy mocnym chłopie na samotne noce.

— Może napój miłosny? — spytała.

Stary franciszkanin podchodził coraz bliżej. Był delikatnej postury, jak ptaszek, na głowie pozostał mu jeszcze rzadki wianuszek włosów, a na ustach igrał ironiczny

uśmiech.

— Chodźcie codziennie do łaźni, dobra kobieto, tam znajdziecie tego, który was wybawi od cielesnych udręk.

Zaczerwieniwszy się odeszła, zanim mój brat franciszkanin znalazł się przy mnie. Uśmiechnąłem się do niego, po czym zamknąłem oczy i rękami poszukałem główek królewskich dzieci. Legat przysunął usta tuż do mego ucha, tak że poczułem jego oddech.

— Pozdrowienia od Ingolindy — szepnął i gdy nie odważyłem się odetchnąć, a cóż dopiero odpowiedzieć, dodał z lekkim uśmiechem: — Jesteś paskudną ozdobą zakonu, bracie Williamie, ale mnie możesz się nie obawiać.

Zerknąłem spod półprzymkniętych powiek. Jego szare oczy, okolone zmarszczkami śmiechu, nie miały w sobie naprawdę nic groźnego.

— Jestem Wawrzyniec z Orty — powiedział cicho. — W drodze do naszego generała...

— Eliasz jest w Akwilei. — Nabrałem zaufania do tego człowieka.

— Wiem — syknął cicho Wawrzyniec. — Wiozę mu wezwanie papieża i równocześnie — zniżył głos — ostrzeżenie, aby nie udawał się do Lyonu.

— Eliasz tego nie zrobi! — wyrwało mi się.

— Właśnie — powiedział legat. — Dlatego będzie nadal obłożony klątwą.

— Lepsza klątwa niż lochy zamku Anioła.

— To dotyczy także ciebie, bracie Williamie. Spójrz ostrożnie nad moim ramieniem ku arkadom przy wylocie z placu. Widzisz tam samotną postać w ciemnej opończy?

— O Boże!

— O diable! — poprawił mnie Wawrzyniec po cichu i roześmiał się. — To Wit z Viterbo. — Mnie zaś nie było do śmiechu, zwłaszcza że przypominałem sobie Paryż. — Inkwizytor, a raczej oprawca Szarego Kardynała, pali się do tego, żeby ciebie i dzieci w całości lub w kawałkach zawieźć do Rzymu dla przejednania swego pana. Czyżbyś był aż tak zuchwały, żeby zakpić sobie z niego? Teraz biedny Wit bez ciebie nie śmie pokazać się swemu panu na oczy. Myślę, że szykuje ci prawdziwe piekło!

Poznałem oto imię tajemniczego nieznanego, który śledził nas przez połowę Italii, lecz nie sprawiło mi to szczególnej przyjemności.

— Co mam teraz zrobić? — zacząłem lamentować. — Jak się stąd wydostać?

— O największy ze wszystkich magów! — zakpił Wawrzyniec. — To takie proste: rozplyń się w powietrzu!

Zerknąłem ponownie w stronę arkad, gdzie w cieniu kolumny stała wciąż posepna postać i jak mi się zdawało, patrzyła na mnie płonącymi oczyma.

— Wyjedź z miasta dziś wieczorem i skieruj się na zachód — szepnął Wawrzyniec.

— Tego Wit się nie spodziewa. Po półtorej mili znajdziesz na prawo od drogi spalony

zamek. Tam czekaj mnie o północy. Zabij każdego, kto zjawi się wcześniej lub później!

Legat rzucił mi monetę za tę długą poradę, której u mnie zasięgnął, i wrócił do swej eskorty. Franciszkanie odjechali w kierunku bramy wschodniej.

Skończyliśmy przedstawienie, zapytali o jakąś oberżę i kierując się tam, pytaliśmy każdego przechodnia o drogę. W zajeździe opłaciliśmy nocleg z góry i usiedliśmy z Hamonem i Robertem, żeby się naradzić.

Kiedy zapadła ciemność, Hamo powiadomił oberżystę, że nasze plany uległy zmianie i zaraz ruszamy w dalszą podróż na wschód. Wynagrodziliśmy go sownie, bardziej za milczenie niż ostrzeżenia. Zbudziliśmy wszystkich i wynieśli się szybko.

We wskazanym miejscu zastaliśmy pasterza, który wręczył nam kilka habitów, mówiąc:

— Brat William, największy grzesznik chrześcijaństwa, ma zostać popędzony w łańcuchach na miejsce sprawiedliwej kary. William z Roebruku winien jest obrzydliwego grzechu sodomii! Popatrzcie tylko na nikczemnego mnicha przywiązanego do tej lubieżnej kobiety ze świńską głową i do pomiotu jego lędźwi, świńskich dzieci!... Idźcie ku północnym jeziorom i nie szczędźcie batów tej hańbie zakonu. A ludność wiosek niech go opluwa, ale tylko wiosek, bo miast powinniście unikać!

— Nie jesteś pasterzem — ofuknąłem go.

— *Pace e bene!* — śmiejąc się pozdrowił mnie minoryta i zniknął ze swymi kozami w ciemnościach nocy.

Posłuchaliśmy jego rozkazu, rozstaliśmy się z Larysą i jej kuglarzami. Pożegnanie było rozdierające, Hamo je wszakże niezłe starej ozłocił, co ściągnęło na nas deszcz błogosławieństw i zaklęć szczęścia.

Nieporównanie obfity grad batów spadał odtąd na mój grzbiet, i to za dnia, na oczach zdumionych wieśniaków zmierzających na targ. Rolę kata wzięł na siebie Robert o niedźwiedziej sile, który nam towarzyszył i okazał się wytrawnym przewodnikiem. Muszę przyznać, że poprzednia misja dużo bardziej mnie bawiła. Batog Roberta wprawdzie tylko głośno trzaskał, co dzieciom kazało wyc do wtóru, lecz plwanie, zepsute jaja i cuchnące trzewia, którymi mnie we wsiach obrzucano, były przykrą rzeczywistością.

Ciągnęliśmy wzdłuż jezior, góry pięły się coraz wyżej, bardziej oddalone dźwigały już na szczytach czapy śniegu. I z nocy na noc robiło się zimniej. Do tego coraz rzadziej spotykaliśmy samotne zagrody, których mieszkańcy nie poświęcali nam prawie uwagi, ba, czasem nawet nosa z siana nie wystawiali. Jesień przechyliła się ku zimie.

## DONIOSŁA WĄTPLIWOŚĆ

*Otranto, zima 1245/46*

Słońce w Otranto zachodziło teraz wcześniej, lecz Laurencja nie mogła się jeszcze udać na spoczynek. A miała znowu męczący dzień: czuła wszystkie kości i przeklinała chwilę, kiedy po raz pierwszy dała się namówić Creanowi na przesłanie wiadomości za pomocą zwierciadła. Wkrótce nadeszły odpowiedzi, trzeba było przekazywać dalsze wieści i za każdym razem musiała wspinać się po stromych schodach, ustawiać lustro i obsługiwać klapę. Najbardziej jednak złościło ją to, że nie rozumiała nic z tajnego kodu, którym asasyni się porozumiewali.

Hrabina przemierzała teraz zamek energicznym krokiem, wreszcie dotarła do sali, gdzie oczekiwali na nią Turnbull i Tarik.

— Doszliśmy do przekonania — przywitał ją Jan — że nasi malcy powinni na razie zostać tutaj, póki nie podrosną na tyle, żeby sprostać trudom dalekiej podróży.

Tarik zmusił się do uśmiechu, ukrywając pod nim chwilową porażkę, którą w dalekiej perspektywie zamierzał przemienić w polityczną wygraną.

Jeśli Laurencja poczuła ulgę, wcale tego nie okazała. Te nicponie były ciężarem już teraz, nawet w tym wieku! A brzemię będzie rosło. Nie chciała jednak oddać dzieci, dopóki Hamo, a przede wszystkim Klarion nie wrócą do domu. Rosz i Jeza byli rękojmiami, że jej potomstwu, do którego zaliczała Klarion, nic się nie stanie. Poza tym lubiła dzieci, ich porywczy charakter, ich niesforność. Kochała je na swój sposób — Rosza ze względu na jego szczerą uczciwość, a dzikuskę Jezę dlatego, że była tak bardzo podobna do niej. Chciała przyjąć do wiadomości oświadczenie Jana, ale targnął nią nagły niepokój.

— Cóż to za „daleka podróż”? — zachnęła się, świadoma, że może nie otrzymać odpowiedzi.

Jednakże Tarik uznał za wskazane przedstawić hrabinie wielkość i wagę przedsięwzięcia, by na przyszłość uczynić ją uleglejszą i określić dokładnie jej miejsce w Wielkim Planie.

— Jestem wdzięczny, pani, że bierzecie na siebie tę odpowiedzialność. — Kanclerz stał się uroczysty. — Trzeba wam wiedzieć, że kolebka ludzkości nie może być dłużej opanowana przez jakiegoś kalifa powołującego się wyłącznie na sunnę. Bagdad należy się dynastii, której krew pochodzi od Proroka...

— Jezus też był prorokiem — przerwał mu Turnbull z niezwykłą stanowczością. — Dlaczego więc nie zjednoczymy się, nie poszukamy formuły, która byłaby do zaakceptowania dla wszystkich, również dla żydów i dla chrześcijan?... Właśnie na tym polega śmiałość Wielkiego Planu: związek krwi Starego i Nowego Testamentu, Koranu i Objawienia...

— A zatem wcale nie chcecie uczynić dzieci parą władców? — wmieszała się Laurencja nie pytana, pełna oburzenia. — Bo choć niewiele mi wiadomo o łonie i nasieniu, z którego się zrodziły, to wiem jedno: że nie mają nic wspólnego z szyitami i nie są potomstwem Proroka! Do jakiej gry je wykorzystujecie?

— My, Przeorat Syjonu — zareplikował ostro Jan i po raz pierwszy hrabinę owionął przejmujący chłód tajnego zakonu, który za kulisami pociągał za sznurki i cudzymi rękami wyciągał kasztany z ognia — nie powiedzieliśmy nigdy i nigdzie, że uczynimy dzieci nową parą władców, lecz mówiliśmy zawsze, że uczynimy ją z dzieci!... — Opanował się i bardziej pojednawczo, gdyż szło o zbyt wysoką stawkę, ciągnął: — To może znaczyć: z obojga, a może również dotyczyć tylko jednego...

— A co stanie się wówczas z drugim? — Hrabina przeobraziła się w czujną samicę drapieżnika, wietrzącą szakale, które włóczą się wokół jej młodych.

Tarik wyczuł to.

— Oczekujecie teraz ode mnie czegoś w rodzaju: „Do hodowli zostawia się tylko najbardziej udane młode z jednego miotu, inne się topi”. Czy nie tak?

— Proszę, odkrywajcie dalej karty, panie kanclerzu! — Laurencja czuła, jak rośnie w niej lwica. — Cóż więc stanie się z niewartym życia lub bezużytecznym szczenięciem?

Tarik uśmiechnął się cynicznie, co doprowadziło ją do jeszcze większej wściekłości.

— Wy, sentymentalni chrześcijanie, macie w tym celu klasztory i konwenty. My, pogańscy barbarzyńcy, po prostu zabijamy to, co nam przeszkadza, zawsze we właściwym czasie i bez wielkiego rozgłosu.

— A więc jednak! — rzekła Laurencja ze smutkiem; miała nadzieję, że to wszystko jest tylko złym snem, karykaturą bezdennej ludzkiej podłości.

— I sądzicie, że ja wam kiedykolwiek przekażę te dwie młode ludzkie istoty, że wydam je na pastwę waszego Wielkiego Planu?

— Wierzę, że tak — powiedział Jan. — Znowu przesadzacie, oboje! Wiadomo przecież, że nasz Plan, któremu wszyscy jesteście zaprzysiężeni, także wy, pani, nie może być zagrożony, również przez zbrukanie. A przelana krew oznacza zbrukanie, dlatego na pewno żadnemu z dzieci nie stanie się nic złego. Potrzebujemy ich!

— Słusznie! — parsknęła Laurencja. — Jeszcze je wykorzystujecie...

— Cóż za błędne założenie — powiedział sucho Tarik. — Przelanie krwi, tyle że fałszywej, oczyszcza! — Odczekał, czy ktoś go zaatakuje. — My, ismailici, jesteśmy gotowi ofiarą krwi uwolnić Bagdad spod jarzma fałszywego kalifatu, najechać go z Persji i Syrii. Jesteśmy gotowi oddać do dyspozycji naszą świętą krew, krew potomstwa proroka, posłuszni nakazowi szyitów, podobnie jak roszczeniu królewskiego domu Dawida...

— Święta krew w Mezopotamii — zakpiła Laurencja — chroniona przez Franków z Królestwa Jerozolimskiego na Zachodzie i przez Alamut na Wschodzie! Ale nie raczy-

liście powiedzieć, czcigodny kanclerzu, że za tym wszystkim kryje się wasza uzasadniona troska wywołana niebezpieczeństwem, które wam grozi od Mongołów. I dzieci powinny wam, ismailitom, zapewnić tam konieczne wpływy, zagwarantować przeżycie... — W wywodach hrabiny ujawnił się niedoszły mąż stanu, jak często o sobie myślała. — Tylko dlatego gotowi jesteście zaakceptować krew niewiernych.

— Każdy z nas tutaj ma swoje pobudki, dla których interesuje się dziećmi — zabrał głos Jan. — Ale jest też wielu niewidzialnych, którzy chcą je zniszczyć. Poruszą niebo i ziemię, byle nie dopuścić do urzeczywistnienia naszych zamysłów! Dlatego trzymajmy się razem, bo musimy ochronić dzieci i zapewnić im bezpieczną przyszłość! — wygłosił płomienny apel do spierających się. Oddychał ciężko, wzburzenie dało mu się we znaki. — Cóż na przykład przemawiałoby przeciwko wychowaniu Rosza i Jezy na pograniczu dwóch religii, między Koranem a Biblią?

— Jutro każę sprowadzić rabina z Bari! — Laurencja potraktowała propozycję sarkastycznie. Po to, przemknęło jej przez głowę, trzymałam dotychczas klechów i zakonnice z dala od dzieci, żeby teraz fanatycy zamęcili jasne młode umysły?

Turnbull jednak zachwycał się dalej swoją ideą:

— Władcy, którzy Królestwo Boże już noszą w sobie! *Katharsis*\* rodziców jako siła napędowa! Przecież oczyszczona forma chrześcijaństwa łączy w sobie wszystkie nauki, jednoczy wszystkie religie!... — zapalał się. — Widzę — zamknął oczy — dzieci w Jeruzalem, miejscu świętego Grobu, miejscu, z którego Mahomet odszedł do nieba, Świątyni...

— Rosza jako papieża, a Jeżę jako cesarzową — przerwał mu ironicznie Tarik. Również Laurencja nie mogła się powstrzymać:

— I panowanie Przeoratu Syjonu nad światem zamanifestuje się wreszcie w historycznym miejscu!

— Nie panowanie, nie władza: rządy miłości! — bronił się Jan emfaticznie. — Koniec wszelkiej przemocy, powrót do Ziemi Obiecanej...

— Żydz się uciesz! — opryskliwie zauważyła Laurencja, po czym wskazała na otrzymane pełnomocnictwo, rozłożone na blacie. — Pozwólcie mi przedstawić cesarski punkt widzenia, żeby potem nikt nie mógł twierdzić, że milczałam, gdy przy mnie tworzono fantasmagorie i budowano zamki na lodzie: przyszłość należy do Zachodu! Jego najwyższą instancją jest cesarz. Kapłaństwo wszelkiej religii — to było pod adresem obu starców, których sekciarska przynależność ją złościła — ma się mu podporządkować! Chciałabym, żeby Fryderyk ustanowił w tym celu swoją siedzibę w Rzymie i żeby cały świat widział, od kogo płynie światło.

— W ten sposób świata ani nie zjednoczycie, ani nie uspokoicie. — Wystąpienie

---

\* *Katharsis* (gr.) — oczyszczenie.

hrabiny doprowadziło Tarika do wściekłości. — I wątpię też, żeby wasz cesarz tak myślał...

— Rzym przyniósł ludzkości tylko nieszczęście, ucisk i nienawiść! — lamentował Turnbull. — To miasto dalekie od świętości i bardzo odległe od Ziemi Świętej!

— Wobec tego Palermo — zaproponowała Laurencja, jakby los ludzkości można było zmienić jednym pociągnięciem pióra. — Sycylia to śródziemnomorski łącznik między Wschodem i Zachodem!... — Hrabinę naszły jednak wątpliwości co do pełnomocnictwa. — Zakładając, że Fryderyk zechce w ogóle mieć coś wspólnego z naszymi podopiecznymi, bo nawet z domniemaną, lecz nie udowodnioną domieszką krwi Hohenstaufów dzieci są dla cesarza kacerskim potomstwem!

— To infanci Graala, sukcesorzy *sang réal*. — Jan żałował, że w ogóle dopuścił do tej wymiany zdań. — Świat podziękuje nam kiedyś, żeśmy tę krew uratowali, gdziekolwiek się potem objawi...

— I jakkolwiek się objawi! — uściślił Tarik. — To drogocenna krew. Nie zamierzamy jej wylać, lecz pieczołowicie przechowywać aż do dnia, w którym Allah obwieści nam, jakie są Jego wyroki!

— Chwała niech będzie Bogu — zakończył wybawiony z opresji Jan — a na ziemi pokój i...

— ...i radość ludziom! — wpadła mu w słowo Laurencja. — Kiedy dzieci dorosną, może też zechcą o czymś decydować.

Hrabina musiała mieć zawsze ostatnie słowo, i tym razem wypowiedziała je także, choć niemal już w progu.

Dlatego też nie usłyszała, jak stary Turnbull mruknął:

— Wszystko jest w ręku Boga!

Tarik zaś dodał od siebie:

— *Wa-tanbah kilab al-kafla!*\*

— Właściwie jaki król jest naszym ojcem? — Rosz spoglądał w górę ku Creanowi; zbiegł po schodach szybciej niż ten miły człowiek z pokrytą bliznami, smutną twarzą, który im towarzyszył od Montségur przez morze aż tutaj i do którego czuł pełne zaufanie. Niestety był za stary, żeby zostać przyjacielem jak William, ten wesołek! Crean wyglądał zawsze tak, jakby ciągle rozmyślał nad czymś, co mu bardzo ciąży na duszy. — Słuchasz mnie? — spytał chłopiec. — Wszyscy mówią, że jesteśmy królewskimi dziećmi.

Crean próbował zyskać na czasie, zwłaszcza że Jeza znalazła sobie nową zabawę: skakała z poręczy platform, a Crean łapał ją na dole; ogromnie jej się to podobało

---

\* *Wa-tanbah...* (arab.) — uważaj na psy!

i pokrzykiwała radośnie przy każdym skoku.

Znajdowali się we wnętrzu donżonu, w owym głównym pomieszczeniu bez okien, do którego światło wpadało tylko z wysoko umieszczonych otworów.

— Ach!... — westchnął Crean i usiadł na najniższym stopniu drewnianych schodów, pozwalając, by Jeza wdrapała mu się na kolana. — Tego i ja tak naprawdę nie wiem. Ale myślę, że ma to coś wspólnego z wszystkimi królami...

— Z królem królów? — spytała chciwie Jeza.

— To przecież cesarz! — skarcił ją Rosz.

— Był kiedyś król — podjął Crean — który miał przy swoim stole dwunastu najlepszych rycerzy...

— Król Artur! — wpadł mu w słowo podniecony Rosz. — Czy on jest naszym ojcem?

— W pewnym sensie tak — odrzekł zatopiony w myślach Crean — chociaż już dawno nie żyje...

— Żyje ukryty w górze — wyjaśnił mu Rosz — i kiedyś się pojawi...

— Nie chcę, żeby taki stary król był moim ojcem — oznajmiła Jeza. — Mój ojciec powinien być bohaterem!

— Widzicie — powiedział Crean — kraj, w którym jest Montségur, należał niegdyś do młodego króla. Nazywano go Parsifalem. Był to dzielny wojownik, ale...

— Ale co? — Jeza była bardzo podniecona.

— Otruto go!

— Niebezpiecznie? — spytała. — Kto go otrul?

— Na pewno Francuzi — nie miał wątpliwości Rosz. — Oni są niebezpieczni!

— Ale dlaczego, jeśli był bohaterem? — Jeza była rozczarowana, że tego ojca również nie zobaczy.

— Król Francji — wyjaśnił Crean — i papież zazdrościli mu, bo w ich żyłach nie płynęła królewska krew jak u Artura i Parsifala...

— I jak u nas! — stwierdził Rosz.

— Dlatego — powiedział Crean i zsadził Jezę z kolan — musicie się strzec tych wrogów.

— Jak będę duży i zostanę rycerzem, wyzwę ich na pojedynek i pokonam!

— Ja też — zawołała Jeza. — Każdego! — Zaczęła się jednak zastanawiać, czy przystoi to jej jako dziewczynie.

— Kobiety nie mogą być rycerzami — wytłumaczył jej Rosz — bo rycerze służą kobietom.

— To otruję papieża — oświadczyła stanowczo — gdyby przypadkiem chciał mnie poślubić.

Crean roześmiał się, Rosz natomiast popatrzył zaskoczony na swoją towarzyszkę



i rzekł:

— Zostaw to mnie, jestem przecież twoim rycerzem!

Zerwali się i pociągnęli Creana stromymi krętymi schodami w dół, po czym prześcignęli go i ześlizgnęli się szybko po przystawionej do donżonu drabinie, bo nagle wpadli na pomysł, żeby ją odciągnąć od wieży, nim Crean ukaże się w wysoko umieszczonych zewnętrznych drzwiach. On jednak domyślił się, jaki figiel go czeka, i pojawił się na zewnątrz wcześniej, niż się spodziewali, szybko stanął na drabinie i starannie zamknął żelazną furkę.

Dzieci rozczarowane pobiegły dalej.

## LAWINA

*Alpy, zima 1245/46*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Skręciliśmy w jakąś dolinę; na południowych stokach trwało jeszcze winobranie, choć ostatnim gronom dokuczały już nocne przymrozki. W głębi wznosiły się w majestatycznym lodowatym chłodzie białe szczyty Alp. Obok samotnej kaplicy rozpoczynało się podejście ku przełęczy. Zażyczyłem sobie — dosyć rzadko zresztą wyrażałem takie żądanie — że chcę się pomodlić do Maryi Panny, nim wejdziemy na wąską ścieżkę, która ponad wierzchołkami ostatnich modrzewi i ciemnych jodeł wiła się w górę ku huczącym wichrami wysokościami.

Nawet tu, na dole, leżał już śnieg. Hamo kazał mi zdjąć łańcuchy, które już dawno uważałem za zbędne. W skromnym Bożym przybytku znalazłem kapłana napełniającego oliwą wieczną lampkę. Przeraził się, gdy usłyszał, że chcemy pokonać przełęcz.

— Bracie świętego Franciszka — przemówił i uczynił nade mną znak krzyża — właśnie wy powinniście unikać tej *viae crucis*\*. Tam w górze mieszkają Saraceni. Nigdy żaden minoryta nie przedostał się żywy przez ich most do wysoko położonej Engandyny.

— Saraceni? — spytałem rozbawiony, rozważając, czy jest jeszcze coś, co mogłoby mnie przestraszyć.

— To istne diabły! Biegają po śniegu, nie zapadając się! To diabelska sprawa! Wietrzą każdego minorytę i szczują go na śmierć!

— I pożerają wraz z habitem? — zakpiłem.

— Ach, bracie — westchnął eremita — mógłbym wam pokazać niezliczone dREW-

---

\* *Via crucis* (łac.) — droga krzyżowa.

niane krzyże, laski i pielgrzymie torby, które każdej wiosny wraz z topnieniem śniegów przynosi tutaj rzeka.

— Złapiemy dla was jednego Saracena — zażartowałem — i przyślemy wam przykutego do tratwy!

Pobłogosławił nas wszystkich i rozplakał się, gdy ruszyliśmy dalej.

Pojazd, który dotychczas wiozł mnie, „wielkiego grzesznika”, moją „lubieżną kobietę”, czyli dobrą, choć okropnie brzydką piastunkę, a także „wstydlivy płód moich lędźwi”, pozostawiliśmy przy kaplicy, ścieżka bowiem była zbyt stroma, a zwirowate zbocze poorane bruzdami od deszczu i topniejącego śniegu.

Nie pozwoliłem się ponownie zakuć. Hamo jednakże nastawał na to, żeby piastunkę i dzieci połączyć łańcuchem, bo na tej niebezpiecznej drodze któreś z tych głuptasów gotowe by jeszcze runąć w przepaść.

Pomny dziwnych ostrzeżeń eremity, aczkolwiek na głos w nie powątpiewałem, uznałem za najmądrzejsze pozbyć się habitu. Zamieniliśmy się ubiorami z naszym chorążym, chociaż jego kaftan sięgał mi ledwie do brzucha. Biedny chorąży marzył dotychczas okrutnie i w brązowym wełnianym habicie mego zakonu wreszcie poczuł się dobrze.

Nie wspinaliśmy się długo, gdy dotarłszy do skraju lasu po raz ostatni obejrzałem się za siebie. W dole obok kościółka pojawił się znaczny oddział jeźdźców; na ich czele dostrzegłem posępną postać w czarnej pelerynie. Przybysze otoczyli pozostawiony przez nas wóz, z kaplicy wyciągnęli pustelnika.

Przyspieszyliśmy kroku, gdyż prześladowcy ruszyli naszym śladem. Hamo rozkazał żołnierzom zająć pozycje za drzewami i zasypać wrogów gradem strzał, póki są na odkrytym terenie. My, to znaczy Hamo, Robert, piastunka z dziećmi, chorąży i ja, ruszyliśmy dalej przedzierając się przez poszycie i wydawało się, że umkniemy pogoni, lecz odwróciwszy się przypadkiem zobaczyłem, że nasi łucznicy zmykają między drzewami jak zające.

Za lasem otwarł się nagle przed nami głęboki wąwóz, na którego dnie burzył się potok. Przerzucone nad parowem dwa pnie pozwalały się przedostać na drugą stronę. Ponieważ miałem zawroty głowy, kazałem chorążemu podać sobie sztandar i użyłem go jako balansu. Chorąży podążył za mną na czworakach. Potem wszedł na kładkę siłacz Robert, prowadząc na łańcuchu piastunkę, za nią miały iść dzieci, a na końcu Hamo. Gruba niewiasta kroczyła dzielnie, tyle że z zamkniętymi oczami, Robert jednak ciągnął ją za sobą, aż poczuła pod nogami stały grunt.

Potem Robert zawołał na dzieci, ale one krzycząc ze strachu rzuciły się na ziemię, tak że musiał oboje przeciągnąć po pniach na łańcuchu. Już były bezpieczne, mimo to wciąż ryczały, jakby je obdzierano ze skóry — na szczęście w dużym stopniu zagłuszał to huk wody.

— Kładkę trzeba zerwać! — zawołał Robert i spróbował poruszyć pnie.

Niestety, z upływem czasu kłody zaklinały się mocno w stromo opadającym skalnym zboczu, tak że nie drgnęły nawet. Wtedy Robert ukląkł, objął je ramionami, natężył się, aż żyły wystąpiły mu na czole, i nagle jednym szarpnięciem wyrwał oba pnie. Sam jednak zachwiał się przy tym, uwolniony przez niego ciężar przeważył, Robert stracił równowagę i na naszych oczach runął w dół. Przez chwilę widzieliśmy, jak spada, po czym zniknął w spienionej wodzie. A po drugiej stronie wąwozu błysnęły w lesie hełmy naszych prześladowców.

Pospieszyliśmy skalistą ścieżką w górę, mniej z obawy, że nas dostrzegą, a bardziej z konieczności, by usunąć się z zasięgu ich strzał. Zerknąłem potem ostrożnie zza kamienia i zobaczyłem, jak Wit z Viterbo miota się wołając chyba o topór. Kiedy mu go wręczono, z taką wściekłością zaczął rąbać najbliższą jodłę, że stylisko rozpadło mu się w rękach, a ostrze wysokim łukiem poleciało w nurty rzeki. Gdyby drzewo ścinał spokojnie, runęłoby dokładnie w poprzek wąwozu i wkrótce wybiłaby nasza ostatnia godzina. A tak wreszcie się od nich uwolniliśmy.

Modliłem się po cichu za Roberta, dzielnego człowieka, i wmawiałem sobie, że może zdołał się uchwycić jakiejś zwisającej gałęzi. Bo jeśli nie, to niechaj Pan zlituje się nad jego duszą!

Najpierw gdzieniegdzie, potem już cały pokryty twardym firnem skalisty stok, do tego zasypany utrudniały nam i tak już męczące podejście; podobnie okruchy skalne, które często odrywały się ze ściany i z łoskotem spadały obok nas w dolinę. Coraz trudniej było oddychać, robiło się coraz zimniej, śnieg stawał się coraz głębszy.

— Pozwólcie nam zawrócić — powiedziałem spokojnie do Hamona, aby nie zranić jego dumy i nie sprowokować młodzieńczego uporu. — Zabłądziliśmy i niebawem nie da się iść dalej. Jeśli teraz cofniemy się po własnych śladach, może jeszcze się uratujemy.

— Dobrze — odparł Hamo i popatrzył na grubą piastunkę, która ciągnęła za sobą dzieci.

W tym momencie powietrze wypełnił grzmot i świst i runął na nas śnieżny obłok, tamując oddech w piersiach; zobaczyłem jeszcze, jak piastunka lekko niby piórko unosi się w górę, chyba pociągając za sobą dzieci, lecz ich już nie widziałem w białym morzu śniegu, które mnie również porwało. Wszystko dokoła wirowało, a ja, kurczowo trzymając sztandar, nie wiedziałem, czy jestem już w niebie, czy tylko stoję na głowie. Plułem i łapczywie chwytałem powietrze, aż pojąłem, że znajduję się w piekle! Ono było mi przeznaczone! Nie ma co myśleć o aniołach!

I oto ja, gruby William z Roebroku, minorityta, straciłem świadomość, z jękiem oddając duszę diabłu. Objęło mnie ciepłe łóżko z baldachimem, miękkie łóżko, w którym łagodnie zasnąłem...

## VII SARACENI

### SZARY KARDYNAŁ *Castel Sant' Angelo, zima 1245/46*

Uderzenia bicia nie tyle z kłaśnięciem, ile z posapującym furkotem spadały na muskularny grzbiet ofiary; świstały jak porywy wichury, zatrzymywały się na chwilę potrzebną dla niedosłyszalnego liczenia oraz szybkiego oddechu dobywającego się spo między zaciśniętych zębów, aby potem znów ze straszliwą obojętnością wahadła przeciąć powietrze i skórę. Ciało na żebrach zaczerwieniło się, nabrzmiało i zaczęło pękać — pręga po prędze.

— Nie dlatego, że pozwoliłeś im uciec — odezwał się głos między dwoma świsnięciami bicia; niewidzialny kardynał beznamietnie oczekiwał natrętnego odgłosu następnego uderzenia — lecz dlatego, że wyrządziłeś mi krzywdę wobec całego świata!

Znowu świst i smagnięcie rzemienia po zgiętym grzbiecie, które teraz zabrzmiało jak młaśnięcie z powodu tryskającej krwi.

— Nie miałem takiego zamiaru — wydusił Wit, starając się, aby w jego słowach nie zadrgała nuta bólu.

— Jeszcze po trzy baty za każde słowo!

W trakcie następnych razów miał Wit dość czasu, aby z rozgoryczeniem rozmyślać o tym, że „cały świat” oznaczał tylko niespodziewaną wizytę starej damy, która Szarego Kardynała zastała w sytuacji nie dającej się pogodzić z jego wyobrażeniem o sobie. I właśnie on, Wit, wpędził gospodarza zamku Świętego Anioła w owo niegodne położenie, i za to odbierał teraz karę.

— ...*dieci, undici, dodici!*\* — dotarło do jego świadomości.

— Nieposłuszeństwo? Nieudolność? A może tylko obojętność? — szydził głos.

— Zapomnieliście o litości, eminencjo! Dlaczego nie zwolnicie mnie ze służby, nie zabijecie jak starego psa? — Wit wiedział, że nie hardość, lecz pełne podporządkowanie się mogą mu zjednać wyrozumiałość i ustrzec go przed kalectwem.

Ton Niewidzialnego zmienił się.

---

\* *Dieci, undici, dodici* (wł.) — dziesięć, jedenaście, dwanaście.

— Czy zastanowiłeś się nad tym, że ich ucieczka na Wschód może stworzyć mit, który o wiele trudniej będzie zniszczyć niż jednego mnicha i dwoje dzieci? — spytał z odzieniem rezygnacji. — Dzieci w ręku Mongołów mogą się kiedyś stać rękojmią ich skrywanych roszczeń do panowania nad światem!

— Potomkowie Dżyngis-chana tak czy siak mają te roszczenia, choć tak samo jak wy niewiele wiedzą o dzieciach.

— Ten, kto umożliwił im ucieczkę, i nie myślę tu wcale o twoim mnichu, zatroszczy się już o to, żeby wielki chan dowiedział się wszystkiego na czas.

— Albo i nie — zareplikował Wit, odzyskując pewność siebie. — Ci, co stoją za tym, reprezentują siły Zachodu i chyba tylko Zachód ich obchodzi. Według mnie podsunęli dzieci naiwnym Tatarom, żeby je wychowywali, i nie dbają o to, czy ktoś się dowie, jakie jest ich znaczenie i przeznaczenie — zakończył dumnie swoje rozważania.

— Nieźle, mój Wicie! — pochwalił go Niewidzialny. — Niekiedy bystrością umysłu przynosisz swemu rodzicowi prawdziwy zaszczyt!

Zastukano do drzwi. Mnich, który z nasuniętym na twarz kapturem sprawował urząd *fratris punitoris*<sup>\*</sup>, nastawił ucha.

— Możesz odejść — powiedział głos i ku uldze Wita jego oprawca opuścił pokój, a wszedł Bartłomiej z Cremony; przyniósł maści i opatrunki i zajął się wychłostanym, który wciąż leżał przewieszony przez kozioł.

Pomieszczenie, gdzie się znajdowali, nie było więzieniem, lecz jedną z izb Archiwum do spraw Rzeszy.

— Skąd właściwie wiecie — burknął Wit, który drgał teraz pod każdym dotknięciem — że ten flamandzki minorityta, ten William z Roebroku, dotarł do Niemiec i przyłączył się do Piana?

— Jan z Pian del Carpine był kustoszem Saksonii i pełnił urząd niemieckiego prowincjała przez dobre pięć lat — wyjaśnił Bartłomiej. — Zna go każdy.

— A czy nie miał mu towarzyszyć Benedykt z Polski? — Wit, co zrozumiałe, nie był w najlepszym nastroju. — Któż poświadczy, że doszło do spotkania perfidnych braciszków?

Wit nienawidził ubogich braci mniejszych, tych wszędzie uwijających się brązowych polnych myszy. Drążyli swoje korytarze, gdzie im się podobało, człowiek zaś znieścacka wpadał w te dziury, potykał się lub nawet łamał sobie nogi.

— Wiemy tylko, że tak a nie inaczej się to odbyło. Wiadomość nadeszła z niezawodnego źródła — stanowczo oświadczył Bartłomiej. — Od Andrzeja z Longjumeau, który akurat w Antiochii pertraktuje z Ignacym w sprawie pojednania...

— Ach — parsknął Wit — z tym jakobitą, który uczestniczy w naszych procesjach,

---

<sup>\*</sup> Frater punitor (łac.) — mnich wymierzający kary.

ale przywiązany jest do prawosławnej doktryny, a przede wszystkim pragnie pozostać niezależny!

— Właśnie z nim — potwierdził uśmiechając się Bartłomiej, który tymczasem obłożył zmaltretowany grzbiet Wita chustami nawilżonymi w aloesie i teraz zaczął go owijać płóciennymi pasami. — Andrzej ostatnio przyjął Ignacego do zakonu świętego Dominika. — Nie doczekawszy się reakcji, przeszedł do sedna: — O tym, że William i Pian są u wielkiego chana, Andrzej dowiedział się, oczywiście pod przysięgą *silentii stricti*\* od kanclerza syryjskich asasynów, a ten z pewnością jest dobrze zorientowany!

Z ust Wita wydobył się śmiech i urwał, gdyż najłżejszy ruch żeber sprawiał viterbczykowi piekielny ból.

— W Masnacie — szydził — słyszą, jak trawa rośnie i co się dzieje w mongolskich stepach...

— A tam, gdzie stąpa pan z Viterbo, nie rośnie już żadna trawa — zabrzmiał głos Niewidzialnego nad ich głowami, gdzie znajdowały się tylko półki wypełnione aż do sufitu foliałami oprawionymi w skórę. — Zamierzasz obandażować go jak mumię? — głos zwrócił się do niosącego pomoc mnicha. — Zakończ już swoją samarytańską posługę, Bartłomiej!

Bartłomiej zebrał swoje rzeczy i spiesznie zniknął za drzwiami, które zatrzasnęły się głucho.

— *Carpe diem!*\* — oznajmił Szary Kardynał. — Jeśli nie chcesz się więcej niczego nauczyć, to zacznij przynajmniej myśleć, zastanawiać się, a przede wszystkim przewidywać. Daję ci, Wicie, tyle czasu, ile potrzebujesz, aby zrozumieć, że człowiekiem czynu ma kierować *logos*, a nie *humores*!\*

— Czy rozważyliście — odparł Wit szybko — że tamci... że Przeorat...

— Nie wypowiadaj na głos swego podejrzenia! Nigdy! Nawet w tych czterech ścianach! — przerwał mu drżącym z wściekłości głosem Szary Kardynał. — Zachowaj domysły dla siebie, jeśli ci życie miłe!

— I owszem, jest mi miłe, zwłaszcza z nie uszkodzonym ciałem — burknął Wit. — Ale czy pomyśleliście, eminencjo, że tamci mogli wam podsunąć fałszywy trop? Andrzej, ten nadęty paw!... Naprawdę sądzicie, że kanclerz asasynów, najbardziej zamkniętej sekty na ziemi, zwierzyłby sekret o takiej doniosłości temu plotkarzowi, nawet pod rygorem „zachowania ścisłej tajemnicy”? Oni wszyscy są w zмовie! Dajcie mi flotę, a wyciągnę dzieci z kryjówki, której nigdy nie opuściły: z Otranto!

Szary Kardynał milczał czekając, czy jeszcze coś usłyszysz, po czym oznajmił:

---

\* *Silentium strictum* (łac.) — absolutne milczenie.

\* *Carpe diem!* (łac.) — korzystaj z [każdego] dnia!

\* *Logos* (gr.) — słowo, pojęcie; tu w zn. filozof. — rozum; *humores* (łac.) — humory, dawny termin medyczny, żywy w średniowieczu, oznaczający cztery główne płyny organiczne, których wzajemne proporcje wpływają na usposobienie i nastroje.

— Nie opuścisz tego pokoju, póki się nie przekonam, że bez szkody i wstydu możesz iść między ludzi.

Na tym rozmowa się zakończyła. Wit poczuł powiew lodowatego powietrza, gdzieś na moment otwarły się drzwi...

Ulewa chłostała gładkie mury zamku Świętego Anioła. Na zbliżającego się od strony Tybru nocnego przybysza nie padło z twierdzy żadne światło, a wąska furta otwarła się dopiero wówczas, gdy szybko przesuujące się strzępy chmur odsłoniły na czas jednego oddechu zimową tarczę księżyca. Mateusz z Paryża musiał wielokrotnie ciągnąć za sznur od dzwonka, nim pełniąca rolę pomostu brama opuściła się ze szcękaniem i wreszcie wchłonęły go mury.

Sklepione *documentarium*, przywodzące na myśl kryptę, zabezpieczały potrójne żelazne drzwi i zamki. Otwierało się je różnymi kluczami wkładanymi jednocześnie z zewnątrz i wewnątrz, powierzonymi rzecz jasna różnym rękom. W pomieszczeniu płonęły wszystkie lampy oliwne, których blask wzmacniały wklęsłe srebrne zwierciadła, rzucające na pulpity skupione wiązki światła. Szarzy mnisi o ołowianych twarzach, które rzadko oglądały światło dnia, nadzorowali gromadę piszących niewolników, biegłych Chaldeczyków z Mezopotamii, którzy pobierali nauki w Aleksandrii, i żydowskich uczonych zwerbowanych w Hiszpanii. Ci specjaliści mogli opuścić *documentarium* tylko martwi. Tutaj sporządzano papieskie bulle, kopiowano traktaty, redagowano i poprawiano na korzyść kurii rzymskiej dyspozycje spadkowe: kwestie nieistotne bądź nieprzyjemne były *omissis*\* a co niestosowne — „upiększono”. Ząb czasu nadgryzał nie tylko stare pergaminy, które „odświeżano”, lecz również ich treść i formę, należało je więc dostosowywać do zmienionych okoliczności. To co niegdyś było korzystne, setki lat później mogło stanąć w sprzeczności z interesami *patrimonii Petri*, toteż skrybowie mieli pod ręką pieczęcie i szablony podpisów zmarłych papieży i legatów, atramenty, laki i sznurki ze wszystkich epok funkcjonowania sekretariatu rzymskiej kurii.

— Jego eminencja oczekuje was w naszym fałszerskim warsztacie — powitał Bartłomiej późnego gościa. Wobec niego mógł sobie pozwolić na zakazane wyrażenie: Mateusz z Paryża był nie tylko zdolnym nadzorcą tej przydatnej placówki, lecz również jej chodzącym skorowidzem. Nikt poza nim nie miał w głowie wszystkich dat i faktów i nie wiedział, gdzie co można znaleźć.

Bartłomiej, towarzyszący przemoczonemu do nitki bratu podczas rytuału otwierania i zamykania drzwi, zapoznał go z najświeższą nowiną:

— Wit dostał trzy tuziny batów i ścisły areszt!

Jeśli oczekiwał złośliwego komentarza, rozczarował się: Mateusz nie wyraził żadnej

---

\* *Omissis* (łac.) — zatajony, opuszczony (fachowe wyrażenie kopistów).

opinii.

Dostawszy się wreszcie do *documentarium*, Mateusz z Paryża podszedł do swego miejsca pracy i wzniosł pokornie oczy ku sufitowi.

— Czy Wawrzyniec z Orty przywiózł odpowiedź na bullę „*Dei Patris Immensa*”, którą papież skierował do Tatarów?... Jakże ta bulla była datowana?

Mateusz bez namysłu odpowiedział:

— Do rejestru wciągnięto ją piątego marca ubiegłego roku. Nie oczekiwałbym jednak, eminencjo, pisemnej odpowiedzi od tych barbarzyńców. Wawrzyniec powinien za to przywieźć pismo sułtana do Jego Świątobliwości, przypuszczalnie dość grubiańskie.

— Należy temu przeszkodzić, a przynajmniej złagodzić ton, zwłaszcza że kopia dostanie się z pewnością w ręce Francuzów...

— Czy mam przygotować substytut?

— Tak, i zastanów się, jak dokonać wymiany...

— Przez Andrzeja?

— Nieodpowiedni! Chyba że jako nieświadom niczego posłaniec. Niech to załatwi nasz człowiek w Konstantynopolu. Ty dopilnuj tylko, żeby Andrzej i Wawrzyniec się spotkali.

Mateusz wyszukał na półkach arkusz pergaminu, jakiego zazwyczaj używano w kancelarii dworskiej w Kairze, pomyślał też o właściwym atramencie. Potem podkreślił wyżej knoty w lampach ustawionych na pulpicie.

— Niezbyt jednak czule, Mateuszu! — dobiegł go głos z sufitu. Mateuszowi wydało się, że zadrgał powstrzymywanym śmiechem, ale natychmiast odrzucił tę myśl. Szary Kardynał nie znał żartów. — Skoro już chwytny za koło światowej historii — ciągnął Niewidzialny — to mocno! Nawet gdyby wcześniej czy później wszystko wyszło na jaw... Cóż, w drodze trochę błota zawsze musi przyłgnąć!

Przeciąg, który spowodował migotanie świateł był dla Mateusza wskazówką, że może się już zabrać do pracy.

## MOST SARACENÓW

*Puntraschigna, zima 1245/46*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Byłem w niebie! Z białych poduszek, które mnie otulały i ograniczały widok, anioł delikatną ręką starł ostatnie kryształowe pióra i moje oczy spojrzwały z lodowej krypty w głęboki błękit takiej czystości, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. To więc była ta Druga Strona, ten ciemno błyszczący lazur, w którego głąb przywiedziono mnie przed



mego Pana!

— *Ma lahu lahm abjad bi-dżadat hamra!*

Gdybyż tylko wianuszek twarzy nade mną nie przesłaniał mi widoku!

— *Mislu chinzir saghir?*

Maski koboldów w rażącym świetle spoglądały na mnie ciekawie z góry i mówiły językiem, którego najmniej bym się tutaj spodziewał: po arabsku!

— *Wa-malfuf fi bajrak al-kajsar!\**

Moją cielesną powłokę, sztywną jak pień, podniesiono i ułożono na niskich san-  
kach, okryto futrami i mocno przywiązano. Grzeszne ciało niegodnego brata Williama  
z Roebruku sunęło bezgłośnie, ciągnięte przez kosmate diabły ku sprawiedliwemu prze-  
znaczeniu.

A więc nie byłem w niebie! Tyle że piekło wyobrażałem sobie zawsze jako czarny la-  
birynt pieczar ledwie rozświetlony przez migotliwe płomienie, tymczasem było białe  
jak śnieg, lśniło i oślepiało, a zarazem zionęło żarem. Że zaś ten piekielny wieczny lód  
wcale się nie topił, to był cud Wszechmogącego. Widocznie Pan pozwolił moim zmy-  
słom uczestniczyć w Swojej nieskończoności, nim mnie od Siebie odepchnie. Logicz-  
nym następstwem tego przekonania był wniosek, że jeszcze potrafię myśleć, czyżbym  
więc nie umarł? Moje wątpliwości mogły rozwiać tylko te małe diabły, które otaczały  
mnie rojem i pędziły po śnieżnej płaszczyźnie, wcale się w nią nie zapadając. Nagle zo-  
baczyłem zębate szczyty na tle błękitnego firmamentu i powróciły mi wspomnienia.  
Żeby je spotęgować, natężyłem umysł do tego stopnia, że wbrew mojej słabej woli za-  
mknęły mi się oczy. Nie byłem panem swego ciała, nie czułem go, zapadłem się znowu  
w białe puchowe łożo...

Piekło wzięło mnie w posiadanie! Gnomy biegały szybko dookoła, warzyły moje cia-  
ło w ukropie, porażały je nagłym strumieniem lodowatej wody. Byłem nagi i bezbronny.  
Atakowały mnie, naciągały mi członki, siekły skórę różgami, szarpały za głowę, aż trzesz-  
czały kości, gniotły mi pierś; z trudem łapałem powietrze, ale życie wracało we mnie.  
Zacząłem rozumieć pytania prześladowców, a oni odpowiadali na moje.

Dowiedziałem się, że pogrzebała mnie lawina. Grubą kobietę i dzieci zmiotło do wą-  
wozu; widać, jak leżą na dnie, ale nie sposób ich uratować. Topniejący na wiosnę śnieg  
wypłucze ciała z lodu, który je teraz pokrył.

Mnie, człowieka ze sztandarem, znaleziono szybko, albowiem koniec drzewca wysta-  
wał ze śnieżnej pokrywy. Leżałem co prawda tylko na pół sążnia głęboko, lecz o mały  
włos byłbym się udusił. W naszej gromadce znajdował się jeszcze mnich, jego wszak-  
że nie szukano. Dosięgnął go chyba los, który i tak był mu przeznaczony: najgrub-  
szy z uwijających się koboldów zademonstrował na szyi swego towarzysza uduszenie

---

\* Malahu... (arab.) — Jakież ma białe ciało z rudymi loczkami! (...) Jak prosiak? (...) Ale jest owi-  
nięty w cesarską chorągiew!

stryczkiem bądź podcięcie gardła, w każdym razie nic dobrego.

— Franciszkanin! — zauważył pogardliwie. — Przeklęty przez Boga! — Wszyscy przytaknęli z uznaniem.

Wolałbym milczeć, zrobiło mi się jednak gorąco na myśl, że nie wspomnieli o Hamonie.

— I nie widzieliście więcej nikogo? — spytałem.

— Firuz widział oddalającego się chłopaka — odparł gruby pomocnik kata i wskazał na krzepkiego mężczyznę, który przykucnął z boku i z zapalem polewał się wodą.

— Niestety — mruknął zagadnięty — uwolnił się o własnych siłach i uciekł, zanim dotarłem do niego, ale mamy jego mieszek!

Podczas gdy wszyscy śmiali się zadowoleni, wyobraziłem sobie te gnomy, jak przycazone na górze powodują zejście śnieżnych lub kamiennych lawin na biednych — lub niezupełnie biednych — podróżnych, aby ich potem obrabować i często, gęsto pozbawić życia. Jakby odgadując moje myśli, katowski pomocnik z dobroduszną chłopską twarzą oznajmił:

— Ty żyjesz dzięki sztandarowi.

— Aha — stłumiwszy przerażenie odezwałem się, chcąc usłyszeć coś więcej.

— Twój sztandar ma barwy cesarza Fryderyka, naszego pana.

Na polecenie naczelnika wsi, którego dotąd nie widziałem na oczy, zostałem umieszczony w domu Ksawerego, w murowanej suterynie przy kozach. Byłem tak wyczerpany, że towarzyszący mi ludzie raczej mnie nieśli niż prowadzili. Nie ujrawszy mego gospodarza, w przegrodzie na paszę runąłem na korzennie pachnące siano i natychmiast zapadłem w głęboki sen.

Gdy się obudziłem, słońce stało już wysoko i kóz nie było. Być może przespałem parę dni. Wygrzebałem się z suchych kwiatów i traw i znalazłem pluskające między kamieniami źródółko, z którego smakowita woda płynęła rynną wzdłuż muru. Dom zbudowano na skalnym stoku; pochyła ścieżka, która biegła środkiem obory tuż obok mego legowiska, przechodziła w kamienne schody wiodące na piętro. Słyszałem na górze kroki, nie ośmieliłem się jednak tam pójść, chociaż burczało mi w brzuchu.

Rozglądając się zauważyłem w sianie drabinę przystawioną do klapy wpuszczonej między belki sufitu. Za najważniejsze wszakże uznałem to, że z owej drabiny można było sięgnąć do zawieszonych pod sufitem wędzonych połci mięsa oraz do wysokich półek, na których spoczywały grube okrągłe sery. Dopiero teraz dotarł do mnie ich kwaśno-zgniły zapach i moje puste kiszki zaczęły się skręcać z głodu, a do ust napłynęła ślina.

Zacisnąłem zęby i wybiegłem z domu. Siedział przed nim Ksawery, mój gospodarz. Życzliwy z wyglądu człowiek z twarzą wymiętą, przypominającą grzyb uwarzony

w oleju. Przed sobą miał miskę ze świeżym kozim twarogiem przyprawionym ziołami, do tego ciepły jeszcze płaski, okrągły chleb. Musiałem gapić się na te przysmaki jak pies na jatkę, bo gospodarz rozbawiony zawołał:

— Aiwa! Nasz świstak obudził się z zimowego snu i chce mi pożreć ser!

Nie czekając na żonę podsunął mi chleb i miskę. Zanurzyłem grubą pajdę w miękkim białym twarogu i w mig połknąłem wszystko; potem oblizałem palce i powiedziałem:

— Chwała niech będzie Panu! — i dorzuciłem zawstydzony: — Dziękuję.

— Słyszysz, Aiwa, jaki bogobojny ten cesarski chorąży? — zawołał znów gospodarz rozradowany. Na tle białych zębatach szczytów jego gardłowy arabski język sprawiał dziwne wrażenie, ta mowa wiązała się zawsze w moich wyobrażeniach z pustynią.

Gospodyni wyszła z domu niosąc nową miskę, tym razem napełnioną ciemnym spadzowym miodem, do tego dzban świeżego mleka. Była ciemnooką, krzepką pięknoscią, granatowoczarne włosy skrywała pod zasłoną, której rąbek uniosła, gdy spostrzegła moją ciekawość.

Jej mąż śmiał się głośno.

— William jest gorszy od mnicha: nie dotknie żadnej potrawy, póki nie odmówi modlitwy!

Kobieta rzuciła mi ogniste spojrzenie, choć może tylko wyobraziłem sobie żar jej tęsknoty. Może zasłonięta twarz dodawała oczom wyrazu, a mojej fantazji bodźca, od tak dawna bowiem nie miałem kobiety? Na rękę mi było, że gospodarz widział we mnie człowieka pobożnego, bo dzięki temu nie wzbudzałem podejrzeń, gdy z przyzwyczajenia czyniłem bezmyślnie znak krzyża bądź mruknąłem czasem *pax et bonum*. A dowiedziałem się przecież w łaźni, że nie cierpiano tutaj szczególnie franciszkanów. Spytałem o kościół.

— Mamy jeden, tam w górze, na zboczach, obok wieży strażniczej, ale z braku kapłana służy jako wędzarnia albo areszt, albo i jedno, i drugie. — Na samą myśl o tym gospodarz wyszczerzył zęby. — Powinieneś kiedyś zobaczyć, jak szybko w gryzącym dymie minorityta dochodzi do ładu ze swoją zakłamaną duszą. Ze strachu, że się uwędzi, woli wisieć na powietrzu! — Poklepał się z uciechy po udach. — Suszony na wietrze!

Śmiałem się wraz z nim, gdyż przerażenie używa człowiekowi takiego daru, pozwala też rosnąć męstwu.

— To znaczy, bracia z Asyżu przynieśli wam wiarę chrześcijańską, zbudowali kościółek, a wyście ich uwędzili?

— Oni zbeczcęścili dom Boży! — zdenerwował się flegmatyczny na pozór, choć przebiegły Ksawery, lecz szybko się uspokoił. — Nasz ród został nawrócony już pod rządami Lotara, wnuka wielkiego Karola. Kaplicę San Murezzana, poświęconą pierwszemu męczennikowi, znajdziesz na dole przy jeziorze. Trzeba iść przez most, potem kawałek lasem i przez bagna...

— A jeśli zabłądzę? — spytałem nieśmiało, lecz z naciskiem, aby sprawdzić, ile swobody mi się pozostawia.

— Lepiej chodź tylko tą wydeptaną ścieżką. Spróbuj z niej zboczyć albo uciec, a utoniesz w śniegu. I pamiętaj, że u wylotów doliny i na moście stoją straże. Dzień i noc! — Ksawery mówił teraz z powagą, ba, wzniosłością.

— *Guarda gadin* od wschodu i *guarda lej\** od zachodu. Bywa, że rankiem znajdujemy zamarzniętych na śmierć wartowników, ale jak sięga ludzka pamięć nigdy nie udało się nikomu przejść niepostrzeżenie przez most Saracenów. Czuwamy nad tą przełęczą! Dla cesarza!

Zerwał się i stanął na baczność jak żołnierz.

— Na dole, w Italii — dorzucił — nazywają tę przełęcz *diavolezza*, diabelska, i to ich odstrasza. I bardzo dobrze, inaczej jeszcze więcej zdradzieckich posłańców przebranych za żebrzących mnichów próbowałoby z papieskimi pieniędzmi przedostać się tą drogą do Niemiec, żeby niewiernemu landgrafowi napełnić wojenną kiesę! Hołota! — Uderzył pięścią w stół, aż podskoczyły opróżnione miski. — Ale łapiemy wszystkich! — zawołał jeszcze za mną, kiedy już ruszyłem w drogę.

Dopiero gdy zostawiłem za sobą kilka stromych drózek i tym samym właściwą wieś, ośmieliłem się odwrócić. W górze na stoku widniała kamienna wieża strażnicza, a niedaleko niej murowany kościół. Jego dach wydawał się w jednym miejscu jakby zapadnięty i z tej dziury wydobywała się cienka smuga dymu.

W miejscowych domach przeważnie tylko piwnice zbudowano z grubo ciosanego kamienia, natomiast piętra ze spojonych ciężkich brązowych belek. Dachy obciążone były dużymi kamieniami. W każdym domostwie jedno okno było zabezpieczone kratą, artystycznie wykutą i dołem wygiętą, zarówno gdy chodziło o proste chaty, jak i tynkowane, zdobione ornamentem budynki z kamienia.

— Widzę, że podziwiasz te ozdoby — wysapał Ksawery, który mnie dogonił. — Nikt ich nie potrafi wykonać piękniej ani w Mediolanie, ani w Rawennie. Tam nasi mistrzowie *sgraffito\** ozdabiają pałace!

Zatrzymałem się zaciekawiony, zwłaszcza że Ksawery nie odchodził. Sądziłem, że nie jest pewien, jak daleko sięga jego obowiązek nadzorowania mnie. Myliłem się. Mój gospodarz powodowany troską przyniósł mi jedynie futrzane buty i płaszcz.

— Kto mieszka w tych domach?

— To siedziby najstarszych rodów, osiadłych tutaj od początku. Przechodzą na najmłodsze córki, kiedy wyjdą za mąż. Pozostałym córkom wolno budować tylko chaty, i to poniżej kamiennych budynków, żeby nie zasłaniały słońca.

---

\* *Guarda gadin*, *guarda lej* (retorom.) — straż w dolinie, straż nad jeziorem.

\* *Sgraffito* (wł.) — technika w zdobnictwie ściennym polegająca na pokrywaniu muru kilkoma warstwami kolorowego tynku i zeszkrobaniu warstw wierzchnich według określonego wzoru w celu uzyskania barwnej kompozycji.

— A te żelazne kraty? — wypytywałem dalej.

— Niegdyś to były okna haremów — roześmiał się Ksawery. — Dziś zabezpieczają sypialnię najmłodszej córki, tak że nawet po drabinie nikt się nie dostanie do izby.

— Ciężki los! — mruknąłem, myśląc o młodych dziewczętach, mój gospodarz jednak bardziej się troszczył o los mężczyzn.

— Młodzieńcom, którym się nie uda pozyskać ręki saraceńskiej panny, nie pozostaje nic innego, jak opuścić rodzinne strony i zgodzić się do służby gdzieś na obczyźnie.

Dotarliśmy do mostu. *Punt*, jak go tutaj nazywają, przekraczał śmiałym łukiem rozpadlinę o popękanych ścianach; w dole gulgotała, huczała i syczała woda, której z góry nie można było dojrzeć, tak poszarpane były ściany wąwozu i tak głęboko wcinała się rzeka w skały, ale unosił się nad nią delikatny welon wodnego pyłu, lśniący wszystkimi barwami tęczy, jeśli padł na niego promień słońca. Most był drewniany, nie wiedzieć czemu nakryty dachem i oszalowany z boków, w których znajdowało się tylko kilka otworów strzelniczych.

— Po to, żeby straży śnieg nie zasypał — objaśnił mnie Ksawery. — I łatwiej się obronić przed niespodziewanym napadem: jeździec musi zsiąść z konia, żeby przejść przez most.

— A wojsko z katapultami?

— Jeśli uda mu się przedostać przez przełęcz i jeśli już nie sposób go zatrzymać, załoga niszczy most, spadając wraz z nim do wąwozu.

— Niepiękna śmierć — mruknąłem bardziej do siebie niż do swego rozmówcy, on jednak się sprzeciwił.

— W ten sposób Saracen uzyskuje wstęp do rajy — pouczył mnie. — Dotąd trzeba było to zrobić tylko raz, gdy młody Welf z Bawarii, którego wasalami byliśmy wówczas, chciał cesarzowi Henrykowi po jego wyprawie pokutnej do Canossy zagrozić drogę powrotną przez Alpy...

— I strażnicy mostu dobrowolnie ponieśli śmierć?

— I owszem. Razem z bawarską strażą.

Milcząc gapiłem się w dół na rozpadlinę; pomyślałem nagle o dzielnym Robercie.

— Teraz — pocieszył mnie gospodarz — pod rządami Hohenstaufa podlegamy bezpośrednio Rzeszy na takich samych prawach jak Żydzi Cesarstwa: *Servi Camerae Nostrae*.\*

Ksawery, któremu wszyscy we wsi okazywali szacunek, przedstawił mnie straży na moście.

— To William, mój gość. Ręczę za niego.

---

\* *Servi Camerae Nostrae* (łac.) — słudzy naszego dworu; aluzja do dekretu Fryderyka II z r. 1236, którym cesarz brał Żydów pod swoją bezpośrednią opiekę, za co musieli wносить stosowne opłaty do cesarskiej kasy.

Bez przeszkód przeszedłem ciemny drewniany korytarz i ruszyłem dalej sam, stając ciężko przez zaczynający się tuż za mostem las.

Ksawery zaopatrzył mnie w futro ze skórek świstaków, przyjemnie trzymające ciepło. Idąc wciąż zapadałem się w śnieg i z wielkim trudem brnąłem naprzód. Intrygowało mnie, jak poruszają się po śniegu Saraceni. Z pewnością byli w przymierzu z diabłem! Cóż innego kazałoby tym pogańskim koboldom zaszyć się w lodowym pustkowiu?

Las przerzedził się i teraz leżała przede mną rozległa biała płaszczyna: bagna, o których mówił Ksawery. W oddali, na wzniesieniu, zobaczyłem kaplicę. Jej widok dodał mi otuchy; nie zwracając uwagi na zdradzieckie podłoże, ruszyłem ku niej na przełaj. Ufałem, że ziemia jest dostatecznie mocno zamrznięta.

Gdy dotarłem do budynku, słońce stało już nisko. Musiałem się pospieszyć, by zdążyć z powrotem przed zapadnięciem ciemności.

W nędznym wnętrzu nie było nawet krucyfiksu. Nakreśliłem palcem krzyż w warstwie kurzu pokrywającej ołtarz i ukląknę do modlitwy. Za plecami nie miałem drzwi tylko pustą futrynę, co przyprawiało mnie o nerwowość. Chociaż idąc tu nie widziałem nikogo na szerokiej płaszczynie, odwróciłem się niespokojnie. Miałem teraz przed oczyma ciemne jeziora, którym, jak się zdawało, nie dane było zamrznąć zgodnie z prawami natury. Wytrzeszczały na mnie swe zastygłe oczy: czarne źrenice o bezdennej głębi. Chrześcijaninowi, który się do nich nieopatrznie zbliżył, z pewnością nie dawały zwierciadlanego odbicia, lecz wciągały go w swoją otchłań, ich lustra zaś nie burzyły wtedy najmniejszy krąg.

Diabelskie dzieło! Przeżegnałem się po trzykroć.

I wtedy go zobaczyłem — samotną postać z kapturem głęboko nasuniętym na twarz. Pomyślałem mimo woli o Wicie, moim prześladowcy. Ten tutaj jednak, jak zauważyłem, gdy się przybliżył, nosił habit franciszkanina tej samej barwy co sierść jego muła, który dreptał za nim ciężko obciążony. Braciszek musiał ciągnąć uparte zwierzę, mimo że odjął mu już część ładunku, aż pielgrzymia torba przyginała go prawie do ziemi. Od czasu do czasu mnich zatrzymywał się, rozglądał trwożliwie dookoła, jakby i on był świadom tego, że złe moce zagrażają mu tak długo, dopóki nie dotrze do świętego miejsca, pod osłonę kaplicy.

Właśnie chciałem się podnieść i pospieszyć mu naprzeciw, gdy z lasu nad jeziorem wyskoczyły diabły. Rzuciły się na minorytę, wyrwały mu sakwę i wykonały wokół niego radosny taniec. Twarze miały poczernione sadzą, tak że niepodobna ich było rozpoznać, tylko przywódca przypominał mi ponurego młodzieńca z łaźni, którego nazywano Firuz. On to założył minorycie powróż na szyję i kijami popędzono biedaka razem z mułem w głąb lasu.

Pozostałem na klęczkach jak skamieniały. Dopiero gdy byłem pewien, że diabelskich koboldów nie spotkam już w lesie, zebrałem się na odwagę i ruszyłem pospiesznie

w drogę powrotną, kierując się własnymi śladami na śniegu.

Pod wysokimi jodłami było już ciemniej, w krwiciemarańczowo zachodzącym słońcu pnie drzew rzucały na śnieg błękitnofioletowe cienie. Zacząłem biec, przewracałem się i wkrótce zgubiłem swoje ślady, straciłem orientację. Wtedy rozległy się dzwonki, dźwięcząc zrazu cicho, potem coraz głośniejsze. Te diabły mnie odnalazły i natrzęsały się teraz z biednej duszy, która błądząc po lesie jak dzikie zwierzę w poszukiwaniu pokarmu, nadziała się na myśliwych!

Przez podszybie przebiło się stado kóz popędzane przez dwie młode dziewczyny opatulone w grube futra. Że były to jednak córki szatana, rozpoznałem po ich nogach. Buty tych istot tkwiły w jakichś wydłużonych stojakach, w górze plecionych, dołem przypominających szerokie, obciążone skórą talerze. Na nich to ślizgały się po zamrożonej skorupie, nie zapadając się w śnieg. Zwodnicze były także dziewczęce świeże twarze; płonęły oczywiście piekielnym ogniem, ale oczka błyszczały im zuchwale, choć prawdę mówiąc zarazem szczerze i wesoło. Te diablance miały drobne, ostre zęby jak wieiórki, a usta niczym, tak, właśnie niczym nieznośne dzieciaki. Poza tym nie widziałem w nich nic ludzkiego, ponieważ przezornie ukryły wszystko pod futrami z rysiów i wilków, swych nocnych towarzyszy, z którymi parzyły się w głębi lasu, jeśli nie oddawały się kozłu albo nie wbijały spiczastych łapek w szyje niewinnych chrześcijańskich dzieci.

Szybko zbliżyły się do mnie i na domiar złego zaczęły szydzić.

— Rijesz! — zawołała jedna. — Czy to nie pan William, wasz gość?

Druga zatrzymała swe piekielne buciska tuż przede mną, tak że podniósł się kłęb śniegu i obsypał mi twarz. Klęknąłem bowiem ze strachu.

— Jestem Rijesz-Sawon, córka Alwy — powiedziała przyjaźnie miło brzmiącym głosem, gdy tymczasem ta druga zachichotała.

— Najmłodsza? — wyrwało mi się.

— Jedyna! — roześmiała się zdumiona. — A to moja kuzynka, Madulajn.

— Chciałbym, piękne młode panie — rzekłem nadal klęcząc przed nimi — pójść za wami jak te kozy, jeśli mnie tylko wyprowadzicie z tej ponurej jodłowej puszczy.

Wstałem i otrzepałem śnieg, obie dziewczyny jednak roześmiały się, słysząc moją prośbę.

— Tak żwawo nie potrafilibyście skakać — zażartowała Madulajn — nawet gdybyśmy was pogoniły kijami! — Zegnała rozproszone stado, które podążyło znajomą drogą ku domowej oborze.

Rijesz, licząca sobie najwyżej piętnaście lat, miała dla mnie więcej współczucia.

— Gdybym wam dała narty... — tak nazwała, jak się domyśliłem, swoje „śnieżne buty”, lecz jej towarzyszka potrząsnęła milcząco głową i córka Alwy porzuciła tę myśl. — Idźcie naszym śladem, to znaczy śladem kozich bobków na śniegu, wtedy znajdzie-

cie drogę do domu, nawet jeśli się bardzo ściemni — powiedziała i popędziła susami na swych przedziwnych podeszwach, goniąc zwierzęta, które już znikły za drzewami.

Dzięki wydeptanej pokrywie firnu mogłem teraz szybciej posuwać się do przodu i wkrótce zobaczyłem w świetle wieczoru wznoszące się ku niebu dymy nad dachami domów na zboczu. Popędziłem jak wicher przez drewniany korytarz mostu, na którym strażę nie usiłowały mnie zatrzymać, i dysząc zacząłem się wspinać wąskimi uliczkami.

Była to godzina wieczornej modlitwy, o czym przypomniał mi trzykrotnie powtórzony dźwięk rogu. Mężczyźni, przeważnie rzemieślnicy i handlarze, rozpostarli na śniegu dywaniki i w milczeniu szykowali się do modłów, twarzami zwróceni do przełęczy, za którą gdzieś daleko na południowym wschodzie musiała leżeć Mekka.

Mijałem ich ostrożnie, zerkałem na otwarte żarzące się paleniska kuźni, wdychałem żywiczną woń drewna w warsztatach wytwórców sanek, surowy zapach skóry w kramach z nartami. Spotykałem myśliwych z oszczepami, na których krwawiła upolowana gruba zwierzyna i naszpikowane strzałami tłuste świstaki. Nie widziałem tylko kobiet, także obu dziewcząt. Za to Ksawery siedział znowu na ławce przed domem i obserwował piekące się kozłatko, które obracało się powoli nad ogniem, w miarę jak gospodarz pociągał za ramię przeciągnięty przez kółko u różna.

— Czy mógłbym pomodlić się w kościele? — spytałem nieśmiało i wskazałem głową w tamtym kierunku.

— Dziś już nie — odparł stanowczo. — Jutro — i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Gdy spostrzegł moje zdziwienie, dorzucił uspokajająco: — Msza się właśnie skończyła, niewiasty już wracają.

Zobaczyłem, jak całą gromadą, wszystkie w chustach na głowach i z zakrytymi twarzami, kobiety idą zboczem i rozchodzą się po wsi.

Wkrótce potem przyszła Aiwa i bez słowa podała nam pieczone kozłatko.

— To dla uczczenia dzisiejszego dnia — oznajmił Ksawery i nałożył mi ładny kawałek polędwicy. — Trafiła nam się obfita zdobycz: siedemdziesiąt sztuk srebra i trzysta złotych monet od papieża, a do tego muł. — Odciął dla siebie udziec. — Minoryta gadał, że ten skarb to jałmużna — mlasnął zadowolony. — Jakbyśmy nie wiedzieli, że święty Franciszek surowo zabronił swoim braciom przyjmowania i posiadania pieniędzy... — Zjawiała się pokorna Aiwa z pustą miską; mąż wrzucił do niej kilka nie najlepszych kawałków, po czym kobieta zniknęła w domu. — Sprytny braciszek chciał ominąć „diabelską przełęcz” i szedł drogą nad jeziorami, ale tam wpadł prosto w ramiona tych diabłów z *guarda lej*.

— Widziałem to — potwierdziłem. — Mężny sługa Chrystusa!

— Osioł! — uciął Ksawery.

Szukałem wzrokiem jego córki, która jak przypuszczałem, wróciła z matką z kościoła. Zerknąłem w stronę zakratowanego okna. Stała tam i ogryzała kość, śmiejąc się szyder-



czo, lecz na pewno nie ze mnie, bo w końcu pokazała język ojcu. A dostrzegłszy moje spojrzenie, wycofała się szybko w głąb mrocznego pokoju.

Tymczasem zapadła noc i ogień prawie zgasł. Ksawery otarł usta i ręce, zapalił smolną szczapę i tą pochodnią wskazał mi drogę.

— Chodź, Williamie — powiedział uroczyście — oczekuje cię Zarot, podestà\* naszej wsi.

Szliśmy uliczkami w dół, przy czym musiałem uważać, żeby się nie poślizgnąć, ponieważ teraz, w nocy, zrobiło się mroźno i dawała się we znaki gołoledź. Pośrodku wsi, na niemalże równym placu, stał dom podesty. Szerokie kamienne schody prowadziły na piętro, gdzie za drzwiami obitymi żelazem znajdowała się przestronna izba. Płonął tu potężny ogień, przy którym zebrała się chyba większość mężczyzn ze wsi. Pili wino.

— Prorok nie pomyślał o wiernych, którzy mogą się znaleźć wśród lodów i śniegu — szepnął do mnie Ksawery, gdy zajęliśmy miejsca w jednym z tylnych rzędów. — Dlatego Saraceni nie używają właściwej nazwy tego napoju. Dla nas to po prostu lek przeciwko chrypcie i marznieniu nóg.

Skinąłem głową ze zrozumieniem i przyjąłem kufel.

— Znakomity napój! Skąd pochodzi?

— Z Veltliny. To dolina po drugiej stronie przełęczy. Dostajemy go za pomoc przy jeziennych zbiorach, wymieniamy też za twaróg.

Dostrzegł nas Zarot, dostoyny starzec z falującą brodą.

— Zgodnie z werdyktem Rady Starców możemy teraz zapomnieć o tej historii z podłym mnichem — podniósł drogocenny kielich — i powitać naszego gościa, przyjaciela cesarza, Williama z Roebroku.

Wszyscy przepili do mnie, podniosłem się więc zakłopotany.

— William jest pobożnym człowiekiem, chrześcijaninem — ciągnął Zarot. — To ważne, bo on może poświadczyć, że strażnicy naszego mostu nie polują na wyznawców jego wiary, lecz na wrogów naszego cesarza, kurierów papieskich, którzy się ukrywają pod niepozornymi habitami ubogich braci. Tak jak pewnym jest, że zasługują za to na piekło, którego przedsmak dajemy im w naszej czyścicowej wędzarni... — wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem — tak samo pewnym jest, że nas oczekuje raj! — Teraz podnieśli się i rozradowani opróżnili kufle. — Witaj, Williamie!

Usiedli, ja zaś uznałem, że powinienem podjąć ostatnią próbę ratowania życia mego konfratra.

— Czy nie świadczyłoby... — omal nie powiedziałem: „o chrześcijańskiej miłości bliźniego” — o wielkiej rozwadze, gdyby Saraceni tak oczywistego zdrajcę cesarskiej sprawy odesłali do Italii na przykład z obciętym nosem? — Coś należało przecież za-

---

\* Podestà (wł.) — burmistrz, wójt.

proponować! — Każdy by zobaczył...

— To zła rada! — przerwał mi ze złością silny mężczyzna, którego nazywano Firuz. — Nie darowaliby tego cesarzowi. Popatrzcie, mówiliby, tak antychryst prześladowuje ubogich braci... — Zarot na próżno próbował zmusić go do milczenia. — A nas — tokował dalej Firuz — ominęłyby korzyści. W każdym razie połowa...

— Zamilcz! — zagrział teraz Zarot i zwrócony do mnie wyjaśnił: — Nie sądźcie, że to osobiste korzyści z zabójstwa każą nam tak postępować. Wpływy z takich łowów, które przecież nie co dzień się zdarzają, pokrywają akurat koszty strzeżenia przełęczy i doliny, latem i zimą, we dnie i w nocy!

— Interes to nie jest! — mruknął do mnie Ksawery. — Opłaca się tylko łowcom i staremu, każdy z nich otrzymuje dziesiątą część. Firuz jest tutaj najbogatszym myśliwym!

— A gdybyście — nie ustępowałem — postawili go przed cesarskim sądem?...

— Wtedy stałoby się z nim to samo, jeśli nie coś gorszego! — warknął Firuz. — Poza tym cesarz Fryderyk jest zadowolony, że trzymamy z dala od niego tych zafajdanych papieskich sługusów!

— Niech żyje cesarz! — zawołał Ksawery, nim ludzie zwrócili się przeciwko mnie, i wszyscy znowu podnieśli kufle i wypili. Zaczęło się wielkie pijaństwo, ale gdy poszukałem wzrokiem Firuza, zobaczyłem, że ponuro rozmyślając nie spuszcza mnie z oczu.

Kiedy pierwsi Saraceni stoczyli się z ławek na podłogę, wziąłem Ksawerego pod ramię i powlokłem ku chacie. Przy domu stanął na szeroko rozstawionych nogach i wysikał się pod ścianą. Niechybnie widok własnego ogona podsunął mu nową myśl, bo ryknął:

— Alwo!... Alwo, moja żono, mam na ciebie ochotę! — i z otwartym rozporciem popędził przez kozią oborę kamiennymi schodami do swojej sypialni.

Wczołgałem się, nie zapalając światła, na legowisko na sianie i zawinałem w derkę. Na górze zaskrzypiały deski, potem trzasnęły drzwi. Odgłosy dochodziły do mnie wśród szurania i cichego pobekiwania kóz, które zbudzone hałasem ponownie układały się do snu.

Pomyślałem krótko o nie znanym mi bracie, który z pewnością także nie mógł znaleźć spokoju, o tym, co mogło mi grozić ze strony Firuza, jeśli wyniucha, że wcale nie jestem chorąży Hohenstaufa, lecz podłym uczniem Franciszka, mnichem, któremu po prostu zarosła bez śladu tonsura w ciągu prawie dwu awanturniczych lat. Pomyślałem o sierotach skutych gdzieś lodem i o dzieciach w słońcu Otranto, o Hamonie, który chyba uciekł, i o Klarion, którą chciałbym mieć teraz obok siebie na sianie...

Nad moją głową zatrzeszczało drewno i u szczytu drabiny wyłoniły się z ciemności dwie gole stopy, a zaraz potem długa koszula, która je przyzwoicie okryła, nie odsłaniając mi widoku na nic więcej. Po chwili na siano obok mnie upadła córka Ksawerego.

Odchyliłem nakrycie i dziewczyna natychmiast znalazła się przy moim boku. Pachniała świeżo jak kozi ser.

— Aiwa zajmuje się teraz Ksawerym — szepnęła mi do ucha. — To trochę potrwa, póki on nie zacznie chrapać — wyjaśniała dalej. — Ty też chrapiesz, Williamie, słyszałam wczoraj w nocy.

Nie namyślając się objąłem ją i pod ręką poczułem jędrną skórę. Gdybym sobie tylko mógł przypomnieć jej imię! Tymczasem dziewczyna podciągnęła koszulę wysoko pod szyję, zacząłem więc z radością wędrować palcami po jej ciele.

— Chciałabym wiedzieć, czy chrapiesz, kiedy leżysz przy kobiecie.

— Pod spodem czy na wierzchu? — zażartowałem i roześmialiśmy się oboje.

Odrzuciła okrywającą nas derkę.

— Chcę zobaczyć, jaką białą masz skórę — oświadczyła zuchwale.

— Przecież jest ciemno — szepnąłem i poczułem, jak rośnie mój tłoczek. — Nie możesz tego zobaczyć, musisz się zdać na dotyk, Rijesz. — Teraz mi się przypomniało: Rijesz-Sawon!

I Rijesz-Sawon wzięła się od razu do rzeczy. Przyssała się do żołądki, kąsała mnie delikatnie w jądra, jej język ślizgał się po trzonie i zanim się spostrzegłem, trysnęło pulsując moje nasienie. Pomyślałem, że teraz otworzy mi swój ogródek. Rijesz wystawiła ku mnie jędrny tyłeczek, chwyciłem go więc pełną dłonią i już zabierałem się do uprawiania palcami grządki, gdy dziewczyna trzepnęła mnie po ręce.

— Nie jesteśmy małżeństwem! — fuknęła i nasunęła swój wypięty zadek na mój wciąż jeszcze sztywny i wilgotny stojak.

Nie wyraziłem sprzeciwu. Rozkoszowałem się jej podnieceniem, które powoli i mnie się udzielało. Wkrótce Rijesz, niezadowolona z mojej bierności, jęła ostro nadziewać się na mój tłoczek, wwiercała go w siebie coraz głębiej, jęcząc i stękając. Chwyciłem ją w końcu za pośladki, by pomóc tej małej filutce. Przetaczaliśmy się przy tym po sianie, tak że raz jedno, raz drugie było koniem albo jeźdźcem.

— Pod spodem czy na wierzchu? — śmiała się Rijesz.

Niebawem poczułem, jak znowu wypływa ze mnie nasienie, co ją zdyszana zmusiło do milczenia, choć nie na długo. Posłuchaliśmy chwilę, czy na górze coś się nie porusza, i Rijesz powiedziała cicho:

— Dobry z ciebie kozioł, Williamie!

Podniosła się, rozkraczyła i oddała na mnie mocz, chyba jako największą oznakę swego zadowolenia. Potem wiechciem siana podtarła się, by usunąć ślady moich osiągnięć, obciągnęła koszulę i pośpieszyła ku drabinie, aby znów zniknąć w swej zakratowanej dziewczyczej sypialni.

— Rijesz — zawołałem cicho — daj przynajmniej całusa na dobranoc!

— Jesteś miłym mężczyzną, Williamie — przyznała i zaczęła pięć się do góry — ale

Saracenka całuje tylko własnego męża!

## ROZŻARZONE ŻELAZO

*Castel Sant' Angelo, wiosna 1246*

Witowi wydawało się, że minęła wieczność, nim w końcu otwarły się drzwi i Mateusz z Paryża, nadzorca *documentarium*, oznajmił mu, że jego *carcer strictus* został zamieniony na *custodiam ad domicilium*\*

— Nie wolno wam opuszczać zamku bez wyraźnego...

Nie czekając, aż zatroskany mnich dokończy, Wit ruszył gwałtownie ku wyjściu. Zatrzymał się jednak na moment.

— Gdzie jest więzień, którego wam przysłałem?

— W najciemniejszym ze wszystkich lochów, jak rozkazaliście.

— Wobec tego zaświecimy mu ostatni raz światło. Chodźcie ze mną!

— Nie znoszę widoku krwi! — odparł Mateusz zdecydowanie, choć nieprzytomny ze strachu. — Jeszcze okaleczenie!... Przyślę wam *castigatora*\*

— Nie, niech przyjdzie oprawca! — Wit zaśmiał się grubiańsko i zostawił Mateusza. Znał drogę do czeluści kasztelu.

Obdarzony niedźwiedzią siłą Robert już omdlewał, gdy zbawcze drągi wyciągnęły go z lodowatej wody potoku. Na pół przytomnego zakuto w łańcuchy i w skrzyni podobnej trumnie wyprawiono w drogę. Po wielu dniach, osłabiony z głodu i pragnienia, znalazł się w ciemnościach w jakimś nie znanym miejscu, przykuty do gołej skały. Spadające ze ścian krople wody utrzymywały go przy życiu.

Był to też jedyny dźwięk, który słyszał. Teraz jednak dotarł do niego daleki odbłask światła, potem odgłos kroków zbliżających się po schodach, które prowadziły do lochu. Wreszcie po prętach krat zaczęły wędrować cienie wywołane światłem pochodni.

Wit kazał otworzyć kratę i udręczony Robert, mrużąc odwykłe od światła oczy, rozpoznał „Czarnego”, który ich prześladował przez całą północną Italię aż do Alp. I zobaczył też za nim czerwono żarzący się ogień, którego języki lizały brzegi miedzianego kociołka, oraz żelazo do piętnowania, ostre igły, szczypce i obcęgi, fachowo rozgrzewane przez towarzyszącego Witowi mnicha.

— Jest silny — powiedział Wit sucho do swego pomocnika, którego długie ramiona i szerokie bary zwracały uwagę mimo okrywającego je habitu z kapturem. — Potrafi

---

\* *Carcer strictus* (łac.) — surowe więzienie; *custodia ad domicilium* — areszt domowy.

\* *Castigator* (łac.) — człowiek, który karci, wymierza chłostę.

zrywać łańcuchy, podnieść naraz dwa pnie. — Podszedł bliżej i oświetlił pochodnią twarz Roberta. Więzień, który wisiał raczej na żelaznych pierścieniach, aniżeli opierał się stopami o ziemię, wytrzymał jednak spojrzenie inkwizytora. — Miał pecha, że te dwie kłody tworzyły most, po którym tak bardzo chciałem przejść.

Przysunął płonąca pochodnię jeszcze bliżej ofiary, smoła jęła kapać na pierś Roberta, lecz ten ani drgnął.

— Szkoda, że tak wiernie służył moim wrogom! — dorzucił Wit, nie cofając pochodni. Ale nawet gdy małe płomyki zaczęły więźniowi pożerać włosy na piersiach, a na skórze wystąpiły mu bąble, Robert nie wydał żadnego dźwięku.

Wit odwrócił się od niego i skierował ku drzwiom w kracie.

— Czyń swą powinność! — powiedział głośno, przechodząc obok mnicha, który trzymał w pogotowiu żelazo do piętnowania.

Inkwizytor nie doszedł jeszcze do schodów, kiedy pyszniący się swą siłą Robert zaryczał jak zraniony byk:

— Zatrzymajcie się, panie! Wróćcie i rozkazujcie swemu słudze!

Wit przystanął z nogą na pierwszym stopniu. W rękę kata żarzył się czerwienią koniec długiego żelaza, jakiego się używa do znakowania bydła.

— Taki człowiek mógłby mi się przydać — rozważał Wit, zwracając się bardziej do siebie niż do kata. — W mojej służbie nie musi rozmawiać, ani ze mną, ani z innymi, tylko ślepo słuchać...

Mnich przy kociołku z żarem, skinąwszy ze zrozumieniem głową, chwycił igłę i obcęgi, lecz Robert nie przestawał krzyczeć:

— Chcę wam służyć jak wierny pies, przysięgam, panie! Chcę strzec waszego życia jak własnego!... Ale muszę widzieć, muszę szczekać i gryźć! Kaleka wam niepotrzebny, zabijcie mnie raczej!

Witowi spodobały się proste argumenty, którymi Robert bronił nienaruszalności swego ciała w sytuacji, gdy Wit mógł mu jeszcze odebrać życie. Nie skomlał o łaskę. Nie był to głupi człowiek. I nie był tchórzem!

— Żeby każdy widział — zwrócił się viterbczyk do kata — do czyjej służby wstąpił, napiętnuj go odpowiednio. Na piersi „C” jak „Chrystus” albo „Capoccio” — roześmiał się grzmiąco ze swej łaskawości, aż sklepienie odpowiedziało strasznym echem — i prosty krzyż na czole.

Nie odwracając się już, ruszył schodami w górę. Czekał na zwierzęcy krzyk piętnowanego, lecz usłyszał jedynie głuchy jęk.

Wit z Viterbo uśmiechnął się zadowolony, co zdarzało się dosyć rzadko.

Szedł ciężkim krokiem wzdłuż wijących się korytarzy kasztelu. Wędrowanie nimi bez pośpiechu, a przede wszystkim bez celu przyprawiało go o mdłości. Jego rany prawie się już zaleczyły, zapomniał o bólu, lecz nałożony nań areszt domowy wydawał

mu się najbardziej perfidnym zaostreniem kary, jakie ten zły duch mógł wymyślić, aby go dręczyć. Jednakże Wit nie zamierzał ośmieszać się opukiwaniem sufitów i ścian w poszukiwaniu jego kryjówki. Toteż jak bezpański pies, cierpiąc z powodu bezcelowej włóczędzy, wycofał się do swej izby, by lizać rany zranionej do głębi próżności.

— I cóż? — usłyszał szyderczy głos. — Wyładowałeś już wściekłość? — Wit nie podniósł wzroku. — Skoroś obłąkawił nowego psa gończego — szydził dalej głos — ciągnie cię chyba na północ? Chciałbyś pewnie wykurzyć z Alp tę bandę Saracenów?... Niezła myśl. Kuria nie dba wprawdzie o paru zaginionych minorytów, obchodzą ją za to pieniądze Kościoła, które nie docierają do celu, nawet jeśli nie napełniają kieszeni Hohenstaufa.

Wit czuł, że to przynęta, a jednak nie potrafił się oprzeć i połknął haczyk.

— Znam was, eminencjo — mruknął — chcielibyście się upewnić, czy poszukiwani nie znaleźli tam przypadkiem kryjówki. — Wit wiedział, że kardynał wystawia go na próbę, lecz postanowił, że nie da się sprowokować swemu mocodawcy. — A w rzeczywistości chcecie mnie tam po prostu wygnąć.

— Tutaj, Wicie, jesteś bezużyteczny. Za to wzięwszy pod uwagę, ile krain mógłbyś przemierzyć, ile stosów ustawić, drzew obeszczuć, myślę, że tutaj wyrządzisz najmniej szkód.

— Nie błagam was o łaskę, eminencjo, bronię tylko zamysłu, aby wypróbować waszego psa nie na łądkach Saracenów, ale pozwolić mu na południu oszpekać hrabinę Otranto. Może dzieci stamtąd nie wyjechały. Może się mylę, może to tylko rojenia... Dajcie mi, eminencjo, flotę, a ja...

— Głupio bronisz swojego zamysłu. Mój wierny psie, powinienes sobie wziąć lepszego obrońcę, bo w ten sposób ułatwiasz zadanie każdemu sędziemu. Pozostaniesz na łańcuchu!

Na tym posłuchanie zostało zakończone: „Areszt *in perpetuo*\* ze względu na niepo czytalność”. Nie było sensu wściekać się na własną bezsilność. Wit musiał się uczyć posłuszeństwa, póki mu nie wejdzie w krew. Na samą myśl o tym czuł się chory!

## WĘDZARNIA W KOŚCIELE

*Puntraschigna, wiosna 1246*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Głucho brzmiący dźwięk alpejskiego rogu kazał mi wyleźć o świcie z ciepłego siana. Dla Saracenów było to wezwanie do porannej modlitwy, dla mnie przypomnienie

---

\* *In perpetuo* (łac.) — ciągly, nieprzerwany, stały.

o jutrzni.

Całą zimę broniłem się tchórzliwie przed tym, aby odwiedzić kościół i mego uwięzionego tam konfratra. Ale wczoraj wieczorem Ksawery napomknął o czymś, co poruszyło moje sumienie. Między zaspanymi kozami dotarłem po omacku do źródła, otrzeźwiłem się chluśnięciem lodowatej wody i wyszedłem przed dom jeszcze szarym świtem.

Mając już przed sobą kościół położony na stoku, zobaczyłem, że grupa młodych Saracenów, której jak zawsze przewodził Firuz, wyciągnęła ze świątyni minorytę i zwiąawszy mu ręce powrozem, poprowadziła w dolinę.

Szybko wycofałem się pod osłonę ostatnich domów, mniej z obawy, żeby zostać odkrytym, a bardziej ze wstydu, że nie bronię mego brata w tej ciężkiej godzinie. Modląc się za niego półgłosem, ruszyłem dalej pod górę, gdy Saraceni przekroczyli most i zaraz potem, zbacząc ze znanej mi drogi przez las, skręcili ostro w lewo.

Mimo że dawno już nie odczuwałem potrzeby, by głosić słowo Zbawiciela, teraz nagle, w tym bezbożnym miejscu, poczułem się do tego wezwany. Z męstwem misjonarza wstąpiłem do pustego kościoła, zasnutego sinym gryzącym dymem. Tam gdzie zazwyczaj ołtarz i krucyfiks świadczyły o obecności Boga, znajdował się ogromny piec, w którym tlił się ogień, a nad nim wędziło się zawieszony w apsydzie mięso.

Nie zdziwiłbym się szczególnie zobaczywszy wiszącego tam na haku, obdartego ze skóry konfratra, gdybym nie widział na własne oczy, jak opuszczał ten cuchnący przedśionek piekła, wypełniony trzaskiem ognia i dymem. Z załzawionymi oczyma szukałem ostatniej wiadomości od nieznanego mnicha, przynajmniej jego imienia. Ściany były pokryte wydrapanymi imionami i datami, nierzadko z dodatkiem „O.F.M.,” ostatnimi rozpaczliwymi wezwaniami i prośbami: „Niech Pan zlituje się nad moją duszą!”, „W Twoje ręce polecam ducha mego”, „Maryjo, wstaw się za mną, biednym grzesznikiem!”, lub po prostu tylko: „INP + F + SS” albo skromne „INRI”. Była to cela śmierci, którą nieszczęśliwcy, co swoją niedolę paznokciami wydrapywali w tynku, mogli opuścić tylko po to, aby udać się na stracenie!

Nie pozostało mi wiele czasu na przestudiowanie wszystkiego, gdyż do kościoła zaczęły napływać miejscowe kobiety. Klękały na gołej kamiennej posadzce i to wznoszącym się, to opadającym głosem zawodziły w przeplatany łaciną saraceńskim dialekcie coś, co przypominało mi żałobny tren. Twarze zasłaniały chustami, lecz nie miałem wątpliwości, że są to same stare kobiety. Otrząsnąłem się ze smutku i przygnębienia, które w tym miejscu śmierci działały na mnie obezwładniająco, i drżąc stanąłem przed niewiastami.

— Chcecie, żeby pokój Pana był z wami? Nie oczekujcie litości od Boga sprawiedliwego! Spadnie na was Jego gniew! Syn dany wam dla pojednania został uprowadzony przez oprawców i przybity do krzyża, wy zaś nie podniosłyście w Jego obronie głosu.

Przycupnęłyście tutaj i wzywacie Boga, zamiast powstrzymać najemnych żołdaków cesarza i krzyknąć: Nie zabijaj!

Przy moich pierwszych słowach przerwały monotonną lamentację, patrząc na mnie w milczeniu, ba, z zimną wrogością, potem jednak skuliły się jak pod uderzeniami bicia.

— Jezus Chrystus nie przyszedł do waszej opuszczonej przez Boga doliny, aby dać się ponownie zdradzić za trzydzieści srebrników, lecz by wziąć na siebie waszą winę. A wasza wina jest wielka i będzie się powiększała z każdym sługą Bożym, którego za pośrednictwem swych synów pojmacie. Albowiem Pan mówi: Do mnie należy zemsta! Wasze grzechy spiętrzyły się wyżej niż te góry, co was otaczają. Nawróćcie się, czyńcie pokutę albo Pan skaże was na wieczne potępienie! *Per omnia saecula saeculorum. Amen!*

Wypadłem z kościoła, pobiegłem w dół do mostu, z wściekłością roztrąciłem strażę, które i tak by mi dobrowolnie ustąpiły z drogi, i popędziłem w głąb lasu, gnając bez opamiętania, póki pierwsze drzewa nie zasłoniły mnie przed oczyma osłupiałych wartowników. Wtedy dopiero odetchnąłem i pozwoliłem chłodnej rozwadze pokonać mój bezsilny gniew. Ostrożnie opuściłem wydeptaną ścieżkę wiodącą do jezior i przez poszycie i głęboki śnieg zacząłem szukać drogi, która powinna naprowadzić mnie na ślad Saracenów eskortujących więźnia.

Nadzieja, że ujrzę go jeszcze żywym, była niewielka i zniknęła z każdym krokiem, gdy błądziłem zapadając się po biodra w nienaruszoną zimową biel. Nie spodziewałem się jednak widoku, który się wkrótce przede mną otworzył, kiedy stanąłem na skraju polanki: na gałęziach ciemnych jodeł wisały jak ogromne podłużne szyszki ciała przynajmniej tuzina franciszkanów! Nie kołysały się, bo żaden powiew wiatru nie przeciągał przez to osłonięte miejsce, większość była wyschnięta, pokryta warstwą lodu. Najciemniejsza postać, na której habicie widniały jeszcze wyraźnie świeże ślady śniegu, była ostatnią ofiarą: złapany z mułem minorityta. Nie ośmieliłem się spojrzeć mu w twarz, uczyniłem pospiesznie znak krzyża i ruszyłem z powrotem, byle dalej od tego budzącego zgrozę miejsca, na które nie padał ani jeden promień słońca.

Gdzieś niedaleko słyszałem wodę szalejącą w wąwozie. Potykałem się, przewracałem, chwiejąc się szedłem wciąż niestrudzenie, aż poprzez czerń drzew zobaczyłem prześwitującą jasność i las się przerzedził. Z lekko wznoszącej się alpejskiej łąki, gdzie dzięki działaniu wiatru i słońca prawie nie było śniegu, dobiegło mnie dzwonienie kóz, które pobekując z zadowoleniem skubały zeszlóroczne trawy. A wyżej na zboczu, gdzie śnieżna pokrywa jeszcze nie stopniała, harcowały dziewczęta.

Szalone pasterki śmigały na nartach, ześlizgiwały się w dół, idąc ze sobą w zawody, wykonywały wspaniałe łuki, wykorzystywały najmniejsze wzniesienie dla nieoczekiwanej zmiany kierunku albo wylatywały w powietrze, by potem wśród zagrzewających



okrzyków lub kpiącego śmiechu spaść na ziemię, utykając często w śniegu raz nosem, raz wypiętym tyłkiem. Żadna nie pędziła tak szybko, nie skręcała tak zwinnie, nie skakała tak wysoko i daleko, nie przewracając się przy tym, jak Rijesz-Sawon. Choćby zamierzyła się nie wiedzieć jak śmiało, zawsze lądowała zręcznie na nartach, które wydawały się zrosnięte z jej młodym ciałem.

Zachwycony zacząłem klaskać w ręce. Dziewczęta popatrzyły ku mnie z góry, zamiast jednak ucieszyć się aplauzem, chichocząc zbiły się w gromadkę, pochyliły i zaczęły lepić kule ze śniegu. Nim się połapałem, ruszyły całą falangą w dół stoku między przestraszonymi kozami i obrzuciły mnie gradem śnieżnych pocisków, które boleśniej, niżbym przypuszczał, rozpryskiwały się na mojej twarzy. Wziąłem więc nogi za pas i uciekłem z powrotem do lasu, ścigany szyderczym śmiechem górskich amazonek.

Przebijałem się znów przez śnieg wciąż w obawie, że mogę jeszcze raz natknąć się na szubieniczne drzewa. Wyczerpany dotarłem wreszcie do udeptanej ścieżki, która prowadziła do kaplicy Świętego Murezzana, pierwszego, lecz bynajmniej nie ostatniego męczennika doliny. Nie uszedłem jeszcze dwu kroków, gdy w korę modrzewia tuż obok mnie, na wysokości piersi, wbiła się z głośnym świstem strzała. Zatrzymałem się jak wryty, serce podeszło mi do gardła. Wtedy z cienia drzew, dobre pięćdziesiąt kroków przede mną, wyszedł Firuz z zakrwawioną sarną przerzuconą przez ramię.

— Wziąłem cię za pasącego się kozła! — zawołał, ani myśląc się usprawiedliwiać.

— Raczej chyba za osła! — Rozgniewało mnie jego grubiaństwo i nie chciałem pozostać mu dłużny. Chwyciłem strzałę, jednym szarpnięciem wyrwałem ją z pnia i z satysfakcją przełamałem na kolanie.

Obok Firuza pojawił się gruby pomocnik kata, którego widok przywodził mi na pamięć przykre wspomnienie z łaźni. Człowiek ten był obładowany dwoma ubitymi zwierzętami, a na jego dobrodusznej chłopskiej twarzy błędził głupawy uśmiech.

Ponieważ Firuz zatrzymał się wyzywająco, ruszyłem w dalszą drogę. Kiedy go mijalem nie unikając podejrzliwego spojrzenia, warknął:

— Kto łązi tam, gdzie nie ma nic do szukania, temu łatwo może się coś przydarzyć!

— Z pewnością — odparłem nie przystając — zwłaszcza jeśli trafi na myśliwego, który najpierw strzela, a potem patrzy!

— Pilnuj swego języka!

— A ty połóż sobie lodu na czoło — dorzuciłem jeszcze przez ramię. — Nie staniesz się mądrzejszy, ale to przynosi ulgę! — Pomyślałem, że teraz skoczy na mnie od tyłu albo wpakuje mi strzałę między łopatki, Firuz jednak nie ruszył się z miejsca.

Przed domem oczekiwał mnie Ksawery z zatroskanym uśmiechem.

— Stare kobiety z naszej wsi są zachwycone tobą, Williamie. Wygłosiłeś kazanie jak anioł z mieczem ognistym przy bramie raj! Chcą, żebyś był ich kapłanem.

— Studiowałem wprawdzie teologię — oznajmiłem łagodnie, lecz zdecydowanie

— ale nie po to, żeby głosić Ewangelię wśród zaśnieżonych lasów i zamarzniętych dusz. Wolę być uczonym wojownikiem, któremu czasem żółć się ulewa.

— Nie myśl, Williamie, tak źle o nas, Saracenach — próbował przekonać mnie mój gospodarz. — Kiedy fen wywieje śnieg i stopi lód, zakwitną tu najpiękniejsze kwiaty i odtają również nasze serca.

— Do następnej zimy! — zakpiłem, lecz Ksawery nie dał się zbić z tropu.

— Zima zimie nierówna. Gdy cesarz zwycięży swoich wrogów, każdy przejeżdżający tędy franciszkanin będzie mógł znowu zasmakować gościnności Saracenów, jak niegdyś bywało.

— I pożywić się szynkami uwędzonymi w wędzarni, która niegdyś była domem Bożym, położyć do łóżka zrobionego z jodły, na której wisieli jego bracia, i przykryć pierzyną kupioną za zrabowane tamtym pieniądze?

— Na tym już trawa porośnie, Williamie, a ty, jak myślę, chętnie u nas zostaniesz. — Potrząsnąłem głową, lecz nie dopuścił mnie do słowa. — Rozumiesz naszą mowę, umiesz głosić kazania, mógłbyś tu mieć znaczącą pozycję. Komuś takiemu jak ty, wysłannikowi świata, od któregośmy się odgradzili, Saraceni nie mogą pozwolić, aby przeciągnął obok nich jak ulotny powiew.

— No to otwórzcie się na świat, zamiast szerzyć strach! Ucywilizujcie się, zamiast żyć jak barbarzyńcy!

— Nas, cudzoziemców, niechrześcijan, szybko by sobie podporządkowano, potem zaczęto by ciemiężyć, a w końcu wypędzono. Wy, chrześcijanie, nie jesteście zbyt tolerancyjni.

— A i z cywilizacją także u nas nie najlepiej — roześmiałem się. — Właściwie niewiele jest rzeczy, o których mamy jakieś pojęcie, a jeśli już mamy, to czerpiemy najczęściej ze skarbnicy twoich przodków. Ale wasz problem pozostaje, bo na chrześcijańskim Zachodzie jesteście obcy, podobnie jak nasze państwa krzyżowców są cierniem w ciele islamu...

— Pozostaje albo i nie — powiedział Ksawery w zamyśleniu. — Kto wie, jaki los czeka Saracenów, kiedy skończy się dalekowzrocne i wielkoduszne panowanie Hohenstaufa?... Jak zwycięży Rzym, także dni Saracenów będą policzone...

— Chyba że w porę uda wam się zapomnieć, skąd pochodzicie, gdzie tkwią wasze korzenie. Jak najprędzej uporządkujcie kościół, pogrzebcie skazańców, skłońcie następnym minorytów, których złapiecie, żeby was nauczyli Ewangelii, uczcie się też łaciny i chrześcijańskich modlitw.

— Sam widzisz, Williamie, jak bardzo cię potrzebujemy!

— Jestem wędrowcem, nie jest mi przeznaczone, żebym gdziekolwiek zapuścił korzenie. Ofiarowuję ci radę jako drobną zapłatę za gościnność... A teraz jestem głodny!

— Zarot zaprosił nas na dziczyznę. Jego żona pod wpływem twoich porywających

słów zaczęła marudzić, żeby na nowo się zwrócił ku Chrystusowi. A dzisiejszą pieczęć ustrzelił Firuz. Na twoją cześć!

Pozostawiłem tego człowieka, którego polubiłem za jego szczerość, w przekonaniu, że żona naczelnika właściwie zrozumiała moje słowa, a Firuz poczuł nieodpartą potrzebę, by zrobić dla mnie coś dobrego, i udaliśmy się spiesznie do domu podesty.

Czekano tam na nas, co nie przeszkodziło zebranim pociągnąć już niejedną łyk wina.

— Witamy cię, Williamie z Roebruku. Decyzja Rady Starców jest następująca: jeśli życzysz sobie otrzymać dom, Saraceni chętnie ci go dadzą, jeśli wybierzesz którąś z naszych dziewcząt, będzie twoja...

Zarot przerwał swoją mowę pokonany wzruszeniem; poza tym był już nieźle podchmielony. Podniósł puchar i przepił do mnie, a inni chętnie poszli w jego ślady z wyjątkiem Firuza, co nie uszło mojej uwagi.

— Czcigodny podesto — czułem się zmuszony do odpowiedzi — jeśli wolno mi wybrać dom...

— Tak jest! — potwierdził naczelnik uroczyście.

— W takim razie proszę o kościół! — Rozległ się pełen szacunku pomruk. — Ale — ciągnąłem — jeśli chcecie mnie za kaznodzieję, niechaj Rada Starców gruntownie to rozważy, bo Saraceni nie potrzebują znawcy liturgii dla swoich małżonek, lecz misjonarza, który mężom wskaże drogę... — Zostawiłem im niewiele czasu do zastanowienia się nad tym zagrożeniem ich tradycyjnego sposobu życia. — Ja również muszę rozważyć waszą propozycję, bo nasza *Ecdesiae catholicae* zabrania kapłanom ożenku...

— Dla ciebie utworzymy własny kościół, kierujący się własnym obrządkiem! — wyrwał się Ksawery. Jego słowa przyjęto przychylnie, ba, nawet ze śmiechem, a Zarot dorzucił od siebie:

— Prorok też miał nie jedną, lecz wiele żon, Williamie, o to niech cię więc głowa nie boli.

Wystąpienie Ksawerego w trakcie pogodnej dotąd popijawy poderwało z miejsca jednego tylko człowieka: Firuza. Przepchnął się gwałtownie do przodu, tak że znalazł się między naczelnikiem a moim gospodarzem.

— Nie zapominajcie, Ksawery, żeście mnie obiecali córkę!

Niektórzy roześmiali się, umilkli jednak szybko, aby usłyszeć odpowiedź ojca.

— Starasz się o nią, Firuzie — powiedział Ksawery z namysłem — ale najmłodsza córka sama może sobie wybrać męża.

— Ona nie jest najmłodsza! — parsknął Firuz. — Mam prawo o nią się starać!

— Rijesz-Sawon jest jedyną córką Alwy — zwrócił się Ksawery o pomoc do naczelnika, który odurzony winem długo musiał rzecz rozważać.

— Jeśli jest jedynaczką, to jest najmłodsza — odezwał się, z trudem obracając języ-

kiem. — Ale też najstarsza.

— A więc jest moja! — ryknął Firuz.

— Nigdy! — wrzasnął na to Ksawery i stojący dookoła goście musieli obu powstrzymać, żeby nie rzucili się na siebie, oczywiście z gołymi pięściami, obowiązywała tu bowiem mądra zasada, że w domu naczelnika noszenie broni jest zakazane.

Teraz odezwał się Zarot, który rzekł, stawiając mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji:

— Posłuchajmy rady Williama.

Byłem w rozterce.

— Łyknijmy najpierw nieco — powiedziałem, by zyskać na czasie, i tym samym zdobyłem przychylność większości zebranych. — Weźmy sprawę dziedziczenia — rozważałem głośno. — Jeśli jest tylko jedna córka, to ona jest sukcesorką. Nikt nie może tego kwestionować i karać dziewczyny za to, że jest jedynym dzieckiem!

— Słusznie! — przytaknięto dostatecznie głośno, abym mógł ostrożnie mówić dalej.

— A więc także prawo tej jedynej córki do wyboru męża pozostaje poza wszelką wątpliwością.

Oklaski zagłuszyły ryk wściekłości Firuza, który wypadł z sali.

Rzuciłem Ksaweremu zatroskane spojrzenie. Potrząsnął uspokajająco głową, dając mi do zrozumienia, że jego żonie i córce nic nie grozi ze strony rozzłoszczonego zalotnika.

— Poza wszelką wątpliwością — podjąłem więc na nowo dyskurs — jej prawo stoi ponad bezprawiem dotyczącym starsze córki, którym Saraceni narzucają mężów. — Teraz wreszcie wiedzieli, czego się po mnie spodziewać. Dałem znak Ksaweremu, że chciałybym wracać do domu, nie kosztując wniesionej właśnie dziczyzny.

— Byłoby oznaką słabości, gdybyśmy teraz pospieszyli za Firuzem — szepnął mi gospodarz. — Powinniśmy jeść i pić, jakby nic się nie stało.

— Rzeczywiście nic się nie stało — powiedziałem gniewnie — poza tym, że postawiłem mnie w roli starającego się o twoją córkę!

Roześmiał się, a potem zabraliśmy się wraz z innymi do jedzenia i picia, póki nie byliśmy tak samo syci i pijani jak wszyscy.

Podpierając się wzajemnie, wspinaliśmy się chwiejnie uliczkami, aż dotarliśmy do domu. Było w nim cicho i ciemno, tylko kiedy weszliśmy do suteryny, od razu spostrzegłem, że drabina została wciągnięta na górę.

— Dzielne niewiasty! — chrząknął Ksawery, który też zauważył brak drabiny. — Nie będziemy ich wyrwać ze snu. — Zniżył tajemniczo głos:

— Mam jeszcze ochotę na łyk dobrego wina. Tam jest schowane! — Wskazał półki nad moim legowiskiem, na których leżały sery i wisiały szynki. — Musimy się tylko jakoś do niego dostać...

Zrozumiałem i wygiąłem grzbiet. Ksawery wlaźł mi na ramiona i zaczął szperać

w murze. Nie mogłem nawet zerknąć w górę, bo pył i wapno sypały mi się na głowę. W końcu wręczył mi zapieczętowaną amforę i zeskoczył na siano.

— Chodź, Williamie — skrzeknął zadowolony — opróżnimy ją w kuchni, przy ciepłym piecu. Tutaj kozy z zazdrości zepsułyby nam bukiet bździnami.

Ruszyliśmy po omacku kamiennymi schodami. Po drodze zobaczyłem po raz pierwszy prowadzące do sypialni kobiet okute żelazem drzwi. Nie wyglądały na takie, które ustępują pod uderzeniem pięści czy nawet kopnięciem. Drugą część piętra zajmowała obszerna kuchnia. Jej ozdobą był piec kaflowy, którego część wpuszczona w ścianę ogrzewała także pokój matki i córki. Piec był wysoki na chłopa i na górze płaski. Idealne miejsce do spania w chłodne zimowe noce, o czym świadczył stos skór i derek ułożonych porządnie kobiecą ręką.

Schody do tego leża prowadziły od tyłu, bo od przodu znajdowało się palenisko. Usiedliśmy po turecku, Ksawery ostrożnie otworzył zakurzoną amforę i natychmiast rozszedł się wokół odurzający zapach. Zrezygnowaliśmy z kubków i pociągaliśmy na zmianę małymi łyżkami, smakując je w ustach dobrą chwilę, nim powoli spłynęły do gardeł.

— Specjał najwyższej jakości — mlasnął Ksawery — podobnie jak moja najmłodsza, Rijesz-Sawon... — Nie mogąc nic wyczytać z mojej twarzy, dorzucił: — Widziałeś ją przecież. Jak ci się podoba?

Ledwie to wypowiedział, gdy dobiegł nas z dołu, z koziej obory gwałtowny trzask, jakby ktoś włamał się przez drewnianą ścianę do przegrody, w której sypiałem, i rozległ się głos Firuza:

— Gdzieś się schował, Williamie?!...

Znowu trzasnęło drewno, spłoszone kozy zaczęły beczeć.

— Jeśli cię znajdę przy mojej narzeczonej, połamię ci kości, wyrwę jaja i rozgniotę na miazgę ogon. Gdzie jesteś, łajdaku, ty przymilająca się Saracenom chrześcijańska świni?... Pokaż się!

Chciałem się zerwać i wybiec naprzeciw szaleńca, nim zrujnuje całą oborę, lecz Ksawery zatrzymał mnie. Podszedł do okna, otworzył je i zawołał głośno, przerywając nocną ciszę:

— Firuz, tyś chyba oszalał! Naruszyłeś spokój mojego domu i obrażasz mnie!...

— Odczekał, aż intruz wytoczy się z bramy na dwór i pootwierają się drzwi w sąsiadujących domach. — Uważaj, żebyś nie stracił twarzy! Jeśli jeszcze raz nieproszoney przekroczysz próg tego domu, nie zabiję cię, choć mam do tego prawo, tylko przedstawię twoją nikczemność Radzie Starców!

Cios był dobrze wymierzony, wszyscy słyszeli przestrozę. Podszedłem do Ksawerego, co także widzieli wszyscy z wyjątkiem Firuza, który wymknął się chyłkiem jak zbity pies, nie podnosząc wzroku.

Ksawery wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu, lecz mnie do śmiechu nie było. Odrzucając Firuzą jako zięcia, mnie zmuszał do objęcia roli konkurenta do ręki jego córki. A Firuz, ten bałwan, szedł mu przy tym niechcący na rękę. Za żadne skarby jednak nie chciałem teraz dotykać tego delikatnego tematu! Niezwykle podniecony po winie i całym zajściu Ksawery gotów był w środku nocy obudzić Rijesz i wydusić ze mnie sakramentalne „tak”.

Dlatego mruknąłem tylko:

— Dziękuję, Ksawery — a po ostatnim łyku z amfory, która szybko niestety została opróżniona, dodałem: — Jestem już zmęczony!

Gospodarz odprowadził mnie z lampą oliwną do schodów. Wypłoszyłem kozy z siana, w którym się już wygodnie umościły, zawinałem się w swoją derkę i ułożyłem tuż przy podziurawionej przegrodzie.

Nie mogłem zasnąć. Kozy skubały moje włosy, szorstkimi językami lizały mnie po twarzy. Nie miałbym nic przeciw temu, żeby otwór w górze otworzył się teraz i Rijesz, ta dzikuska, zeskoczyła na mnie. Miałem nieodpartą ochotę zrobić z niej kobietę albo przynajmniej, podobnie jak kozy, dać jej poczuć językiem te rozkosze, których z pewnością jeszcze nie zaznała... A może? Firuz... Nie, z tego, jak ten niegodziwiec się zachowywał, można było wnioskować, że nie użyczyła mu nawet swego kuperka.

Rijesz z pewnością także nie spała, słyszała wszystko i cieszyła się, nawet jeśli tej nocy obecność matki czyniła nasze „pod spodem czy na wierzchu” niemożliwym bądź zbyt niebezpiecznym. Rijesz to mądra dziewczyna! Wspomnienie jej jędrnych piersi i wypiętego zadka, podziw dla jej dzielnie hamowanej zmysłowości mimo młodzieńczej beztroski, myśl o pogodnym usposobieniu i szczerości, ale przede wszystkim o nie otwartej jeszcze furcie do raję, podnieciły moją męskość, aż tłoczek mi stwardniał pod derką. Kozy lizały szorstkimi językami każdy kawałek mej spoczonej skóry, do którego mogły się dostać.

Odsunąłem derkę ostrożnie, aby ich nie spłoszyć...

Rijesz!

## BIZANTYŃSKI SPISEK

*Konstantynopol, pałac Kallistosa, lato 1246*

— To nie ma sensu, drogi kuzynie: jeśli nie ruszysz skoczkiem, mój goniec może przysporzyć kłopotów twojej królewskiej parze. Wieża czeka już gotowa. — Mikołaj z La Porty, łaciński biskup w greckim Bizancjum, wskazał z niedbałym rozbawieniem na wykonaną z kości słoniowej figurę swego młodego przeciwnika, której zagrażały heba-

nowa dama i czarny pionek. Na szczupłym palcu wypielegnowanej dłoni Mikołaj nosił ciężki biskupi pierścień: iskrzący się, pięknie oszlifowany ciemny rubin, otoczony szmaragdami rzucającymi zielonkawe błyski.

— Jeśli ruszę skoczkiem, zbijesz moją wieżę i nie będę mógł zamknąć wyłomu. Znam cię, wuju! — Hamo nosił tożę koralowej barwy, odsłaniającą jego opalone ramiona, i ten widok bardziej radował jego przeciwnika niż nierówna partia.

— Mylisz się, mój drogi — uśmiechnął się biskup — podobnie jak wtedy, gdy nazywasz mnie wujem. — Ujął delikatnie śniadą rękę młodzieńca i nakłonił do wykonania odpowiedniego ruchu. — Mieliliśmy w każdym razie tę samą babkę... *Uk estin udeis, hostis uch hauto philos...*\* — uderzył zręcznie wysuniętego białego gońca, aż figurka spadła z szachownicy. — Moja stara dama dochodzi w ten sposób do celu!

Hamo popatrzył niezbyt zmartwiony; grał z Mikołajem po to, aby go czymś zająć i uniknąć obmacywania pod pretekstem ustawicznego przymierzania nowych ubiorów. Dlatego też nie dał mu sposobności, by zakończyć praktycznie przegraną przez siebie partię — zrobił rozsadę, aby grę jeszcze przeciągnąć.

Jednakże biskup stracił ochotę do gry. Tego, czego szukał u Hamona, nie znajdował na szachowej desce. Ze słodko-kwaśną miną podniósł się i zapytał:

— Remis?

Był to raczej wielkoduszny gest niż propozycja. Hamo gapił się jeszcze przez moment na pole walki, jakby analizując zagmatwaną pozycję swoich graczy. Potem machnął ręką, strącając prawie wszystkie figury.

— Tak głupio jak ty — zbeształ go z uśmiechem Mikołaj — zachowuje się tylko nasz cesarz. Myślę oczywiście o Baldwinie.

Spojrzenie Hamona pobiegło za wzrokiem biskupa i spoczęło na ogromnym marmurowym polu szachowym, które zajmowało całą posadzkę sali. W wyrafinowany sposób podzielone na czarno-białe kwadraty, przedstawiało Cesarstwo Bizantyńskie w okresie jego ekspansji, chyba za czasów cesarza Justyniana.

— Tę nędzną resztkę Cesarstwa Łacińskiego — powiedział Mikołaj z bólem — a więc to, co Bułgarzy i Seldżycy jeszcze nam zostawili, odbiorą wkrótce Grecy. Wtedy mój czas tutaj także się skończy.

Hamo podniósł się i podszedł do niego.

— Czy Fryderyk, którego nazywasz zachodnim cesarzem, nie może wam przyjść z pomocą?

Biskup w stroju nieodpowiednim do swego stanu, w swobodnie opadającej tunice z lekkiej białej wełnianej tkaniny, przez którą prześwitywały jego kształty, roześmiał się gorzko.

---

\* *Uk estin...* (gr.) — Nikim jest ten, kto nie ma przyjaciół.

— Hohenstauf sam musi walczyć o utrzymanie władzy, na niego nie możemy liczyć. Poza tym córkę oddał za żonę Watazesowi. Stawia na Greków. I ma rację!

Podeszli do balustrady zamykającej loggię od strony Złotego Rogu. Spoglądali w milczeniu na kopulaste budowle, mury i wieże metropolii nad Bosforem rozciągającej się u ich stóp, na mrowie statków w porcie i szereg łodzi, które tworzyły most prowadzący do Galaty, nowego miasta po drugiej stronie zatoki. Gdy spojrzano się jeszcze dalej i bardziej w prawo, niemal na wyciągnięcie ręki wyrastał wysoki brzeg już po azjatyckiej stronie.

Mikołaj patrzył jeszcze chwilę, po czym odwrócił się.

Pałac Kallistosa tonął w ogrodach, które rozciągały się aż po Hagia Sophia, kościół Mądrości Bożej, między kościołami Świętej Ireny i Świętych Sergiusza i Bachusa. Pałac, zbudowany niegdyś dla synów cesarskich, stary Jan z Brienne, opiekun i teść Baldwina, oddał do dyspozycji rzymskiego biskupa, gdy ten dyplomatycznie odmówił wprowadzenia się do pałacu patriarchy, który uciekł do Watazesza.

Duszpasterska działalność reprezentanta papieskich interesów ograniczała się do ślubów, chrztów i coraz większej liczby pogrzebów członków wyższych warstw rzymskokatolickich wiernych, przybyłych tu z Zachodu. Prosty lud miasta przywiązany był do prawosławnych popów. „Nie zadrażniać” — tak brzmiała mądra zasada Mikołaja z La Porty; odwiedzał blisko nawet leżące kościoły tylko na specjalne zaproszenie swych greckich braci z urzędu, najchętniej zaś w pięknie położonym pałacu poświęcał się polityce i roslým greckim młodzieńcom.

Wyłaniające się z tej chwili zamyślenia wspomnienie ich śniadych ciał kazało Mikołajowi wrócić do Hamona, przy czym myśl o kazirodztwie podniecała go dużo bardziej niż sam nieprzystępny chłopak.

— W tej sali, zwanej Centrum Świata — powiedział zadumany i niby przypadkiem położył rękę na ramieniu młodzieńca — spotykali się książęta przy szachach i tu bez trudu zapoznawali się z siłą i wielkością Bizancjum. — Wskazał na posadzkę, ku której z trzech stron sali schodziły stopnie jak w amfiteatrze. — Na galeriach są jeszcze drewniane stojaki, na których wisiały niegdyś stroje i wyposażenie graczy, „czarnych” po jednej, „białych” po drugiej stronie. Na tarczach „pionków” znajdowały się prawdziwe herby szlachciców, ponieważ ludzie ci, jako wasale cesarscy, musieli się godzić na tę służbę. Robiono namiętnie zakłady, bo cały dwór poczytywał sobie za wielki zaszczyt, aby prowadzących grę cesarskich synów wesprzeć finansowo. *ChrySION d'uden oneidos...*\* — Biskup uśmiechnął się żałośnie, wyobrażając sobie tamten sposób spędzania czasu, którego nie było mu dane przeżyć i którego wskrzeszenia, jak mniemał, nie dopuszczało jego stanowisko. — Popatrz, tam widać jeszcze obudowy, w które musiały się wcisnąć

---

\* *ChrySION d'uden oneidos* (gr.) — złoto nie hańbi.



„wieże” i „jeźdźcy”. Faworyci prześcigali się w obsadzeniu tych ról.

— A król i królowa? — spytał Hamo.

— Ich mogli przedstawiać tylko najbliżsi krewni domu cesarskiego, przypuszczalnie we własnych, przygotowanych specjalnie na tę okoliczność kosztownych strojach — odparł Mikołaj. — I można było jeszcze pole gry zalać wodą, co z pewnością powiększało zabawę. Widzisz te zagłębienia na Morze Czarne, Marmara i Śródziemne? Zawsze były wypełnione wodą, tak że gracze musieli zamoczyć przynajmniej nogi, jeśli przy wymianie ciosów nie poślizgnęli się i nie wpadli do wody.

— Ja wolę prawdziwy rycerski turniej — rzekł Hamo. — To przecież dziecinada!

— Szachy były i pozostaną szkołą strategicznego myślenia, kształcą *politikos*\* — pouczył biskup swego porywczego kuzyna, małego barbarzyńcę z Apulii. — Kiedy rozkazuję memu kasztelanowi przenieść się z Antiochii na Cypr, to tak jakbym mu polecił zrobić rosządę wieżą z h-1 na f-1, jak mówią Arabowie, chłodni matematycy. Albo na przykład mój przeciwnik wycofuje posła z Ikonium do Konstantynopola, a przecież znaczy to tyle samo co „goniec z c-3 na e-5”.

— Otranto też tu jest, o tam, na szpicu!

Wraz z tym odkryciem wygasło też zainteresowanie Hamona dla świata. Ziewnął znudzony.

— Jesteś zmęczony? — Biskup klasnął w dłonie cztery razy i niebawem ukazał się chłopiec, przynosząc trzy czarki gorącego napoju ciemnej barwy.

— Wypij! — powiedział Mikołaj zachęcająco i sam podniósł jedną z czarek do ust. — To wprawdzie trucizna, ale odpowiednio dozowana pobudza siły żywotne.

Hamo potrząsnął odmownie głową, patrzył przez chwilę zdziwiony na trzecią czarkę, po czym oparł się na poduszkach, które pokrywały marmurowe stopnie.

Biskup zajął miejsce obok niego.

— A skoro mowa o Otranto... Może byś jednak przekazał wiadomość matce? — Ton jego głosu wskazywał, że ten temat poruszany jest nie po raz pierwszy i że uparte stanowisko Hamona biskup doskonale zna. Chłopak zresztą i tym razem milczał. — Kiedyś i tak — ciągnął Mikołaj — znajdą cię przyjaciele lub wrogowie, wydaje mi się więc, że byłoby lepiej...

— Nie mam żadnych przyjaciół — przerwał mu Hamo arogancko.

— Wobec tego pragnę cię przygotować na odwiedzinę kogoś, kto nie jest do ciebie wrogo nastawiony, ale wykazuje ogromne zainteresowanie tym, co ci się rzeczywiście przydarzyło w Alpach...

— Kto?... — Hamo poderwał się wyraźnie zaniepokojony.

— Szlachetny Crean z Bourivanu.

---

\* *Politikos* (gr.) — człowiek myślący i działający społecznie.

— On? — Wyraz twarzy chłopaka wcale nie wyrażał zachwyty. — Nie chcę go widzieć!

— Ale on chce widzieć ciebie! Ma też władzę i pełnomocnictwa. *Kai kynteron allo pot' etles\**

Hamo z afektacją poprawił toę i klasnął w ręce.

— Prosić! — zawołał i dodał cicho: — Nim wystygnie powitalny napój — wskazał, naśladując gest biskupa, na trzecią czarękę.

Crean wszedł z tarasu, co świadczyło, że jego przybycie było umówione. Porozumiewawczo kiwnął głową Mikołajowi, nie dając poznać, że chciałby jakoś przewyciężyć niemą niechęć Hamona. Usiadł przy stoliku szachowym i zaczął ustawiać przewrócone figury.

— Słucham — zwrócił się po pewnym czasie zapraszająco do młodzieńca. — Choć obawiam się, że jeśli powierzona ci wyprawę poprowadziłeś tak jak tutaj swoje figury, to trzeba się liczyć z katastrofą...

— Spadła lawina! — bronił się Hamo. — Siła wyższa!

— Przeważnie najwyższa lekkomyślność! — odparł Crean sucho. — Czy wszyscy zginęli?

— Skąd mam wiedzieć?! — uniósł się Hamo. — Ja jeden nie zostałem zasypany i...

— ...umknąłem, zamiast zatroszczyć się o innych, a przede wszystkim upewnić się, że przynajmniej mnich przeżył!

— I pewnie dobić go, gdyby jeszcze oddychał! — Hamo nie krył wściekłości, zwłaszcza że Mikołaj dawał złośliwie do zrozumienia, iż on, Hamo, został chyba obarczony zadaniem ponad siły, nic więc dziwnego, że zawiódł.

— Tak brzmiał rozkaz! — stwierdził oschle Crean. — Czy możemy więc założyć, że William z Roebruku zaginął bez śladu?

— Nie, na pewno nie — włączył się Mikołaj. — Równie dobrze mógł kontynuować podróż i osiągnąć cel. Tego należałoby się trzymać. Jak długo nie pojawi się świadek, który oświadczy coś przeciwnego, ta wersja jest bardziej prawdopodobna niż śmierć mnicha w śniegu.

— Wspaniale!... *Arche hemisy pantos\** — powiedział Crean nawet nie drgnąwszy. — Ale tymczasem Pian wraz z towarzyszem dotarł chyba na dwór wielkiego chana i kiedyś, po nacieszeniu się mongolską gościnnością, ruszy w drogę powrotną. A po Williamie i dzieciach nie ma śladu!

— A może jeszcze tam nie dojechał?... Albo... — Biskupa ogarnęły wątpliwości. — Niestety, nie da się podróżować *incognito* przez ziemie Złotej Ordy. Ci Tatarzy są strasznymi formalistami...

---

\* Kai kynteron... (gr.) — zniosłeś już gorsze rzeczy.

\* Arche hemisy pantos (gr.) — najważniejsze to zacząć.

— I nie dadzą się także wykorzystać do tego, aby rozpowszechnić po świecie kłamliwą historię, chyba że wtajemniczy się ich we wszystko, a to uważam za nadzwyczaj niebezpieczne — dokończył Crean.

— Mógłbym wystąpić jako świadek i potwierdzić, że tak było — odezwał się Hamo, zauważył jednak, że obaj jego rozmówcy nie potraktowali tego poważnie. Uśmiechnęli się tylko do siebie.

— Chłopcze — rzekł Mikołaj po ojcowsku — ty jesteś stroną w tej sprawie i już choćby dlatego trudno ci wierzyć, ba, wzbudzasz podejrzenia! Skierowałbyś tylko uwagę wroga dokładnie na to miejsce, od którego z takim trudem chcieliśmy go odciągnąć: na Otranto!

— Stanę tutaj przed nuncjuszem papieskim i przysięgnę...

Mikołaj roześmiał się głośno.

— Ja jestem jedynym przedstawicielem papieża — powiedział — i mogę cię zapewnić, że na przesłuchaniu przed trybunałem inkwizycyjnym nawet bez najłagodniejszych tortur wyśpiewałbyś wszystko! Zdradziłbyś własną matkę i dzieci na dodatek. Zapomnij o tym! Akurat jeszcze tego brakuje, żebyś wpadł w ręce Rzymu!

— Musiałaby to być jakaś osobistość, człowiek poza wszelkimi podejrzeniami, który opowiedziałby o śmierci Williama w dalekim kraju Mongołów, i to w taki sposób, że dalsze poszukiwania królewskich dzieci stałyby się zbędne... — Crean też nie umiał zaproponować nic więcej.

— A może by tego Piana jakoś zjednać albo przekupić? — spytał biskup. — Każdy ma swoją cenę.

— Wpierw należałoby się upewnić co do jego osoby, nim pojawi się znowu w zamieszkanym okolicach, nim nawiąże z kimś kontakt. Poza tym nie jest przecież sam, towarzyszy mu cały orszak...

— Ten orszak to jedna osoba, Benedykt z Polski, a on może nie przeżyć mongolskiej kuchni. Opóźnione następstwa! — zaproponował biskup cynicznie z subtelnym uśmiechem.

Crean nie odwzajemnił uśmiechu.

— W każdym razie, ekscelencjo, jakiś wierny syn Kościoła — kończył sarkastycznie omawianie sytuacji — musi być poświęcony jako „męczennik”. — Teraz dopiero Crean zwrócił się łaskawie do Hamona, który z szeroko otwartymi oczyma i nie dowierzając własnym uszom wchłaniał w siebie pierwszą lekcję politycznej intrygi. — Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu. Chodziły słuchy, że jesteś w nędzy, jak żebrak ciągniesz przez greckie wyspy, obracasz się w złym towarzystwie i popadłeś we wschodni nałóg...

Przy ostatniej uwadze Creana biskup mrugnął porozumiewawczo do kuzyna, zanim dla uspokojenia wysłannika asasynów, nie bez lekkiego wyrzutu, wyjaśnił:

— To wszystko mamy już za sobą. Biedny chłopak naturalnie musiał wędrować bez środków do życia i nie mógł sobie wyszukiwać właściwego towarzystwa, ale odkąd wyładował w Konstantynopolu i znalazł się u mnie, ręczę za jego zdrowie, jeśli ciotka Laurencja niepokoi się o niego.

— Nie wróć do Otranto! — nadał się zaraz Hamo jak krnąbrne dziecko.

— Nie musisz — uciał Mikołaj. — Wydaje mi się zabawne — zwrócił się do Creana ironicznie unosząc brwi — że izmailitę niepokoi używanie *cannabis indicae*. Czy nie jest to przypadkiem nadgorliwość konwertyty? Przecież Hasan ibn as-Sabbah, na którego się tak chętnie powołujecie, zachęcał do używania haszyszu!

Po Creanie było widać, że walczy ze sobą, chcąc przełknąć afront biskupa, ale mu się to nie udało.

— Kejjif — wyjaśnił wreszcie — jest stanem ducha, którego osiągnięcie bez doznania szkody wymaga długich ćwiczeń i naprawdę wielkiej dyscypliny. Nie widzę w was, ekscelencjo, odpowiedniego nauczyciela.

— Także pouczanie innych jest sztuką, którą powinno się uprawiać powściągliwie — odparł Mikołaj ostro. — Pozwólcie, że jako ten niepoprawny będę podejmował błędne decyzje, a dorosłemu młodzieńcowi — wskazał na Hamona — przyznajcie prawo do wynajdywania tego, co dla niego korzystne i pożyteczne. — Rozładował napięcie, wybuchając śmiechem. — *Gerasko d' aiei polla didaskomenos...*\* A jeśli macie przy sobie coś dobrego z Alamutu lub wybornego z gór koło Masnatu, paziowie zaraz przyniosą fajki!

Kiedy Crean ze skierowanym do Hamona westchnieniem przysiadł się do nich i sięgnął do kieszeni, biskup klasnął w dłonie. *Hos mega to mikron estin en kairo dothen...*\*

## PASTERKI

*Puntraschigna, lato 1246*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Napłynęło wiosenne powietrze, ciepły wiatr stopił śnieg, gnijące ciała powieszonych franciszkanów spadały kawałkami z drzew i wreszcie dopiąłem tego, że doczekali się przynajmniej chrześcijańskiego pochówku na cmentarzyku za kościołem.

Ledwie ze stoków zniknęła śnieżna pokrywa, alpejskie łąki trysnęły kolorowym przepychem kwiatów, pszczoły brzęczały i pokrzepiały się nektarem, pojawiły się prze-

---

\* *Gerasko d' aiei polla didaskomenos...* (gr.) — zestarzałem się i wiele nauczyłem.

\* *Hos mega to mikron...* (gr.) — należy w porę dostrzec, jak wielkie są drobiazgi.

piękne motyle, potem zaś robaczki świętojańskie.

Z początkiem lata wybudowano nową wędzarnię z mocnego kamienia i z domu Boga zniknęły ślady haniebnej przeszłości — oprócz wydrapanych na ścianach ostatnich słów moich biednych braci. Każdego ranka i każdego wieczoru głosiłem ewangelię dla starych kobiet ze wsi, a cały dzień włóczyłem się po okolicy. Nocami natomiast rozkoszowałem się ciałem mojej młodej narzeczonej.

I tak mijały dni i miesiące. Znowu nadeszła jesień. Rijesz wprawdzie nadal ukradkiem schodziła po drabinie do mojej przegrody obok kóz, lecz niechybnie cała wieś wiedziała już o naszych kontaktach miłosnych, rodzice zaś przymykali na wszystko oczy. Nasze zaręczyny uchodziły za uzgodnione, a małżeństwo było tuż-tuż. Jeszcze tylko Ksawery miał zwrócić się do Rady Starców o przyzwolenie. Od dawna był już gotów to zrobić, ale czekał, aż jedyna córka poprosi go o to, a Rijesz chciała być całkowicie pewna moich uczuć: nie potrzebowała zrezygnowanej zgody, lecz mojego serca.

— Jestem dziewczyną z ludu, który żyje na obczyźnie, w ustroniu wśród gór i kóz...

— Dlatego skaczesz i beczysz jak one — odparłem śmiejąc się i przycisnąłem ją do siebie — ale myśl masz tak jasną jak tutejsze powietrze. Niech się stanie twoja wola, moje koźlătko!

Odepchnęła mnie gniewnie.

— Williamie — parsknęła nieprzyjaźnie — nie chcę twojej uległości, chcę, żebyś mnie kochał, krzycząc ze szczęścia.

— Rijesz — powiedziałem i moja ręka powędrowała między jej uda, które dziewczyna natychmiast zacisnęła — gdybym wydał taki radosny okrzyk jak ty przy kozach, Ksawery spadłby z pieca, Aiwa zaś by zemdląła. — Głaszcząc jej uda, wsuwałem palce coraz dalej, w końcu wymacałem wilgoć ogródka i chciałem się wkopać jak kret w świeżo wyrzuconą ziemię. — Szepnę ci tylko do ucha: Rijesz, jestem twój!

Uderzyła mnie po pożądlivej ręce, a gdy to nie poskutkowało, przesunęła ją wyżej, aż znalazła się ponad runem na łonie, na płaskim, twardym brzuchu.

— Jesteś osiem lat starszy ode mnie, Williamie, zjechałeś kawał świata, chodziłeś na uniwersytet, uczyłeś króla...

— Języka arabskiego — przerwałem jej. — Ty znasz ten język lepiej niż Ludwik!

— Ale nie jestem królową — oświadczyła poważnie — ani wytworną damą dworu! Jak możesz mnie...

— Rijesz, jesteś moją królową, codziennie będę klękał przed tobą i cię...

Roześmiała się.

— Klęknij raczej za mną, ty koźle! Gdy będę twoją żoną, wolno ci będzie wreszcie leżeć na mnie. Cieszysz się na to, Williamie? — Pocałowała mnie. — Powiedz, że się cieszysz!

— Podobnie jak ty! — jęknąłem i wciągnąłem ją na siebie.

— Williamie — spytała — czy możesz dziś zrezygnować z pieścizot?

— Mogę zrezygnować prawie ze wszystkiego z wyjątkiem ciebie! — odparłem. Chciałem ją ułożyć w pozycji *a tergo*, zgodnej z regułami naszych przedmałżeńskich zabaw, lecz z nieoczekiwaną żywością odsunęła tyłeczek na bezpieczną odległość od mego sterczącego tłoczka.

— Williamie... — powiedziała klękając przede mną; ciemne brodawki jej piersi drżały, położyła ręce na moich ramionach i popatrzyła mi badawczo w twarz. — Williamie, jutro wieczorem ojciec ogłosi zaręczyny, a pojutrze pobierzemy się...

— Rijesz, naprawdę chcesz mnie, starca, wziąć za męża? — zażartowałem.

— Nie — szepnęła — chcę, żebyś ty mnie wziął... w noc poślubną. A rano matka powinna wywiesić splamione prześcieradło. Dlatego chciałabym, żebyś dziś i jutro zostawił mnie w spokoju. Rozumiesz to?

Ja rozumiałem, mój tłoczek nie.

— Czy nie moglibyśmy początku tej nagłej czystości przesunąć na jutrzejszą noc? — spytałem. — To przecież nie naruszy twojego dziewictwa...

Opuściła ramiona, jej oczy napełniły się łzami.

— Nie kochasz mnie!

— Kocham cię, kocham aż za bardzo — pospieszyłem z zapewnieniem; zasypałem pocałunkami jej szyję, oczy, czoło, nos, aż wśród łkań znowu się roześmiała.

— Jesteś niepoprawny, Williamie! — Popchnęła mnie, przewracając na plecy, i zabrała się do mego niewyrozumiałego tłoczka. Ukarła go po pańsku, a kiedy poczuła, że on gorąco pulsując woła bezgłośnie o spełnienie, przycisnęła do niego wargi, wzięła szaleńca delikatnie w usta i przełknęła wulkaniczny wybuch mojej lawy; jej ruchliwy język nie pozwolił zmarnować się ani jednej kropli. Oczy dziewczyny błyszczały, a nasienie lśniło na jej wargach. Moja rozumiejąca mnie pasterka!

— Teraz łatwiej możesz zrezygnować! — Promieniała jak sama niewinność, gdy ja tymczasem, jeszcze dysząc, nie mogłem znaleźć słów podziękowania. — Mnie w każdym razie wystarczy, ty potworze!

Próbowałem się właśnie podnieść, gdy nad nami uchyliła się klapa w suficie i Aiwa głosem dziwnie ochrypłym wezwała córkę, jak woła się dziecko, które po zapadnięciu zmroku biega jeszcze po ulicy.

— Nie dotykaj mnie! — parsknęła Rijesz przytomnie. Wstając pocałowała mnie szybko w ucho i naciągając koszulę, zawołała: — Już idę, mamó! — i pobiegła ku drabinie. — Do jutra, ukochany! — zagruchała jeszcze z góry, tak że matka z pewnością to usłyszała. Po czym zamknęła klapę.

Wyczerpany opadłem na siano, skrzyżowałem ręce pod głową i zacząłem rozmyślać o Rijesz. Wróciły wspomnienia minionych miesięcy...

W dolinie panowało lato, ciepłe i piękne. W lasach ze ściółki wysuwały się grzyby, miód skapywał z pszczelich barci, dojrzewały jagody. Zniknęły śnieżne czapy na szczytach gór, dziewczęta pędziły stada w coraz wyższe regiony alpejskich hal. Często przez wiele dni nie schodziły na dół, tylko gdy kończył im się prowiant, wysyłały którąś do wsi.

Jak wielu miejscowych musiałem wspinać się do nich po niebezpiecznych górskich ścieżkach, nierzadko prawie pionowo po skałach i piargach. Korzystne było to, że oprócz porannych i wieczornych modłów nie miałem nic do roboty, tak że mogłem sobie pozwalać na uciążliwą wspinaczkę ku zazdrości innych, przede wszystkim posępnego Firuza, samotnego myśliwego. Często widywałem go z daleka, zawsze jednak schodził mi z drogi, skoro tylko się gdzieś pojawiłem. Niejeden kamień, co ze skały lub piarżystego urwiska pędził zniecałku ku mnie w dół, mógł się potoczyć pchnięty jego ręką.

W południe dzwoniono na Anioł Pański — ten rytuał sam wprowadziłem; o tej przeważnie porze spotykałem się z Rijesz w położonej na uboczu szopie, na wypadek nagłych śniegów wypełnionej sianem dla zwierząt i zaopatrzonej w skromne zapasy dla pasterek. Padaliśmy na pachnące siano spragnieni siebie bądź leżeliśmy na nim trzymając się za ręce i marząc.

Zauważyłem, że Rijesz nie pasie już razem z kuzynką Madulajn, której przedtem na czas naszych schadzek powierzała stado, lecz zjawia się sama ze swymi kozami.

— Madulajn jest zakochana w Firuzie — wyjaśniła mi narzeczona.

— To dobrze — powiedziałem — bo wreszcie będzie spokój.

— Ach, Williamie... — odparła i wyprostowała gołe nogi, tak że spódnica kusząco przesunęła się do góry. — Jesteś już prawie rok u nas i jeszcze nie pojąłeś, że on nie może stracić twarzy...

— Utracona narzeczona to nie powód, żeby się zabijać.

— Siebie nie, ale tego drugiego! — Rijesz leżała na plecach; podciągnąłem jej spódnicę wyżej. — Musiałabym go poprosić, żeby mnie wziął za żonę, wtedy mógłby powiedzieć „nie” i zwrócić się do innej. Madulajn żąda, żebym to zrobiła.

— A ty byś nie chciała stracić swojej ładnej twarzyczki — zakpiłem i jednym ruchem zarzuciłem jej spódnicę na głowę. Przede mną leżało zwierzątko, ciemne lśniące futerko, obrona i zaproszenie równocześnie. Pochyliłem się, lecz ściągnęła spódnicę w dół.

— My, kobiety, w ogóle nie mamy twarzy! — powiedziała poważnie.

— No więc zrób jej i nam tę przysługę!

Rijesz popatrzyła na mnie roziskrzonym wzrokiem.

— A jeśli on powie „tak”?

— Musi najpierw przysiąc, że tego nie zrobi...

Rijesz urwała nagle swoje wywody, wepchnąłem bowiem zuchwale język między kędzierzawe włosy, co ją, jak twierdziła, zawsze najpierw łaskotało. Dopiero więc po chwili

li, wśród okrzyków radości i chichotania, podjęła:

— To mi Madulajn obiecała... Ach, Williamie... — westchnęła, co mnie zdecydowanie zachęciło, aby z rozkoszą poświęcić się miłemu zadaniu. Jednakże problem utraty twarzy przez Firuzę prześladował mnie i zmniejszał moją żarliwość.

— Może powinienem... — odezwałem się wynurzywszy głowę z nad rozkosznego ogródka. — Może powinienem porozmawiać z Firuzem?

Rijesz w odpowiedzi obydwojma rękami przycisnęła moją głowę do swego futerka, lecz zanim ponownie w nim utonałem, naraz tuż za moją narzeczoną ujrzałem wynurzoną z siana skamieniałą twarz Madulajn, okoloną rozczochranymi włosami pełnymi suchych źdźbeł. Popatrzyła na mnie błagalnie, potrząsnęła głową, zaklinając bezgłośnie, bym nie zdradził jej obecności, i jak tonąca zanurzyła się znowu w sianie.

To nieoczekiwane zjawisko nie przerwało wprawdzie moich wysiłków, lecz moje pożądanie i tak cenione przez Rijesz bicze wprawnego języka wyraźnie osłabły, wkrótce spowolniłem też ruchy. Rijesz niczego nie zauważyła, jedynie chyba moją dziwną ociężałość.

— Nic nie szkodzi, Williamie — potraktowała rzecz po matczynemu. — Jesteś wyczerpany drogą. — Przymusiła mnie, żebym złożył głowę na jej piersiach dla odpoczynku. — Jesteś strasznie zziębnięty! — zatroskała się moim napadem słabości. — Odpocznij — dodała życzliwie — ja muszę teraz zająć się zwierzętami. A wieczorem odprowadzę cię na dół.

Wyszła z szopy, ja zaś zerwałem się i pospieszyłem za nią, ponieważ teraz rozmowa z wyraźnie wstrząśniętą Madulajn przekraczałyby moje siły.

— Już jest dobrze! — zażartowałem z trudem. — To sprawa wieku — dodałem. Pocałowałem moją wyrozumiałą narzeczoną i podskakując jak kozioł, bo taki żwawy chciałem się jej wydać, popędziłem po pniach i kamieniach w dół do wsi. Zataiłem przed Rijesz niespodziewane „spotkanie”.



## VIII SOLSTITIUM\*

### SKARBIEC BISKUPA

*Konstantynopol, pałac Kallistosa, jesień 1246*

Z daleka dobiegło nagle ochryple szczeknięcie, które przeszło w warczenie.

— Co to? — spytał beznamiętnie Crean, gdy tymczasem Hamo drgnął niespokojnie.  
— Dziwny odgłos, jakby wydobywał się z piekła.

— To ten obrzydliwy Styks! — powiedział biskup, a wyraz wstrętu na jego twarzy dowodził, że naprawdę tak myśli. — Neapolitański molossus skrzyżowany z luksorskim dogiem, używanym w Sudanie przy polowaniu na zbiegłych niewolników. Ohydne bydle! Nie chcę go mieć ani w domu, ani w ogrodzie, ale służba kuchenna kocha tę kreaturę. Dlatego wypędziłem go tylko do podziemnych korytarzy wokół labiryntu. Czekam teraz na to, że pewnego dnia ta bestia z ociekającym śliną pyskiem pojawi się przy moim łóżku i poliże mi twarz, po czym rozerwie mnie na strzępy!

— W rzeczywistości pies strzeże waszego skarbcza, w przeciwnym razie dawno kazalibyście go zabić — zauważył chłodno Crean.

Za biskupa odpowiedział Hamo:

— Mikołaj boi się, że wtedy kucharz by go otruił, uwielbia bowiem Styksa. Poczciwa psina pewno niedługo oślepnie, skoro stale przebywa pod ziemią.

Znowu rozległo się raz zgrzytające, raz mlaskające dudnienie.

— Może bestia będzie przynajmniej na tyle użyteczna, że zapowie trzęsienie ziemi — zażartował biskup.

— Albo gości! — roześmiał się Hamo. I akurat w tym momencie wszedł paź i zameldował przybycie dostojnego gościa z dużym orszakiem, papieskiego legata.

Hamo zerwał się przestraszony. To mógł być tylko ten ponury człowiek, ten w czarnej opończy, który ich śledził przez całą Italię i którego, dzięki ofierze Roberta, pozostawili za potokiem szalejącym w głębokim wąwozie.

— To oprawca Szarego Kardynała! — wybełkotał chłopak pełen trwogi. — Musicie mnie ochronić! — Uczepił się Creana, ale biskup uspokoił go gestem.

---

\* Solstitium (łac.) — przesilenie letnie (w czerwcu) i zimowe (w grudniu), przynoszące najkrótszą i najdłuższą noc w roku.

— Trudno by sobie tutaj wyobrazić Wita! — Wyprostował się, jak przystało jego biskupiej godności, i uśmiechnął uspokajająco, jednakże wyglądał na dość zatroskanego, wychodząc przybyłym naprzeciw.

Ku swemu przyjemnemu zaskoczeniu w westybulu zastał Wawrzyńca z Orty, którego znał, chociaż nie w roli papieskiego legata. Wawrzyniec wracał z Ziemi Świętej. Towarzyszyło mu dwu Arabów wysokiego stanu, których przedstawił biskupowi:

— Szlachetny Fassr ad-Din Oktaj, emir sułtana, i kanclerz asasynów z Masnatu, Tarik ibn-Nasir.

Ponieważ ten ostatni po wymianie powitalnych formułek dosyć natarczywie, prawie niegrzecznie, zażądał rozmowy z Creanem, Mikołaj zaprosił gości do Centrum Świata.

Ku jego zdumieniu Crean i młody emir przywitani się jak najserdeczniej, nawet Hamo zawołał ucieszony:

— Czerwony Sokół! — i uściśnął przystojnego Araba. — To Konstancjusz z Selinuntu — zapowiedział na cały głos — rycerz cesarza Fryderyka!

— Zapomnij, Hamo, o tym, i to natychmiast! — powiedział emir z życzliwym naciskiem. — Tutaj jestem posłem sułtana, a i to tylko dla przyjaciół. Podróżuję nieoficjalnie i już z tego powodu mało bezpiecznie. Nie powiększajmy niepotrzebnie ryzyka.

Wycofał się skromnie, a Hamo zawstydzony spuścił głowę. W świecie rycerskim zamiast prostych cnót panowały skomplikowane i nie zawsze całkiem czyste praktyki.

Konstancjusz dyskretnie przywołał do siebie biskupa, podczas gdy Tarik i Crean wycofali się na zewnątrz w kąć loggii. Zostawili Hamona sam na sam z papieskim legatem, przed którym, z powodu jego znaczącego tytułu, chłopak odczuwał trwogę, choć Wawrzyniec wydawał się człowiekiem o naprawdę pogodnym usposobieniu. Filuterny uśmiech rozjaśnił mu oczy, gdy Hamo, aby przezwyciężyć zakłopotanie, ni stąd, ni zowąd zaczął opowiadać o niegdysiejszych rozgrywkach szachowych bizantyńskich książąt.

— Nie powinniśmy byli obarczać młodego hrabiego tą wyprawą — skonstatował Tarik ibn-Nasir. — Winę muszę wziąć na siebie, Creanie. Złożę głowę u stóp wielkiego mistrza — dorzucił oschle, nie zważając na zatroskany wyraz twarzy swego podwładnego i wychowanka. — Nie ma żadnej wątpliwości: William żyje! Ustaliliśmy to bardzo prosto, zaczynając poszukiwania od miejsca, gdzie Hamo widział go po raz ostatni: w górskiej marchii Saracenów, którzy kontrolują alpejskie przełęcze w pobliżu mostu. Potwierdzili rysopis: William przebywa wśród nich.

— A więc możemy go dostać. — Crean usiłował dodać odwagi kanclerzowi.

— To by trzeba ustalić. — Tarik zerwał się z miejsca. — Tymczasem Pian z Benedyktem opuścili dwór wielkiego chana i wyruszyli w drogę powrotną.

Skrzyżowawszy ręce na plecach, kanclerz wędrował pochylony wzdłuż loggii, nie po-

święcąc ani jednego spojrzenia rozpostartej u jego stóp panoramie miasta. Postarzał się, pomyślał Crean.

— W każdym razie wcześniej czy później — ciągnął zniechęcony Tarik — wyjdzie na jaw, że wymyślił bajeckę o pobycie dzieci u Mongołów...

— No to musimy doprowadzić do spotkania Williama z Pianem, jak przewidywał pierwotny plan, bo...

— ...bo jedyna dobra wiadomość to ta, że nikt poza nami nie wie, co się dzieje z Williamem z Roebroku. Kiedy ten zwiastun nieszczęścia znowu się pojawi, a przysięgam, że to będzie po raz ostatni!, wszyscy zainteresowani powinni się definitywnie wyzbyć wątpliwości co do miejsca pobytu dzieci.

— Chcecie więc ogłosić, że nie żyją?

— Nie — odparł Tarik. — To by było zagrożeniem ich przyszłości, musiałyby występować jako *impostores*\*. Najlepszym rozwiązaniem wydaje mi się umieszczenie ich w naprawdę bezpiecznym miejscu, bezpiecznym i działającym na wyobraźnię zarazem, na przykład w owianym tajemnicą Alamucie, póki nie będą mogły objąć panowania.

Kanclerz asasynów uznał rozmowę ze swym dorosłym wychowankiem za skończoną, jednakże Crean mógł sobie pozwolić na to, by go jeszcze zatrzymać.

— A dlaczego, czcigodny mistrzu... wybaczone mi prostotę myśli i zuchwałość... dlaczego nie zapomnieć o wszystkich starych wątkach, o Williamie w alpejskich śniegach i lodach, o wyprawie Piana do Mongołów, i nie zawieźć dzieci tam, gdzie chcecie je mieć, do Alamutu, co i mnie także, za pozwoleniem, wydaje się najlepsze?

— Albowiem — uśmiechnął się Tarik — takie rozwiązanie jest dla Przeoratu zbyt proste i zbyt jednoznaczne. — Dostrzegł niezrozumienie na twarzy młodszego towarzysza. — Jak wygląda polowanie kota na mysz? Przecież nie łapie jej, by od razu ją pożreć! Przeciwnie: najpierw chwyta mysz, potem pozwala jej uciekać, podrzuca ją w górę, czyha na nią; po prostu bawi się! I najchętniej pod nosem innych kotów, które mu zazdroszczą zdobyczy. To jest prawdziwe szczęście kota.

— Przeorat nie jest kotem! — oburzył się Crean.

— Tego nie powiedziałem — uśmiechnął się Tarik złośliwie — już choćby dlatego, że takie postępowanie jest sprzeczne z regułami naszego zakonu. Nie chcę odgrywać kota i czekać na psa, którego nie będzie obchodziło, co kot trzyma w pysku, gdy go zagryzie!

— Czy nie czynicie zbyt wiele zaszczytu Rajnerowi z Capoccio? Zgarbiony kanclerz popatrzył na Creana zdumiony.

— Myślę o Mongołach — padło szorstkie wyjaśnienie — i o ich wyobrażeniach dotyczących panowania nad światem.

---

\* Impostor (łac.) — człowiek zdobywający tron w wyniku oszustwa.

Crean i Tarik przerwali wędrówkę po loggii i popatrzyli znad balustrady na stare Bizancjum, na zatokę, w stronę Bosforu i dalej na wschód, w kierunku Alamutu, ku duchowym siłom izmailickiej tajnej sekty, i ku bezgranicznemu, a przecież tak sprężystości kierowanemu stepowemu państwu Mongołów, z którego niebawem przybędzie Jan z Pian del Carpine. Daleko za ich plecami ciągnął się łańcuch pokrytych wiecznym śniegiem Alp, w których William z Roebruku wyobrażał sobie, że uznawszy go za zaginionego, świat o nim zapomniał, gdy tymczasem Saraceni czekali tylko na wskazówkę, jak mają postąpić ze swym gościem.

Daleko sięgało ramię asasynów, ale jeszcze delikatniejsze, dłuższe i bardziej lepkie były nici Przeoratu Syjonu; ich niewidzialna sieć oplatała cały Wschód i Zachód i nikt nie wiedział, kto za ich końce pociąga.

— Panowanie nad światem — filozofował Tarik — nie może być grą, a już w żadnym wypadku dziecinną zabawą. — Odwrócił się od widoku rozchodzących się lądów i dzielącej ich wody. — Żaden człowiek nie wytrzyma siły czterech koni, które ciągną w różnych kierunkach. Znamy to z okrutnych widowisk. Jak więc dzieci mają utrzymać taką koronę i nie zostać rozerwane?

Biskup udał się z młodym emirem do pałacowej kaplicy, pomieszczenia ozdobionego złotymi mozaikami, które miało tę zaletę, że było doskonale ukryte wśród murów. O jego istnieniu wiedziało niewielu, a i ci znali tylko jedno jedyne wejście. Pomieszczenie zaś miało wejść sześcioro, siódmym był pozornie na stałe wmurowany tron biskupi, który kończył się schodami prowadzącymi do wielkiej cysterny Justyniana, skąd nieopstrzeżenie można było dotrzeć łodzią do portu.

Tu, w tej kaplicy, Mikołaj z La Porty trzymał skarby zgromadzone w ciągu ponad dziesięciu lat swej działalności, gdy służył, najczęściej zresztą jednocześnie, różnym panom. Że swój skarbiec tak szczerze otworzył przed cudzoziemcem, którego nigdy dotąd nie widział, świadczyło o szczególnym stosunku do gościa.

— Srebra stołowe, które zabrałem ze sobą w podróż — zauważył emir rozbawiony przedstawionymi mu wspaniałościami — też możecie tutaj umieścić. — Ujrawszy, że rozmówca wydał lekceważąco usta, dorzucił szybko: — Każcie je przetopić, są z litego złota.

Mikołaj westchnął z ulgą.

— Jak mogę się odwdziaczyć memu panu i dobroczyńcy, dostojnemu Ajjubowi, niech Bóg obdarzy go długim życiem...

— Sułtan chce wiedzieć — przerwał emir te peany — skąd i kiedy ma oczekiwać krucjaty francuskiego króla, gdyby naszemu przyjacielowi Fryderykowi nie udało się zapobiec tej wyprawie.

Mikołaj nie zastanawiał się długo.

— *Ho chresim' eidos uch ho poll' eidos...*\* Portem zbornym ma być Cypr. Przygotowania pochłoną jeszcze ze dwa lata. Nie da się przewidzieć, jak długo Ludwik będzie tam przebywał ani jak długo uda się go tam zatrzymać, co pozwalałbym sobie polecić, jednakże sułtan musi się liczyć z tym, że cios ma być wymierzony w serce, a więc w Kair.

— Jak to? — spytał z niedowierzaniem emir. — Czyżby król nie chciał przyjść z pomocą swym rodakom w Akce?

Mikołaj uśmiechnął się pobłażliwie.

— Ludwik jest wprawdzie pobożny, ale nie głupi. Ziemi Świętej nie uratuje odbicie, dopóki nie zostanie zniszczona potęga, która zawsze będzie jej zagrażać: Egipt!

— Jesteście nie docenionym strategiem, ekscelencjo... Czy króla otaczają tacy jak wy mądrzy i zdecydowani doradcy?

— Niestety, nie mam u niego posłuchu. — Mikołaj uśmiechnął się przymilnie. — A poradziłbym mu, i kazał sobie za tę radę dobrze zapłacić, by zrezygnował z krucjaty albo zastąpił ją inną wyprawą: odwiedzeniem Jeruzalem, naturalnie pod płaszczykiem chwalebneho zdobycia miasta. Fryderyk pokazał, jak się to robi!

— Zwierzchnik wszystkich prawowiernych muzułmanów nie dopuści do tego!

— Wówczas Kościół nie przestanie szcuć przeciwko wam Ludwika, zwłaszcza że Fryderyk nie przyjdzie chyba kurii z pomocą.

— Nam prawdopodobnie także nie! — emir lakonicznie wyraził swój żal. — Uważacie zatem krucjatę za przesądzoną?

— Wierzcie mi, wart jestem złota, które mi płacie. A teraz przejdźmy do stołu, chciałbym posłuchać, co ciekawego ma tym razem do powiedzenia Wawrzyniec z Orty.

— Nic, czego ja również nie mógłbym opowiedzieć, tyle że wielmożny pan legat traktuje sprawę z humorem, który mnie coraz bardziej opuszcza.

— Nie pozwólcie sobie zepsuć apetytu — roześmiał się biskup. — *Ariston men hydor, ho de chrysos...*\*

Ruszył przodem, wskazując drogę, i wkrótce znaleźli się w sali jadalnej pałacu, której wysokie okna wychodziły na morze Marmara.

Hamo i Wawrzyniec przerwali grę w szachy, choć młodzieńcowi teraz się podobała, legata bowiem dało się łatwo pokonać i jeszcze się z tego cieszył. Przerwali ją przede wszystkim dlatego, że legat niezwykle barwnie opowiadał o podróży do Ziemi Świętej, przy czym dla zilustrowania swych wywodów posługiwał się figurami zdejmowanymi z szachownicy.

— ...tutaj, ta biała dama, to Damaszek pod rządami Ismaila, te wieże to Homs

---

\* *Ho chresim'...* (gr.) — nie ten, co wie dużo, lecz ten, kto wie to, co potrzebne [jest mądry].

\* *Ariston men hydor...* (gr.) — woda jest wprawdzie wielkim dobrem, lecz złoto...

i Kerak będące we władzy Al-Mansura Ibrahima i An-Nasira. Czarne pionki to dzicy Chorezmijczycy. Spodziewali się, że egipski sułtan... to ten czarny król... w zamian za pomoc w bitwie pod Harbiją ruszy z wojskiem Ajjuba na Damaszek, o czym sułtan nawet we śnie nie marzył. Najpierw zabrał An-Nasirowi Kerak... zamień białą wieżę na czarną... potem zmusił Ismaila do ustąpienia z Damaszku... usuń białą damę i wstaw czarnego króla... i ofiarował mu na pocieszenie Baalbek... daj tu białego konia.

Tarik z Creanem podeszli i śledzili z zainteresowaniem przedstawianą przez legata walkę o władzę.

— Chorezmijczycy nie doczekali się wdzięczności, więc zaoferowali swe usługi Ismailowi. A zatem teraz są biali. Z ich pomocą Ismail odzyskuje Damaszek... postaw tam znowu białą damę... — Hamo przesuwiał figury z niezwykłym przejęciem, a Wawrzyńcowi sprawiało dużą przyjemność przedstawianie młodemu człowiekowi gwałtowności Arabów. — Ale biały Homs i znów biały Kerak nie znoszą Chorezmijczyków jeszcze bardziej niż Egipcjan i w czasie jednej nocy stają się czarne. Naturalnie przekupione przez Ajjuba! Razem z Egipcjanami oswobadzają Damaszek, Ismail ucieka... daj mu jeszcze raz siwka... a Chorezmijczycy ponoszą druzgocącą klęskę. Odciętą głowę ich przywódcy... wyobraź sobie białego gońca bez głowy!... zwycięzcy obnoszą po ulicach Damaszku, niedobitki ratują się ucieczką do Mongołów. Czarny sułtan panuje teraz nad Palestyną, Libanem i Syrią! — Głos Wawrzyńca stał się sarkastyczny. — Siły islamu są zjednoczone i gotowe rozprawić się z chrześcijanami!... A po co wysłała się papieskiego legata do Ziemi Świętej? Ma zatroszczyć się o to, żeby Grecy prawosławni kapłani, którzy uznali zwierzchność papieża, byli traktowani na równi z kapłanami rzymskokatolickimi tak dalece, jak da się to kanonicznie obronić. *Kyrie eleison!* — z gorzką kpina zakończył swoje wystąpienie.

Wszyscy mu przyklasnęli, Wawrzyniec zaś przytoczył jeszcze jeden przykład absurdalnego według niego postępowania.

— A zakony rycerskie?... Templariusze z joannitami dziobią się jak wrony w każdym, najbardziej nawet zagrożonym mieście, staczają bójki jak ulicznicy! Niemcy zagrzewają bijących się do walki, jakby ci występowali na arenie, a sami piją na umór! Marynarze weneccy, pizańscy i genueńscy siekają się i kłują w portach, podpalają sobie nawzajem statki i magazyny tylko po to, aby przeciwników wyłączyć z handlu. Z kim?... Naturalnie z muzułmanami!

— Niezgoda po stronie przeciwnej — stwierdził Tarik — jest warta połowy wojska i najbardziej niezawodnych sprzymierzeńców!

— Dlatego potrzebna jest krucjata, która na powrót zaprowadzi tam porządek — mruknął zażarcie Wawrzyniec.

— Niechaj nas przed tym Allah strzeże! — zareplikował gwałtownie kanclerz. — Jedynie niezgoda w granicach rozsądku może utrzymać pokojową równowagę.

MIŁOSNA SŁUŻBA  
*Puntraschigna, jesień 1246*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Minęło lato i oto jesień zapowiadała się szronem i ostatnimi jagodami, które należało zebrać, nim nastaną mrozy; orzechy i kasztany, buczyna i żołądź zostały już sprzątnięte, w przeciwnym razie zgniłyby w czasie rozpoczynających się deszczów, które coraz częściej mieszały się z krótkimi zadymkami. Góry co dzień niżej naciągały białe kaptury na czoła zboczy.

Już prawie rok przebywałem u Saracenów; pogodnie i beztrzesko układały się dni, niczym wieńce, które moje pasterki wiły dla mnie ze słomiastych kwiatów rosnących na skałach. Jedna spletała ślubny wieniec mający mnie zatrzymać, druga zaś pożegnalny, ciche napomnienie, żeby wreszcie zniknąć z jej życia. Cieszyły mnie obydwie wianki, chociaż rodziły mieszane uczucia. Dlaczego miałem się koniecznie zdecydować? Jeśli chodzi o mnie, mógłbym wieść to przyjemne życie i uprawiać miłość jeszcze przez wiele letnich pór.

Ale za dwa dni miało się odbyć moje wesele. Wróciłem jeszcze raz wspomnieniami do górskiej szopy, która mi ofiarowała tyle urozmaicenia, tę wyborną konchę podwójnej miłości, rozkoszy i namiętności. Przypomniałem sobie radosny śmiech mego koźlątka, wesołej Rijesz, jednakże szybko wyparła go milcząca melancholia i z trudem hamowana dzikość górskiej kotki, Madulajn.

Moja księżniczka! Wydawało mi się, jakby to było wczoraj! Znów zobaczyłem, jak wyłoniła się z siana, zaciśniętymi wargami objawiła zaskoczenie i zobowiązała mnie do milczenia. W jednej chwili stałem się jej współnikiem, spiskowcem i zdrajcą.

Wkrótce po tym zdarzeniu, gdy leżałem znowu o zwykłej godzinie w sianie naszego miłosnego gniazda, na dworze rozległy się dzwoneczki zapowiadające przybycie stada kóz. Nie ruszyłem się z miejsca i udawałem, że śpię. Zwróciłem uwagę, że do szopy weszły także zwierzęta, które Rijesz trzymała zazwyczaj z dala od zapasów zgromadzonych na wypadek nagłej zmiany pogody. Ktoś wślizgnął się obok mnie na siano. Zerknąłem spod przymkniętych powiek i zobaczyłem fiołkowobłękitne oczy Madulajn.

Była piękną dziewczyną, szczupłą, wyższą od Rijesz, o łagodnej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, pełnymi wargami i właśnie tymi wielkimi oczyma, które tak osobliwie kontrastowały z jej ciemnymi warkoczami. Sprawiała wrażenie cudzoziemki, księżniczki wśród tych górskich córek Saracenów, opalonych, radosnych i muskularnych. Nawet kiedy dziewczęta znajdowały się we własnym gronie, Madulajn nie paplała beztrzesko jak wesoło tryskający wodospad, była zaprzętnięta własnymi myślami.

— Williamie — powiedziała — masz nie tylko znakomity język, ale także dobre uszy.

— Nie przysunęła się do mnie, mimo to czułem, że ogarniają mnie płomienie; zrobiło mi się podejrzanie nieswojo, moje ciało zaczęło kipieć. — Podglądnęłam Firuza... — Nie potrafiłem ukryć rozczarowania jej wyborem, a ona mówiła dalej: — Ma przyrodzenie jak ogier. Chcę je mieć! Firuz trzyma je dla mnie w gotowości, ale ty, Williamie, stoisz nam na przeszkodzie!

— Weź je sobie — przerwałem jej prawie gniewnie, zazdrosny o tego parobczaka z jego...

— Jak długo ty tu jesteś, on mi odmawia, bo musi podtrzymywać swoje roszczenia wobec Rijesz, chociaż jej już wcale nie chce...

— Jesteś sobie tak pewna, Madulajn?

Piękna istota popatrzyła mi szczerze w oczy, jej melancholia wtargnęła do mego wzburzonego mózgu jak tępy ból.

— Pewni siebie — odparła — jesteśmy wszyscy tylko w momencie cielesnego złączenia. Rijesz mogłaby po miodowym miesiącu ponownie zapragnąć Firuza, a ty mógłbyś zniknąć jeszcze przed weselem...

— Zostanę i wezmę ją za żonę! — stwierdziłem zdecydowanie, co jednak nie wyprowadziło Madulajn ze stoickiego spokoju. W jej głowie kłębiły się jakieś straszne myśli, które umykały mojej wyobraźni.

— Dam ci w tajemnicy moje narty — szepnęła i przysunęła bliżej do mego ucha mocno wygięte usta o błyszczących, pełnych wargach. — Nauczę cię, jak się na nich biega, zjeżdża i skacze. Żaden koziorożec, żadna kozica nie będzie od ciebie szybsza. Przed człowiekiem na nartach nic nie ucieknie...

— Rozumiem, Madulajn — uniosłem się oburzony — że chcesz mnie nakłonić do ucieczki!

— Jestem z tobą uczciwa, Williamie — szeptała mi cicho do ucha i wąż pokusy wpełzał w nie coraz głębiej.

Naturalnie zawsze chciałem się nauczyć jazdy na nartach, z ciekawości i z pędu do swobody. Bez opanowania owej sztuki byłem więźniem tej wysoko położonej doliny.

— Nie chcę opuszczać Rijesz — odezwałem się. — Postanowiłem przy jej boku spędzić tutaj moje dni i noce...

— Milcz! — syknęła Madulajn i położyła mi palec na ustach. — To, co ci proponuję, jest sprzeczne z prawem. Rada Starców kazałaby mnie za to ukamienować. Czy widziałeś kiedyś kamienowaną kobietę?

— Mogę to sobie wyobrazić, ale nie mogę ci obiecać, że ucieknę. Przeciwnie, przysięgam ci...

— Nie przysięgaj, Williamie! — Przeciągnęła się i uklękła. — Język by ci usechł. — Po raz pierwszy zakłopotany uśmiech prześlizgnął się po jej jakby zastygłej w smutku twarzy. — Zawrzemy pakt, który niczego nie wyklucza: ja nauczę cię posługiwać się narta-



mi...

— A ja?

— Ty nauczysz moją kózkę, jak ma zręcznie używać języka — odparła. Podniecająco powolnym ruchem uniosła sukienkę, odsłoniła gładkie uda i rozwarła bezwstydnie łono; tak różowemu koziemu językowi nie mogłem się naturalnie oprzeć.

Przeszło lato. Stałem się smukły jak topola, ponieważ aby dotrzeć do pól śniegowych, musieliśmy piąć się coraz wyżej na zbocza. Moja „pani”, którą stała się Madulajn od pierwszej chwili, gdy przystałem do niej na służbę, miała upodobanie do surowości: zarówno jako nauczycielka jazdy na nartach, jak i wymagająca, nienasycona władczyni mego biednego języka, który z początku traktowała jako swego wasala, wkrótce jednak jako stale będącego do jej dyspozycji poddanego.

Spotykaliśmy się w bardzo oddalonych szopach, ale często także na nagich skałach albo nawet na lodowym firnie. Ponieważ ja nierzadko po wspinacze, bieganiu, zjeżdżaniu i licznych upadkach waliłem się na ziemię bez tchu, na ogół żądała z góry swego haraczu. Ulegałem jej. Nie odwzajemniała się niczym, nie położyła nigdy ręki na moim narzniętym członku, mnie zaś nie wolno było jej dotknąć. Sprzedałem tylko swój język, jakbym zapisał duszę diabłu.

Madulajn nie była diabolicą, lecz po prostu kobietą zimną i obcą. Jęczała wprawdzie, gdy mój flamandzki ozór doprowadzał ją po mistrzowsku do rozkoszy, jednakże nie zrodziło się między nami nigdy tkliwe porozumienie. Zataczając się schodziłem później w dolinę lub zasypiałem z wyczerpania w szopie, gdzie zazwyczaj spotykałem się z Rijesz. Aby moja mała narzeczona niczego nie zauważyła, a przede wszystkim aby na tym nie ucierpiała, podwajałem, a nawet potrajałem wobec niej wysiłki.

O to, żeby Rijesz nie odkryła mnie sam na sam ze swą kuzynką, troszczyły się dziewczęta, które bez sprzeciwu podporządkowywały się księżniczce Madulajn. Rijesz wysyłały wtedy pod jakimś pretekstem do wsi. Rozkaz od mojej pani, że mam się do niej udać, znajdowałem zawsze przed szopą: garść odpowiednio ułożonych kamyczków wskazywała mi kierunek i drogę. Wyżej niż Madulajn nikt nie ośmielił się paść swego stada, toteż nie groziły nam niespodzianki.

Gdy lato miało się ku końcowi, doszedłem do mistrzostwa w posługiwaniu się „drugimi stopami”. Poruszałem się na nich pewnie, ośmielałem się nawet wykonywać śmiałe skoki ponad sterczącymi ze śniegu skałkami, pędziłem w dół po najbardziej stromych stokach, między kamieniami i jodłami, wcale się nad tym nie zastanawiając.

Moja nauczycielka nie mogła mnie już niczego więcej nauczyć. A przecież spieszyłem na jej wezwanie, kiedy je otrzymywałem, trudziłem się, by do niej dotrzeć, wypływałem z siebie płuca i zapominałem o wszystkim, gdy otwierała przede mną łono. Rozkosze, jakie dawała mi służba u niej, były nieporównywalne z drobnymi przedmażeń-

skimi radościami przeżywanymi z Rijesz, którą z całego serca kochałem i nigdy bym nie skrzywdził. Byłem nieszczęśliwy: miałem kochankę, co ani nie pytała o wierność, ani nie wydawała się obawiać dnia, kiedy wypowiem jej służbę. Poruszałem się z całą swobodą, a jednocześnie siedziałem w pułapce. I trudno było przewidzieć, jak się to wszystko skończy. Na takich rozmyślaniach spędziłem już niejedną bezsenłą noc rozpoczynającej się właśnie jesieni.

Dni stawały się coraz krótsze, dziewczęta na noc spędzały stada do wsi. Rijesz spała teraz przeważnie w swojej izbie na górze i odwiedzała mnie niby w tajemnicy, choć za rodzicielskim przyzwoleniem, mnie tymczasem śniła się *vulva* i *vagina* księżniczki, Madulajn zaś marzył się *penis equestris*<sup>\*</sup>, którego posiadacz dla zachowania twarzy koniecznie chciał mojej narzeczonej i w swej zaciętości nawet nie podejrzewał, jakiej rozkoszy się pozbawia. Czy miałem się z nim bić? Dać się stłuc na kwaśne jabłko? Może w ten sposób rozwiązałby się węzeł, w który zaplątał się mój umysł?

Ciało jest ochocze, ale duch słaby.

## KOLEJNOŚĆ DAŃ

*Konstantynopol, pałac Kallistosa, jesień 1246*

Paź poprosił zgromadzonych w Centrum Świata do stołu. Do sali jadalnej wkroczył łysy „kucharz nad kucharze”, sławny Jarcynt, zwany także „Językiem”, w otoczeniu całego roju półnagich efebów, którzy nieśli srebrne tace. Jarcynt zapowiadał kolejność dań i sposób ich przyrządzenia:

— Zawijane w winne liście delikatne mięso raków, polane sosem ze zwarzonego mleka, przyprawione kolendrą i miętą... Młode strąki papryki nadziewane siekanymi pierśmiami przepiórek i jajka tychże marynowane w winnym occie... Natarte czosnkiem gotowane ślimaki w koszulkach z ogórków...

Jeszcze przed podaniem głównego dania zmieniono wino z lekkiego kaukaskiego na ciemne, korzenne z Trapezuntu.

— Watatzes uzupełni swoje piwnice w Konstantynopolu, gdy znowu przejmie tu władzę — zakpił biskup. — To tylko mała degustacja, której nam, łacinnikom, z pewnością nie weźmie za złe.

— Jak was znam, ekscelencjo — Tarik podniósł swój kielich — wyżywilibyście nas tutaj i pod greckim panowaniem.

— Lepiej być w Bizancjum na straconej pozycji niż w Rzymie wśród wielu, co w walce o purpurę sami się rozszarpują albo opętani pragnieniem zniszczenia Hohen-

---

<sup>\*</sup> Vulva i vagina (łac.) — srom i pochwa; penis equestris (łac.) — koński penis.

staufa, narażają się na dużo gorszy rodzaj śmierci!

— Zdrowie Fryderyka! — wzniósł toast poseł sułtana. — Powinniście posłuchać, jaką odpowiedź przesyła mój władca panu papieżowi. Pan legat — wskazał na swego sąsiada — nasz przyjaciel Wawrzyniec z Orty, przekaże wam najlepiej treść pisma. W czasie podróży statkiem obaj nauczyliśmy się go na pamięć, ale deklamacja legata dalece przewyższa moją!

Wawrzyniec zdążył jeszcze wsunąć do ust panierowany kwiat dyni, nadziany pasztem z wątróbek dzikich kaczek przetykanym kawałeczkami ich chrupiącej, smakowicie przypieczonej skórki, i podniósł się.

— Cytuję w oryginalnym greckim brzmieniu odpowiedź władcy wiernych. — Cmoknął i zaczął śpiewnym głosem muezina: — „Do dostojnego, wielkiego, szlachetnego charakteru, łaskawego, świętego papieża, trzynastego apostoła, rzecznika całego chrześcijaństwa, który panuje nad czcicielami Krzyża, sędziego chrześcijańskich narodów, najwyższego kapłana synów chrztu, niech Bóg doda mu sił i obdarzy zdrowiem!...” — Sięgnął po lśniącego oliwą gołąbka z baraniną i ryżem, przełknął kęs i ciągnął: — „Od wszechmocnego sułtana, władcy nad władcami, który ma moc nad mieczem i piórem, który posiada obie górujące nad innymi siły: naukę i prawo; od pana obu oceanów, północy i południa, króla Egiptu, Syrii i Mezopotamii, Medii, Idumei i Ofiru, sułtana Al-Saliha Nadzma ad-Dina Ajjuba, syna sułtana Al-Kamila, syna sułtana Al-Adila Abu Bakra Sajfa ad-Dina Ajjuba, syna pierwszego Najma ad-Dina Ajjuba, którego panowanie Bóg umiłował. W imię Miłosiernego!”

Wawrzyniec zrobił pauzę, pociągnął łyk wina, nasycił oczy widokiem twarzy słuchaczy udręczonych długą preambułą i kontynuował zadowolony:

— „Przedłożono nam pismo rzezonego papieża, dostojnego, wielkiego, szlachetnego charakteru, świętego, trzynastego apostoła, rzecznika całego chrześcijaństwa, który panuje nad czcicielami Krzyża, sędziego chrześcijańskich narodów, najwyższego kapłana synów chrztu, niech Bóg błogosławi w myśleniu i działaniu temu posłańcowi pokoju i jego obrońcy, niech Bóg mu dopomoże w tym, co przynosi korzyść wyznawcom, którzy dzielają jego wiarę i obyczaj, jak również innym...”

— Tutaj macie przykład tolerancji sułtana — przerwał mu Crean, zwracając się do biskupa. — To samo przystoi „jedynemu niosącemu zbawienie Kościołowi”.

Jednakże przełożony Creana ofuknął go szorstko:

— Tolerancja jest papką dla letnich, którzy nie mogą się zdecydować, czy chcą gryźć czy ssać, być gorącymi czy zimnymi, wiernymi bądź niewiernymi!

Wawrzyniec wstrzymał dalszą dyskusję, albowiem po mistrzowsku imitując śpiew gregoriański, zaczął deklamować dalej:

— „Przeczytaliśmy dokładnie wspomniane pismo i zrozumieliśmy punkty, które zawiera, jego treść spodobała się nam, a nasze uszy ucieszył zawarty w nim wykład. Po-

sła zaś, którego Ojciec Święty do nas skierował, przyjęliśmy z miłością, czcią, szacunkiem i poważaniem, przywołaliśmy go przed nasze oblicze i pochyliliśmy przed nim głowę...” Co naturalnie należy rozumieć tylko symbolicznie — pozwolił sobie wtrącić z uśmiechem Wawrzyniec. — Dostojny sułtan siedział na tronie, a ja leżałem przed nim plackiem! — Zmienił znowu tonację na podniosłą: — „Użyczyliśmy nadto ucha jego słowom i daliśmy wiarę temu, co mówił nam o Chrystusie, któremu niech będzie chwała. O tym Chrystusie wiemy zresztą więcej, niż Wy o nim wiecie, i poważamy go bardziej, niż Wy go poważacie. Co się tyczy pokoju, którego wedle Waszych słów z utęsknieniem oczekujecie i widzicie konieczność, by wezwać narody do pojednania, my życzymy sobie tego samego i nie zamierzamy się temu sprzeciwić, ponieważ temu pragnieniu hołdowaliśmy zawsze...”

Wawrzyniec zauważył, że wniesiono pierwsze główne danie: gołębie w cieście francuskim posypane cynamonem i nadziewane rodzynkami. Pociągnął chciwie nosem i przyspieszył potok swoich słów, z powodu istotnej teraz relacji z poselstwa mocno akcentując poszczególne wyrazy:

— „Ale papież, któremu Bóg dodaje siłę, wie, że między nami i cesarzem już od dawna, od czasów sułtana Al-Kamila, naszego ojca, któremu Bóg użyczył chwały, zawiązana została zgoda i przyjaźń, trwająca, jak Wam wiadomo, do dziś. Z tego też powodu nie możemy zawrzeć z chrześcijanami żadnego układu, nie spytawszy go przedtem o zdanie i przyzwolenie. Napisaliśmy zatem do naszego posła na dworze cesarza i wyłożyliśmy mu punkt po punkcie sprawy, które nam posłaniec papieski przekazał. Nasz poseł...”

— To ty nim jesteś, Konstancjuszu — wyrwał się Hamo niedyskretnie; przez cały czas siedział milcząc i złościł się w skrytości ducha, że nie może wziąć udziału w skomplikowanej dyspacie rycerzy.

— To zaufany człowiek sułtana, szlachetny emir Fassr ad-Din Oktaj, syn dostojnego wezyra Fachra ad-Dina, przyjaciela zachodniego cesarza Fryderyka, który jego syna na znak swej sympatii i uznania pasował na rycerza i nadal mu wprawdzie imię, które właśnie wyszło z twoich ust, ale tutaj nasz gość występuje wyłącznie jako poseł sułtana! — zganił biskup młodego przyjaciela. — Jak często trzeba ci to powtarzać?

Upokorzony Hamo opuścił głowę i poczuł, że nienawidzi swego kuzyna.

— „Nasz poseł” — ciągnął Wawrzyniec mając nadzieję, że pieczone gołębie nie wystygną — „złoży nam sprawozdanie, a kiedy je poznamy, postąpimy stosownie i nie uchylimy się od tego, co jest korzystne i wszystkim takie się wydaje, aby zasłużyć się przed Bogiem. To Wam oświadczamy i niechaj łaskawy Bóg zechce pomnożyć Wasze dobra. Napisano siódmego dnia miesiąca *muharram*.”\*

— Jest jeszcze *post scriptum* — dodał emir — w którym stoi: „Chwała niech będzie Bogu jedynemu, a Jego łaska niechaj spływa na proroka Mahometa i jego ród! On jest

---

\* Siódmy dzień miesiąca muharram — 23 lipca.

częścią nas!”

Wawrzyniec darował sobie *post scriptum*, rzucając się na pieczone gołębie.

Po gołębiach podano czarnomorskie flądry garniowane małymi polipami, których ciemny sok, zmieszany z pokrojonymi oliwkami, wybornie pasował do ryb. Jednakże pan domu, choć niechętnie, musiał ulec żądaniom gości i wstrzymać podawanie dalszych potraw ze swojej kuchni.

— Chcę dotrzeć do cesarza żywy! — Emir chwalił smak i obfitość dotychczasowych dań. — W przeciwnym razie kto mu zaręczy, że sułtan napisał to, a nie coś innego?

— Jarcynt może wam sporządzić kopię listu, na wszelki wypadek będziecie to mieli czarno na białym — zaproponował biskup.

— Znakomita myśl! — emir czknął. — Wybaczcie, ekscelencjo, ale mój żołądek się buntuje. Wawrzyniec zaraz wręczy wam pismo.

— Zostawmy już dogadzanie podniebieniom — poparł go kanclerz. — Obowiązuje nas przecież wstrzemięźliwość w jedzeniu i zakaz używania trunków — dodał rzucając surowe spojrzenie na Creana, swego podwładnego. — Ale pan legat nie musi cierpieć z tego powodu. — Tarik uśmiechnął się, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko. — Jego pan papież, rozgniewany odpowiedzią sułtana, może go przecież skazać na chleb i wodę!

Posel sułtana poprosił, żeby mu pozwolono odejść, i szybko wstał od stołu. Zanim jednak zdążył dotrzeć do ustronnego miejsca, natknął się na Jarcynta.

— Czyżby coś nie smakowało? — szepnął ten z wyrzutem.

— *Meden agan!*\* — odparł emir i zamknął się w ustępie.

Biskup kazał uprzątnąć stół i zamierzał właśnie udać się z obydwoma asasynami do prywatnej kaplicy, gdy prawie zderzył się z kucharzem, który z podniesioną głową wtargnął do sali, długim nosem w oburzeniu godząc w Mikołaja.

— Czyżby duszone flądry nie smakowały? Czy mątwy we własnym sosie nie były dostatecznie delikatne? Zabijcie mnie, panie, lecz nie przerywajcie w sposób tak okrutny wymyślnej kolejności dań, która miała ucieszyć podniebienia waszych gości! Nie odsyłajcie tak obojętnie moich potraw! — Kucharz rzucił się na kolana i nadstawił biskupowi obnażony kark.

— Musiałem to zrobić — usprawiedliwiał się Mikołaj — w trosce o to, żeby pan legat spróbował chociaż twoich wyszukanych deserów. Każ wnieść smakołyki, które Hamo tak lubi. A teraz mam dla ciebie inne zadanie — wręczył mu list sułtana do papieża. — Postaraj się równie biegle, jak przygotowujesz swoje przysmaki, sporządzić dwa odpisy, z których żaden nie może się różnić od oryginału, i to naturalnie bez naruszenia pieczęci! Wiem, że jesteś w tym mistrzem, który nie ma sobie równego w świecie.

---

\* *Meden agan* (gr.) — zachowaj miarę.

— Z tą pociechą odprawił Jarcynta.

Biskup zaprowadził asasynów do kaplicy. Crean rozglądał się zdumiony jej przepychem, podczas gdy Tarik obrzucił ją jednym krótkim spojrzeniem.

— Ojciec Święty nie pozwala swoim sługom popaść w biedę — zauważył oschle.

— A może to wymuszona spuścizna po patriarsze?

— Depozyt, szlachetni panowie! Przecież to niepotrzebne wiernemu synowi Kościoła, który dąży wyłącznie do osiągnięcia Królestwa Niebieskiego.

— A cesarz Baldwin? A Watatzes? Czy napełniają biskupią szkatułę jedynie w trosce o zbawienie swoich dusz?

— Baldwin płaci, żebym zabiegał w kurii rzymskiej o utrzymanie dla niego tronu, a Grek za to, żebym tego zaniechał. Watatzes płaci lepiej!

— A za co płaci wam Ajjub?

— Za moją skromną służbę, która jest dla niego coś warta...

— My, asasyni — oznajmił Tarik — nie płacimy za nic. My pozwalamy wam żyć!

— Cóż za łaskawość — odparł biskup niby lekko, miało się jednak wrażenie, że złośliwy uśmiech zakrzepł na jego wargach.

— Crean — kanclerz zmienił temat przechodząc do sprawy — sprowadzi tutaj Williama z Roebruku. Ja zatroszczę się o to, żeby Pian razem ze swym towarzyszem wracali przez Konstantynopol. Reszta się ułoży. Definitywnie!

— A dzieci? — spytał Crean.

— Fassr ad-Din po drodze do Fryderyka zostawi w Otranto polecenie, żeby przekazano dzieci garnizonowi w Lucerze. Stamtąd każę je zabrać.

— Emir odmówi — powiedział biskup — i może sobie na to pozwolić.

Tarik, straciwszy na moment panowanie, popatrzył nań roziskrzonymi oczyma.

— Wobec tego wypełni to zadanie Wawrzyniec. On nie może się sprzeciwić!

— Legat będzie rad z możliwości zatrzymania się w Otranto, bo z taką odpowiedzią sułtana najchętniej wcale nie pokazałby się papieżowi na oczy. — Crean wczuł się w sytuację Wawrzyńca z Orty. — Dla niego byłoby najlepiej, gdyby emir sam przekazał pismo Jego Świątobliwości...

— Tego można by się po nim spodziewać — wtrącił biskup. — Ot, po prostu by się zamienili!

Spojrzenie Tarika kazało mu zamilknąć.

— A Hamo? — spytał po chwili trochę speszony.

— Wie za dużo o Wielkim Planie, więcej zaszkodził, niż dopomógł w jego urzędowaniu. — Tarik zastanawiał się dobrą chwilę. — Dłuższy pobyt wychowawczy w Alamucie dobrze by mu zrobił!

— Czy nie może zostać przy mnie? Ręczę za...

— W Konstantynopolu nie zostanie nikt wtajemniczony w tę sprawę!

— Nie dotyczy to, mam nadzieję, tu obecnych! — zakpił Mikołaj, ale z niepewnością w głosie. — *Speude bradeos\** Chciałbym coś z tego uszczknąć — dorzucił i wskazał na nagromadzone skarby.

— Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne — zaczął z namaszczaniem Crean — niż bogatemu...

— Ach — przerwał mu biskup — to nie problem wielbłąda, rzecz sprowadza się do wielkości ucha, które zawsze można powiększyć...

— Nikt żywy! — Tarik zapobiegł dalszym nieporozumieniom. — Wy także, eksce-lencjo, zostaniecie przeniesieni. Czeką na was Ziemia Święta! — Biskup zaniemówił ze zdumienia, kanclerz zaś zwrócił się teraz do Creana: — Popłyniesz razem z posłem i legatem żaglowcem *Serenissimy*. Oni zejną na ląd w Brindisi, a ty w Wenecji. Dalsze polecenia znajdziesz u naszego niezawodnego przyjaciela — wskazał Mikołaja z La Porty — gdy wrócisz tutaj z mnichem.

— A jeśli hrabina odmówi? — spytał Crean, lecz Tarik nie zaszczyciwszy go odpowiedzią, opuścił bez słowa kaplicę. Jego podwładny i biskup ruszyli w ślad za nim.

W sali jadalnej kanclerz wyciągnął trzy rzemienie nierównej długości i o różnej liczbie węzłów. Wyglądały jak źle zawiązane tanie baty bez biczyska. Wręczył je zaskocz-nemu Wawrzyńcowi prosząc usilnie, aby po drodze do Rzymu przekazał je komendan-towi garnizonu w Lucerze. Legat odruchowo wetknął rzemienie do kieszeni.

— Cesarz oczekuje was w swej rezydencji w Foggii — rzekł kanclerz życzliwie do młodego emira. — Odpłyniecie jutro rano!

## W PRZEDDZIEŃ WESELA

*Puntraschigna, jesień 1246*

*Z Kroniki Williama z Roerbruku*

Leżałem na sianie oddając się marzeniom; kozy żuły i pierdziały we śnie. Na dworze było jeszcze ciemno, dopiero blado zapowiadał się dzień.

Nagle z wieży rozległy się dźwięki rogów. Pożar czy wróg?, przemknęło mi przez głowę; wkrótce potem w uliczce prowadzącej do naszego domu rozległy się głosy. Wydawało mi się, że słyszę okrzyki: „Cesarz! Cesarz!”, potem jednak zabrzmiał głos Firuza, jak zawsze podniecony i groźny:

— Gdzie William? Gdzie on jest?

Na górze, sądząc po odgłosach, do okna doskoczył Ksawery.

— Kiedy zrozumiesz, baranie, skoro znów się ośmielasz!... — ryknął nie tylko roz-

---

\* *Speude bradeos* (gr.) — Spiesz się powoli (nie działaj pochopnie).

wścieczony z powodu przerwane go snu, lecz w ogóle zły na niefortunnego zalotnika.

— Cesarz jedzie do nas! — bronił się Firuz. — Zarot — tłumaczył Ksaweremu — kazał Williama ukrywać, jak długo Jego Cesarska Mość będzie w granicach wsi!

— William to nie wynajęty skrytobójca! — oburzył się Ksawery, biorąc mnie w obronę, lecz to nie pomogło, Firuz bowiem wiedział swoje.

— Twojego Williama nie powinien nikt widzieć.

Wobec powyższego wyszedłem przed dom i wyciągnąłem ręce, żeby mi je związano, ale wyraźnie nie zamierzano tego uczynić. Zastanawiano się, dokąd mnie zaprowadzić.

— Do kościoła.

— Dostojny gość może zechce się tam pomodlić.

Firuz, który unikał mojego wzroku, zaproponował obłudnie nową wędzarnię. Bogu dzięki nadszedł właśnie Zarot i podał mi rękę z gestem proszącym o wybaczenie.

— Pójdę do lasu... — zaproponowałem.

— ...i wpadniesz prosto na nich! — sprzeciwił się naczelnik. — Twój nowy dom — zwrócił się do Firuza — jest przecież prawie gotowy i stoi pusty. — Paru chłopaków wyszczerzyło zęby w szyderczym uśmiechu. — Tam zamkniemy Williama na parę godzin i ty będziesz odpowiadał za jego bezpieczeństwo.

Postąpili z nim rzeczywiście brzydko. Ku memu zdumieniu Firuz nie oburzył się, lecz przełknął wstyd w milczeniu. Pomachałem zatem ręką narzeczonej stojącej za zakratowanym oknem i podążyłem z Firuzem do kamiennego domu, który mój rywal wznosił dumnie na skale powyżej mostu.

Ponieważ dom nie miał jeszcze drzwi, postawiono przed nim wartownika, a ja wewnątrz budynku mogłem się swobodnie poruszać. Z okna haremowego pokoju miałem widok na wąwóz i na dojścia z obydwu stron do zadaszzonego drewnianego mostu.

Pilnujący mnie kuzyn podesty, który służył w Niemczech i wyznawał się na sprawach Rzeszy, a dopiero niedawno powrócił do Saracenów, objaśniał mnie chętnie, co się przed moimi oczyma rozgrywa.

Pierwsi nadjechali od strony przełęczy i przeskoczyli przez wieś lekkozbrojni jeźdźcy; nie mieli proporców i byli chyba zwiadowcami. Popędzili aż do mostu, tam się zatrzymali, zwołali wszystkich mężczyzn i podzielili ich na dwie grupy. Jedna, miejscowi strażnicy porządku, rzemieślnicy i chłopci, wśród nich także mój Ksawery, miała zabezpieczyć przejazd przez wieś i skraj wąwozu z tej strony mostu. Drugą grupę, myśliwych pod wodzą Firuza, wysłano na przeciwną stronę, aby przeczesać las i nadzorować drogę wiodącą ku jeziorom w dolnej części doliny.

Potem zjawiała się straż przednia cesarza, rycerze z giermkami i żołnierzami. Utworzyli następny kordon, który ustawił się w dwu półkřęgach na prawo i na lewo od wejścia na most; tego kordonu żaden Saracen nie mógł już przekroczyć. Zostawiono tylko wolny wjazd do wsi.



Wkrótce zabrzmiały sygnały rogów po drugiej stronie lasu i niebawem zobaczyłem między drzewami połyskujące zbroje i hełmy. Widziałem również proporce, ale nie potrafiłem rozpoznać herbów. Rycerze zatrzymali się na skraju lasu i uformowali podobnie jak cesarscy dla zabezpieczenia flanków. Wracający z przeszukiwania lasu Saraceni zatrzymali się z respektem w stosownej odległości.

Wtedy zabrzmiały fanfary powyżej wsi. Podbiegłem do drzwi i ujrzałem orszak cesarza odziany w przepyszne stroje. Na dromaderze, którego wielu tutaj nigdy nie widziało, siedział Murzyn w turbanie i walił w kocioł. W gąszczu chorągwi i proporców zagubił się nasz komitet powitalny: Zarot i inni starcy kroczący z bojowym sztandarem strażników mostu zostali zepchnięci na bok przez biegnących truchtem Saracenów z przybocznej gwardii Hohenstaufa.

Fryderyk siedział na karym koniu prowadzonym przez czterech hrabiów. Nie miał korony, był z gołą głową. Widziałem wyraźnie rudawe włosy. Ponieważ z przeciwnej strony jego rozmówca, landgraf Turynгии, jeszcze nie przybył, doradzono cesarzowi, aby się zatrzymał, i Zarot doczekał się wreszcie chwili, w której mógł wygłosić powitanie.

Stanąwszy znów za kratami haremu, mogłem wszystko w dole dokładnie obserwować.

Z naprzeciwną szybkim klusem zbliżał się teraz do mostu oddział jeźdźców otaczający Henryka Raspego, landgrafa, który pod naciskiem papieża pozwolił się obwołać w Niemczech antykrólem, ale nie czuł się dobrze w tej roli, toteż przystał chętnie na propozycję Fryderyka, aby się potajemnie spotkać, chociaż otoczenie ostrzegało go przed podstępem lub zdradą ze strony Hohenstaufa. Raspe był odważnym wojownikiem i właściwie oddanym cesarzowi człowiekiem, mimo to wyraźnie ciągle jeszcze się wahał, czy powinien jedynie z niewielkim orszakiem, jak ustalono, stawić się na rozmowę na zadaszonym moście.

Miałem więc sporo czasu, aby popatrzeć sobie na cesarza i jego najbliższe towarzystwo. I kogóż to odkryłem ku swemu wielkiemu zaskoczeniu?... Znajomego komandora templariuszy, szlachetnego pana Gawina Montbarda z Béthune, a obok niego młodego pana Wilhelma z Gisors. Ich białe płaszcze z czerwonymi krzyżami nie rzucały się bardzo w oczy, ponieważ w otoczeniu Fryderyka było wielu rycerzy zakonu krzyżackiego, którzy przecież także nosili białe płaszcze i tylko krzyże mieli większe i czarne. Widziałem też, że pan Gawin ma posłuch u cesarza, który pochylił się ku niemu i zaśmiali się obaj. Żartowali?... Może z wahania landgrafa?... Ale akurat w tej chwili Raspe odłączył się od swego orszaku, odpassał miecz i w gronie niewielu zaufanych ludzi ruszył w kierunku mostu.

Fryderyk kazał mu trochę poczekać, nim zsiadł z konia i wyznaczył szlachetnych panów, którzy mieli mu towarzyszyć; Gawin był wśród nich. Pozostali utworzyli ścisły pierścień, najeżony na zewnątrz i wewnątrz bronią, gotowi rzucić się na każdego, kto

ważylby się podnieść rękę na cesarza. Po drugiej stronie panowała taka sama nerwość. Milczące napięcie wokół łączącego mostu i dzielącego wąwozu zelżało, gdy obaj rozmówcy: zdetronizowany cesarz i występujący przeciw jego synowi Konradowi antykról, skryli się pod dachem mostu.

Zaledwie główne postaci widowiska zniknęły, Saraceni, zarówno dorośli, jak i dzieci, rozwiązali szpaler na ulicach i żywo omawiając wydarzenie, powrócili do swych obór i warsztatów.

Ksawery wspiał się na górę do mego więzienia.

— Cesarz oficjalnie wyjechał z Italii rzekomo na ślub swego syna Konrada z Elżbietą Bawarską — trysnął zasłyszczanymi wiadomościami. — Ale tak naprawdę jeszcze dzisiaj tam wraca — dodał tonem spiskowca — z czego można wnosić, że chce tylko, aby Raspe się wytłumaczył.

— I Henryk zaraz zrzeknie się korony niemieckiej — zakpiłem niedowierzająco — skoro właśnie otrzymał ją z rąk arcybiskupa Moguncji?... — popisałem się świeżo zdobytą wiedzą, którą wyciągnąłem od mego wartownika.

— Landgraf bardzo się wstydzi — zwierzył mi Ksawery — że swemu dobrotliwemu panu wyrządził taką przykrość...

— Patrzcie, patrzcie!... A przecież w końcu lipca zwołał do Frankfurtu Reichstag i cesarskiego syna haniebnie stamtąd przepędził — udawałem, że lepiej się orientuję w bieżących sprawach Rzeszy; w końcu przez kraj Saracenów przeciągało wielu podróżnych chętnych do dzielenia się posiadanymi wiadomościami.

Ksawery był bardzo nieszczęśliwy, że dają tak mało wiary jego życzliwemu dla cesarza fantazjowaniu.

— Raspe chce być tylko księciem Turyngii i odzyskać przychylność i łaskawość cesarza — podtrzymywał uparcie swoje na marzeniach budowane wróżby co do wyniku trwającego już ponad godzinę spotkania.

— Może być i tak — pocieszyłem go — ale Kościół potrafi temu przeszkodzić.

Odszedł nagle, ponieważ dźwięk fanfar oraz uderzenia w kotły oznajmiły, że cesarz wrócił. Sposób, w jaki Fryderyk dosiadł konia, dowodził, że chyba miałem rację przedstawiając rzeczywistość w ciemnych barwach. Po drugiej stronie wymykał się ku swoim rycerzom przygarbiony landgraf. I wszyscy tak samo jak przybyli, pogalopowali z powrotem.

Saraceni wybiegli jeszcze raz na ulice, pomachali odjeżdżającym i wkrótce było po wszystkim. Lśniący orszak Hohenstaufa zniknął niebawem na prowadzących w górę serpentynach. W lesie po drugiej stronie mostu niby błędne ogniki powiewały jeszcze przez chwilę proporce, po czym i tam zaległa zwykła cisza pustkowia.

Mój strażnik powiedział, że mogę już iść, gdzie mi się podoba.

Natknąłem się na Zarota, który w kręgu starszych przesłuchiwał dwu chłopców.

Okazało się, że na czas spotkania ukryli się pośród belkowań mostu tuż pod drewnianą podłogą.

— Gdyby gwardia przyboczna was złapała — beształ ktoś wyrostków i wymierzył jednemu policzek — wsadzono by was do skórzanego wora razem z psem, kogutem i wężem!

— Cesarz kazałby wam obciąć po jednej ręce i nodze i wykluć po jednym oku! — roztaczał przerażającą wizję ktoś inny. — Tak postępuje się ze szpiegami i zdrajcami!

Wystraszeni chłopcy nie chcieli zrazu nic mówić, lecz Zarot pogłaskał spoliczkowanego i dziecięca duma zwyciężyła.

— Cesarz powiedział, że nie da mu korony, która należy się Konradowi... — zaczął.

— A Raspe powiedział — wpadł mu w słowo kompan — że ta korona została zbezczeszczona i on jej nie potrzebuje. Aby być królem, wystarczy mu zgoda Niemców...

— A Fryderyk jej nie ma, bo jest wyklęty, dlatego nie jest już cesarzem ani królem!

Mieliśmy więc jasność: nie doszło do pojednania. Rzym zwyciężył.

— Lombardia jest Hohenstaufowi wierna, Bawarczyzy też dzięki małżeństwu Konrada z Elżbietą — stwierdził Zarot. — Tutaj pokój może być więc utrzymany, a my dalej będziemy strzegli przełęczy i mostu dla Rzeszy.

Wszyscy pokiwali głowami zadowoleni. Naraz do przodu wysunął się Ksawery.

— Co za dzień! — zawołał z udaną wesołością. — Aiwa zaprasza wszystkich wieczorem na ciastka.

To było to! Jakże lubiłem te ciastka! Kandyzowane kasztany i duszone jabłka pieczone w torebkach z buczynowego ciasta, które potem nadziewano jeszcze świeżo ubitą pianą, jagodami i siekanymi orzechami. Jeśli takie ciastko pękło komuś przy jedzeniu, połowa zawartości spływała po brodzie, odzieży i rękach. Ten smakołyk wolno było zlizywać, także z siebie nawzajem, co stanowiło ulubioną zabawę młodych i nierzadko początek zalotów. Poczęstunek taki był tradycyjną ceremonią, za której pośrednictwem matka narzeczonej powiadamiała całą wieś, że jej córka następnego wieczoru wychodzi za mąż. Ksawery zapowiedział więc nieodwołalnie na jutro moje zaślubiny z Rijesz. Wszyscy radośnie przyjęli zaproszenie, bez wątpienia omówione już przez Radę Starców, kiedy ja siedziałem „w areszcie” w domu Firuza.

Oddaliłem się od gromady niepostrzeżenie jak odurzony; nie wiedziałem, dokąd się udać. Najchętniej wpełzłbym do nie zamieszkaney warowni mego wojowniczego rywala. Budowla ta nie sprawiała wrażenia, żeby jej właściciel, który ją wznosił własnymi rękoma, miał zamiar kiedykolwiek w niej zamieszkać. Był to opuszczony niczym skorupa ślimaka dom rozbitej miłości.

Skierowałem się ku kościołowi, umyślnie omijając „mój dom”, gdzie Aiwa w asyście córki piekła już chyba ciastka. Wydarzenia dnia: wizyta dostojnego gościa i ogłoszenie

zaręczyn, stanowiły dla kobiet niecodzienny temat do rozmów. Cieszyły się, że mogą opłotkować oblubieńców i nie myśleć o jutrze, tylko szykować siebie i dzieci na jedzenie ciastek. Kiedyż ostatnio była okazja, by włożyć odświętny strój, czepek, wstążki, puszyc się i nawzajem przyćmiewać?

Widziałem te przygotowania, wdrapując się stromymi uliczkami pod górę. Z pewnością mnie potajemnie obgadywano, ale nie mogłem konkurować z Murzynem walącym w kocioł na garbatym zwierzęciu. Po bez mała rocznym pobycie we wsi byłem już uważany prawie za swego. Co dzień rano i wieczorem każdy mógł mnie oglądać podczas modlitwy i mszy, każdy mógł wysłuchać mojego śpiewu i kazania. Kobiety przejmowały się moimi naukami, przebiegał je nawet pod ciężarem grzechów miły dreszcz, potrafiły wejrzeć w swoją duszę, lecz tylko dopóki nie wyszły z kościoła. W drodze do domu rozwiewały się ich mocne postanowienia poprawy i pragnienie zbawienia, do głosu zaś dochodziły powszednie batalie o zioła i proszki przeciwko podagrze i bólowi zębów, tłuczone smardze i mielony róg kozioroźca na przedłużenie „sił miłosnych” i „szybsze dziedziczenie”.

Liczyłem zatem, że będę z Panem sam w jego przybytku. Mieliśmy przecież ze sobą co nieco do uzgodnienia wobec nadzwyczajnego zagrożenia mego celibatu. Tymczasem zaraz po przekroczeniu progu natknąłem się na parę, której bym się nigdy tutaj nie spodziewał. W pierwszej ławce, przytuleni do siebie i ze śmiertelnie poważnymi minami, klęczeli Firuz i Madulajn.

Otrząsnąwszy się z mocnego, przyznaję, zakłopotania, zacząłem jak zawsze odprawić nabożeństwo. Firuz nie umykał wzrokiem i po raz pierwszy nie widziałem w jego oczach nienawiści, lecz tylko smutek. Do spojrzenia Madulajn byłem przyzwyczajony, przechodziło przeze mnie niby przez powietrze.

— Williamie — zwrócił się do mnie Firuz, gdy zakończyłem modły — jesteś kapłanem...

Nie całkiem, pomyślałem, ale odrzekłem:

— Tak.

— Wobec tego połącz nas węzłem małżeńskim. Chcemy z Madulajn jeszcze dziś opuścić wieś i dolinę. — Milczałem zaskoczony. — Mój dom daruję tobie i Rijesz... — Przemknęło mi przez głowę, że nigdy nie bylibyśmy w nim szczęśliwi. — My udajemy się na obczyznę, najmę się tam jako żołnierz albo myśliwy. Madulajn jest gotowa dzielić ze mną życie, więc prosimy, żebyś nam udzielił błogosławieństwa.

Klęczeli przede mną oboje tak dumnie i tak szalenie zdecydowani, że drżały mi ręce, kiedy nakładałem stułę i brałem krucyfiks, aby im podać do pocałowania. Na ołtarzu leżały dwie obrączki. Gdy im je wręczałem, paliły mi palce jak rozżarzone węgle. Nałożyli sobie nawzajem obrączki z tak czułym zaufaniem, że zabolęło mnie serce.

Związałem stułą ich połączone ręce i długo modliłem się po cichu. Wtargnąłem

w życie tych wiejskich dzieci, wypędziłem je z raj, a oni mi wybaczyli! Odpuścili mi moje samolubstwo, ostatecznie wdzięczni za to, że się odnaleźli.

Ech, podły Williamie, ty kramarska duszo! Słusznie czujesz się teraz upokorzony w obliczu tak wielkiej miłości! Czyż nie odrzuca ona jak cuchnącego płaszcz twojego stręczycielstwa, twojego małostkowego wyrachowania? Ty zostajesz tutaj, pozwalają ci ożenić się z najmłodszą i jedyną córką majątnego gospodarza, a zatem przy twoim wstręcie do pracy wygodnie połączysz urząd kapłana z jarzmem małżeństwa, stłumisz w sobie świadomość zdrady *Ecclesiae catholicae*, zdrady samego siebie...

— Amen — powiedziałem głośno i otrząsnąłem się z wątpliwości. — Niech Bóg was strzeże i ochrania waszą miłość! Nowożeńcy wstali.

— Gdy jutro wieczorem — zwrócił się do mnie Firuz — przeniesiesz przez próg swoją żonę, pomyśl o nas... — temu silnemu mężczyźnie głos załamał się ze wzruszenia. Milcząc ścisnąłem mu rękę. Madulajn dokończyła za niego:

— Bo wtedy, Williamie, będziemy się modlić pod gołym niebem na obcej ziemi, po raz pierwszy wolni i... szczęśliwi!

— Nie zapomnij o nas! — powiedział Firuz i zauważyłem łzy w jego oczach, kiedy wyszedłszy z kościoła spoglądaliśmy na pogrążającą się w wieczornym zmierzchu dolinę. Moja księżniczka jednak oznajmiła twardo:

— Zapomnij o nas! — Wzięła Firuz pod rękę i pociągnęła za sobą.

Zostałem sam.

Powlokłem się jak we śnie przez cmentarz, gdzie bezimienne krzyże, oznaczone tylko „O.F.M.,” wskazywały groby moich braci. Czy wśród nich zostaną kiedyś złożony na wieczny spoczynek, opłakiwany przez dzieci i wnuki i nieutuloną w smutku wdowę?... Rijesz z pewnością mnie przeżyje.

Zapach ciastek dochodził aż tutaj. Pospieszyłem do domu i zastałem tam tłum kłębiący się wokół gospodarzy. Aiwa powitała mnie pełnym wyrzutu spojrzeniem i przykrą wiadomością, że ciastka się skończyły. Patrzyłem na umorusane twarze szczęśliwych dzieci, dorośli oblizywali sobie ręce, a paru chłopaków moją narzeczoną. Taki był chyba zwyczaj! Uśmiechnąłem się do Rijesz, uśmiechnąłem się także usłyszawszy kilka żartobliwych słów rzuconych pod moim adresem i udałem się do mej przegrody przy kozach.

W głowie mi szumiało. Upadłem na kolana i wcisnąłem się w pachnące siano.

— Panie, daj Twemu słudze poznać, że mu błogosławisz!

Cieężko oddychając, czekałem na znak. Któraś koza zaczęła mnie skubać, przeciągnęła po mojej twarzy szorstkim językiem. I w tym momencie świadomość utraty Madulajn uderzyła we mnie jak grom. Czuję się, jakbym pożarł wszystkie ciastka świata i zlizął resztki soku, lecz zamiast przesytu miałem w sobie ogromną pustkę.

— Williamie! — Ksawery poklepał mnie zaniepokojony po ramieniu. — Już czas, że-

byśmy poszli do Zarota. — Był jak zawsze beztroski, nie miał współczucia dla mego nie-szczęścia, bo i niby dlaczego miałby je mieć? Oddawał mi za żonę swoje oczko w głowie! Na dworze panowała czcza wesołość, a teraz my, mężczyźni, mieliśmy się jeszcze upić. — No, Williamie, głowa do góry, dopiero jutro pójdziemy na całego! — Ciesząc się z góry, uderzył się dłońmi po udach, a w przejściu klepnął swoją małżonkę po tyłku. — Jutro zagramy do weselnego tańca!

Oszołomiony podreptałem za nim do domu podesty, gdzie jak zwykle mężczyźni zdążyli się już upić winem ze słonecznej Lombardii.

Moje pierwsze spojrzenie pobiegło ku kolumnie, o którą zawsze opierał się Firuz i wpatrywał we mnie płonącymi oczyma. Jego miejsce było puste. Brakowało mi Firuza. Nikt nie mówił ani o nim, ani o mojej księżniczce, pięknej Madulajn. Z pewnością jeszcze przed zapadnięciem ciemności wyruszyli w drogę na południe.

Zapijaczne głosy wyrwały mnie z tych rozważań: gratulowano narzeczonemu, chwalono narzeczoną, spełniano toasty. Przepijałem do każdego, postanowiwszy, że się upiję. Ksawery oblewał swoją rolę teścia tak wybitnego jak ja człowieka, który umie czytać i pisać, włada ich językiem, opanował mowę Francuzów i Rzymian, potrafi śpiewać i modlić się po łacinie, ale kazania wygłasza po arabsku! Co za wspaniały zięć! Piłem, co mi wręczano, odpowiadałem na każdy toast opróżniając kubek, a ponieważ nic nie jadłem, wino wkrótce zaczęło działać.

Tylko Ksawery był jeszcze gruntowniej zapity niż ja. Już dwa razy wytaczaliśmy się z sali, w należytej odległości od ścian domu rzygaliśmy na ulicę, opróżnialiśmy pęcherze i przysięgaliśmy teraz już tylko wychylić strzemiennego i spróbować znaleźć drogę do domu. Gdy po raz trzeci, podpierając się wzajemnie i prawie obsikując, znaleźliśmy się na dworze, kierowany resztkami rozsądku pociągnąłem Ksawerego uliczką w górę.

Na czworakach dotarliśmy wreszcie pod dom. Tutaj Ksawery nagle wytrzeźwiał i zmusił mnie, abym wszedł na drabinę i ściągnął jeszcze jedną „malutką amforę” wyjątkowo dobrego wina. Nie wiem już, jak ją znalazłem według jego mętnych wskazówek, pamiętam tylko, że spadłem z drabiny na siano, nie rozbiłem jednak cennego naczynia.

Dotoczyliśmy się do kuchni i wczołgali na piec. Ksawery nalegał, żebym dzisiejszej nocy spał koło niego. Skrupulatnie usunął z amfory pieczęć z wosku i żywicy, odlał oliwę, powąchał trunek i zasnął kamiennym snem. Ledwie zdążyłem wyjąć mu z ręki naczynie.

Siedziałem na piecu, gdy drzwi otworzyły się cicho i weszła Aiwa w samej koszuli. Bez słowa wspięła się na nasze legowisko i ułożyła obok mnie, pociągnawszy najpierw mocny łyk wina.

— Upiekłam ci parę ciastek, Williamie — zamruczała zadowolona jak kotka. — Tak je przecież lubisz, a przyszedłeś za późno...

— Gdzie są? — zapytałem łakomie. Aiwa złapała jeszcze raz amforę, przy czym zsunęło jej się ramiączko koszuli, odsłaniając tuż przed moim nosem kształtnie uformowaną białą pierś.

— Pod nami, w piecu — szepnęła. Strumyczek wina spłynął jej po szyi na falujący biust. — Żeby były ciepłe — dodała. Przełknęła ostatni łyk, westchnęła z lubością i podciągnęła koszulę po sam pępek.

Gapilem się na oferowaną mi wspaniałość, Ksawery spał mocno, ciastka kusily w piecu.

— Czy mogę, Alwo? — spytałem drżący i zamknąłem oczy. Warkocze się jej rozplotły i włosy opływały rozjaśnioną przedsmakiem radości twarz.

Była przystojną kobietą. Pochyliłem się nad nią, z dreszczem pożądania przelotnie musnąłem jej ciało, przekroczyłem ją i zacząłem niezdarnie dobierać się do drzwiczek pieca. Hałas obudził Ksawerego; Aiwa wściekłym ruchem obciągnęła koszulę do kolan. Wepchnąłem do ust ciastko. Było tak ciepłe, jak sobie wyobrażałem, krem wchłonał sok z jagód i połączył się w śliską masę z pieczonym ciastem, kasztany były kruche, orzechy chrupiące. Jeszcze nie połknąłem pierwszego ciastka, a już łakomie sięgnąłem po następne.

Wtedy nade mną na piecu ukazał się goły zadek Alwy i nim się spostrzegłem, pierdnęła mi prosto w usmarowaną ciastkami twarz. Potem moja przyszła teściowa odwracając wzrok przebiegła obok mnie, w ostatniej chwili hamując się, by z wściekłością nie trzasnąć drzwiami. Potrząsnąłem głową, wpakowałem resztę smakołyków do podwiniętego kaftana i zszedłem na dół do mojej bezpiecznej przegrody przy kozach. Kiedy pożarłem wszystkie ciastka, natychmiast zasnąłem.

## CHOROBA MORSKA FRANCISZKANINA

*Morze Jońskie, jesień 1246*

Szybki żaglowiec był jednym z okazałych licznych już okrętów wojennych, jakie Sere-nissima wprowadzała na wody między opanowanym przez nią Adriatykiem a greckimi wyspami, by pokazywać swą banderę coraz częściej pojawiającym się Genuńczykom. Rywalka Wenecji, liguryjska republika morska, postawiła na rychły rozpad Cesarstwa Łacińskiego rządzonego przez słabego Baldwina, popierała otwarcie Watatzesa, który naciskał od strony Trapezuntu, i nie żałowała kosztów jako zadatku na rzecz genueńskiej potęgi w mającym odrodzić się niebawem Cesarstwie Bizantyńskim.

Mimo to Wenecja wciąż była panią Dardaneli i związanego z tym intratnego monopolu. Dla dowódcy żaglowca było więc oczywistym zaszczytem przyjęcie na pokład

w ostatniej chwili przed odpłynięciem z Konstantynopola papieskiego legata, dominikanina Andrzeja z Longjumeau. Jego przybycie nie wzbudziło entuzjazmu pasażerów statku, nie było jednakże powodu, aby się temu przeciwstawić.

Statkiem płynął kupiec podający się za Armeńczyka. Z całą pewnością nie był chrześcijaninem, nawet armeńskim. Legatowi wszakże nie starczyło wyobraźni, by w kupcu dojrzeć muzułmańskiego emira zdążającego do cesarza na polecenie sułtana. A w to, że Hohenstauf owego emira osobiście pasował na rycerza i nadał mu godność i tytuł księcia Selinuntu, nigdy by nie uwierzył, nawet gdyby mu ktoś przysięgał na wszystkie świętości. Natomiast obawiałby się nocami o swoje życie, gdyby mu wyjawiono tożsamość nieco starszego współpasażera, który, wnioskując z rysów twarzy, pochodził wprawdzie z Zachodu, ale sądząc z ubioru i gestów był człowiekiem Orientu. On także podawał się za armeńskiego kupca, w rzeczywistości jednak był uciekinierem z kacerskiej Langwedocji, który przeszedł na islam i na dodatek przystał do morderczej sekty asasynów.

Na szczęście przynajmniej trzeci podróżny był „kolegą” legata, minorytą o tym samym co on statusie, przebywającym do niedawna w misji papieskiej na dworze sułtana, a teraz w drodze do Lyonu, gdzie oczekiwał go Ojciec Święty.

Upłynęło trochę czasu, nim Andrzej z Longjumeau przemógł mężnie dawniejszą pychę i kręcenie nosem na niezbyt często myjących się franciszkanów i zdołał zbliżyć się do swego brata w Chrystusie. Jeszcze gdy prowadził pertraktacje z dowódcą żaglowca, trójka pasażerów w milczeniu, dyskretnymi znakami umówiła się pod ustawionym na rufie namiotem, skąd był dobry widok na cały pokład, a spotkanie podróżnych mogło uchodzić za całkowicie naturalne.

— Jak mam się pozbyć tego dominikanina? — pożalił się rozgniewany Wawrzyniec z Orty. — Pod jakim pretekstem zejść z pokładu w Apulii i nie jechać z tym „psem Pańskim” dalej do papieża?

— Zważaj cię najpierw na to, żeby was nie ugryzł! — roześmiał się młody emir. — I pamiętajcie, że odtąd nas nie znacie. Najlepiej też zapomnijcie o wszystkim, coście usłyszeli w Konstantynopolu na temat Williama z Roebruku.

— I cały czas miejcie na uwadze to — napomniął go Crean — że wprawdzie pan papież w dalekim Lyonie powierzył wam delikatną misję, ale w kurii rzymskiej, a przede wszystkim wśród członków zakonu Dominika jest dostatecznie dużo takich, którzy wam, braciom z Asyżu, nie ufają ani trochę. A nim pojawi się na horyzoncie latarnia morska Otranto, z pewnością wpadnie nam do głowy coś, co dalszą wspólną podróż panów legatów uczyni niemożliwą! — Tu Crean nieznacznie się uśmiechnął i mrugnął porozumiewawczo do Fassra ad-Dina.

Niemile samopoczucie Wawrzyńca raczej się wzmocniło.

— A teraz — zażądał młody emir — wyjdźcie naprzeciw swego brata w Chrystusie i nie zapomnijcie nas powitać, gdy siądziemy do stołu kapitana...



— I nie sprzeciwiajcie się wschodnim kupcom, którzy zjeździli kawał świata, nawet gdyby nasze historie przypominały opowieści Szeherazady.

Wawrzyniec wyszedł z cienia namiotu. Statek opuścił właśnie Złoty Róg. Minoryta popatrzył ku wzgórzom, w których zieleni znajdował się pałac biskupa. Jeszcze raz spojrział na krzyże lśniące na kopułach Hagia Sophia i już Bizancjum zniknęło mu z oczu.

— Właściwie moglibyśmy legatowi podrzucić kukułcze jajo, naszego Williama, żeby się wylęgło w najwyższych kręgach kurii rzymskiej — zwrócił się Crean w doskonałym humorze do Fassra ad-Dina. — Być może i pan papież na to czeka...

— I Wielki Plan stałby się niechybnie dogmatem *Ecclesiae catholicae*?- zakpił emir. I dorzucił, grożąc Creanowi palcem: — Ledwieście się uwolnili od surowego kanclerza, już stajecie się swawolni. Ale tym razem pozwólcie mi wyłączyć się z gry. Ze względu na cesarza nie chcę być wplątany w ten spisek, bo jeszcze wpadłbym komuś w oczy.

— Nie poznaję Czerwonego Sokoła — drażył nadal Crean. — Odkąd to przemieniście się w gołębia?

— Odkąd jestem w drodze jako posłaniec z jasnym poleceniem, aby lecieć szybko i cicho, nie zwracając na siebie uwagi głośnym gruchaniem!

— Wybaczcie, Konstancjuszu — Crean przyznał się do swej porażki — zapomniałem, że czasy się zmieniły...

— Czas się tylko postarzał, to interesy się zmieniły. Ale — starał się dodać otuchy swemu przywódcy z minionych dni — chętnie posłużę wam radą, jeśli coś rozumnego przyjdzie mi do głowy.

Crean również zostawił sobie czas do namysłu.

Byli jeszcze na Morzu Egejskim, kiedy wyraźnie wzburzony Wawrzyniec ukradkowymi gestami przywołał przyjaciół do namiotu na rufie.

— Zauważyłem, że pan legat krzątał się przy moich rzeczach. Chyba widziałem w jego rękach list sułtana do papieża. Kiedy potem wszystko przejrzałem, niczego nie brakowało, czegoś jednak musiał szukać...

— Macie ten list przy sobie?

Wawrzyniec wygrzebał go z habitu. Konstancjusz wziął pismo i zręcznym ruchem odłączył pieczęć od pergaminu, nie naruszając jej.

— O Boże! — jęknął Wawrzyniec przestraszony. — I co teraz będzie?

— Coś strasznego — szydził emir, podczas gdy jego sokole oko przebiegało treść dokumentu. — Znajduję tu dziwnie ostre słowa mego dostojnego sułtana przeciw cesarzowi, którego obwinia o niewdzięczność i niewierność, zupełnie jakby Hohenstauf był muzułmańskim odszczepieńcem, który nie tylko ustawicznie zdradza Chrystusa i jego Kościół, ale teraz także prawdziwą wiarę Proroka...

— Nieźle — zdumiał się Crean.

— Perfidnie! — wykrztusił Wawrzyniec.

— Posłuchajcie tylko — ciągnął emir. — „Dlatego pragniemy ze szlachetnym i pobożnym królem Francji, którego uważamy za jedynego prawdziwego i szczerego chrześcijańskiego władcę, zawrzeć pokój i zapewnić mu w układzie wszystkie miejsca, które są dla niego święte; w tym zamierzamy również Jeruzalem wyrwać sobie spod serca, a także Betlejem i Nazaret, do tego wszystkie miasta i twierdze dla tychże obro-ny i wszystkie położone nad morzem, które potrzebne są dla swobodnego handlu, aż po Gazę...”

— I okazuje się, że kruczata czcigodnego Ludwika właściwie staje się zbyteczna! — zakpił Crean.

— Tak to należy rozumieć — skomentował czytający pismo Konstancjusz. — Subtelny słowy insynuuje mój pan, że chrześcijaństwo zrobiłoby lepiej pozbywając się nędznego Hohenstaufa, „hańby dla każdego wierzącego władcy, przy którym pokój nigdy nie zagości na ziemi”! Brakuje właściwie jeszcze tylko zapewnienia sułtana, że niebawem zacznie wyznawać wiarę chrześcijańską!

— A zatem Ludwik powinien swoją wyprawę krzyżową jeśli już nie odwołać, to skierować w inną stronę i wylądować na Sycylii — podsumował Crean.

— Takie oto pismo — powiedział emir — ma doręczyć papieżowi nasz drogi Wawrzyniec, który skądinąd wcale nie jest tu chwalony, lecz przedstawiony jako zawzięty stronnik cesarza: „Nie rozumiemy, dlaczego Wy, którego cenimy jako przyjaciela, wybraliście do tej misji kogoś, kto nie zasługuje na Wasze zaufanie, komu złe języki doradziły widzieć w nas wroga, gdy tymczasem prawdziwy wróg...” *et cetera, et cetera*. — Emir podgrzał ostrożnie pieczęć nad świecą i zapieczętował ponownie pismo.

— Ani myślę jechać z tym do Lyonu! — oburzył się Wawrzyniec. — Na szczęście wy, szlachetny panie — zwrócił się do emira — macie sporządzoną w Konstantynopolu kopię oryginalnego dokumentu. Dajcie mi ją, proszę, i przedstawcie cesarzowi całe wydanie, a treść sułtańskiego pisma odtwórzcie z pamięci, co przecież potraficie!

— Dam ją wam bardzo chętnie, już choćby dlatego, aby wam zaoszczędzić niedoli w papieskim więzieniu, jeśli nie czegoś gorszego. Ale ja chciałbym i cesarzowi, i sułtanowi pokazać, jak dalece ośmiela się posunąć kuria rzymska. Poza tym świerzbią mnie palce, żeby panu legatowi zostawić jakiś dowód wdzięczności. Na wszelki wypadek dajcie mi ten falsyfikat w zamian za mój oryginał, to znaczy za doskonałą kopię wykonaną przez biskupiego kucharza.

Dokonali wymiany. Nie wtajemniczając Wawrzyńca dalej, ba, nakazawszy mu surowo, by na przyszłość trzymał się od nich z daleka, Crean i emir jęli się zastanawiać, jak by tu subtelnie zakpić z podstępного dominikanina.

Byli już na Morzu Jońskim, gdy dowódca statku zdecydował się wreszcie zaprosić

pasażerów do swego stołu. Dotychczas wolał spożywać posiłki sam pod zacienionym namiotowym dachem, a zarówno obu duchownym, jak i armeńskim kupcom kazał podawać jedzenie oddzielnie pod palącymi promieniami słońca. Teraz też nie wykazywał ochoty do rozmowy, tak że Crean, który udał najpierw, że cicho się modli, i uczynił nawet znak krzyża niczym prawdziwy armeński chrześcijanin, mógł swobodnie zwrócić się do Andrzeja z Longjumeau.

— Człowieka z waszą znajomością Orientu — odezwał się grzecznie — Ojciec Święty z pewnością wkrótce obarczy ważniejszymi misjami, takimi jakie otrzymuje na przykład wasz konfrater — wskazał brodą na Wawrzyńca, który pochylił się głęboko nad miską, aby nie parsknąć śmiechem — czy dwaj minoryci, Jan z Pian del Carpine i William z Roebruku, którzy powinni byli już dotrzeć na dwór wielkiego chana. My w Armenii jesteśmy nadzwyczaj zainteresowani, żeby dobre stosunki z Mongołami...

W tym miejscu dominikanin, który z wysoko uniesionymi brwiami przysłuchiwał się jego wywodom, przerwał mu gwałtownie:

— Skąd wiecie o tajnej misji Williama z Roebruku? — spytał nieufnie. — Ja dowiedziałem się o niej w wielkiej tajemnicy.

— Ach! — wtrącił się Fassr ad-Dinmy, Armeńczycy, musimy szybciej zdobywać wiadomości niż wy na Zachodzie...

— I szybciej reagować — dorzucił Crean. — To dla nas sprawa życia i śmierci, bo my będziemy pierwsi, jeśli Mongołowie...

— Mogę was uspokoić — oświadczył legat zarozumiale. — Oni wyobrażają sobie, że nas, Zachód, „resztę świata”, jak to określają — roześmiał się ironicznie z powodu tak wielkiej głupoty — także pewnego dnia podbiją. W tym celu zamierzają najpierw wychować parę władców, którą... — mrugnął poufale, jak czynią wielcy panowie, gdy chcą wydać się łaskawi, a jednocześnie ważni — ...którą przewidujący Rzym zręcznie im podsunął, aby dostatecznie zyskać na czasie. I na tym właśnie polega to „ważne” zadanie Williama z Roebruku! Dowiedziałem się o tym — dodał jakby mimochodem — od wielkiego mistrza asasynów, Taj ad-Dina.

Wyczuwało się, że jest dumny z tej wiadomości. Crean był niewątpliwie zaskoczony. Na chwilę odebrało mu mowę, co legat wykorzystał, by skierować doń kilka protekcyjnych słów:

— Nie powinniście się niepokoić. Armenia jest jak kot, zawsze spada na cztery łapy! — On jeden zarechotał ze swego dowcipu i mówił dalej: — Po śmierci królowej matki, Alicji, dostała się wam korona Cypru, co przecież oznacza także tron Królestwa Jerozolimskiego!

Jego radosny śmiech ucichł, gdy ani Crean, ani emir nie wykazali się dostatecznie szybko znajomością rzeczy.

— Królowa Stefania jest przecież Armenką! — uzupełnił z wyrzutem swój wywód.

Nim w legacie zdołała się zrodzić podejrzliwość, Fassr ad-Din przyszedł Creanowi z pomocą.

— Naturalnie — zawołał, udając roztargnienie — siostra Hetuma, naszego króla!

— Armeńczykom nie można ufać! — wmieszał się do rozmowy ponury dowódca statku. — Naturalnie wyłączając tu obecnych — dodał, by złagodzić swoje grubiaństwo.

Crean i emir wykorzystali okazję, by podnieść się od stołu z równie uprzejmym usprawiedliwieniem, że nie chcą nadużywać znanej gościnności Wenecjan. Upewnili się, że nikt ich nie obserwuje. Crean stanął na straży, Konstancjusz tymczasem otworzył wytrychem kufer dominikanina i zaczął szukać oryginalnego listu sułtana. Znalazł pismo z łatwością, było wsunięte pod jedwabne obicie wieka, szukał jednak dalej, póki nie natknął się na przedmiot niezbędny do dalszych czynności.

Schował w zanadrzu oryginał listu, a wyjął kopię sporządzoną w Konstantynopolu, którą wypożyczył od Wawrzyńca. Zapalił świecę i nad jej płomieniem podgrzewał lak pieczęci, aż stał się miękki. Wówczas odcisnął w nim pieczęć Andrzeja z Longjumeau i poczekał spokojnie, póki lak nie stwardniał. Niezbyt uważnemu obserwatorowi, a tak oceniał dominikanina, zmiana nie rzucała się w oczy.

Spreparowaną kopię ukrył emir w tym samym miejscu, gdzie znalazł oryginał sułtańskiego listu, zatarł wszelkie ślady, zgasił świecę i wyszedł. Obaj z Creanem cieszyli się ze swego figla jak dwaj psotni scholarzy.

Tymczasem pod namiotem kapitana Wawrzyniec z Orty próbował podtrzymywać rozmowę.

— Opowiedzcie o tych dzieciach — zachęcał obłudnie dominikanina, lecz ten raptem nabrał wody w usta.

— Wasz brat z Roebruku jest we wszystko wtajemniczony, od niego powinniście żądać wyjaśnień, nie ode mnie! — oświadczył gburowato. W jego słowach wyczuwało się jednak zazdrość.

— William jest niczym pstrąg w górskim potoku, nigdy nie daje się złapać — poskarżył się ze śmiechem Wawrzyniec.

— Tak — burknął Andrzej z Longjumeau — ale każdy franciszkanin kiedyś wpadnie w sieci inkwizycji. Wykluczając naturalnie obecne tutaj znakomitości.

Po tym stwierdzeniu obaj panowie legaci nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia i przez resztę podróży spożywali posiłki oddzielnie.

Statek żeglował teraz ku Adriatykowi; wkrótce na zachodzie powinien się ukazać południowy kraniec Apulii.

— Popatrzcie na naszego przyjaciela Wawrzyńca. Musi teraz w samotności się posiłkować — zwrócił się Crean do swego „armeńskiego” współtowarzysza podróży — a do tego

jedzenie staje się coraz nędzniejsze!

— Zawsze tak jest, gdy Wenecjanom płaci się za podróż z góry. — Fassr ad-Din nie dał sobie popsuć dobrego humoru. — Powinniśmy jednak szybko odnowić zapas słodkiej wody, bo z dnia na dzień staje się bardziej słona. — Powiedział to wystarczająco głośno, aby usłyszał go przechodzący obok z wyniosłą miną kapitan.

— Nieuniknionym następstwem tego będzie tyfus i czerwotka — przyłożył ze swej strony Crean.

— Przybijemy do brzegu w Bari — powiadomił ich kapitan, nadal zadzierając nosa. — Do tego czasu muszą czcigodni panowie pohamować swoje wyszukane żądania.

— Jakże to miło — odpowiedział mu emir uprzejmie. — W Bari tak czy tak opuszczam statek...

— Zapłaciliście przecież za podróż do Wenecji...

— Nie chciałbym dłużej być dla was ciężarem — skończył rozmowę Fassr ad-Din, nie reagując na grubiańskie zachowanie dowódcy.

Crean przysiadł się do Wawrzyńca i wciągnął go w rozmowę w związku z pojawieniem się przylądka Otranto. Franciszkanin pozwolił odciągnąć swą uwagę od jedzenia i zapatrzył się w zamglony horyzont. Crean szybko wrzucił mu coś szybko do cuchnącej rybnej zupy, czego nikt nie zauważył, nawet emir, do którego zwrócił się teraz Wawrzyniec:

— Czy znaleźliście jakiś sposób, żeby się uwolnić od tego obrzydliwego dominikana?

Ledwie to powiedział, chwyciły go kurcze; zbladł jak ściana, zaczął wywracać oczyma, zimny pot wystąpił mu na czoło. Po chwili dławiąc się wstał i zatoczył w stronę relingu.

— Po zawietrznej, z łaski swojej! — rzucił chrapliwie przechodzący obok dowódca, który troszczył się wyłącznie o to, żeby Wawrzyniec nie zanieczyścił mu pokładu.

Podtrzymywany przez Fassra ad-Dina legat zwymiotował prosto do morza.

— Nie wygląda to na chorobę morską — warknął Wenecjanin, patrząc podejrzliwie na zupełnie gładkie morze.

— Raczej na tyfus — mruknął Crean. — Wprawdzie jest zaraźliwy, ale nie martwcie się, mój przyjaciel jest lekarzem, studiował w Salerno, on zna...

— Nic mnie to nie obchodzi! — Kapitan był wyraźnie zdenerwowany. — Nawet gdyby był doktorem Abu Lafią! Ci dwaj muszą natychmiast opuścić pokład!

— To nieludzkie! — zaklinał go Crean. — Nie możecie przecież śmiertelnie chorego...

— Mogę. W interesie załogi mogę go natychmiast wysadzić razem z tym medykiem, na pewno już zarażonym. I zrobię to!

Tymczasem po nawietrznej pojawiła się akurat łódź rybacka. Kapitan kazał ją zatrzy-

mać, podpłynął do niej żaglowcem i polecił przesadzić obydwu pasażerów.

Emir pojawiwszy, kto jest sprawcą „choroby” franciszkanina, nie wyraził sprzeciwu. Przyniesiono skrzynie z bagażem. Wkrótce łódź była w drodze ku wybrzeżu, a Wenecjanin zniknął z cesarskich wód.

Podczas krótkiego pobytu w Bari, gdzie Serenissima utrzymywała kolonię, Crean oczekiwał, że Andrzej z Longjumeau opuści pokład, jak zapowiadał, legat jednak postanowił kontynuować podróż statkiem.

— Muszę wyznać — powiedział do Creana — że nie miałem zaufania do waszego współtowarzysza. Tyle się słyszy o przebranych emisariuszach asasynów, których nic nie odstrasza i nawet w samym sercu Zachodu wypełniają za pomocą trucizny i sztyletu haniebne mordercze zlecenia. Wyglądał bardzo podejrzanie, właściwie raczej na Syryjczyka: haczykowany nos, przenikliwe oczy drapieżnego ptaka... Nie wierzyłem, że jest chrześcijaninem, nawet armeńskim! — Crean uśmiechnął się. — Wy, czcigodny panie — ciągnął podniecony legat — jesteście dobrym człowiekiem, pobożnym i bez fałszu, ktoś z moim doświadczeniem wyczuwa to od razu. W służbie Ojca Świętego nigdy dość ostrożności, Hohenstauf jest zdolny do każdego diabelstwa. Właśnie opowiadano mi w porcie, że cesarz wynajął mordercę, który miał zabić papieża w Lyonie. Haniebny zamach nie powiódł się, czego poddani Fryderyka wyraźnie żałują. Dlatego właśnie nie zostałem w Bari. Zapaliłem w katedrze trzy świece świętemu Mikołajowi i prosiłem go o wybaczenie i pomyślny powrót do domu. Płynę z wami do Wenecji!

— Powinniście byli, wielbny ojcze, wsiąść od razu na genueński statek, to bylibyście już u celu — przerwał Crean potok jego wymowy.

— Ach, Genua... — westchnął legat. — Jakże często jej porzecz ustawia się z wiatrem, jakże często skłania się ku Rzeszy. W wypadku Serenissimy wiadomo, z kim się ma do czynienia. Ani nie trzyma z papieżem, ani nie troszczy się o cesarza. Dla niej liczy się wyłącznie jeden interes: własny! Kupię sobie list żelazny i drogą lądową udam się do Lyonu. A wy jakie macie plany?

— Mnie interesy zatrzymają na razie w lagunie — odrzekł Crean. Z niecierpliwością oczekiwał końca długiej podróży, której najuczciwsza część leżała jeszcze przed nim.

## STRAŻNIK SERC

*Puntraschigna, jesień 1246*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Cor-Vatsch, czyli „Strażnik serc”, stał jak wartownik ponad jeziorami wysoko położonej doliny i jej stromego zejścia do cesarskiej Chiavenny. U Saracenów uchodził za

górze strzegącą małżeńskiego szczęścia i wierności. Zaręczeni wchodzili na jego zbocze w dniu ślubu, aby po raz ostatni sprawdzić swoje serca. Był surowym i nieprzychylnym kompanem; jego pokryty wiecznym lodem szczyt nawet latem spowijały przeważnie chmury, omiały często gwałtowne śnieżne burze. Teraz, jesienią, piarżyste stoki najwcześniej pokryły się zimową bielą.

Na tę właśnie górę pognała Rijesz swoje stado, na próżno usiłując mnie, zmorzonego snem, nakłonić, żebym szedł z nią. Ruszyłem na zbocze dopiero w południe i znalazłem ją, idąc po śladach kóz, na skale położonej na rozległym polu śniegowym, ciągnącym się daleko w głąb doliny aż do wijącej się w kierunku Val Bregaglia drogi dla jucznych zwierząt, która po dojściu do jezior, gdzie czuwali Saraceni, wznosiła się odnogą ku staremu alpejskiemu przejściu rzymskich legionów — Przełęczy Julijskiej.

Wstydzilem się trochę pokazać Rijesz o tak późnej porze. Słońce stało jak płonąca tarcza na kobaltowobłękitnym niebie; pot wywołany wspinaczką i pijacką nocą tryskał mi ze wszystkich porów. I byłem już znowu głodny. Z wymuszonym uśmiechem Rijesz wręczyła mi czarkę świeżej źródlanej wody, która wypływała lodowato zimna spod śnieżnej pokrywy.

— Nie pij tak szybko, Williamie — napomniała mnie troskliwie narzeczona — bo cię trafi apopleksja. Ułamała kawałek chleba i ukroiła plaster sera. Odwiązała narty i rozłożyliśmy się na suchej skale, wystającej jak wyspa ze śnieżnego morza, które niczym ogromny dywan zakryło wszystkie zapadliny i garby terenu. Tylko kozy wynajdywały wciąż jeszcze aromatyczne zioła i kosodrzewinę. Ostre światło oślepiało mnie, lecz prawdę mówiąc zamknąłem oczy przede wszystkim po to, aby uniknąć pytającego, jak mi się wydawało, spojrzenia narzeczonej.

Żalodne kwilenie ptaka wybawiło nas z milczenia. Rijesz zerwała się, pobiegła za skałę i wróciła z jaskółką. Ptakowi lekko krwawiła noga, ale skrzydła nie były uszkodzone. Nakarmiliśmy go zwilżanymi śliną okruszynami chleba, aż zaczął na nowo bić skrzydłami.

— Rzuć go w powietrze — poradziłem, Rijesz jednak popatrzyła na mnie z tak bolesnym wyrazem twarzy, że zamilkłem.

— Jeśli go rzucę — powiedziała cicho — zmuszę go do latania. Jeśli sam zechce porunąć, niepotrzebna mu będzie zachęta. — Pogłaskała ptaka po łebku i pocałowała. — Jeśli chcesz zostać, ptaszku, przez tę zimę lub na zawsze, to będę się o ciebie troszczyć i uwiję ci ciepłe gniazdko.

Powoli rozwarła drżące dłonie. Jaskółka zrobiła pierwszy niepewny krok, rozpostarła skrzydła i runęła w dół; spadając, wzbiła się tuż nad powierzchnią śniegu i śmignęła w dal.

Patrzyłem za nią długo, póki nie zniknęła, lecąc ku słońcu. Do rzeczywistości przywołał mnie szloch: Rijesz gorzko płakała; pogłaskałem ją po głowie, ponieważ żadne

słowa nie chciały mi przejść przez usta. Odepchnęła gniewnie moją rękę, skoczyła do źródła i prysnęła sobie zimną wodą w twarz. Jej oczy błyszczały teraz pełne dziwnej determinacji.

— Williamie — rzekła stanowczo — wiesz, że Rada Starców nie pozwoliła dać ci nart i nauczyć cię jeździć na nich... — Nie czekała na moją odpowiedź, nie miałem zresztą żadnej, lecz uklękła przede mną i zaczęła mi przywiązywać narty. Robiła to z taką troskliwością i uwagą, aż mnie w dołku ścisnęła. — Dziś wieczór będziesz mi poślubiony — ciągnęła, nie podnosząc się. — Korzystam z prawa, aby memu mężowi...

Dalej nie mogła mówić, głos jej się załamał, dokończyła jednak przywiązywać mi narty.

Objąłem ją i podniosłem.

— Rijesz — powiedziałem — ja nie chcę cię opuszczać. Kocham cię!

— Williamie — stała teraz przede mną i patrzyliśmy sobie w oczy — wiesz, że cię kocham, i wiesz, że mnie opuścisz. Pocałuj mnie w usta! — Zarzuciła mi ręce na szyję i przyciągnęła moją głowę. Całowaliśmy się jak dwoje tonących, chyba wiedząc, że przerwanie pocałunków oznacza koniec, nieodwołalne pożegnanie. I wtedy Rijesz nie wypuszczając z ust mego języka zaczęła go gryźć, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, aż wreszcie nie mogłem wytrzymać bólu i uwolniłem się od niej.

— Teraz ruszaj! — rozkazała. — Pokaż, czego cię nauczyła Madulajn.

Wyciągnąłem do niej ręce, nie tylko dlatego, że nagle poczułem się na nartach bardzo niepewnie, jakbym stał na nich po raz pierwszy, po prostu chciałem przy niej zostać, ja...

— Nie przynieś wstydu swojej nauczycielce! — przykazała, jakby chodziło tylko o zjazd po stoku, nie zaś o nasze życie, naszą miłość...

— Nie! — krzyknąłem w rozpacz i nagle zacząłem zjeżdżać, chciałem się przewrócić, ale umiejętność posługiwania się nartami była silniejsza, niosły mnie prosto w dół, oddalając od mojej narzeczonej, która stała na skale i patrzyła za mną, nieruchoma, zdrętwiała, skamieniała.

— Rijesz! — krzychałem. — Kocham cię!...

Echo odbijało od zboczy mój głos, postać w górze malała, aż stała się ciemnym punktem na śniegu. Przede mną pojawiały się wąwozy i spadziste zbocza, rzucałem się w nie krzyżąc, atakowałem je wściekle jak ktoś, komu zaraz pisana jest śmierć. Łzy przesłaniały mi oczy, świszczący wiatr zatykał oddech w piersiach, pędziłem naprzeciw nieznanemu, naprzeciw przygodzie, która się znów przede mną otwierała niby nowe przepaści i nietknięte stoki. Śnieg kłębił się, a ja płakałem i krzychałem: Wolność!



## IX ŚLAD MNICHA

### GORĄCA KĄPIEL

*Otranto, jesień 1246*

Triera jak drapieżna murena, gdy wypatrzy w wodzie zdobycz, wyslizgnęła się z portu Otranto, by zaatakować rybacką łódź. Jednakże nim kolec tarana wwiercił się w burzę łodzi, kapitan zatrzymał trierę, gdyż rozpoznał Czerwonego Sokoła, którego przed dwoma laty odwoził do Akki, dokąd emir udawał się wraz z komturem Zygisbertem. Teraz więc przywitał go uprzejmie i zabrał na statek.

— Zostaliśmy postawieni w stan gotowości — tłumaczył wzburzony — bo opłaceni przez papieża zdrajcy próbowali zabić cesarza! Na szczęście zamach udaremniiono.

Tymczasem rybacy podnieśli w sieci chorego mnicha i umieścili na pokładzie triery. Wawrzyńcem wstrząsały drgawki, na co kapitan nie zwracał szczególnej uwagi.

— Teraz wędrowni wichrzyciele starają się wzniecić w kraju powstanie. Każdy, kto im pomoże w drodze, udzieli schronienia lub dostarczy stawy, podlega takiej samej karze jak oni. Mieszkańców Altavilli już wycięto w pień! Dorosłych i dzieci!

W porcie na nabrzeżu czekała Laurencja ze swą wychowanicą; pospieszyły tam, gdy tylko zobaczyły, że triera wraca razem z rybacką łodzią. Klarion, teraz dwudziestoletnia, z jeszcze bardziej widocznym w rysach dziedzictwem arabskiej krwi, wyraźnie promieniała radością z ponownego spotkania z emirem.

Fassr ad-Din, alias Konstancjusz z Selinuntu, młodzieńczy wuj Klarion, zeskoczył lekko z pokładu, podczas gdy biednego Wawrzyńca marynarze ułożyli ostrożnie na brzegu. Papieski legat był trupioblady i czuł się śmiertelnie chory.

— Cóż za olśniewająca piękność! — powitał emir Klarion. — Jesteś, pani, teraz jeszcze bardziej podobna do matki. Ale czy masz po cesarzu!

— I to wystarczy! — wmieszała się Laurencja. — Fryderyka trudno nazwać przystojnym mężczyzną.

— Jego umysł i jego krew — nadęła się Klarion — z tego jestem dumna.

— Odziedziczyłaś z pewnością także jego miłość do ludzi i dobroć, więc zatroszcz się o naszego Wawrzyńca. To przyjaciel Williama, jest w drodze do Lucery. Ja niestety nie mogę czekać na jego wyzdrowienie, bo muszę natychmiast jechać do cesarza, do Foggii.

Gdyby wasza triera, pani — zwrócił się do hrabiny — mogła mnie...

— Ależ oczywiście. — Laurencja przygryzła wargi; z niczym nie rozstawiała się ciężej niż ze swym najeżonym bronią okrętem. — Obawiam się jednak, że cesarza tam nie zastaniecie: Fryderyk przemierza kraj i mści się na zdrajcach...

— Na pewno go znajdę — odparł emir, nim hrabina zdążyła wymyślić jakiś powód, żeby mu odmówić użyczenia statku.

— Wysadźcie księcia Selinuntu w Andrii, to najbliższej cesarskiej rezydencji, i natychmiast wracajcie! — upomniała gniewnie kapitana.

Gdy Wawrzyńca niesiono do zamku, triera, zręcznie manewrując wiosłami, odbiła od brzegu. Tylko Klarion stała jeszcze na nabrzeżu i patrzyła za oddalającym się statkiem.

— Mężczyźni! — parsknęła wściekła. — Jeden gładki komplement i znowu w drogę, do swego rycerskiego świata! A ja? Kobiety mogą czekać!

— Kazałam go wsadzić do cebra — przywitała hrabina wychowankę. — Po długiej podróży statkiem śmierdzi bardziej niż normalny minorityta. — Laurencja podeszła do okna, jakby z niecierpliwością oczekiwała świeżej bryzy, która z przybyciem zimy rozprasza upał wiszący jak dzwon nad Apulią. — Coś tam plótł o Hamonie...

— On jest chory, Laurencjo! — napomniała Klarion przybraną matkę, będącą wyraźnie w złym humorze. — Pójdę go doglądać.

— Widzę, że nie możesz się już tego doczekać! — rzekła z nutą szyderstwa hrabina, której farbowane henną włosy jaskrawo kontrastowały ze skromnym strojem.

W walce ze starością, pomyślała Klarion, nic jej nie powstrzyma. W końcu mnie również obrzydzi ten dom, tak jak swemu synowi!

— No i co z tego? — spytała podrażniona i odwróciła się do wyjścia.

— To wprawdzie mnich, na dodatek cuchnący, ale ty jesteś...

— Wiem: najbardziej bezwstydnym stworzeniem, jakie nosi święta ziemia, przynajmniej między Otranto i Foggią. Powinam była popłynąć z Konstancjuszem! Jest co prawda moim wujem, ale to mi wcale nie przeszkadza. Oddałabym mu się na twojej tryerze na oczach całej załogi.

Powiedziawszy to błyskawicznie opuściła pokój — hrabina przy podobnych uwagach miała szybką rękę.

Wawrzyniec tkwił w parującym kąpielowym cebrze i wprawdzie nie bez jęków, ale też z wyraźną przyjemnością pozwalał dwu dziewczkom szorować sobie plecy. Jego stan poprawiał się stopniowo; kurcze żołądka znacznie ustąpiły, a lekkie bóle brzucha zniknęły pod dobroczynnym działaniem ciepłej wody w kadzi. Ponad jej krawędzią wpatrywały się w niego zaciekawione oczy dwojga dzieci. Chłopiec i dziewczynka szybko po-

zbyli się onieśmielenia, sięgnęli rękoma do wody, aby opryskać najpierw siebie, a potem gościa. Wawrzyniec z przerzedzonym wianuszkim włosów na głowie nie wyglądał na szacowną figurę.

— Przyjechałeś z Konstancjuszem, prawda? — próbował wypytać go Rosz.  
— Z Czerwonym Sokołem — dodał, wydało mu się bowiem, że Wawrzyniec nie zrozumiał, o kogo chodzi. — To jego *nom de guerre* — wyjaśnił. — Tak nazywa się u siebie...

Jeza wmieszała się do rozmowy, ponieważ nie mogła ścierpieć, że Rosz zachowuje się zawsze tak, jakby tylko on wszystko wiedział:

— ...kiedy w swoim namiocie na pustyni poluje na gołębie.

— Ech, znowu wszystko pomieszała! — powiedział Rosz do Wawrzyńca protekcyjnym tonem. — Kiedy nad pałacem sułtana przelatują gołębie z listami, sokoły je łapią, żeby sułtan mógł przeczytać, co inni piszą. A na pustyni nie ma żadnych gołębi!

— Są — upierała się Jeza. — Przecież muszą ją przefrunąć, tak samo jak szerokie morze, jeśli chcą się dostać gdziekolwiek!

— Możesz sobie długo czekać, aż jakiś gołąb będzie tu przelatywał.

— Dlatego właśnie Konstancjusz ma namiot, w którym może spać! — Jeza nie pozwoliła się zapędzić w kozi róg.

— Ona pewnie myśli o mewach — Rosz zwrócił się jeszcze raz do Wawrzyńca, który z uśmiechem przysłuchiwał się sporowi.

— To był Czerwony Sokół — odpowiedział wreszcie na pytanie. — Kazał was pozdrowić, podobnie jak Crean z Bourivanu...

— Co? — wyrwało się Klarion, która właśnie pojawiła się w drzwiach łaźni. — Łajdak!  
— Z błyszczącymi gniewem oczyma podeszła do kadzi, w której Wawrzyniec starał się ukryć swoją nagość. — Płynął z wami i nie zajrzał tutaj? To do niego podobne: przemknąć potajemnie obok Otranto! Dlaczego...

— Nie wylewajcie na mnie, pani, swego gniewu! — zaklinał ją mnich z uśmiechem, udając skruszonego. — Znalazłem się tu przypadkiem, bo Wenecjanin postanowił wrzucić mnie do morza. Crean został na statku.

— Powinniście byli zepchnąć go do wody z kamieniem młyńskim u szyi! Wiarołomny!

— Ona się w nim kocha — wyjaśniła Jeza Wawrzyńcowi, który sprawiał wrażenie onieśmielonego; te słowa kosztowałyby ją klapsa, gdyby się z ręcznicą nie uchyliła.

— Jesteś przyjacielem Williama? — drążyły dalej dzieci i znowu opryskały Wawrzyńca, kiedy nie dość szybko odpowiedział, a zaraz potem Klarion, ponieważ usiłowała odsunąć utrapieńców od cebra.

— Sądzę, że William jest u Mongołów. — Wawrzyniec był pełen wyrozumiałości.  
— Wciąż się mijamy. Ostatnim razem spotkałem zamiast niego pewną damę, pewną...

- zawahał się, także z powodu dzieci. — Pewną służebnicę *amoris vulgi*...\*
- Aha! — pisnęła rozradowana Jeza. — Ingolindę, tę ladacnicę!
- Czy to dzięki wam się tu zjawiała? — spojrzenie Klarion po raz pierwszy prześliznęło się po łędźwiach mnicha. — Lepiej nie przyznawajcie się hrabinie, bo zrzuci was do morza z najwyższego muru!
- To było ważne — bronił się Wawrzyniec — ze względu na Williama...
- Umilkł, a dzieci wrzasnęły:
- William! William! Chcemy, żeby tu wrócił!
- Spokój i do łóżek! — Klarion nie umiała sobie poradzić z niesforną dwójką, próbowała więc okazać zainteresowanie „ich” Williamem. — A kiedy on wraca od tych Mongołów?
- To może jeszcze potrwać — odrzekł Wawrzyniec i rozejrzał się za jakimś okryciem, żeby wyjść z obleżonego cebra. — Kraj Mongołów leży daleko...
- Jak daleko? — spytał natychmiast Rosz. — Tak daleko jak Konstantynopol?
- Dziesięć razy dalej — wyjaśnił Wawrzyniec, drżąc z zimna i nadmiaru wrażeń.
- Spotkaliście może w Bizancjum mojego brata?
- To nie jest wcale twój brat — zaczęła paplać Jeza i tym razem nie udało jej się uniknąć tęgiego szturchańca.
- Nie wtrącaj się!
- Hamo kocha się w niej! — wyjaśnił Rosz mnichowi.
- Hamo jest wciąż jeszcze moim synem — rozległ się ostry głos hrabiny — i chyba mnie pierwszej należy się ta relacja!
- Czy on stał się obieżyświatem? — Jeza musiała zasłyszeć to słowo w kuchni, pralni albo u stajennych.
- Czy gzi się z nierządnicami? Jest rozpustny i zepsuty? — dopytywał się pospiesznie Rosz, czując, że teraz nie będzie już pardonu: piastunka i pokojówki szykowały się, żeby odprowadzić dzieci do łóżek.
- Jutro musisz nam wszystko opowiedzieć albo cię utopimy! — krzyknęła Jeza na odchodnym.
- Wasz syn, pani, żyje w domu biskupa i nędznie gra w szachy. — Wawrzyniec udzielił wreszcie damom odpowiedzi na postawione pytanie.
- Co?! — zawołała hrabina przenikliwym głosem. — U mojego kuzyna pederasty?
- Przez chwilę wydawało się, że uderzy mnicha za tę wiadomość. — Już lepiej byłoby dla chłopaka, żeby zaczął odurzać się haszyszem!
- Co ty powiesz! — wpadła jej w słowo Klarion.
- No cóż — powiedział Wawrzyniec spokojnie i wziął od służebnej ręcznik kąpie-

---

\* *Amor vulgus* [przyp.: (łac.) — zwyczajna, pospolita miłość.

lowy — o tym nie było mowy. — Zaczął się z trudem podnosić z cebra. — Teraz jednak pozwólcie, czcigodna pani, dorosłemu chłopcu wyjść skromnie z kąpeli. — Udało mu się owinąć ręcznik wokół bioder i stanął wyprostowany w kadzi. — Woda bowiem wystygła, a ja zgłodniałem. — Podtrzymywany przez tłumiące chichot służebne, przekroczył krawędź cebra i skierował się ku damom, które w ostatniej chwili odwróciły wzrok. — Pozwólcie, że się przedstawię: Wawrzyniec z Orty, legat papieski w specjalnej misji, w drodze powrotnej do Stolicy Apostolskiej...

— Zdrajca! — syknęła hrabina i cofnęła się.

— ...dla was jednak — ciągnął Wawrzyniec, nim Klarion zdołała przywołać strażę — zaufany człowiek waszego przyjaciela Eliasza z Cortony oraz — wziął ze stołka z ubraniami, który znajdował się obok kadzi, trzy rzemienie i podniósł je do góry — wysłańciew kanclerza Tarika ibn-Nasira z Masnatu.

— Dobry stary Tarik — westchnęła hrabina z ulgą. — Pozwólcie z nami, wielbny ojczy.

## PUŁAPKA

*Cortona, zima 1246/47*

*Z Kroniki Williama z Roerbruku*

Oszałamiające uczucie wywołane ucieczką z wysoko położonej doliny Saracenów zaczęło w niższych partiach gór znikać wraz ze śniegiem. Wkrótce narty stały się utrudnieniem — z powodu coraz częściej sterczących z cienkiej pokrywy kamieni kilkakrotnie upadłem, tłukąc sobie boleśnie nos, a z paru piarżystych stoków zjechałem na brzuchu. Odwiązałem w końcu narty i zarzuciłem na plecy, aby przy schodzeniu mieć swobodne ręce i nogi.

Przez to, że tak nagle odszedłem od Saracenów, nie miałem możliwości zaopatrzyć się w prowiant. Teraz odezwał się głód, ale bardziej niż wszelkie niedogodności dokuczało mi nieczyste sumienie. Postąpiłem wobec Rijesz obrzydliwie, zachowałem się jak świnia wobec Saracenów, którzy okazali mi tak bezinteresowną i serdeczną gościnność, poczyniłem w ich spokojnym stadzie szkody gorsze niż wilk, wyszarpnąłem kochające serca z ciepłych ciał, podeptałem bezwzględnie trzewia tradycji i dobrych obyczajów, nadużyłem życzliwości i chęci pomocy, zraniłem wierność i dumę!

Szedłem potykając się na wyboistej ścieżce i płakałem ze wstydu. Zatrzymawszy się, po raz pierwszy zwróciłem spojrzenie do tyłu, w górę, gdzie ponad ciemnymi lasami i czarnymi skałami jasno i czysto odbijały się na tle błękitnego nieba zębate granie Alp. Nierzeczywisty obraz, inny świat, z którego się wyrwałem, jeszcze był na sięgnięcie ręką,

a przecież tak już odległy. Byłem tchórzem, a Rijesz bohaterką! Wszak ona zdobyła się na mężny i bezinteresowny czyn, pozbawiając się czci i narażając na niebezpieczeństwo. I to dla kogo? Dla żalostnej kreatury o imieniu William, której pomogła się odnaleźć! A czego ja, lekkomyślny egoista, właściwie chciałem?

Sądzę, że jestem chory na umyśle. Dążyłem zawsze do bezpieczeństwa i szczęścia, do uznania i czułości jak do rzadkiego leśnego kwiatu, który nigdy nie więdnie, wspaniale pachnie i zachwyca barwami, płatkami i kielichem, a kiedy taki kwiat znalazłem, podeptałem go niczym głupiec! Teraz wędruję dalej, nieszczęśliwy, z poobdzieraną skórą, a wkrótce zapewne w łachmanach i przymierający głodem. Co mnie czeka? Nie wiem. Dokąd chcę się udać? Nie mam pojęcia. Czuję tylko mrowienie w nogach, uczucie czczości w brzuchu i odurzenie, które mnie pędzi precz od wszystkiego, co było pewne, pędzi mnie w nieznanne i niepewne, a więc w to, czego się zawsze obawiałem.

Zapadała ciemność, gdy dostrzegłem ogień w leśnej sadybie węglarza. Znalazłem go otoczonego gromadą małych dzieci przy legowisku wyniszczonej żony, która chyba nie doszła jeszcze do siebie po ostatnim połogu. Prośba o coś do jedzenia nie przeszła mi przez usta. Podarowałem najstarszej córce narty i w milczeniu poszedłem dalej.

Kasztany i żołądź, pozostałość jesieni wśród butwiejącej ściółki, oraz łyk źródlanej wody były moim pożywieniem. Spałem pod gołym niebem. W ten sposób opuściłem góry i znalazłem się w dolinie Padu. Unikałem wielkich miast, bo miejsca straceń przed murami i place, gdzie uprawiano zwierzęta, napawały mnie strachem. W niczym nie przypominałem żebrzącego mnicha, byłem obdartym włóczęgą, a z takimi nie robiono wiele ceregieli, o czym przypominały mi zapełnione szubienice i rozpięte na kołach, prawie pozbawione ciała szkielety, od których odrywały się z wrzaskiem kruki i sępy, gdy podchodziłem bliżej.

Tak natknąłem się na starą Larysę. Bez wątpienia była to ona. Wisiała w klatce i patrzyła na mnie pustymi oczodołami, z których wykluto oczy — a może wydziobały je ptaki? Oto miałem przed sobą szczątki rodziny kuglarzy, która przed ponad rokiem towarzyszyła nam w drodze na północ. Dzieci niby winne grono wisiały obok starej Larysy głowami w dół, związane za nogi jednym sznurem. O ich matkach, młodych kobietach, opowiadały resztki dawno wygasłego stosu, kość tu, czaszka tam. Mężów tych kobiet nie zamierzałem szukać wśród rzędów wisielców. Drobną kradzież spowodowana głodem, może otoczonej rojami much cielejącej nogi czy kawałka ciepłego jeszcze chleba, i oto rozpoczęło się ostatnie przedstawienie, którego prologiem był wyrok bezlitosnego sędziego, a niemym epilogiem głucha katarynka kata i jego pomocnika.

Klęknąłem i pomodliłem się za biedne dusze. Przypomniał mi się Robert, wynurzający się po raz ostatni z szalejącej w wąwozie rzeki. Jego dzielny czyn uratował nas przed Witem, a Bóg w swej dobroci szybkim utonięciem ustrzegł zacnego siłacza przed takim jak tutaj haniebnym końcem. *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat*

*eis. Amen!\**

Przeprawę przez Pad otrzymałem w darze od przewoźnika, gdy ów zrozumiał, że moja chęć zapracowania na przewóz wiosłowaniem może doprowadzić tylko do wywrócenia łodzi. Wspiąłem się teraz na łańcuch Apeninów. Wciąż padało i marzłem nie- miłosiernie. Wreszcie znalazłem skorych do pomocy braci, którzy w imię świętego Franciszka wyposażyli mnie w habit nie dlatego, że uznali mnie za jednego z nich, lecz że saraceńskie skórzane odzienie zwisało już ze mnie w strzępach. Unikałem jak mogłem ujawniania przynależności do zakonu, a już absolutnie podawania swego nazwi- ska, nie wiedząc, czy kuria rzymska nie wyznaczyła przypadkiem nagrody za moją głó- wę i czy wciąż mnie jeszcze nie ściga.

Zeszedłem z gór do Toskanii, okrążyłem Florencję, potem powędrowałem doliną Arno, minąłem mury Arezzo, aż wreszcie zobaczyłem lśniące zwierciadło Jeziora Tra- zymeńskiego.

Byłem znowu w Cortonie, mieście Eliasza. Po raz trzeci! Koniec z wszystkimi nie- dolami! Gersenda — przypomniałem sobie imię dzielnej gospodyni — zatroszczy się z pewnością o moje potrzeby i należycie wzmocniony będę mógł stanąć przed swym generałem, który niemile się zdziwi, gdy usłyszy całą historię. Z taką perspektywą przy- spieszyłem kroku na wijącej się w górę drodze do zamku nad miastem i zdumiawszy się nieco, że nie napotkałem żadnej straży, wszedłem na dziedziniec...

Dookoła leżały porozbijane sprzęty domowe, widać było ślady pożaru i walki. Ogar- neły mnie złe przecucia, ale nim przerażenie zdołało zastąpić ciekawość, pod por- talem ukazali się papiescy żołnierze. Próbowałem się szybko ukryć, lecz złapali mnie i powlekli do wnętrza. Szarpany i popychany, szedłem znajomymi korytarzami, aż zna- lazłem się w gabinecie Eliasza. Stałem przed ponurym mężczyzną, z którym jeszcze nig- dy nie spotkałem się twarzą w twarz, wiedziałem jednak od razu, z kim mam do czynie- nia: był to Wit z Viterbo!

Siedział za stołem generała pod jego oprawionym w ramy portretem, co w tej sytu- acji — tylko to! — wydało mi się doprawdy zabawne. Obaj patrzyli na mnie jak dwa try- ki, które na starość doznały jeszcze łaski miewania wizji.

Wit także od razu rozpoznał, kogo ma przed sobą. Zdumienie viterbczyka odnosiło się chyba tylko do tego, że jego modlitwy czy raczej przekleństwa zostały niespodzie- wanie wysłuchane. Pozostawił mi w każdym razie czas, by w mojej głowie zrodziła się dowcipna myśl, że to nie on mnie odszukał, ale ja go wreszcie znalazłem!

Zdobyłem się na odwagę i powitałem go śmiało:

— William z Roebroku z zakonu braci mniejszych do waszych usług, szlachetny Wi- cie z Viterbo! Czym mogę służyć waszej wielebności?

---

\* Requiem aeternam... (łac.) — Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci. Amen.

Jeszcze nim to wypowiedziałem, odniosłem wrażenie, że trafi go apopleksja. Twarz mu spurpurowiała, z gardła wydobył się chrapliwy oddech, jakby połknął żabę i miał się nią zaraz udławić. Tą żabą byłem chyba ja. W pierwszej chwili uniósł się z krzesła, ale opadł na nie z powrotem i wpatrywał się we mnie bez słowa. Wreszcie wykrztusił:

— Co ci przyszło do głowy, włóczęgo, aby się podszyć pod osławionego franciszkani-  
na? Przecież cały świat wie, że na polecenie Ojca Świętego wyruszył z Pianem z ważną  
misją do Mongołów. Może z tej podróży nie wrócić, ale jeśli wróci, to z pisemną odpo-  
wiedzią wielkiego chana do Jego Świątobliwości Innocentego Czwartego, ojca całego  
chrześcijaństwa. Jeśliś jest Williamem, pokaż tę odpowiedź!

Mówił coraz donośniejszym głosem, który na koniec przeszedł w falset. Chciał mnie  
chyba przestraszyć krzykiem, albowiem jak burza, która wyładowując się mija, tak i on  
wkrótce zmienił tonację na gawędziarską i poprosił, żebym usiadł; było to zręczne po-  
sunięcie, ponieważ teraz musiałem patrzeć mu prosto w oczy.

— Williamie — powiedział dobrotliwie — ośmieliłeś się stanąć przede mną, co  
świadczy, że ci jeszcze nie łamano nóg żelaznym drągiem. — Uśmiechnął się. — Możesz  
siedzieć naprzeciwko mnie jedynie dlatego, że nie wychłostano cię i nie wetknięto jesz-  
cze do tyłka rozpalonej rury, że ci nie gnieciono i nie wrywano jąder. A widzisz mnie  
wyłącznie dlatego, że masz jeszcze oczy. I jeśli zostało ci trochę oleju w głowie, Willia-  
mie, lepiej zrób z niego użytek.

Byłem w jego ręku, mógł zrobić i zrobiłby ze mną wszystko, o czym mówił, gdybym  
okazał sprzeciw.

— Szlachetny Wicie, ponieważ wzrok was nie myli i ja nie przebywam u Mongołów,  
a dzięki waszej bystrości potraficie z tego wyciągnąć wniosek, że się tam nie udałem...

— Czy tak, Williamie, ma wyglądać służba — spytał cicho i miało to brzmieć troskli-  
wie, lecz zabrzmiało jak groźba — którą mi na wstępie zaoferowałeś?

— I usłyszałem od was wywód na temat kolejności dań waszej raczej niezbyt wyszu-  
kanej kuchni tortur. Czy teraz moglibyście mi na odmianę zaproponować coś do zje-  
dzenia? Strasznie się wygłodziłem w długiej podróży.

Viterbczyk, co musiałem mu przyznać, w pełni panował nad sobą i tym samym nade  
mną. Grałem swoim życiem, ale tylko to mogłem w tej grze postawić.

Wit klasnął w ręce i w drzwiach ukazała się Gersenda. Mądra niewiasta nie dała po-  
znać po sobie, że mnie zna, chyba podsłuchiwała naszą rozmowę. Teraz pożaliła się na  
zbyt skąpe zapasy, które jej nie pozwalają podjąć odpowiednio Wita i jego czcigodne-  
go gościa.

Pan domu przeciął szorstko te narzekania:

— Dla nas, sług Kościoła, nawet najskromniejszy posiłek jest niezasłużonym darem  
Bożym. A co się tyczy długiej podróży, Williamie, to skąd właściwie wracasz? — spytał  
z udaną życzliwością.



— Stamtąd, szlachetny panie, gdzie was zgubiłem. Czekałem ponad rok, aleście się nie zjawili, więc wybrałem się w drogę, aby was...

— Wzruszasz mnie tak wielkim przywiązaniem — przerwał mi. Widać było, że się w nim wszystko gotuje. — Gdyby nie wspomnienie tego, jak zerwaliście pewien wąski most...

— Ach — usprawiedliwiałem się — to ten bałwan! Miał tylko poprawić kłody dla waszego bezpieczeństwa i wpadł z nimi do wody! Pokój jego duszy!

Gersenda wniosła pokrojoną szynkę, wino i ser, do tego naprędce usmażone jajka i świeżo przyprawioną zimową sałatę, *puntarelle*, prosząc o wybaczenie, że brak w niej posiekanej sardeli. Nałożyliśmy sobie potężne porcje. Obaj wiedzieliśmy, że jest jeszcze parę rzeczy, które wymagają męczących wyjaśnień.

— A dzieci? — mlasnął Wit jakby od niechcenia. Właściwie tylko tego chciał się ode mnie dowiedzieć.

— Dzieci?! Są oczywiście ze mną u Mongołów. — Wit byłby wybuchnął, lecz usta miał wypchane sałatą, toteż szybko ciągnąłem: — Ale skoro stoję tutaj z pustymi rękoma...

— Przede wszystkim siedzisz wygodnie i jesz razem ze mną!

— ...to chyba je zgubiłem...

— A może ich z tobą nie było? — padło podchwytliwe pytanie.

— Czyżbyście nie wierzyli własnym oczom, szlachetny Wicie?

Poderwał gwałtownie blat stołu, aż talerze z jadłem pospadały na ziemię.

— Dość tego! — wrzasnął. — Dostyc jedzenia, dostyc gry, dostyc bezczelności! Powiem ci, gdzie są dzieci: nigdy nie opuściły Otranto! Gdziekolwiek się włóczyłeś, nie ma to już żadnego znaczenia. W Konstantynopolu wpadł w nasze sieci syn hrabiny. Był sam, bez dzieci! Nie rozplynęły się przecież w powietrzu! A ty przez cały rok uważałeś nas za głupców. W Bizancjum ściany mają uszy, nie musieliśmy młodego Hamona torturować ani mu grozić, wystarczyło trochę *cannabis\**, aby go skłonić do mówienia...

Zadowolony odchylił się do tyłu i obserwował mnie jak wielki czarny kot polną mysz, która nie może znaleźć swej norki. Zebrałem się zatem w sobie, aby stawić mu czoło po raz ostatni: do czego mnie jeszcze potrzebuje, skoro już wie chyba wszystko?

— Jeżeli Hamo żyje, to Stwórcy niech będą dzięki! Tylko ja zdołałem się uratować. Według mnie dzieci też zginęły.

— To mogłoby się zdarzyć, ale niestety, nie wszyscy są martwi, chociaż powinni sobie tego życzyć. A na pewno żyją dzieci! — Zastanawiał się przez chwilę. — Zjawiłeś się tu, Williamie, co oznacza, że przyznajesz się do wszystkiego, mimo że w głupi sposób wypierasz się tego. Ale ja cię już nie potrzebuję. Każę cię zamknąć w absolutnie pew-

---

\* *Cannabis indica* (łac.) — konopie indyjskie, surowiec do produkcji haszyszu.

nym miejscu na tak długo, jak mi się spodoba, w każdym razie póki nie osiągnę swego celu. Czy będę cię męczył przed śmiercią, czy każę ci umierać powoli, na co sobie solidnie zasłużyłeś, czy też od razu uduszę cię własnymi rękoma, to nie zależy już od ciebie, lecz od mojego humoru. Życz sobie, żebym miał dobry humor i wybrał lepsze dla ciebie rozwiązanie!

— Wobec tego chciałbym się pojednać z Panem — mruknąłem pokornie i złożyłem ręce do modlitwy.

— Pojednać z Panem! — warknął Wit. — Twoim panem w tej chwili jestem ja! A teraz słuchaj uważnie, bo dowiesz się, dlaczego zawiodły wszystkie twoje starania, by ratować ten kacerski pomiot. — Sapnął zadowolony, a ja cały zamieniłem się w słuch. — Otranto uchodzi za twierdzę nie do zdobycia ani od strony morza, ani od strony lądu, prawda? — zaczął, napawając się smakiem mego wzrastającego przerażenia. I sam sobie udzielił odpowiedzi: — Tak! I słusznie Hohenstauf jest dumny z tego zamku i może być pewien wierności hrabiny. Laurencja z Belgrave nie poddałaby twierdzy, choćby nieprzyjaciel przy włókł pod mury jej jedyne go syna i na jej oczach uciął mu głowę.

Wit zrobił pauzę, aby się upewnić co do efektu swoich wywodów. Nieźle, pomyślałem, choć wcale nie byłem pewien, czy tak właśnie postąpiłaby hrabina wobec Hamona. Czyżby obce dzieci były jej bliższe? Nie dałem jednak niczego po sobie poznać.

— Ale gdyby tak — ciągnął Wit spokojnie, a ja pilnie się przysłuchiwałem — do zamku przybył przyjaciel, zaufany człowiek cesarza, równy hrabinie urodzeniem i wiernością tak wobec Fryderyka, jak i wobec bastardów królewskiej krwi... Laurencja otworzyłaby bramy, jak stara ladacznica rozwiera nogi. Tym chętniej, im liczniejsze byłyby przyprowadzone przez niego wojsko. Wtedy wystarczyłoby wedrzeć się z impetem w tę obrzydliwie cuchnącą dziurę zużytej starej jędzy i w ten sposób padłoby Otranto.

— Nie darzycie hrabiny zbyt dużą sympatią — zauważyłem z wyrzutem, lecz w duchu uśmiechnąłem się ze zrozumieniem. — I któż miałby być tym zalotnikiem, którego nie dbająca o mężczyzn Laurencja wpuściłaby ni stąd, ni zowąd do swej twierdzy?

— Elias z Cortony zawarł pokój z Kościołem. — wyjął Wit. — Grzesznik poprosił o przebaczenie. Ojciec Święty w swej nieskończonej dobroci obiecał wybaczyć skruszonemu, ale tytułem zadośćuczynienia ma się on udać na czele doborowego oddziału papieskich żołnierzy, naturalnie najemnych i przebranych po szwabsku, do Otranto, aby je „wzmocnić” na wypadek ataku z zewnątrz. Hrabina przekaże Eliaszowi dowództwo, bo jego przybycie nie wzbudzi żadnych podejrzeń. Nasza flota przybije do portu i rozprawi się z załogą triery. I wtedy przejmą dzieci, które nasz przyjaciel z Cortony ma otoczyć opieką w pierwszej kolejności. Bez dzieci nie ma rozgrzeszenia. — Viterbczyk zarechotał grubiańskim śmiechem lancknehta. — Elias uzgodnił wprawdzie, że po wykonaniu pokutnej misji i on, i jego żołnierze zostaną zabrani na nasze statki, ale my wolimy pozostawić go sądowi Hohenstaufa. I zatopimy jeszcze trierę, żeby nikt nie mógł nas

ścigać ani się ratować. Jak ci się to podoba, Williamie?

— Jesteście wcielonym diabłem!

Pochlebiło mu to.

— Ale nie tak biednym i głupim jak ty. Jak myślisz, dlaczego Ojciec Święty żadnego franciszkanina nie podniósł do godności inkwizytora?... — Poderwał się. — Straż! — ryknął niecierpliwie. Jego żołdacy zjawili się natychmiast. — Zakuć tego człowieka, który podaje się za Williama z Roebroku!

Złapali mnie, wywlekli na dziedziniec, gdzie przy odkrytym palenisku zajął się mną kowal. Wykuł żwawo obręcz na moje nogi, ręce i szyję i nawet nie czekał, aż żelazo ostygnie. Syczenie i piekący ból pękającej skóry były pierwszym przedsmakiem piekielnych męczarni, które Wit dla mnie przewidział.

Jednakże daleko większym strachem nappełnił mnie garbaty mnich z twarzą ukrytą pod olbrzymim kapturem, zaczął bowiem rozgrzewać w tym samym palenisku żelaza do piętnowania. Wtedy wszakże na podwórzec wyszedł Wit i poklepał życzliwie gno-  
ma po ramieniu.

— Poczekaj jeszcze, Albanie! — Fachowym spojrzeniem sprawdził moje łańcuchy. — Kata — odezwał się do mnie — przyślę do ciebie dopiero jutro rano. — I gdy wpatrywałem się w niego przerażonym wzrokiem, dodał: — Żeby cię napiętnował, tak jak wszystkich więźniów, których spotkasz w lochu. — To zapewne miało mnie uspokoić; okazując zrozumienie podziękowałem mu skinieniem głowy, na ile obręcz wokół szyi na to pozwalała. — Duże „C” na piersi, jak przystoi dobremu chrześcijaninowi... — tym razem roześmiali się z dowcipu swego pana stojący dookoła żołnierze — a krzyż na oku — obowiązkowy rechot wzmógł się — bo pod ziemią, w ciemności, wystarczy ci jedno! — I aby zwiększyć jeszcze ogólną wesołość, dorzucił: — Na próżność mogą sobie pozwolić tylko mężowie przebywający w słońcu Pana, ciebie zaś już raczej nikt nie będzie oglądał! — Skończywszy swą przemowę, przywołał dozorcę więzienia.

Żołnierze mieli świetną zabawę, chociaż najchętniej obejrzeliby wykonanie wyroku od razu. Byłem głęboko wstrząśnięty. Moja nadzieja, że dzięki zuchwałości nastroję Wita przychylnie, okazała się złudna. Zawsze uważałem go za bezwzględnego wykonawcę zamierzeń kurii rzymskiej, twardego i nieugiętego, prawdziwego *canis Domini*. Teraz jednak uświadomiłem sobie, jak bezdennie podły jest ten człowiek. Władza, jaką mu dawała funkcja inkwizytora, pozwalała jego złemu duchowi wyżywać się bez ograniczeń. Przekląłem mego prześladowcę, co chyba niezbyt go poruszyło, ponieważ odwrócił się do mnie plecami i zniknął w drzwiach domu.

Gwałtowne podcięcie kolan sprawiło, że omal nie runąłem na twarz.

— Do lochu! Brać go! — zaskrzeczał znajomy głos. I nagle uprzytomniłem sobie: to przecież Guiscard!

Zanim jednak nieopatrznie zdołałem zdradzić się, że znam Amalfitańczyka, otrzy-

małem drugi cios kijem po goleniach. Żołnierze znowu zaczęli rechotać, okazało się bowiem, że mój stary przyjaciel maltretuje mnie drewnianą nogą, którą miał przytwierdzoną tuż pod kolanem.

Idąc w dół coraz ciemniejszymi i coraz bardziej cuchnącymi schodami, przypomniałem sobie, że pod murami zamku Świętego Anioła Guiscarda trafiła strzała i że dzielnego wojaka z paskudną zgorzelą zostawiliśmy w rękach Gersendy. A więc kosztowało go to ostatecznie utratę podudzia. Diabelne szczęście!

Znowu obudziła się we mnie nadzieja. Guiscardowi zawsze coś rozsądnego przychodziło do głowy. A co do tego, że był mi przychylny i nie stał po stronie viterbczyka, nie miałem wątpliwości. Gdyby Wit wiedział, że ten właśnie człowiek zaprezentował go w Rzymie przed kurią jako tępego niedźwiedzia tańczącego, jak mu zagrają, kazałby Amalfitańczykowi poucinać kawałek po kawałku ręce i nogi.

Ogarnęła mnie radość: Guiscard jako dozorca więzienia u Wita z Viterbo w domu Eliasza! Dzięki temu, uśmiechając się w duchu, łatwiej pogodziłem się z losem, gdy za ciężkimi żelaznymi kratami zostałem przykuty do wilgotnej skały, co Guiscard przeprowadził z mistrzowsko odegraną surowością. Oprawcy odeszli i ogarnęła mnie ciemność.

## LIST BEZ NADAWCY

*Castel Sant' Angelo, zima 1246/47*

Tej samej nocy Mateusz z Paryża zgodnie z poleceniem udał się do *documentarium*. Sam musiał zatroszczyć się o to, żeby nie było tam ani jednego z mnichów, co o tej porze mogło się zdarzyć, nie miał zaś wątpliwości, że najwyższa instancja skontroluje, jak wykonał zadanie.

Podszedł do swego stałego miejsca pracy, podkreślił wysoko knot oliwnej lampy, aż wyczyszczona do połysku srebrna tarcza odbłaskowa rzuciła na pulpit wystarczająco mocne światło. Najtajniejsze prace, jak zawsze mawiał, wymagają najjaśniejszego oświetlenia.

Nie musiał długo czekać.

— Weź kosztowny pergamin — rozległ się życzliwie brzmiały głos — jakiego używają w Jeruzalem, ten, który templariusze sprowadzają z Kairu...

— Czyli papirus? — osmielił się sprecyzować Mateusz. — Czy mam tak pisać jak Przeorat?

— Zgadłeś, ale nie całkiem! — W głosie brzmiało rozbawienie zamierzoną intrygą. — Wyobraź sobie, że autor pisma nie chce być rozpoznany, my zaś chcemy, żeby mimo

wszystko stał się podejrzany.

— Musi więc popełniać błędy. — Mateusz pełen dumy zapalał się coraz bardziej; praca, jakiej od niego zażądano, zaczęła mu sprawiać przyjemność. — Ci arcytajni, których imienia nie należy wymawiać, używają do inicjałowych majuskuł tego samego szablonu co za czasów wielkiego Bernarda, świeć Panie nad jego błogosławioną duszą.

— Świętą, Mateuszu, świętą! — napomniął go głos, ale mnich grzebał już w schowku ukrytym w ścianie, chronionym przez żelazną kratę i podwójny zamek.

— Mam tu nieoficjalną regułę zakonu — mruknął — mogłaby nam pomóc. — Wrócił z pękiem cienkich miedzianych szablonów. — Na każdym jest ukryty, niewidoczny dla niewtajemniczonego, symbol lilii na druidzkiej podstawie. Czy te weźmiemy? — ubrał swą propozycję w formę pytania.

— Tak — powiedział głos. — Widzę, że masz już właściwe pióro i atrament. Więc pisz: „Do Ludwika Kapetynga, dziewiątego z kolei bezwstydnego uzurpatora na tronie Francji...”

Mateusz pisał szybko; tajemnicze przesłania, także te fałszywe, musiały wywoływać wrażenie pism sporządzanych w pośpiechu, pod naciskiem, z widocznymi poprawkami i kleksami.

— „Dziesiątego Kapetynga Zachód nie będzie już musiał znosić, żyje bowiem krew Merowingów. To nic, że twoi grzeszni przodkowie zabili naszego dobrego króla Dagoberta, że twój nikczemny ojciec zmieszał oszukańczo świętą krew prawowitej dynastii langwedockiej z krwią waszego rodu, po czym ręka w rękę ze zdrazieckim Innocentym...”

W tym miejscu pióro mnicha zatrzymało się.

— Czy mam rzeczywiście...?

— Kto chce wiarygodnie łżyć, nie może oszczędzać również siebie. A więc: „...zamordował podstępnie Trencavela, to nic, że ty, podły Ludwiku, podporządkowałeś sobie ostoję Graala, Montségur. Samego Graala nie zdobyłeś, a on żyje i będzie żył w dzieciach, któreśmy uratowali i którymi Fryderyk z wyrachowania zawładnął, każąc je wychowywać w cesarskiej twierdzy w Otranto. Możesz wierzyć nadal jego zapewnieniom o przyjaźni, nie przykładając wagi do jego małżeńskich związków z Plantagenetami, lekceważąc rodzinne więzi, które łączą już Hohenstaufa z Normanami, z Aragończykiem, a teraz również z przyszłym władcą Bizancjum. Dzieciom Graala przeznaczone jest należyne im panowanie, poczynając od kraju, gdzie święta krew Jezusa dotarła niegdyś na ląd. Nie daj się zmylić pogłoskom, które cesarz i papież, tylko w twoim mniemaniu skłóceni, puścili, jakoby królewskie dzieci świętej krwi były teraz z pewnym wiarołomnym mnichem u Mongołów w roli zakładników pokoju i przyjaźni przy podziale reszty świata. Zresztą dla ciebie przy tym podziale i tak nie przewidziano miejsca. A kiedy rozpoczniesz swoją krucjatę, sułtan zgotuje ci należyte przyjęcie, jak obiecał swemu przy-

jacielowi Fryderykowi. Pociągniesz do Ziemi Świętej i tam pozostaniesz, bo wrócić do Paryża nie będzie ci już dane. Poprowadzisz bezsensownie najlepsze miecze Francji do uczciwej walki przeciwko szczerym obrońcom prawdziwej wiary, gdy tymczasem fałszywi przyjaciele wbiją ci sztylet w plecy. Nie zdołasz powstrzymać zagłady Kapetyngów, dzieci Graala są w ręku Hohenstaufa. One są przyszłością!”

Pióro mnicha skrzypiało po papierze.

— Kto ma być podpisany? — spytał rzeczowo, gdy odetchnął skończywszy pisać.

— Nikt — odparł głos. — Anonim jest najlepszą groźbą, Paryż bowiem nie będzie w stanie zrozumieć motywów piszącego.

— Hm... — mruknął Mateusz, będący pod silnym wrażeniem tego, co napisał. — Ja na miejscu Ludwika najpierw bym odwołał krucjatę, żeby na wszelki wypadek wystąpić przeciwko Hohenstaufowi albo przynajmniej zapewnić sobie środki i sposoby dla zabezpieczenia tyłów.

— Może skryba Mateusz łaknie pochwały, bo autor listu jej nie potrzebuje — stwierdził głos zimno; mnichowi przebiegł po plecach dreszcz, chociaż nie po raz pierwszy używał swego pióra Szaremu Kardynałowi. — Udasz się jutro rano do Ostii i poczekasz tam na naszego legata, Andrzeja z Longjumeau, którego natychmiast wyprowadzisz dalej do Ojca Świętego.

— Wiem — rzekł pokornie Mateusz.

— Ale nie wiesz, że ktoś cię zagadnie i poprosi o odpowiedni na ten dzień cytat z Biblii. Temu człowiekowi wręczysz zapieczętowane pismo, a on cię wynagrodzi mieszkaniem dukatów.

— Który zaraz tutaj odeślę — pospieszył z zapewnieniem Mateusz. — Czyj herb ma być na pieczęci?

— Użyj krzyża templariuszy — w głosie zabrzmiała nuta rozbawienia. — Oni też powinni dostać za swoje!

Podczas gdy mnich podgrzewał lakową pieczęć, przez *documentarium* przeciągnął lekki chłodny powiew. Płomień lampy zachybotał. Gdzieś zamknęły się drzwi.

SIŁACZ ROBERT

*Cortona, zima 1246/47*

*Z Kroniki Williama z Roerbruku*

Nie wiem, jak długo stałem w ciemności, do której oczy mi się z trudnością przyzwyczajały. Skądś, z jakiegoś otworu w sklepieniu, wpadało słabe światło nocy, jakby odbite od chmur rozświetlonych blaskiem księżyca. Potem pokrywa chmur musiała się rozstać

pić, bo prosto do mego więzienia wpadł mleczny, zimny promień.

Znajdowałem się chyba w tych głęboko położonych piwnicach, do których nie wolno mi było nigdy wchodzić. Gdzieś tutaj, za ciężkimi żelaznymi drzwiami, została zamurowana drzazga z Prawdziwego Krzyża razem z pamiętnym pergaminem.

Dostrzegłem w celi jakiegoś współtowarzysza niedoli. Przysiadł apatycznie na ziemi i dopiero teraz podniósł powoli głowę — na czole miał wypalony, zablizniony i zbiełały już krzyż, po brzegach wciąż jeszcze nabrzmiały i czerwony. Tak więc będę wyglądał!... Nie! Mnie miano przecież odcisnąć znak na samym oku.

Zrobiło mi się słabo na myśl o rozpalonym do czerwoności krzyżu, który mierzy we mnie. Krzyknąłem, chciałem unieść rękę, by osłonić twarz, ale łańcuchy na przegubach szarpnęły je boleśnie w dół.

— Cicho! — syknął więzień i naraz rozpoznałem go: to był Robert, siłacz, który wpadł do rzeki na moich oczach!

— Robert?... — szepnąłem. — To naprawdę ty?

— Nie nazywaj mnie po imieniu! — wydyszał. — Mogą nas podsłuchiwać przez jakąś dziurę w ścianie... Nie znam cię!

Biedny człowiek! Nie mogłem sobie wprawdzie wyobrazić, w jaki sposób wpadł w ich ręce, ale że jeszcze żył po tym, co z nim wyprawiali, graniczyło z cudem; jednakże, jak widać, nie przetrwał tortur bez uszczerbku dla swego prostego umysłu.

Jakże nienawidziłem Wita! Za wszelką cenę musiałem stąd uciec, a do tego potrzebowałem siły Roberta.

— Jak cię złapali? — spróbowałem jeszcze raz podjąć rozmowę.

— Dlaczego wróciłeś? — zabrzmiała żalosna odpowiedź. — Teraz czeka mnie proces z tobą jako świadkiem. A potem Wit każe mnie rozerwać końmi!

— Nie bój się — szepnąłem — jakoś stąd wyjdziemy.

— O tak! — odpowiedział z goryczą. — Jutro rano zabiorą mnie stąd, na podwórku cztery konie grzebią już niecierpliwie kopytami. Boję się, Williamie!

— Spokojnie, spokojnie! — pocieszałem go, choć serce podeszło mi do gardła.

— Dobrze ci mówić — wykrztusił. — Ciebie jutro tylko naznaczą, tak postępuje Wit ze wszystkimi... — Robert wskazał na niewyraźne postacie, które w mroku za kratami czekały na swój los. — Mnie zostawił dwoje oczu, żebym dobrze widział wszystkie końskie zady, kiedy batami pogonią rumaki w cztery strony świata...

— Przestań! — powiedziałem.

— ..i żebym sam mógł zobaczyć, że moje ramię urwało się wcześniej niż noga.

— Zamknij się! — przerwałem mu wściekły. — Uciekniemy dzisiejszej nocy.

— Przedtem musieliśmy zabić dozorcę więzienia! — Zmacony umysł Roberta zaczął pracować w pożądanym przeze mnie kierunku. Trwoga przed śmiercią jest dobrym sprzymierzeńcem. — Przychodzi tu trzy razy w ciągu nocy.

— Zrobimy to przy drugim obchodzie — oznajmiłem. — Czy możesz do tej pory uwolnić z kajdan siebie i mnie?

— Obręcze na rękach i nogach poszerzyłem już pierwszego dnia, to marne żelazo! — wyszczerzył zęby Robert, w którym wreszcie ożyła nadzieja. — Pozostaje mi tylko obroża.

Na moich oczach strząsnął kajdany z rąk i chwycił żelazo na karku. Krzyż nabrzmiał mu na czole, ale obręcz pękła ze zgrzytem. Odłożywszy obie połówki, pocierał sobie szyję. Potem uwolnił z kajdan nogi i podczołgał się do mnie.

— Usiądź — polecił. Uwolnienie mnie z kajdan swobodnymi rękoma było dlań dziecinną zabawą. A tak niegdyś wstydził się publicznie demonstrować swą siłę!

Nałożyliśmy żelaza z powrotem, aby się z niczym w czasie obchodu nie zdradzić. Była chyba północ, kiedy stary Guiscard z latarnią w ręce odwiedził nas po raz pierwszy. Nie zadał sobie trudu, żeby otworzyć kratę, zaświecił nam tylko krótko w twarze i poszedł dalej.

Właściwie przejmowała mnie wstrętem myśl, że muszę wystąpić przeciw staremu druhowi, zwłaszcza że chwilami wydawało mi się, iż moglibyśmy liczyć na jego pomoc, ale tak naprawdę niczego nie byłem pewien. Może Guiscard zrezygnował z oporu? Może nie chciał stracić stanowiska? Poza tym myślał chyba o Gersendzie, która pozostałaby w rękach viterbczyka jako zakładniczka. No cóż, lekkie uderzenie w tył głowy zdjętą z nogi obręczą, którą Robert owinął kawałkiem łańchmana, i Guiscard straci przytomność. Zanim ją odzyska, my będziemy za dziesiątą granicą, to znaczy na drodze do Ankony.

— Jak teraz przyjdzie — szepnął Robert — chwycę go za gardło, a ty wal z tyłu. Ja nie potrafię człowieka...

— Robercie — zacząłem go zaklinać — w życiu czegoś takiego nie robiłem, nie dam rady, drżą mi ręce.

— Gdyby moją wolność — rzekł Robert — ktoś miał przypłacić życiem...

— Jeśli mnie zmusisz, niebezpieczeństwo będzie o wiele większe, bo nie mam pojęcia, jak mocno uderzyć...

— Wobec tego wolę jutro położyć się między końmi. — Robert był nie do poznania, a może pragnął mi pokazać, co znaczy głęboka wiara chrześcijańska? — Wprawdzie chciałyby jeszcze raz zobaczyć rodzinę, starą Larysę i dzieci...

— Nie zobaczysz ich więcej — przerwałem mu oschle; miałem ściśnięte gardło, ale uznałem, że lepiej to z siebie wyrzucić od razu. — Nie żyją, wszyscy zostali straceni, z krzyżami wypalonymi na czołach!

— Nieprawda! Mówisz tak, żebym zapomniał, co postanowiłem, i zrobił to, czego ode mnie żądasz!

Nie zdążyłem mu odpowiedzieć, gdyż u szczytu schodów zamigotała latarnia dozor-



cy, który stukając drewnianą nogą ruszył w dół. Otworzył drzwi i wszedł do naszej celi. Wtedy, zgodnie z umową, Robert jęknął:

— Moja szyja!...

Zabrzmiało to bardzo prawdziwie, Guiscard jednak zwrócił się do mnie.

— Nie rób głupstw, Williamie! — syknął. — A przede wszystkim nie rób hałasu! — Przykręcił knot oliwnej lampy. — Podśledzałem was i zdecydowałem się uciekać z wami. Za murem przy bocznej furcie stoją osiodłane cztery konie. Gersendę już tam po kryjomu wysłałem, jak tylko inkwizytora zmoгло wino. Zawsze musiałem przed nim je kosztować, ale tym razem zaniechał ostrożności...

— Nie traćmy więc czasu! — przerwałem wiernemu przyjacielowi. — Będziemy snuć opowieści, jak Cortona zostanie za nami. Ale pozwól mi jeszcze załatwić szybko pewną sprawę, która mnie od dawna gnębi.

Guiscard myślał zapewne, że chcę się wypróżnić, ja jednak pobiegłem potykając się przez nie znane mi od tej strony piwniczne korytarze, aż dotarłem do pomieszczenia, w którym znajdowały się żelazne drzwi. Ale choć bardzo się starałem odszukać w mrocznym świetle zamurowaną skrytkę, choć macałem, stukałem, nasłuchiwałem, nie znalazłem nic. Stary murarz zbyt dobrze wykonał swoją robotę.

Rozczarowany pospieszyłem z powrotem do Guiscarda.

— Gersenda jedzie do krewnych na wieś, tam nikt jej nie znajdzie — trajkotał stary wepchnąwszy nas do niskiego korytarza, który pod zamkiem prowadził do furty.

Nocne powietrze było chłodne i przejrzyste. Gersenda siedziała już na koniu. Wręczyła mi worek pełen prowiantu.

— Znam was, braciszku — czknęła. — Zawsze jesteście głodni!

Szliśmy po trawie prowadząc konie za cugle, póki nie znaleźliśmy się w takiej odległości od zamku, że nie można nas było stamtąd usłyszeć. Gersenda skinęła nam ręką na pożegnanie, Guiscard podziękował jej z galanterią, przesyłając dłonią pocałunek. Gospodyni pojechała w stronę Umbrii, ja ruszyłem w tym samym kierunku, lecz Guiscard przytrzymał cugle mojego wierzchowca.

— Pościg ruszy w stronę Umbrii. Jedźmy w przeciwnym kierunku, do Pizy. Tam wsiądziemy na statek!

— To potrwa dwa razy dłużej! — buntowałem się.

— Dwa razy krócej! Williamie, zdaj się w podróży morskiej na starego Normana!

Popędziliśmy zatem na zachód przez Toskanię. Jadąc ostro całą resztę nocy, minęliśmy Sienę, a gdy weszło słońce, zostawiliśmy właśnie za sobą Poggibonsi. Guiscard pozwolił wtedy koniom napić się w strumieniu. I nagle wybuchnął głośnym śmiechem.

— Ach, Williamie! — zawołał. — To ci była zabawa! Tylko z Robertem byłoby teraz krucho, gdyby cię nie namówił do ucieczki!

— To ja go namówiłem — oburzyłem się, lecz Guiscard roześmiał się jeszcze gło-

śniej.

— A dzięki komu?... Dzięki Witowi! Jemu zależało, żebyś uciekł dziś w nocy...

— Wybacz, Williamie — wmieszał się teraz wesoło Robert — że cię wywiodłem w pole opowieściami o rozrywaniu koźmi, aleś mi się zrewanżował...

— Robercie — oznajmiłem poważnie — chciałbym, żeby to był tylko głupi żart. Może nie powinienem ci tego mówić, ale niestety, to prawda: wszystkich twoich powieszono!

Robert patrzył na mnie jak skamieniały.

— Kuzynów, kuzynki i... i dzieci?

— Tak — odparłem. — Widziałem ich na szubienicy. Musiało się to stać jakieś dwa miesiące temu.

— I Elizę?...

Skinałem głową w milczeniu, a Robert, ten silny mężczyzna, wybuchnął płaczem.

— Nie okłamałem cię, Williamie, nigdy nie skrzywdziłem ani człowieka, ani zwierzęcia. Zawsze chciałem żyć na wsi z pracy własnych rąk i plonów ziemi, z kochającą żoną, o którą mógłbym się troszczyć i która byłaby dla mnie dobra... — Znowu zaczęło nim wstrząsać łkanie. — Ten potwór mnie napiętnował, teraz wszystkie drzwi są przede mną zamknięte. Gdzie ja się podzieję?... Ach, że też się wtedy nie utopiłem!

Wówczas spłynęło na mnie natchnienie.

— Potrafiłbyś odnaleźć ten górski potok? — spytałem.

— A jakże! — Spojrzał na mnie wyczekująco.

— Przerzuć nad wąwozem nową kładkę albo wyszukaj sobie inne przejście, potem idź drogą do przełęczy i zejdź po drugiej stronie.

Znajdziesz się przy moście Saracenów, tam zapytaj o dom Ksawerego i Alwy. Oni mają jedyną córkę, Rijesz-Sawon. Pokochasz tę dziewczynę, gdy tylko ją zobaczysz. Staraj się o nią, weź ją za żonę, bo tam możesz żyć, jak sobie wymarzyłeś.

Sam miałem łzy w oczach, gdy mówiłem o utraconym raj w górach. Jakże często tęskniłem za Rijesz i czułem wyrzuty sumienia! Teraz nadarzała się sposobność, by pokręcić kołem losu, przykryć jakby śnieżnym dywanem własne błędy i podłości.

— Kochałeś ją? — spytał miękko Robert. — Jakże ona teraz mnie... i z tym krzyżem na czole?... Ech! i tak nigdy tam nie dotrę!

Znowu popadł w rozpacz. Ściągnąłem z siebie franciszkański habit i wręczyłem mu.

— Nasuń kaptur głęboko na czoło, wtedy nikt nie będzie widział piętna. Ludzie będą cię uważać za szczególnie pobożnego mnicha. A Rijesz będzie tę bliznę podziwiał! — pocieszyłem go. — Opowiesz, że jesteś moim bratem, że mnie znalazłeś z połamanymi członkami, bo spadłem ze skały zjeżdżając na nartach. Pielęgnowałeś mnie trzy długie tygodnie, aż skonałem na twoich rękach. A moje ostatnie słowa brzmiały: „Odszukaj moją narzeczoną, Rijesz-Sawon. Ciężko wobec niej zawiniłem, więc prosz ją w imię Zba-

wiciela, by wybaczyła biednemu Williamowi, który wysłał najukochańszego brata, aby zajął jego miejsce utracone przez samolubstwo i głupotę, a teraz także przez zrządzenie losu i zbliżającą się śmierć.”

— Nigdy nie zdołam powiedzieć tego tak pięknie — poskarżył się Robert.

— Powiedz prosto: William nie żyje i bardzo mu przykro — zaproponował Guiscard.  
— Musimy jechać dalej!

Robert dał mi swój kaftan i spodnie, a ja powiedziałem jeszcze:

— Miej serce na dłoni, a wszystko będzie dobrze! — Uścisnąłem go na pożegnanie i siłacz ruszył na północ.

— Lepiej miej w dłoni ogon! — zawołał za nim Guiscard. — To najlepszy pocieszyciel wdów!

Mam nadzieję, że Robert nie usłyszał tej rady.

— Przypuszczam — rzekł Guiscard, gdy ciągnęliśmy dalej kłusem ku wybrzeżu — że możesz jechać i myśleć. — Wydobył z kaftana zapieczętowane pismo. Rozpoznałem na pieczęci herb Capoccia. — Nie muszę go otwierać — roześmiał się — bo wiem, że jest do komendanta portu w Ostii i nakazuje mu oddać ci do dyspozycji statek. Założę się, że jest tam również napisane: najwolniejszy, jaki akurat ma. — Nie rozumiałem niczego. — Wit chce, żebyś dotarł do Otranto z przekonaniem, że jechałeś tak szybko, jak się dało, a w rzeczywistości będziesz płynął tak wolno, że on dużo wcześniej się tam znajdzie.

Wciąż jeszcze niczego nie rozumiałem, dlatego rzekłem głupio:

— Ale przecież nie jedziemy do Rzymu!

— Widzę, Williamie, że jednak trudno ci myśleć jadąc.

— Najlepiej wyłóż wszystko od początku, zaczynając od twojej drewnianej nogi!

Amalfitańczyk roześmiał się i poklepał po drewnie.

— Jej poprzedniczka najpierw zrobiła się sina, a potem czarna. Wiedziałem, że to gangrena i że będę musiał na dobre zwinąć żagle. Ale Gersenda posłała do Arezzo po arabskiego medyka, który zjawił się w środku nocy z pomocnikiem i całym sprzętem. Powiedział tylko: „Jeśli nie będziemy zwlekać, pożyjesz ze sztywną drewnianą nogą, inaczej legniesz cały sztywny w drewnianej trumnie. Teraz jeszcze mogę ci uratować kolano.” Tak zrobiliśmy i w rezultacie zostałem u Eliasza jako podczasy. Bombarone zna się na winach, a mnie ta posada całkiem odpowiadała. Potem cesarz wezwał go do siebie jako wiernego doradcę, bo nie ufał już chyba wielu osobom ze swego otoczenia. Na to tylko czekali papiescy. Zaledwie Eliaz wyjechał, napadli na nas. Wit, zdaje się, czegoś szukał. Przetrzęsnał kufry i skrzynie, ale chyba nic nie znalazł. Mnie Gersenda przedstawiła jako domowe popychadło i Wit się tym zadowolił. A potem ty się zjawiłeś. Gdy na podwórku zakładano ci żelaza, viterbczyk wezwał mnie i Roberta, którego jak psa na łańcuchu przyprowadził do Cortony. Rozkazał mi przykuć go w piwnicy jako więźnia,

żebyś widział, jaki los ci szykuje. A że przedtem dobrze cię nastraszył, to i mógł oczekiwać, że będziesz się starał zaraz uciec. A o to mu właśnie chodziło: chciał, żebyś w panice popędził do hrabiny i tam wywołał zamęt.

— Nie mogłem być obojętny na los biednego Hamona i zdrady Eliasza!

— Williamie — rzekł Guiscard rozbawiony -. wciąż niczego nie rozumiesz: ani Hamo nie jest w ich rękach, ani Eliasz nie myśli o tym, żeby się z nimi zadawać! Oni nic nie wiedzą! To wszystko wymysły Wita wygłaszane po to, żeby cię złamać. Tylko ty jesteś dla niego punktem zaczepienia! — Amalfitańczyk popatrzył na mnie współczująco, ja jednak z trudem cokolwiek pojmowałem. — „No cóż”, powiedziałem do pana z Viterbo, gdy ku jego zadowoleniu przygotowałem w piwnicy widowisko z Robertem i paroma żołnierzami, „wasz Robert może przez parę godzin odgrywać rolę człowieka skazanego na śmierć, ale nie daje gwarancji ucieczki i osiągnięcia celu, któryście zamierzali.” Wit nabrał do mnie zaufania i zauważył: „Szkoda, że ty z twoją ułomnością...” „Uda mam ciągle dość mocne dla każdej szkapy i każdej baby!” powiedziałem grubiańsko, bo taki język on rozumie. „Mógłbym zaprowadzić tego Williama, gdzie sobie życzycie, nawet do piekła!” Wtedy podał mi rękę i mieszek złota. „Tego durnia Roberta”, powiedział, „nie omieszkaj pchnąć w serce, skoro tylko wypełni swe zadanie, Williama zaś doprowadź do Ostii i przekaz komendantowi portu wraz z zapieczętowanym listem, który zaraz ode mnie dostaniesz. Potem wróć, a ja jeszcze raz sowicie cię wynagrodzę!”

W tym miejscu przerwałem Guiscardowi:

— Teraz ja się założę, że w liście jest również napisane, aby towarzyszącego Williamowi człowieka pozbyć się na miejscu.

— Niewykluczone, ale w tej chwili nie ma to już znaczenia, bo wszystko odbędzie się zupełnie inaczej. O szczegółach opowiem ci w Pizie. Teraz musimy się pospieszyć, bo szybkość jest warunkiem wszelkich czarów, które wprawiają w zdumienie, a przecież pana z Viterbo nie chcielibyśmy pozbawić niespodzianki. Ostatecznie za nią zapłacili!

Daliśmy koniom ostrogę i głęboką nocą dotarliśmy do Pizy.

## GNIIEW W OSTII

*Castel Sant' Angelo, wiosna 1247*

Dwaj mnisi przesunęli drabinę wraz z rusztowaniem przed środkową ścianę *mappae mundi*, tam, gdzie u góry rozciągały się rdzenne kraje germańskie, a niżej, poczynając od Lombardii, italski but przyłączał się do niemieckiej Rzeszy.

— Wielka bieda — żalił się głośno mnich w habitie franciszkanina — że właśnie teraz, gdy chciano Raspego koronować, pojawił się ten straszliwy Konrad, pobił go na gło-

wę i jego stronników rozpędził na cztery wiatry...

Drugi z mnichów, dominikanin, usunął obojętnie z mapy sztandar i królewską figurę jeźdźca w barwach Turyngii i wrzucił jedno i drugie do koszyka u swoich stóp.

— Landgraf nie miał dość energii, żeby sprostać Fryderykowi i jego synowi. Tchórz! Skrył się i lizał rany...

— Zmarł z nieszczęśliwej miłości! — lamentował minoryta. — Okropność!

Nie okazując wzruszenia dominikanin umieścił na terenie osieroconego hrabstwa nową figurę.

— Teraz książe Brabancji — objaśnił — bierze hrabstwo w posiadanie pod pretekstem, że musi chronić swoją córkę, małżonkę zmarłego landgrafa. Może chce również...

— Szymonie z Saint-Quentin, usuń natychmiast Brabantczyka! — rozległ się nagle z góry głos Szarego Kardynała, który zjawił się na galerii i przysłuchiwał rozmowie. Mnisi drgnęli i uczynili, jak rozkazał. — Wilhelm z Holandii jest teraz najbliższy naszemu sercu! Pamiętajcie o tym!

Mnisi zaczęli grzebać w koszykach, szukając właściwej figury, tymczasem spojrzenie wysokiej, chudej postaci w szarej masce zwróciło się już ku obszarom północnej Italii.

— Okaż naszą łaskę także Farmie — zwrócił się kardynał do franciszkanina — i przypomnij mi o tym za dwa miesiące.

Minoryta skulił się jak pod uderzeniem bata. Pod łukiem portalu ukazał się brat fur-tian.

— Przybył Wit z Viterbo — zameldował nieśmiało.

— Skieruj go do Archiwum do spraw Rzeszy, niech tam czeka.

Szary Kardynał rzucił jeszcze niechętnie spojrzenie na Morze Śródziemne i zniknął z galerii, wychodząc przez niewidoczne z dołu drzwi w filarze.

Kartografowie ośmielili się podnieść wzrok dopiero wtedy, gdy zaopatrzyli Parmę w proporczyk i krzyż.

— Ha! ale jego eminencja ani pisał o tym, że Hohenstauf właśnie nakazał Południu, by złożyło hołd jego synkowi Carlottowi — zakpił po cichu Szymon, bardziej opanowany niż jego konfrater.

— Z pewnością go to nie cieszy — usprawiedliwiał trwożliwy Bartłomiej swego pana i władcę.

— Cieszy natomiast króla Anglii. Przecież to dziecko jego siostry!

Wit chodził niespokojnie między wysokimi regałami Archiwum do spraw Rzeszy.

— Okażcie zrozumienie, eminencjo — powiedział głośno w pustą przestrzeń, przyzwyczajony, że niewidzialny zwierzchnik zawsze i wszędzie go słyszy. — Mam niewiele czasu, muszę jeszcze dziś wypłynąć z Ostii...

— Dlaczego już wróciłeś? — zachrypiął tuż za nim napawający wszystkich łękiem głos. Szary Kardynał z odsłoniętą twarzą wszedł bezszelestnie przez tajne wejście w ścianie książek. — Poleciałem ci wykurzyć z Alp tę bandę Saracenów!

Rajner z Capoccio, kardynał diakon od Najświętszej Marii Panny z Cosmedin, miał na sobie uroczysty strój i nic w jego wyglądzie nie nasuwało podejrzeń, że to jest właśnie ów Szary Kardynał, budzący grozę strażnik szczęścia i nieszczęścia *Patrimonii Petri*. Był wysokim mężczyzną o wyrazistych rysach, posiwałym, lecz tryskającym taką energią, że nie sposób było określić dokładnie jego wieku, który dało się jedynie szacować między końcem pięćdziesiątki a początkiem siedemdziesiątki.

— To już teraz zbyt późno — chełpił się Wit — ponieważ William z Roebruku wpadł w moje ręce w Cortonie. Wcale nie był u Mongołów...

— Oczywiście, że nie, był u Saracenów! — Stary Rajner usiadł na jedynym krześle, tak że Wit stał przed nim jak nowicjusz. — Co cię pogało do Cortony? — Kardynał nie był w dobrym nastroju, gniewało go bowiem, że musi się rozprawiać z samowolą Wita, mając do rozstrzygnięcia ważniejsze sprawy. — Odpowiadaj!

Wit nie był dostatecznie wrażliwy, aby właściwie ocenić nastrój swego rodziciela.

— Zajrzałem do Eliasza, ma wyborne wina w piwnicy.

— Oszalałeś? Akurat wtedy, gdy tajne rokowania przygotowują jego powrót na łono Kościoła, ty plądrujesz...

— Mam Williama! — przypomniał Wit, przeświadczony o wartości swego sukcesu.

— Pokaż go! — Rajner, który miał głowę zajęta rozwiązywaniem całkiem innych, daleko bardziej dla Kościoła aktualnych problemów, stracił cierpliwość. Jednakże Wit wciąż jeszcze nie pojmował, że jego zdobycz nie stanowi w tej chwili żadnego atutu, a cóż dopiero mówić o powodzie do tryumfu.

— Nie mogę. Jest z mojego polecenia w drodze do Otranto, aby hrabinę i te dzieci wypłoszyć z zamku jak nietoperze przestraszone światłem słońca! — Wit przyjmował swój własny zapal jako miarę wszystkich rzeczy.

— Dlatego muszę natychmiast wyruszyć... — Wreszcie przerwał.

Kardynał obserwował Wita, owoc swoich lędźwi w najlepszych męskich latach, kiwając ponuro głową. Światło słońca! Czy ten obrzydliwiec nigdy nie nabierze rozwagi, jaka cechowała panów z Capoccio? Niewłaściwe postęпки nie mogą liczyć na wybaczenie.

— Kto ci gwarantuje — zadał sobie trud, żeby brzmiało to życzliwie, mimo to w jego głosie dało się słyszeć sarkazm — że ten William, znalazłszy się na wolności, jedzie do Apulii?

— Pokazałem mu piekło. — Witowi było przykro, że przed tym starcem wciąż wychodzi na głupca. — Zapaliłem mu ogień pod zadkiem zapowiedzią, że wyślemy tam Eliasza...

— Bardzo dowcipnie! — kardynał z trudem panował nad sobą.

— Przekupiłem w Cortonie niezawodnego człowieka, podczaszego u Bombarona — ciągnął niestropiony Wit — żeby w Rzymie wsadził Williama na nasz najwolniejszy statek. W ten sposób będę z flotą w Otranto dużo wcześniej niż on i zawładnę trierą!  
— Wit oczekiwał przynajmniej teraz uznania dla swoich strategicznych zdolności.

— Podczaszy!... Wino musiało ci mocno zasumieć we łbie! — warknął starzec.  
— Dam ci dwa statki, nie więcej!

Zapukano do drzwi i furtian zameldował przybycie legata, Andrzeja z Longjumeau. Teraz Wit pojął, dlaczego kardynał przyjmuje go w takim stroju. Och, jakże nienawidził tej przemyślanej taktyki! Chciał się pożegnać, ale Rajner kazał mu zostać.

Wszedł Andrzej, furtian przyniósł stołek dla legata. Wit stał nadal.

— Przecież wysłałem do Ostii Mateusza z Paryża — zaczął kardynał po powitaniu i braterskim pocałunku, nie przedstawivszy legatowi Wita.

— Miał się zatroszczyć o statek, żebyście niezwłocznie popłynęli do Lyonu, do Ojca Świętego, który czeka na was niecierpliwie.

Legat, niezwykle zdenerwowany, nie usiadł mimo zaproszenia, lecz ze wzburzeniem przystąpił do relacji:

— Mateusz czekał na pomoście, ale ledwie mnie przywitał, zawołał: „Toż to upiór! Wszelki duch... Tam, po drugiej stronie, idzie William z Roebruku! Przecież nie mógł jeszcze wrócić od Mongołów! Chodźcie, Andrzeju, trzeba go aresztować!” Odpowiedziałem mu: „Drogi Mateuszu, najpierw postarajcie się o statek dla mnie, a potem aresztujcie, kogo chcecie!” Mateusz jednak po prostu mnie zostawił! — zirytowany legat nie ukrywał oburzenia. — Podbiegł do franciszkanina, ujął go przyjaźnie pod ramię i gawędząc ruszyli obaj do komendanta portu. Jakbym ja w ogóle nie istniał!... William wyciągnął jakiś dokument i wręczył go komendantowi, który złamał pieczęć, przeczytał pismo, przywołał swych żołnierzy i kazał aresztować Mateusza, chociaż ten krzyczał, że to pomyłka i że ten drugi jest Williamem z Roebruku. Komendant jednak z wyszukaną grzecznością zaprowadził tamtego do statku, którego bym zresztą nie wziął, bo bardziej zbutwiełej łodzi nie było w całym porcie. Straciłem cierpliwość, ale nic nie wskórałem. „To był ostatni statek, jakim dysponowałem, panie legacie!” oświadczył zuchwale komendant. „Radziłbym waszej wielbności zatrzymać się na kilka dni w Rzymie. Powiadomię was, jak tylko będzie wolny jakiś statek.” „A ten tam?” wskazałem na zgrabny, szybki żaglowiec, który czekał w pełni otakielowany, gotów do wypłynięcia. „Zarezerwowany dla specjalnej misji!” odprawił mnie ten człowiek. „Jestem legatem!” natarłem na niego. „To oburzające! Najpierw perfidna Wenecja nie pozwala mi jechać po *terra ferma*\* przez Lombardię...” „Mądrzy Wenecjanie nie pozwolili tylko, aby legat papieski narażał się na niebezpieczeństwo”, pouczył mnie komendant. „Potem za podwój-

---

\* Terra ferma (łac.) — stały ląd; określenie używane przez Wenecję dla odróżnienia jej posiadłości na wyspach laguny.

na opłatą zmusza mnie do podróży przez wody hohenstaufowskie wokół całego buta, i to tylko do Ostii! Z powodu Pizańczyków! A teraz wy, panie komendancie, traktujecie mnie jak...” Zabrakło mi słów, ale ten gbur ośmielił się za mnie dokończyć: „Jak nierozsądnego legata, który nie wsiadł od razu w Ziemi Świętej na genueński statek.” „Macie czelność!...” krzyknąłem. „Możecie się poskarżyć”, odparł. I to właśnie tutaj czynię. — Ciężko dysząc po wyczerpującej relacji z doznanych przykrości, Andrzej opadł na stołek w przekonaniu, że powinien tutaj siedzieć, aż urzędujący kardynał coś w jego sprawie zaradzi.

Ten istotnie zerwał się żwawo i położył rękę na ramieniu Andrzeja.

— Dostaniecie najpiękniejszy statek, natychmiast otrzymacie pełne zadośćuczynienie za wszystkie krzywdy, któreście wycierpieli w imię Chrystusa!... — I tak pochlebiając legatowi, wyprowadził go z pokoju.

Wit chciał wyjść za nimi, lecz kardynał zamknął mu drzwi przed nosem. Szczęk dwukrotnie przekręconego klucza zdradził, że zabawa się skończyła. Wprawdzie podczas lamentów pechowego gościa Wit wymienił ze swym rodzicem kilka rozbawionych spojrzeń, ale od wiadomości o aresztowaniu Mateusza twarz Rajnera stała się znów kamienną maską, jakby starzec opuścił przyłbicę.

Wit usiadł na stołku przyniesionym dla Andrzeja z Longjumeau i podparł głowę rękoma.

Tymczasem kardynałowi Rajnerowi z Capoccio, panu Viterbo, nie udało się od razu pozbyć papieskiego legata.

— Co z tym obiecany statkiem? — dopominał się Andrzej. — Mam przekazać Ojcu Świętemu ważne listy...

— A, macie na myśli ten list, któryście odebrali Wawrzyńcowi z Orty? — powiedział kardynał.

— Tylko zamieniłem — sprostował legat. — Sam! — zaznaczył i z tryumfującą miną wy dobył z zanadrza list sułtana do papieża.

— Mogę spojrzeć? — spytał kardynał pełen podejrzliwości.

— Ostrożnie! Nie naruszcie pieczęci! — Andrzej wręczył *corpus delicti*\* Rajnerowi.

Zaledwie kardynał rzucił okiem na pismo, wybuchnął sardonicznym śmiechem. Podsunął legatowi pod nos odcisk jego własnej pieczęci.

— To ma być pieczęć sułtana z Kairu?

Andrzej zrobił się blady jak kreda.

— Niemożliwe! — wystękał. Ku jego przerażeniu kardynał złamał pieczęć i otworzył pismo. Ze środka wyleciała karteczka; Rajner podniósł ją i przeczytał:

— „William z Roebroku pozdrawia Mateusza z Paryża...”

---

\* Corpus delicti (łac.) — dowód rzeczowy świadczący o przestępstwie.



Teraz i kardynałowi zamarł śmiech na ustach. Zgniół kartkę, rzucił legatowi list pod nogi, po czym odwrócił się i bez pożegnania wypadł z sali.

Wit tkwił nadal w Archiwum do spraw Rzeszy i wadził się z samym sobą. To ta przekłeta próżność, chęć, żeby się popisać przed starcem, skłoniły go, aby najpierw złożyć sprawozdanie w zamku Anioła, zamiast pospieszyć wprost do Ostii...

— Czekam — zabrzmiał w pokoju lodowaty głos. — Co masz mi do powiedzenia poza tym, że nie pytając o zgodę chciałeś zabrać mój statek?

Zanim Wit, wiedząc, jak wrażliwy jest Rajner na punkcie swego statku, zdołał otworzyć usta, znowu ktoś zapukał do drzwi.

— Przybył sekretarz komendanta portu — zameldowano. — Pilne!

Wit zawahał się.

— Każ złożyć sprawozdanie! — rozkazał głos, opryskliwy, lecz przytłumiony.

Drzwi otwarły się i wpuszczono sekretarza, starszego mężczyznę przywykłego do rzeczowego składania raportu.

— Komendant portu powiadamia: statek przekazany zgodnie z rozkazem Williamowi z Roebruku został zatopiony i zablokował wyjście z portu. Toporami wybito dziury w burtach. — Sekretarz nie bacząc, że Wit zbladł jak ściana, ciągnął: — William z Roebruku przesiadł się na pizański statek, który pojawił się nagle od strony morza i potem wziął kurs na południe. Przed odpłynięciem ryzykownym manewrem starano walczyć z żaglowiec jego eminencji i rozpruł mu burtę.

Niezdarny viterbczyk zapadł się w sobie i wyglądał jak kupka nieszczęścia.

— Komendant portu melduje jeszcze: rozpoznał człowieka, który z kilkoma kompanami dokonał abordażu i zawładnął statkiem Williama z Roebruku. To Guiscard, Amalfitańczyk, niegdyś osławiony pirat, ten sam, który przed dwoma laty tak zuchwale zaatakował port i wtargnął łodziami w górę Tybru aż do zamku Świętego Anioła. Pan komendant jest tego pewien, mimo że ten człowiek ma teraz drewnianą nogę!

Sekretarz skończył meldunek i spojrzał wyczekująco na Wita. Ten gapił się na niego jak na widmo, zjawę, która wyszła z grobu. Wyciągnął palce w jego kierunku, jakby chciał go przebić na wylot. Gdy znowu ukrył głowę w dłoniach, sekretarz zaniepokojony przeżegnał się ukradkiem.

— Poza tym — dodał jeszcze, zebrawszy się na odwagę — pan komendant prosi, ze względu na wyjątkowe okoliczności, by potwierdzić rozkaz wykonania wyroku na towarzyszu Williama z Roebruku. Człowiek ten twierdzi, że jest Mateuszem z Paryża i że zaszła pomyłka...

— Wymierzyć mu dwadzieścia kijów! — rozległ się nagle głos, który sekretarza napęłnił strachem. — A potem przysłać go tutaj!

Sekretarz skłonił się w kierunku, skąd dochodził głos, potem przed Witem i odetchnął

z ulgą, gdy znalazł się za drzwiami. Ponownie dało się słyszeć dwukrotne przekręcenie klucza.

— A więc ten Amalfitańczyk był twoim zaufanym człowiekiem...

Głos dochodził teraz jakby z oddali, chociaż kardynał zajął z powrotem swoje miejsce. Nie ukrywał bezmiernego rozczarowania, a powstrzymywany żal nie zapowiadał dla Wita szczególnych względów, przeciwnie, wymierzenie własnemu synowi surowej kary.

To, co ich dotąd łączyło, musiało zostać przecięte. Cięcie, pomyślał Wit, zdecydowane cięcie jest nieuniknione, pytanie tylko, na co padnie wybór: *testa o croce*.<sup>\*</sup> Pierwsze oznaczało utratę głowy, było ostateczne, krzyż należało dźwigać.

— Ukarczcie mnie! — odezwał się Wit. — Zasłużyłem na śmierć.

— Tysiąc batów byłoby zbyt małym zadośćuczynieniem za los, jaki mi zgotowałeś. Każdy dzień twojej egzystencji to dla mnie dzień kary. Muszę to zakończyć. — Głos brzmiał głucho i wydawał się zmęczony. — Nie umiem już wymyślić żadnej pokuty.

— Dajcie mi statek i nigdy więcej mnie nie ujrzycie, chyba że przyjmiecie za mój głupi łeb głowy tych dzieci. Pojadę...

— Ech, Wicie — westchnął starzec — nigdy tego nie zrozumiesz. Nie jesteś synem, jakiego sobie zawsze życzyłem, lecz bastardestem. To także moja wina i zapewne nieczyste sumienie sprawia, że nie chcę cię więcej widzieć...

— Nie traćmy więc czasu, bo... — Wit, ledwie uratowawszy swoją głowę, widział tylko oddalającą się zdobycz. Kardynał roześmiał się.

— Jesteś niepoprawny! Pod tym jednym względem nieodrodny z ciebie Capoccio. Zapomniałeś już, że ptaszki dzięki twoim ostrzeżeniom zdążą wyfrunąć z gniazda?

— Mogę ich jeszcze...

— Nie, nie możesz i nie wolno ci tego zrobić. Kościół nie ma czasu do stracenia. Dzieci przedstawiają dla niego niewielkie niebezpieczeństwo. Zagrożenie bierze się tylko z planu tych, którzy je mają w swoich rękach.

— Chcecie je żywe czy martwe? — Wit nabrał znów nadziei.

— Nie wiem — mruknął Szary Kardynał po długim namyśle. — Jak długo ja czuwam nad losami następców Piotrowych, mogę sobie wyobrazić wykorzystanie dzieci do naszego panowania na ziemi. Ale kiedy mnie zabraknie... — dostał w tym momencie takiego napadu śmiechu, że Wit sądził, iż starzec się udusi. — Jeśli takie ptasie mózdzki jak twój będą kierowały czynami tych dwojga, lepiej, żeby dzieci umarły!

— A więc ja z moim ptasim mózdzkiem mam swobodę...

— Względna — oznajmił kardynał zimno. — Wyruszysz najbliższym statkiem, tym, którym legat Anzelm z Longjumeau popłynie na Morze Czarne. Ma złożyć w Tebrizie

---

<sup>\*</sup> Testa o croce (wł.) — dwie strony monety, awers i rewers.

wizytę chanowi Bajdzu.

— Dziękuję wam, eminencjo! — zawołał Wit uradowany, zerwał się ze stołka i padł na ziemię krzyżem, jak kapłan przed otrzymaniem święceń. Fra'Ascelin, przebiegło mu przez głowę, Anzelm, młodszy brat tego Andrzeja, który właśnie wrócił. Z Anzelmem dojdzie do porozumienia, znają się przecież nie od dziś, nawet jeśli dzieli ich znaczna różnica wieku, a może właśnie dlatego. No i w końcu obaj są dominikanami!

Kiedy podniósł się z podłogi, kardynała nie było już w pokoju. Po chwili rozległ się jego beznamienny głos:

— Straż! — rozkazał. — Wit z Viterbo zostaje pozbawiony wszelkich urzędów, jak i wszelkich praw rozporządzania w zamku, wojsku i porcie. Zakuć go w kajdany i zabrać do Ostii!

Sekretarz komendanta portu, który zgodnie z poleceniem czekając w westybulu zdrzemnął się, został gwałtownie wyrwany ze snu, gdy ostry głos szczerknął mu prosto do ucha:

— Przekaż komendantowi portu, żeby przydzielił Wita z Viterbo, od tej chwili pozbawionego wszelkich honorów i praw, do statku legata Anzelma z Longjumeau, kiedy przybędzie z Lyonu. Przez najbliższe dziesięć miesięcy Wit z Viterbo ma być przykuty do wiosła!

— Traktowanie specjalne? — spytał rzeczowo sekretarz, nawykły do wszystkiego, także do nagłych upadków wielkich panów, którzy jeszcze wczoraj mogli życie prostego sekretarza zamienić w piekło.

— Tak — zabrzmiał głos, teraz już nie bezpośrednio przy jego uchu, gdyż sekretarz stał w pełnej szacunku postawie. — Nadzorcy wiosłarzy nakazuje się nie rozkuwać więźnia ani w nocy, ani w porcie, mieć na niego oko i nie zapominać o batach.

— Pan legat Andrzej z Longjumeau chce popłynąć do Lyonu. Komendant myślał...

— Nie, ten legat może poczekać. Zależy nam, żeby Wit z Viterbo bez zwłoki wyruszył w drogę.

## ZWIASTUN NIESZCZĘŚCIA

*Otranto, wiosna 1247*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Od mojej „ucieczki” z Cortony i rozstania z siłaczem Robertem we wszystkim, co dotyczyło podróży do Otranto, zdałem się całkowicie na śmiałe plany Amalfitańczyka. Pizański szybki żaglowiec, wtargnąwszy do portu w Ostii, by Guiscarda i mnie zabrać na pokład z tonącej papieskiej barki, tylko raz na krótko przybił do lądu w Messynie,

a potem płynął już nieprzerwanie i minawszy Zatokę Tarencką, zbliżał się teraz do przyładka Leuca.

Okrutnie cierpiałem, gdy statek z kawalerską fantazją śmigał po falach, ale Guiscard wciąż naglił do pośpiechu.

— Jeśli dobrze oceniam Wita z Viterbo — zwierzył mi się — z pewnością staranuje zatopioną barkę, by nie tracić czasu i ruszyć za nami w pościg jak trafiony harpunem rekin.

— Zwłaszcza jeśli się dowie, że dzielny podczaszy jest w rzeczywistości sternikiem diabła! — jęknąłem i zwymiotowałem ponad relingiem, mając nadzieję, że to już po raz ostatni. Przed nami pojawiła się wieża przyładka Leuca, którą opłynęliśmy karkołomnym manewrem, co mi jeszcze raz wywróciło żołądek do góry nogami. Polecając się Bogu, uśmiechnąłem się jednak do mego oprawcy. Zdażyliśmy, Wit nas nie wyprzedził!

Po raz pierwszy zobaczyłem Otranto z morza: miasto, zatokę i kasztel. Potężny zamek wznosił się dumnie na skałach i jeśli już od strony lądu, co pamiętałem z mej wyprawy z Eliaszem, sprawiał wrażenie twierdzy nie do zdobycia, to od strony morza wyglądał jak czające się drapieżne zwierzę — ciosu jego łapy musiał się obawiać każdy przepływający w zasięgu wzroku statek. Z umocnionego portu wystrzeliła jak z procy sławna triera hrabiny i z wydętymi żaglami oraz morderczo błyszczącymi wiosłami ruszyła prosto na nas.

Pizański kapitan spiesznie wywiesił flagę i triera skręciła w bok. Rozległ się straszliwy wrzask, gdy żołnierze hrabiny rozpoznali swego starego bosmana, teraz z drewnianą nogą. Amalfitańczyk, aby udowodnić, że nie stracił jeszcze swej małpiej zręczności, złapał się jednej z lin zwisających z masztu, rozhuśtał wedle najlepszej pirackiej manieri i skoczył na trierę, gdzie złapały go ręce wiosłarzy i podrzuciły trzykrotnie do góry. Potem wypito jego zdrowie.

Nasz kapitan zakotwiczył żaglowiec przy nabrzeżu, ponieważ Guiscard zapewnił go, że otrzyma od hrabiny zapłatę za podróż. We trzech stanęliśmy zatem przed Laurencją, która wydała mi się niezmieniona, ale niezbyt uradowana moją wizytą. Nie zdążyła jednak ubrać swego niezadowolenia w słowa, drzwi bowiem rozwarły się gwałtownie i do pokoju wtargnęły dzieci.

— William! William!

Omam mnie nie rozerwały. Te przed trzema laty bledziutkie stworzenia, które uratowaliśmy przed zagładą w Montségur, były teraz opalonymi, muskularnymi hultajami. Mała Jeza, zuchwała jak zawsze, odrzuciła do tyłu jasne warkocze i spróbowała jednym susem znaleźć się na mej piersi, ale jej się to nie udało.

— Gdybyś nie miał takiego wielkiego brzucha, Williamie!... — roześmiała się.  
— Powiedz, jak dziewczęta cię całują?

— Panna, która się ceni — zbeształ Rosz swoją towarzyszkę — nie pozwala sobie na to, poza tym — przyszedł mu do głowy dodatkowy argument — Williama nie należy całować, bo jest mnichem!

— Co nic nie znaczy — wmieszała się Klarion. — A teraz wynoście się!

— William ma zostać z nami... — sprzeciwił się Rosz, a Jeza chwyciła mnie mocno za ramię.

— William dopiero co przybył i z pewnością zostanie przez noc — wtrąciła się kwaśno hrabina — więc teraz dajcie mu już spokój!

Pokojowe stały w drzwiach i pokornie przywoływały do siebie nieznośne dzieciaki; wyprowadzać ich na siłę służba już się chyba nie ośmielała.

— Nie wyglądasz na zagłodzonego, Williamie. — Laurencja popatrzyła na mój wydatny brzuszek, prześlizgnęła się obojętnym wzrokiem po pizańskim kapitanie i zatrzymała spojrzenie na Guiscardzie, o którego przygodach świadczyła przynajmniej drewniana noga. Staliśmy przed hrabiną niczym trzej petenci. — Co mogę dla was zrobić przed dalszą podróżą? — spytała.

Zaledwie to wymówiła, drzwi rozwarły się ponownie i dzieci wciągnęły do sali starszawego minorytę, który bronił się ze śmiechem.

— To twój przyjaciel, Williamie! — oznajmił Rosz i oczekiwał mego entuzjastycznego potwierdzenia, podczas gdy ja niczego tak się nie bałam jak spotkania z jakimś konfratrem.

— Wawrzyniec z Orty — dokonała prezentacji hrabina — legat papieski. — Rozpoznałem go natychmiast. To on ostrzegł mnie w Farmie przed Witem i pomógł nam w ucieczce z miasta. Mrugnąłem do niego porozumiewawczo. — A to William z Roebruku, były preceptor króla Francji, chwilowo ścigany zbieg — dodała szyderczo.

Legat powitał mnie przyjaźnie, nie dając po sobie poznać, że już się kiedyś spotkaliśmy.

— Wreszcie widzę cię twarzą w twarz — roześmiał się bez złości — najbardziej poszukiwany franciszkaninie Wschodu i Zachodu! — Zwrócił się teraz, mrugnawszy łobuzersko, do dam. — Mamy kilku wspólnych wrogów, ale także arcymile przyjaciółki, wybitne przedstawicielki płci pięknej! — Próbowałem gorączkowo nie dopuścić, by powiedział coś niestosownego, lecz nie zwracał na mnie uwagi. — Pocziwą Gersendę — ciągnął — Ingolindę...

— Dzieci — wmieszała się hrabina — marsz do łóżek! — Usłuchały, tylko Jeza pisnęła na odchodnym:

— I mnie! O mnie zapomnieliście, a ja też jestem dobrą ladacznicą!

Klarion postarała się, by drzwi za łobuzami jak najszybciej się zamknęły.

— Miłosne historie opowiecie sobie może kiedy indziej! — syknęła Laurencja. — Do nietaktów Williama jesteśmy już przyzwyczajeni, ale wy, Wawrzyńcze, powinniście się

wstydzić! W waszym wieku i do tego jako *legatus papae!*...

Ku memu zadowoleniu mój konfrater ani się nie zawstydził, ani nie dał zbić z tropu.

— Szczęcę się tym, że Eros dotrzymuje mi jeszcze towarzystwa, tym bardziej że słu-  
by czystości niczym anioł z mieczem ognistym chciałyby go ode mnie trzymać z daleka.  
Ich konflikt sprawia, że czuję się młody!

Laurencja porywczo podeszła do okna; aluzję do wieku sama wprowadziła do gry  
i to rozgniewało ją najbardziej. Nie opanowawszy się natarła na kapitana:

— A wy na czym miłosnym żołdzie zostajecie?

Nim Pizańczyk, urażony w swej godności, zdołał coś gniewnie odpowiedzieć, wystą-  
pił znający swą panią Guiscard, który podobnie jak Klarion dotąd znosił cierpliwie, ra-  
czej przykro dotknięty, całe widowisko.

— Ten człowiek ma otrzymać zapłatę za przewiezienie Williama z Roebroku z Pizy  
do Otranto wedle taryfy dla szybkiego żaglowca w specjalnej misji.

Hrabina przełknęła to.

— Niech konetabl wypłaci mu tyle, ile zażąda — poleciła — i od razu za podróż po-  
wrotną. Zabierze do Pizy i pana legata, i Williama. Tam obaj powinni się dobrze rozej-  
rzeć i udać albo do papieża, albo do diabła!

— Bardzoście łaskawa, pani. Szambelan kurii rzymskiej może pomóc i w tym,  
i w tym.

Podczas gdy Wawrzyniec z Orty szczerząc zęby w szerokim uśmiechu szukał cze-  
goś w kieszeni, Pizańczyk pożegnał się skąpym ukłonem i wyszedł w towarzystwie Gu-  
iscarda.

Legat wyciągnął trzy pełne węzłów rzemienie i podsunął je hrabinie pod nos.

— Wasz wierny przyjaciel, kanclerz Tarik, prosił mnie, żebym je oddał w Lucerze. Do  
tego już oczywiście nie dojdzie. Ponadto przecucie mówi mi, że te węzłki nie ozna-  
czają nic dobrego: jeden odnosi się chyba do naszego przyjaciela Williama, którego Cre-  
an z Bourivanu akurat daremnie poszukuje na dalekiej północy, drugi rzemień dotyczy  
was, hrabino, a może dzieci. Tylko przeznaczenia trzeciego nie jestem pewien...

Laurencja zbladła, usłyszawszy te słowa, opanowała się jednak szybko.

— Nie wiecie, że jeden rzemień zawsze dotyczy doręczyciela? Taka jest reguła asa-  
synów. Przeważnie oznacza to śmierć! — Napawała się teraz przerażeniem mego kon-  
fratra, na którego głowie wianuszek włosów lekko drżał. — Skoro jednak wy do póź-  
nych dni życia korzystacie ochoczo z rozkoszy, może nie będzie wam przykro udać się  
do rajy Proroka — podała Wawrzyńcowi pomarszczoną dłoń do ucałowania — chyba  
że wzbronili wam wejścia anioł z mieczem ognistym!

Legat niepewnym ruchem wetknął rzemienie z powrotem do kieszeni i zamyślony  
opuścił pokój. Mnie nie mogło już nic przerazić.

Właściwie dlaczego nie miałbym wrócić z Wawrzyńcem?, pomyślałem. Czemu nie miałbym zaoferować znowu swoich usług królowi i zapomnieć o całej historii jak o przypadkowym potknięciu? Wawrzyniec, franciszkanin jak ja, choć w randze legata, mógłby wysłuchać mojej spowiedzi za te trzy „grzeszne” lata. Przez jakieś pół roku, no, może przez trzy miesiące, pokutowałbym w klasztorze, a potem mógłbym na nowo podjąć studia w Paryżu...

— Po co tu jeszcze sterczysz, ty zwiastunie nieszczęścia? — wyrwał mnie z rozmyślań ostry głos hrabiny.

— Wit z Viterbo, oprawca kurii rzymskiej, wie, że dzieci są tutaj! — broniłem swej niepożądanego obecności.

— Szkoda, że nie uczeplił się twojej słoniowej nogi! — szydziła Laurencja zupełnie nieporuszona. — Papiescy nie odważą się zjawić w Otranto...

— To diabeł wcielony, nie spocznie ani na chwilę — wyjąkałem. — Już jest w drodze...

— Teraz dopiero o tym mówisz? — fuknęła hrabina, wyprowadzona wreszcie z równowagi. — Jesteś pewien?

— Jak słoń!

Laurencja patrzyła na mnie nie z życzliwością co prawda, ale już przynajmniej nie jak na natrętną grubą muchę plujkę.

— Zostaw nas same — rozkazała i odwróciła się do Klarion.

— Proszę, żeby William zaczekał na zewnątrz — zażądała dziewczyna. — I żeby nie wyjeżdżał!

Tak poważnej Klarion z Salentyny nigdy nie widziałem, dotychczas była raczej zrezygnowana z powodu roli, jaką jej życie narzuciło. Wprawdzie przekroczyła już chyba dwudziestkę, ale nie była jeszcze bynajmniej starą panną! Uśmiechnąłem się do niej i opuściłem pokój.

Ponieważ kazano mi czekać pod drzwiami, mogłem z czystym sumieniem wszystkiego wysłuchać.

— Otrzymałam wiadomość z Foggii od Konstancjusza — rozpoczęła hrabina. — Cesarz nie chce, żebym mu wychowywała wszystkich bastardów. Pyta, czy zamierzam w Otranto stworzyć ostoję dla jego krwi i jakim buntownikiem przeciwko niemu, Fryderykowi, pragnę zaoferować służbę.

— Tak mój ojciec nie może mówić!

— Nie znasz go. Pytał też, czy Salentynka jest taka brzydka, że nie może sobie znaleźć męża, i czy nie powinien jej jakiegoś wyszukać.

— Na miłość boską! — przeraziła się Klarion. — Co za potwór! Uciekajmy!

O ile podsłuchując pod drzwiami odniosłem wrażenie, że hrabina z zarozumiałością w głosie przekazuje wychowanicy posłanie Czerwonego Sokoła, które na pewno było

zaszyfrowane i niekoniecznie tak właśnie brzmiało, o tyle wydało mi się, że przy omawianiu dalszych spraw była zażenowana.

— Powinnyśmy taką możliwość mieć na uwadze... — powiedziała.

— Zanim Hohenstauf zażąda wydania dzieci — wpadła jej w słowo Klarion.

— I zanim pojawi się tutaj ten Wit. Nie chodzi o to, żebym się obawiała papie-skich, nie są mi straszni ani na wodzie, ani na lądzie, boję się jednak rozgłosu i wrzawy. Dotychczas Fryderyk nie troszczył się o nas, ale może to zrobić teraz, bo nerwy ma w strzępach. Wkroczy, żeby usunąć przyczynę zamieszania, której kacerski charakter nie odpowiada mu teraz, gdy dąży do pogodzenia się z Kościołem...

— Przyśle prawdopodobnie Eliasza — zauważyła dziewczyna, a mnie przeraziły piekielne zdolności Wita, którego opowieści jeszcze niedawno wydawały mi się tak niedorzeczne.

— Któremu ja nic nie podejrzewając otworzyłabym bramy — dodała hrabina rozgniewana. — Na to by właśnie czekali! Ale ja ani myślę rezygnować z Otranto, muszą mi je odebrać siłą!

Cieszyłem się, stojąc pod drzwiami, a nawet byłem dumny z pani na Otranto, że tak śmiało zerwała pajęczą sieć intrygi usnutą przez Wita. Cesarz i garstka wiernych mu ludzi mieli co innego do roboty, niż się nawzajem rozszarpywać! Teraz musiałem jeszcze tylko przekonać hrabinę, by nie wypędzała mnie jak psa. W Otranto czułem się bezpieczny, mogłem się też przydać, w dodatku dzieci bardzo mnie lubiły.

W tym momencie nadszedł Guiscard, stukając drewnianą nogą po marmurowej posadzce. Prowadził ze sobą Saracena. Amalfitarczyk twarz miał poważną i nie zważał na moją zaciekawioną minę. Bez pukania wepchnął żołnierza w drzwi. Słyszałem wszystko.

— W imieniu cesarza — powiedział przybyły — nasz komendant przekazuje wam, pani, pozdrowienia i wyrazy szacunku. Dla wzmocnienia Otranto zostanie tu przeniesiony regiment z Lucery, możecie się też przygotować na przyjęcie wojska pana Eliasza, które wyruszyło z Ankony i płynie już wzdłuż wybrzeża.

W pokoju zapanowało grobowe milczenie. Potem hrabina oznajmiła bezbarwnym głosem:

— Podziękujcie komendantowi za pomoc i powiedzcie, że może swobodnie dysponować Otranto. W imieniu cesarza!

Czułem przez drzwi, które się otworzyły wypuszczając Guiscarda wraz z posłańcem, straszliwe napięcie Laurencji i rozpaczliwe wysiłki, żeby za wszelką cenę się opanować. Kiedy obaj mężczyźni dostatecznie się oddalili, hrabina wybuchnęła przeraźliwym śmiechem, który przeplatał się teraz z narastającym łkaniem Klarion.

— W imieniu cesarza! — szydziła Laurencja. — Czego papież i kuria rzymska nie osiągnęły i co nigdy by się im nie udało — jej śmiech stał się tak szatański, aż uczyniłem



znak krzyża — tego dokonał Fryderyk!

W końcu zapadła cisza.

— I co teraz? — spytała trwożliwie Klarion.

— Ruszamy do Konstantynopola! — rzekła spokojnie hrabina. Otworzyła gwałtownie drzwi pokoju, tak że wpadłem do środka. — Guiscard! — wrzasnęła na cały głos, a zwracając się do mnie powiedziała: — Jedziesz z nami!

Nie zadała pytania, to był rozkaz. Znowu była Przeoryszą!

— Niech William zajmie się dziećmi — zaproponowała Klarion.

— A czymże by innym! — syknęła hrabina i wybiegła. — Guiscard! — dobiegło jeszcze jej wołanie.

Udałem się do pokoju dzieci. No cóż, Williamie z Roebroku, pomyślałem, *et quacumque viam dederit fortuna sequamur!*\* Studia, pobożny pobyt w klasztorze muszą poczekać. Takie jest życie! Konstantynopol!... Zbudziłem służebne.

Jeza i Rosz siedzieli w kucki na łózkach. Nie spali.

— Ubierajcie się! — roześmiałem się. — Ruszamy w wielką podróż.

— Och, Williamie!... — piszcząc radośnie Jeza zawisła mi na szyi.

— Od razu wiedziałem — oświadczył Rosz, broniąc się przed pomocą pokojowej przy wciąganiu spodni — że skoro ty się pojawiłeś...

— Pierwsza to powiedziałam! — zawołała Jeza, pozwalając sobie zapleść jasne warkocze. — Jak przyjeżdża William, zawsze coś się dzieje.

— Z Williamem jest wspaniale! — zgodził się Rosz. — Muszę zabrać miecz.

— A ja mam nóż. — Jeza pogrzebała w swoim kuferku i wyciągnęła arabski sztylet z kosztownie cyzelowaną pochwą. — Jest strasznie ostry. Ale to tajemnica!

Rosz był skonsternowany, nie zrobił jej jednak tej przyjemności, by zapytać o szlachetnego, choć lekkomyślnego wielbiciela, który małej dziewczynce podarował taką broń.

— Weź lepiej lalki! — powiedział szorstko i rzucił drewniany mieczyk w ką. — Jak zostanę rycerzem, będę miał prawdziwy miecz.

— Przedtem dostaniesz ode mnie łuk i strzały — czułem się w obowiązku podtrzymać chłopca na duchu, zwłaszcza że Jeza oświadczyła jeszcze, że czas zabaw lalkami już minął, ułożyła je w swym łóżku, pocałowała każdą i nie zaszczyciła ich więcej ani jednym spojrzeniem. Następnie podkasała spódnice i przywiązała w pasie sztylet tak, aby nie było go widać.

— Guiscard — powiedziałem do Rosza, który stał obok niezdecydowany i teraz niczego już nie chciał brać ze sobą — to znakomity strzelec. Będzie twoim nauczycielem.

— Obiecujesz? — spytał Rosz i złapał mnie za rękę. Jego oczy błysnęły nieufnie.

---

\* *Et quacumque...* (łac.) — I jakkolwiek drogę Fortuna nam wskazuje, nią podążamy (Wergiliusz).

— Słowo honoru — odparłem i wypchnąłem go z pokoju, gdy tymczasem służebne pakowały odzież dzieci do kufra.

Jeza podskakując pobiegła naprzód. Mimo późnej nocy, a właściwie przedświt, w kasztelu szumiało jak w ulu, roiło się jak w mrowisku, w które wetknął kij nieuważny wędrowiec. Czyżbym ja nim był?....

Zeszliśmy z dziećmi do portu, gdzie cumowała triera. Jej dowództwo objął Amalfitańczyk. Dotychczasowy kapitan, francuski Norman cieszący się pełnym zaufaniem hrabiny, został na czas jej nieobecności mianowany komendantem twierdzy.

Guiscard stał rozkraczony na dziobie statku, nadzorując ostrzenie zębów na kolcu taranu. Wsadziłem na statek Jeżę i Rosza z łagodnym żądaniem, aby nie plątali się załodze pod nogami i nie przeszkadzali w załadunku. Ponieważ Rosz dopominał się o łuk i kołczan ze strzałami, udałem się na poszukiwanie obiecanej broni.

Przy nabrzeżu stał wciąż na kotwicy pizański żaglowiec, a jego kapitan rozmawiał z Wawrzyńcem z Orty pod dziobem naszej triery. Przyjął ze zrozumieniem pilne życzenie chłopca i skinął na jednego z marynarzy, który natychmiast wskoczył do wody i popłynął do swego statku.

— Poczekamy na was — wyjaśnił mi Wawrzyniec. — We dwa statki możemy się zmierzyć z całą papieską flotą, zwłaszcza że jej flagowy statek „Laus Sanctae Virgini” — roześmiał się — tkwi w Ostii z podciętymi skrzydłami.

— Najukochańszą dziewicę Rajnera z Capoccio uczyniliśmy brzemienną! — wyszczerzył zęby pizański kapitan. — Damy wam glejt aż do Cieśniny Messyńskiej, stamtąd dotrzecie spokojnie do Palermo.

Widocznie rozgłoszono, że płyniemy do cesarza na Sycylię. Nie prostowałem. O Konstantynopolu wiedziałem prawdopodobnie tylko ja i oczywiście obie damy, które pojawiły się na schodach, gdy ostatnie beczki z prowiantem, worki i skrzynie zostały załadowane, a żołnierze i wioślarze znajdowali się na statku.

Górne rzędy wioślarzy podniosły w salucie zakończone kosami wiosła, które zaśniły blado w czerwono-fioletowym świetle wstającego słońca. To tam, na daleki tajemniczy Wschód wiedzie teraz twoja droga, Williamie! Nadal jesteś ściśle związany, ba, przykuty do losu tych uciekających dzieci, które stoją na dziobie obok Guiscarda.

Hrabina w towarzystwie Klarion weszła na statek. Chciała właśnie dać znak, by odbijano od brzegu, gdy z wody obok nas wynurzył się pizański marynarz. W zębach trzymał niewielki, dziwnie zaokrąglony, wygięty do środka łuk oraz płaski skórzany kołczan pełen pierzastych strzał. Pizański kapitan wręczył jedno i drugie Roszowi.

— To broń Tatarów, bardzo lekka, bo oni strzelają pędząc na koniach. Nasz przyjaciel Guiscard nauczy cię posługiwać się nią, młody rycerzu!

Podziękowałem kapitanowi z przesadną chyba wylewnością za ten mądry upominek i uścisnąłem Wawrzyńca.

— Mielibyśmy sobie jeszcze wiele do powiedzenia, bracie Williamie — uśmiechnął się. — Nasze drogi powinny się częściej krzyżować.

— Mam też taką nadzieję — odparłem — i cieszę się, że poznałem minorytę, który podobnie jak ja kocha życie. Módl się za mnie!

— Williamie, już czas! — napomniął mnie władczy głos hrabiny, toteż pospiesznie ostatni wdrapałem się na pokład.

Odbiliśmy ostrożnymi uderzeniami wiosł. Również Pizańczyk podniósł kotwicę.

— Płynicie pierwsi! — zawołał do niego Guiscard. — My za wami!

Skoro tylko wydeły się żagle, pizański statek prześcignął nas jak mewa bekasa. Razem z dziećmi pomachaliśmy jeszcze Wawrzyńcowi. Zaledwie Pizańczyk zniknął za przylądkiem Leuca, Guiscard zmienił kurs i popłynęliśmy prosto ku słońcu, na wschód.

## RZEMIENŃ W WODZIE

*Morze Jońskie, wiosna 1247*

Papieskie żaglowce postawiły wszystkie żagle i nieprzerwanie pędziły naprzód, jednakże przy próbie opłynięcia szerokim łukiem Zatoki Tarenckiej, wód Hohenstaufa, natrafiono na ciszę morską, toteż jeszcze przed przylądkiem Leuca, na wysokości Ausentum, trzeba było chwycić za wiosła.

Jęk przebiegł przez rzędy ław, do których przykute były nogi niewolników. Odpowiedzią był trzask bicia nadzorczy.

— Przeniosę się gdzie indziej — oznajmił papieski legat, który przez jakiś czas dotrzymywał towarzystwa zakutemu w żelaza Witowi — bo jeszcze dostanę po sempiternie! — Powiedziawszy to podniósł się.

— Nie możesz pozwolić, Anzelmie, żebym był tutaj dłużej przykuty! — sapnął Wit z wściekłością. — Nim dotrzemy do Otranto, muszę odzyskać wolność. Wiesz, o co idzie!

— A to dopiero! — wtrącił się nadzorca wiosłarzy, który wyraźnie nie mógł się doczekać, aż pan legat przestanie osłaniać hardego więźnia.

— Odzyskać wolność! — szydził. — Może jeszcze opanować statek! Czy to aby nie bunt? — Strzelił jeszcze raz z bicia i z groźną miną zbliżał się powoli.

— Dajmy temu pokój! — rzekł legat do nieszczęsnej ofiary i mrugnął do dręczyciela. — Wit jest skruszonym grzesznikiem, karę może mu sprawiedliwie wymierzyć tylko Bóg... — Z tymi słowami oddalił się spiesznie, gdy tymczasem wiosłarze przy rytmicznym strzelaniu bicia zabrali się do pracy.

Fra' Ascelin nie odwrócił się już, tak że Wit nie mógł widzieć, że przy każdym ude-

zeniu, które teraz otrzymywał, na ustach jego brata zakonnego w randze papieskiego legata pojawiał się pełen zadowolenia uśmiech. *Canes Domini*, psy jednego pana, niekoniecznie kochali się jak bracia. A już kochać Wita z Viterbo było zbyt wielkim wymaganiem nawet wobec najpobożniejszego chrześcijanina!

Ascelin udał się do kapitana statku, Genueńczyka, którego kuria rzymska zwerbowała do tej misji; drugi zwerbowany statek, również genueński, płynął tuż za nimi. Ze zrozumiałych powodów żaden nie wywiesił flagi: ani republiki, ani Państwa Kościelnego.

— Wasz ulubiony wiosłarz chce z wami mówić — odezwał się cicho; wiedział, jaki jest stosunek kapitana do Wita. Chociaż Ascelin wziął wszystko na siebie, dla kapitana było jasne, komu zawdzięcza ten szaleńczy całonocny rejs aż tutaj, na południe Apulii.

— Mało jeszcze zebrał cięgów? — zadrwił udręczony Genueńczyk i ruszył niechętnie za swym dostojnym gościem, który darował sobie odpowiedź. Nigdy nie można przewidzieć, jak się sprawy potoczą; Wit był najlepszym przykładem wzlotu, pychy, lekkomyślności i upadku. Jemu, Anzelmowi, nie może się coś podobnego przytrafić, zabezpieczał się na wszystkie strony. Także tą „oficjalną” rozmową między więźniem a dowódcą statku.

— Zaraz dotrzemy do Otranto! — Wiosłując, Wit starał się zachować opanowanie. — Uwolnijcie mnie, na słowo honoru!

— Nie! — odparł twardo kapitan. — Nie będziemy też zbaczać z drogi...

— Pan legat może wam rozkazać! — Wit pienił się z wściekłości.

— Otrzymałem rozkaz: zawieźć pana legata do Syrii, żeby stamtąd mógł lądem ruszyć do Tebrizu, do Mongołów. A was, Wicie z Viterbo, ani płynąc na Wschód, ani w drodze powrotnej, ani w żadnym porcie i pod żadnym pozorem nie wolno mi rozkuwać.

— Wobec tego zawieźcie mnie w łańcuchach do Otranto! — zmienił taktykę Wit.

— Po co? — spytał rozważnie Genueńczyk. — Triera już dawno wypłynęła, a jeśli nawet nie, niczego to nie zmienia. Twierdza ma katapulty o tak dalekim zasięgu, że jest nie do zaatakowania.

— Ale moglibyśmy poczekać na trierę na otwartym morzu — nie dawał za wygraną Wit. — A może boicie się jej?

Kapitan nie dał się sprowokować.

— Na co mamy czekać? Jeśli zbliżymy się zbyt blisko do wybrzeża, rozpoznają nas, jeśli zostaniemy daleko od lądu, i tak się wymkną.

— Statek na horyzoncie! — dobiegł chłopięcy głos z bocianiego gniazda.

Od przylądka skręcał w ich stronę szybki żaglowiec. Po chwili wciągnął flagę.

— Pizańczyk! — Genueński kapitan tryskał chęcią walki. — Postawić żagle i pokazać barwy! — rozkazał. — Co może tamten, możemy i my!

Wciągnięto na maszt flagę genueńską, a także papieską ze skrzyżowanymi kluczami na znak, że na pokładzie znajduje się legat. Ale Pizańczyk odpowiedział tym samym.

— Bezczelny! — warknął kapitan. — Zapłacisz mi za to kłamstwo! Jeśli nie pokażesz mi klechy z listem i pieczęcią naszego pana papieża, pošlemy cię rybom na pożarcie! — obiecywał Pizańczykowi, który nieustraszenie kierował się na papieskie statki.

Ascelin przytaknął kapitanowi z pełną aprobatą; oszukańcze użycie papieskich insygniów było karalne. I jakże *legatus papae* miałby postawić stopę na pokładzie cesarskiego statku?!

Z łopotem żagli statki coraz bardziej zbliżały się do siebie.

— Mam go wyminąć? — spytał Pizańczyk stojącego obok Wawrzynca z Orty. — Genueńskie statki są zbyt ociężałe i powolne, żeby nas ścigać.

— Nie — odparł franciszkanin. — Musimy się zatrzymać, póki triera nie zniknie na horyzoncie — wyjaśnił, nie czuł się jednak zbyt pewnie.

— Jeśli nas wezmą w kleszcze, nie będziemy mieli żadnych szans — oświadczył kapitan. — Dajmy im małego prztyczka!

Mówiąc to, zmienił gwałtownie kurs statku, tak że przez moment wydawało się, iż zrywa się do ucieczki. Obaj Genueńczycy ruszyli zatem całą mocą wiosł, lecz wtedy Pizariczyk skręcił błyskawicznie z wiatrem i ruszył wprost na flagowy statek przeciwnika.

— Wiosła w górę! — ryknął genueński kapitan, ale na bratnim statku wykonano rozkaz zbyt wolno. Pizańczyk prześlizgnął się między Genueńczykami i tylko dał się słyszeć trzask łamanych wiosł. Gdy genueński kapitan rzucając przekleństwo skierował wzrok w tamtą stronę, zobaczył sterczące bezradnie kikuty. Pizańczyk uciekł!

— Teraz możecie porozmawiać spokojnie z kolegą — roześmiał się pizański kapitan, zatoczył zgrabny łuk i pożeglował z powrotem ku zwróconej w stronę morza burcie genueńskiego flagowego statku, aż znaleźli się na odległość głosu.

Wawrzyniec, chociaż miał pełne zaufanie do kunsztu Pizańczyka, wciąż obawiał się, że potężny wróg może się powazyć na abordaż. Toteż kiedy się zbliżali do Genueńczyków, skrycie upuścił za burtę zdradzieckie rzemienie asasynów.

— Legat naszego Ojca Świętego, Wawrzyniec z Orty — rozległ się głos pizańskiego kapitana — w drodze powrotnej z Ziemi Świętej do Lyonu!

Ascelin, stanąwszy obok zgrzytającego zębami Genueńczyka, rozpoznał drobną postać nieposłusznego franciszkanina, na którego zwrócił już uwagę w zamku Świętego Anioła z powodu jego chytrej zuchwałości. Nie uszło też uwagi Anzelma, że Wawrzyniec wrzucił coś do wody.

Fra' Ascelin umiał przegrywać. Podszedł do relingu i wyłowiwszy niepostrzeżenie przyniesiony falą jeden z rzemieni, zawołał:

— Pomyślnego powrotu życzą dominikanie Anzelm z Longjumeau i Wit z Viterbo, obaj na polecenie Ojca Świętego w drodze *in Terram Sanctam!*

Pomachali sobie nawzajem rękami i wkrótce Pizańczyk zniknął kierując się ku Kalabrii, podczas gdy Genueńczycy wzięli kurs na południe.

Ascelin zeszedł na dół do ław wioślarzy i rzucił Witowi węzlaste przesłanie asasy-nów.

— Wawrzyniec z Orty przekazuje ci piękne pozdrowienia. Brak czasu nie pozwolił artyście sportretować cię w nowym otoczeniu.

— Trzeba go było utopić! — warknął Wit, nie podnosząc wzroku. — Gdybym był bez łańcuchów, udusiłbym go gołymi rękoma!

— Ha! toteż przykuto cię do wiosł — uśmiechnął się Ascelin — żebyś rąk nie splamił krwią legata! Jeśli chcesz, pomodłę się teraz za ciebie.

— Wynoś się do diabła! — szczechnął Wit w nieprzytomnym gniewie. — Jak mogłem sądzić, że brat z tego samego zakonu i do tego legat nie przeciwstawi się tym nadętym Genueńczykom, tym marynarskim wyrobnikom! Żaden rybak z jezior wokół Viterbo nie dałby się nabrać na tak głupi manewr, na jaki się nabrali ci nieudolni żeglarze morskiej republiki!

Wit wyrzucał to z siebie w takim szale, że nie zauważył, jak za plecami legata zjawiał się nadzorca wioślarzy. Ascelin złożył pobożnie ręce i wypowiadając głośno słowa modlitwy, oddalił się spiesznie. Kłaśnięcia bicza zagłuszyły jego „*Ave Maria gratia plena...*”

# X

## CHRYSOKERAS

### PRZEORYSZA

*Morze Jońskie, wiosna 1247*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Triera mknęła ku słońcu. Lśniąca tarcza podnosiła się coraz wyżej, oślepiając swym blaskiem i przemieniając przed naszymi przymrużonymi oczyma lekko pofalowane morze w dywan z czystego złota, który gościnnie rozwijał się przed nami. *Ex oriente lux!*\*

Guiscard wszakże, za ledwie postawiono żagle, zmienił ostro kurs, kierując się na południe. Dzieci towarzyszyły Amalfitańczykowi, Klarion położyła się spać, a ja przechadzałem się wśród rzędów wiosłarzy, którzy ułożyli wiosła wzdłuż burt i teraz, po niepostrzeżonym wymknięciu się spod osłony Otranto na środek Morza Jońskiego, wypoczywali przerzucając się głośnymi, rubasznymi nawoływaniami. Niektórzy rozprostowywali członki i wdychali w cuchnących przegrodach świeżą bryzę unoszącą odór potu w górę aż na pokład. W większości jednak siedzieli skuleni, z pochylonymi głowami, pozawijani w derki, które im zrzucano z pokładu.

Tylko górny rząd wiosłarzy, ustawivszy na sztorc uzbrojone kosami wiosła, ogarniał wzrokiem morze. On też mógł spoglądać prosto w oczy wrogowi na nieprzyjacielskim statku. Ci ludzie narażali skórę pierwi, kiedy wśród gradu strzał wprowadzali do walki budzące postrach ostrza. Byli to śmiałkowie świadomi swej uprzywilejowanej pozycji wobec rybackiego pospólstwa, odrabiającego pańszczyznę pod pokładem. Zbrojni wiosłarze stanowili dumę pani z Otranto; znała każdego z imienia. Najczęściej rekrutowali się spośród Normanów i niejeden pochodził z rycerskiego stanu. Otrzymywali dobre żołd i uczestniczyli w podziale łupów, podobnie jak szwabska obsługa katapult, katalońscy kusznicy i greccy marynarze, prawdziwi mistrzowie żagla. Do tego dochodzili dzicy Maurowie, zaprawieni do walki wręcz w wypadku abordażu.

Laurencja zatem przy pełnej obsadzie triery dysponowała ponad dwustoma zbrojnymi ramionami i drewnianą nogą swego kapitana. Ten pniak przyniósł Guiscardowi

---

\* *Ex oriente lux* (łac.) — ze wschodu [przychodzi] światło.

więcej szacunku niż wszystkie blizny, a załoga czciła go jak relikwię, najchętniej przybiłaby tę koźlą nogę z przodu statku, na taranie, albo powiesiła jak flagę Otranto na głównym maszcie.

Na rufie statku znajdowała się kajuta hrabiny, zaopatrzona w otwory strzelnicze i poszerzana o kryty taras rozpinaną u wejścia na kształt baldachimu namiotową celtą, jeśli akurat nie spodziewano się wroga. Marynarze umocowali właśnie liny, przykryli podłogę dywanem i Laurencja ułożywszy się na przygotowanej sofie, przywołała mnie do siebie.

— Usiądź przy mnie — powiedziała zmęczona, z rzadką u niej łagodnością. Wydarzenia ostatnich dni wymagały od niej więcej sił, niż mogła z siebie wydobyć; bądź co bądź nie była już najmłodsza. — Należysz prawie do rodziny. Dzieci cię lubią... Nawiasem mówiąc, co one teraz robią?

Spojrzałem nad pokładem ku dziobowi, na co hrabinie niestety nie pozwalała powiększająca się z wiekiem krótkowzroczność. Jeza, przywiązana do masztu, służyła Koszowi za tarczę strzelniczą. Uspokoilem się zobaczywszy, że Guiscard uczy go, jak prawidłowo trzymać łuk.

— Bawią się z Amalfitańczykiem — rzekłem pogodnie, choć na chwilę dech mi zaparło, gdy zobaczyłem, jak strzała wbija się w drzewo tuż pod pachą Jezy. — Każą sobie objaśniać, jak się manewruje statkiem — skłamałem, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

— Triera nie jest statkiem takim jak inne — powiedziała w zamyśleniu Laurencja. — To zwierzę, baśniowa istota z innego świata. Gdy ją zobaczyłam po raz pierwszy pędzącą prosto na mnie, pomyślałam, że pośrodku morza otwarła się pienista otchłań piekła, aby mnie i moją łódź połknąć i rozgnieść na miazgę. Byłam wtedy wyjęta spod prawa, liczyłam się z tym, że mnie złapią i rozprawią się ze mną bez zbędnych ceregieli, mimo to na prośbę starego przyjaciela Turnbulla ośmieliłam się popłynąć daleko w głąb Adriatyku, żeby ratować mojego przyrodniego brata, głupiego grubego biskupa. Ale brat się nie zjawił. Papiescy zabili go, nim zdążył dotrzeć do wybrzeża. Długo krążyłam czekając na niego i wtedy ze skalnej jaskini wypadła murena, wietrząc łątwą zdobycz w dosłownym znaczeniu, bo miałam na pokładzie marną korsarską hołotę, a przede wszystkim dziewczęta!

— Jak to? Handlowaliście dziewczętami?

— Nie, mężczyznami. — Laurencja uśmiechnęła się z wyrazem okrucieństwa na twarzy. — Byłam znaną piratką, za pieniądze służyłam każdemu. Stąd na całym obszarze cesarstwa podlegałam banicji, a Szary Kardynał wciągnął mnie jako fałszywą przeoryszę i kacerkę na tajną listę inkwizycji, co jest gorsze niż ekskomunika... I oto nagle znalazłam się w szponach cesarskiego admirała, Henryka Pescatore, bo triera była jego flagowym statkiem. Widziałam już nas wszystkich, ze mną na czele, wiszących na rejach mo-



jego nędznego żaglowca. Zakazałam się bronić w absurdalnej nadziei, że uda mi się uratować przed stryczkiem przynajmniej szyje moich dziewcząt. Admirał, stary wojownik sławny z surowości, wkroczył na pokład, podszedł do mnie z obnażoną bronią i runął na ziemię jak rażony piorunem. Klęcząc przede mną, poprosił mnie o rękę...

Hrabina ożywiła się w trakcie opowieści, w jej szarych oczach pojawiły się iskry; to była zapewne ta dawna Laurencja, o której uwodzicielskim uroku i okrucieństwie opowiadało mi po cichu.

— To, co teraz usłyszysz, nie jest z pewnością przeznaczone dla uszu minoryty — roześmiała się złośliwie, napawając się moim zażenowaniem — ale jak wiesz, nic sobie nie robię z mężczyzn. — Skinąłem pokornie głową. — Mając do wyboru to albo oglądanie morza z wysokości masztu ze stryczkiem jako naszyjnikiem, nie wahałam się długo. Zaledwie jednak odniosłam zwycięstwo, opętał mnie diabeł: postawiłam warunek, że przed uroczystymi zaślubinami muszę uporządkować swoje osobiste sprawy. Solennie obiecałam Henrykowi małżeństwo i przysięgłam na wszystkich świętych, że dla jego skonsumowania zjadę do Otranto za dwa miesiące. Samo wyobrażenie tego napełniło mnie takim obrzydzeniem, że omal nie zemdlałam.

— Admirał zbliżał się wprawdzie do siedemdziesiątki, ale był jeszcze całkiem krzepki. Wysłuchał spokojnie moich kłamliwych zapewnień, wypowiedzianych przyzwoitymi słowami, jak przystało damie, po czym napawając się moją udręką rzekł: „Nie jesteście, pani, święta, dlatego przysięgnijcie mi na swoją *fica*\* na swoje złote runo, którego rzekomo nie posiadał jeszcze żaden mężczyzna...” W tym miejscu kilku żołnierzy roześmiało się głośno, lecz jego spojrzenie zmusiło ich do milczenia. „Przysięgnijcie, że dokładnie za siedem tygodni od dzisiaj znajdziecie się w Otranto w moim łóżu!” „Przysięgam na swoją cipę, swoje cycki i dupę”, oświadczyłam głośno i nikt się już nie roześmiał, „że wówczas rozłożę nogi tak, jak mój władca rozkaże.”

Oczekiwała chyba, że się zaczerwienię na taką wulgarność, i to w hrabiowskich ustach, gdyż zaśmiała mi się bezwstydnie prosto w twarz.

— Święta Klara, ta bigotka twojego Franciszka, którą miałam zaszczyt poznać, znalazłaby pewnie inne słowa. Ja jednak czułam stryczek na szyi, a nie wiesz nawet, Williamie, jaki ciężki staje się wtedy tyłek! Sram na to!

Spuściłem oczy.

— Henryk dał się przekonać co do uczciwości moich zamiarów. Uznał, że doszliśmy do porozumienia i pocałował mnie dwornie w rękę. Dowiedziałam się później, że tych spośród swych ludzi, którzy się roześmiali, kazał od razu powiesić. Przed odejściem wręczył mi drogocenny pierścień, dziedziczną pamiątkę rodziny Pescatore, którą do dzisiaj bardzo sobie cenię. Popatrz!

---

\* Fica (wł. wulg.) — cipa.

Podniosła pomarszczoną dłoń i w słońcu zalśnił ciężki klejnot: otoczona szafirami akwamaryna takiej wielkości i czystości, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie widziałem. Podziwiałem pierścień z uznaniem i długo — ostatecznie na wysłuchanie dalszego ciągu tego niepospolitego *curriculi*\* trzeba było sobie rzetelnie zasłużyć. I akurat wtedy zawołano na mnie z drugiego końca statku, i to bardzo nerwowo i nagłaco. Zerwałem się.

— Co się stało? — spytała z niechęcią Laurencja, pogrążona w odległych wspomnieniach.

— Wołają mnie na śniadanie — wyjąkałem z udawanym wstydem; przeczuwałem, że coś stało się z dziećmi.

— Przyjdź tutaj z powrotem — powiedziała łaskawie — jak wzmocnisz swoje słabe ciało.

Myślała teraz chyba o mieczu w spodniach „krzepkiego” admirała, który na nią czekał zamiast stryczka. A ja pospieszyłem między rzędami wioślarzy na dziób, gdzie kilku marynarzy i zatroskane pokojowe krzatali się wokół Rosza, który leżał na pokładzie z niewielką, lecz dość mocno krwawiącą raną na szyi.

Jeza, trzymając jeszcze w ręku sztylet, klęczała przy chłopcu i usiłowała wyssać wypływającą z rany krew. Robiła to ze znajomością rzeczy i z szaloną rozpaczą, usta miała powalane krwią i szeptała:

— Och, Rosz, jeśli umrzesz, zabiję się!...

Wtedy zjawił się Guiscard, który przyniósł jakby laskę ze sztyletów powtykanych jeden w drugi oraz woreczek z ziołami.

— Nie bój się, on nie umrze — uspokoił dziewczynkę i wręczył jej kępkę suchego mchu. — Przyciśnij to do rany, odmów *Ave Maria* i...

— Nie umiem — odparła Jeza, która odzyskała już rezon, spełniła jednak samarytańską posługę, jak jej kazano.

— Wobec tego zaśpiewaj kołysankę — opamiętał się Amalfitańczyk, ale tymczasem pobladły Rosz wrócił do siebie.

— Nie jestem niemowlęciem — mruknął — nie potrzebuję mamki!

Odsunął rękę dziewczynki i sam przycisnął do rany pęczek roślin, podniósł się i niepewnie stanął znów przy maszcie, gdzie prawdopodobnie przytrafiło się nieszczęście.

— Pokaż jej — zwrócił się do Guiscarda — jak należy rzucać.

Amalfitańczyk wziął sztylet Jezy i zważył trzonek w dłoni. Potem błyskawicznym ruchem, którego nikt nie zdążył zauważyć, cisnął broń mierząc nad głowę chłopca. Sztylet utkwiał w drewnie tak precyzyjnie, że między włosy Rosza a ostrze dałoby się wsunąć najwyżej listek.

---

\* Curriculum [vitae] (łac.) — bieg [życia], życiorys.

— To sztylety do miotania, używane przez asasynów — wyjaśnił dzieciom. — Dlatego rękojeści są takie ciężkie, a klingi stosunkowo krótkie. Ostrze na siedem palców wystarczy dla każdego serca — zażartował. — Musisz chwycić za ostrze — zwrócił się do Jezy — i od razu cisnąć... — Świsnął następny sztylet i wbił się tak blisko przy uchu Rosza, że chłopiec poczuł chłód stali. — Najlepiej nos sztylet ukryty w kapturze albo we włosach. Nikt nie zauważy, a jak po niego sięgniesz, będzie to wyglądało naturalnie.

I jakby chcąc się podrapać w głowę, Guiscard wyciągnął z kołnierza trzeci sztylet, który za moment wibrując utkwił w maszcie tuż obok chłopca.

— Teraz ja! — krzyknęła Jeza i położyła sztylet ostrzem do przodu na pokrytej jasnymi kędziorami głowie. Wszyscy zamarli. Zamknawszy oczy, ujęła powoli klingę i z całej siły cisnęła broń w kierunku masztu. Ostrze wbiło się dokładnie tam, gdzie znajdowałoby się serce Rosza, gdyby na znak Guiscarda chłopiec nie odsunął się w bok dosłownie w ostatniej sekundzie.

— Dać dziewczynie sztylet! — westchnął wywracając oczami, gdy tymczasem Jeza z trudem hamowała łzy gniewu.

— Ja też mogę celować z zamkniętymi oczami! — oświadczył Rosz i złapał znowu za łuk i kołczan, co zmusiło mnie do interwencji.

— Czy nie byłoby rozsądniej — powiedziałem z uśmiechem — gdybyście uczyli się trafiać do celu bez żywej tarczy?

— To błąd! — warknął Guiscard. — Cel powinien być żywy. — Wyciągnął z kieszeni złotą monetę i przybił ją na płask gołą pięścią do masztu. — Kto trafi pierwszy, ale tak, żeby moneta nie spadła, może ją zatrzymać.

Dzieci wrzasnęły radośnie i zajęły swoje miejsca.

Wróciłem do Laurencji. Wydawało mi się, że śpi, lecz gdy chciałem oddalić się na palcach, otworzyła oczy.

— Williamie, mianuję cię pierwszym kapłanem na tym statku — oznajmiła stanowczo. — Czuję potrzebę miłej spowiedzi.

Przysiadłem u jej stóp i cały zamieniłem się w słuch.

— Nie, ja uklęknę, a ty siadaj na moim miejscu. — Sprzeciwiła się. I tak się też stało, ona była tu panią.

— Pozwolono mi zatrzymać statek — podjęła przerwana opowieść — a załódze nie spadł włos z głowy, chociaż żołnierze admirała mieli wielką ochotę na moje dziewczęta. Odpłynęłam nie nagabywana i od razu zaczęłam się zastanawiać, co zrobić z podarowanym mi życiem i zobowiązaniem się do małżeństwa, ponieważ dałam słowo...

— Kapłan mógłby was, pani, z tego przyrzeczenia... — wtrąciłem, ale ofuknęła mnie natychmiast:

— Zostaw swój faryzeuszowski Kościół! Pakt zawarty między Henrykiem a mną nie

potrzebował jego błogosławieństwa, tylko rozwiązania, które mogło się dokonać wyłącznie w piekle.

Przeżegnałem się szybko, na co umyślnie nie zwróciła uwagi.

— Wśród diabłów i rozbójników istnieje prawdziwe poczucie honoru!... Wzięłam kurs na Konstantynopol. Moje dziewczęta nie poczuły się dobrze na myśl o tym, że...

Laurencja przez chwilę patrzyła zamyślona na morze, w końcu wróciła do Bizancjum ze swoich wspomnień.

— Minęło wówczas akurat pięć lat od chwili, kiedy w przykrych okolicznościach musiałyśmy w pośpiechu opuścić miasto i portowy lupanar, który był naszym domem. Niektóre dziewczęta, mimo że zostały przy mnie, wyszły tymczasem za mąż, urodziły dzieci i nie chciały wracać do przeszłości. A może jeszcze nie pozbyły się strachu?... Bo kto ma ochotę być po raz drugi publicznie wychłostany i napiętnowany? Powiedziałam im: „Dzieci, gorzej już być nie może. Na targ niewolników jesteście za stare, a jeśli wyciągniecie z kufrów dawne stroje zakonne, nie będziecie przeklinać, spluwać i zachowywać się otwarcie jak ladacznice, nikt was nie rozpozna.” I tak przybiliśmy do pomostu przy wejściu do Złotego Rogu.

— Udałam się natychmiast do starego znajomego, niejakiego Olima, kata z profesji. W zamian za dostarczenie mu paru ładnych chłopców często osłaniał nas w niebezpiecznych sytuacjach, a jeśli już nie dało się tego uniknąć, przykładał swoje piętnujące żelazo na krótko i w takich miejscach, które nie każdemu od razu rzucały się w oczy. Kazałam się Olimowi przeprowadzić przez więzienie, nie wiedząc po prawdzie, za czym się rozglądam. I nagle zobaczyłam młodego człowieka. Z miejsca mi się spodobał, bo różnił się od innych. Był to cudzoziemiec o wschodnich rysach twarzy, wysokim czole i oczach w kształcie migdałów. Patrzył na mnie rozmarzony, ale bez smutku, uśmiechał się, widząc moją ciekawość.

— Zapytałam Olima, co o nim wie, i dowiedziałam się, że następnego dnia rano zostanie ścięty. Był to chyba poganin z Dalekiego Wschodu. Gdzieś za Wielkim Murem, jeszcze dalej, niż płynie rzeka Ganges, mieszkają dziwne ludy. Nazywają się „Tatarami” i słuchają rozkazów jakiegoś kapłana imieniem Jan, o którym mówi się, że jest chrześcijaninem... W każdym razie młodzieńca skazano na śmierć jako szpiega właściwie dlatego tylko, że nikt nie rozumiał jego mowy. Dla kata był księciem, bo miał szlachetne rysy, a jego zachowanie było pełne dostojnej łaskawości. I wcale nie interesował się swoim losem, który Olim próbował mu ostrożnie uświadomić. Dałam Olimowi kilka sztuk złota za to, żeby mnie tej nocy zostawił z więźniem samą w jego celi. Kat spełnił moją prośbę... Williamie — zwróciła się do mnie Laurencja z troską i zarazem kpinią w głosie, przerywając na chwilę swoje zwierzenia, nadal jednak klęcząc u moich stóp. — Siedzisz wygodnie? Będziesz w stanie znieść to, co teraz powiem?

— Wasza spowiedź jest torturą dla mej duszy — przyznałem — proszę was jednak,

dostojna pani, nie przerywajcie.

Byłem winien hrabinie szczerość i nie mogłem się teraz wstydzić z powodu jej śmiałości, przymknąłem jednak powieki; wolałem nie widzieć w oczach Laurencji okrutnego pożądanego.

— Zamknięto za mną na klucz żelazne drzwi i zapomniałam o świetle, o więzieniu, o innych więźniach za żelaznymi prętami. Nie miałam wątpliwości co do swoich zamiarów. Zbliżyłam się do młodzieńca, który usiadł, kiedy weszłam, uklęknęłam, przytuliłam się do jego łędzwi, chwyciłam go za rękę, zaczęłam ją lizać i pokrywać pocałunkami, potem rozpięłam mu pas i ściągnęłam skórzane spodnie. Przyciągnął mnie do siebie, popatrzył mi w oczy i niespiesznie odchylił do tyłu, aż ległam na gołej ziemi. Wtedy tak samo niespiesznie wtargnął we mnie.

— Miałam już ponad czterdziestkę, zaznałam drżących pocałunków moich towarzyszek zabaw, pieśzcot ich gorączkowych palców i ruchliwych języków, nigdy jednak nie wdarł się do mego ogrodu mężczyzna, nie poprowadził mnie przez jego nieskończony, jak mi się zdawało, przepych. Wędrowałam z przewodnikiem przez gęstwą ozdobionych poranną rosą kwiatów i cierni, z których spadały krople krwi, ześlizgiwałam się z nim po mchu do głębokiej studni, coraz głębiej, aż zaczęło mi brakować powietrza i zanurzyliśmy się w krystalicznej wodzie nie rozjaśnionej ani jednym promykiem światła. Huczało mi w głowie, zapadałam się w otchłań, w zbawczą śmierć spowitą ciemnościami, szłam dalej i dalej, raptem coś pękło w moim mózgu, trysnęła nieziemska jasność, rozpałała mnie płonąca lawa i usłyszałam swój krzyk. Krzyczałam i mężczyzna mnie usłyszał. Nie pozwolił mi dłużej zostać w piekielnej otchłani, równie spokojnymi pchnięciami wyprowadził mnie z powrotem do światła, zobaczyłam znów niebo i spojrzałam kochankowi w oczy. Uśmiechał się...

Hrabina oddychała ciężko, nie odważyłem się na nią popatrzeć. Byłem poruszony, ale nie odczuwałem przykrości. Po chwili Laurencja ochryplym głosem podjęła opowieść:

— Kochaliśmy się jeszcze nie raz tej nocy. Im bardziej szary blask świtu przenikał ochronny płaszcz nocy, tym dziksze stawały się nasze uściski. Objęłam nogami jego biodra, wpiłam się paznokciami w plecy, pot spływał nam po skórze, która klaskała w namiętym staccato naszych atakujących się nawzajem ciał. Nie przerywaliśmy ani na chwilę, nawet kiedyśmy sięgali po dzban z wodą, by gardłom ułatwić oddychanie. Byliśmy jak fale, co razem uderzają o brzeg i cichną, wczepialiśmy się w siebie jak tonący i tak poili sobą, żeśmy rozpływali się w rozkoszy. Blade światło ukazywało nam coraz bardziej ograniczoność naszych ciał, wiedzieliśmy oboje, że zbliżamy się do końca... W głowie miałam pustkę, dudnienie ucichło. Zmęczenie, przed którym bronił się jeszcze tylko duch, ogarnęło moje członki, poddałam mu się osłabła, niezdolna wydać dźwięku. Czułam jak przez sen, że mężczyzna mnie opuszcza.

— Nie słyszałam wejścia Olima i jego pomocników. Delikatnie oderwali młodzieńca ode mnie i wyprowadzili. Postanowiłam już nigdy nie otwierać oczu, ale kochanek wrócił do mnie jeszcze. Poczułam, że kładzie coś na moich wciąż falujących piersiach, coś chłodnego i gładkiego. Mimo zamkniętych oczu wiedziałam, że się uśmiechnął. Uśmiechnęłam się również.

— Czekałam, póki nie ucichły kroki, i dopiero wtedy się podniosłam. Byłam znów dawną Laurencją. Podeszłam do zakratowanego okna. Na dziedzińcu młodzieniec pochylił kark, błysnął katowski miecz Olima... Nie odwróciłam wzroku, póki kat nie podniósł do góry uciętej głowy. Chciałam być pewna, że mężczyzna, któremu się oddałam, nie żyje...

Chrząknąłem wzruszony, przywołując hrabinę do rzeczywistości.

— Reszta mojej spowiedzi będzie już zwyczajna. Tak jak przyrzekłam, znalazłam się u narzeczonego w Otranto...

Przerwałem jej niezbyt może stosownym pytaniem:

— Co wam zostawił ten cudzoziemiec?

— Amulet, wschodni symbol szczęścia, krążek z nefrytu zawieszony na prostym rzemieniu, ale o tym później. — Laurencja opanowała się już całkowicie. — To była ostatnia podróż „Przeoryszy”, jak powszechnie nazywano statek i mnie, jego panią. Zostałam go moim dziewczętom i ich oblubieńcom, skoro tylko wysiadłam na przylądku Leuca, gdzie admirał powitał mnie z całą pompą...

— Słyszałem — wróciłem do roli spowiednika — że przedtem przedziurawiliście potajemnie statek...

— Plotki! — syknęła hrabina. — Widzisz przecież sam, Williamie, że nie robię z mojej przeszłości tajemnicy i mówię prawdę bez ogródek.

— Bezwstyd i okrucieństwo są ciężkimi grzechami, które trzeba odpokutować, załóżmy, żeście gotowa pani, zrozumieć to, żałować i czynić pokutę.

— Nie żałuję niczego!

Zobaczyłem raptem wyraźnie grożące mi niebezpieczeństwo, ale nie umiałem mu zaradzić, musiałem zatem wyrazić swoje zdanie.

— Obawiam się więc, że postępujecie z waszym niegodnym spowiednikiem podobnie jak z innymi powiernikami i współnikami waszego drożnego życia...

— Williamie — powiedziała zimno — nie występuj w roli sędziego. Twoja śmieszna egzystencja jest wprawdzie w moich rękach, ale nie zamierzam ich sobie zabrudzić, aby ci zgotować koniec tylko dlatego, że użyłam cię jako kubła na pomyje. I wiedz, że nie chroni cię ani twój nędzny strój, ani krzyż na piersiach, lecz wyłącznie Roger i Izabela, którzy cię polubili i których się czepiłeś jak rzep psiego ogona! Wraz z losem infantów dopełni się także twój los. Mój rozstrzyga się znacznie wyżej. Tak jak różnią się nasze losy, tak różni się i nasza moralność.

— Zamierzam się uczyć i milczeć — oświadczyłem. — Jeśli mi się to uda, będę jeszcze może materiałem na kardynała albo i na papieża! Wówczas chciałbym się wam, pani, za waszą dobroć odwdziaczyć. — Wypowiedziawszy te słowa zsunąłem się na ziemię i rzuciłem hrabinie do nóg. — Postąpcie ze mną, jak wam się podoba, ale opowiadajcie dalej!

Laurencja roześmiała się.

— Wybaczam ci, Williamie! — Zajęła znowu przysługujące jej miejsce na sofie. — Henryk — wróciła do swej opowieści — świętował nasze zaślubiny oszałamiająco wystawnie, co spowodowało, że znalazł się w małżeńskim łóżu mocno pijany. Dopilnowałam jednak, żeby dopełnił małżeńskiego obowiązku, a rankiem wywiesił na widok publiczny prześcieradło splamione krwią. Po niecałych dziewięciu miesiącach urodziłam chłopca, mojego syna Hamona. Henryk nie posiadał się z radości i nie domagał się więcej, żebym mu pozwalała udowodniać męskość. Cesarz w uznaniu długoletniej służby uhonorował go tytułem hrabiego Malty. Już jako hrabia Henryk przywiózł z Ziemi Świętej Jolantę, narzeczoną Fryderyka, jeszcze dziecko. Gdy Hohenstauf w osławioną noc poślubną w Brindisi zapłodnił zamiast Jolanty jej druhnę, córkę swego przyjaciela Fachra ad-Dina, sułtańskiego wezyra, przyszlą matkę przekazano pod dyskretną pieczę admirała w Otranto. Wkrótce Anais urodziła córkę...

— Klarion? — wymknęło mi się niedyskretnie.

— Kiedy ja przybyłam do Otranto, Klarion z Salentyny miała prawie trzy lata. Pozostała tam, chociaż jej matkę powitano wkrótce w haremie cesarskim w Palermo, ponieważ królowa Jolanta zmarła tymczasem w połogu. Przejęłam wychowanie dziewczynki, za co Fryderyk ofiarował mi po śmierci Henryka hrabstwo Otranto razem z admiralską trierą.

Na dziobie rozległy się znowu krzyki — tym razem górował nad nimi kobiecy głos.

— Hrabina Salentyny mogłaby się opanować! — sarkastycznie zauważyła Laurencja. Pospieszyłem zobaczyć, co się stało, domyślając się, że przyczyną niestosownego zachowania Klarion są dzieci.

Tak istotnie było. Rosz i Jeza znaleźli nową ofiarę. Klarion nie wiedziała, na co się godzi, gdy zaproponowali, żeby się pozwoliła przywiązać do masztu. Kiedy Rosz stanął przed nią z łukiem i strzałą, a do tego z zamkniętymi oczyma, zaczęła przeraźliwie wołać o pomoc. Guiscard uwolnił ją akurat w momencie, gdy Jeza, nacieszywszy się przeżeniem ofiary, z rozmachem cisnęła sztylet, trafiając między nogi. Amalfitańczyk wcale nie pochwalił dziewczynki.

— Gdyby skorpion zbliżał się bębniąc i trąbiąc, można by go żywcem spalić. — Wyciągnął sztylet z masztu i nie odwracając się rzucił Jezie pod nogi, tak że ostrze wbiło się w pokład. — Sztylet musi zaskakiwać! — Wyszczrzył zęby i pomógł dziewczynce wyciągnąć broń, która mocno utkwiła w deskach. — Ale nie wolno działać po-

chopnie. Pamiętaj, że możesz rzucić tylko raz!

Jeza wsunęła sztylet rękojeścią w dół za kołnierz w kaftanie, który specjalnie w tym celu przedziurawiła. Szukała nowej okazji, by udowodnić swoje umiejętności. Widziałem to po jej zaciśniętych ustach i pionowej zmarszczce na czole.

Wkrótce miną trzy lata od chwili, kiedy poznałem to przedwcześnie dojrzałe, wciąż jednak uparte dziecko. Rosz sprawiał zawsze wrażenie powolniejszego; miał teraz chyba siedem lat, niewielką różnicę wieku między dziećmi dawało się jeszcze zauważyć. Jeza, chociaż była „tylko” dziewczynką, prześcigała Rosza, i to w dziedzinie zastrzeżonej wyłącznie dla „mężczyzn”. Sztylet wywarł na chłopcu tak głębokie wrażenie, że tatarski łuk nie sprawiał mu już właściwie prawdziwej radości.

Guiscard umiał się wczuć w położenie malca i zrozumieć, co go gnębi. Złota moneta tkwiła wciąż w drewnie masztu.

— Dobrego łuczника, a tylko taki żyje długo — zwrócił się po ojcowsku do Rosza — cechuje rozważa i koncentracja. — Zawiesił mu kołczan na plecach, tak że pierzaste strzały sterczały ponad szczupłym ramieniem chłopca. — Pewność łuczника rośnie dzięki płynności ruchów — pouczał dalej. — Celowanie zaczyna się, gdy sięgasz po strzałę, nakładasz ją, płynnie napinasz cięciwę. Wypuszczać strzałę należy w chwili, kiedy napniesz łuk i dostrzeżesz cel.

Rosz jak w transie kierował się wskazówkami Guiscarda — wypuszczona strzała przygwoździła monetę do masztu.

— Zwycięski strzał jest logicznym następstwem prawidłowego działania! — zakończył odetchnąwszy Amalfitańczyk, tryumfując z powodu sukcesu swego ucznia.

Chciał właśnie podejść, aby zabrać strzałę wraz z monetą, gdy Jeza niemal przed jego nosem i tuż przy wyciągającej się w stronę masztu ręce cisnęła sztyletem. Ostrze odgięło grot strzały i przepołowiło monetę.

— Pół na pół — zapiszczała. Odkąd przestała seplenić, jej głos przybierał często metaliczne brzmienie, zwłaszcza kiedy była podniecona i szczęśliwa. Guiscard dał każdemu z dzieci połówkę monety. Rosz i Jeza pobiegli wśród ław wiosłarzy, aby pokazać wszystkim swoją zdobycz.

Wiosłarze-żołnierze kochali dzieci bałwochwalczo, daliby się za nie posiekać na kawałki. Przyjęli zatem ich sukces gorącymi okrzykami i grzechotem uderzanych o siebie straszliwych wiosł, co brzmiało wprawdzie przerażająco, ale oznaczało najwyższą cześć i szacunek.

Dzieci pędziły przez pokład, Klarion i ja próbowaliśmy je dogonić. Próżny trud. Ja szybko dałem za wygraną.

Laurencja nadal spoczywała na sofie.

— A co się stało z amuletem cudzoziemca? — nawiązałem do wcześniejszej rozmowy.



— Zaraz po uroczystym pogrzebie admirała wyjęłam ze szkatułki zielony krążek ne-frytu, pięknej filigranowej roboty, i zawiesiłam synowi na szyi. Gdyby Hamo znalazł się kiedyś w kraju swego ojca albo w jakiś sposób wpadł w ręce Mongołów, być może rozpoznają po tym, z jakiego rodu pochodzi...

— Hamo l'Estrange tatarskim księciem?... Może jeszcze spokrewnionym z Dżyngis-chanem?

— Kto wie? — uśmiechnęła się Przeorysza.

Nadeszła Klarion wyczerpana bezskuteczną pogonią za dziećmi i usiadła u stóp hrabiny. Pożegnałam się.

## W OCZEKIWANIU ZDARZEŃ *Konstantynopol, pałac Kallistosa, lato 1247*

Biskup polecił nakryć stół dla siebie i swego młodego gościa na tarasie ocienionym białym żaglowym płótnem.

Jarcynt, przebiegły kucharz o wyćwiczonych w sztuce pisania rękach, osobiście zabrał się do podzielenia wybornego *chapon*a o mięsie nadzwyczaj delikatnym, ponieważ żywił się wyłącznie langustami. Chwycił ostrożnie szkaradną paszczkę i rozwarł czerwone boki tuż za skrzelami. Usunąwszy starannie ości i szorstką skórę, ugarniował rybę szparagami w taki sposób, że przybrała kształt smoka, obłożył ją jak łuskami smażonymi w oliwie chrupiącymi listkami karczochów i w końcu polał swe dzieło pienistym sosem z cytryny, jajka i muszkatu. Wyglądało to kusząco. Jarcynt po raz ostatni nachylił swój długi nos i powąchał danie zadowolony; teraz można już było podawać.

Mikołaj z La Porty nalał do dwu srebrnych pucharów lekkiego musującego wina z Krymu i kątem oka obserwował Hamona. Szczupły młodzieniec przyglądał się zafascynowany zręcznym ruchom łysego kucharza, a potem sięgnął bezmyślnie do miski, gdzie pod ciepłymi chustami leżał płaski okrągły chleb prosto z pieca. Ułamał kawałek, umoczył w sosie i wepchnął do ust, podczas gdy Jarcynt nakładał mu rybę.

Biskup i jego kucharz wymienili spojrzenia pełne rezygnacji z powodu zachowania młodego barbarzyńcy. Mikołaj przepaszając ramionami, Jarcynt oddalił się dyskretnie.

Hamo błędził wzrokiem ponad ogrodami otaczającymi pałac Kallistosa, w końcu spojrzął w dół ku zatoce, gdzie po lustrzanej powierzchni ślizgały się podobne ważkom statki. Głośny, prostacki zgiełk portu nie docierał tutaj, na górę. Hamo opróżnił puchar duszkiem i wytarł dłonią usta.

— Chcesz mnie pocałować? — zażartował Mikołaj. — Takiej subtelności po tobie nie

oczekiwałem. Poza tym masz jeszcze pianę na nosie.

— Nie lubię ryb — powiedział Hamo.

— Wobec tego jedz jarzyny albo każ Jarcyntowi ugotować kaszy. Mnie *chapon* ogromnie smakuje.

— Chcę stąd wyjechać — oznajmił Hamo. — Statkiem albo wielbłądem przez pustynię...

— Dlaczego nie na koniu w step? Całymi dniami nie widać niczego tylko step, całym tygodniami! — szydził biskup. — Żywiłbyś się kobyliim mlekiem i suszonym mięsem, które by ci kruszało pod siodłem podczas jazdy, twój delikatny tyłek...

— Daj spokój! — przerwał mu Hamo, ale nim zdążył przedstawić wujowi swoje poważne plany, w głębi, pod arkadami, które prowadziły do Centrum Świata, czyli wielkiej sali rozgrywek szachowych, pojawił się znowu Jarcynt. Biskup zauważył go od razu i przywołał. Kucharz oznajmił przytłumionym głosem, jak miał w zwyczaju:

— Szlachetny Crean z Bourivanu przybył z Akwilei statkiem templariuszy. Na pokładzie znajduje się zresztą sam komandor, o czym świadczy proporzec...

— Naturalnie wiesz już także, jak on się nazywa — przekomarzał się Mikołaj z zaufanym sługą. — I czy grzeszył, z kim i jak, czy jest sprzedajny, ponadto znasz imię jego babki...

— To wnuk diabła, Gawin Montbard z Béthune — podzielił się Jarcynt swą wiedzą. — W zakonie ważniejszy, niżby wskazywał tytuł. Jego przyjazd zapowiada wielkie wydarzenia, nie zawsze radosne!

— A co nas to obchodzi? — parsknął Mikołaj lekceważąco.

— Oni czekają w westybulu — szepnął kucharz.

— Już nie! — rozległ się głos Creana. — Wybaczcie, ekscelencjo, że przeszkadzam, i nie zakrztuście się, słuchając nowin: przybywam z pustymi rękoma. William uciekł od Saracenów!

— Znikł, zabity czy uwięziony?

— Liczymy się z każdą z tych możliwości, dlatego sprowadziłem na pomoc szlachetnego rycerza Gawina Montbarda z Béthune!

— *Sacrae domus militiae templi Hierosolymitani magistrorum*\* — zadziwił biskup gościa. — Jakież są ostatnie reakcje *mundi vulgi*\* na delikatnie usnutą intrygę panów Świątyni? — powitał zarozumiale nie znanego mu komandora, który w ślad za Creanem zbliżył się do balustrady. Hamo, niczym Ganimed doskonały, napełnił puchar i wręczył Gawinowi z szacunkiem. Ten spróbował i mlasnął z uznaniem:

— Za to wino, czterdziesty trzeci rocznik, późny zbiór z domeny cesarskiej Odessy, za ten specjał zdradzę wam, drogi biskupie, że znajdujecie się nie tylko na żołdzie, lecz

---

\* *Sacrae domus...* (łac.) — panowie i strażnicy świętej Świątyni jerozolimskiej.

\* *Mundus vulgus* (łac.) — zwyczajny świat.

i w łaskach u Watatzesa. A jeśli chodzi o dalsze sprawy, to sułtan Egiptu zdobył Tyberiadę razem z Belvoir braci szpitalników i teraz naprzykrza się Askalonowi, a legat papieski Anzelm, zwany Fra' Ascelin, spotkał się właśnie w Tebrizie z mongolskim namiestnikiem Bajdzu, który nie może go ścierpieć i najchętniej by go przepędził... A może życzycie sobie wieści z zachodniego cesarstwa? Parmeńczycy dali się kupić panu papieżowi, zabili hohenstaufowskiego burmistrza i zwrócili się przeciwko zdetronizowanemu cesarzowi, na co Fryderyk, akurat jadący do Lyonu, by uwięzić przeciwnika, pospieszył z powrotem do Lombardii. Nie mógł dopuścić, żeby przykład Parmy zaraził innych. Zbudował naprzeciwko Parmy obwarowany obóz oblężniczy, całe miasto z drewna i suchej gliny, które ochrzcił zuchwale „Vittoria”. Poza tym Hohenstauf i Innocenty prześcigają się we wzajemnym oskarżaniu o dokonywanie zamachów na swoje życie przy pomocy wynajętych skrytobójców...

Gawin przerwał i wręczył Hamonowi opróżniony puchar. Chłopak był zafascynowany zorientowanym w biegu wydarzeń wojownikiem, mnichem i dyplomata, należącym do elity zakonu, który panował nad światem. Człowiek ten szukał rycerskich przygód, znajdował je i stawiał im czoło.

Mikołaj napełnił puchar Gawina.

— Zasłużyliście, panie, rzetelnie na ten szlachetny trunek, który zresztą, jak słusznie zgadliście, podawany jest tylko na cesarskim stole. Ale wstrzeźliwość nigdy nie była moją mocną stroną, toteż pozwólcie skorzystać z chwili, która was sprowadziła do mego domu. — Biskup podniósł kielich. — Jak przyjął król Francji anonimowe pismo, które oszczerczo doszukuje się związku pomiędzy tak szanowanym przez Ludwika cesarzem a prawowitymi dziedzicami Graala?

Gawin uśmiechnął się.

— Czyżbyście chcieli, ekscelencjo, pomówić rycerzy Świątyni o to, że mieli coś wspólnego z ucieczką i zniknięciem infantów?

— Nigdy bym się nie ośmielił! Czysta ciekawość, wielce czcigodny komandorze, podsunęła mi to niedyskretne pytanie, no i pewna słabość do intryg... *Akuein ta legomena, prattein ta prosechomena!*\*

— Ludwik zareagował rozważnie: nie wysunął żadnych zarzutów przeciwko Fryderykowi, a sam dokument bez komentarza powędrował do archiwum ku wielkiej złości jego autora. Kancelaria królewska zaleciła tylko skontrolować, czy William z Roebruku faktycznie wrócił od Mongołów razem z Pianem. I oto wywiadowcy Kapetynga stoją przed wami.

Tu Jarcynt, który właśnie kazał sprzątnąć ledwie napoczętego *chapon*, podszedł charakterystycznym skradającym się krokiem do swego pana i wmieszał się do rozmowy:

---

\* Akuein... (gr.) — słuchaj, co mówią, rób, co możesz.

— Zameldowano ze wschodnich krańców imperium, że legat Pian wraz z niejakim Benedyktem z Polski przekroczyli granicę i zbliżają się do Bizancjum. — Chociaż zniżył głos do szeptu, wszyscy go usłyszeli.

— Musimy zatem wyjść z założenia — odezwał się komandor — że nasz pocziwy William jest w rękach kurii rzymskiej, uwięziony w zamku Świętego Anioła albo gdzie indziej pod pieczę Szarego Kardynała...

— Zachowujmy się jednak tak — przeciwstawił się Crean — jakbyśmy mieli Williama do dyspozycji.

— *Agraphos nomos*\* czy iluzja podniesiona do rangi rzeczywistości? — spytał szyderczo biskup, lecz Crean nie dał się zbić z tropu.

— W polityce twierdzenie liczy się jako fakt. Mamy więc Williama, który szczęśliwie wrócił z dworu wielkiego chana...

— Co należy jeszcze tylko wytłumaczyć Pianowi — kpił Mikołaj.

— Na każdego znajdzie się sposób — stwierdził Gawin. — Po pierwsze, powinniście Piana i Benedykta poróżnić. W ten sposób zyska się na czasie.

To spodobało się biskupowi.

— Należy sporządzić tajne sprawozdanie obciążające jakimiś zbrodniczymi postępkami Piana, który musi się dowiedzieć, że autorem pisma jest Benedykt. Jarcyncie — zawołał pogodnie — przyrządzisz nam tę zatrutą strawę!

— Ale czy Pian przysięgnie, że Rosz i Jeza są u Mongołów? — spytał nagle Hamo, pomny, że sam kiedyś zajmował się tą sprawą i niezbyt chwalebnie się to zakończyło.

— Ach, o to się nie kłopotcz — uspokoił go biskup. — Pian bardzo się ucieszy, że strącimy mu z piersi tę żmiję Benedykta, bez względu na to, co zrobimy z jego towarzyszem podróży. Będzie mu życzył morowego powietrza i śmierci.

— I Benedykt zastąpi Williama! — olśniło chłopaka.

— A William musi umrzeć! — oświadczył zimno Crean.

Hamo nie czuł się jednak przekonany.

— Ale jeśli William rzeczywiście usycha w rzymskim więzieniu, to nie może przecież umrzeć tutaj.

— Tutaj umrze ten prawdziwy, Pian to zaświadczy — pouczył go Crean. — Tamten w zamku Świętego Anioła jest oszustem.

— Śmierć na oczach wszystkich — podsumował biskup rozweselony. — Jakiś pomysł przyjdzie nam z pewnością do głowy. Skoro jednak Pian weźmie udział w grze, to może przedstawić Benedykta jako Williama.

Potem i tak zamknie mu się usta, bo zostanie pogrzebany... Mam na myśli oczywiście Benedykta.

---

\* *Agraphos nomos* (gr.) — niepisane prawo.

— Zamknąć usta trzeba mu wcześniej — napomniął Crean — ale najpierw musi sporządzić testament, spowiedź skruszonego grzesznika, który wyjawia, że na polecenie ciemnych mocy, światowego sprzysiężenia i tak dalek zawiózł dzieci do Mongołów...

Hamo, nie zgadzając się z takim rozwiązaniem, ośmielił się raz jeszcze zabrać głos na tej budzącej grozę radzie starszych.

— Ale po co zabijać Benedykta? Dwu świadków to przecież lepiej niż jeden!

— Gorzej! — uciął krótko Gawin. — Ktoś mógłby kiedyś postawić jednego przeciw drugiemu.

— Poza tym — dodał gniewnie Crean — zawsze twierdziliśmy, że William towarzyszył Pianowi, nie Benedykt.

— A więc Benedykt przestaje istnieć — zakończył biskup omawianie sprawy. — Należy mu tylko przygotować odejście jak się patrzy. Jarcyncie!

Kucharz wydał się teraz Hamonowi jeszcze bardziej niesamowity niż przedtem. Z nieprzeniknioną twarzą, trzymając amforę z winem szponiastymi palcami, napełnił puchary.

— *Aei gar ei piptusin hoi dios kyboi!*\* — Wszyscy wypili i każdy pomyślał o swym udziale w tej grze.

## FALSIFICATIO ERRATA\*

### *Konstantynopol, letnia rezydencja, lato 1247*

Dwaj mnisi na mułach oraz kilka prowadzonych przez poganiaczy jucznych zwierząt, obładowanych skrzyniami, kuframi i workami, zbliżali się w pogodnym nastroju od strony północnej do Konstantynopola. Schodzili z gór. Przed nimi rozbłyły wody Bosforu, z mgły wyłoniły się mury i wieże potężnego Bizancjum.

— *Thalatta, thalatta!*\* — zawołał radośnie szczuplejszy z wędrowców o mięsistej, wygolonej twarzy, która choć nie tknięta ani jednym promieniem słońca, przed którym chronił ją pielgrzymi kapelusz o szerokim rondzie, nosiła wyraźne ślady niedostatków i trudów dalekiej podróży. — U kresu *anabasis*\* prawie rodzinne morze!

Dostojniejszy z podróżnych, zwałistej postury, z falującą rudawą brodą, ofuknął konfratra, nawet się do niego nie odwracając:

— Myślałem zawsze, że twój kraj, Benedykcie, przylega *ad Mare Balticum*...\*

---

\* *Aei...* (gr.) — tu przen.: wielkiemu panu zawsze dopisze szczęście.

\* *Falsificatio errata* (łac.) — oszustwo z błędami.

\* *Thalatta, thalatta!* (gr.) — Morze, morze! (sławny okrzyk z dzieła *Anabasis* Ksenofonta).

\* *Anabasis* (gr.) — wspinaczka.

\* *Ad Mare Balticum* (łac.) — do Morza Bałtyckiego.

— Mój kraj jest wszędzie! — zapewnił przywołany do porządku mnich. — Wszędzie, Pianie, gdzie zamiast kumysu oczekuje nas przyzwoite piwo, nakryty stół, kąpiel i prawdziwe łóżko.

— Jak daleko posunąłeś się w pisaniu mojej „Historiae Mongolorum”?\*

— Doszedłem do dwudziestego drugiego lipca ubiegłego roku — odpowiedział Benedykt bez chwili zastanowienia.

— A co się wtedy zdarzyło?

— Zebrał się kurułtaj w Sira Ordu niedaleko Karakorum. Zgromadzenie obrało Gujukę, syna Ugedeja, nowym wielkim chanem.

Teraz Pian już wiedział, o jakim wydarzeniu mowa.

— Ach, tak... — mruknął. — To ten, co go ojciec wypędził, wyznaczając na swego następcę jednego z wnuków. Jak on się nazywał?

— Sziremon. Ale wdowa, Toregene, potrafiła temu przeszkodzić. Objęła regencję i tak długo kazała obradować kurułtajowi, póki nie osiągnęła pożądanego rezultatu...

— Czy ona nie była przypadkiem chrześcijanką?

— Żony chanów to w większości najmańskie lub kereickie księżniczki, a więc nestorianki. Co samo już mówi za siebie. Jej ulubieniec, Abd ar-Rahman, muzułmanin...

— Chciwy i przekupny! — zrzędził Pian.

— Ale niegłupi. Właśnie on zatroszczył się o to, żeby najzdolniejszy dowódca Mongołów, Bajdzu, został namiestnikiem na zachodzie, gdzie od tamtego czasu zagraża islamowi.

— Dziwny naród — zdążył jeszcze skomentować Pian, gdy nagle pojawił się przed nimi pędzący galopem oddział cesarskich jeźdźców i w jednej chwili podróżni zostali otoczeni.

Oficer zlustrował obu mnichów z najwyższą podejrzliwością.

— Jesteśmy papieskimi legatami — pospieszył z wyjaśnieniem Pian, zdumiony, że doświadcza tego rodzaju przyjęcia w chrześcijańskim kraju. — Wracamy od wielkiego chana Mongołów.

Nie miał zamiaru się zatrzymywać, jednakże oficer chwycił cugle jego wierzchowca.

— Tak może powiedzieć każdy — rzucił opryskliwe. — Mnie wyglądacie na tatarskich szpiegów, którzy po kryjomu chcą się wślizgnąć do miasta, żeby wybać jego siłę. Odpowiedcie za to! — grzmiał.

Pian był oburzony.

— Pokaż mu pismo, Benedykcie! — polecił, oficer wszakże szczechnął:

— Zsiadać! — i wrzasnął do swych podwładnych: — Przeszukać ich! Przed wszystkim odzienie!

---

\* *Historia Mongolorum* (łac.) — *Historia Mongołów*.

Przerażonego Polaka ściągnięto z muła i zdarto zeń mongolski kaftan, gruby, wutowany, z wyhaftowanymi kolorowymi cudzoziemskimi symbolami. Pian protestował jeszcze, gdy tymczasem Benedykta rozzuto.

W tym momencie jak za zrzędzeniem losu nadciągnął orszak — lektyka eskortowana przez templariuszy.

— Przejdźcie dla inkwizytora! — krzyknął rycerz jadący na przedzie i tępym końcem włóczni uderzył osła, który stał na drodze.

Pian zawołał głośno:

— Na miłość Chrystusa, pomóżcie!... — Templariusze ściągnęli cugle. — Nie pozwólcie, żeby te łotry podnosiły rękę na legata Ojca Świętego!

Z postawionej na ziemi lektyki wyszła otulona czernią postać z głęboko nasuniętym na czoło kapturem. Crean w roli inkwizytora przywołał do siebie Jarcynta, swego „pomocnika”.

— Sprawdź, co mają do zarzucenia cesarscy stróżowie porządku tak wysoko postawionemu przedstawicielowi Kościoła.

— To prawdopodobnie mongolscy szpiedzy — zameldował oficer wskazując na przybyszów, którzy stali już boso i w bieliźnie.

— To bardzo ciężki zarzut! — oświadczył Crean głośno, nie kwapiąc się obwinionym z pomocą. — Skontrolujcie ich — powiedział — ale pamiętajcie, jakich sobie przysporzycie kłopotów, jeśli faktycznie okażą się posłami Jego Świątobliwości.

— Wypełniam tylko swój obowiązek i nie powinniście mnie powstrzymywać! — Wymienili z Creanem szybkie spojrzenia. — Rozetnijcie im buty! — rozkazał oficer, co natychmiast uczyniono.

Nikt, a zwłaszcza żaden z zatrzymanych nie zwracał uwagi na Jarcynta, który chwycił kaftan Benedykta i stanąwszy z boku obmacywał go umiejętnie. Zwinne ręce załatwiły wszystko błyskawicznie: wymacały list pod podszewką, rozpruły szew i zamieniły pismo na inne. I już Jarcynt odsunął się od kaftana. Ogólny zamęt dopomógł kucharzowi wypełnić zadanie.

W rozbebeszonych podeszwach butów nie znaleziono naturalnie niczego.

— A więc wasze podejrzenie było bezpodstawne! — ofuknął Crean oficera, który jednak nie kazał zaprzestać poszukiwań.

— Jeszcze kaftan! — polecił.

Strażnik przyniósł żądane okrycie. Oficer zaczął je obmacywać, wyczuł zgrubienie, rozerwał brutalnie szew, pogrzebał pod podszewką i tryumfalnie wyciągnął jakiś dokument.

— To list wielkiego chana do Jego Świątobliwości Innocentego Czwartego! — Benedykt dopiero teraz otworzył usta.

— Nie ważcie się złamać pieczęci! — wrzasnął Pian i zwrócił się do inkwizytora:

— Panie, pomóżcie!...

— „Do rąk własnych jego eminencji kardynała diakona Rajnera z Capoccio, najwyższego protektora nas, ubogich braci — czytał nieporuszony oficer. — Dyktowane rozpaczą wyznanie niegodnego brata Williama z Roebruku, Ordinis Fratrum Minorum.”

Tymczasem Crean przysunął się do grupy.

— A zatem — rzekł do Piana, wciąż jeszcze zachowując pewien dystans — jesteście naprawdę Janem z Pian del Carpine, z nim bowiem, jak nam wiadomo, podróżuje brat William — wskazał na Benedykta.

Teraz Pian stracił resztki cierpliwości.

— Gdzie list?! — krzyknął do swego konfratry piskliwym ze zdenerwowania głosem, a do inkwizytora powiedział: — On nie nazywa się William!

— Aresztować go! — rozkazał Crean oschle i strażnicy rzucili się na Benedykta. Szybszy jednak okazał się Jarcynt, kiedy bowiem Polak otworzył usta, by zaprotestować, kucharz błyskawicznie wsunął mu coś między zęby i zdecydowanym ruchem zacisnął szczęki, a za moment brutalnie je rozwarł. Benedykt wypluł jakieś okruchy, lecz nie mógł wykrztusić słowa.

— On chciał się otruć! — oznajmił z wyrzutem Jarcynt.

— By uniknąć ziemskiej sprawiedliwości, gdy zobaczył, że jego podwójna gra została odkryta — uzupełnił oficer podniecony zajściem.

— Zabierzcie go do aresztu — zarządził Crean — ale zadbajcie, żeby schwytyany grzesznik nie mógł więcej podnieść na siebie ręki. Odprowadzić go!

Strażnicy wsadzili oniemiałego Benedykta na prowadzonego luzem konia i mocno przywiązali. Próbował gestykulować, aż wreszcie opadły mu bezwładnie ręce i piana wystąpiła na usta. Jarcynt dopilnował, żeby poganiacze mułów wskazali skrzynie i kufry, które należały do obwinionego. Pospiesznie je przeładowano.

— Jego rzeczy zostają zarekwirowane. — Oficer zasalutował przed Creanem i wręczył mu pismo znalezione w kaftanie Benedykta. Potem oddalił się wraz ze swą ofiarą.

— Pozwólcie, że będę wam towarzyszył, dla ochrony, a także dla zadośćuczynienia za to, coście tu wycierpieli — zwrócił się Crean uspokajająco do Piana, który wciąż jeszcze oszołomiony tym, co się wydarzyło, a zwłaszcza sprawą Benedykta, godził się bezwolnie na wszystko. — Niedaleko stąd jest letnia rezydencja łacińskiego biskupa Konstantynopola, tam będziecie mile widzianym gościem. Wypoczniecie po tym niegodnym przyjęciu, zapomnicie o mocno podejrzanym zachowaniu waszego towarzysza, Williama z Roebruku.

— To Benedykt z Polski! — wybuchnął Pian. — Był nim zawsze, odkąd Ojciec Święty nas mianował, był nim w Polsce i przez całą długą podróż. Nie znam żadnego Williama! Nigdy o nim nie słyszałem!

Orszak ruszył w drogę.



— Wszystko się wyjaśni — pocieszał Crean wyprowadzonego z równowagi legata.  
— Odetchniecie i...

— List! — jęknął Pian i zaczął szarpać brodę. — List do pana papieża!... Jedyne cel mojej misji!... Bez pisma wielkiego chana nie mogę się pokazać Ojcu Świętemu na oczy!

— List też się znajdzie!

— Co mam teraz myśleć o tym Polaku?

— Jeśli w ogóle jest Polakiem. — Crean podsycił budzące się podejrzenia. — Brat William, jak mi wiadomo, jest Flamandczykiem...

— A co zawiera pismo, które znaleziono przy... przy moim towarzyszu podróży?

— Pian wyraźnie zaczynał tracić pewność siebie.

Crean podsunął mu dokument.

— Złamcie pieczęć — zażądał. Pian zawahał się. — Nie musicie czytać — uspokoił go Crean. — Zależy mi jednak, żebyście mogli dokument zidentyfikować.

— To mnie nie obchodzi! — Legat próbował uchylić się od życzenia.

— Zrozumcie, odmowa może być tłumaczona na waszą niekorzyść, jako współudział. — Crean nadal odgrywał rolę życzliwego przyjaciela.

Pian przełamał pieczęć, lecz ani spojrzął na tekst, tylko wetknął ułamany kawałek pieczęci do kieszeni.

— To mi wystarczy jako dowód. — Oddał pismo Creanowi. — Przeczytajcie i dajcie mi znać, gdyby coś mnie dotyczyło. Nie wsadzam nosa do cudzej korespondencji.

— Czyż William nie jest waszym bratem, bratem z tego samego zakonu? — spytał z wyrzutem Crean.

— Benedykt był i jest moim bratem — oświadczył Pian zdecydowanie — a ja chcę odzyskać swój list!

Crean zmienił taktykę, by dać do zrozumienia Pianowi, jak sobie wyobraża dobrą współpracę.

— Wydobędę od straży list wielkiego chana, jeśli się tam znajduje. W Konstantynopolu wszystko da się osiągnąć za brzęczącą monetę.

— Nie będę szczędził godziwej zapłaty. Jestem nawet gotów tego Williama-Benedykta wykupić z więzienia, jeśli tylko wróci do mnie list wielkiego chana.

Dotarli do letniej rezydencji biskupa. Leżała tuż przy murach miasta, które ograniczały jej ogrody, ale także hermetycznie je zamykały. Gość był tu więc jednocześnie więźniem, choć tego nie odczuwał.

Piana ulokowano w przepelnionym słońcem bocznym skrzydle rezydencji i niczego mu nie brakowało. Nie podejrzewał nawet, że jego tak ciężko obwinionego towarzysza podróży zakwaterowano w tym samym budynku, tylko w ciemnej piwnicy.

Benedykt był przekonany, że znalazł się w prawdziwym więzieniu, i nastawiał się na najgorsze. Jego umysł funkcjonował jasno, jedynie ciało było jak sparaliżowane. W pewnej chwili usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Drzwi otwały się i otoczony przez ponuro spoglądających templariuszy wszedł do celi inkwizytor ze swym pomocnikiem. Przybysze trzymali w rękach pochodnie. Przysunęli je tuż do twarzy więźnia, który przestraszył się, że zamierzają mu wypalić oczy.

— No, bracie Williamie — rozpoczął Crean przesłuchanie po ojcowsku — co masz nam do powiedzenia?

Benedykt męczył się na próżno; wargi i język odmawiały mu posłuszeństwa, tylko z gardła wydobywał się syk i dyszenie. Bardzo chciał wyjaśnić, że ani nie jest tym, za kogo go uważają, ani nie napisał tamtego listu, lecz nie był w stanie wydać żadnego artykułowanego dźwięku.

— Jak możemy ci, bracie, pomóc — ciągnął Crean zatroskany — żebyś odzyskał mowę?... Jarcyncie, pokaż mu instrumenty! — dorzucił łagodnie, jakby był dobrotliwym lekarzem, który chcąc pomóc choremu, musi mu puścić krew. A niczego nie bał się Benedykt tak bardzo jak troskliwego potraktowania przez tego straszliwego pomocnika. Wytężywszy siły, zdołał wykrztusić z zaciśniętego gardła:

— Wsty... wstydzę się... Inkwizytor ucieszył się.

— Swojej podłości, Williamie?

— Bo nie u... u... u... nie u... u... u... u... — Nie zdołał tego wypowiedzieć. Atak duszności położył kres jego męce i wyczerpany Benedykt stracił przytomność.

Templariusze zgasili pochodnie i wycofali się. Ledwie zamknęły się za nimi dębowe drzwi, wybuchnęli gromkim śmiechem.

W krużgankach rezydencji, dawnego klasztoru greckich mnichów, natknęli się na Gawina i biskupa, Mikołaj bowiem ulokował tutaj także swoich gości z zakonu Świątyni.

Crean powiadomił napotkanych o stanie więźnia i dodał:

— Jarcynt musi mu najpierw podać odtrutkę.

— Najlepiej domieszaj mu tych odurzających grzybów z Indii — wtrącił biskup — żeby wreszcie sam się uznał za Williama z Roebruku.

Wyzwoliło to znowu burzliwą wesołość, którą szybko zgasił komandor.

— Waszym głównym problemem nie jest ten biedny głupiec w piwnicy, lecz rozwścieczony Pian — zwrócił się do Creana — którego nie możecie tak samo potraktować i od którego wszystko zależy. Jak zamierzacie nakłonić legata, żeby podjął naszą grę?

— Chlebem z miodem i imadłem, a jeśli trzeba, rozpalonym żelazem! — roześmiał się złośliwie biskup. — Pian nie wie, co zawiera list Williama, wystarczy mu więc uświadomić, że jest skierowany do Capoccia, bo Szarego Kardynała boi się każdy, nawet papieski legat. Zapewne i Pian nie ma całkiem czystego sumienia!

— A gdzie ten miód? — spytał Gawin pełen sarkazmu.

— Troskliwy biskup, któremu nic tak nie leży na sercu jak dobro dostojnego gościa, może wykorzystać swoje wpływy i wydostać od straży zaginione pismo wielkiego chana. Nic nie stoi na przeszkodzie, by ten dokument przekazać legatowi, wystarczy z jego strony jedynie drobna grzeczność, przysługa dla przyjaciół, którzy chcą pozostać beziemienni...

— Powinniście zatem przyjąć Piana, ekscelencjo — pożegnał się Gawin. — Ja na razie będę się trzymał z daleka.

— Jako nasza żelazna rezerwa — zażartował biskup. — Ale przysięgam, że dużo stracie!

Biskup przyjął gościa w małej sali audiencyjnej, dawnym refektarzu klasztornym. Mikołaj wystąpił w stroju paradnym, w otoczeniu paru kapłanów i grupy ładnych ministrantów, którzy dzwiecznymi jak dzwonki głosami śpiewali psalmy, gdy franciszkanin Jan z Pian del Carpine, legat Jego Świątobliwości, został wprowadzony do wyłożonego ciemną boazerią ponurego pomieszczenia.

Inkwizytor siedział przy stole obok drzwi, za nim stał jego pomocnik; promieniowała od nich groźna surowość. Otucha i przyjazna pomoc mogły nadejść tylko od biskupa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — zaszcebiotał Mikołaj, schodząc spieszenie z tronu i obejmując Piana, zaledwie ten przyklęknął dla ucałowania pierścienia. — Przynoszę wam radosną wiadomość — ciągnął, sadzając gościa na przygotowanym stołku. — Rad jestem ogromnie, że mogę się wam przysłużyć — zapewniał nie przechodząc do sedna, gdy tymczasem Pian siedział jak na rozżarzonych węglach. — Wystarczyło, że William ujrzał kilka pomocnych w wydobywaniu zeznań instrumentów, a zaraz ochoczo wyznał, gdzie ukrył pismo do papieża. Zamierzał przekazać je sam, aby okryć się chwałą dobrego misjonarza...

— Gdzie ono jest?... — poderwał się Pian, biskup jednak nie dał sobie przerwać wywodu.

— Jak sami widzieliście, drogi bracie, William miał przy sobie truciznę. Znalezione jej dosyć, aby dziesięciu tak krzepkich mężów jak wy wyprawić na tamten świat...

— Czy mogę ten list, mam nadzieję nienaruszony, otrzymać z powrotem? — upierał się Pian jak dziecko. — Chcę go nosić na piersi, póki panu papieżowi...

— List znajduje się w cesarskim archiwum — pouczył go rzeczowo inkwizytor — i macie go dostać, jak będziecie opuszczają miasto.

— Z zapewnianą bezpieczeństwem eskortą — dodał łagodząco biskup — żebyście znowu nie zaufali jakiemuś wężowi. Dziękujemy Panu, że wszystko dobrze się skończyło!

Pian nie wydawał się jednak ani zadowolony, ani szczęśliwy.

— Wdzięczny wam jestem, ekscelencjo — mruknął — i ufam z całej duszy, że dokument tak ważny dla Świętej Matki Naszej, Kościoła, nie zginie, że pozostanie we właściwych rękach, póki nie ruszę dalej do Lyonu. Wy przejęliście teraz za to odpowiedzialność. Jest jednak inna sprawa, która mnie mocno niepokoi...

— Tak, wiemy — przerwał mu inkwizytor — wyznanie waszego towarzysza podróży. — Crean zmienił ton stosownie do powagi sytuacji. — Musi was niepokoić, panie legacie, gdyż zawiera ciężkie, ba, budzące zgrozę oskarżenia. Jarcyncie! — Pomocnik zbliżył się i wręczył pismo przełożonemu, który podniósł się uroczyście i ogłosił: — Wobec rozmiaru grzechów przeciw papieżowi i Kościołowi muszę wyłączyć z odczytania tego dokumentu każdego, kto nie jest zaprzysiężony przez Świętą Inkwizycję...

Biskup udał zdumienie, a nawet lekką urazę.

— Jeśli życzycie sobie zostać sam na sam z legatem, niesłusznie oskarżonym, jak sądzę, to proszę, dysponujcie moim domem! — Uniósł lekko szaty i w towarzystwie kapłanów i ministrantów opuścił salę.

Drzwi trzasnęły nieco za głośno. Pian drgnął i popatrzył na pusty biskupi tron.

— Adresat jest wam znany — zwrócił się Crean do legata, wskazując przełamana pieczęć, jednakże Pian ledwie na to zwrócił uwagę. Na znak Creana Jarcynt zaczął czytać:

— „Ja, William z Roebruku, w obawie przed nienaturalną śmiercią, którą mi może zadać brat Jan z Pian del Carpine, wyznaję wszystkie moje grzechy i oświadczam pod przysięgą, co następuje: Udałem się, jak mi polecił brat Elias, z dwojgiem dzieci na umówione spotkanie z Pianem do pewnej miejscowości w Alpach, która nazywa się »Most Saracenów«.

W samym sercu Zachodu, gdzie powietrze powinno być najczystsze, skażone zostało przez tych niewiernych. Całemu chrześcijaństwu na przekór i jakby na szyderstwo wybudowali w głębi gór kryształowy meczet, w którym opluwają Chrystusa i Najświętszą Dziewicę, a w głębokich lochach poddają wiernych chrześcijan i braci zakonnych straszliwym torturom i wreszcie rytualnie ich zabijają. Za te haniebne praktyki występny Hohenstauf płaci im, jak to już czynił w Lucerze, srebrnikami zrabowanymi papieskim wysłańcom, biednym braciom świętego Franciszka, których w dodatku każe wieszać bez ostatniego namaszczenia i duchowej pociechy.

Tam, w tym przedsionku piekieł, oczekiwał mnie Pian, siedząc pośród diabłów...”

Jęk wyrwał się z piersi legata; osłabły pochylił się do przodu, tak że omal nie spadł ze stołka, i ukrył twarz w dłoniach. Jarcynt, nieporuszony, z diaboliczną przyjemnością kontynuował swój kwiecisty opis:

— „Brat Pian siedział pośród diabłów, jakby był im równy, przeklinał Zbawiciela i splunął na mój krzyż. Swego towarzysza, Benedykta z Polski, kazał tym bezbożnikom zgładzić jeszcze przed moim przybyciem...”

— Nie! — krzyknął Pian. — Dosyć!...

— Dopierośmy zaczęli — odparł Crean. — A może chcecie nam coś wyznać?

— Nie! — wykrztusi! Pian i Jarcynt czytał dalej:

— „Pian zmusił mnie, abym jemu i dzieciom towarzyszył do Mongołów, i nazywał mnie odtąd Benedyktem z Polski.

Jak się wkrótce zorientowałem, dzieci były kacerskie i stanowiły straszliwe zagrożenie dla Kościoła. Haniebne zadanie szkodenia chrześcijaństwu i Zachodowi otrzymał Pian, jak mi sam zwierzył, od Eliasza. Dzieci miały zostać władcami na Stolicy Piotrowej, pogańskimi kapłanami-królami z łaski wielkiego chana, i pomagać w zwycięstwie katarskiego Graala nad testamentem Chrystusa i jego rzymskiego wykonawcy, naszego Ojca Świętego, pana papieża. To wszystko wiem z ust samego Piana, który podobnie jak Eliasz zapisał swą duszę antychrystowi. Eliasz podsunął mi kacerskich bastardów, a teraz Pian przymusił mnie, aby mu towarzyszyć do Mongołów, którzy szerzą strach i zgrozę. Przez dwa lata nie oglądałem uczciwej chrześcijańskiej twarzy.

Pian, któremu nasz pan papież polecił jechać tylko do Batu-chana w Złotej Ordzie, nalegał, by dzieci odprowadzić aż na dwór wielkiego chana, gdzie bardzo źle mówił o papieżu i przyjął za swój czyn hojne dary. Ja nie mam w tym żadnego udziału, ale wystarczająco mocno ciąży na mej duszy świadomość, że ze strachu o swoje nędzne życie nie sprzeciwiłem się i wziąłem udział w tym grzesznym przedsięwzięciu.

Wiem, że za to odpokutuję. Za Pianem i Eliaszem stoją jeszcze większe diabelskie moce i one zmuszą mnie jako niewygodnego świadka do milczenia, nim skruszony będę mógł wyznać swoją grzeszną słabość. Moje imię jest na zawsze zhańbione, niechaj więc to wyznanie pomoże przynajmniej mojej biednej duszy. William z Roebroku, O.F.M.”

— Potworność! — jęknął Pian. — Niechaj się otworzą bramy piekieł!

— Bramy piekielne zawsze stoją otworem — oznajmił Crean. — Czy to wszystko, co chcecie nam powiedzieć?

— Nigdy nie byłem w Alpach, nie wiem nic o żadnych dzieciach! — zawołał Pian. — A Benedykta z Polski po prostu mi przydano!

— Byliście przez lata prowincjałem zakonu w Niemczech, musieliście zatem wiele razy przekraczać Alpy. Czy znacie wymienioną przez Williama miejscowość?

— Nigdy o niej nie słyszałem!

— Zastanówcie się dobrze! — nalegał łagodnie Crean.

— Słyszeć, naturalnie słyszałem — poprawił się legat. — Podobno leży w przeklętej bocznej dolinie przed Przełęczą Julijską. Zawsze unikałem tej przełęczy...

— Jakie otrzymaliście polecenia? Czy to prawda że nie mieliście pełnomocnictwa na podróż aż do samego wielkiego chana? Co was skłoniło do tego, żeby być nieposłusznym Kościołowi? Dzieci?

— To kłamstwo! — oburzył się Pian. — Bulla papieska „Cum non solum” była skie-

rowana do najwyższego władcy Mongołów, dlatego Batu-chan odesłał mnie...

— Co z dziećmi? — nie ustępował Crean. — Gdzieście je zawieźli?

— Do diabła z dziećmi! — wrzasną! Pian. — Nie było ze mną żadnych dzieci!

— A jeśli chodzi o Williama, którego uparcie nazywacie Benedyktem, co by potwierdziło jego wyznanie — Crean z rozkoszą smakował wtrąconą uwagę — to kto go wam przydzielił do towarzystwa? Gdzie się do was przyłączył? W Lyonie go nie było!

— Szary Kardynał — zaszlochał Pian. — Dobrze wiecie...

— Chcę wiedzieć wszystko dokładnie — rzekł Crean — a wy lepiej byście zrobili współpracując ze Świętą Inkwizycją, zamiast wikłać się w kłamstwa.

— Nie mam nic do ukrycia, to spisek przeciwko mnie. Ktoś chce mnie pozbawić owoców mojej misji! Pomóżcie mi, zamiast mnie oskarżać. — Legat był zrozpaczony, a jednocześnie upierał się przy swoim.

— No cóż... — Crean zmienił ton. — William nie mógł wszystkiego wyssać z palca, jest w końcu istotą z krwi i kości. A z jego kaftana wypruto to wyznanie...

— Potwór, krwiożerczy potwór! — zawył rozpaczliwie legat, ale w jego głosie brzmiała już nuta rezygnacji. Samotny, przez wszystkich opuszczony, wydany został na łup inkwizycji. Musisz teraz uwolnić szyję z pętli, Pianie, powiedział do siebie. Tylko inkwizytor jest ci jeszcze przyjacielem i głaszcze twą drżącą z wściekłości rękę.

— Przyznajcie więc — ciągnął spokojnie Crean — że William i te dzieci podróżowali z wami do Mongołów. Mogliście przecież nie wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. My odwrócimy ostrze, a wy całą winę zrzucicie na tego Williama z Roebruku *alias* Benedykta z Polski, który chciał was wciągnąć w swoje machinacje. O dzieci będzie was pytać bardzo wielu. Wie o nich także Szary Kardynał, a o podróży do Mongołów mówią wszyscy, toteż nie możecie się ich wyprzeć. Posłuchajcie nas, my zaś postaramy się, by William wyznał, że jest za wszystko odpowiedzialny, i by powtórzył to przed sędzią. Potwierdźcie, że dzieci istnieją, a my zatroszczymy się o to, żeby ten oszczerca nie otworzył więcej ust. William już dziś jest martwy! — Crean westchnął z powodu ciężkiego brzemienia, które wziął na siebie w imię braterskiej miłości bliźniego, po chwili zaś dodał: — A to jego „wyznanie”, które was obciąża, zniszczymy.

— Na miłość boską!... — zaoponował Pian, choć widać było, że rad jest, iż podsunięto mu tak wygodne wyjście z groźnej sytuacji. Nie może mu się nic stać!

— Co? Proście o łaskę dla tego łotra?

Dla Piana była to przykra sprawa.

— Williama... wciąż myślę o nim jako o Benedykcie... Williama przydzielono mi w zamku Świętego Anioła jako tłumacza. Wykorzystywałem go z wygodnictwa także jako sekretarza. Dyktowałem mu podczas całej podróży „Historiam Mongolorum”, dzieło mojego życia, dzięki któremu zamierzałem pozyskać uznanie Ojca Świętego i szacunek wszystkich książąt Zachodu. Nie ma bowiem żadnej relacji o życiu

i działalności Mongołów, o tym, do czego dążą ani jakie mają możliwości, żeby te cele urzeczywistnić, nic nie wiadomo o ich wojskach. Dyktowałem to temu człowiekowi, gdziekolwiek się znalazłem. Robił notatki swoim, jak to nazywał, „skrótowym pismem”, którego nie mogłem odczytać. Obiecał mi, że po powrocie natychmiast wszystko przepisze na czysto. Bez tego jestem zrujnowany. Musieliście przecież znaleźć przy nim notatki... — zakończył Pian trwożliwie; nie interesowało go zagrożenie ziemskiego żywota, którego to niebezpieczeństwa dopiero co uniknął, lecz przyszła pisarska chwała.

— Zgadza się — potwierdził Crean — znaleziono w jego kufrze wiele kartek wypełnionych dziwnymi gryzmołami.

— Tylko on może je czytelnie przepisać! — zaznaczył legat z mocą. — Nie ruszę się stąd! Jestem chory na myśl, że ten człowiek siedzi beczynnym i nie może pisać poranionymi palcami!

— Uspokójcie się — rzekł Crean i tym razem jego głębokie westchnienie było prawdziwe — wydam polecenie, żeby mu zaraz dostarczono do celi atrament, pióra i najlepszy pergamin...

— I nie szczędzono batów, jeśli nie okaże się dość pilny — dorzucił legat z patriarchalnym dostojeństwem. — Potem możecie z nim postąpić, jak wam się spodoba! Opowiedzcie mi teraz o dzieciach.

— To już przy innej okazji — odparł Crean nieporuszony. Wiedział, że wygrał pierwszą bitwę. — Pozwólcie mi teraz zadbać, by wasze *opus magnum*\* przyjęło taką formę, jakiej jesteście godni. — Podniósł się. — Odprowadź pana legata do jego pokojów — poleci! Jarcyntowi.

— Sam znajdę drogę — zapewnił Pian łaskawie. — Dzięki Bogu, wszystko przybrało należyty obrót. — W drzwiach odwrócił się jeszcze. — I strzeż nas, Boże, przed papieżem Polakiem... — szepnął, unosząc w górę palec.

— Amen! — odpowiedział Crean.

— Nawarzyliśmy sobie piwa! — jęknął Jarcynt, gdy zostali sami.

— Taka jest cena, mój drogi! — odparł wyczerpany „inkwizytor”. — Musisz mu dawać do jedzenia środków uspokajających i wymyślić coś, co mogłoby mu wypełnić czas, który jest nam, to znaczy Benedyktowi, potrzebny...

Doszli tymczasem do krużganków, gdzie oczekiwali na nich biskup i Gawin.

— Skruszony? — spytał. Crean skinął głową.

— My tymczasem dowiedzieliśmy się, co nasz więzień chciał powiedzieć: on nie umie pisać! — Gawin roześmiał się. — Benedykt nie jest wprawdzie analfabetą, umie czytać i ma całkiem poukładane w głowie, ale nigdy nie nauczył się pisać!

— Boże Wszechmogący! — wyrwało się Jarcyntowi. — O tym Pian nie może się do-

---

\* *Opus magnum* (łac.) — wielkie dzieło.

wiedzieć!

— Jeśli ten nadęty głupiec dotychczas tego nie zauważył — powiedział Gawin — to i w przyszłości nic nie dostrzeże. — Zaśmiał się hałaśliwie. — Niezwykły spisek! Fałszywe wyznanie, którego autor nie jest zdolny nawet jednego słowa umieścić na pergaminie!

Crean zbladł. Ten fakt zdecydowanie krzyżował ich plany.

— To jeden problem — zauważył sarkastycznie — a mamy jeszcze drugi: pan legat jest twórcą obszernej „Historiae Mongolorum”. Treści niestety nie może sobie przypomnieć, ponieważ podyktował ją sekretarzowi, który nie umie pisać. A teraz legat żąda manuskryptu.

— Temu można zaradzić — powiedział chytrze biskup. — Jarcyncie, udowodniłeś już, że masz wspaniałe pióro...

— O nie, na mnie nie liczcie, ekscelencjo — odparł kucharz z nieprzeniknioną miną. — Wypowiadam służbę. Raczej przekażcie mnie katu!

## TRIERA

*Konstantynopol, lato 1247*

Była wspaniała pogoda. Już od wielu dni oczy cieszyły się greckimi wyspami, które wyrastały z turkusowego morza, jasno oświetlonymi wsiami odbijającymi się w wodzie, świątyniami na wzgórzach doskonale widocznymi na tle błękitnego nieba oraz rybackimi łodziami, żaglowcami i barkami w zatokach, skąd ludzie machali rękoma, gdy triera z wydętymi żaglami bądź pędzona uderzeniami wiosel prześlizgiwała się obok wybrzeży. Tutaj więc mieszkali bogowie! William ich rozumiał.

Nic jednak nie zrobiło na dzieciach takiego wrażenia jak stare Bizancjum, które wyrzużyło się z morza niczym promienny Olimp. Potężny mur biegł po lewej stronie daleko w głąb lądu, pokonywał wzgórza i doliny, obejmował mocno ogromne, zdające się nie mieć końca skupisko wież i kopuł. Także od strony morza posiadało owo miasto nad miastami silne fortyfikacje, wzdłuż których teraz przesuwiała się powitalnie triera. Linie umocnień przecinały sztuczne baseny portowe, flankowane latarniami sygnałowymi, zaopatrzone w ogromne arsenały, bastiony naszpikowane katapultami, magazyny i żurawie.

I pośród tego mrowie ludzi! Tak wielu statków, w dodatku tak ciasno zestawionych jeden obok drugiego, nigdy jeszcze dzieci nie widziały. Jakże ubogie wydały im się wobec tego widoku zapamiętane porty Marsylii i małej Civitavecchii! I te stosy nagromadzonych towarów, bel, baryłek, amfor i skrzyń! Poustawiane wysoko, jakby chodziło o to,



żeby zaopatrzyć w rozmaite dobra cały świat, a przecież przeznaczone tylko dla jednego miasta, które wypiętrzało się teraz na oczach dzieci: morze domów, a w nim nasyczone ciemną zielenią cyprysów wzgórze przetykane gdzieniegdzie pałacami i kościołami o złociście błyszczących krzyżach.

Triera skierowała się do Złotego Rogu i przybiła do brzegu w Starym Porcie, poniżej utworzonego z łodzi mostu do Galaty, w połowie odległości między dzielnicą genueńską a wenecką.

Hrabina stała w cieniu namiotowego zadaszania przed swą kajutą na rufie. Nic nie wskazywało na to, że statek, na którym teraz wciągnięto wiosła, jest jej własnością. Udała zwykłą pasażerkę, anonimową i bez znaczenia.

Komendy wydawał, wrzeszcząc na całe gardło, Guiscard, grający rolę osobliwego, a zarazem bogobojnego właściciela triery. Przewoził gromadkę wstydliwych mniszek, pielgrzymujących do Ziemi Świętej, wśród których najbardziej rzucała się w oczy egzotyczna uroda pięknej młodej przeoryszy.

Klarion na prośbę Laurencji zdjęła wszystkie klejnoty i wyróżniała się szczególną powagą w czasie modlitwy, dla której teraz zgromadziła wokół siebie na pokładzie swoje „siostrzyczki”, pokojowe hrabiny. Wioślarze-żołnierze, ich wyostrzone wiosła, katapulty i w ogóle wszystko, co przypominało wojenny sprzęt, zostało ukryte głęboko w dolnych pomieszczeniach statku, dokąd również zagnano Williama i dzieci.

Laurencja była ostrożna. Kazała Guiscardowi wysłać najpierw kilku zaufanych ludzi, by sprawdzili, czy powietrze nie jest zanieczyszczone „czarną muszą hołotą”, czyli papieskimi.

Statek zacumował niedaleko ujścia głównego ścieku. W porównaniu ze słonawym odorem zgnilizny unoszącym się w całym basenie portowym, smród, jaki tu panował, był o wiele dokuczliwszy. Ale miejsce to miało wielką zaletę, znaną tylko niektórym. Laurencja do nich właśnie się zaliczała.

Niemal naprzeciwno triery wznosił się na drewnianych palach dom rozpusty. Hrabina rzuciła w jego stronę ukradkowe spojrzenie: żadna goła noga, żadna obnażona pierś nie ukazywały się kusząco w oknie. Laurencja pamiętała fetor wydobywający się z kanału odpływowego, którym z zatkanym nosem trzeba było brodzić jakieś trzysta stóp, aby dojść do miejsca, gdzie za ruchomą żelazną kratą znajdował się upust Wielkiej Cysterny cesarza Justyniana. Z podziemnego lasu kolumn można było osiągnąć dowolny punkt miasta, każdy znaczny pałac bowiem miał tajne połączenie z tym wodnym zbiornikiem albo przez labirynt naturalnych grot, albo przez wymyślny system akweduktów.

Laurencja szybko odsunęła od siebie myśl, aby tą niezwykłą, choć dosyć uciążliwą drogą dotrzeć do pałacu swego kuzyna biskupa. Ale sama świadomość, że istnieje tędy możliwość ucieczki, poprawiała jej samopoczucie. Zbyt często w swym życiu musiała

uciekać na łeb, na szyję.

Maurom, którzy wobec braku innych widoków na wyrwanie się z ciemnego brzucha triery zaferowali się jako tragarze, poleciła wyładować swoje rzeczy: znaczną liczbę kufrów, bel, skrzyń i koszów. Zrezygnowała z zabrania do pałacu którejs z pokojowych, zwłaszcza że służyły Klarion za „mniszki”. Zależało jej na tym, by możliwie szybko i niepostrzeżenie oddalić się z portu. Mogło się przecież zdarzyć, że ktoś rozpozna w niej Przeoryszę. Być może ciągle jeszcze wyznaczona była nagroda za jej ufarbowaną teraz henną głowę, a nie mogła zakładać, że Olim, kat, jeśli w ogóle jeszcze żyje, pełni nadal swój urząd. Niestety, triera była statkiem rzucającym się w oczy, o wspaniałych starodawnych kształtach, który bardziej zdawał się na siłę ramion niż na najnowszą technikę żeglarską. Toteż na nabrzeżu zaczęli się już gromadzić gapie.

Orszak ruszył naprzód. Otwierała go lektyka z hrabiną. Maurowie przepłoszyli ludzi, którzy cofnęli się na boki. Przez wznoszące się w górę stare miasto skierowano się ku klasztorom i pałacom.

Mikołaj z La Porty, rzymski biskup w greckim Bizancjum, o późnej porannej godzinie leżał jeszcze pod baldachimem swego łoża i dzielił się z Hamonem misą świeżych winogron i jabłek obranych przez Jarcynta ze skórki.

— Zawsze miałem zaufanie do twego kunsztu i receptur — zwrócił się do kucharza — tymczasem z letniej rezydencji doszła do mnie zasmucająca wiadomość, że Pian wygląda blado i mizernie.

— Każę mu gotować to co najlepsze, posyłam nawet codziennie na jego stół smakołyki z naszej kuchni — bronił się kucharz. — Pan komandor przytył, a panu legatowi nic nie przybywa. Zamartwia się, że dotąd nie dostał ani kawałka tekstu i że jego tatarskiej opowieści zdumieni czytelnicy być może nigdy nie poznają. Lamentuje sądząc, że jego uwięziony konfrater, którego imienia już nie wymawia, nie jest w stanie wypełnić pisarskiego obowiązku.

— A dlaczego nasz „kaligraf” bez przerwy wymiotuje w piwnicy?

— Wsadza dwa palce do gardła i wszystko zwraca z obawy przed otruciem.

— Wyczuwa całkiem dobrze sytuację — zakpił Hamo. — Jarcynt przecież uporałby się tak z każdą przeszkodą, byle zasłużyć się jeszcze jako pisarz.

— Nad każdym wisi jego miecz Damoklesa! — Wymownym spojrzeniem Jarcynt podziękował Hamonowi za sugestywną propozycję. — Mam jedną dobrą wiadomość, ekscelencjo, i jedną złą. Dobra: przybył właśnie William z Roebruksu. Zła: dzieci też przyjechały.

Pod baldachimem na chwilę zapadło milczenie.

— *Tetlathi de kradie!*\* Tutaj, do Konstantynopola?

---

\* *Tetlathi de kradie* (gr.) — Wytrzymaj, moje serce!

— Wasza ciotka, hrabina Otranto, jest właśnie w drodze do pałacu — obwieścił Jarcynt, bardziej Hamonowi, i oddalił się z nieznacznym uśmiechem.

Chłopak wpadł w panikę.

— Moja matka? To ja znikam!

Zapukano do drzwi i wszedł Crean.

— Skąd właściwie wasz kucharz wie, o czym w porcie śpiewają małże pod wodą? Jest szpiegiem?

— Ach — westchnął biskup i podniósł się z poduszek — wykupiłem go od Olima. Miał stracić rękę jako truciciel, nogę jako złodziej i oko jako fałszerz. Pomyślałem wtedy, że tak wiele pożytecznych umiejętności u jednego człowieka nie powinno się zmarnować. Odpłacił mi się zresztą już choćby jako kucharz.

Hamo wyslizgnął się przez zamaskowane tapetą drzwi na moment przed tym, jak bez pukania wtargnęła do sypialni Laurencja.

Przyjrzała się biskupowi odzianemu w długi nocny strój, na Creana nie raczyła zwrócić uwagi.

— Cóż to za przyjęcie! — zagrzmiała. — Mógłbyś się przynajmniej ubrać. Gdzie Hamo?

— Przed chwilą był jeszcze tutaj, a teraz jesteście wy, kochana ciotko — cieszył się wizytą biskup. — *Dis kai tris to kolon\** — Na dole w westybulu tragarze składali z łoskotem skrzynie i paki, lektyki i szafy odzieżowe, szkatuły z klejnotami i worki z bielizną. Biskup zerknął przez balustradę. — Och, widzę, że zostaniecie tutaj raptem kilka dni. — W jego głosie brzmiało ubolewanie.

— Zamierzam jak najszybciej się stąd wynieść! — ucięła opryskliwie hrabina. — Teraz ubieraj się, bo mamy coś do omówienia. Wy, panie z Bourivanu, też powinniście być przy tym obecni.

Narada odbywała się w pozbawionym okien pokoju obok skarbcza. Gawin Montbard z Béthune, komandor templariuszy, został przedstawiony hrabinie, która od razu zauważyła i doceniła jego niezależny sposób bycia. On też objął przewodnictwo posiedzenia.

— Skoro zarzuciliście tutaj kotwicę, na co potrzeba pewnej odwagi — zwrócił się do Laurencji — należy dzieci i Williama przeprowadzić niepostrzeżenie w bezpieczne miejsce na łądzie.

— Temu rozumowaniu nie można nic zarzucić — odparła hrabina — pokażcie mi tylko, jak to bezpieczeństwo dziś wygląda, i zagwarantujcie mi je w przyszłości.

— W tym domu nic złego im się nie przytrafi — zapewnił biskup, to jednak Lauren-

---

\* *Dis kai...* (gr.) — po dwakroć, po trzykroć pięknie!

cji nie wystarczyło.

— Nie znasz potęgi i podłości papieskich! — ofuknęła go. — Ten pałac nie jest twierdzą jak Otranto, a ty nie dysponujesz żadną siłą wojskową, chociażby trierą jak ja. A przecież wolałam wywieźć dzieci, żeby im zapewnić *securitatem maiorem*.

— Ja oferuję *securitatem maximam!*\* Nie zapominajcie, że katolicyzm jest tutaj bardzo źle tolerowaną religią okupantów. Kto żyw w mieście przeciwstawi się napastnikom!

— Bardzo zacni są wasi Grecy — Gawin usiłował pośredniczyć w sporze — ale nie doceniacie tajnego ramienia kurii rzymskiej, intryg zamku Świętego Anioła i nikczemności Szarego Kardynała. Bizancjum jest jak grząskie bagnisko, gdzie machinacje kurii znajdą świetną pożywkę i rozwiną się jak pleśń w wilgotnym upale! — Komandor poczekał chwilę, aż przedstawiony obraz dotrze do świadomości słuchaczy, nim podjął swój wywód: — Istnieje tylko jedna organizacja, która kurii dorównuje, ba, nawet ją przewyższa. Nie znajduje się poza papieskim imperium, lecz w samym jego centrum, i jeszcze lepiej niż panowie Capoccio, *pater filiusque*\* umie w sobie połączyć i wykorzystać duchowe i świeckie możliwości. Mam na myśli zakon templariuszy.

— Nie możecie mówić za cały zakon — odezwał się Crean z powstrzymaną irytacją. — Raczej ja mógłbym ręczyć za swoich, bo łącznie z wielkim mistrzem w Alamucie wszyscy wtajemniczeni są zgodni, że dzieci nie tylko należy uratować, ale doprowadzić do ich wywyższenia. Wielki Plan jest przesadzony! Za nim stoją asasyni gotowi do każdej ofiary, by zagwarantować jego przeprowadzenie! — Crean wziął głęboki oddech i zmusił się do zachowania taktu. — Templariusze wtajemniczeni w całe przedsięwzięcie, związani z nami uroczystą przysięgą, którym należy się z pewnością najwyższe poważanie, to tylko jednostki, jest ich niewielu...

— *Pauci electi!*\* — sprzeciwił się werdyktowi Gawin, ale Crean jeszcze nie skończył:

— Skąd możecie wiedzieć, co jakaś inna grupa rycerzy zakonnych uzna jutro za korzystne? Wasze gwarancje bezpieczeństwa nie są pewne.

— Nie powierzyłbym dzieci ani templariuszom, ani asasynom — wyrwał się biskup na swój impulsywny sposób. — Nie dlatego, żebym im nie ufał, ale widzę w tym zagrożenie neutralności przedsięwzięcia: nie da się zadowolić z jednej strony islamu, z drugiej zaś chrześcijaństwa. Wielki Plan muszą chronić również jego twórcy. Nie idzie tylko o strzeżenie dzieci przed zagrożeniem z zewnątrz, lecz o ich boskie pochodzenie. Idzie o czystość Graala!

— Zdziwiliście mnie, Mikołaju — oznajmił Gawin — i zawstydzili. Nie doceniałem

---

\* *Securitas maior* (łac.) — większe bezpieczeństwo; *securitas maxima* — największe bezpieczeństwo.

\* *Pater filiusque* (łac.) — ojciec i syn.

\* *Pauci electi* (łac.) — nieliczni wybrani.

was. — Komandor podniósł się i spontanicznie uściskał biskupa. — Ja w każdym razie złożyłem propozycję, moi rycerze i statek są do waszej dyspozycji, jakkolwiek rzecz rozstrzygniemy.

— *Gnothi seauton!*\* — rzekł biskup. — Jestem tylko człowiekiem, do tego słabym, potomkiem nie znanego mi ojca. Moja lekkomyślność przesłania niekiedy głębsze poglądy. Nie jestem ani godny, ani silny, ani dostatecznie gotów do ofiary, żeby móc powiedzieć: „Tutaj, u mnie, dzieci są bezpieczne!” Nie mogę się podjąć takiej odpowiedzialności.

— I ja nie mogę dłużej jej ponosić! — zawołała Laurencja. — Nie dlatego, żebym chciała pozbyć się dzieci, zbyt mi przypadły do serca. Ale ja także nie jestem silną osobą, choć wielu sądzi inaczej. Chciałabym prowadzić znowu normalne życie, jeśli da się je tak określić. Przybycie tutaj było błędem, niepotrzebnie wyruszyłam z bezpiecznego Otranto, narażając dzieci. Nie czuję się pewnie, myślę, że nie dorosłam do tego zadania.

— Jestem głęboko wzruszony — stwierdził Crean — że każdy po kolei tak krytyczne ma o sobie wyobrażenie i że pielęgnujecie cnoty skromności i ustępowania pola innym, godniejszym. Daleki jestem od tego, żeby waszą rozwagę nazwać tanią, a ucieczkę przed obecnymi i przyszłymi trudnościami tchórzostwem i wygodnictwem. Wielki Plan wymaga odwagi lwów i orłów! — powiedział z wielką pasją. — Zaklinam was, pozwólcie nam zabrać dzieci z rejonu Morza Śródziemnego. Przekażcie je mnie! Zawiozę je do Alamutu. Tam będą nie tylko bezpieczne, ale też otrzymają duchowe wskazówki, które przydadzą im się później w realizacji ich zadania.

— Nie! — sprzeciwił się Gawin. — Męstwo asasynów można przyrównać do męstwa lwów i orłów, ale los dzieci należy powierzyć ludziom rozważnym, o wielkiej mądrości politycznej, którzy mają odwagę być także tchórzami.

— Nie! — zaoponowała Laurencja. — Dzieci powinny nauczyć się kochać życie, a nie szaleńczo odważną śmierć, która rzekomo otwiera bramy raj.

— Nie! — zaprotestował biskup. — Alamut jest zbyt odległy i zbyt sekciarski. A poza tym za blisko Mongołów! Dla mnie granica między Zachodem i Wschodem przebiega na osi Konstantynopol-Jeruzalem. I właśnie rejon Morza Śródziemnego potrzebuje założenia królestwa pokoju, a tego się po dzieciach spodziewam.

— W takim razie mogę odejść! — Crean zerwał się gwałtownie.

— Poczekajcie — powstrzymał go Gawin. — Musimy podjąć decyzję. Oto rezultat naszego spotkania: dwie strony chcą zabrać dzieci, ale nie powinny, i dwie strony je mają, lecz ich nie chcą. Proponuję zażądać rozstrzygnięcia od najwyższej władzy, i to jak najszybciej. Przez ten czas dzieci muszą tutaj pozostać, a my zobowiązani jesteśmy połączyć siły, żeby im zapewnić ochronę. Proponuję też, żeby Crean z Bourivanu wyru-

---

\* *Gnothi seauton* (gr.) — Poznaj samego siebie.

szył natychmiast i przywiózł werdykt twórców Wielkiego Planu. W tym celu oddaję do jego dyspozycji statek.

Biskup i hrabina skinęli z aprobatą głowami, Crean się jednak oburzył:

— Wyraziłem swoją wolę, naszą wolę...

— Wolno wam może mówić w imieniu kanclerza — przerwała mu hrabina — ale czy również w imieniu Przeoratu Syjonu? Przywieźcie tu swojego ojca, on powinien rozstrzygnąć!

— Jan Turnbull myśli tak jak ja — odparł Crean gorzko — ale zastosuję się do waszego życzenia i powiadomię go... — Skłonił się w stronę Gawina: — Wasz statek nie będzie mi potrzebny.

Pożegnał wszystkich i skierował się ku wyjściu. Biskup podniósł się także, by odprowadzić go do drzwi.

— William żyje — szepnął — i będzie nam potrzebny. *Me kinein kokon ei keimenon*\* Proszę was, postarajcie się, żeby go nic złego nie spotkało, bo wiem, że pępowinę ma już podwiązaną.

— Wobec tego wiecie też, że jeśli rozkaz zostanie wydany, William w żaden sposób nie zdoła uniknąć śmierci. Wykonawcy są prawdopodobnie od dawna w drodze, może już tu, w Bizancjum. Miejcie się więc na baczności, nie dopuszczajcie w pobliże mnicha nikogo, kogo nie znacie!

— *All' etoi men tauta theon en gunasi keitai!*\* — Biskup był rozczarowany, a Crean odalił się z kamiennym wyrazem twarzy.

— Spodziewam się — oświadczył Mikołaj, gdy wrócił do pokoju — że nikt nie będzie przeciwny temu, by prawdziwego Williama natychmiast przenieść do piwnicy. Będzie tam pisał to, co Benedykt mu podyktuje.

— Ciekawe, jak przyjmie rzekomy William, skonfrontowany teraz z oryginałem, tę złośliwą „pomyłkę”, która mu przysporzyła tyle zmartwień? — spytał Gawin.

— Niech sobie robią, co chcą, zwłaszcza że obaj nie wiedzą o liście, który odczytaliśmy Pianowi — wyjaśnił biskup, czując się teraz znów swobodniej. — Mogą sobie oczy wydrapać albo po bratersku paść w ramiona: nic nie wyjdzie poza mury tego domu. Ważne jest tylko, żeby napisali tę przekłętą historię Mongołów i żeby Pian się uspokoił. Skoro dzieci są tutaj, jesteśmy teraz całkowicie zdani na współpracę z nim, toteż musimy się dostosować do okoliczności.

— Napiszę parę słów dla waszego posłańca — powiedziała hrabina. — Na tryerze może się zjawić tylko z moim pełnomocnictwem.

Biskup wysłał zatem do portu swego kucharza, aby mnicha i dzieci przeprowadził okrężną drogą, kanałami, do pałacu Kallistosa: Williama do piwnicy, dzieci do Pawilo-

---

\* *Me kinein...* (gr.) — Nie ruszaj zła, które spokojnie leży.

\* *All' etoi...* (gr.) — Zaprawdę! Teraz wszystko zależy od bogów!

nu Złudzeń.

Crean szybkim krokiem dotarł do triery zacumowanej przy nabrzeżu. Minoryty, a także Rosza i Jezy nigdzie nie dostrzegł, zobaczył natomiast Klarion w stroju mniszki otoczoną przez siostry zakonne. Klęczały pod celtowym zadaszeniem kajuty na rufie i odmawiały nieszpory. Crean czekał, aż skończą, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Wreszcie młoda przeorysza podniosła się i kazała mu podejść bliżej.

— Jeśli zamierzaliście starać się o moją rękę, panie — pokryła kokieterią oniesmielenie, które ją zawsze ogarniało, kiedy go spotykała — przybyliście za późno. Wstąpiłam do klasztoru!

— Mimo to proszę, chodźcie ze mną... i z dziećmi. — Crean bez ogródek wypowiedział swoje życzenie. — Nie są już tutaj bezpieczne. Uciekajmy razem!

Klarion zaczęła żałować, że przed chwilą podniosła się z klęczek.

— Nie o mnie wam idzie, Creanie, lecz wyłącznie o dzieci. Z moją obecnością godzicie się jedynie jako z koniecznym dodatkiem.

Crean nie wiedział, co na to odrzec, i rozgniewał się na siebie, że w ogóle podjął tę próbę. Kobiety!, pomyślał. Należy zrezygnować nie tylko z nich, ale również ze współdziałania z nimi!

— Dajcie mi dzieci! — upierał się, lecz oto na pokładzie zjawił się Guiscard.

— Po moim trupie!

Teraz Crean dostrzegł wreszcie dzieci szalejące w głębi statku, między ławami wiosłarzy. Bawiły się z Williamem w ciuciubabkę. Jakże wyrosły od czasu, kiedy je widział po raz ostatni! Mnich z zawiązanymi oczyma potykał się o wystające uchwyty wiosła.

Crean dał za wygraną. Zobaczył, że Rosz i Jeza to już nie bezradne małe istoty, dla których najważniejszą postacią jest piastunka, i to w osobie grubego franciszkanina. Jakże odległy był tamten czas! Powinno się wreszcie przestać kreślić i szarpać ich los. Jeśli jest im przeznaczone coś wielkiego, to Bóg nimi pokieruje.

— Módlcie się za nie — powiedział nagle do zmieszanej Klarion i otaczających ją mniszek, które skierowały na niego pytające spojrzenia. Odwrócił się gwałtownie i opuścił trierę z podniesioną głową.

*Inszallah!* Nie nadszedł jeszcze czas, żeby on, Crean, decydował o losie dzieci, choć nie miał wątpliwości, co dla nich jest najlepsze. Według niego należało zamknąć w końcu rachunek fałszerstw.

Rozejrzał się wśród statków w porcie i wkrótce wypatrzył egipski żaglowiec handlowy, który otwarcie wywiesił zielony sztandar Proroka. Właściciele statku, dwaj arabscy kupcy, siedzieli przy herbacie. Crean milcząc przysiadł się do nich i skosztował gorącego napoju. Zapach świeżej mięty uderzył go przyjemnie w nozdrza.

— *As-salamu alajna.*

— *Wa-ala ibadi Allah as-salihin.*

— Jest wolą Allacha — powiedział Crean z namysłem — żeby trzymać się tego, co nakazały znaki na rzemieniu. — Obaj nieznacznie skinęli głowami. Crean odczekał chwilę, po czym ciągnął: — Muszę pilnie wrócić do domu, dlatego proszę, żebyście mi odstąpili statek.

Starszy muzułmanin ze starannie przyciętymi bokobrodami nalał Creanowi herbaty z miedzianego dzbanka.

— Statek jest twój. — Po krótkim aprobującym spojrzeniu młodszego dodał jeszcze: — Powiedz tylko, co potrzebujesz z prowiantu i upominków. Gdy znajdziemy schronienie na lądzie, każemy dostarczyć to na pokład.

— Mam nadzieję, że moje życzenie nie wpłynie niekorzystnie na wasze działania ani im nie przeszkodzi.

— *Allah Karim.* Wszystko w ręku Allacha! Tylko on może nas powstrzymać, wy, szlachetny panie, na pewno nie.

Obaj muzułmanie podnieśli się, skłonili przed Creanem i klasnęli, by przywołać niewolników.



# XI

## W LABIRYNCIE KALLISTOSA

### PAWILON ZŁUDZEŃ

*Konstantynopol, pałac Kallistosa, lato 1247*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

— Zechcecie państwo pójść ze mną? — usłyszałem pytanie.

Łysy człowiek z nosem stanowiącym nadzwyczaj charakterystyczne przedłużenie czoła stał w towarzystwie Klarion na najwyższym pokładzie, a jego grzeczne zaproszenie dotyczyło chyba mnie i dzieci. Zobaczyłem go dopiero wtedy, kiedy mi, zmęczone-mu zabawą, zdjęto z oczu opaskę.

Klarion skinęła w moją stronę.

— Jarcynt zaprowadzi was niepostrzeżenie do pałacu biskupiego, zaufajcie mu! — zwróciła się bardziej do Rosza i Jezy niż do mnie, jako że z trudem mogłem za nimi nadążyć. Gdyby nie powiedziała tego wyraźnie, ten Jarcynt wydałby mi się dosyć podejrzany. W jego pozbawionej zarostu spłaszczonej twarzy tkwiły nieruchome rybie oczy. Przede wszystkim jednak całkowity brak brwi był chyba przyczyną, dla której łysa głowa sprawiała tak nieprzyjemne wrażenie.

Jeza i Rosz wdrapali się zręcznie na pokład, podążyłem za nimi najszybciej jak mogłem. Klarion uścisnęła dzieci, a śpiewające psalmy mniszki pomachały im ukradkiem, bo wszystkie serdecznie tych urwisów polubiły.

Opuściliśmy tryerę i Jarcynt skierował się ku zaniedbanemu magazynowi, który wznosił się na drewnianych słupach naprzeciwko nabrzeża. Z zasypanego odpadkami podwórza uciekło na nasz widok kilka szczurów, wskazując wejście do niegościnnego kanału.

Ani Jeza, ani Rosz nie wzdrygnęli się nawet, ja zatkałem nos i zacząłem się obawiać o gołe palce w sandałach. Jarcynt wszedł pierwszy i trzymał dzieci za ręce, póki nie znalazły oparcia w szlamowatym podłożu. Rosz ścisnął łuk gotowy do strzału, Jeza obejmowała mocno sztylet, ale szczury znikły popiskując w głębi kloaki, której bulgoczący nurt zmierzał ku morzu murowanym korytem biegnącym poniżej. Gdy przeszliśmy w milczeniu około trzystu stóp, wymacując grunt w śliskim błocie, Jarcynt skręcił w bok. Przejrzysta woda opływała teraz nasze kostki, korytarz stał się węższy i piął się

zakrętami stromo w górę, aż zagroził nam drogę gruby mur. Przed nim obracał się ze szczękiem bęben z krat z ostrymi jak noże hakami. Poruszało go koło łopatkowe napędzane ową przejrzystą wodą, która z pluskiem wylewała się przez otwór w środku muru. Drabina z gładkich żelaznych rur pozwoliła nam pokonać przeszkodę.

— Bariera dla szczurów? — zapytałem domyślnie.

— Tak — odpowiedział nasz cicerone, znawca podziemnego świata — ale i dla chytrych dwunogów. — Wchodziłem za nim do góry. — Uważajcie na stopy! — ostrzegł opiekuńczy Jarcynt.

Popatrzyłem na dzieci: były przejęte, lecz nie wystraszone. Ubezpieczałem je, póki nie przejął ich Jarcynt stanąwszy na murze.

Po przejściu kilku stopni osiągnęliśmy zwieńczenie kamiennej tamy, w której znajdowała się śluza. Wydawało mi się, że jest zbyt potężna dla strugi, która przepływała dołem przez otwór w murze. Nad nią wisiała na łańcuchu podciągnięta w górę ciężka, wykonana z podwójnych dębowych desek zastawa.

Myślałem, że znajdziemy się teraz na brzegu cysterny, lecz pomieszczenie, do którego zeszliśmy po drugiej stronie tamy, było całkowicie suche. Do tego zagradzała nam dalszą drogę żelazna krata ze sterczącymi na zewnątrz i do wewnątrz kolcami. Zrobiło to na mnie wrażenie gigantycznej pułapki na dzikie zwierzęta, albowiem także na bocznych ścianach zobaczyłem, podobne do rozwartej paszczy wilka, dwa skrzydła „bramy”, również zaopatrzone w ostre kolce — straszliwa szczęka gotowa w każdej chwili się zatrasnąć.

— Dla wtajemniczonego to żaden problem! — Jarcynt cmoknął i bez strachu chwycił za żelazo. Krata bezgłośnie obróciła się wokół własnej osi i odsłoniła przejście. — Pójdę za tobą — przepuścił mnie przodem. — Tylko nie nadepnij na próg! Ustępuje niekiedy pod nogą!

Zawahałem się, serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Wtedy Rosz chwycił mnie za rękę i ruszył naprzód. Jarcynt dla pewności przeniósł Jezę przez próg.

Znaleźliśmy się w niskim pomieszczeniu. Płaski kamienny sufit znajdował się tutaj w zasięgu ręki. Był podparty jedną ozdobną kolumną, która okazała się miedzianą rurą kończącą się nad podłogą. Poza tym wewnątrz było puste, przecięte tylko rynną, którą płynęła czysta woda.

Wszystko to przypominało mi natrętnie grobowiec, gorzej, miejsce ofiarne, w rynnie odpływowej brakowało tylko jeszcze krwi. Williamie, powiedziałem do siebie, cóż za niedorzeczne pogańskie myśli przychodzą ci do głowy! Na drugim końcu tego zagadkowego pomieszczenia dostrzegłem — co wcale nie poprawiło mi samopoczucia — taką samą jak poprzednio zakończoną ostrymi kolcami żelazną kratę, a za nią masywny mur. Nasz przewodnik widać odgadł, jak niemiłe wrażenie odniosłem, gdyż poczuł się zobowiązany do objaśnień.

— Znajdujemy się teraz dokładnie pod fontanną Nemezis. Ten zbiornik można napełnić wodą. Powstaje wówczas ciśnienie, które uruchamia fontannę. To niezwykle wodotrysk: wąska struga o imponującej sile! Kiedy to wszystko jest zalane, woda wystrzela do góry przez tę rurę — tłumaczył rzeczowo. — Na górze na zamykającym wylot fontanny kamieniu stoi ciężki brązowy posąg bogini.

— A jeśli ktoś jest tutaj zamknięty — zastanawiała się Jeza — i napływa woda, to co on wtedy robi?

— Staje się mały jak mysz i wyfruwa przez rurę do nieba! — Jarcynt miał wzruszający sposób obchodzenia się z wrażliwymi dziećmi.

— Myszy nie potrafią latać — oświadczył Rosz — i jeśli szczury nie mogą się tutaj przedostać, lepiej żeby człowiek też tu nie trafił.

— Po to są właśnie kraty — potwierdził łysy człowiek, ucieszony zrozumieniem — żeby nikt niepowołany nie zamknął śluzy.

Wskazał na koniec żelaznego łańcucha, na którym wisiała dębowa zastawa śluzy. Łańcuch był, co wcześniej przeoczyłem, mocno przytwierdzony do haka wpuszczonego w podłogę i biegł ponad kolczastą kratą wysoko ku blokowi.

Jeza wszakże nie ustępowała.

— Wobec tego byłoby lepiej, żeby ta krata — wskazała sztyletem za siebie — znajdowała się przed zastawą dla wody.

— Och, tak to zostało zrobione i nie było już potem używane — powiedział Jarcynt lekko dotknięty. — To urządzenie jeszcze z czasów cesarza Justyniana!

— Przecież tacy głupi to oni chyba nie byli — oświadczyła na to Jeza, zirytowana w najwyższym stopniu, i nie pozwoliła Jarcyntowi się przenieść, kiedy przekraczaliśmy następną przeszkodę. Co więcej, patrzyła mu uważnie na ręce, gdy wyłączał śmiertelnośny mechanizm. — Kto nie wie, jak to działa — powiedziała cicho — jest zamknięty na amen.

Weszliśmy znowu po kamiennych schodach na koronę tamy. W tym murze nie było upustu, woda spływała płasko po stopniach, a przed nami rozpościerał się najdziwniejszy widok, jaki kiedykolwiek stworzył człowiek. Jezus, Maryja!... Dzieci wybiegły nieco do przodu i nawet one zastygły w nabożnym zdumieniu.

Bo był to widok zgoła baśniowy: ogromne ciemne jezioro, w którym tkwiły kolumny, jakie znałem tylko ze świątyń, setki kolumn w regularnych szeregach podtrzymujących sklepienie ginące w ciemności. W znacznych nierównomiernych odstępach spadały zeń pojedyncze krople, uderzając w spokojne lustro wody — jednostki czasu na zegarze świata, chwile wieczności oddalonej od rozgardiaszu miasta ponad nami, niezależne od pośpiechu poszczególnych ludzi.

— Cysterna Justyniana — oznajmił Jarcynt i poprowadził nas ostrożnie wzdłuż brzegu, aż u naszych stóp znalazło się czółno. — Każda rodzina ma tutaj gdzieś ukrytą łódź

— gawędził, na stojąco popychając czołno żerdzią wśród labiryntu kolumn — dlatego na dole odbyła się już niejedna zacięta bitwa na wodzie, przy czym wolno używać tylko drągów, żadnych sztyletów! — Tu mrugnął porozumiewawczo do Jezy. — Pod karą śmierci jest również zabronione pozostawienie w wodzie martwego ciała!

— A z łuku wolno strzelać? — dopytywał się onieśmielony Rosz.

— Jeśli trafisz, popłynie krew i zanieczyści wodę — wyjaśnił Jarcynt.

— Można tak strzelić — Rosz wycelował w brzuch Jarcynta — że trafiony wykrwawi się do środka. Guiscard mi powiedział.

Jeśli chodzi o posługiwanie się bronią, Amalfitariczyk był dla dzieci najwyższym autorytetem.

— Wówczas będziesz musiał zastrzelonego wynieść stąd na rękach — odparł Jarcynt, dziwnie pomysłem chłopca poruszony — więc raczej bym tego nie robił.

— Wcale nie zamierzam! — zapewnił chłopiec.

Dobiliśmy do wykutej w kamieniu przystani, skąd stopnie prowadziły prosto w ścianę, do wąskiego otworu w połowie jej wysokości.

Po kilku przedziwnych zygzakach korytarz rozszerzył się w grotę, która, jak się wydawało, miała wiele wyjść — w każdym razie znajdowały się w niej liczne otwory mogące do tego służyć. Zauważyłem je zresztą dopiero w migotliwym blasku pochodni, gdy Jarcynt ją zapalił, dotychczas bowiem nawet w cysternie dochodziło skądś rozproszone światło, tak że nigdy nie miałem wrażenia absolutnych ciemności. I całe szczęście, bo mroku obawiałem się bardziej niż ciasnoty dającego się objąć wzrokiem pomieszczenia.

Dzieciom podobała się podróż przez podziemny świat.

— Jesteśmy myszami — zaśpiewała Jeza. — Jesteśmy myszami, mamy cztery dziury, przed każdą dziurą siedzi kot, precz ty kocie bury!

Kroczyliśmy wśród upiornie błędzących wokół nas cieni, wywołanych chwiejnym światłem smolnej pochodni, szliśmy przez jaskinie i katakumby, obok zwietrzałych sarkofagów i wyblakłych ściennych malowideł, mijaliśmy wyryte na skałach znaki i liczby, zaklęcia zakochanych, zbiegów i skazańców. I nagle zobaczyliśmy przed sobą kręte schody; Jarcynt pchnął nad naszymi głowami klapę. Podążyliśmy kamienną spiralą w górę i wkrótce stanęliśmy w okrągłej sali rozjaśnionej dziennym światłem, chociaż nigdzie nie zauważyłem okna.

— Witamy w Pawilonie Złudzeń — oznajmił nadzwyczaj oficjalnie Jarcynt i skłonił się przed nami, zaledwie wyłoniliśmy się z otworu w podłodze.

Spodobało mi się tutaj; czegoś takiego nigdy jeszcze nie widziałem. Marmurowa posadzka była wysłana dywanami o orientalnych wzorach, gdzieniegdzie znajdowało się podwyższenie, służące chyba do leżenia; podziwiałem niskie hebanowe stoliki inkrustowane rogiem i masą perłową, tace z wyklepywanej miedzianej blachy, a także wysmu-

kłe stojaki do lamp oliwnych, cyzelowane i ozdabiane plecionymi srebrnymi drucikami i artystycznie osadzonymi szlachetnymi kamieniami. Była tu również mosiężna podgrzewana wanna i kociołki z węglem drzewnym, miski, w których pływały róże, dzbany z wodą do odświeżenia się. Wokół sali biegła rzeźbiona boazeria z wbudowanymi ściennymi szafami. Filigranowa kamienna konstrukcja ścian, przez które wpadało światło, wywoływała wrażenie, że znajdujemy się jakby w ogrodowej altanie.

Jarcynt zapukał do drzwi jednej z szaf i wyszedł z niej... Hamo!

Nie widzieliśmy się od czasu tamtej lawiny w Alpach, to znaczy prawie dwa lata. Hamo miał teraz osiemnaście lat i był młodym mężczyzną, co podkreślał jego zarost. Po wysłuchaniu spowiedzi Laurencji patrzyłem na niego całkiem innymi oczyma: Hamo L'Estrange! Ale i niezależnie od tego wydał mi się bardziej obcy niż w czasie naszego pierwszego spotkania w Otranto.

Dzieci także nie przywitały go radosnym wyciem.

— Bez brody byłeś ładniejszy — stwierdziła Jeza chłodno, a Rosz dodał:

— Klarion też się nie będzie podobał.

To skonsternowało Hamona.

— Dlaczego nie przyszła z wami? — zwrócił się do mnie, lecz odpowiedziała mu Jeza:

— Została mniszką.

— Nie wierzę! — zawołał Hamo, ja zaś uznałem, że nie mogę dopuścić do dalszych nieporozumień.

— Włożyła tylko strój zakonnicy — wyjaśniłem — aby w tym grzesznym porcie uniknąć bezecnych propozycji, które by prowokowała jej uroda. A tak jest narzeczoną Chrystusa pielgrzymującą do świętych miejsc.

— Taki pomysł mógł przyjść do głowy tylko mojej matce.

— Klarion jest całkiem do twarzy w tym stroju — zapewniłem go.

Naszą rozmowę przerwał Jarcynt.

— William — wyjaśnił dzieciom — pójdzie teraz ze mną, a wy sobie odpoczniecie.

Nie znał jednak małych hultajów. Obok niego świsnęła strzała i utkwiała w boazerii. Jarcynt nie drgnął nawet. Wepchnął mnie szybko w inne tajne drzwi i zniknął je na moment przed tym, jak sztylet Jezy wbił się w drewno.

Okrażaliśmy pawilon, wciąż jako więźniowie jego ażurowych ścian utworzonych z kamiennych ornamentów w kształcie rombów i roślin; te ściany otaczały salę niczym różany żywopłot. My nie mogliśmy zajrzeć do środka, ale podniecone okrzyki dzieci świadczyły, że one przynajmniej przez jakiś czas widziały moją sylwetkę.

Korytarz prowadził w górę, potem wracał do tego, który właśnie przeszliśmy, i schodami opuszczał się w głąb. Czasem miałem uczucie, że droga zmierza z powrotem, niekiedy pojawiały się wewnętrzne ściany pawilonu, niekiedy zewnętrzne; w żaden spo-

sób nie byłbym w stanie znaleźć wyjścia z tego trójwymiarowego kamiennego labiryntu w kształcie kuli.

— Widzę się już w charakterze zagłodzonej myszy — sapnąłem.

Jarcynt uśmiechnął się z mojej małoduszności.

— A właśnie zmierzasz prościuteńko do kuchni.

Otworzył drzwi w murze i w dole przez obłoki pary, która unosiła się z kotłów i rondli, zobaczyłem, sam nie widziany, krzątanicę kucharzy i kuchcików.

— Moje królestwo — powiedział Jarcynt pełen dumy. — Ale ty nie masz tu wstępu. Dla ciebie jestem aniołem z mieczem ognistym: ilekroć przyłapię cię w kuchni, obetnę ci jeden palec!

Nie wiedziałem, czy żartuje, lecz postanowiłem tego nie sprawdzać.

Zaprowadził mnie teraz najkrótszą drogą do wysokiej sklepionej piwnicy. Była pobielona wapnem, światło wpadało przez otwory w suficie. Nie były nawet zakratowane, ale znajdowały się bardzo wysoko.

Przy stole założonym pergaminem siedział mnich i spoglądał na mnie wyczekująco, prawie pokornie. Jarcynt zamknął drzwi i zaryglował z zewnątrz.

— Jestem Benedykt z Polski — przedstawił się blady mężczyzna we franciszkańskim habicie.

— Ty byłeś przecież z Pianem!... — wykrzyknąłem zdziwiony.

— Nie, Williamie, to ty byłeś! — poprawił mnie zdecydowanie.

Znał mnie, próbowałem zatem sprostować:

— Ja miałem być, ale...

— Żadne „ale”. Byłeś z nim u Mongołów, a ponieważ podczas całej długiej podróży dyktował ci swoje wrażenia, musisz je teraz przepisać na czysto!

— Co? — spytałem osłupiały.

— „Historia Mongolorum” sławnego brata Jana z Pian del Carpine!

— Ale ja... — usiłowałem się bronić — nie mam o niczym pojęcia!

Benedykt jednak pospieszył mi z pomocą, okazując podejrzaną życzliwość:

— Ja ci wszystko podyktuję! Zanurz tylko pióro w kałamarzu, Williamie z Roebruku, bo pergamin na pulpicie już wygladziłem, i zacznij w końcu spisywać relację z tej prześlawniej misji.

— A jeśli odmówię? — Zaledwie mi ta myśl przyszła do głowy, już ją głośno wypowiedziałem.

— Wtedy, jak przypuszczam — odparł Benedykt — nie dostaniemy nic do jedzenia. To wyjaśniło sprawę. Podeszedłem do pulpitu i zaostrzyłem pióro.

— „Wszystkim dobrym chrześcijanom — zaczął dyktować Benedykt — do których dotrze to pismo, brat Jan z Pian del Carpine z zakonu minorytów, legat Stolicy Apostolskiej wysłany z poselstwem do Tatarów i innych ludów Wschodu, przesyła życzenia ła-

ski Bożej w życiu doczesnym, szczęśliwości w życiu przyszłym i świętego zwycięstwa nad wrogami Boga i Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Gdy nam obwieszczono wolę papieża oraz dostojnych kardynałów, by udać się do Tatarów i innych ludów Wschodu, postanowiliśmy, mając prawo wyboru, wyruszyć najpierw do Tatarów. Obawialiśmy się bowiem, że w najbliższej przyszłości Kościołowi rzymskiemu może właśnie z tej strony zagrozić niebezpieczeństwo. I chociaż baliśmy się śmierci z ręki Tatarów bądź niewoli, a także głodu, pragnienia, zimna, upału, haniebnego traktowania i wszelkich innych trudów, czegośmy z wyjątkiem śmierci i niewoli rzeczywiście zaznali, i to dotkliwiej, niżeśmy sądzili wcześniej, nie szczędziliśmy sił, by zgodnie z wolą Bożą wypełnić polecenie papieża i zasłużyć się chrześcijaństwu. Chcieliśmy przynajmniej wniknąć w rzeczywiste plany i zamiary Tatarów, ażeby w razie ponownego najazdu poganie nie zastali nas nie przygotowanych, co już raz się zdarzyło jako kara za ludzkie grzechy. Tatarzy zgotowali nam wówczas wiele cierpień i wycinali chrześcijan w pień. Stąd też we wszystkim, co dla waszego dobra piszemy, aby was przed Tatarami ostrzec, musicie tym mocniej uwierzyć, żeśmy to, podróżując ponad rok i cztery miesiące przez ich kraj i zarazem w ich towarzystwie, i między nimi żyjąc, na własne oczy widzieli albo przynajmniej słyszeli od przebywających w niewoli chrześcijan, którzy wedle naszego mniemania są wiarygodni. Otrzymaliśmy także od Najwyższego Kapłana zadanie, aby wszystko dokładnie zbadać i na wszystko mieć oczy otwarte. Czyniliśmy to też z gorliwością, tak samo jak nasz brat zakonny William z Roebruku, który był towarzyszem naszej udręki i naszym tłumaczem...

— Chwileczkę — przerwałem mu — tego nie mogę napisać!

— Musisz, Williamie, oni tak chcą!

— Dlaczego więc nie wymienić nas obu? Ty przecież nie zniknąłeś! — oburzyłem się na taki brak logiki.

— Ale zniknę — powiedział Benedykt. — Najpierw ja, a potem ty. Jeśli wpiszesz tam moje imię, każą je wymazać. Pozostanie tylko twoje i dzieci, którym towarzyszyłeś do wielkiego chana. Taka jest „Historia”!

Jego cicha rezygnacja wywołała we mnie wściekłość.

— No dobrze — oznajmiłem wystarczająco głośno dla każdego, kto podsłuchiwał.

— Napiszę, jak każesz. — I wykaligrafowałem: „Benedykt z Polski”, a on dyktował dalej:

— „Jeśli zaś z myślą o żadnych wiedzy naszych czytelnikach napisaliśmy coś, co w waszych okolicach jest nieznanne, to nie wolno wam zwać nas z tego powodu kłamcami, ponieważ opowiadamy tylko o takich rzeczach, któreśmy sami widzieli albo usłyszeli o nich jako o niezbitych faktach od ludzi godnych, wedle naszego przekonania, wiary. Byłoby z pewnością okrutne, gdyby ktoś z powodu dobra, które czyni, został przez innych zelżony...”

Naszą pracę przerwało wejście Jarcynta z kolacją dla Benedykta.

— Chcesz mnie znowu otruć? — Mój polski konfrater spoglądał gniewnie na parującą wazę z zupą oraz na miskę z sałatą i zimnym mięsem. Nie brakowało również sera i owoców. Ślinka mi napłynęła do ust; musiałem patrzeć na jedzenie bardzo łapczywie.

— Dziś jeszcze zjesz z dziećmi, Williamie, bo bez ciebie szaleją — powiedział Jarcynt z wyrzutem. — Masz je przekonać, że w najbliższym czasie będziesz zbyt zajęty — wskazał brodą na drugą pryczę, którą już dla mnie ustawiono — żebyś mógł bawić się w ich piastunkę.

— Ktoś musi się nimi opiekować! — rzuciłem. — I tak się dziwię, że jeszcze się tutaj nie zjawily.

— Nikt nie opuści pawilonu, jeśli z zawiązanymi oczyma nie umie znaleźć drogi przez labirynt.

— Nie znasz tych dzieci — sprzeciwiłem się.

Jarcynt uśmiechnął się z przymusem.

— Jeśli chodzi o więzienie, to rzecz nie w tym, żeby do niego wejść, ale żeby nie umieć wyjść. — Wskazał na otwór w ścianie piwnicy, który lejkowato zwężał się, przechodząc w ciemny korytarz. — To droga ucieczki, ma jednak wymiary obliczone raczej na wycieńczonych więźniów. — Zlustrował mnie i Benedykta takim spojrzeniem, jakby chciał oszacować naszą wagę.

Nie ufałem mu. Nagle zobaczyłem się w jego kuchni, wszystkie palce miałem już ucięte, teraz czekała na mnie wielka kadź. Stałem nad nią w jakimś otworze i właśnie miałem skoczyć...

— Zanim cię zaprowadzę do pawilonu — kucharz wyrwał mnie z rozmyślań — chciałbym, żeby Benedykt zaspokoił jeszcze moją ciekawość.

— Wyjął spod fartucha zakorkowaną flaszkę i postawił przed Polakiem.

— Jak to się stało, że Pian podczas całej podróży nie zorientował się, że nie umiesz pisać?

Benedykt miał oba policzki wypchane sałatą i chrupiące kurze udko w zębach, tak że jego przerywana mlaskaniem opowieść tylko fragmentami była zrozumiała.

— ..zawsze notatki... Pian myślał, że to tajne pismo... malowałem ludzi, obwarzanki, krzyże... Pytał: „Zapisałeś wszystko?”... Ja powiadałem: „Nie mogę się skupić, jak mi zaglądasz przez ramię, potrzebuję spokoju, odosobnienia...” Nalegał czasem, żeby przeczytać, co już napisałem. No to „czytałem”, a Pian nie posiadał się ze szczęścia, że takie miał wyszukane wyrażenia, ostre obserwacje i celne wnioski ze zdarzeń. Szlochał ze wzruszenia przy moim *in promptu*\* składanym tekście, zawierającym jego głębokie myśli i przebłycki geniuszu. Uzupełniamy się doskonale: on nie potrafi nic zapamiętać, a ja

---

\* In promptu (łac.) — na poczekaniu.



mam pamięć jak sam Bóg Ojciec!

— Będzie ci ona teraz bardzo potrzebna — wycedził słodkim głosem Jarcynt — ponieważ tym razem Pian chce sam przeczytać swą opowieść o dzikich Tatarach.

Benedykt przełknął ostatni kęs pieczonej kury i splukał gardło winem.

— Jakże się cieszę, Williamie — czknął zadowolony — że wszystko tak pięknie przepiesz!

Nie podzielałem jego szczęścia. Bolały mnie palce, toteż radowałem się, że wracam do pawilonu. Teraz także nie udało mi się choćby w części zapamiętać drogi, którą poprowadził mnie Jarcynt. Nie podobało mi się, że tak jestem na niego zdany, ale sam nie wszedłbym nigdy do tych podziemnych korytarzy. Przenigdy! Wydawało mi się, że słyszę wycie, warczenie czy też drapanie dzikiego zwierzęcia. Może żyły tutaj na dole złośliwe kloaczne świny albo jeśli już nie smoki, to jakieś olbrzymie gady? Całe szczęście, że kucharz szedł pierwszy.

— Powiedz mi prawdę o tym zabezpieczonym kratami pomieszczeniu.

Jarcynt nawet się nie odwrócił.

— Masz na myśli *balaneion*? Łażnię Tysiąca Stóp? — Będąc wciąż pod wrażeniem niesamowitych meandrów labiryntu, poczułem, jak przebiega mnie dreszcz, gdy usłyszałem w głosie mego przewodnika łagodną kpinę. — Było to miejsce straceń, masowego wykonywania wyroków przede wszystkim na uczestnikach ludowych rebelii czy jeńcach wojennych, których nikt nie chciał wykupić... Na jeden raz mieściło się tam z łatwością pięćset osób, stąd nazwa: Łażnia Tysiąca Stóp. — Chyba uważał to urządzenie za zabawne. — Widziałeś przecież łańcuch. Oczywiście nie tam był umocowany, lecz na zewnątrz kraty. Kiedy już wszystkich wepchnięto, zamykano szczelnie służę...

— A rura? — zapytałem przerażony.

— Wystrzeliwujący strumień wody oznajmiał tym na górze, że wyrok został wykonany. Woda nie tryskała wcześniej, aż wypchnęła całe powietrze.

— Straszne — powiedziałem. — Biedni ludzie!

— Dlatego też znajdują się tam te mocne żelazne kraty i bezpośrednie lekko spadziste połączenie z kloaką. Kiedy było już po wszystkim, to...

— Potworność! Jak mogą ludzie...

— *Polla ta deina k' uden anthropu deinoteron pelei\**

Weszliśmy cicho do pawilonu przez jedną z szaf. Hamo, który czuwał przy świetle oliwnej lampy, zerwał się. Dzieci spały już mocno, tak mi się przynajmniej wydawało.

Byłem zły na siebie, że nie potrafiłem zapamiętać drogi do pawilonu. Zatrzymałem Jarcynta i spytałem:

— Ten otwór w murze, wyście z piwnicy, które każdego więźnia na pewno nęci, po-

---

\* *Polla ta deina...* (gr.) — nie ma większego potwora niż człowiek.

winno gdzieś tutaj prowadzić. Są w nim jakieś przeszkody?

— Bardzo wiele! — szepnął Jarcynt. — Korytarz został tak pomyślany, żeby każdy, kto do niego wejdzie, nie mógł się wycofać. Umocowane na rzemieniach sprężynujące ostrza są wpuszczone w wąskie ściany. Gdy idzie się do przodu, przyginają się, ale przy najmniejszym ruchu do tyłu wbijają się w ciało uciekiniera. Tylko szczury i psy o krótkich łapach mogą przesunąć się pod ostrzami. Dawniej pawilon służył podobno za pomieszczenie dla psów myśliwskich, posokowców, które tamtędy dostawały się do ofiar dręczonych w piwnicy.

— Taki otwór musi nęcić więźnia...

— Gdyby tylko wiedział, co go czeka w pawilonie!... — znów ujawniła się demoniczność kucharza, którego łysa głowa błyszczała w słabym świetle, a oczy żarzyły się niczym węgle w głębokich pieczarach. — Jutro rano zabiorę cię stąd, Williamie.

Zabrzmiało to jak obietnica złożona przez diabła albo przynajmniej kata! Jarcynt zniknął za boazerią; tym razem wybrał inne drzwi.

— Pawilon Złudzeń nie jest furką do zdobycia pałacu, lecz węzłowym punktem wszystkich dróg ucieczki z budynku — wyjaśnił mnie po cichu Hamo. — Wtajemniczeni mogą naturalnie chodzić też w przeciwnym kierunku, ale przy najmniejszym błędzie zatrzaskuje się śmiertelna pułapka.

— Ja nie chcę uciekać — szepnąłem. — Chcę się opiekować dziećmi.

— A ja bym chętnie uciekł — zwierzył mi się Hamo — ale nie wiem dokąd.

— Ze mną jest podobnie — próbowałem go pocieszyć, naciągając na siebie derkę.

Przy gaszeniu lampki moje spojrzenie padło na twarzyczkę Jezy. Mrugnęła do mnie — wcale nie spała i z pewnością dobrze nastawiała uszu. Pogroziłem jej palcem i zgasilem światło.

## VENERABILIS\*

*Konstantynopol, jesień 1247*

Paralizujący, przesycony kurzem skwar bizantyńskiego lata ustępował miejsca łagodniejszej jesiennej pogodzie. Od morza Marmara nadciągały chmury i zsyłały oczekiwaną z utęsknieniem wilgoć na wzgórza miasta nad Bosforem.

Biskup wrócił ze swej letniej rezydencji do pałacu Kallistosa. Upewnił się co do postępów w pracy pisarskiej franciszkanów, wywiedziało się także o samopoczucie dzieci i oczywiście o humor swojej ciotki Laurencji. Niepożądana wizyta dostojnej pani była

---

\* Venerabilis (łac.) — czcigodny, szanowny.

dla Mikołaja z La Porty rozstrzygającym powodem, by usunąć się na wieś, chociaż tam z kolei znajdował się zatrzymany wbrew swej woli inny nieproszony gość, którego tylko codzienne dobroduszne przemowy mogły przekonać, że mnich zamknięty w piwnicy pisze aż do bólu palców, aby jak najszybciej skończyć jego, Jana z Pian del Carpine, „Historiam Mongolorum”. Już niedługo dzielny misjonarz, który odbył tak daleką podróż, będzie mógł ze swą księgą zameldować się u papieża.

Biskup powierzył „pieczę” nad Pianem pozostałym zakwaterowanym w letniej rezydencji gościom, templariuszom pod wodzą komandora Gawina Montbarda z Béthune. Obecność rycerzy zakonnych uważał Mikołaj za nadzwyczaj korzystną, mimo że obciążała jego kieszeń. Mógł sobie na to jednak pozwolić, a taka ochrona w ciężkich czasach nadchodzących dla Cesarstwa Łacińskiego była jak najbardziej pożądana. Zwłaszcza że w najbliższej przyszłości pałac biskupi, bez względu na to, czy będzie się to biskupowi podobało, czy nie, mógł się stać łatwą widownią gwałtownego starcia. Piękne dni babiego lata należało przeto w pełni wykorzystać.

Zaprosił ciotkę Laurencję na hipodrom, ponieważ doszedł do wniosku, że tam jej towarzystwo będzie łatwiejsze do zniesienia. Siedział teraz z hrabiną i jej wychowanicą Klarion, odzianą w Konstantynopolu w strój mniszki, w zacienionej łoży tuż przed północnym łukiem hipodromu, na wysokości małego obelisku Teodozjusza, i rozkoszowała się ostrymi wyziewami końskiego nawozu i skóry oraz szalonym pędem zlanym potem jeźdźców, którzy przy wejściu w zakręt kłębili się na wewnętrznym torze, bili i popychali. Później przez kilka sekund Mikołaj napięty do ostateczności musiał czekać, aby się przekonać, czy koń, na którego postawił, zalicza się do obalonych czy nie. I tak okrążenie po okrążeniu. Biskup zrywał się i wrzeszczał jak ulicznik, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Wszyscy robili zakłady, nawet ciotka Laurencja. Wreszcie Mikołaj został uwolniony od niepewności: jego koń wystrzelił na prostą z pustym siodłem, po jeźdźcu nie było nawet śladu.

— Przed zwycięstwem bogowie żądają potu. — Hrabina tryumfowała, lecz tylko przez dwa najbliższe okrążenia.

— *Athanatoi makros de kai orthios oinos es auten\** — rzekł biskup ze złośliwą satysfakcją. Barw Laurencji nie było wśród koni, które przy ogłuszającym wrzasku przekroczyły linię mety.

— *Nike!* Zwycięstwo dla Franciszka i jego braci! — zawołał głos, na który oboje się odwrócili. Do łoży wtargnął roześmiany mnich. Był to Wawrzyniec z Orty, papieski legat, ten sam, który poprzedniego roku zatrzymał się u biskupa i którego także hrabina znała z Otranto.

---

\* *Athanatoi...* (gr.) — Nieśmiertelni! Długa i stroma jest droga!

— Od kiedy to minorytom wolno stawiać zakłady? — powitała go rozgniewana Laurencja, nie mogąca przeboleć porażki.

— Bucefał, bo tak się zwie ten cudowny rumak, pochodzi z naszej parafialnej stajni! — odparł rozpromieniony Wawrzyniec. — Święty Franciszku, patronie wszystkich kochanych zwierząt, dziękuję ci z całego serca!

Biskup i obie damy przesunawszy się zrobili miejsce Wawrzyńcowi.

— Znowu w grzesznym Bizancjum? — spytał Mikołaj łaskawie.

— Czyżbyście nie pozęglowali z Otranto do waszego pana papieża? — rzuciła ostro hrabina.

— Tamto już załatwione! — Wawrzyniec wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Tym razem towarzyszę, choć na własną rękę, posłowi nadzwyczajnemu króla Francji, panu ze Joinville — wyrzucił z siebie radośnie — który w tajnej misji ma się przyjrzeć tutejszym porządkom. — Teraz dopiero zniżył głos. — Hrabia ma się wywiedzieć od brata Piana, kto z nim podróżował do Mongołów i co się dzieje z dziećmi, które rzekomo zawiózł tam niejaki William z Roebruku...

Z niezmiennie pogodnym wyrazem twarzy Wawrzyniec czekał, jakie wrażenie wywrze jego wiadomość, lecz ani biskup, ani hrabina nic po sobie nie pokazali. Dołożył więc następną wiadomość:

— W orszaku seneszala jest były kapłan, niejaki Iwo zwany Bretończykiem. Teraz to spowiednik samego króla, więcej: jego cień i nie prawa, lecz lewa ręka! To, że pobożny Ludwik pozwolił mu się oddalić, choćby na krótko, świadczy, jak ważne jest dla króla wyjaśnienie tej historii. Leży mu to na wątrobie!

— Widzę w tym rękę Szarego Kardynała! — fuknęła Laurencja. — Daje nam odczuć, jak daleko sięga ramię zamku Świętego Anioła. Chcę stąd wyjechać! — Głos jej zadrżał, ogarnęła ją nagle panika.

— Proszę was, ciotko... — biskup próbował uspokoić hrabinę.

— Nie nazywaj mnie ciotką! — syknęła. — Klarion, wyjeżdżamy natychmiast. Z dziećmi!

— Uspokój się! — Cała ta sytuacja była dla Klarion przykra. Bogu dzięki zaczęła się nowa gonitwa i nikt nie zwracał na nich uwagi.

— Jak mogę być spokojna? — Laurencja zerwała się z miejsca. — Ten Iwo to morderca, wynajęty skrytobójca. William mi o nim opowiadał. Bretończyk przybywa tutaj, żeby dzieci... — Tym razem biskup tak mocno uszczypnął ją w ramię, że przerwał potok jej słów.

Opuścili pospiesznie lożę, przywołali lektyki i najkrótszą drogą wrócili do pałacu.

— Czy hrabina zna drogę do pawilonu? — spytał Mikołaj kucharza, który zjawił się, gdy tylko Laurencja trzasnąwszy drzwiami udała się wraz z Klarion do swoich poko-

jów.

— Lepiej niż wy i ja — przyznał Jarcynt. — Już kilka razy odwiedziła tam dzieci. Klarion też...

— Prawda, przecież Hamo za każdym razem ucieka. — Biskupa rozbawił ten obraz, ale na krótko. — Uciążliwe pokrewieństwo!

W tym momencie wszedł Wawrzyniec i Mikołaj zwrócił się do niego z wyrzutem:

— Powinniście byli najpierw mnie powiadomić.

— Nie znam dobrze hrabiny — bronił się franciszkanin. — W Otranto wydawała się chłodna i rozważna.

Wawrzyniec poszedł za biskupem i jego kucharzem przez ich podziemne królestwo, aż stanęli przed jakimiś drzwiami.

— Dopilnuj — rzekł biskup do Jarcynta — żeby dla hrabiny przejście było zamknięte.

— Możliwość ucieczki do portu powinna zawsze istnieć — odparł spokojnie kucharz i Mikołaj przyznał mu w duchu rację.

— Ale na wszelki wypadek drogę trzeba zamknąć, żeby ktoś nie wdarł się do pawilonu i nie uprowadził dzieci — powiedział gniewnie. — I to od zaraz.

— Bezpośredniego zagrożenia nie ma — sprzeciwił się kucharz i otworzył drzwi.

Zeszli po drewnianych schodkach i mogli teraz z góry zajrzeć przez okrągłe okienko do wielkiej piwnicy. William stał przy pulpicie i pisał to, co mu dyktował Benedykt, który chodził w kółko z rękoma założonymi do tyłu. Jego głos dobiegał wyraźnie. U stóp Williama siedziały grzecznie dzieci, przysłuchując się z zainteresowaniem opowieści Benedykta.

— ...W tym czasie gdy Gujuka wybrano wielkim chanem, a byliśmy tego świadkami, spadł w obozie tak wielki i gęsty grad, że przy topnieniu utonęło ponad sto osób, a wiele jurt i innego dobra zabrała woda...

— Co to jest jurta? — zapytała Jeza. Benedykt przerwał dyktowanie.

— Okrągły namiot spleciony z gałęzi, wielki jak dom i obciążony z zewnątrz filcem — wyjaśnił życzliwie.

— A co to jest filc?

— Materiał, miękki i ciepły, chroniący nawet przed deszczem. — Benedykt był wzorowym nauczycielem. — Później wyszukam w skrzyni i podaruję ci sukienkę z filcu — obiecał dziewczynce.

— Spodnie! — powiedziała Jeza. — Wolałabym spodnie!

— I całe takie domy stawiają na wozy i wożą je wszędzie? — spytał teraz Rosz. — Taki wóz musi być przecież bardzo wielki.

— Wozy są tak wielkie jak... jak wasz pawilon — tłumaczył dalej Benedykt — a koła mają wyższe niż William i ja razem wzięci.

— I kto to ciągnie?  
— Bez mała dwieście wołów — cierpliwość Benedykta była niewyczerpana — a kieruje nimi jedna jedyna kobieta!  
— Widzisz?... — nadeła się Jeza, spoglądając na swego towarzysza.  
Biskup dał znak i niepostrzeżeni świadkowie rozmowy wycofali się na palcach.  
— Ja też tak podróżowałem — chwalił się Wawrzyniec. — Z papieskim pismem legacyjnym można jeździć wszędzie, i to za darmo! — Pełen dumy wyciągnął dokument z habitu. — Jest wprawdzie datowane na jesień roku pańskiego 1246, ale wciąż spełnia swoją rolę.  
— Czy mogę zobaczyć? — spytał biskup i przejrzawszy szybko pismo wręczył je kucharzowi. — Możesz to skopiować? Ale z drobną zmianą: ma być wydane przez jego świętobliwość Innocentego Czwartego w Lyonie w Wielkanoc 1245 roku. Dokładną datę wyciągniemy od Piana, a wystawione będzie na Williama z Roebruku...  
— To byłby... — mruknął Jarcynt po dokładnym przestudiowaniu zaopatrzonego w sznur i pieczęć pergaminu i upewniwszy się, że Wawrzyniec pospieszył przodem — to jest wyrok śmierci dla brata Williama.  
— Powinno być znalezione przy jego zwłokach. Usunie ostatnie wątpliwości.  
— A Benedykt?  
— Do tego czasu nie powinno go być wśród żywych. Pianowi zapewne też coś się przydarzy.  
— A dzieci? Jak one to przyjmą?  
— Skąd w tobie tyle uczuciowości, Jarcynie? *Kyklos ton anthropeion pregrmaton!*\*  
— Biskup poczuł się nieswojo. — Taka jest cena ich ocalenia, poza tym wszystko zostało ukartowane znacznie wyżej... A właściwie dlaczego dzieci są w piwnicy z franciszkanami?  
— Odkryły, podobnie jak szczury i psy, jak korzystać z Ostatniej Drogi nie nadziewając się na ostrza — roześmiał się cicho kucharz. — Co rano wczołgują się na czworakach z pawilonu do piwnicy, odkąd im zabroniłem pływać łodzią w cysternie...  
— Co? — Biskup był wyraźnie zirytowany, lecz kucharz nie zamierzał go oszczędzać.  
— W waszym skarbcu znalazłem je dwa razy. Są jak myszy!  
— Żeby ich tylko kot nie rozszarpał! — powiedział biskup. — Albo twój Styks!  
— Mikołajowi zawsze robiło się niedobrze na myśl o tym zwierzęciu. — Trzymasz go na łańcuchu? I pod kluczem? Na pewno podjąłeś wszelkie środki ostrożności, żeby bestia nie zaatakowała dzieci?  
— Ręczę za mojego Styksa — burknął kucharz.

---

\* *Kyklos...* (gr.) — bieg ludzkich spraw, zwykła kolej losu.

— Masz ręczyć za bezpieczeństwo dzieci! Odpowiadasz za nie głową!

— Jak zawsze, mój władco!

Biskup skierował się do wyjścia. W drzwiach omal się nie zderzył z Hamonem, który go właśnie szukał.

— Hrabina z Klarion wsiadają na statek. — Hamo zawrócił z ulgą, Mikołaj zaalarmowany pospieszył za nim.

Jarcynt tymczasem dogonił Wawrzyńca i nawiązał z nim rozmowę. Jakby mimochodem wspomniął, że franciszkanie nie nadążają z pisaniem, a tu Pian się niecierpliwi, napomknął też o przykrym położeniu nie umiejącego pisać Benedykta i o bólu palców Williama.

Wawrzyniec zaproponował bez namysłu, że pomoże konfratrom w pisaniu. Kucharz miał własny interes w doprowadzeniu do tej samarytańskiej posługi, biskup bowiem zagroził, że wykorzysta jego umiejętność pisania w służbie „Historiae Mongolorum”. Na razie uratowała go jedynie konieczność pilnego sporządzenia papieskiego dokumentu legacyjnego dla Williama.

Ucieszony zaprowadził Wawrzyńca do piwnicy, kazał podać wyborny posiłek i oznajmił dzieciom, że dzisiejszej nocy mogą spać z mnichami. Odpowiedziało mu radosne wycie.

Dla franciszkanów było to także radosne spotkanie.

— Trzy lata minęły od chwili, kiedy widziałem cię po raz ostatni, Wawrzyńcze — liczył wzruszony Polak. — Wówczas to Szary Kardynał wsadził cię do karceru z powodu nieposłuszeństwa. Dziś jesteś legatem.

— Ach, *spaventapasseri*, nasz strach na wróble! — roześmiał się mały minorityta. — Jak myślisz, Williamie, co by się z tobą stało, gdybyś mu wpadł w łapy?

— Nic gorszego niż pobyt tutaj, gdzie jestem piszącym niewolnikiem brata Piana, który kosztem mego kręgosłupa i palców chce zdobyć wieczną sławę jako historyk! Zastąp mnie, proszę, na małą chwilę, drogi panie legacie!

Gawin zastał biskupa przy kolacji, którą Mikołaj spożywał wraz z Hamonem w sali jadalnej. Byli już przy deserze, na który z kuchni przysłano ciasto marcepanowe i świeże figi posypane grubo mielonym pieprzem, lukrowane daktyle nadziewane orzechami włoskimi, kandyzowane kasztany i ciastka migdałowe. Popijali smakołyki gorącą gorzką herbatą indyjską, do której dodawali trochę dzikiej mięty, odrobinę imbiru i skórkę zielonej cytryny. Zaproponowali herbatę także komandorowi.

— Co powiecie na temat samopoczucia naszego dostojnego gościa? — zagadnął biskup niezbyt usposobiony, żeby się stanem Piana rzeczywiście przejmować.

Odpowiedź uwzględniła ten brak zainteresowania.

— Ani nie czuje się dobrze, ani nie czuje się gościem. Jedyne co go koi, to oczeki-

wane z niecierpliwością zapisane karty pergaminu, które mu się codziennie dostarcza z wieczornym posiłkiem, efekt całodziennego pracy naszego autorskiego zaprzęgu: Williama i Benedykta. Chętnie sam stanąłby z biczem, żeby popędzać piszącego muła.

— *Brachys ho bios, he de techne makra*\* Gdyby te osły w brązowych habitach wiedziały, że piszą dla siebie koniec ziemskich dni, narobiłyby w portki, zamiast tak wściekle pryskać atramentem! — Mikołaj pod mieszanką erudycji i wulgarności skrył niesmak z powodu okrutnego losu przeznaczonego niewinnym mnichom; w dodatku on w swoim domu przykładał do tego rękę. Gawin rozumiał biskupa.

— Flamandczyk ostatecznie sam wplątał się w to nieszczęście, ale Polak? Czy nie mógłby uciec?

— Bogu dzięki, *oida ouden eidos*\* i nie chcę też wiedzieć, co postanowiono w tej sprawie na górze i jaką drogą po wykonanej pracy jagnię trafi do rzeźnika. Na szczęście ja nie będę maczał w tym palców, ale kiedy pomyślę o ludzkiej perfidii i o haniebnym tradycjach tego pałacu...

— Masz na myśli Ostatnią Drogę? Czemu z niej nie skorzysta? — Hamo w przeciwieństwie do zachowującego stoicki spokój templariusza był poruszony i przybity jednocześnie świadomością śmiertelnego zagrożenia znanego mu człowieka.

— Ktoś musiał mu powiedzieć, jak więzień w ostatnią noc przed wykonaniem wyroku wdrapuje się do otworu w ścianie, pędzi korytarzem, który nie pozwala się cofnąć, biegnie bez tchu po zakrętach i schodach labiryntu, coraz szybciej, z coraz większą nadzieją, wreszcie widzi na końcu korytarza światło, otwór w ścianie, za nim jasność, wolność, uradowany wysuwa głowę, żeby się rozejrzeć...

— I co? — zawołał Hamo wzburzony. — Co dalej?

— Za ścianą Pawilonu Złudzeń czeka na niego kat.

— Stąd nazwa korytarza — zauważył Gawin. W zapadłej nagle ciszy dało się słyszeć trzeszczenie boazerii; Hamo wzdrgnął się, lecz szybko się przemógł i ruszył w stronę odgłosu. Szarpnięciem otworzył drzwi szafy. Za nimi kuliły się dzieci z rozszerzonymi strachem oczyma.

— A niech mnie!... — powiedział biskup.

Hamo przekazał oniemiałą Jezę i płaczącego Rosza kucharzowi, by zaprowadził dzieci z powrotem do piwnicy, sam zaś stracił całkowicie ochotę na dalsze przysłuchiwanie się rozmowie. Minoritytom, do których teraz dołączył Wawrzyniec, także nie chciał dotrzymywać towarzystwa. Uważał za nieprzyzwoitość przyglądać się komuś, kto tak jak Benedykt skazany był na śmierć, obserwować tę nieszczęsną mysz, która wprawdzie nie widzi węża, ale czuje jego bliskość, bezszelestne pełzanie. Postanowił więc opuścić biskupi pałac i spędzić noc w mieście albo w porcie, choćby nawet miał się natknąć na

---

\* *Brachys ho bios...* (gr.) — życie jest krótkie, długie jego dzieło.

\* *Oida ouden eidos* (gr.) — wiem, że nic nie wiem.



matkę.

Gawin i biskup zostali w sali jadalnej. Dopiero teraz templariusz przedstawił właściwy powód swego przybycia.

— Najwyższa decyzja dojrzewa ponad naszymi głowami — oznajmił biskupowi.  
— Przybył Jan Turnbull.

Mikołaj poczuł ulgę. Wreszcie zostaną wydane polecenia, za które on nie będzie już odpowiedzialny. Czy chętnie im się podporządkuje, to się dopiero okaże. Liczył na jasne rozstrzygnięcia, co w wypadku starego Jana nie zawsze miało miejsce, a przede wszystkim na szybkie i bezbolesne zakończenie całej sprawy. Nie lubił cierpieć.

— Czy przedstawiliście mu swoją propozycję, żeby opiekę nad dziećmi przejął zakon templariuszy?

— *Venerabilis* zamierza podjąć decyzję dziś w nocy.

— Wkrótce północ — mruknął biskup. — O jakiej więc nocnej godzinie pragnie nas zaszczyścić?

— On już jest tutaj — odparł komandor. — Na dachu, w waszym obserwatorium.

Gospodarz chciał się zerwać, templariusz go jednak powstrzymał.

— Mistrz życzył sobie, żeby nikt nie zakłócał mu spokoju, póki nie postawi pytań i nie uzyska na nie odpowiedzi zapisanych w gwiazdach. Poleciałem Jarcyntowi zaprowadzić go na górę i myślę, że nadszedł już czas, by z powołanych ust wysłuchać wyroku planet, echa astrologicznych domów.

Biskup klasnął w ręce i rozkazał zjawiającemu się zawsze bezszelestnie kucharzowi przynieść na werandę poniżej obserwatorium ser, oliwki i karafkę dobrego wytrawnego wina. Sam chwycił pochodnię i wraz z Gawinem wszedł na najwyższe piętro pałacu Kallistosa. Wkrótce dołączył do nich Jarcynt.

Pod nimi rozciągał się migoczący diadem portowych świateł, dalej czarna wstęga Bosforu. *Asia Minor* żarzyła się w oddali małymi punkcikami ognia, które zdradzały linię leżącego naprzeciwko wybrzeża.

Na najniższym stopniu ostatnich, prowadzących stromo do obserwatorium schodów stał olbrzymi rycerz zakonu krzyżackiego, Zygisbert z Öxfeldu, który trzymał tu straż. Gdy na powitanie przyłożył palec do ust, biskup zatrzymał się i ugryzł w język; darował sobie pogodny żart na temat Teutona jako „archanioła na służbie”.

Czekali zatem w milczeniu. Zygisbert sięgnął śmiało w kierunku tacy z serem, gdy tymczasem Jarcynt napełniał puchary.

Kiedy oczy przybyłych przyzwyczały się do ciemności, dostrzegli w górze, na płatformie, szczupłą postać Jana Turnbulla. Za nim widniały zarysy sfery armilarnej, kwadrantu i innych instrumentów niezbędnych astrologowi. Ich metalowe części, drążki z polerowanego mosiądzu błyszczały blado w świetle wąskiego sierpu księżyca. Szczupła postać, podobna do białego nietoperza, przemykała wśród przyrządów. Jakże ete-

ryczne wrażenie, pomyślał Mikołaj, sprawia ciało starego człowieka, którego duch nie szuka spokoju, lecz wciąż się czymś żywo zajmuje! Starzy ludzie są jak wielkie ptaki, noc pełna jest ich krakania, póki bijąc skrzydłami nie uniosą się i nie znikną na zawsze.

— Dziś jest dzień pogańskiej Wenus. — Turnbull podszedł wreszcie do balustrady i zwrócił się do oczekujących. — Jutro żydowski sabat, a w niedzielę dzień Pana, tryumf jasnego Apollona, *Solis invicti*\* króla nieba i ziemi! — Jak w transie starzec schodził w dół stopień po stopniu. — Niedziela to życiodajny ogień w domu Wodnika, nowy człowiek w blasku Słońca. W opozycji rządzi Jowisz siłą Lwa, osią zwycięskiej mocy. Rycki Mars chroni w koniunkcji macierzyńskiego Raka, podobnie jak Księżyc przyłącza się w domu Ryb do wielkiej *amas*\* Para władców!

Turnbull zszedł ze schodów, Zygisbert ustąpił mu z szacunkiem miejsca. Biskup i Gawin stali z kielichami w rękach nie śmiać podnieść ich do ust, jakby łyk wina mógł przerwać magię wyroczni, która przemawiała do nich głosem starca.

— Trzecią istotą w świętym trygonie jest Orzeł. Na jego skrzydła siada Merkury, posłaniec bogów i boskie dziecko zarazem. Przy jego boku mądry Saturn w Wadze sprawiedliwości i ugody, pokoju między narodami i religiami, po drugiej stronie bogini miłości czyni sobie poddanym Strzelca. Lecz to nie strzała Amora poleci ponad granicami i morzami, nie! Do pojednania ludzkości doprowadzi *agape*!\*

Z tymi słowami Jan podszedł do nich i jakby dopiero teraz ich rozpoznał. Ton jego głosu był całkowicie zmieniony, gdy witał biskupa i templariusza. Potrząsnął głową, odmawiając pucharu z winem.

— Nie dla trzeźwości — wyjaśnił życzliwie — ale na cześć wyższego odurzenia. — Spojrzenie Turnbulla przenikało przez obecnych na wskroś i biegło gdzieś w dal, która wydawała się otwierać wyłącznie dla niego. — Podjąłem decyzję — powiedział cicho. — Niedziela będzie dniem objawienia Graala. Minał czas ukrywania się, ucieczki i obaw. Pokażemy królewskie dzieci zdumionemu światu.

Mikołaj z La Porty i Gawin Montbard z Béthune milcząc podnieśli puchary, Zygisbert z Öxfeldu także nie dał się dwa razy prosić. Wypili.

— Pian — zaczął głośno rozważać biskup — nie jest jeszcze gotowy, jego dzieło nie zostało skończone. Musi...

— Pian nie wykręci się od dalece ważniejszego dzieła i przypadającej mu w nim roli — zdecydował Turnbull. — Co dotąd nie zostało napisane, nie zostanie napisane już nigdy!

— A co zrobimy z Williamem?

Starzec jednak wstrzymał się od dalszych rozważań i kazał Zygisbertowi sprowadzić

---

\* Sol invictus (łac.) — niezwyciężone słońce.

\* Amas — koniunkcja „głównych światel”, tj. Słońca i Księżycy, bądź zgromadzenie przynajmniej trzech światel (planet).

\* Agape (gr.) — czysta, obejmująca wszystko boska miłość.

się ze schodów.

— Jutro w nocy odbędzie się próba generalna. *Gnothi kairon!*\* — Biskup ruszył spiesznie za nimi.

Z głębi wyłonił się Jarcynt. Napełnił puchar komandorowi, który jako jedyny pozostał na górze.

Gawin sceptycznie obserwował przyrządy astronomiczne rysujące się na tle nieba. Zastanawiał się nad zbyt jego zdaniem pochopną decyzją, jaką starzec podjął w czasie samotnego czuwania. Nie mógł wszakże pomawiać Jana o szarlatanerię, bo odkąd go znał, Turnbull zawsze pozostawał pod wpływem gwiazd.

— Zbliżają się niespokojne dni, Jarcyncie — odezwał się wreszcie wzdychając.

— Godziny! — odparł grzecznie kucharz. — Minuty, chwile! *Venerabilis* nie powiedział nic o Lilith, czarnym księżycu w Skorpionie, w złej opozycji do Jowisza, zaciemniającym Słońce. Ani o chłoszczącym ogonie Smoka z tyłu, za tym księżycem!

— Nie powiedział albo ich nie widział! Dobranoc, Jarcyncie!

## OSTATNIA DROGA

*Konstantynopol, jesień 1247*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

— *Adiutorium nostrum in nomine Domini...*

— *Qui fecit coelum et terram.*

Brzask powoli wypierał welon nocy z naszego piwnicznego pomieszczenia. Nadeszła jesień i godzina jutrzni wypadała znowu w tej ponurej ciemności.

Wawrzyniec z Orty, mój dobrowolny pomocnik w pisaniu, obudził nas, byśmy odprawili poranne modły.

— Benedykt!... Czy Benedykt jest tutaj? — mruknęła w półśnie pełna trwogi Jeza i uspokojona zamknęła oczy, gdy zobaczyła Polaka klęczącego niedaleko jej legowiska.

Byłem zazdrosny z powodu nagłej sympatii dziewczynki do bladego mnicha. Rosz także wczoraj wieczorem przed zaśnięciem błagał go usilnie, żeby nie opuszczał piwnicy, jakby od tego zależało jego szczęście. W jaki sposób Polak wkradł się do serc dzieci? Zawstydyłem się zawiści i dołożyłem sobie za karę jeszcze jedno *Ave Maria*, do którego włączyłem wszystkich, także Benedykta. Niech Matka Boża ma nas w swojej opiece! Amen!

Wszedł bezgłośnie Jarcynt, postawił przed nami śniadanie: gorące mleko i jajka, po

---

\* *Gnothi kairon* (gr.) — wszystko w swoim czasie.

czym wycofał się. Zapach jedzenia obudził dzieci, toteż zaraz po spożyciu posiłku zabrał się do pracy. *Mega biblion mega kokon*\*

Pisanie zaczął Wawrzyniec. Zmienialiśmy się często, tak że bez oszczędzania palców jedno pióro mogło pryskając atramentem tańczyć po pergaminie, podczas gdy drugi z nas ostrzył już następne oraz usuwał kleksy i błędy.

— „W całym świecie — dyktował Benedykt — nie ma ani wśród ludzi świeckich, ani wśród braci zakonnych posłuszniejszych poddanych niż Tatarzy. Nie kłamią, nie obrzucają się wyzwiskami. Kiedy się sprzeczą, nigdy kłótnia nie przeradza się w rękoczyn, nie dochodzi do uszkodzenia ciała czy wręcz zabójstwa, nie ma wśród nich złodziejstwa i chociaż mają niewiele środków do życia, dzielą się chętnie z innymi...”

— Przestań! — zirytowałem się. — Czy to aniołki spustoszyły Węgry, obdzierały ze skóry mężczyzn, hańbiły kobiety?... — Ze względu na dzieci oszczędziłem sobie drastyczniejszych szczegółów. — W obliczu takiej niewinności i dobroci chrześcijanin musi zblednąć z zazdrości!

— „Zazdrości nie znają także — uśmiechnął się Benedykt — ani zdrady małżeńskiej czy nierządu. Jednakże w żartach, i tu kobiety nie ustępują mężczyznom, posługują się naprawdę haniebnymi i bezwstydnymi słowami. Pijaństwo uchodzi u nich za rzecz honorową. Gdy ktoś wypije za wiele, wymiotuje na miejscu i zaczyna pić od nowa.”

— To brzmi już bardziej po ludzku — roześmiał się Wawrzyniec. — Wydaje mi się, że twoi Tatarzy mają dwa oblicza: miłą twarz, gdy żyją zgodnie wśród swoich, i okrutną mordę, gdy spotykają na swej drodze inne narody...

— Masz rację — powiedział Benedykt po jakimś namyśle. — Czują się narodem wybranym i traktują „resztę świata” jako niewolników...

— I nie mają rycerzy? — spytał Rosz, który przysłuchiwał się opowieściom Polaka jak zaczarowany.

— Nie — wyjaśnił Benedykt — tylko jeźdźców. Dziesiątki, setki tysięcy!

— Eee, głupio!... — Wraz z tym stwierdzeniem temat był dla chłopca wyczerpany.

— „Ale także wyglądem zewnętrznym różnią się Tatarzy od pozostałych ludzi...” — Benedykt urwał, ponieważ otworzyły się żelazne drzwi i wszedł Hamo, który od pewnego czasu dość często jako milczący, lecz zaciekawiony słuchacz dotrzymywał nam towarzystwa. Czy czuł swą przynależność do tego ludu, którego krew płynęła w jego żyłach, o czym nie miał pojęcia? Obserwowałem go ukradkiem z nieustanną troską, czy aby nie zorientował się, że wiem o jego pochodzeniu.

Benedykt zaczął dyktować dalej:

— „...ponieważ odstęp między oczyma i policzkami mają większy niż u innych, kości policzkowe dość daleko od podbródka, nos płaski i dosyć mały...”

---

\* *Mega biblion...* (gr.) — wiele książek, wiele zł.

— Tak jak Hamo! — pisnęła z zadowoleniem Jeza, lecz umilkła spostrzegłszy, że przeszkadza, a przede wszystkim nie zyskuje poklasku.

— „...powieki ich niezbyt dużych oczu są bardzo blisko brwi. Tatarzy mają szczupłą talię i rzadki zarost.”

— To rzeczywiście tak jak Hamo — zawtórował Jemie Rosz. — Jak popatrzeć na przykład na wąsy Czerwonego Sokoła...

To porównanie rozgniewało syna hrabiny na pewno bardziej niż wszystkie inne, przypomniało mu bowiem, jak ogromnie jego przybranej siostrze podobał się Arab.

— Kobiety — próbowałem ratować sytuację — nie liczą włosów na brodzie, dla nich liczy się...

— Kobiety — przerwał mi Hamo — nie umieją liczyć, pisać i myśleć. Nie potrzebują żadnej!

— Bravo! — ozwał się Wawrzyniec. — Oszczędzisz sobie wiele kłopotów!

— „U Mongołów — ciągnął Benedykt — każdy może mieć tyle żon, ile zdoła utrzymać, dziesięć, pięćdziesiąt, sto...”

— To ja nie chcę wychodzić za mąż! — wtrąciła się znowu Jeza. — Potrafię to samo co mężczyzna i do tego mogę mieć dzieci!

— Bez mężczyzny? — roześmiał się Hamo, lecz tu wmieszał się Rosz.

— Ma przecież mnie — uzasadnił niezależność swojej towarzyski zabaw, która go wprawdzie dręczyła, jednakże wobec osób trzecich zawsze stawał w jej obronie.

— Jesteście chyba rodzeństwem? — spytał Benedykt podejrzliwie.

— To się okaże, jak się pobierzemy! — wprawiła go w zdumienie Jeza i Benedykt spiesznie wrócił do swoich Mongołów. Ich przykład miał mu pomóc w ukazaniu, o ile wyższa jest moralność Kościoła chrześcijańskiego.

— „Tatarom wolno poślubić krewne oprócz własnej matki i córki oraz rodzonej siostry. W wypadku śmierci ojca synowie są nawet zobowiązani do poślubienia jego żon z wyjątkiem własnej matki...”

— Bogu dzięki — oświadczył Hamo — że istnieje ten wyjątek! — i wszyscy wybuchnęli śmiechem. — Nie macie pojęcia, jak hrabina szalała — dodał — gdy dziś rano nie znalazła dzieci w pawilonie. Przyprowadziła Guiscarda, który siekierą otworzył otwór od dołu, tak że ledwie zdążyłem uciec...

W żelaznych drzwiach zazgrzytał klucz i wszedł postawny rycerz, którego dzieci nie widziały od czasu jego bytności w Otranto. Rozpoznały go natychmiast.

— Zygisbert! — zawołała Jeza i skoczyła na jego szeroką pierś, zarzucając mu ręce na szyję. — Cudownie, że jesteś! — Wyciągnęła sztylet i wymachiwała nim przed siwą brodą gościa. Rosz także stanął przed nim z łukiem i strzałami.

— Oho — zagrzemiał potężny Teuton — mój mały rycerz! — Podniósł chłopca i posadził sobie na ręce. Z pewnością byłby dobrym ojcem, ale zamęt wypraw krzyżo-

wych nie pozwolił mu założyć rodziny. Ucieczki przed samotnością szukał Zygisbert w zakonie niemieckich rycerzy. Całym sercem był oddany Roszowi i Jezie, a dzieci czuły to mimo jego zewnętrznej surowości.

Hamo przypomniał sobie rozmowę z rycerzem, który zapewne w porozumieniu z hrabiną chciał go pozyskać dla zakonu krzyżackiego. Cierń, jakim była dla niego matka, tkwił tak głęboko, że młodzieniec ledwie powitał Zygisberta i ciągnął swoją opowieść:

— Wyobraźcie sobie: rozwścieczona wpadła do biskupiej sypialni, a wyglądała jak kwoka, której zabrano kurczęta! Mikołaj jeszcze w nocnym stroju kazał ją Jarcyntowi zaprowadzić do Jana Turnbulla, który zbeształ ją, trzęsąc ze wzburzenia głową — Hamo udanie naśladował starca.

— Hamo — huknął Zygisbert — mężczyzna nie gada tyle. A rycerz nie ośmiesza nikogo! — Hamo umilkł zawstydzony. — Hrabina i jej wierny przyjaciel Jan Turnbull potrafią dojść do porozumienia — grzmiał dalej — zarówno co do sprawy, jak i co do odpowiedniej chwili. Pozostajemy przy niedzieli! — Ponieważ jednak zapowiedź pana z Öxfeldu nie spotkała się z naszym zrozumieniem, Zygisbert poczuł się zmuszony dorzucić: — Co oznacza, że macie skończyć w ciągu najbliższej doby.

— W żaden sposób nie zdążymy! — użalił się Benedykt, próbując szukać pomocy u mnie i u Wawrzyńca, lecz Krzyżak nie rzucał słów na wiatr.

— Streszczaj się, mnichu! — uciał. — Im zwężęj, tym więcej ludzi to przeczytał — Po czym wyszedł.

— Do roboty! — zawołał Wawrzyniec. — Williamie, teraz twoja kolej!

— „W walce — dyktował Benedykt — chętnie wysyłają przodem jeńców wojennych z ujarzmionych plemion; gdy ktoś ucieknie z szeregu, zabijają wszystkich. Aby liczba wojowników wydawała się większa, w tylnych szeregach wsadzają na konie kukły, które wraz z jadącymi wierzchem kobietami i dziećmi mają udawać potężną armię.”

— Czy dziewczęta mogą walczyć? — dopytywała się Jeza.

— Kobiety jeżdżą konno i galopują tak samo zręcznie jak mężczyźni, uczą się tego już jako dzieci, podobnie strzelania z łuku, dlatego wszyscy, zarówno chłopcy, jak i dziewczęta, noszą spodnie i takie same kaftany...

— Obiecałeś mi spodnie — przypomniała Jeza i wskazała na zaopatrzonego w mosiężne okucia podróżny kufer Polaka, w którym, jak przypuszczała, znajdowała się ta wymarzona część garderoby. Rosz jednak wtrącił natychmiast:

— Najpierw powiedz jej jeszcze, że dziewczyny nawet w spodniach nie mogą brać udziału w walce. Nawet jeśli potrafią się obchodzić z łukiem, nie strzelają tak dobrze jak mężczyźni. Powiedz jej to!

— Kobiety tworzą straż tylną i mogłyby włączyć się do walki, gdyby mężczyźni zaczęli tchórzliwie uciekać, co się nie zdarza, bo potem za karę zostaliby zabici.

— Spodnie! — nudziła Jeza.

— Daj jej te spodnie, żebyśmy mogli ruszyć dalej! — zażądał Wawrzyniec i Benedykt, odsunawszy rygle skrzyni, podniósł wypukłe wieko i zaczął grzebać w suknach, dywanach, naczyniach i innych przedmiotach. W końcu wyciągnął dziecięcy kapelusz z rondem ozdobionym aksamitną lamówką, obciągnięty żółtym jedwabiem z wyhaftowanymi kwiatami i aplikacjami w kształcie liści, na górze zakończony czerwonym guzikiem z koralu. Polak kokieteryjnie włożył kapelusz na głowę, ale Jeza nie dała się odwieść od swego marzenia.

— Czy to są spodnie? — spytała z wyrzutem, gdy mnich wydobył jakiś związany rulon.

— Kaftan zapaśnika — wyjaśnił mrukliwie Benedykt i położył ubiór na wieku. Na kaftanie widniał haftowany jedwabną nicią smok, który jakby siedział na szerokim skórzanym pasie ozdobionym nabijanymi gwoździami. Rosz wydał okrzyk radości.

Potem mnich wyjął buty z cholewami z czerwonej skóry, lamowane kolorowymi paskami, z zieloną jedwabną podszewką, subtelnie obrabione. Później pokazał aksamitne i jedwabne suknie, bogato wyszywane perłami i przetykane złotą nitką. Skrajem każdej sukni biegł fryz przedstawiający fale i góry, wykonany z turkusów i kryształów.

— Ten wzór nazywa się „węzłem nieskończoności” — objaśnił Benedykt, dumny ze swojej wiedzy.

Następnie przysła kolej na czepki, ozdoby głowy, napierśniki i futerały na warkocz, jedna sztuka kosztowniejsza od drugiej, wszystkie z kowanego złota lub srebra, najprzedniejszej cyzelterskiej roboty, ozdobione szlachetnymi kamieniami.

— O, jaki piękny *botag*! — zawołał Wawrzyniec. — To odświętna ozdoba zamężnych kobiet.

— A spodnie? — Jeza tupnęła nogą, gdy tymczasem Hamo w skupieniu wsadził *botag* na głowę. Wyglądał tak, jakby nigdy nic innego nie nosił, chociaż ozdobne nakrycie głowy nie było przeznaczone dla mężczyzn.

W końcu Benedykt wyłowił z dna kufra parę spodni. Były to zwykłe filcowe spodnie, na kolanach przestębnowane i wzmocnione skórą; wzdłuż bocznego szwu biegł delikatny czerwony pas. Całość była bardzo prosta, ale Jeza nie posiadała się z radości. Natychmiast wciągnęła spodnie. Rozmiar pasował, widocznie poprzedni właściciel był szczupłym mongolskim chłopcem, tyle że w pasie sięgały za wysoko, należało je więc podwinąć. Jeza znalazła natychmiast boczną kieszeń na sztylet i szczęśliwa skakała dookoła, zwłaszcza że Benedykt podarował jej jeszcze parę spiczasto zakończonych skórzanych bucików wyłożonych wewnątrz futrem, z cholewkami, do których mogła wepchnąć nogawki.

Polak był tak miły, że pomyślał również o Roszu, któremu ofiarował kosztowny kaftan zapaśniczy z wyhaftowanym smokiem i okuty metalem bojowy pas, szeroki

w środku na dłoń, z oprawioną w srebro swastyką z malachitu. Ramiona kaftana były mocno wywatowane, toteż Rosz wyglądał bardzo groźnie, gdy zarzucił kołczan na plecy i napiął łuk.

Oboje, Rosz i Jeza, byli bardzo z siebie dumni i tworzyli nadzwyczaj piękną parę, pełną dziecięcej godności. Moi mali królowie! Oni jednak nie zwracali uwagi na mój podziw; ich serca całkowicie podbił Benedykt.

— No, dzieciaki, teraz spokój, musimy pracować! — napomniał wszystkich Wawrzyńc, jedyny, który, jak mi się zdawało, znał sens i cel naszych trudów i przy całym zrozumieniu dla uciechy pędził nas bez przerwy do roboty.

Na szczęście zgrzytnął klucz w drzwiach i wszedł Jarcynt z kolacją.

— Żeby panowie kronikarze nie stracili na wadze!

W towarzystwie dwu kuchcików zaprezentował z dumą marynowanego w oliwie i papryce węgorza, przesiąkniętą winnym octem słodką dynię, pieczone bakłażany ze smażonymi pikantnie wątróbkami kaczek, duszone karczochy z gotowanymi omułkami — a to były tylko przystawki! Podał każdemu doskonale skomponowaną porcję. Zbyt się spieszyłem do jedzenia, aby obrazić się o to, że Benedykta obsługiwał ze szczególną uwagą i raczył go obficie niż mnie czy Wawrzyńca. Wszyscy trzej z wilczym apetytem rzuciliśmy się jak Tatarzy na jedzenie. Jarcynt nalewał nam ze smukłej amfory perliste białe wino kreteńskie, a kiedyśmy opróżnili miski i oblizali palce, kucharz podniósł srebrną pokrywę z największej miski: zapach pieczonego kapłona owionął mój nos. Ptak leżał na kolorowym łożu z purpurowych buraków, koralowej marchwi, delikatnej zieleni fasoli i ciemnej zieleni szpinaku, z domieszką błyszczących perełek młodej cebuli i ząbków czosnku o barwie kości słoniowej.

Jarcynt podzielił drób, używając do tego zakrzywionej damasceńskiej szabli zakończonej nie szpiczaste, lecz trzema zębami. Była to broń ciężka i wystarczająco ostra, aby żywego wołu pozbawić łba. Kucharz posługiwał się tą szablą z wielką wprawą, a ostrze cięło mięso jak masło.

Aby pochwalić się swą biegłością, kazał jednemu z kuchcików przytrzymać oplecioną brzuchatą flaszę, której gliniana szyjka była jeszcze zapieczętowana. Jednym ruchem ściał pieczęć tak zręcznie, że nie odprysnęła nawet najmniejsza skorupka. Nalegał, żebyśmy zmienili puchary, i nalał nam innego wina.

— Gruzińskie czerwone! Takiego nawet u waszego wielkiego chana nie podaje się do stołu! — mlasnął.

— Chan pije kumys — powiedział Benedykt.

— Co pije? — spytał Rosz.

— Kumys. Sfermentowane kobyle mleko zmieszane z krwią.

— Ludzką? — Rosz był przerażony, ale wszyscy roześmiali się tylko i zaczęli degustować wino.



— Dzieci powinny teraz iść do łóżek — zaczął ostrożnie Jarcynt. — Dziś mają znowu spać w pawilonie... — a gdy podniósł się wrzaskliwy protest, dorzucił przyjaźnie: — Jak Benedykt skończy pracę, może spać z wami. Ja pójdę naprzód wszystko przygotować. Drogę znasz — rzekł do Benedykta i spiczastą brodą wskazał otwór w ścianie, to znaczy Ostatnią Drogę, którą dzieci na czworakach przychodziły zawsze do nas do piwnicy. „My jesteśmy myszy...” śpiewała Jeza za każdym razem, zapowiadając swoje przybycie i chyba jednocześnie dodając sobie odwagi. Do pawilonu Rosz i Jeza wracali już normalnie, wyprostowani.

Jarcynt nie zauważył, że jego propozycja, by Benedykt nocował w pawilonie, wywołała u dzieci zamiast oczekiwanego zachwytu wyraźne przygnębienie. Popatrzyły na siebie znacząco i rzuciły za odchodzącym kucharzem złe spojrzenia. Cieszyłem się w głębi serca, że Polak swymi podarunkami nie kupił sobie jednak ich przyjaźni. Ze mną zawsze chętnie spały!

— No, dalej! — powiedział Wawrzyniec. — Do jutra musimy się z tym uporać.

— „Kiedy umiera któryś z ich wodzów, zabija się jego ulubionego konia i mięso spożywa w trakcie uroczystości pogrzebowych — opowiadał ponury Benedykt — kobiety palą kości, a skórę się wypycha i zawiesza wraz z siodłem i uzdą w stepie nad grobem. Wóz wodza zostaje połamany, jurta zniszczona, a jego imienia nie wolno nikomu już więcej wymawiać. Kopią grób, układają w nim pod ciałem zmarłego jego ulubionego niewolnika, któremu każą leżeć tak długo, aż bliski jest wyzinięcia ducha. Tuż przed uduszeniem się wyciągają go i pozwalają mu zaczerpnąć oddechu. To powtarza się trzykrotnie i jeśli w końcu nieborak szczęśliwie przeżyje, odzyskuje wolność i cieszy się u krewnych zmarłego wysokim poważaniem. Grób zaś zakrywają tak, że gdy z czasem wypchany koń zgnije, nikt już nigdy mogiły nie odnajdzie...”

— Ale dlaczego biedny koń też musi umrzeć? — zapytał Rosz wzburzony.

— Aby Mongoł i po tamtej stronie miał przy sobie ulubieńca.

— A żona wodza? — spytała z kolei Jeza.

— Chcesz, żeby i ciebie wypchano? — zakpił Hamo, którego już znudził pobyt u nas. Zastukał do żelaznych drzwi, by wypuszczono go z „lochu”.

Benedykt podniósł się.

— Koniec na dzisiaj — oznajmił. — Resztę zdążymy napisać jutro o świeżych siłach. Pian będzie z nas dumny!

— Z siebie! — zaśmiałem się szyderczo.

— Za twoje zdrowie, Williamie z Roebruku! — Podniósł puchar, wychylił go duszkiem i skierował się do Ostatniej Drogi.

— Poczekaj! — krzyknęła Jeza, wyminęła go i śmignęła jak mysz do otworu.

— Nie rób tego, Jeza! — rozległ się przeraźliwy głos Rosza. — William, zatrzymaj ją! Zerwałem się i pobiegłem za dziewczynką.

— Jezo! — zawołałem, ale wywinęła mi się i zniknęła w zwężającym się korytarzu.

— Jeza! — krzyknął jeszcze raz Rosz, przemknął obok mnie i wślizgnął się do otworu.

Udzieliła mi się jego panika, toteż z impetem ruszyłem za nim i po chwili byłem uwięziony. Stopami jeszcze dotykałem podłogi, lecz gruby korpus się zaklinował, nie mogłem też poruszyć głową. Przed moimi oczyma rozpościerała się ciemność korytarza, skąd dotarło do mnie ostatnie rozpaczliwe wołanie: „Jeza!”, które odbiło się wielokrotnie echem, po czym zaległa martwa cisza.

Co za diabeł wstąpił w te dzieci? Rozgniewany spróbowałem się wysunąć, lecz coś ukłuło mnie w udo. Au! Poruszyłem grzbietem, a wówczas w ramiona i biodra wbiło mi się coś ostrego.

— Ratunku! Pomocy!... — zawołałem w głąb ciemnego korytarza i poczułem, że czyjeś ręce pociągają mnie do tyłu, lecz jednocześnie ostre noże wwierciły się znowu w moje boki. — Przestańcie! — stęknąłem. — Zabijecie mnie!

— Chcesz tutaj spędzić noc i zagrozić mi drogę? — zażartował Benedykt za moimi plecami.

— Przyciśnijcie do ściany te przekłete ostrza i dopiero mnie wyciągajcie!

— Ile koleców ci się wbiło? — spytał drwiąco Wawrzyniec, którego dłoń macała moje biodra.

— Co najmniej trzy z każdej strony! — ryknąłem, nie mogąc znieść bólu.

— Mamy tylko cztery ręce — powiedział zrezygnowany Benedykt. — Musimy przywołać pomoc!

Czułem, że wykrwawiam się powoli jak rytualnie zaszlachtowana świnia, czułem też, że ogarnia mnie dziwny lęk przed tą zamkniętą przestrzenią. Byłem bezradny, z tyłu każdy mi mógł przyzwoicie wychłostać zadek, z przodu uciąć głowę. Na szczęście zazgrzytał klucz w zamku i Jarcynt, który zdumiewająco szybko wrócił z pawilonu, powiedział:

— Mówiłem mu przecież, że Ostatnia Droga nie nadaje się dla niego. Trzeba ją odkorkować. Proszę, William jako korek albo duch wychodzący z flaszki!

Trzy pary rąk zabrały się do pracy i wkrótce znalazłem się znowu w piwnicy. Habit, koszulę i gacie miałem bardzo postrzępione, krwawiłem jak po zabiegach marnego balwierza. Moi bracia zaś razem z kucharzem jeszcze się ze mnie natrzęśli.

— Czy ktoś wie, co tym dzieciom wpadło do głowy? Omal nie zastrzeliły i nie zastrykowały Klarion, która czekała na nie w pawilonie, aby je położyć spać. Stała przy wylocie korytarza i nasłuchiwała, gdy nagle o włos od niej świsnęła strzała i zaraz potem sztylet. Zaczęła krzyczeć: „Skończcie z tymi głupstwami!”, ale dzieci wrzeszczały z labiryntu: „Śmierć katu, śmierć katu!” Wymknąłem się innymi drzwiami. Nie znam się na wychowaniu, a już szczególnie takich dzieci.

— To bierze się stąd, Williamie — zganił mnie łagodnie Benedykt — że pozwalasz im tutaj słuchać wszystkiego. I dlatego przychodzą im do głów takie krwiożercze myśli.

— Absurd! — powiedział Wawrzyniec. — Kładźmy się już, bo rano czeka nas praca!

— Prześpię się tutaj — oświadczył Benedykt i Jarcynt życzył nam dobrej nocy.

## WIĘZIEŃ LEGATA

*Konstantynopol, jesień 1247*

Następnego dnia koło południa papieski żaglowiec płynący od strony Morza Czarnego sunął wolno przez cieśninę Bosfor. Powietrze stało nieruchomo, niebo było szare, a nad wodą leżała mgła. Żagle zwisały mokre i ciężkie, wioślarze byli wyczerpani długą morską podróżą. Wprawiany w ruch ostrożnymi pociągnięciami wiosł trzymasztowy bark posuwał się w kierunku południowo-zachodnim, bo gdzieś tam musiało się pojawić wejście do Złotego Rogu.

Anzelm z Longjumeau, subtelny i ambitny dominikanin, który na przekór młodzieńcemu wiekowi, a przede wszystkim sławnemu starszemu bratu, został papieskim legatem, przysiadł na zwoju lin na dziobie statku i wstrząsany dreszczami wpatrywał się drętwo w mleczny opar. Nie chciał widzieć nikogo, nie miał też zamiaru zatrzymywać się w Konstantynopolu. Był z siebie niezadowolony. Jego podróż do Bajdżu-chana, namiestnika Mongołów władającego ziemiami wysuniętymi najdalej na zachód, skończyła się niepowodzeniem, które tylko sobie przypisywał. Nie wiozł pisma od nikczemnego tatarskiego wodza, jedynie dwóch gadatliwych nestorianów, którzy pragnęli zapewnić kurię rzymską, że są prawdziwymi chrześcijanami, choć oczywiście nie byli skłonni uznać zwierzchności papieża. Bajdżu w swej pysze zażądał, by nestorianie przywieźli przywódcę chrześcijan, który powinien złożyć mu hołd. I ci niegodziwi kapłani ze strachu o swoje nędzne życie nie ośmielili się temu roszczeniu sprzeciwić.

Bajdżu nie był wielkim chanem, lecz tylko namiestnikiem w Persji. Nie okazał ani kompetencji, ani wspaniałomyślności. A on, Ascelin, także nie dorósł do swojej misji, nie uparł się, by podróżować dalej do Karakorum jak owi franciszkanie. Sława uwieńczonej sukcesem misji Jana z Pian del Carpine sączyła mu się natrętnie w uszy od Tebrizu do Tyflisu. Prawdopodobnie minoryci dawno już zjawili się u Ojca Świętego, podczas gdy ani na niego, ani na wyniki jego pełnych udreki starań nikt nie czekał.

— Powinniśmy zbliżyć się ostrożnie do portu — zachrypiał za nim głos Wita z Viterbo, na chwilę wypuszczonego na pokład — i zobaczyc, co nas tam oczekuje, za nim nas spostrzegą.

Zagadnięty drgnął, jakby go ukłuła tarantula. Nikt, nawet Bajdżu, nie ciążył mu tak

i nie przyprawiał o mdłości, gdy tylko na niego spojrzął, jak ten viterbczyk. A musiał go znosić przez całą podróż!

— Nic nas nie oczekuje — fuknął rozdrażniony nie odwracając się — prócz urojeń, które cię prześladowają! — Legat kipiąc gniewem wyrzucił swoją wściekłość prosto w ścianę mgły przed sobą. — Jeszcze nie przeszło ci szaleństwo?... Demon cię opętał! Nie w łańcuchy powinno się ciebie zakuć, ale wsadzić w kaftan bez rękawów i przywołać egzorcystę!

Wit z Viterbo stracił nieco ze swej bawolej postury. Zatłuszczony czarny habit wisiał na jego rosłej postaci, a on sam był zaniedbany, włosy jak strąki wysuwały się z kaptura. Tylko oczy płonęły mu jak niegdyś.

— Szaleństwem jest, Ascelinie, że z otwartymi oczyma biegniesz ku nieszczęściu! — Wit zniżył głos do szeptu. — Nie musisz wrócić z pustymi rękoma. Przysięgam...

— Że te przekłete dzieci Graala są w Bizancjum?... Stoją na nabrzeżu za tą kłębiącą się mgłą, machają rękami i czekają na nas?... Wystarczy je schwytać!...

Na gryzące szyderstwo legata Wit odpowiedział furją:

— A gdzie indziej ta hrabiowska koza może liczyć na dach nad głową i koryto dla swoich kozłat? Tylko u swego kuzyna biskupa, pederasty. A czy sama nie była tutaj właścicielką zamtuza obsadzonego młodymi mniszkami, Przeoryszą, póki ludzie Świętej Inkwizycji nie przepędzili tej zamaskowanej kacerki?

— I nie ma nic lepszego do roboty, jak wrócić po latach na miejsce swojej hańby, aby tym razem wpaść w ramiona budzącego strach oprawcy zamku Świętego Anioła, okrutnego pana z Viterbo — zakpił Fra' Ascelin i podniósł się. — Jesteś, Wicie, owcą w wilczej skórze!

Ściana mgły przed nimi przejaśniła się i przerwała nagle jak welon. W żółtym świetle jesiennego słońca rozbłysły kopuły i wieże Konstantynopola. Płynęli prosto ku brzegowi.

— Zatrzymajcie się! — wychrypiał Wit. — Zawracać! — Wszyscy gapili się na niego, jemu zaś na chwilę odebrało mowę, jakby opuścił go zły duch. — Ona tam jest!... — syknął znowu, a jego spiczasty palec wwiercając się w ostatnie pasma mgły wskazywał na mrowie żaglowców i galer, barek i łodzi rybackich, które przycumowane kołysały się lekko przy nabrzeżach Złotego Rogu.

Nikt nie wiedział, w jaki punkt celował ten palec, tylko Anzelm pojął, co viterbczyk ma na myśli, choć wydawało się, że Witem ostatecznie zawładnął obłąd.

— Nałóżcie mu więzy! — polecił spokojnie otaczającym ich marynarzom. — On widzi upiory!

— Nie! — krzyknął Wit, gdy rzucili się na niego. — Ona tu jest! Tam cumuje triera! Musimy się ukryć!

Wciągnięto go pod pokład.

— Jest ukryty — zameldował nadzorca wiosłarzy i oczekiwał rozkazu legata, aby przybić do portu, tymczasem Ascelin powiedział:

— Zawracamy! Staniemy na kotwicy przy azjatyckim brzegu.

Załoga wykonała rozkaz z pomrukiem niezadowolenia, kapitan rzucił przedstawicielowi papieża spojrzenie, które wyrażało dezaprobatę. Ale pan legat usiadł ponownie na zwoju liny, podparł głowę rękoma i zadumał się nad czymś.

Gdy łańcuch kotwiczny ze szczękiem zanurzył się w morze, lśniące Bizancjum leżało znowu daleko, jakby rozmyte w rozproszonym świetle. Z namiotu na rufie wysunęli się zdenerwowani towarzysze Anzelma: Szymon z Saint-Quentin i nestoriańscy kapłani, którzy gwałtownie gestykułując coś mówili.

Szymon uciszył ich i wziął na siebie wypytanie Anzelma o przyczynę nieoczekiwanej zmiany kursu. Gdy torował sobie drogę między ławami wiosłarzy, zagadnął go chrapliwie zakuty w łańcuchy Wit:

— Szymonie, miej ty przynajmniej trochę rozumu! Pozwól mi zaryzykować! Przysięgam na Najświętszą Matkę Chrystusa, że po drugiej stronie, w bezbożnym Bizancjum, włóczy się gdzieś bezkarnie największa nieprzyjaciółka Kościoła, fałszywa przeorysza, i żywi swe kacerskie wężowe plemię!

Z ust Wita wydobywały się urywane słowa, gdyż nadzorca wiosłarzy bardzo szybko pojał, komu on i jego ludzie zawdzięczają kotwiczenie z dala od rozkoszy portowych, toteż bicz klaskał nieustannie po grzbiecie więźnia.

— Będiesz ty, leniwa świnio, dobrze wiosłować! — zgrzytał zębami z wściekłości i chłostał dalej bezbronnego, chociaż statek dawno już stał na kotwicy.

— Dostyc — rozkazał legat, który obserwował widowisko. — Ciebie tutaj nikt nie zna — zwrócił się do Szymona, nim ten zdążył coś powiedzieć — więc możesz razem z Witem popłynąć promem. Tu jest Wschód — uśmiechnął się legat przebiegle — toteż mogę Wita wypuścić. Zakaz dotyczy tylko terytorium Zachodu. Odpowiadasz za właściwe zachowanie viterbczyka w porcie i powrót na pokład. Miejcie oczy na wszystko otwarte, ale nie wolno wam podejmować żadnych działań.

Szymon wahał się, czy może wziąć na siebie tak dużą odpowiedzialność.

— Przysięgam!... — jęknął Wit.

— Twoja samowola wyrządziła już Kościołowi dostatecznie dużo szkody — napomniał go groźnie Szymon. — Chyba rzeczywiście byłoby lepiej zatłuc cię jak wściekłego psa!

Dał znak nadzorcy, by zdjął Witowi żelaza z nóg, kajdany na rękach kazał zostawić. Do przystani eskortowało więźnia dwu żołnierzy.

Gdy w Bizancjum zeszli z promu, Szymon ruszył pierwszy, za nim podążył Wit. Naciągnięto mu kaptur głęboko na twarz, a skrzyżowane jak do modlitwy ręce zakryto rękawami habitu, tak że nikt nie widział łańcuchów, za które prowadzili go żołnierze.

— Wolniej! — sapnął Wit.- Tam z przodu cumuje triera. Widzisz tego gnoma z drewnianą nogą? — syknął z nienawiścią. — To Guiscard Amalfitarczyk, sternik Przeoryszy!

Zobaczyli także Klarion otoczoną mniszkami, które uklęły do modlitwy na Anioł Pański. Po dzieciach nie było śladu.

Pociągnęli więc Wita dalej, nim ktoś zdążył dostrzec jego kłujące spojrzenie, którym najchętniej przewierciłby burty, podpalił, zniszczył i zatopił statek tej diablicy! Triere flankowała surowo strzeżona galera templariuszy, oznaczona proporcem komandora. Ogarnięty naraz podejrzliwością, Szymon zapytał strażnika o imię i pochodzenie komandora oraz cel jego przybycia. Odpowiedź była zwięzła:

— Gawin Montbard hrabia Béthune z piętnastoma rycerzami w służbie zakonu.

Aby nie wzbudzać sensacji, powędrowali szybko dalej, nie zwróciwszy uwagi na dwóch arabskich handlarzy, którzy rozłożyli przed sobą towary: ozdoby i rzadkie esencje w drogocennych kryształowych amforach. Siedzieli na dywanie, pili herbatę i nie spuszczały z oczu cumujących przed nimi statków.

W sąsiedztwie czerwonego krzyża wieńczącego galerę templariuszy, na maszcie stojącego obok szkunera zaopatrzonego w taran, powiewały zgodnie flaga z czarnym krzyżem zakonu krzyżackiego i zielona chorągiew Proroka. Załoga składała się z Egipcjan i mimo że Szymon nie szczędził wysiłków, nie udało mu się zrozumieć nic więcej oprócz słów: „Poseł sułtana”. Usta zamknął zresztą Egipcjanom nie ich własny kapitan, lecz rycerz zakonny, który złorzecząc po arabsku zapędził ich z powrotem na pokład.

W znacznej odległości od innych statków stała na kotwicy wspaniała galera wielkiego mistrza joannitów, dostępna tylko dla łodzi. Od przewoźników Szymon dowiedział się bez trudu, że zastępca wielkiego mistrza, Jan z Ronnay, składa właśnie wizytę cesarzowi Baldwinowi.

Pojawienie się cesarskiej straży zakończyło indagację mnicha. Dał znak żołnierzom, by poprowadzili Wita dalej. Ale to właśnie wydało się straży podejrzane. Zagrodzili im drogę.

— Opowiedzcie się, cudzoziemcy!

Nim Szymon zdołał wyjaśnić sytuację, za nimi rozległ się głos:

— Ja ich znam!

Był to Iwo Bretończyk; towarzyszył mu oddział żołnierzy w barwach francuskiego króla z proporcem jego posła, hrabiego Joinville, którego znał każdy w porcie. Strażnicy zaszalutowali i poszli swoją drogą.

— Nie powinienem ręczyć za was, Wicie z Viterbo — odezwał się Bretończyk z chłodnym lekceważeniem. — Zbyt długo już mój pan Ludwik jest pozbawiony waszej modlitwy.

— Kurii rzymskiej niezbędna była moja służba — mruknął Wit, rozgniewany, że

akurat tutaj dosięga go przeszłość.

— Powinniście rozważyć, komu dajecie pierwszeństwo w służbie — powiedział Iwo z ironią w głosie, obrzucając pogardliwym spojrzeniem zaniedbaną postać dominikana. — Zresztą wasze nie usprawiedliwione zaniechanie obowiązków spowiednika miało także swoje dobre strony: odtąd do zamku Świętego Anioła nie dochodziło już każde kasznięcie króla, gdy pozbywał się flegmy.

— Nie jestem zdrajcą! — oburzył się Wit.

— Nie — odparł Bretończyk — lecz niegodną spluwaczką! — Splunął viterbczykowi pod nogi i oddalił się.

— Kto to był, żeś mi go nawet nie przedstawił? — zapytał zrzędliwie Szymon z Saint-Quentin swego towarzysza, którego nikt nie mógł ścierpieć.

— Morderca — warknął Wit — któremu pozwolono zamienić kapłańską suknię na królewski kubrak.

Udali się w kierunku promu i popłynęli z powrotem ku azjatyckiemu brzegowi.

— Mów sobie, co chcesz — zapalał się Wit stanąwszy przed Anzelmem — ale takie zgromadzenie dostojników, posłów i legatów, jakie ma dziś miejsce w Bizancjum, nie zdarza się przypadkowo i zostało z pewnością zwołane przez wyższą władzę.

— Poza mną nie widzę tu żadnego legata, a mnie przysłał tylko mój pan papież, do którego chcę wrócić, i to jak najszybciej!

— Wiele może się tu zdarzyć pod twoją nieobecność — zauważył Wit. — Nie powtarzaj tego samego co niegdyś błędu! Nie odrzucaj niepowtarzalnej okazji, jaką ci daje historia, tylko dlatego, że chcesz się kurczowo trzymać litery legacji, zamiast spełnić wyższe cele swojej politycznej misji! — Wit z męstwem człowieka, który nie ma nic do stracenia, pogodził się z niezadowoleniem i wzrastającym gniewem Anzelmia. — Nie pozwól robić z siebie posłańca przenoszącego listy, skoro masz tak świetne pełnomocnictwa! Ta sytuacja zobowiązuje do działania! — Rosły mnich wyciągnął w górę zakute ręce na podobieństwo krzyża: — W imię Chrystusa i naszego świętego Kościoła!

— Świetne pełnomocnictwa?... — Ascelin rzucił mu pełne politowania spojrzenie, nim skinął na nadzorcę wioślarzy. — Zakuć go! — rozkazał cichym głosem. — Żadnych batów, ale wsadźcie mu knebel do pyska — jęknął — zanim wezmę sobie do serca jego nauki i nie uwolnię od niego siebie i Kościoła!

Ajbak i Sargis, dwaj nestorianie, których wmusił mu Bajdzu jako posłów, przycisnęli się do przodu.

— Dlaczego tracimy tutaj czas? — zaczął zrzędzić chudy Sargis, gdy tymczasem grubawy Ajbak spoglądał tęsknie na leżące o rzut kamieniem Bizancjum. — Na tym dzikim wybrzeżu nie opłaca się nawet zejść na ląd!

Legat zacisnął zęby. Ci kapłani budzili w nim wstręt. Najchętniej wysadziłby ich na ląd tutaj czy nawet na tamtym brzegu, w grzesznym Bizancjum, tyle że wówczas

z zupełnie pustymi rękoma stanąby przed papieżem po nieudanej misji.

— Nie mam ochoty stracić głowy — nacierał na legata Sargis — którą mi Bajdzu każe obciąć, jeśli nas nie zobaczy na czas z panem papieżem...

— No to możecie być pewni tej męczeńskiej śmierci — oświadczył Szymon — a wasz obrzydły tatarski namiestnik może się udławić własną żółcią: nigdy głowa chrześcijaństwa nie pokłoni się przed nim!

— Takich słów nie odważyliście się wypowiedzieć przed jego tronem! — odparł z wściekłością Sargis. — Bajdzu w swej wspaniałomyślności liczył na to, że jego życzenia zostaną spełnione. Tylko to uratowało wam życie!

— Właściwie miał ochotę kazać was wypchać — dorzucił w zamyśleniu Ajbak.

— Widzisz, Anzelmie — zauważył sucho Szymon — że miałem rację! Piekielnie szkoda, że nie możemy pokazać Zachodowi tego Bajdzu jako wzorcowego okazu tatarskiej głowy zamarynowanej w occie: paskudnego kształtu, o wydętych wargach, wyłupiastych oczach, płaskich nozdrzach, niskim czole, koziej brodzie!

— Nie zapominajcie, że jesteśmy jego posłami! On się zemści na waszych dzieciach i dzieciach waszych dzieci! — prychnął Sargis. — Pięknie odwdzięcza się chrześcijanin za gościnność!

— Gościnność?... — w głosie Szymona brzmiało jawne szyderstwo. — Cuchnące odpadki, które musieliśmy jeść z kapiących brudem naczyń, w towarzystwie czkających, mlaskających i rzygających opojów!

— Bajdzu powinien was ugotować i obedrzeć ze skóry — odezwał się beznamiętnie Ajbak, co jeszcze bardziej rozdrażniło Szymona.

— Ludożerca! — krzyknął przenikliwie. — A nie mówiłem, Anzelmie?... Tatarzy zabijają chrześcijan, pieką ich i zjadają bez skrpułów, z rozkoszą chłepczą naszą krew!

— Daj spokój, Szymonie. — Legat położył kres coraz bardziej przepełnionej nienawiścią wymianie zdań. — Nie powinniśmy się pospolitować z barbarzyńcami. — Uśmiechnął się zmęczony. — Wyświadczymy panom posłom, łaskę i damy im za kosztować uroków zachodniego *civitatis*\* pozwolimy zapoznać się kapłanom Nestora z prawdziwym chrześcijaństwem. Dziś po zapadnięciu ciemności staniemy na kotwicy w Konstantynopolu!

---

\* Civitas (łac.) — tu: miasto.



## XII CONIUNCTIO FATALIS\*

### PRÓBA GENERALNA

*Konstantynopol, pałac Kallistosa, jesień 1247*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Wieczorem w naszej piwnicy zjawił się Jarcynt.

— William i dzieci mają iść na górę — oznajmił Wawrzyńcowi. — Wy zresztą także.

Wymieniliśmy się właśnie przy pisaniu i Benedykt dyktował mi wiadomości o okrutnej dyscyplinie wojskowej w mongolskiej armii:

— „Jeśli z oddziału stuosobowego ucieknie choćby jeden dziesięcioosobowy szereg, wszyscy zostają ukarani śmiercią. I przeciwnie, jeśli ktoś rzuci się śmiało do walki, a jego dziesiątka nie ruszy za nim, albo gdy ktoś zostanie wzięty do niewoli, a jego kamraci go nie uwolnią, wszyscy bez wyjątku muszą odpokutować to śmiercią.”

— Tak też powinno się postępować z minorytami — zażartował kucharz. — Teraz koniec z pisaniem! Resztę tych baśni obwieścisz ustnie!

— A dlaczego Benedykt nie może iść z nami? — zapytał nieufnie Rosz, znowu odziany w kaftan zapaśnika. Jeza także nie potrafiła się rozstać z filcowymi spodniami.

— Bo nie został zaproszony! — wyjaśnił Jarcynt opryskliwie. — Chodźcie już!

— Nie! — powiedziała Jeza i zaczęła ważyć w dłoni sztylet. Nauczyła się mistrzowsko nim posługiwać, toteż Jarcynt przestraszony podniósł mimowolnie ręce w obronnym geście. — Powiedz tamtym na górze, że przyjdziemy, jeśli Zygisbert da nam słowo, że Benedyktowi — wskazała na Polaka szybkim ruchem ostrza wymierzonego wciąż w brzuch Jarcynta — nikt nie wyrządzi krzywdy ani na ciele, ani na duszy!

— Teraz idźcie — dołączył się do Jezy Rosz, trzymając napięty łuk — i czyńcie, co wam rozkazano!

Jarcynt skłonił się i podążyliśmy za nim obaj z Wawrzyńcem. Byłem dumny z moich małych królów. Chociaż ich wstawienie się za Benedyktem mocno mnie dotknęło, czułem, że gdyby chodziło o mnie, postąpiliby tak samo. Czy życie Polaka było zagrożone? Przypomniały mi się jego słowa: „Najpierw ja, potem ty!” Baczność, Williamie, powie-

---

\* Coniunctio fatalis (łac.) — złowieszcze (zgubne) połączenie; tu w znaczeniu astrologicznym: bliskie ustawienie obok siebie przynajmniej dwu planet.

działem sobie, idąc za kucharzem po schodach.

Był wieczór przed dniem Pańskim. Jarcynt wprowadził nas do wspaniałej sali, której podłoga było wyłożona na kształt szachownicy wielkimi marmurowymi kwadratami.

— To Centrum Świata! — szepnął do mnie Wawrzyniec.

Arkady frontowej ściany były zawieszony ciężkim czerwonym aksamitem, co stwarzało wrażenie sceny, wzmocnione jeszcze przez to, że zgromadziły się tam znane mi z imienia i rangi osobistości. Rej na tej „scenie” wodził, jak się zdawało, stary Jan Turnbull, który podniecony biegał tu i tam. Byłem właściwie zdumiony, że jeszcze go widzę wśród żywych. Natychmiast przywołał mnie i Wawrzyńca do siebie, przesuwając równocześnie wielkiego Zygisberta z jednego kąta w drugi, co ów znosił ze stoickim spokojem.

— On odgrywa Piana — powiadomiła mnie Klarion, która usiłowała asystować starcowi. Po czym zapytała z troską: — A gdzie dzieci?

— Żądają listu żelaznego, gwarancji cielesnej nietykalności dla Benedykta z Polski — zakpił Wawrzyniec — i będą pertraktować tylko z rycerzem zakonu krzyżackiego.

— Nie mogę się teraz obejść bez Zygisberta — prychnął stary Jan, który żądanie dzieci uznał za kolejne z ich osobliwych błazeństw, ale Zygisbert ujął oburącz jeden z kadłubów przedstawiający wieżę szachową, udrapował na nim bogato haftowaną mongolską pelerynę, w którą był wystrojony, i postawił na swoim miejscu; nałożył jeszcze figurze swój kapelusz o szerokim rondzie i spiczastym denku.

— Oto okryty chwałą wysłannik wielkiego chana — oznajmił Turnbullowi. — Okażcie mu cześć! — Po tych słowach wyszedł.

Jan przyjął to z lekkim zmieszaniem.

— A więc — podjął w końcu przerwane działania — gdy ja przedstawię Piana — wskazał uprzejmym gestem na masywną figurę — ty, Wawrzyńcze, jako legat Innocentego, powitasz wracającego do domu wysłannika...

— Ależ nie mam pełnomocnictwa!... — sprzeciwił się Wawrzyniec.

— Biskup da ci jakiś ładny płaszcz! — rozstrzygnął problem nominacji Jan. — Potem Pian powie kilka słów o niebezpieczeństwach podróży i wprowadzi towarzysza swoich trudów, Williama z Roebroku.

— A dzieci? — ośmieliłem się wtrącić.

— Ach, tak, dzieci... Jak powinny wystąpić, żeby zrobić największe wrażenie?

— Może Pian...

— Nie! — zdecydował Turnbull. — Ty, Wawrzyńcze, zabierzesz jeszcze raz głos i wygłosisz podziękowanie dla wielkiego chana, który na znak pragnienia pokoju i poważania dla Zachodu przysłał symbolicznych nosicieli niezwyklej symbiozy między światami, inkarnacji...

— I tak dalej — szepnął do mnie zupełnie bez szacunku Wawrzyniec.

— ...królewskiej krwi — ciągnął z emfazą Jan — dzieci Graala! — Zamilkł wyczerpany.

— To jest hasło dla ciebie, Williamie — powiedział Wawrzyniec.

— Dopiero teraz ty wystąpisz prowadząc dzieci za ręce, wysuniesz je do przodu, a sam cofniesz się skromnie.

— Czy nie powinniśmy jednak wszyscy przykłęknąć? — włączyłem się do gry.  
— Pian, ty i ja?

— Przerwywamy próbę — oświadczył Turnbull. — Gdzie są dzieci?

Rosz i Jeza szaleli już na miejscach dla widzów, gdzie zasiadła hrabina, biskup i ku memu zdumieniu także Gawin, templariusz. Pojawienie się komandora zapowiadało zawsze w moim życiu gwałtowne przewroty, które groziły kresem mej fizycznej egzystencji. Dzwon alarmowy uderzył przeraźliwie w mojej głupiej głowie, oszołomionej tym wszystkim, co się wokół działo.

Dzieci przybiegły pędem, nie każąc na siebie wołać dwa razy. Zygisbert także zajął na powrót swoje miejsce.

— Jak wy wyglądacie! — zganił Jan wojownicze stroje obojga. — Czy te dzieci nie mogą być godniej ubrane? — zwrócił się do Klarion.

— Ależ tak! — zawołała Jeza i pobiegła do Benedyktowego kufra ze skarbami, który również wniesiono na scenę.

— Może i William powinien wyglądać na wyższego kapłana? — zaproponował Wawrzyniec, bawiąc się moim kosztem. — Na przykład arcyszamana, żeby już przy wejściu roztoczyć cały czar Orientu...

— Fałszywy czar! — mruknął Zygisbert, który ponownie zarzucił sobie na szerokie ramiona pelerynę przewidzianą dla Piana, Turnbull jednak podjął z wdzięcznością sugestię Wawrzyńca.

— To może być niezłe! — rozważał, wobec czego skierowałem się ku skrzyni, w której grzebały już dzieci i Klarion.

— Powinniśmy omówić podział miejsc siedzących — zwrócił się do Turnbulla Mikołaj z La Porty, który zszedł z galerii. — Myślę, że greckich i innych duchownych chrześcijańskich umieścimy na prawo...

— Przemieszanych? — wtrącił się Gawin, który dwornie zaproponował Laurencji ramię.

— Jakże to? Rycerze zakonni mieliby się znaleźć między różnymi wyznaniem? — spytał biskup. — Joannici między rzymskimi katolikami a...

— Byle tylko nie obok templariuszy! — Hrabina także pojęła natychmiast możliwości złośliwej gry. — Między zakonami powinien być wzniesiony mur albo należy ustawić Teutonów.

— Jestem sam — zażartował Zygisbert — i mam tylko dwoje ramion, za mało, żeby

trzymać ich od siebie z daleka.

— Rycerze Świątyni zajmą miejsce po przeciwnej stronie — rozstrzygnął Gawin.  
— Staniemy przy poselstwie sultana.

— Mnie jednak bardziej napawa troską to — odezwał się Zygisbert i zniżył głos — gdzie umieścimy emisariuszy Starca z Gór. Powinniśmy się liczyć z ich obecnością!

— Asasynów w ogóle tu nie wpuszczę! — zapowiedział zdecydowanie biskup.  
— Każę przy bramach i drzwiach sprawdzać każdego, ustawię potrójny kordon!

Gawin i Zygisbert wymienili szybkie, pełne politowania spojrzenia z powodu naiwności Mikołaja, który wierzył, że może zapewnić sobie bezpieczeństwo dzięki wzmocnionym strażom.

— Posłów obu republik również rozdzielimy — zaproponował Gawin — żeby przypadkiem Serenissima nie znalazła się obok Genui...

— Wtedy miecze długo by nie pozostały w pochwach — roześmiał się Zygisbert.  
— Najlepiej pozwólmy różnym piniaczom wyszukać sobie miejsca tak daleko od siebie, jak im będzie pasowało.

— I natychmiast będziemy mieli bijatykę o krzesła w pierwszym rzędzie! — rzekła ze śmiechem hrabina.

— W pierwszym rzędzie — Turnbull próbował znów narzucić swój autorytet — usiądzie poseł króla Francji, hrabia Joinville. Obok syn króla węgierskiego Beli...

— Bastard! — syknął na to biskup.

— ...dalej Symbat, rodzony brat króla Hetuma i konetabl Armenii, który akurat zatrzymał się tutaj w drodze do wielkiego chana, a następnie może wy, Laurencjo, jako przedstawicielka cesarza, wraz z waszą uroczą wychowanką?

W tym momencie Jarcynt odciągnął swego pana na bok i szepnął mu coś do ucha. Biskup lekko zbladł.

— Cesarz — oznajmił — cesarz Baldwin i cesarzowa Maria oczekują, że jutro po południu dzieci zjawią się w cesarskim pałacu, żeby oni mogli zadecydować o ich losie. Poza tym wszyscy tu zgromadzeni mają się uważać za pozostających w areszcie!

Na chwilę zapadło całkowite milczenie. W pomruku oburzenia, który po chwili dał się słyszeć, zabrzmiał mocno głos Turnbulla; był teraz znowu panem sytuacji, niewzruszonym *maestro venerabile*.

— Gwiazdy — zawołał — świecą nam również w dzień, tyle że tego nie widać! Ich względy nie ograniczają się wyłącznie do jutrzejszego wieczoru, dlatego przedstawimy dzieci w południe tutaj, bez strachu przed cesarskimi zbirami.

— A zaproszeni goście? — ośmielił się przeciwstawić biskup.

— Roześlijcie wiadomość! — polecił Turnbull. — Komu jest dane być z nami w tej godzinie, kto jest przepełniony pragnieniem, aby królewskim dzieciom złożyć cześć, ten nastawi ucha. Gwiazda zaświeci dziś nocą nad tym pałacem... — Urwał wyczerpany,

zostawił otaczające go towarzystwo i podszedł do dzieci, które Klarion wystroiła tymczasem jak małe mongolskie książęta.

Oddaliłem się cichaczem, ponieważ mój szamański strój, obszerny kaftan z nadzwyczaj długimi rękawami, obszyty kostkami, pobrzękującymi pierścieniami i kolorowymi wstążkami, wydawał mi się zbyt śmieszny. A co najgorsze, otrzymałem też miedzianą maskę, która wokół otworu na usta miała przyprawioną futrzaną brodę i wąsy, na czole frędzle, a przy uszach dzwoneczki. Do tego Klarion wcisnęła mi do ręki bębenek, którego pałeczki wyglądały, jakby służyły do oganiania się od much. Nie chciałem tak wystąpić, ale dzieci były zachwycone.

— Jak się czujecie jako Maryja Matka w oczekiwaniu betlejemskiego cudu w samo południe? — usłyszałem Gawina pokpiwającego z biskupa.

— Jak osioł! — parsknął Mikołaj. — Musimy zaciemnić salę — dorzucił — inaczej cały nastrój diabli wezmą!

— Diabli tak czy siak okażą nam cześć, obojętne czy przy jasnym dniu, czy podczas sztucznej nocy. Wchodzimy w jesienną równonoc, a wtedy książę tej ziemi gra swoim do tańca — pocieszał gospodarza Gawin akurat w chwili, kiedy się przy nich pojawiłem. Biskup przeżegnał się, komandor zaś wybuchnął szyderczym śmiechem, gdy zerwałem z twarzy maskę. — William jest chodzącą gwarancją, że jutro nic się nie uda — wykrzyknął.

Tymczasem dzieci też już przebrano. Rosz miał szerokie haftowane spodnie i brokatowe buty, książęcy ceremonialny płaszcz ze stojącym kołnierzem, pod nim złocistą kamizelkę, w talii przewiązany był jedwabną chustą, przy której połyskiwał wyszywany drogimi kamieniami pendent od pochwy na miecz. Klarion wsunęła do niej dwie chińskie pałeczki z kości słoniowej, aby zapobiec nowemu zagrożeniu, choć ze swoim łukiem i kołczanem Rosz tak czy tak nie chciał się rozstać. Płaszcz przesłonił jednak ten bojowy rynsztunek.

Jeza, aby nie pozbawiono jej spodni, zdecydowała się na watowaną suknię, która z powodu niezwykle wysoko wypchanych ramion zmieniła ją w lalkowatą kobietkę. Kolczyki, łańcuchy i bransolety, a przede wszystkim sztuczny warkocz sprawiały, że dziewczynka istotnie wyglądała na dużo starszą. Klarion wybrała dla niej, podobnie jak dla Rosza, nakrycie głowy, które ozdobione diademem przypominało koronę. Sztylet umocowała Jeza na łańcuchu razem z innymi podkreślającymi cnoty kobiece drobiazgami, jak krzesiwo, nożyczki, grzebień i pojemnik z pachnidłem.

Oboje wyglądali dostojnie, pełni dziecięcej godności, która od nich promieniała, jednakże wydali mi się nagle bardzo obcy. Nie zwracali też na mnie uwagi, lecz uśmiechali się i przysłuchiwali cierpliwie wskazówkom, których Jan Turnbull im udzielał bardziej jak dziadek niż wysoko postawiony człowiek:

— Kiedy William was tu przyprowadzi i wycofa się, nie odwracajcie się za nim, rozu-

miecie? Ja wtedy podejść do was i dokonam święceń...

— Dostaniemy prezent? — spytała od razu Jeza.

Rosz dał jej kuksańca w bok.

— Mają nam oddać cześć, prawda? — Jego spojrzenie zwróciło się ku mnie pytająco; skinąłem, głową.

— A potem będziemy święcić chemiczne zaślubiny! — powiedział uroczyście Jan. W uniesieniu zamknął oczy i stąd uszło jego uwagi, że Jeza oddała kuksańca swemu towarzyszowi, wobec czego u Rosza zrodziły się wątpliwości.

— Na zawsze? — spytał.

— Róbmy już tę próbę! — wmieszała się hrabina, dla której każde uczucie było czczym marzycielstwem.

— Jeza, pocałuj go.

— Na litość boską! — zawołał Gawin — nie niszczone magii głupim demonstrowaniem ludzkich uczuć!

— Uśmiechnijcie się do siebie, weźcie się za ręce i poza tym nic więcej — wniósł teraz swój wkład również i biskup. — Duch Święty zatroszczy się o resztę!

— Jak to? — zakpił templariusz. — Gołąb też przyfrunie na nasze usługi? To jednak powinniśmy raczej wypróbować!

— Chemicznych zaślubin nie można próbować — skarcił go Jan Turnbull — lecz tylko spełnić! — Westchnął. — To znaczy, one spełniają się same przez się, podobnie jak Wielkie Dzieło. My możemy tylko być gotowi...

— Amen — powiedział biskup. — Jest już późno, nasi mali królowie pokoju powinni iść do łóżek. Czeka nas męczący dzień.

— Mogę im jutro towarzyszyć do cesarza Bizancjum — zaoferował się Gawin. — Przecież Konon z Béthune, mój stryj, był tutaj regentem, nim mały Baldwin prześiadł się z nocnika na tron...

— I wcale nie wiadomo — mruknął Zygisbert — jak długo jeszcze na nim posiedzi.

— Nie martwcie się o Baldwina. Jest tylko obrażony, bo zapomnieliśmy go zaprosić — zakończył biskup próbę generalną. — Dobranoc! — Klasnął w dłonie i służba zaczęła gasić światła.

Nikt jednak nie chciał spać tej nocy. Turnbull poprosił Gawina i Wawrzyńca, by towarzyszyli mu do obserwatorium, mnie zaś polecono zaprowadzić dzieci do piwnicy. Popędziły tam zresztą na łeb, na szyję, aby zobaczyć, czy Benedykt jest cały i zdrowy. Klarion zażądała od Jarcynta, żeby ją eskortował do portu. Jej skrzynie z odzieniem były na trierze, a pewnie pragnęła na jutro, na ten uroczysty akt, odpowiednio się przystroić z uwagi na obecność dostojnych panów i rycerzy, obok których miała siedzieć w pierwszym rzędzie. Spokojnie do łóżek poszło tylko dwoje: hrabina ze względu na sen konieczny dla zachowania urody i Zygisbert, gdyż był śmiertelnie zmęczony.

Biskup czuwał niespokojnie, czego byłem pewien. Zbyt wielka była stawka w grze i Turnbull w swoim starczym uporze za bardzo przyspieszył bieg spraw. Czyż nie był twórcą Wielkiego Planu, który, mój Boże, już przecież ponad trzy lata temu zamiast dostać się w ręce Eliasza, wylądował w moich portkach i kto wie, co potem z nim się stało? Zapomniałem o nim, ale Jan Turnbull chyba nie! Z pewnością stał teraz na dachu, w obserwatorium, i żądał od gwiazd potwierdzenia swoich poczynań. Pojąłem, że my wszyscy jesteśmy jak gwiazdy, które krążą coraz szybciej i szybciej. Byłem jedną z tych gwiazd i naraz wypadłem z orbity i popędziłem w stronę firmamentu. Zobaczyłem, że obok mnie lecą dzieci, wyciągnąłem rękę, ale one malejąc oddalały się i wkrótce zniknęły wśród innych migoczących gwiazd w bezmiarze wszechświata...

## GODZINA MISTYKÓW

*Konstantynopol, jesień 1247*

Ledwie zapadła noc, papieski żaglowiec skierował się ku greckiemu brzegowi. Ascelin, opierając się na spostrzeżeniach brata Szymona, wydał rozkaz, aby nie wpływano do głównego portu, lecz zarzucono kotwicę w Galacie, poniżej cmentarza, skąd przez Złoty Róg prowadził do Konstantynopola utworzony z łodzi most. Legat postanowił pieszo dostać się do metropolii, zabierając z sobą jedynie niewielki orszak.

— Gdyby Wit mógł biegać na czworakach, nie rzucałby się tak w oczy — powiedział Szymon, gdy viterbczyka przyprowadzono w łańcuchach na pokład.

— Nie da się wykuć tak dopasowanej obroży — podjął myśl Szymona legat — żeby Wit w najmniej odpowiednim momencie nie wyslizgnął się z niej i wyjąc i szczerząc zęby nie ściągnął na siebie całej uwagi. Wicie, czy możesz nam obiecać, że zostawisz na pokładzie tę swoją pasję tropiciela? — zwrócił się do więźnia, żądając odeń zrozumienia sytuacji. — My też jesteśmy psami gończymi kardynała i chcemy wywęszyć kacerckie dzieci, ale bez głośnego szczekania.

Wit milczał zawzięcie, wyciągnąwszy przed siebie w oskarżycielskim geście zakute ręce.

— Co? Ogłuchłeś? — huknął na niego nadzorca wioślarzy i podniósł w górę bicz o dziewięciu rzemieniach.

— Nie rozumiem cię, Anzelmie — odezwał się wreszcie Wit, nie hamując gniewu. Nadzorca, straciwszy cierpliwość, wyciągnął nagle nóż.

— Uszy, które są do niczego — syknął groźnie — można obciąć.

— Przyrzekam — powiedział spieszenie Wit — że nie wydam z siebie dźwięku i nie odstąpię was ani na krok!

Zdjęto mu kajdany z nóg i sprowadzono z pokładu, trzymając na zamaskowanym łańcuchu. Usztywniono i grubo obwiązano mu ręce, owinięto również czoło, tak że nie można go było ani rozpoznać, ani też dziwić się, że z dwu stron podtrzymuje go dwu przebranych za mnichów, silnych marynarzy.

Obaj nestorianie, Ajbak i Sargis, którzy rozeźleni z powodu straconego czasu nie zamienili z nikim przez cały dzień ani słowa, pierwsi opuścili statek i bez pożegnania zniknęli w tłumie, który nocną porą także tłoczył się na moście. Legat i Szymon kroczyli przodem, obaj ubrani w skromne dominikańskie habity.

— Dokąd nasi szamani popędzili tak spieszenie? — spytał kpiąco Szymon.

— Nie obrażaj szamanów przez *parasimile*\* z tymi nędznymi kapłanami Nestora! — skarcił go Ascelin. — Głęboko szanuję ludzi, którzy narażają się na ataki żywiołów i skromny żywot na pustkowiu, aby doświadczenie natury, które spina wszystko nicią mistycznej jedności, połączyć ze zwróceniem się do ducha, do Boga!

— Można by mniemać — Szymon w swojej pysze nie dał się zbić z tropu — że przedkładasz szamańskie wtajemniczenie ponad chrzest.

— Potępiam tak zwanych „chrześcijańskich” nestorianów — sprostował legat. — Włazą mongolskim władcom z Ewangelią do zadka i naginają spiżowe sformułowanie wyznania wiary wedle cuchnącego oddechu, który wychodzi z gęby wielkiego chana...

— Albo jego pierdnięcia!

— Dlatego, Szymonie, miłszy mi jest związany z ziemią szaman, który nic nie wie o Chrystusie, aniżeli podły nestorianin, który go codziennie zdradza.

Podczas tej rozmowy już po przebyciu mostu Szymon nie spuszczał z oka statków na starym nabrzeżu. Nie zamierzał zbliżyć się ponownie do triery, aby nie prowokować losu, ponieważ „chory” Wit zdążył już ściągnąć na siebie niejedno spojrzenie, co stwierdzili ostrożnie się rozglądając. Zatoczyli więc wielki łuk wokół ciemnego, kołyszącego się lekko statku hrabiny, choć paliła ich ciekawość, by przyjrzeć mu się jeszcze raz z bliska.

Nagle Ascelin szarpnął Szymona za rękaw.

W jasnym wnętrzu otwartego namiotu, oświetlonego niezliczonymi lampkami oliwnymi, tańczył dorosły mężczyzna, obracając się, wirując, stopiony całkowicie z monotonnym rytmem bębna i coraz przenikliwszymi dźwiękami fletu.

— *Allahu Akbar, Allahu Akbar, aszhadu an la ilaha illa Allah...*

Ustawieni w krąg widzowie, sądząc po strojach — przeważnie mieszkańcy Rum czy Ikonium, a więc leżącego na przeciwległym brzegu terytorium Azji Mniejszej, klaskali głośno do taktu.

---

\* *Parasimile* (łac.) — porównanie.



Mnisi chcieli się dyskretnie przecisnąć obok, lecz jeden z dwu arabskich kupców, którzy przed namiotem rozłożyli towary, podniósł się i podszedł do Anzelma. Rzuciwszy spojrzenie na budzącego litość Wita, zaprosił ich, by usiedli z nimi na chwilę.

— *As-Salamu alajka*. Gorący napój, gorzki dla żołądka, słodki dla duszy, rozgrzeje was przepędzając chłód nocy, odświeży wam umysły i użyczy rozumowi jasności, której poszukujecie.

Przymuszeni w ten sposób dominikanie zatrzymali się, pilnując, aby Wit nie wchodził w krąg światła. Chłopiec podał czarki z ciemnym płynem nalany na liście świeżej mięty.

Tancerz ani nie przerwał tańca, ani nie zwrócił na nich uwagi, co skłoniło Szymona do zapytania:

— Derwiesz?

Arab uśmiechnął się lekko.

— Sufi — odparł.

— Jestem dominikaninem — powiedział Szymon.

— To widać, łaskawy panie.

— A to legat Jego Świątobliwości Innocentego Czwartego, papieża całego chrześcijaństwa — wskazał zrozumiale na Anzelma, dla którego to oświadczenie było raczej przykre.

— Tego nie widać — powiedział kupiec i skłonił się lekko. — Mimo wszystko witamy! Ten człowiek, który tańczy *sema*, to tylko skromny sługa Allacha z bractwa mawlawi, Dżalal ad-Din Rumi. — Nie oczekiwał reakcji ze strony mnichów i prawie obojętnie ciągnął: — Musiał uciekać z ojczyzny przed Mongołami, o których pewnieście słyszeli. Zabili jego mistrza Szamsa-i Tebriziego i mędrzec Rumi żyje teraz i naucza w Ikonium...

— Znamy tych Mongołów — pospieszył z wyjaśnieniem Szymon — nasza misja tam nas akurat zaprowadziła. Okropni ludzie... nie, nie ludzie, dzikie nieczyste zwierzęta.

— Wszyscy jesteśmy dość okropni — napomniał go łagodnie Arab. — Jedni przebywają w ciemności, inni mieli szczęście usłyszeć słowa Proroka... — Był tak zręczny w wymowie, że Szymon w żaden sposób nie mógł mu przerwać. — Rumi podjął długą podróż z Azji Mniejszej, bo jakiś głos mu obwieścił, że jutro tutaj, w Bizancjum, zobaczy dziecięcą parę władców, przyszłych królów pokoju.

Ascelin z trudem skrywał podniecenie, co nie mogło ujść uwagi jego uważnego informatora.

— Parę?... Chcecie powiedzieć: dziewczynkę i chłopca?

— Allah... — kupiec uśmiechnął się na widok zżerającej legata ciekawości. — Allah może przecież także istotę płci żeńskiej podnieść do godności ludzkiej i ukoronować przy boku męskiego władcy.

— Gdzie, kiedy zostaną ukoronowani? — wyrwało się Szymonowi.  
— Wtajemniczeni się dowiedzą — powiedział Arab, zręcznie unikając odpowiedzi.  
— Ja umiem czekać.  
— My też! — oznajmił szybko Ascelin. — Chcemy się trochę rozejrzeć po obcym mieście. Być może...  
— Jeśli wolno mi zaproponować swoje skromne usługi w charakterze przewodnika, chętnie i ze znanstwem was oprowadzę.  
Ascelin wprawdzie zupełnie co innego miał na myśli, ale nie mógł odmówić życzliwej propozycji.  
— Macie dostojnego gościa... — usiłował się jeszcze wykręcić, lecz kupiec zamienił szybko po arabsku kilka słów z młodszym kolegą, który tylko skinął głową, i już ruszyli ku wznoszącemu się za portem staremu miastu.

Płaski dach zbudowanego w kształcie piramidy skrzydła pałacu Kallistosa wznosił się ponad wierzchołkami drzew, a nawet, ze względu na wyższe położenie budowli, ponad wieżami pobliskich kościołów Świętej Ireny oraz Świętych Sergiusza i Bachusa. Rozciągał się stąd widok zarówno na mizerne ognie opadającego w kierunku portu staro miasta, jak i na szeroki łuk morza światła Złotego Rogu z jego jasno iluminowanym mostem oraz na blado świecące w oddali wybrzeże Azji Mniejszej. Jednakże oczy starca przytknięte do długiej rury zawieszanej na drewnianej konstrukcji, wyglądającej jak wycelowana w niebo katapulta, wypatrywały innych światła.

— Wzywam cię, Mitro!... — dyszał Turnbull. — Wiek nie daje mi już czasu, żeby wspiać się na wszystkie siedem stopni wtajemniczenia, ale pozwól mi jeszcze raz poznać, czy ja, niegodny adept, należycie wykładam rozkazy twoich siedmiu planet! — Poruszała rurą, nie odrywając od niej oka. — Czy będę działać w zgodzie ze sferami, jeśli przy najbliższej, największej koniunkcji panujących konstelacji zaprezentuję światu królewskie dzieci?... — Brzmiało to jak modlitwa, rozpaczliwa modlitwa, którą słyszeli także dwaj mężczyźni trzymający się z szacunkiem w pewnej odległości.

— Odwaga nie wtajemniczonego — mruknął Gawin do stojącego obok Wawrzyńca — pozwala nie zważać na tradycje starych kultów i Apollonowi w jego dionizyjskiej czy orfickiej postaci, w każdym razie samotnemu władcy, dać równą mu towarzyszkę.

— Postawić u jego boku — poprawił go szeptem mnich, który w przeciwieństwie do pełnego rezerwy templariusza błyszczącymi oczyma śledził zaklinanie bóstwa. — I nie zapominajcie o Persefonie, Hekate, a także — dodał nieśmiało — o Afrodydzie, bogini miłości! Takiego męstwa teraz potrzebujemy: trzeba na powrót włączyć miłość do idei związanych z panowaniem!

Stary Jan jakby usłyszał te słowa, bo odwrócił się na chwilę do swoich towarzyszy:

— Czyż przy Okrągłym Stole króla Artura nie obracało się wszystko właśnie wokół

miłości? — filozofował, wzrokiem znowu wodząc po niebie.

— Dwunastu rycerzy, dwanaście znaków zodiaku, dwanaście stopni... stopni do czego? Do miłości! — Mówił teraz głośniej, jakby przemawiała przez niego wyrocznia. — Jezus?... Jezus bez miłości?... Nie, nawet jeśli wasi kościelni patriarchowie naznaczyli Marię z Magdali piętnem nierządnicy!

Oddychał ciężko, musiał się przytrzymać astrologicznej rury. Dla templariusza był to przykry widok, na poły śmieszny, na poły wzruszający, dla franciszkanina — podniosły, promienne objawienie; wzrok Wawrzyńca zawisł na ustach starca jak trzmiel na miodnym kwiecie.

— Centrum tego świata, hiperborejska ojczyzna Apollona, Atlantyda, Avalon — westchnął Wawrzyniec poruszony — wszystkie wyspy miłości!

— A poszukiwanie Graala? — podjął radośnie tę myśl wdzięczny Turnbull. — Wszystko promieniejące miłością, miłością do ludzi, miłością między ludźmi!

Jednakże Gawin przerwał jego emfazę, wybuchnąwszy sarkastycznym śmiechem.

— Ojcowie Kościoła płodzili obficie zbożne, choć niewiele znaczące dogmaty, w jednym tylko byli nadzwyczaj dalekowzroczni: w tym, co dotyczy odpędzania kobiety od mężczyzny, który się poświęcił duchowi. Świętemu.

Turnbull oderwał się od przyrzędu.

— Czy nie potraficie wznieść się ponad ponure ziemskie znaczenie związku mężczyzny i kobiety? — oburzył się. — Tu idzie o jedność stworzenia! Bóg stworzył oboje: mężczyznę i kobietę, Ewa nie jest stworzona przez szatana! Oni są jednością jak sam Bóg, rodzeństwem!

— Założywszy nawet, że Rosz i Jeza to naprawdę rodzeństwo, czego żaden z nas nie wie, nie możecie, *venerabile maestro*, zaprzeczyć, że są nadzwyczaj różnymi istotami, duchowo i cieleśnie, i ten dualizm niesie w sobie napięcie, spór...

— ...i stopienie się w jedno! — wpadł mu w słowo Jan.

— Czy to jako tradycyjna para, czy jako kazirodczo połączone rodzeństwo, pozostaną zawsze dwojgiem i ani nie znajdą, ani nie przyniosą pokoju! — dokończył Gawin poirytowany.

— Wy, templariusze, nie lubicie kobiet — rozzłościł się Wawrzyniec, ale dopiero tym doprowadził Gawina naprawdę do wściekłości.

— Głupie gadanie! Nasz zakon służy Maryi i chętnie przyjąłbym do niego wszystkie Marie świata! Mogę sobie nawet wyobrazić panowanie jednej królowej nieba, ale bez mężczyzny!

— W zamian znajdzie się troskliwy archanioł! — zakpił Wawrzyniec.

— Dlaczego wasz Franciszek odrzucił świętą Klarę, niewątpliwie gorąco kochającą? Ponieważ wiedział, że panować może tylko jedno! Drugie pozostaje w najlepszym wypadku współrządzającym. Widzicie Jezę w tej roli?

Wawrzyniec nie znalazł przekonującej odpowiedzi, Jan także milczał długo, nim wreszcie się odezwał:

— Mam dwa pytania, szlachetny panie z Béthune. Dlaczego zgłaszacie wątpliwości dopiero teraz i dlaczego dotąd tak rozważnie popieraliście Wielki Plan?

— Mogę wam udzielić wspólnej odpowiedzi: ochrona i zachowanie Graala jest, jak wiecie, podstawą i celem zakonu templariuszy. To zobowiązanie przenosi się na zamani-festowaną krew Graala, na dzieci, przy czym nie decyduje o tym żaden z członków naszej wspólnoty, a już na pewno nie tak mało znaczący komandor jak ja!

— Ale mnie interesuje — upierał się Jan — akurat wasze osobiste stanowisko.

Gawin walczył ze sobą, odpowiedź nie przyszła mu łatwo.

— Oddanie tym dzieciom jest dla mnie istotnie sprawą osobistą i wiąże się z pewnym uczuciem, podobnie jak moje posłuszeństwo wobec zakonu wynika z przekonania, że wedle wszelkich przewidywań, doświadczenia i skalkulowania największego prawdopodobieństwa, przynajmniej jedno z dzieci może osiągnąć cel.

— To już leży w ręku Boga! — Turnbull odetchnął z ulgą.

— Brakuje wam, jak mi się zdaje, silnej wiary — stwierdził Wawrzyniec zmieszany.

— To tragedia templariuszy — pocieszył go Jan. — Wiedzą za dużo... Gawinie, wtrą-ciliście nas niczym kusiciel w otchłań zwątpienia, dlatego chcę oddać dzieci pod opiekę innego bóstwa: mam na myśli Hermesa Trismegistosa. Może on być nie tylko jak egip-ski Toth strażnikiem jednego boskiego dziecka, lecz ze swymi janusowymi obliczami strzec także bliźniąt, rodzeństwa i ostatecznej tajemnicy, nie zgłębionej przez nikogo. Nie ma więc znaczenia, czy dzieci są jednym, czy drugim! Hermesowi pragnę zaufać. — Odstąpił od przyrządów na środek platformy. — Zostawcie mnie teraz, przyjaciele, i podtrzymujcie modlitwami siłę moich myśli.

Gawin i Wawrzyniec pożegnali się i zeszli stromymi schodami na położony niżej taras.

— Czy istotnie nie wiecie, z jakiego rodu pochodzą dzieci? — Wawrzyniec ośmielił się zadać dręczące go pytanie.

— Na szczycie piramidy Wielkiego Planu złożone są bezpiecznie zarówno imiona, jak i nasienie. Kto powinien się tego dowiedzieć, dowie się we właściwym czasie.

I tym, chcąc nie chcąc, musiał się mały franciszkanin zadowolić.

— To nie może być to wspaniałe Bizancjum, którego potęgę i wewnętrzny porządek wszyscy zachwalali! — grzmiał Sargis. — Ja widzę chaos i anarchię, i jak okiem sięgnąć żadnego stróża porządku.

— Zaraza łacinników — otyły Ajbak nie chciał się denerwować. — Grzeszne przyka-zania rzymskiego Kościoła, dzięki którym może straszyć ludzi czyścem i potępieniem. Prawdziwa władza to władza nad duszami!

Nestorianie pięli się po schodach, które prowadziły z portu do starego miasta. Ich pełne nagany spojrzenia kierowały się pod otwarte łuki bram, gdzie leżeli żebracy i wyciągając ręce żądali jałmużny, a ladacznice oferowały tanio swoje wdzięki. Dzieci jak muchy krążyły wokół straganów, na których wyłożono kleiste meduzy, cuchnące muszle i inne nieczyste zwierzęta wyłowione w portowym basenie, handlowano też kolczastymi owocami kaktusów lub połówkami arbuza. Mało chleba, żadnego mięsa. Nocny targ ubogich. Tylko obfitość cukru: ze stojących na paleniskach gorących kotłów, w których kobiety mieszały wielkimi drewnianymi łyżkami, czerpano wszędzie lepka, zanieczyszczoną melasę. Dzieci niczego tak nie pożały jak tej słodyczy. Gapiły się tęsknie na nieosiągalną wspaniałość. Gapiły się jak zaczarowane szeroko otwartymi ciemnymi oczami w bladych twarzach. I czasem tylko otrzymywały uderzenie warząchwią po palcach, które potem, choć obolałe, można było oblizać.

Zapach zgnilizny wisiał w powietrzu między zapuszczonymi domostwami, w jaskiniach bram i podwórzy. Potem nagle rozległ się wrzask i przekleństwa. Horda wyrostków z ogolonymi głowami i wymalowanymi na twarzach jaskrawymi symbolami bandy przebiegła przez targ, wywijając łańcuchami, pałkami i nożami. Walili we wszystko, co im stanęło na drodze, potem rzucili pochodnię na bele materiału krawca i czekali w szyderym milczeniu, póki im nie da pieniędzy, zanim odważy się zabrać do gaszenia pożaru. Niektórzy członkowie bandy nosili hełmy, które zakrywały im twarze.

Z hałasem pociągnęli dalej. Ich wrzask utonął wkrótce w nocnych odgłosach Bizancjum, ale niebawem znowu podniosły się krzyki i rozbłysły płomienie. Gdzie indziej.

Posłowie mongolskiego namiestnika zniechęceni włóczyli się wąskimi uliczkami. Ich uraza z powodu złego traktowania przez legata i tym samym przez cały Zachód, tę nadętą „resztę świata”, długo nie pozwalała im nawiązać rozmowy.

— Bajdzu powinien był jednak kazać ich wypchać! — powiedział wreszcie rozdrażniony chudy Sargis. — W czym właściwie przewyższa nas ten Zachód?

Przemierzali ubogą dzielnicę, gdzie nieczystości płynęły środkiem dziurawego bruku, mijali dymiące paleniska, na których stały brudne kotły z pływającymi w wodzie nędznymi odpadkami, przechodzili obok zapadających się drewnianych domów; wiele z nich na pół spalonych sterczało czarno ku zadymionemu niebu. Obszarpani mieszkańcy kłócili się między sobą, a cudzoziemska hołota dręczyła ich, zagrażała im ustawicznie i okradała najbiedniejszych z biednych. Cuchnęło tutaj, było głośno i brutalnie.

— Nie ma tu żadnego porządku, nikt nie przestrzega prawa!

— Wolność, drogi Sargisie! — mruknął gruby Ajbak. — Oni pojmują wolność tak, że mogą żyć, jak im się podoba!

— Głód, złodziejstwo, zazdrość, zabójstwo nie mogą im się przecież podobać! — zapalał się Sargis. — Rozbój i gwałt, mord i zdradę małżeńską potępiają także oni, ustanowili bardzo surowe kary...

— Tak, ale siła przebicia i przywileje, znaczenie, a przede wszystkim szlachectwo pozwalają bogatym i potężnym znaleźć innych sędziów niż biedacy. Taka jest wolność Zachodu, dlatego uchodzimy u nich za okrutnych ciemiężców, ponieważ prawo *jasa*\* jest równe dla wszystkich i ściśle stosowane.

Patrzyli z oburzeniem, jak dwaj pijani żołnierze odrywają kobiecie dziecko od piersi i grożą, że je roztrzaskają; nie ośmielając się płakać czy krzyczeć, sięgnęła pod spódnicę i podała żołnierzom mieszek. Właśnie wyciągnęła się po niego chciwa dłoń, gdy metaliczna błyskawica przecięła powietrze i żołnierz zamarł wpatrzony w kikut swojej ręki, z którego krew trysnęła na kobietę i wtulone w nią ponownie dziecko. Miecz błysnął znowu, tym razem w kierunku drugiego napastnika, który odskoczył i uciekł, podczas gdy ranny jego towarzysz zrobił jeszcze dwa kroki i runął na twarz.

Teraz nagle wiele ludzi odważyło się wychynąć ze swych kryjówek. Narzekając otoczyli kobietę, którą przedtem pozostawili swemu losowi.

— Jeśli zjawią się strażę — oznajmił mężczyzna w barwach króla Francji — powiedzcie, że Iwo Bretończyk jest do ich dyspozycji!

Człowiek, który przedstawił się tak zarozumiale, nie miał wcale imponującej postury. Stał pochylony do przodu z przygarbionym grzbietem. Ręce miał o wiele za długie w stosunku do przysadzistego ciała, ale pierś i ramiona nadzwyczaj szerokie i potężne. Okrywał je kubrak z ciemnoniebieskiego aksamitu z wyhaftowanymi złotą nicią liliami.

Wepchnął miecz do pochwy i powoli zaczął się oddalać.

— Powinniście uciekać, dzielny człowieku! — Sargis podszedł do niego. — Postąpiliście słusznie. Możemy was ukryć na naszym statku, wtedy znajdziecie się pod opieką papieskiego legata.

— Wcale nie myślę się ukrywać — odrzekł krótko Iwo i zatrzymał się tylko dlatego, że Ajbak powiedział:

— Widzisz, Sargisie, jak Zachód już cię skorumpował? Albo ten człowiek miał rację i nie musi się niczego wypierać, albo działał bezprawnie i musi ponieść karę. Tylko tak może panować porządek!

— Wasz przyjaciel zawstydza mnie — zwrócił się Iwo do Sargisa — ale mam niejaką skłonność do zapalczywości. Czyż miałem ścierpieć...

— To nie jest chyba waszą siłą — uśmiechnął się Ajbak i wyciągnął do niego rękę. — Lepiej jednak zniknijmy z tej okolicy, zabity mógł mieć przyjaciół.

— Nie martwcie się — oświadczył Iwo — moje imię trzyma ich z daleka!

— To bądźcie przynajmniej naszym gościem, wychylimy kufel syconego miodu lub mocniejszego trunku — zaprosił go Sargis. — Mój żołądek potrzebuje teraz jakiegoś

---

\* *Jasa* — zbiór prawa zwyczajowego Mongołów, ułożony przez Dżyngis-chana.

płynnego *sedativum!*\*

Zaczęli wspinać się znowu krętymi uliczkami, przy czym duchowni sterowali z niezawodnym wyczuciem ku najbliższej tawernie.

— Sądząc po waszych strojach, jesteście kapłanami? — rzucił pytająco Iwo, który wcale nie zamierzał wmieszać się w ciżbę.

— Głosimy wiarę Chrystusową, jak nam została przekazana przez Nestora — poinformował go Ajbak. Pociągnął Bretończyka zapraszająco za kubrak. — Na jeden łyk?

— Wybaczcie, że się z wami nie napiję — powiedział zdecydowanie Iwo. — Wolę mieć trzeźwą głowę! — Z tymi słowami zostawił ich i zniknął w ciemnościach.

— Z pewnością to muzułmanin, za dobrze mówi po arabsku — pocieszył się Ajbak i pociągnął kompana przez próg. — Konstantynopol, jak się wydaje, jest tolerancyjnym miastem...

— Tak — mruknął Sargis — to Babilon. Tutaj zaczęło się już panowanie antychrysta!

Usiedli przy jednym ze stołów i im więcej wina zamawiali, tym mniej się dziwili wielkiej liczbie narodowości, języków i religii, które tej nocy urządziły sobie schadzki w starym Bizancjum.

W Centrum Świata płonęły jeszcze światła. Służba biskupa szykowała salę z czarno-białą szachownicą na nadchodzący niezwykły dzień. Przy ścianie frontowej pod arkadami wzniesiono z desek konstrukcję, która przypominała scenę i sięgała najwyższych stopni bocznych rzędów. Wyłożono ją drogocennymi dywanami.

Mikołaj z La Porty siedział z pochyloną głową nad pustą szachownicą, gdy do sali wszedł Gawin z Wawrzyńcem.

— Gra szacha — powiedział templariusz przechodząc — wydaje mi się dziecinnie ła-twa wobec tego, co oczekuje was tutaj jutro.

— Ach — westchnął biskup — gdyby tylko było wiadomo, kogo przyporządkować do wojsk Ahura Mazdy, a komu przypisać część Arymana!\*

— Taka jest gra życia! — pocieszył go Gawin i chciał pójść z Wawrzyńcem dalej, jednakże biskup go zatrzymał.

— Chciałbym z wami pomówić, Gawinie.

Templariusz zajął miejsce obok biskupa, Wawrzyniec zaś skierował się do wyjścia. Minoryta, jak się wydawało, był w dobrym humorze, ponieważ skakał po polach szachownicy świata, starając się omijać wody mórz. Zniknął szybko między kolumnami

---

\* Sedativum (łac.) — używane zwykle w lm. *sedativa*: środki uspokajające, kojące.]

\* Ahura Mazda — staroirański bóg światła i dobra (stwórca); Aryman — bóg ciemności i zła (niszczytel).

frontonu, który prowadził na taras i ku schodom.

— Martwię się — powiedział biskup, jakby oczekiwał od templariusza leku na swoje troski. — Jestem zakłopotany i przygnębiony. Czarne figury na białych polach, jasne na ciemnych... A gdzie stoję ja? — Westchnął głęboko, żądając współczucia, lecz Gawin nie był w nastroju pocieszycielskim.

— Na tych marmurowych polach pychy za dużo graliście w halnę, przeskoczyliście zbyt wiele przeszkód, zamiast się z nimi rozprawić. Kłopot sprawia wam wasza chwiejność, bo jutro będziecie musieli jasno się opowiedzieć. — Zamierzał się podnieść z poduszek, lecz Mikołaj zatrzymał go raz jeszcze.

— Boję się — wyznał — boję się, że stracę dotychczasową pozycję, boję się fałszywego ruchu... — Nie odważył się popatrzeć templariuszowi w twarz, chociaż sądził, że mógłby wyczytać z niej odpowiedź. Tymczasem nie wyczytałby nic, gdyż twarz Gawina pozostała nieporuszona; w tym podobni są do siebie zaprawieni w boju żołnierze i doświadczeni gracze.

— Pozbądźcie się złudzeń, ekscelencjo, nie myślcie, że będziecie tu jeszcze przesuwając figury. — Gawin mówił teraz twardo. — Wy będziecie przesuwani. Wsiądźcie na właściwego konia i trzymajcie się w siodle, nawet gdyby wierzgał, stawał dęba i usiłował was zrzucić. Jeśli spadniecie, dostaniecie się pod kopyta tak samo, jak gdybyście na fałszywym koniu, pozornie bezpieczni, nadziali się na włócznię sterczącą z piasku.

Zrozpaczony biskup spojrzał templariuszowi prosto w oczy.

— Dojdzie do walki — powiedział komandor. — Czy skończy się cięciem i kłuciem, zależy przede wszystkim od naszej stanowczości. Wasze miejsce, podobnie jak moje — usiłował dodać męstwa biskupowi — jest po stronie dzieci.

Poklepał Mikołaja uspokajająco po ramieniu i nie pozwolił mu się dłużej zatrzymać.

Nie minęła jeszcze północ, gdy papieski legat Anzelm z Longjumeau wraz z Szymonem z Saint-Quentin pod przewodnictwem arabskiego kupca przecięli stare miasto.

Posępny wygląd grupy trzymał od niej z daleka zbójckie bandy. Chociaż mnisi na pozór nie mieli broni, promieniowała od nich aura niebezpieczeństwa, zwłaszcza od człowieka, który nosił ślady ran odniesionych w walce. Wit, skrępowany pasami płótna zakrywającymi jego rzekome rany, stapał z tyłu ciężko i w milczeniu, ale to właśnie on określał kierunek marszu. Wysoko ponad miastem położony pałac biskupi przyciągał go z magiczną siłą i jego zakuta w łańcuchy niecierpliwość dbała o to, żeby mała grupa nigdzie dłużej nie przystawała.

— W całym moim życiu, a wiele przecież podróżowałem — sapnął Fra' Ascelin — nigdy jeszcze nie widziałem w ciągu jednej nocy tylu wyznawców Buddy, parsów, koptów i „starców”, kacerskich manichejczyków, patarenów i bogomolców, ortodok-



syjnych jakobitów i andreanów, schizmatycznych Armeńczyków i jowianów, żydów, braminów i szamanów, tańczących derwiszów, zaklinających węże fakirów, obracających młynkami modlitewnymi Tybetańczyków, powykręcanych joginów i przybyłych z jeszcze dalszych stron uczniów Lao-tsy, a także iluministów i hermytyków!

— Zapomnieliście o tych wszystkich — uśmiechnął się skrycie muzułmanin — których nie udało się nam rozpoznać: o gnostykach, druidach, pitagorejczykach, neoplatonczykach, esseńczykach i Chaldejczykach, o ismailitach i ich niewidzialnym zbrojnym ramieniu, wynurzających się z nicości ludziach Starca z Gór.

— Myślicie o asasynach? — podjął Szymon spostrzegłszy, że Ascelin musi jeszcze przez chwilę odetchnąć po elokwentnym wyliczeniu zaskakujących wrażeń jednej nocy w Bizancjum. — I o legendarnych ciosach sztyletów z czasów pierwszych wypraw krzyżowych? Wiecie, dlaczego asasyni są tak niedostrzegalni? Bo nigdy nie istnieli!

— Dosyć! — parsknął półgłosem Wit, odzywając się po raz pierwszy w czasie tej wędrówki. — Skoro już musisz opowiadać bzdury, zostaw to sobie na później!

Nad nimi wznosiły się mury pałacu Kallistosa. Przemknęli ukradkiem koło bramy, gdy zobaczyli, że na znajdujących się za nią zewnętrznych schodach płoną jeszcze w uchwytych pochodnie i stoi straż. Cicho prześlizgiwali się wzdłuż murów w poszukiwaniu innego wejścia. Nie znaleźli żadnego. Wysokie gładkie ściany bez jednej szczeliny ciągnęły się wokół olbrzymiej posiadłości, w jednym tylko miejscu w ciosowe kamienie murów wpuszczono źródło. Przedstawiało młodego, o pełnych kształtach Dionizosa walczącego ze starym satyrem o amforę wina, której zawartość wylewała się mocnym strumieniem do położonej niżej muszli. Szymon pochylił się nad nią i łyknął wody wypływającej z amfory.

Spod arkad przed główną salą pałacu dochodziło jeszcze światło, rzecz niezwykła o tej porze, kiedy wszystkie inne pałace i kościoły dookoła już od dawna były pogrążone w głębokich ciemnościach.

— To musi być właściwe miejsce — syknął Wit do rozczarowanego legata, który rozglądał się bezradnie wokół.

— To jest właściwe miejsce — powiedział arabski kupiec — a otworzy się tylko przed tym, kto jutro z podniesioną głową potrafi przekroczyć bramę.

— Dobrze wam mówić — zrzędził Szymon. — Was ten problem przecież nie dotyczy.

— Wracajmy na statek — nalegał Anzelm, toteż powoli ruszyli w dół.

Hamo wyliczył sobie, że jego matka o tej porze już dawno powinna być w łóżku. Znudziło mu się włóczyć w kółko po ulicach miasta i postanowił wrócić do pałacu. W ciemnościach podziemne przejście nie było szczególnie bezpieczne, choćby z powodu Styksa i szczurów, w dodatku jesienna noc wydawała się zachęcająca i przyjemnie cie-

pła, wybrał więc skrót — wijącą się serpentynami ulicę, której strome schody dochodziły bezpośrednio do głównego portalu.

Zamierzał właśnie pokonać ostatnie stopnie, gdy zobaczył w świetle pochodni przemykające podejrzone postacie. Pierwszych nie zdołał rozpoznać, ale potem przeszedł ktoś, kogo tamci ciągnęli; blask pochodni wystarczająco długo padał na twarz tego człowieka i Hamo poznał go mimo opaski na czole i głęboko naciągniętego kaptura. Tak, to był on! Czarny prześladowca, Wit z Viterbo, który przez całą Italię aż do Alp szpiegował i dręczył prowadzoną przez Hamona nieszczęśliwą wyprawę. Nie było najmniejszej wątpliwości. Podejrzone zachowanie reszty towarzystwa umocniło chłopaka w przekonaniu, że się nie myli.

Wołać strażę było za późno, budzić biskupa bez sensu, zwłaszcza że imię viterbczyka nic by mu nie powiedziało, a Hamo nie miał ochoty wyjaśniać Mikołajowi, jakim zagrożeniem jest inkwizytor o wilczej naturze. Człowiekiem, którego należało natychmiast powiadomić, był Guiscard.

Wzdychając odwrócił się i długimi susami zaczął zbiegać ku portowi po schodach, na które się dopiero co mozolnie wspiął. Omal nie przewrócił jakiegoś pijaka; chciał go zwymyślać grubiańsko, w porę jednak spostrzegł, że człowiek ten ma pod płaszczem kosztowne biskupie szaty i co więcej, z wściekłością zamierzył się na niego pastorałem. Hamo zręcznie uniknął ciosu i krótko go przeprosiwszy, chciał pobiec dalej.

— Zatrzymaj się, obwiesiu! — zbeształ go nieznajomy, z trudem trzymając się na nogach. — Czy tutaj przyjmuje łański biskup?

— Mikołaj? — spyta! Hamo i zatrzymał się niezdecydowany.

— Skąd mam wiedzieć? — mruknął szorstko nieznajomy. — Chodzi mi o prezentację jakichś książąt — sapnął. — Przy okazji pewnie poczęstują też dobrym napitkiem. Macie tu przednie wino!

Hamo postanowił tego nadzwyczaj wczesnie przybyłego gościa bezlitośnie oświecić.

— Prezentacja królewskich dzieci przewidziana jest na dwunastą w południe...

— Codziennie?

— Nie, tylko jutro. — Hamo nie wiedział, czy powinien się rozzłościć, czy roześmiać.

— A teraz wybaczcie, spieszę się!

— Powoli, młody przyjacielu — zatrzymał go cudzoziemiec. — Jestem Galeran z Bejrutu, kolega z urzędu waszego biskupa. Musisz mnie sprowadzić po tych przeklętych stopniach do najbliższej otwartej tawerny. — Przytrzymał Hamona za rękaw, tak że chłopakowi nie pozostało nic innego, jak wziąć go pod rękę i krok po kroku sprowadzić po schodach.

NOC STYKSA  
*Konstantynopol, jesień 1247*

Pogrążony w pierwszym śnie biskup przewracał się niespokojnie pod baldachimem. Długo czekał na powrót Hamona i przeklinał swoją ciotkę Laurencję, której obecność w pałacu Kallistosa praktycznie wypędzała chłopaka do podziemi, jeśli już w ogóle nie z domu.

Rozmowa z Gawinem także nie przyczyniła się do uspokojenia biskupa. Nie powinien był udzielić schronienia uciekinierom z Otranto! Teraz ich los opanował całą scenę; miłe dni lekkiego pełnienia urzędu i leniwego zajmowania się obowiązkami, które do urzędu nie należały, dobiegły końca, nie gwałtownego bynajmniej, raczej podobnego do stryczka, który powoli zaciągał się wokół jego szyi. Strach znowu ogarnął! Mikołaja, biskup zmiął w kłębek okrycie z adamaszku, zerwał je z piersi, na której nagle zaciążyło tak, że groziło mu uduszeniem...

Zasypiał już, gdy Hamo wślizgnął się sprężysto pod prześcieradło. Skóra chłopaka pachniała portem i grzechem, oddechem dmuchał Mikołajowi w twarz, wargami przywarł do jego ucha, potem jął pożądlawie lizać mu szyję. Mikołaj ledwie się ważył oddychać. Jakże tęsknił do tej godziny, jakże zabiegał o względy chłopaka pieścizkami i podarunkami, okazywaną mu uwagą i wspaniałomyślnością! Nigdy nie był natarczywy. Teraz, jak się okazało, jego taktyka opłacała się. Hamo przyszedł do niego z własnej woli, aby mu ofiarować miłość. Oniemiały ze szczęścia Mikołaj odprężył się, by przyjąć niezręczne, wilgotne, burzliwe czułości, niezmordowanie liżący jego policzki, nos, ramiona wspaniały dziki język...

Jarcynt zaprowadził Klarion na tryerę. Musiał się jeszcze zatrzymać, gdyż zażądała od niego rady, jaką suknię powinna włożyć następnego dnia. Także jej towarzyszki, pokojowe i szatne, maskując chichotem zawstydzenie, natarły nań z natarczywymi prośbami, aby powiedział słowo na temat ich strojów bądź tego, co powinny odsłonić, co falujące i obnażone obwiesić ozdobami. Jarcynt, w którym nawet osoba postronna od razu musiała rozpoznać człowieka niewrażliwego na wdzięki niewieście, wyszedł z opresji ratując się złośliwością. Dyrygował damami, doradzając jak najśmielsze odkrywanie krągłości, co z kokieterią przyjmowały, póki nie wkroczyła Klarion i jednym ostrym słowem nie przypomniała swemu dworowi, że życzy sobie być otoczona przyzwoitymi mniszkami. Jarcynt wykorzystał ogólne rozczarowanie, aby się skrycie oddalić.

Był w pogodnym nastroju. Postanowił w pałacu swego pana biskupa szybko jeszcze sprawdzić porządek, a potem wziąć Styksa na nocną wizytę, którą zamierzał złożyć swe-

mu kochankowi *ektos teichos*\* Jego przyjaciel był jedynym człowiekiem dobrym dla psa i rozumiał wielką miłość Jarcynta do tego zwierzęcia. Kucharz spieszył się.

Mikołaj z La Porty wyciągnął ramiona, aby natarczywego kochanka wreszcie przyciągnąć do siebie i wskazać mu drogi prawdziwego spełnienia. Objął jego głowę, wczepił się mocno w gęste włosy i... ujrzał rozwartą paszczę Styksa, z którego warg ściekała ślina, a szeroki jęzor, zwisając, uderzał Mikołaja po brodzie.

Przeraźliwy krzyk zamarł biskupowi na wargach, z gardła wydobyło się tylko przeraźliwe rżenie. Na czoło wystąpił mu zimny pot. Resztką sił odepchnął łeb potężnego zwierzęcia, tak że jęzor ześlizgnął się po jego ramieniu i zaczął lizać zwisającą teraz bezwładnie rękę.

— Jarcynt! — krzyknął wreszcie Mikołaj przenikliwie i głośno. — Jaaarcynt!...

Bydlę musiało wejść przez drzwi z korytarza, który prowadził do skarbcza. Być może nie dość starannie zamknął tajemne wejście, ale czym były teraz wszystkie skarby świata wobec zagrożenia jego życia, jego cielesnej nienaruszalności!

— Jaaaarcynt!

Usłużny duch wpadł wreszcie do sypialni swego pana, co pies powitał radosnym merdaniem, nie opuszczając jednak ręki biskupa.

Mikołaj wyprostował się cały drżący.

— Zabierz to zwierzę! — wystękał.

Jarcynt złapał Styksa za obrożę i pociągnął w stronę boazerii.

— Zostawiliście, ekscelencjo, otwarte drzwi — powiedział z wyrzutem.

Mikołaj po raz pierwszy odważył się z niewielkiej odległości przyjrzeć psu: straszliwa mordą pod grubymi nozdrzami, masywny łeb na potężnym karku, szeroka klatka pokryta białą sierścią, podczas gdy resztę ciała porastał włos w rudawo-czarne cętki. Bestia stała na szeroko rozstawionych łapach i szczyrzyła zęby na biskupa. Przerażające jednak były jej ślepie, podbiegłe czerwienią, martwe. Styks był rzeczywiście ślepy!

To dodało biskupowi odwagi. Jego spojrzenie padło na srebrną obrożę misternej roboty.

— Jarcyncie — powiedział przeciągle — twój pies nastawał na moje życie.

— Obserwował czujnie czekającego w niepewności kucharza i jego śliniacą się bestię.

— Chcę mieć pewność, że mi już nigdy więcej nie zagrozi. Usuniesz go na zawsze i na znak, że to zrobiłeś, przyniesiesz mi jego obrożę.

Na twarzy Jarcynta odmalowało się przerażenie.

— To niemożliwe! — wyjęczał. — Obroża nie zejdzie mu przez głowę, jest skuta na stałe!

---

\* *Ektos teichos* (gr.) — poza murami.

— Otóż to — rzekł Mikołaj. — Masz mu obciąć łeb! Jarcynt stał drżący, jakby chciał paść na kolana.

— Wynos się! — krzyknął biskup. — I nie śmieję zjawić się przede mną z pustymi rękoma...

Reszty kucharz już nie usłyszał, Mikołaj bowiem naciągnął na głowę prześcieradło, a Jarcynt wypchnąwszy Styksa z sypialni znalazł się za drzwiami. Serce podeszło mu do gardła.

— Rosz, śpisz? — pisnęła Jeza. — Muszę zrobić siusiu!

Jej towarzysz półprzymkniętymi oczyma skontrolował spokojny sen mnichów. Świeca między Williamem a Benedyktem wypaliła się już prawie do końca i skwierczała tuż przed zgaśnięciem.

— Pójdziemy do pawilonu? — spytał szeptem.

Jeza skinęła głową na znak zgody.

— Jeśli tylko tam zdążę...

Wyślizgnęła się z łóżka z zadartą wysoko koszulą i Rosz zobaczył w migotliwym blasku płomienia delikatny puszek pokrywający niewielki wzgórek, z którego w razie potrzeby tryskała woda. Tego cienia sprawiającego wrażenie złocistego runa chłopiec nigdy przedtem nie spostrzegł. Ale o wiele bardziej przestraszyło go, a zarazem przejęło miłym dreszczem to, że jego ptaszek wydłużył się nagle i stwardniał, co już się wprawdzie wcześniej zdarzało, lecz dotąd nie miało związku z Jezą.

Odwinął się z derki, skrywając przed dziewczynką sterczącego siusiaka, kiedy jednak wziął ją za rękę, siusiak zaczął pulsować, jakby pukać, i Rosz zląkł się, że Jeza może zauważyć, jak ogromnie urósł. Wepchnął więc dziewczynkę spiesznie do otworu w ścianie, co zresztą wcale nie było potrzebne, ponieważ Jeza, popędzana parciem na pęcherz, pomknęła Ostatnią Drogą jak trąba powietrzna, tak że Rosz ledwie mógł za nią nadażyć.

Oboje z zamkniętymi oczami orientowali się w labiryncie, toteż chłopiec bez trudu szedł śladem swej towarzyszki. Po trzech zakrętach natknął się nagle na jej gołą pupę — Jeza podciągnęła koszulę i przykucnęła, dłużej nie mogąc wytrzymać. Rosz ukląkł ostrożnie i podsunął pod nią rękę. Gorąca wilgoć trysnęła mu na palce i raptem opanowała go tylko jedna myśl.

— Poczekaj... — wyjąkał i zatamował dłonią strumień. Położywszy się w ciemnym kamiennym korytarzu na wznak, pociągnął Jezę do tyłu, aż gorąca uryna opryskała mu kolana, uda i wreszcie trafiła na członek.

— Możesz jeszcze?... — jęknął, lecz Jeza, wypuściwszy ostatnie krople, ogłosiła dumnie:

— Koniec! — i podniosła się. Uszła już kilka kroków, gdy spostrzegła, że chłopiec nie idzie za nią.

— Rosz! — rzuciła w ciemność. — Rosz, co się z tobą dzieje?

Odwrociła się i ruszyła na czworakach nie zważając, że ostre kamienie kaleczą jej kolana. Wymacała nogi chłopca.

— Rosz?... Odezwiż się! — Usłyszała tylko dyszenie.

Wślizgnęła się między nogi chłopca i jej wyciągnięte ręce natrafiły na zeszywniałego siusiaka, tkwiącego dziwnie obco między jądrami, którymi tak chętnie się bawiła.

— Och!... — zdołała wykrztusić. — Och, Rosz!...

Było jej żal przyjaciela, musiał ogromnie cierpieć. Rzuciła się na niego i przycisnęła twarz do jego brzucha. Twardy natręt między nimi przeszkadzał jej, ale jeszcze bardziej zdziwiło ją, że po chwili zaczął mięknąć i zapadać się. Chwyciła go ostrożnie, jakby był ze szkła i mógł się potłuc, co napełniało ją strachem, ale niebawem stwierdziła z ulgą, że siusiak jest taki sam jak dawniej.

— Au! — odezwał się Rosz. — Kamienie!

Podnieśli się i powędrowali korytarzem dalej — Rosz przodem, prowadząc Jezę za rękę. W końcu dotarli do pawilonu.

— Możemy spać pod jednym przykryciem — zaproponowała Jeza, drżąca trochę z zimna.

Pawilon był cały w cętki dzięki filigranowym wzorom kamiennych ścian, przez które wpadało pstrokate światło księżyca. Dzieci wślizgnęły się pod przykrycie i mocno przytuliły do siebie.

— Czy to było przykre? — spytała Jeza zaciekawiona. Jej mała dłoń popęzła „jak chrząszcz” po biodrze chłopca i zanurzyła się w jego krocze.

— Nieszczęśliwie — odparł. — Wszystko przez twoje siusianie.

Jeza porywczo cofnęła dłoń, lecz nie odezwała się ani słowem. Wtedy wargi chłopca poszukały oczu dziewczynki; smakowały słono, jak zawsze, gdy płakała.

— Przecież to żadne nieszczęście! — Zlizał jej łyzy, ale milczała uparcie. — Powiedz, co byś chciała. — Wyszptał i koniuszkiem języka zaczął krążyć po muszli jej ucha. Wiedział, że Jeza to lubi i że mu wtedy zawsze wybaczła. Tym razem jednak dziewczynka odwróciła głowę, jej włosy połaskotały go w nos. Potem wyprostowała się i zerwała okrycie.

— Chcę... — załkała i dalej nie znalazła słów.

— Czego? — naciskał Rosz, obsypując jej szyję i koszulę na drobnych piersiach niezręcznymi pocałunkami.

— Chcę, żebyś zrobił siusiu we mnie, teraz! Rosz leżał jak skamieniały.

— Ale nie chce mi się sikać... — wykrztusił po pewnym czasie. — Nie mogę!

Jeza roześmiała się i objęła go ramionami.

— Wobec tego — wciągnęła go z powrotem pod derkę — jesteś mi winien jedno siusiu, obiecuj! — prosiła uszczęśliwiona.

— Uroczyste słowo honoru! — westchnął Rosz i obrócił się na ten bok, na którym zawsze zasypiał.

— Słowo się rzekło...! — szepnęła Jeza i przysunęła się do wygiętego grzbietu swego towarzysza zabaw, ostrożnie, żeby jej włosy go nie drażniły. Poczekala, póki spokojny oddech nie zdradził, że Rosz zasnął. Wtedy ułożyła się na plecach, przeciągnęła przyjemnie w ciepłe, które promieniowało od chłopca, i zaczęła liczyć po cichu plamy na okryciu.

Ze Styksem na łańcuchu pospieszył Jarcynt w dół po schodach, które obok wysoko położonego cmentarza Angelosów prowadziły najkrótszą drogą do starego miasta. Pies szarpał się na obroży i Jarcynta bolało serce, że musi szukać złotnika, który jeszcze nocą ma otwarty warsztat, ażeby drogą obręcz, naprawdę piękną, subtelnie cyzelowaną ciężką sztukę srebra przeciąć i znowu połączyć bez śladu. Jarcynt tę obrożę kazał sporządzić specjalnie dla Styksa w dowód przyjaźni, poniekąd jako pierścień zaręczynowy, a że była z jednego kawałka i nie dawała się ściągnąć, kucharz i jego pies byli z tego dumni: to był znak ich związania w miłości i wierności.

Mikołaj był wyrafinowany. Och, jakże Jarcynt go nienawidził! Powinien raczej synowi hrabiny obciąć głowę i krwawiącą rzucić biskupowi na łóżko! A może otruc tego człowieka bez serca?... Zwierzę nic mu nie zrobiło, taki dobry pies! Popieściło i pocałowało tego potwora, okrutnika!

Rzadko się zdarzało, by Jarcynt włóczył się nocą po starym mieście. Nie dlatego, żeby się bał napaści, na to łysy kucharz i jego potężny pies stanowili parę zbyt wzbudzającą strach; nie, po prostu stare miasto ze swymi okropnościami, brudem, przestępczą hołotą wydawało się kucharzowi niedobrym plastrem dla delikatnej duszy jego ślepego przyjaciela, a parszywe uliczne kundle złym towarzystwem.

O tym, że Styks jest ślepy, nie wiedział przecież nikt, a Jarcynt przezornie zapobiegał, aby się to nie wydało. Nosił przy sobie flakonik z olejkiem piżmowym. Na ten zapach uczylił Styksa. Jeśli ktoś z jakiegoś powodu groził kucharzowi bronią, wystarczyło chlapanąć olejkiem na napastnika, a spuszczonej z łańcucha Styks rzucał mu się do gardła. Nie zawracał sobie głowy ręką czy nogą — chwyt był miażdżący, zazwyczaj śmiertelny. Jeśli jednak komuś udało się przeżyć, z respektem obchodził potem Jarcynta i jego psa szerokim łukiem.

W kościółku Świętego Jerzego odprawiano nocne nabożeństwo. Złote światło niezliczonych świec padało z otwartych drzwi na bruk stromej ulicy jak zapraszający dywan. Jarcynt usiadł na przewróconej marmurowej kolumnie między dwoma cyprysami, przyciągnął do siebie psa i słuchał gromkiego chóralnego śpiewu kapłanów.

Spod portalu kościoła wysunęła się grupa nieokrzesanych dominikanów.

— Anzelmie! — zawołał jeden, ledwie znaleźli się na dworze, wystarczająco głośno,

by każdy w środku mógł jeszcze usłyszeć — ta grecka ortodoksja jest nie do wytrzymania! Nic dziwnego, że nie chcą uznać zwierzchnictwa papieża. U nich przecież każdy pop zachowuje się tak, jakby sam był Ojcem Świętym! Bogowie Ojcowie z krzaczastymi brodami!

— Trzymaj na wodzy swój bluźnierczy język, Szymonie! — prychnął zagadnięty. — Jesteśmy w obcym kraju! — Pociągnął szybko za sobą dwu innych, którzy podtrzymywali rannego.

Trudno się dziwić, że mają zakrwawione głowy, pomyślał Jarcynt. Z kościoła wypadło właśnie kilku rozgniewanych członków wspólnoty. Chwycili kamienie i zaczęli cisnąć za pospiesznie uciekającą w dół grupą dominikanów. Ponieważ nie osiągnęli celu, a nie wyładowali jeszcze gniewu, wpadł im w oko pies, bardziej nawet niż jego łysy właściciel.

— Patrzcie, co za obrzydliwe zwierzę! *Apage!* Idź precz!

Jarcynt próbował stanąć w obronie psa, lecz kiedy pierwszy kamień ugodził Styksa, który zaskowyczał z bólu i strachu, po czym warcząc wyszczerzył zęby w złym kierunku, Jarcynt szarpnął zwierzę i uciekł z nim pod drzewa. Rozpłakał się. Dlaczego ludzie są tacy źli?... Potem przypomniał mu się znowu złotnik, ruszyli więc uliczkami w dół.

Przed jakąś tawerną zatrzymali się, kucharz bowiem spostrzegł syna hrabiny wchodzącego tam z biskupem, którego Jarcynt nie znał. Przez moment wahał się, czy nie powinien zawołać Hamona, i wahanie owo wpędziło go w kolejne kłopoty.

Na ulicy pojawili się oto dwaj przedziwni kapłani, jeden chudy, drugi gruby. Nie widać było po nich pijaństwa, natomiast ich bystre oczy natychmiast wypatrzyły łysego kucharza z psem zagładających do środka.

— Chodźcie z nami — zwrócił się Sargis do zakłopotanego Jarcynta. — Jeśli nie macie pieniędzy, zapraszamy na nasz koszt, ale pokażcie nam, gdzie się ukrywają piękne niewiasty tego miasta...

— Tanie służebnice sprzedajnej miłości — dorzucił grubas, by uniknąć nieporozumień, i już wzięli kucharza w środek i pociągnęli ze sobą. Styks podreptał posłusznie z tyłu.

— Przybyliśmy z Tebrizu — wyjaśnił chudy — i jesteśmy zupełnie obcy w tym mieście...

— ...dlatego chcielibyśmy zapomnieć o ślubach kapłańskich na kilka godzin powszednich grzechów — dodał szybko Ajbak.

Po chwili Sargis zagadnął kucharza:

— Którędy się idzie do pałacu Kallistosa i jak się tam można dostać?

— Teraz? — spytał Jarcynt skonsternowany.

— Nie, jutro.

— Całkiem prosto... — Jarcynt próbował zyskać na czasie. — Mogę wam wskazać



drogę, jeśli mi powiecie, co was tam prowadzi.

— Pokażcie nam lepiej najbliższy zamtuz!

Jarcynt z trudem rozumiał ich język, chociaż w tureckich dialektach był dosyć mocny. Uznał, że najprościej będzie zaprowadzić dziwnych kapłanów w pożądane miejsce i tam pozostawić ich wymarzonym przyjemnościom. Potem jednak ogarnęła go podejrzliwość.

— Jesteście z Persji? Wobec tego musicie znać Starca z Gór.

— Nigdyśmy o nim nie słyszeli.

— Jesteście chrześcijanami? — pytał dalej, bo jego podejrzliwość wzrosła.

— Nestorianami — oświadczył Sargis. — Pozostajemy na służbie mongolskiego chana.

— Uważałem was za izmailitów...

— Widzicie, jak to można się pomylić co do ludzi? — odezwał się gruby Ajbak. — Jakże często są kimś całkiem innym, niż się wydają.

— O tak — przytaknął Jarcynt — zwłaszcza jeśli nie chcą, żeby rozpoznano, kim są naprawdę.

Znaleźli się tymczasem przed niskim budynkiem podobnym do wielkopariskiej siedziby. Przez otwartą bramę widać było wewnętrzny podwórzec; pośrodku niego płonął wielki ogień, wokół którego siedzieli sami mężczyźni.

— Czy tu mieszka Afrodyta? — Sargis wzdrygnął się.

— Pójdziecie prosto nosa — poinformował go Jarcynt i wskazał na liczne niskie jak do chlewów drewniane drzwi, które z podwórca prowadziły do wnętrza budynku. — I zważajcie na kolejność, inaczej napytacie sobie biedy!

— Nie chcecie wejść z nami? — kusił Sargis, gdy tymczasem Ajbak próbował nie pewnie podrapać psa, co jednak zostało przyjęte złym warknięciem.

— Psów nie wolno tam wprowadzać — powiedział Jarcynt i pociągnął Styksa za węgiel najbliższego domu. Był przekonany, że spotkał dwu asasynów.

Nie uszedł jeszcze dziesięciu kroków, gdy usłyszał za sobą kobiecy krzyk i przeraźliwe wołanie o pomoc w różnych językach:

— *Dolophonoi! Sphagei! Morderca! Skrytobójca!*

Miał naprawdę słuszną przeczucie! A ponieważ Styks szarpał się na łańcuchu, kucharz pobiegł z powrotem i skręcił za róg.

Spodziewał się ujrzeć, jak sztylety asasynów dokonują skrytobójczego dzieła, ale po podejrzanym kapłanach nie było śladu.

Natomiast naprzeciwko domu rozpusty banda wyrostków zapędziła w kąt żołnierza. Cudzoziemca! Stał oparty plecami o ścianę i osłaniał się kąśliwie mieczem. Ale przywódca łotrzyków był niezłym buhajem — nosił hełm, z którego sterczały dwa bycze rogi. Inni także mieli na nakryciach głów różnorodne, mające wywoływać strach

ozdoby: rozwarłe wilcze paszcze, wypchane łby ryb-włóczników i całe szczury, nawet ogromnego sępa. Kucharzowi wydawali się raczej strachami na wróble. Było ich jednak około dwudziestu, wszyscy uzbrojeni w kolczaste maczugi i sierpy, wywijający nad głowami umocowanymi na łańcuchach żelaznymi graniastymi kulami lub kotwicami.

Żołnierz nie był tchórzem, widać było, że postanowił sprzedać swe życie możliwie jak najdrożej. Nie docenił jednak przebiegłości napastników. Odważnie natarł na cofającą się horde, lecz wtedy z prawa i lewa o jego broń uderzyły łańcuchy, miecz wypadł mu z ręki i upadł z brzękiem na bruk. Rabusie zawyli.

— To przecież żołnierz króla Francji! — zawołał Jarcynt i ruszył do przodu, próbując powstrzymać bandę.

— Wyoń się, psi synu! — ryknął przywódca i zaraz kilku jego ludzi zwróciło się ku Jarcyntowi.

Kiedy najbliższy zamierzył się pałką na Styksa, kucharz szarpnąwszy psa do tyłu prysnął na napastników olejkim piżmowym. Trafił także buhaja, który akurat się odwrócił i zawołał:

— Może uczeszemy najpierw tę gładką dupę? — Odpowiedział mu ryk radości.  
— Rozbijcie łeb kundlowi!

Jarcynt spuścił Styksa z łańcucha. Pies potężnym susem skoczył na najbliższych rzeźmieszków, obalając ich na ziemię. Krótko zawisł na gardle buhaja, trzasnęły kości i ozdobiony byczymi rogami hełm spadł z bezwładnie obwisłej głowy. Styks rzucił się i rozerwał gardło następnemu; oblizał teraz krew, która płynęła obficie. Krzyk zagryzanych był jedynym dźwiękiem na ulicy.

Żołnierz chwycił Jarcynta za ramię i osłaniając go przycisnął do ściany, jednocześnie szybkim ruchem długiego ramienia podniósł miecz i wbił go od dołu w brzuch najbliższego napastnika. Następnie trafił w krocze, innemu szybkim cięciem odrąbał maczugę wraz z dłonią, jeszcze innemu łańcuch z ramieniem.

Tymczasem Styks przegryzł już pół tuzina gardeł. Stał na szeroko rozstawionych łapach wężąc za zapachem piżma, lecz pozostali przy życiu rzucili się w panice do ucieczki.

Jarcynt wynurzył się zza szerokich barów żołnierza. Wziął Styksa z powrotem na łańcuch.

— Iwo Bretończyk zaciągnął dług wdzięczności — powiedział żołnierz. — Kim jesteś, człowieku, któryś tak bezinteresownie przyszedł mi z pomocą? — Wytarł miecz i z wyraźnym ociąganiem wsunął do pochwy.

— Jestem tylko kucharzem biskupa — odparł Jarcynt skromnie — i było to dla mnie zaszczytem...

— Twój pies jest na wagę złota — oświadczył Iwo i popatrzył na srebrną obrozę.  
— Powinien nosić złoto! — dodał, jakby Styks mógł zrozumieć pochwałę.

— Mój pan go nienawidzi — zwierzył się Jarcynt. — Nie chce mu zostawić nawet srebrnej obroży, mam mu uciąć głowę! — Ukląkł i zaczął głaskać psa z niezwykłą czułością, uszedł więc jego uwagi błysk w oczach Bretończyka.

— Twój pan nie ma racji — rzekł Iwo w zamyśleniu. — Wprawdzie nie mam przy sobie złota, jak ta banda prawdopodobnie sądziła — rozchylił szeroko kubrak, jakby musiał to kucharzowi udowodnić — ale chciałbym cię wynagrodzić. I ty, i twój wierny pies zasłużyliście na to. Powiedz, gdzie mogę cię spotkać mniej więcej za półtorej godziny?

Jarcynt zastanawiał się, czy wystarczy mu czasu na znalezienie złotnika.

— Na cmentarzu Angelosów, jeśli przy tym obstajecie — odparł w końcu.

— Słowo! — powiedział Iwo, przekroczył ciała zabitych i niebawem zniknął w ciemnościach.

Zegar Hefajstosa wybił piątą godzinę *hesperos*, wieczoru. Wieża zegarowa, położona poniżej cmentarza Angelosów, wyrastała jak bastion ponad miastem i portem. Ten zegar nie wybijał tylu uderzeń, ile wymagała mijająca godzina: o każdej pełnej godzinie wydawał tylko jeden, za każdym razem innej wysokości metaliczny dźwięk, który rozchodził się daleko.

Tutaj, pod wieżą zegarową, zebrała się zmuszona do haniebnej uciezki grupa legata, ale artystycznie wykonany *horologion* nie dawał żadnej wskazówki co do tego, jaką godzinę właśnie obwieścił. Zębata przekładnia napinała potężną metalową sprężynę i kiedy ta przeskakiwała, na zewnątrz wychodziła postać z młotem i uderzała w wiszący przed nią kawałek żelaza. Było tych kawałków sześć, zawieszonych na centralnym kole, różnie wygiętych i ukształtowanych, od płyty aż po rurę. Poczynając od wysokiego dźwięku, a kończąc na głuchym dudnieniu, obwieszczały własnym specyficznym brzmieniem każdą z sześciu godzin obu połówek nocy lub dnia.

— Nawet Grecy nie rozumieją, dlaczego ten mechanizm poświęcili bogu ognia i kowali. Przecież zegar jest podarunkiem kalifa Bagdadu dla cesarza Aleksego Komnena — zakpił na ogół milczący arabski kupiec.

— Zdaje się, że bizantyjscy lubią ten zegar już choćby dlatego, że cudzoziemców złości, iż z wysokości dźwięku nie potrafią odczytać czasu — rzekł Ascelin z uśmiechem. — *Gnothi kairon!*

— Wszyscy Grecy są fałszywi — podsumował Szymon z Saint-Quentin swoje wrażenia. — Tak fałszywi, że nawet chrześcijanina oszukują za pomocą zegara.

— Złych ludzi można znaleźć i na chrześcijańskim Zachodzie. Każdy niech sprząta przed własnymi drzwiami! — łagodził Anzelm nie chcąc dopuścić do kłótni. Był zadowolony z wyników tej nocy: prowadził swoją grupę w dobrym stanie z powrotem, nawet Wit nie sprawiał trudności. Niepostrzeżenie zbadali drogę z portu do pałacu biskupa, a teraz zmierzali znowu w kierunku papieskiego żaglowca.

Gdy dotarli do mostu zbudowanego z łodzi, pożegnali przyjaznego Araba. Odmówił z dumą przyjęcia od Anzelma pieniężnego upominku.

— *Afwan ashkurukum...*\* — oznajmił i ze swej strony podziękował dwornie za to, że go zaszczylicili swym towarzystwem.

Anzelma dziwił nieco ów człowiek, którego bardziej oni wlekli przez nocne miasto aż do murów pałacu Kallistosa, aniżeli on ich prowadził, jego uczonej wywodom zaś nikt tak naprawdę nie poświęcał uwagi.

— Wieleście mówili, małoście widzieli — odezwał się półgłosem viterbczyk, tak aby nikt postronny nie mógł usłyszeć. — Ja planowałem. — Ascelin i Szymon wymienili ironiczno-współczujące uśmiechy, pozwolili mu jednak się wypowiedzieć: — Trzy godziny po *matutinie* zejść z pokładu z jedną trzecią naszego oddziału. Pociągniemy w jak najmniejszych grupkach przez miasto, zbierzemy się na cmentarzu Angelosów i otoczmy pałac niewidzialnym łańcuchem posterunków. — Skryte rozbawienie legata i jego towarzysza przybierało na sile, musieli się powstrzymywać, żeby nie parskać śmiechem. — Godzinę później, to znaczy na dwie godziny przed południem, poprowadzicie statek do portu, gdzie nie ma już wolnego miejsca, dlatego staniecie burtą do rufy triery, odbierając jej możliwość manewru, i poprosicie uprzejmie, żeby pozwolono przejść na ląd legatowi Stolicy Apostolskiej. Legat bez pośpiechu, z całą godnością opuści statek po następnej godzinie z jedną trzecią oddziału jako eskortą, przejdzie przez pokład triery na nabrzeże i oficjalnie, w miarę możliwości jako ostatni, uda się do pałacu biskupa. Jeśli zobaczysz — zwrócił się viterbczyk do Anzelma, który słuchał z opuszczoną głową — że przybywacie za wcześnie, zatrzymasz się po drodze na modlitwę i będziesz szedł klucząc, jakbyś odprawiał drogę krzyżową. Przed bramą dołączę do was niepostrzeżenie. Ostatnia część oddziału...

— Wystarczy, wszechwładny wodzu! — Ascelin ironią pokrył respekt, który faktycznie wzbudził w nim plan Wita. — Wszystko przebiegnie, jak wymyśliłeś, tylko że Szymon będzie ci towarzyszył...

— I łańcuchów ci nie zdejmujemy — dorzucił Szymon złośliwie. — A jak zadysponujesz trzecią częścią naszego oddziału?

— Ci żołnierze zostaną na pokładzie, będą udawali przyjaźnie nastawionych wobec strażników triery, a gdyby hrabina próbowała uciec, łatwo jej przeszkodzą podstępem albo siłą.

— Póki legat lub ja nie wrócimy — uzupełnił Szymon. — Do tej chwili dla kapitana ważna jest wyłącznie papieska pieczęć legata!

Przebyli tymczasem most i dotarli do statku. Szymon kazał Wita przykuć z powrotem pod pokładem, po czym wydał stosowne polecenia kapitanowi i nadzorczy wioślarzy.

Zegar Hefajstosa wybił szóstą godzinę *hesperos*. Północ.

---

\* *Afwan ashkurukum...* (arab.) — Nie ma za co.

Jarcynt znalazł wreszcie złotnika, akurat gdy ten zamierzał zamknąć warsztat. Żądanie kucharza, aby żywego, szczerzącego wściekle zęby Styksa uwolnić od obroży, bardzo mu się nie podobało — po prostu bał się psa. Jarcynt położył jednak na stole tyle monet, że chciwość pokonała wkrótce obawę przed pogryzieniem. Rzemieślnik uparł się jednak, by psu zawiązać pysk i skrępować łapy.

Kiedy wyszukali dostatecznie dużo sznura, Styks zaczął sprawiać kłopoty. Łapał za powróż i warczał na każdego, kto się do niego zbliżał. Wtedy Jarcynt dostrzegł po drugiej stronie ulicy hrabiego Otranto, który prowadził chwiejącego się na nogach człowieka.

— Młody panie! — zawołał kucharz. — Czy mogę was prosić o przysługę?

Hamo uradował się szalenie, że może się uwolnić od uciążliwego towarzysza. Został Galerana, który pozbawiony oparcia młodzieńczego ramienia omal nie upadł. Biskup jął złorzeczyć, a Styks warczeć.

— Bardzo proszę — powiedział Jarcynt — ja przytrzymam Styksowi pysk, a wy mu go zwiążcie.

Hamonowi wprawdzie niezbyt przyjemnie było znaleźć się tak blisko psiej mordy, ale zabrał się do dzieła.

— Zdaje się — szepnął Jarcynt, kiedy pochyłili się obaj nad psem, który się wywijają i opierał — że odkryłem nasłanych na nas asasynów. To dwaj ludzie ubrani jak nestoriariscy kapłani, którzy dążą do tego, żeby jutro...

Udało im się tymczasem związać Styksowi pysk tak mocno, że ledwie dyszał i skomlił cicho. Jarcyntowi krajało się serce, lecz dał znak złotnikowi, by zabrał się do pracy.

— I gdzie oni są? — spytał Hamo odetchnąwszy; robota nie była łatwa, poza tym to zwierzę napełniało go obrzydzeniem.

— Wysłałem ich do jaskini rozpusty, gdzie tanie niewiasty...

— Do świątyni heter? — upewnił się Hamo podniecony i zaraz dodał: — Pomóż mi się jakoś zgrabnie pozbyć tego pijaka przebranego za biskupa. Muszę znaleźć Guiscarda.

Złotnik przeciął obrożę piłką o drobnych ząbkach i odgiął tak szeroko, że dała się ściągnąć. Jarcynt poluzował więzy Styksowi i Hamo natychmiast odsunął się od psa, ale ten skowyczał tylko, jakby się skarżył.

— Ja też — syknął Hamo — dokonałem niedobrego odkrycia. Kuria rzymska wysłała tutaj najgorszego oprawcę. Widziałem, jak szpiegował nasz pałac. Niebezpieczeństwo grozi...

Zerknął na Galerana, który znalazł sobie zajęcie: natrzęsał się głośno ze związanego Styksa i trącał go pastorałem. Chłopak spostrzegł dogodną okazję i jednym susem zniknął za rogiem. Galerana to wszakże zauważył i wściekły krzyknął za nim:

— Niewierna młodzież, perfidne Bizancjum!... — zaczął wywijać pastorałem, lecz nic nie wskazywało, że zamierza pogonić za swym młodym towarzyszem, czego Jarcynt skrycie oczekiwał.

Nagle, jak dar nieba, po drugiej stronie uliczki pojawił się Wawrzyniec z Orty. Jarcynt pospieszył mu naprzeciw.

— Czy macie przy sobie pergamin i ochrę? — zapytał szybko.

— Zawsze mam — odparł Wawrzyniec lekko zdziwiony.

— Chcielibyście na mój koszt odwiedzić świątynię Wenus?

— O każdej porze!

— Wobec tego weźcie tego biskupa — Jarcynt wskazał ukradkiem na Galerana, który chwiał się oparty na lasce i jak się wydawało, prowadził dialog ze Styksem — i zaprowadźcie go do zamtużu, który przecież znacie...

— Tylko z zewnątrz! — bronił się z uśmiechem Wawrzyniec.

— Tym razem wejdźcie do środka. Na podwórku znajdziecie dwu nestorianów, wysokiego chudego i niskiego grubego...

— Mnie ciekawią twarze, drogi Jarcyncie, nie to, czy ktoś jest chudy czy tłusty.

Kucharz nie chciał tracić czasu. Wytrząsnął z mieszka ostatnie pieniądze dla Wawrzyńca.

— Odkupię od was ich portrety, mistrzu. Ślepo ufam waszemu talentowi! — Pociągnął opierającego się jeszcze mnicha przez ulicę i przedstawił Galeranowi, który natychmiast uczeplił się franciszkanina.

— Wreszcie jakiś chrześcijanin w tym grzesznym Babilonie, zwolennik czystości i ubóstwa! Uciekajmy z tego miejsca, gdzie wszystko jest pozamykane. — W istocie złotnik zaryglował już drzwi warsztatu i spieszenie się oddalił. — Da się chyba jeszcze znaleźć jakąś otwartą tawernę? — I dodał, spojrzawszy na minorytę zamglonymi już winem oczami: — Jeden mały łyżeczek soku z winnej latorośli! Tego nie może wam zabronić nawet święty Franciszek.

Jarcynt zarzucił sobie związanego Styksa niczym wór na ramiona, pies bowiem zasnął i pozwalał wszystko ze sobą robić, i wziął do ręki czysto połączoną na powrót srebrną obrożę. Najmniejszy ślad nie zdradzał miejsca przecięcia, tylko dusza kucharza odczuwała ból okrutnie zranionego pierścienia. Przygarbiony pod swym brzemieniem Jarcynt oddalił się ciężkim krokiem.

— Pozwólcie ze mną! — zwrócił się pogodzony z losem Wawrzyniec do Galerana i pociągnął go za sobą.

Zegar Hefajstosa wybił pierwszą godzinę *phosphoros*, poranną, ale metaliczny dźwięk nic dla żadnego z nich nie znaczył — późna pora nie zdołała ich więc zatrzymać.

CMENTARZ ANGELOSÓW  
*Konstantynopol, jesień 1247*

Cmentarz Angelosów leżał nieco poniżej Hagia Sophia, której lśniąca kopuła można było za dnia dostrzec poprzez gęstwą cyprysów. Nocą ten bastion w połowie wysokości między pałacem Kallistosa a bazarami, zabudowanymi sklepowymi uliczkami rzemieślników, był oazą spokoju, którą Gawin chętnie odwiedzał.

Dziś jednak już z daleka dostrzegł przysadzistą postać, która stała między krzyżami, oparta o opasujący cmentarz mur, i spoglądała w dół na miasto rozjaśnione nocnym blaskiem wielu małych ogni. Aby obcy nie poczuł się zaskoczony, templariusz chrząknął głośno, lecz tamten od razu wyciągnął miecz i ostrze zabłysło w świetle księżyca.

— *Baucent à la rescousse!*

— Francuz? — spytał ochryply głos i nieznajomy wetknął ze szczękiem miecz do pochwy.

— *Templi militiae* — odparł Gawin. — Przychylny królowi Ludwikowi. — Zatrzymał się. Nie wiedział, czy powinien się złościć, że musi z kimś dzielić ulubione miejsce, czy też się zabawić i zawrzeć z obcym znajomość. — Kim jesteście?

— Iwo Bretończyk, w służbie Korony francuskiej. — Brzmiało to dumnie i wyzywająco.

— Gawin Montbard z Béthune — przedstawił się templariusz, któremu natychmiast się przypomniało, jak Wawrzyniec z Orty scharakteryzował tego szczególnego sługę Ludwika. Nie dał jednak nic po sobie poznać.

— A więc wy także — zaczął Bretończyk — jesteście tutaj, żeby z pierwszej ręki się dowiedzieć, jakie wieści i bajania przywozi misja franciszkanów od wielkiego chana. — Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. Iwo zakładał, że templariusz wie, o czym jest mowa. Jednakże Gawin milczał. — Mam nadzieję, że Jan z Pian del Carpine przybędzie na czas.

— Z pewnością — odrzekł Gawin zdecydowanie — nie uchyli się od spotkania z posłem nadzwyczajnym króla, hrabią Joinville. — Badali się ostrożnie nawzajem.

— Ma tu być podobno złożony hołd jakimś królewskim dzieciom. — Bretończyk musiał czujnie odkryć przyłbicę. — Nie wiem wprawdzie przez kogo — dodał — ale w mieście czuć atmosferę oczekiwania, przypomina wierzącego chrześcijanina w noc betlejemską, brakuje tylko jeszcze gwiazdy nad pałacem Kallistosa — zażartował.

— Tylko że pałac nie jest stajenką — Gawin wpadł w gawędziarski ton — nawet jeśli jutro nie zabraknie w nim baranów i osłów!

— Jestem tutaj tylko jako obserwator — Bretończyk ostrożnie ograniczył swoją rolę. — Oficjalne stanowisko ma zająć hrabia Joinville.

— Będzie się tego wystrzegał — stwierdził spokojnie Gawin. — Ma zresztą całkiem inne zadanie.

— Z waszą opinią by się liczył, szlachetny komandorze — powiedział Iwo. — Ale przecież templariusze są związani przysięgą, która jasno określa ich postawę. A może zakon chce się narazić na podejrzenie, że osłania dzieci?

Gawin zrobił krok w stronę swego rozmówcy.

— Co wiecie o przysiędze templariuszy?

— Jestem niskiego urodzenia — cofnął się Iwo. — Wybaczcie królowi, który mnie podniósł do stanu dającego mi prawo tak z wami rozmawiać.

— Tego nie może żaden król! — odparł Gawin i jego ręka drgnęła w kierunku miecza.

— Wybaczcie — rzekł w porę Iwo — że mój swawolny język dał się ponieść głupim myślom.

— Kiedyś go stracie! — warknął templariusz. — Czci zakonu nie wolno naruszać! — Po chwili już opanowany podjął wcześniejszy wątek: — A jeśli chodzi o tę betlejemską historię, to skąd się bierze wasz mesjanizm?

Iwo przyjął z ulgą zmianę postawy templariusza.

— Sama idea i oczekiwanie na pojawienie się uzdrowiciela świata pochodzi jeszcze sprzed narodzin Chrystusa. Już esseńczycy...

— Skoro znacie prawdy objawione Melchizedecha, co mnie zresztą dziwi, to dlaczego traktujecie wystąpienie dzieci jako królów pokoju tak ironicznie? Do misteriów można przystępować bez uprzedzeń albo trzymać się od nich z daleka!

— Ach, czas cudów minął, naszym światem od dawna rządzą inne moce.

— A skąd te moce czerpią charyzmę, jeśli nie z misterium krwi?

— Z pieniędzy, złota, handlu — odparł oschle Iwo. — Powinniście to wiedzieć!

— Wy zaś powinniście walczyć ze swym językiem jak Jakub z aniołem! — stwierdził Gawin z groźbą w głosie.

— Jakub śnił o aniołach, które wspinają się po drabinie sięgającej nieba i schodzą po niej. Zobaczę je wkrótce wszystkie bez wyjątku w białych płaszczach z czerwonymi krzyżami.

Ten obraz nastroił templariusza znowu pogodnie.

— Powinniście wziąć przykład z eremitów. Doznają największych wizji nie tylko dzięki postowi, lecz także przez intensywne milczenie. To mogłoby wam przedłużyć życie...

— Albo doprowadzić do ekstazy podobnej tym, jakie miewają sufi z bractwa rifajja...

— Widzę, że znacie się również na muzułmańskiej mistyce — Gawin uśmiechnął się lekko. — Powinniście zatem mieć też zrozumienie dla przesłania apokryfów, które nie-



zależnie od pochodzenia, gnostyckiego, esseńskiego, sufickiego czy dalekowschodniego, mają jedną rzecz wspólną...

— Możliwość światowego królestwa pokoju? Nigdy!

— Pragnienie pogodzenia...

— Nie i jeszcze raz nie!

— Pogodzenia nas samych z sobą! — Gawin cierpliwie dopowiedział zdanie do końca.

Iwo popatrzył na niego.

— No, z tym mógłbym się zgodzić — oznajmił po długim namyśle.

— Dzieci mogłyby być tego symbolem — nalegał templariusz, ale bez skutku.

— Szarlataneria — upierał się Bretończyk — którą należy zwalczać. Mój król Ludwik nigdy...

— Zwalczcie samego siebie, Iwone — powiedział ostro templariusz — albo niepogodzeni pójdziecie do piekła! — Odwrócił się do Bretończyka plecami.

— Przedtem zobaczymy się jeszcze jutro w południe! — zawołał tamten w ślad za nim i Gawin nie wiedział, czy było to szyderstwo, zapowiedź walki czy też niezręczna propozycja zawieszenia broni.

— Idź do diabła! — mruknął komandor, opuszczając cmentarz przez żelazną bramę. Powinien był z nim walczyć, zamiast rozmawiać! Iwo Bretończyk właściwie nie był rycerzem, ale rosnącym niestety w znaczenie przeciwnikiem. Gawin rozżłościł się na siebie i na miejsce, które mu teraz obrzydło.

W położonym wysoko ponad Hagia Sophia i cmentarzem Angelosów pałacu Kallistosa Mikołaj z La Porty nie mógł zasnąć. Wędrował po korytarzach i westybulach, udał się do skarbcza, liczył niespokojnie skrzynie, w których spoczywały klejnoty najłatwiejsze do wyniesienia, jego „rynsztunek”, jak je żartobliwie nazywał. Tylko że teraz nie miał ochoty na żarty. Zajrzał do kuchni w nadziei, że zastanie tam Jarcynta, który mu przyrządzi jajecznicę z mlekiem, lecz spotkał jedynie wielkie karaluchy spieszenie uciekające po posadzce. Napił się zatem letniego mleka.

Po spotkaniu z Bretończykiem Gawin nie czuł już szczególnego pragnienia, aby zejść jeszcze do portu i dokonać ostatniego rachunku, kto może jutro w południe z opuszczoną przyłbicą lub otwarciem przeciw niemu wystąpić. Od Francuzów wiedział, że kuria rzymska z pewnością przyśle kogoś. Nie przyjąć tego za pewne znaczyłoby nie doceniać zamku Świętego Anioła. Fryderyk, cały Zachód, ci wszyscy byli reprezentowani, i to wystarczająco!

Zmartwienia przysparzał Gawinowi Wschód, a zwłaszcza niewidzialni: asasyjni i Mongołowie. Pozostawał jeszcze lokalny władca, cesarz Baldwin, wprawdzie słaby w porównaniu z innymi siłami, ale dostatecznie mocny, by w murach tego miasta prze-

prowadzić swoją wolę, nawet jeśli Mikołaj z La Porty traktował go z pobłażaniem.

Komandor postanowił wrócić do pałacu Kallistosa.

Obsadzoną drzewami aleją, która prowadziła serpentynami od pałacu do miasta i portu, podążali w górę jeźdźcy eskortując czarną lektykę. Gawin rozpoznał w porę, że to jego ludzie, i cofnął się w cień drzew. *La Grande Maîtresse!* Nie miał ochoty zdawać teraz jeszcze ze wszystkiego sprawy przed Wielką Mistrzynią. Orszak przesunął się obok niego i zniknął w ciemnościach nocy.

Czy go poszukiwano? Z ociąganiem ruszył po schodach, potem jednak skręcił i zatrzymał się przy wieży Hefajstosa tak długo, póki zegar nie obwieścił drugiej godziny *phosphoros*. Teraz atmosfera powinna już być czysta.

Iwo Bretończyk nie był przyzwyczajony do tego, żeby mu kazano czekać, ale gdy wreszcie zobaczył wślizgującego się przez cmentarną bramę przygiętego kucharza z powiązanim psem na ramionach, jego gniew ostygł. Niepunktualność kucharza przyniosła nawet korzyść, bo nie widział go arogancki, lecz na pewno niegłupi templariusz, którego spotkanie to niechybnie by zaalarmowało. Aby uniknąć dalszych niemiłych niespodzianek, Iwo zwięźle przedstawił swą propozycję i żądanie. Wyciągnął spod kaftana mieszek i podał kucharzowi.

— To jest srebro — oznajmił zaglądnącemu do środka zmieszanemu Jarcyntowi, który najpierw położył ostrożnie na ziemi śpiącego Styksa. — Co ci przypomina ten worek srebrników? — „Dziecięcą głowę”, odpowiedział sam sobie Bretończyk. — Dostaniesz jeszcze dwa, tym razem napełnione czystym złotem, ważące tyle, ile potrafisz podnieść w wyprostowanej ręce na wysokość ramienia. — Jarcynt patrzył na niego rozszerzonymi przerażeniem oczyma; przeczuwał coś strasznego. — Takie dwa mieszki złota będą twoje, będziesz mógł żyć w spokoju do końca swoich dni wraz z wiernym psem, jeśli przyniesiesz mi jutro głowy dzieci!

— Nie! — wzdrygnął się Jarcynt. — Nie, tego nie mogę zrobić!

— Czyżbyś kochał dzieci bardziej niż Styksa?

Jarcynt był tak skonsternowany pytaniem, że uszło jego uwagi błyskawiczne sięgnięcie Bretończyka po miecz. Ostrze zabłysło nagle nad Styksem, który bezbronny leżał u stóp kucharza.

— Tak jak teraz mogę go zakłuć — oświadczył Iwo zimno — znajdę go i zabiję, gdziekolwiek go ukryjesz. Moje żelazo tnie szybciej, niż ty jesteś w stanie przysnąć piżmem!

Ręka Jarcynta trzymająca flakon obwisła bezwładnie. Pojął, że nie ma wyboru.

— Czy muszą to być ich głowy? — wyjąkał. — Czy nie mogę ich...

— Nie! — Iwo nie dopuszczał myśli o uduszeniu dzieci lub bezbolesnym otruciu. — Chcę głów, ich głów, żadnych innych, których braku w mieście nikt nie odczuje. Przyniesiesz mi je w koszyku jutro, nim zajdzie słońce!

— Gdzie? — spytał Jarcynt załamany.

— Tutaj. Cmentarz wydaje mi się właściwym miejscem.

Iwo nie roześmiał się szyderczo, tylko w jego głosie dała się słyszeć nuta rozbawienia z powodu grozy, jaka ogarnęła łysego kucharza.

— Teraz weź zasłużoną nagrodę, skoro nie miałeś nic lepszego do roboty, jak uratować życie Iwonowi Bretończykowi. — W końcu się jednak roześmiał. Jego śmiech w uszach Jarcynta zabrzmiał piekielną nutą.

Styks obudził się i ziewnął tak szeroko, jak pozwolił mu skrępowany sznurem pysk. Jarcynt pochylił się i wziął psa na ręce. Iwo wyminął ich i wkrótce zniknął w ciemnościach.

Ten diabeł nie powinien mieć przynajmniej tej satysfakcji, żeby ujrzeć łzy, które popłynęły z oczu kucharza i skropiły sierść Styksa. Jarcynt wybiegł z cmentarza ze swym ciężarem, jak tylko mógł najszybciej.

Biskup w wełnianej tunice narzuconej na ramiona i w brokatowych pantoflach człapał zniechęcony po pałacowym westybulu, gdy straż zameldowała mu, że na zewnątrz znajduje się młody templariusz i życzy sobie z nim rozmawiać.

— Wprowadzić! — Mikołaj w pierwszej chwili pomyślał, że to Gawin przesyła mu wiadomość.

— Nie, to ekscelencja ma do niego wyjść!

Biskup przestraszył się, wspomniawszy nagle zapowiadanych przez Creana asasyków, którzy wszędzie znajdują dojskie w różnym przebraniu. Ale szczupły rycerz o dziewczęcych rysach twarzy nie był na pewno izmailickim skrytobójcą.

— Wilhelm z Gisors — przedstawił się. — Przychodzę z prośbą, ekscelencjo, żebyście udali się ze mną.

Spojrzenie Mikołaja powędrowało ponad schodami do zewnętrznego portalu pałacu. W migotliwym świetle pochodni zobaczył lektykę eskortowaną przez templariuszy.

— Ręczę za wasze bezpieczeństwo — dodał Wilhelm łagodnie i po jego ładnej twarzy przemknął lekki uśmiech, wywołany przypuszczalnie ubiorem biskupa.

Mikołaj wolałby z pewnością spotkać się sam na sam z tym pięknym chłopcem, i to w nocnym stroju; niemniej kazał sobie podać rękę i zszedł po stopniach tak godnie, jak to tylko było możliwe.

Gdy dotarł do czarnej lektyki, zasłona uchyliła się i drobna śnieżnobiała dłoń wręczyła mu zapieczętowane pismo. Biskup rozpoznał je natychmiast. Był to list wielkiego chana do papieża, który Crean w porozumieniu z Gawinem odebrał wracającym z Mongolii misjonarzom i który powinien był spoczywać bezpiecznie w skarbcu Mikołaja.

— W jaki sposób ten list dostał się w wasze ręce? — zwrócił się oburzony w stronę

zasłony w lektyce, ale odpowiedzi udzielił mu młody rycerz.

— Nie pytajcie jak, lecz posłuchajcie po co! — Wyciągnął z kaftana jakiś papier. — Tu jest tłumaczenie oryginału napisanego po persku. — Wcisnął pismo do ręki osłupiałego Mikołaja. — Wasz młody przyjaciel...

— Hamo? — wyrwało się przestraszonemu biskupowi.

— Młody hrabia Otranto ma dobrze brzmiący głos. Odczyta publicznie ten tekst ku zaskoczeniu całego świata, bez wcześniejszej zapowiedzi, zanim Pian del Carpine będzie mógł zabrać głos. — Wilhelm z Gisors był piękny jak anioł! — Wy, Mikołaju z La Porty, zadbacie o to, żeby do odczytującego pismo „posłańca”, waszego młodego przyjaciela, nikt potem nie miał dostępu. To samo dotyczy pisma.

Biskup poczuł się tak, jakby mu wbito nóż w serce, nie odezwał się jednak ani słowem. Spoza zasłony dobiegł go tymczasem głos jakby zza grobu:

— Przysięgnijcie!

Nim Mikołaj zdołał się zastanowić nad ewentualnym sprzeciwem, młody rycerz dobył miecz.

— Uklęknijcie! — zażądał i wyciągnął w jego stronę obnażone ostrze. — Przysięgnijcie na życie hrabiego Otranto, że zrobicie tak, jak was poproszono!

— Niech się tak stanie! — powiedział biskup drżącym głosem. Jakże piękny jest ten młodzieniec, myślał bez ustanku, jak archanioł z mieczem ognistym. Jednocześnie przebiegł go miły dreszcz na myśl o niebezpieczeństwie, jakie groziło jego ukochanemu. *Ho hoi theoi philusin apothneskei neos\** pomyślał i ucałował zimną stal.

— Zachowajcie to wszystko przy sobie — dorzucił jeszcze Wilhelm. — Nikomu ani słowa! — Podał mu nawet rękę, gdy biskup się podnosił. — A teraz przyślijcie do nas Jana Turnbulla.

Oszołomiony, niepewny wchodził Mikołaj po schodach pałacu. W jednym ręku trzymał papier z tłumaczeniem, w drugim pismo Gujuka do Innocentego IV. Pieczęć była nienaruszona. Wszedłszy na górę polecił strażnikowi, aby natychmiast pojechał do portu i sprowadził do pałacu syna hrabiny.

Zegar Hefajstosa obwieścił trzecią godzinę *phosphoros*. Jego dźwięk przenikał słabo przez mury pałacu. W westybulu panowała cisza, tylko z komnaty Zygisberta dochodziło głośnie chrapanie.

Nie wszyscy spali tej nocy tak dobrze i mocno jak rycerz krzyżacki. Hrabinę przesładowały koszmary. Budziła się co rusz zlna potem i robiła sobie wyrzuty, że już dawno powinna opuścić z dziećmi to niebezpieczne miasto. Raz widziała w majakach swoją trierę odpływającą z wydętymi żaglami, ale bez niej na pokładzie, tylko Klarion machała ręką z daleka; to znowu z powodu zagrożenia rozkazywała wiosłarzom przyłożyć się do wiosła, ale żadne wiosło nie wystawało z boków statku...

---

\* *Ho hoi theoi...* (gr.) — wybrańcy bogów umierają młodo.

Jan Turnbull nie spał w ogóle. Pękające w nim pęcherze męczącej niepewności, okruchy strachu, iskrzące się odpryski gwiazdnych obietnic usiłował akurat ułożyć pod wspólnym miękkim, usypiającym przykryciem nadziei, gdy do pokoju wszedł Gawin.

— Czego ode mnie chciała? — natarł gwałtownie na przestraszonego starca.

— Niczego — mruknął Turnbull. — Nawet was nie wzywała, panie z Béthune. Mnie kazała wyciągnąć z łóżka!

— I co? — badał komandor gniewnie, bębniąc nerwowo palcami po rękojeści miecza.

Jan wyprostował się.

— Stukanie buławy wyrażało niezadowolenie, a ja otrzymałem naganę, i to po tylu wysiłkach na rzecz ocalenia i bezpieczeństwa dzieci!... — Starzec był głęboko urażony. — „Nadal trwacie przy swoich urojeniach”, spytała, „które mniej więcej przed trzema laty, nie uzgodniwszy treści i odbiorcy, utrwaliliście lekkomyślnie na piśmie jako tak zwany Wielki Plan?” Nie mogłem tego oczywiście zobaczyć, ale *Grande Maîtresse* pluła jadem i żółcią. „Jak można było sądzić, że z wiekiem staniecie się rozsądni?” „Eliasz nie dostał tego dokumentu”, usiłowałem się bronić. „Ale dostał go zamek Anioła!”, zbesztala mnie. „Osobiście musieliśmy go przecież usunąć z archiwum kurii i znaleźliśmy tylko kopię. Jak to wyjaśnicie?” Oczywiście niczego nie mogłem wyjaśnić, co wzięła chyba za mój upór. „Wyobrażacie sobie, że nie sfermentowana brzezka winna wyda klarowne wino tylko dzięki gwałtownemu tupaniu?” „To co? Mam może wylać cały zbiór?”, spytałem. „Powinien leżakować w uszczelnionych beczkach”, odparła „i milczeć, zamiast zapraszać cały świat na bachanalia.” I odprawiła mnie.

— Co zamierzacie teraz zrobić? Odwołacie prezentację?

— Ani myślę! — parsknął Turnbull. — Opuszczam przyłbicę i naprzód! Atak jest najlepszą obroną!

— Waszą najlepszą obroną! — poprawił go templariusz. — A jeśli chybicie?

— Liczę na przyjaciół, liczę na was, panie z Béthune. Wycofanie się teraz byłoby dla honoru, dla honoru dzieci, gorsze niż śmierć! — Turnbull, wedle trzeźwego komandora, popadł znowu w niebezpieczne marzycielstwo. — Utwórzmy krąg wokół nich i wyciągnijmy miecze...

— Na ostateczną rozgrywkę jest za wcześnie. Dzieci są za młode, powinny mieć jeszcze trochę lat przed sobą. Takiemu staremu *azdit* jak wy, Janie, ryzykującemu nieustannie życiem, upadek z rozpostartym sztandarem może wydawać się wart zachodu, dzieciom tego nie życzę! — *Grande Maîtresse* znowu jednak miała rację, pomyślał Gawin. — Skoro uważacie, że nie można odwołać prezentacji, to pozwólcie przynajmniej kierować się rozważą, jeśli gardzicie przezornością!

— Zgoda, utwórzmy wokół nich nieprzenikalny pierścień, zasłońmy je własnymi cia-

łami! Przyrzekacie mi to?

— To mogę wam przyrzec!

— *Baucent à la rescousse!* — zawołał starzec, szczerząc zęby z radości. — A teraz pozwólcie mi się przespać!

Jarcynt uwolnił łapy Styksa i pies pobiegł za nim na łańcuchu z łbem wciąż omotanym sznurem, jak go Hamo zawiązał, powróż nie dał się bowiem rozsypać.

Dotarli do zewnętrznych murów pałacu Kallistosa, do miejsca, gdzie w ścianę było wpuszczone źródło z posągami Dionizosa walczącego z satyrem. Jarcynt rozejrzał się, czy nie ma przypadkiem kogoś w samotnej alei. Potem wdrapał się na skraj misy i zatkał dłońmi amforę, z której wylewała się woda. Styks także wspiał się na tylne łapy i próbował chłeptać wodę z kamiennej muszli. Jarcynt zaciskał wylot amfory dobrą chwilę, aż z lekkim zgrzytem mocujące się figury zaczęły się rozdzielać. Satyr zniknął w jaskini, która pojawiła się w murze, podczas gdy łagodny bóg wina trzymał nadal amforę nad muszlą.

Jarcynt pozwolił zatamowanej na chwilę wodzie popłynąć strumieniem, pochylił się ku Styksowi, podciągnął go w górę i zniknął w ciemnym korytarzu, który się przed nimi otworzył. Po chwili satyr wrócił na swe miejsce, by znów walczyć z Dionizosem, i w alei zaległa cisza.

Po pewnym czasie Jarcynt wyszedł ze stajni bez psa, po czym opuścił pałac konno, przepisowo odmeldowawszy się u straży przy bramie. Stuk kopyt rozbrzmiewał głośno w nocy. Zegar Hefajstosa oznajmił głuchym dźwiękiem czwartą godzinę *phosphoros*. Nocne jeszcze niebo nad Azją Mniejszą przecinały dalekie błyskawice, chyba gdzieś w głębi ładu. Słyszać nie było nic.

Wawrzyniec z Orty myślał, że dotrze z Galeranem najkrótszą drogą do zamtużu, aby znaleźć opisanych przez kucharza „asasynów” i utrwalić ich rysy na papierze. Przechodzili jednak koło trzech otwartych jeszcze winiarni i za każdym razem musiał pociągnąć przynajmniej łyk z dzbana, który pan biskup z Bejrutu był gotów opróżnić choćby sam.

Wawrzyniec poczuł wkrótce działanie wina i martwił się o pewność ręki i nie zamąconą miarę oka. Galeran wydawał się beczką bez dna, obiecał jednak Wawrzyńcowi, że ze wszystkich sił będzie go wspierał w „nadzwyczaj niebezpiecznej misji zdemaskowania izmailickich skrytobójców”, ale gdy wkroczyli wreszcie na podwórzec domu rozpusty, jakby zapomniał, po co tutaj przyszli.

Mały mnich wyszedł natychmiast podejrzanych kapłanów, Galeran zaś, o dziwo, był jeszcze w stanie przedstawić minorytę jako malarza.

— Wawrzyniec z Orty jest największym żyjącym italskim artystą w portretowaniu

ludzkich twarzy! Pozwólcie mu usiąść z nami i spokojnie przeprowadzić studia w tym niezwykłym miejscu.

Nestorianie skinęli głowami mile połączani i nie zwrócili uwagi, że właśnie ich twarze są przedmiotem Wawrzyńcowych studiów. W tym czasie Galeran, który usiadł między nimi, zaczął szeptem charakteryzować mężczyzn w podwórku:

— Widzicie tego długonosego, wybladłego? Wyobraźcie sobie jego trzonek, jak niecierpliwie nabrzmiewa mu pod kaftanem... Albo tamten Gruzin o haczykowatym nosie: jego ognisty miecz zaraz rozetnie mu nogawkę...

Ajbak i Sargis roześmiali się pogodnie, gdy tymczasem kreda Wawrzyńca śmigła po pergaminie. Brał miarę kątem oka, ale jego spojrzenie śledziło również z niewinnym rozbawieniem obrazowe porównania, które Galeran przed nimi roztaczał.

— A ten Bułgar z bulwiastym nosem, tylko patrzeć, jak pękną mu spodnie! Albo ci dwaj Seldżucy, tragarze z Ikonium, takie małe wygłodniałe dzioby, ale w portkach chowają potężne klejnoty... — Galeran zerknął ukradkiem na mnicha, który skinieniem głowy zasygnalizował, że zrobił swoje. — Oni wszyscy — zwrócił się Galeran do nestorianów podtrzymując ich na duchu — oni wszyscy czekają niecierpliwie na to, z czego ja teraz...

— Nie wiecie, czego sobie odmawiacie — przerwał mu Ajbak życzliwie. — Bądźcie naszym gościem.

Galeran stwierdził naraz z przerażeniem, że Wawrzyniec wyniósł się ukradkiem.

— Wyrzeczenie się to uniknięcie możliwości podniesione do rangi cnoty! — roześmiał się mimo wszystko i spróbował stanąć na niepewnych nogach. — Ciągnie mnie zresztą do pałacu łacińskiego biskupa.

— A gdzie to jest? — zapytał szybko Sargis spostrzegłszy, że podchmielony dostojnik jest absolutnie zdecydowany ich opuścić.

— Powyżej starego miasta... — Galeran czknął. — Każde dziecko wam powie.

Małymi, niepewnymi kroczkami, opierając się na pastorałe, gość z Ziemi Świętej opuścił podwórzec. Nestorianie wyszczerzyli zęby w uśmiechu czekając tylko, kiedy biskup rozbije sobie nos. Ale Galeran dotarł bez szwanku do wyjścia i zniknął im z pola widzenia.

Okazała kobieta, która z pewnością ważyła tyle co obaj dziwni kapłani razem wzięci, rozkraczona skinęła z szeroko otwartych drzwi: przysłała kolej na nich.

Guiscard już wieczorem zaostrzył czujność straży na tryerze i tak podzielił załogę, że naraz mogła na trzy godziny zejść na ląd tylko jedna dobrze dobrana grupa. Czasu akurat wystarczało na kilka porządnych szturchnięć w zamtuzie albo na przeciętne upicie się. Najdzikszy szli w pierwszej kolejności, przede wszystkim Maurowie. Do ostatniej grupy należeli zrównoważeni, którzy nie umieli się w pełni przekonać ani do jednego, ani

do drugiego, co przysparzało im drwin ze strony pijusów i rypałów. W ten sposób rozdzielwszy ludzi, Amalfitarczyk był pewien, że rankiem wszyscy będą mieli mniej więcej trzeźwe głowy.

Nieustanne darcie i kłucie kikuta sygnalizowało Guiscardowi, że coś wisi w powietrzu. Stał się ostrożny.

Kiedy niewiasty uzgodniły wreszcie sprawy strojów na następny dzień i Klarion poszła do łóżka, zlustrował jeszcze raz trierę. Panowała na niej pokojowa cisza, nikt nie kłócił się, nikt nie zgłaszał o nic pretensji, co także było niezwykle. Guiscard przerzucił drewnianą nogę ponad relingiem i utykając zeszedł po drabince linowej na brzeg, pozdrowił obu Arabów, którzy mu zaproponowali herbatę, i ruszył dalej wzdłuż nabrzeża.

Tuż obok triery cumowała galera komandora templariuszy. Na zewnątrz w basenie portowym kołysał się statek wielkiego mistrza joannitów, dużo bardziej okazały i zachowujący wyraźny dystans. Dalej przy nabrzeżu kotwiczył niepozorny egipski żaglowiec taranujący, który obok bandery sułtańskiej wywiesił drugą z krzyżem zakonu rycerzy niemieckich, i wreszcie wspinały statek francuskiego posła z powiewającą *oriflamme* — czerwonym proporcem jego władcy. Nigdzie Guiscard nie widział nic podejrzanego!

Postanowił nie oddalać się zbyt od triery; nie chciał także w starym mieście wchodzić swoim podwładnym w drogę. Nie uchodził za człowieka psującego innym zabawę, ponadto dziś jakoś nie tęsknił ani za ostrą jazdą pod jakąś Armenką o miękkim brzuchu, ani za wetknięciem swej trzeciej nogi między sprężyste pośladki chłopca z iberyjskiej Galicji. Był głodny i miał ochotę na chrupiące koźlątko w tymianku. Do tego czerwone wino z Gruzji, bo z Trapezuntu było za drogie, a krymskiemu nie służyła morska podróż.

Amalfitańczyk wciągał w nozdrza zapachy, które dochodziły od obracających się nad ogniem różnów, podnosił pokrywki garnków, wsadzał badawczo palec do ukropu w tyglach i na patelniach i wreszcie usiadł przy stole, gdzie tylko jakaś para spożywała w milczeniu ciekawą jarzynową zupę, czerpiąc ją ze wspólnej miski. Wrzucali do niej pokruszony chleb. Wyraźnie brakowało im pieniędzy, aby pozwolić sobie na coś więcej.

Guiscard nie chciał, żeby mu to popsulo apetyt. Zamówił udziec barani z dużą ilością ryżu i papryki i zaprosił nieznaną parę do wspólnego posiłku. Rzucili się na jedzenie z wilczym apetytem. Mężczyzna jadł ponuro i w milczeniu, młoda kobieta zaś, której piękna smutna twarz zafascynowała Amalfitańczyka, podjęła w obcym narzeczu próbę usprawiedliwienia ich biedy. Porozumieli się w końcu łamanym arabskim przetykanym wtrętami niemieckimi i łacińskimi, na pytanie jednak, skąd przychodzą, mężczyzna przerwał kobiecie:

— Nie chcemy o tym mówić, nikt nie wierzy... i tylko przynosi nam to nieszczęście



— dodał po chwili z goryczą.

Guiscard z racji ich wyglądu przypuszczał, że to Cyganie, chociaż oboje byli szczupli i wysocy. W każdym razie zażądał jeszcze dwu kubków i nalał im wina, spodziewając się, że to rozwiąże im języki.

— Pochodzimy z gór — zaczęła wyjaśniać smutna piękność. — Pokochaliśmy się i dlatego musieliśmy opuścić wieś i rodziny. Pociągnęliśmy w dół wybrzeża...

— Jakiego wybrzeża?

— Dalmatyńskiego. Firuz — pokazała na męża — jest myśliwym i dobrym strzelcem, toteż mógł się tu czy tam nająć jako żołnierz, ale dla mnie nigdy nie było schronienia, a to, co mi proponowano w miastach portowych, pewnie by nas oboje używiło, tyle że i jemu, i mnie odebrałoby cześć.

Guiscard starał się nie przyglądać zbyt kobiecie, rozumiał bowiem, jak bardzo ten mężczyzna musiał cierpieć właśnie z powodu takich spojrzeń. Ale zrobiła na nim wrażenie jej duma, gdy mówiła o swojej i jego czci głębokim, lekko ochrypłym, pełnym melancholii głosem, który zapewne sprawiał, że mężczyźni szaleli za nią; teraz, uważnie dobierając słowa, opowiadała dalej:

— Żyliśmy z dnia na dzień z tego, cośmy zarobili po wsiach, a na takiej pracy znamy się oboje. Pomagaliśmy przy zbiorach, naprawialiśmy sprzęty...

— Ach, Madulajn — przerwał jej szorstko mężczyzna — po co opowiadasz to wszystko? Odkąd William wkroczył w nasze życie, niczego nie możemy ułożyć. Nasze korzenie są przecież w dolinie...

— William? — spytał Guiscard i odstawił kubek, który zamierzał podnieść do ust.

— Żołnierz, który raczej powinien zostać kapłanem! — odparł mężczyzna z goryczą i szyderstwem w głosie. — On zabrał...

— Jesteście Saracenami, prawda? — Przytaknęli, prawie przestraszeni. — Nie bójcie się, nie zdradzę was. — Guiscard nalał sobie i im. — Ryżawy krępy Flamandczyk?... Przybywający z Otranto?... William z Roebruku?

— Tak — powiedziała piękna blada Madulajn — tak się nazywał. — Jej oczy rozbłyły. — Znacie go?

— Jeszcze jak! — odrzekł Guiscard. — Gdybym w czasie wspólnej podróży nie miał kłopotów z nogą — poklepał się po drewnianym pniaku — znalazłbym się wraz z nim pod lawiną!

— Jest szczęśliwy z Rijesz-Sawon? — dopytywał się Firuz, nagle zainteresowany. — Ich ślub miał odbyć się w dniu, kiedy myśmy opuścili wieś...

— William żonaty? — zdziwił się Amalfitarczyk. — Skądże znowu! Musiał zaraz po was wyruszyć w świat...

— Biedna Rijesz! — powiedziała Madulajn.

— Dobrze jej tak — mruknął Firuz, ściągając tym na siebie płomienne napomnie-

nie.

— Gdyby nie kochała Williama tak bardzo — ofuknęła go Madulajn — nie siedzielibyśmy teraz tutaj!

— I byłoby lepiej! — warknął Firuz, chwycił jednak kobietę czule za rękę.

— Twoja żona ma rację — łagodził poruszony Guiscard. — Jestem kapitanem tryery z Otranto... — przerwał na chwilę i napełnił jeszcze raz kubki, opróżniając dzban. — Mogę was zatrudnić na statku. Zabierzcie się ze mną!

Gapili się na niego nie dowierzając, na rzęsach Madulajn zabłysły na krótko łzy, ale też ona pierwsza odnalazła uśmiech. Objęła męża, lecz uwolnił się z jej uścisku, wstał i podniósł swój kubek.

— Będziemy wam wiernie służyć, kapitanie! — oświadczył uroczyście i wypił.

Jan z Pian del Carpine w letniej rezydencji biskupa przez całą noc czytał zapisane przez Williama i Wawrzyńca pergaminy, aż wreszcie do pokoju wślizgnął się Jarcynt.

— Przyniosłem ci kandyzowane owoce — przymilał się, lecz Pian ledwie nań spojrział. Wobec tego kucharz rozebrał się i wyciągnął z przyjemnością nagie ciało pod zimnym prześcieradłem. — Nie przyjdiesz do mnie?

— Chcę przeczytać do końca. To takie podniosłe!

— Twoja „Historia Mongolorum” — powiedział Jarcynt z czułą dumą.

— No tak... — odparł mnich po dłuższej chwili, przejęty wyobrażeniem przyszłej sławy.

Jarcynt zasnął. Pian popatrzył na kochankę, swego „strażnika”. Wraz z zakończeniem pracy nad „jego” dziełem ta znajomość również się zakończy. Będzie mu brakowało łysogo kucharza.

Pian wrócił do lektury.

Na nabrzeżu portowym rozbrzmiewała melancholijna pieśń:

*Kifa nabki min zikra habibin wa-manzili  
bi-Sikti al-Liwa bajna Ad-Dachuli fa-Haumali.*

Niski głos Madulajn oczarował słuchaczy. Przy ogniskach portowych, gdzie z resztek otrzymanych od wracającej nocą rybackiej flotylli gotowała się w pękatych miedzianych kotłach „zupa morza” i gdzie wokół żarzących się palenisk siedzieli o tej porze na drewnianych ławach niezbyt subtelni ludzie, zaległa cisza.

*Wa-inna szifa'i abratun muhrakatun  
fa-hal inda rasmin darisin min mu'awwali..*

Głęboki, lekko ochryply śpiew niósł się daleko ponad nabrzeżem, na którym siedziała Madulajn z Firuzem i Guiscardem. Akompaniowała sobie na małej lutni.

*A Fatima mahlan bada haza at-tadalluli  
wa-in kunti kad azamti sarmi fa-adźmili.*

Uderzyła ostatni akord i uśmiechnęła się do męża.

Kiedy zebrali swoje węzełki i szli z Amalfitańczykiem na statek, Guiscard pomyślał, co powie na to William, ten stary rozpustnik, szczwany flamandzki lis! Nie pisał jednak ani słowem, że mnich należy do załogi i że jest w Konstantynopolu.

Gdy Guiscard wchodził na pokład, straż zameldowała, że młody hrabia szukał kapita, bardzo zdenerwowany, ale szybko odszedł.

— Hamo L'Estrange! — mruknął Amalfitarczyk. — To może na pewno poczekać do rana.

Klarion słyszała w nocy, jak Hamo przybył na trierę i po podnieconej wymianie słów, która ją właśnie wyrwała ze snu, spytał także o nią, lecz propozycję, by hrabinę obudzić, szorstko odrzucił. Przez chwilę Klarion zabawiała się myślą, żeby „braciszka” sprowadzić do łóżka, użyć mu gorączki swego ciała, jego piękną, twardą dzidę wziąć... Nie! Jęcząc wsunęła rękę między uda i kilka po tysiäckroć przeklętych ruchów wystarczyło, by w jej umyśle zrodził się obraz pełnego blizn ciała Creana przykrywającego ją drżąca z namiętności.

## W SŁOŃCU APOLLONA *Konstantynopol, jesień 1247*

Zegar Hefajstosa oznajmił donośnym dźwiękiem piątą godzinę *phosphoros*. Benedykt obudził się i zmusił zaspanego Williama, aby wraz z nim pomodlił się o zbawienie duszy.

— ...ora pro nobis peccatoribus, nunc et in hora mortis nostrae. Amen.

Gdy skończyli modlitwę do Najświętszej Dziewicy i William znowu zmierzał do swego legowiska, stwierdzili, że nie ma dzieci. Ich posłania były jeszcze ciepłe.

— Poszły do pawilonu — powiedział uspokajająco William.

Benedykt jednak od razu zaczął wietrzyć nieszczęście.

— Porwano je!

— A któżby? — mruknął William i zaraz ponownie zasnął.

Benedykt leżał rozbudzony, spoglądając w górę ku okrągłym otworom w sklepieniu w nadziei, że zobaczy tam niebo. Światło nie wpadało jednak tamtędy bezpośrednio i rodzący się powoli brzask zanurzał piwnicę w mętnej, rozproszonej błękitnawej szarości.

Gawin z ulgą przyjął wiadomość, że wizyta dostojnego gościa o nocnej porze nie jego dotyczyła. Nie miał już ochoty włączyć się po nocy ani jechać konno do swej kwatery w letniej rezydencji biskupa.

Obudził więc Zygisberta, który chętnie przygotował mu legowisko w swoim pokoju. Ale już po chwili niemiecki rycerz zaczął tak samo jak przedtem potężnie chrapać, co Gawinowi nie pozwoliło oczywiście zasnąć.

Podniósł się cicho i wyjechał z miasta o pierwszym brzasku, aby stanąć na czele swoich templariuszy. Mając ich za plecami, stawia czoło wszystkiemu, co na niego przypada w tej grze.

Kiedy minął mury miejskie, naszły go jednak wątpliwości. Przy najbliższej przydrożnej kaplicy zsiadł z wierzchowca i ukląkł.

— *Ave Maria, gratia plena, benedicta tu in mulieribus* — modlił się głośno — *et benedictus fructus ventris tui, Jesus.* — Nałożył hełm i wskoczył na konia. — *Vive Dieu Saint-Amour!*

Coraz jaśniejsze światło poranka zapowiadało piękny dzień.

Wawrzyniec z Orty włókł się jak bezpański pies po uliczkach zasypanych odpadkami nocy. Lubił tę godzinę pierwszego pomarańczowofioletowego dziennego światła, które nawet nędzę zanurzało na krótki czas w ciepłych pastelowych tonach. Jakże mały mnich żałował, że dla takiego przepychu barw nie posiada kolorowej kredy! Ochra nie była w stanie oddać tego nastroju. Jednakże zdecydował się, nim wróci do domu, uwiecznić na koniec idylliczny obrazek — ustawiony na skraju drogi wóz nakryty płócienną budą.

— Witaj, piękny cudzoziemcze! — zagruchał nagle czyjś głos, wrywając go z rozmarzenia. Dopiero teraz zobaczył przy pobliskiej studni kobietę, która opryskała sobie twarz i pierś zimną wodą.

— I-Inga...?

— Ingolinda z Metzu! — zawołała, żeby mu się przypomnieć.

— Ach, tak — zaświtało teraz mnichowi. — William!

— Do diabła z Williamem! — wymyślała. — A gdzie się podziewa ta dziarska ozdoba waszego zakonu?

— Nie mam pojęcia — zełgał Wawrzyniec i uczynił źle zrozumiany krok w kierunku

zamtuzu na kółkach.

— Pst! — zatrzymała go Ingolinda. — Nie mogę wam teraz służyć. — Podeszła bliżej i osuszyła piersi chustą, tak że jej pełny biust zakolysał się tuż przed nosem Wawrzyńca. — W środku śpi biskup we własnej osobie... Nie, nie, niczego sobie nie wyobrażacie, żal mi było staruszka, nie wiedział, gdzie złożyć głowę w obcym mieście, w którym niegodziwa hołota obrabowała biedaka do koszuli — paplała bez przerwy.

— Pozwól mi rzucić na niego okiem — poprosił Wawrzyniec. — Może go znam...

Ingolinda uchyliła płótno. Na poplamionych poduszkach Galeran odsypiał pijaństwo.

— Zabiorę go i zatroszczę się o niego — oznajmił Wawrzyniec po chwili zastanowienia. — To rzeczywiście biskup z Bejrutu. — Jeżeli źródła jego gawędziarskiego kunsztu tryskają na trzeźwo tak samo jak po korzennym winie, mógłby Galeran przy prezentacji dzieci przejąć moje zadanie, pomyślał chytrze mały minorityta.

— Oto jak o godność swoich dostojników troszczy się Kościół... Jeśli nie cały, to przynajmniej bracia świętego Franciszka. — Ingolinda czknęła i obudziła śpiącego, który obrzucił ich stekiem rysztockowych obelg.

Wawrzyniec nie zwrócił na to uwagi.

— Ekscelencjo — odezwał się życzliwie — tutejszy biskup sprawi wam nowy ubiór, pozwólcie tylko ze mną!

Galeran wygrzebał się z jaskini rozpusty, wciąż jeszcze pijany i niepewnie trzymający się na nogach.

— Nierządnica, rozpustna dziewczka! — to było podziękowanie, które skierował do Ingolindy. Ta roześmiała się, a Wawrzyniec pociągnął szybko za sobą wrzeszczącego biskupa.

Gdy posłaniec wrócił z portu bez Hamona, Mikołaj chcąc nie chcąc udał się do pawilonu. Niechętnie wkraczał do podziemnego labiryntu, chociaż teraz nie musiał się już obawiać psa.

Znalazł Hamona śpiącego w ubraniu na dywanie. Dzieci spędzały noc chyba w piwnicy przy mnichach, w każdym razie nie było ich tutaj.

Biskup obudził chłopaka. Hamo burknął coś grubiańsko i odwrócił się na drugi bok. Poranne słońce świeciło już przez kamienny roślinny ornament, pstrząc podłogę i dywan jasnymi plamami, ale bezpośrednio nie mógł tutaj wpaść ani jeden promień. Wnętrze pawilonu, czy to przy pełni księżyca, czy przy jaskrawym świetle słońca w zenicie, zanurzone było zawsze w lekko niebieskawym czarodziejskim świetle.

— Hamo — odezwał się biskup — muszę z tobą porozmawiać!

— Zostaw mnie w spokoju!

Biskup usiadł na jednej z poduszek i wyciągnął kartę z przekładem listu. Szelest per-

gaminu pobudził ciekawość Hamona bardziej niż wszelkie zaproszenia. W mig oprzytomniał, mrugał jednakże oczyma, żeby tego nie okazać.

— Ten tekst — oznajmił Mikołaj — będziesz musiał przeczytać dziś publicznie. To tłumaczenie listu wielkiego chana do papieża w Rzymie.

— Ani myślę — powiedział Hamo wyraźnie — występować przed ludźmi jako herold!

— Hamo! Proszę cię z całego serca, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, o jaką cię poproszę...

— Nie! — odparł Hamo, któremu sprawiało radość odmówienie serdecznej prośbie Mikołaja.

— Hamo — westchnął biskup — z dwóch powodów ty i tylko ty musisz to wziąć na siebie. Pierwszy, że zadecydowano o tym bardzo wysoko...

— Papież? Pan rozkazał i wszyscy muszą słuchać?... Ja nie muszę!

— Hamo! — upomniał go biskup.

— A drugi powód? — chłopak przerwał oczekującą go przemowę. — Powiedz, może mnie przekona.

— Nie chcę wchodzić w całą złożoność sytuacji, wyjaśniać ci jej, do tego ma prawo tylko twoja matka...

— A cóż ona ma z tym wspólnego? — spytał Hamo gniewny i pełen podejrzliwości. — Z łaski swojej wyłącz ją z gry, jeśli nie chcesz mnie zezłościć.

— Chciałbym pomówić o twoim ojcu.

— O admirał? — Hamo nie okazał najmniejszego zainteresowania. — Nawet go nie znałem.

— Henryk z Malty hrabia Otranto uchodzi wprawdzie za twego ojca, ale nasienie, z którego pochodzisz, jest z rodu Dżyngis-chana.

Zapanowało długie milczenie. Hamo miał oczy zamknięte, a biskup gapił się na filigranową kratownicę, która jak jasna kopuła zamykała pawilon ponad ich głowami.

— Dlatego Gujuk chciałby, żebym ja odczytał jego pismo. — To nie było pytanie, lecz proste stwierdzenie. — Dobrze, zrobię to. Ale ciebie nie chcę więcej widzieć. Chciałbym dać mojej matce możliwość opowiedzenia, jak zostałem spłodzony. Odejdź teraz, musisz się przygotować!

Biskup podniósł się w milczeniu. Wiedział, że stracił chłopaka na zawsze. Bez słowa, uśmiechając się przez łyzy, opuścił pawilon.

Zegar Hefajstosa obwieścił tajemniczym dźwiękiem szóstą i ostatnią godzinę *phosphoros*. Wenus zbladła na jasnym już niebie. Wzeszło słońce.

Gawin Montbard z Béthune, komandor zakonu templariuszy, po przybyciu do letniej rezydencji zastał swoich rycerzy i sierzantów już uzbrojonych i gotowych do odjazdu.

Udał się natychmiast przez rozległy park do bocznego budynku, który przez długi czas przymusowego pobytu służył Pianowi za gościnną kwaterę.

Ponieważ nikt nie odpowiedział na jego pukanie, a Gawina zobowiązano, by niezawodnie i punktualnie doprowadził mnicha do pałacu, komandor wszedł cicho do izby.

Pian zasnął przy stole nad lekturą swojej „Historiae Mongolorum”. W łóżku zaś, śpiąc równie mocno, leżał Jarcynt.

Gawina bardziej jednak zdumiał wypchany pieniędzmi mieszek, który stał tuż przy łóżku łysego kucharza, w zasięgu jego zwisającej ręki. Templariusz trącił mieszek lekko końcem buta i kilka francuskich srebrnych monet wypadło z brzękiem na podłogę.

Piana obudził ten odgłos. Gawin przeprosił za swoje wtargnięcie.

— Muszę wam przeszkodzić, panie legacie. — Taktownie udawał, że nie widzi śpiącego wciąż Jarcynta. — Już czas! Dziś jest wasz wielki dzień, Janie z Pian del Carpine!

Wawrzyniec spotkał Mikołaja i Jana Turnbulla pod głównym portalem. Ku jego zdumieniu starzec natychmiast rozpoznał biskupa z Bejrutu i powitał go wylewnie. Gale-rana zaprowadzono od razu do kąpieli i przygotowano dla niego bogaty strój episkopalny.

Portretowe szkice obu „asasynów” kazał Mikołaj z miejsca przybić na drzwiach i przykazał ostro straży, aby nie wpuszczała nikogo wykazującego do nich choćby najmniejsze podobieństwo.

— Bądźcie ostrożni! — dodał Wawrzyniec. — Oni posługują się sztyletem szybciej, niż niejeden zdąży sięgnąć po miecz!

Turnbull siedział obok parującego cebra kąpielowego i do czegoś nakłaniał Gale-rana w przyjaznym zaufaniu, ale stanowczo zarazem. Słudzy przynieśli „mały upominek od pana domu”: wysadzany drogimi kamieniami pastorał i ciężki złoty łańcuch z Chrystusem z kości słoniowej na hebanowym krzyżu — duchowny z Ziemi Świętej wyzbył się ostatecznie reszty skrupułów i okazał gotowość wykonania przewidzianego dlań ceremonialnego zadania.

— Dla podtrzymania starych więzów! — powiedział.

— Dokąd to tak spieszno? — Obciążnięta rękawicą dłoń komandora chwyciła za cugle, gdy Jarcynt w pośpiechu chciał wskoczyć na konia. — Biskup będzie musiał na was poczekać — powiedział templariusz. — Jak słyszałem, jesteście mistrzem nie tylko sztuki kulinarnej, ale i kaligrafii. Napiszecie mi więc prośbę o wstawiennictwo, tak jak wam podyktuję.

Jarcynt poznał po tonie Gawina, że sprzeciw nie ma sensu; poczuł to także po uchwycie ręki komandora, gdy ten prowadził go do swego pokoju. Pergamin i przybory do pisanania były już przygotowane, kucharz zanurzył więc pióro w kałamarzu.

— „Maryjo pełna łaski, święta Boża Rodzicielko, Królowo nieba i ziemi — dyktował Gawin z namysłem, tak że pisarz mógł za nim nadążyć — Twój sługa Gawin jest gotów uczynić wszystko, co w jego skromnej mocy, której mu użyczyłaś, oddać nawet swe życie, aby królewskiemu dziecku zrodzonemu z Twego łona nie stała się krzywda. Ciebie, Maryjo, proszę, weź je pod Swoją opiekę, jeśli moce ciemności, diabły piekielne, wyciągną po nie rękę. Trzymaj nad nim Swą opiekuńczą dłoń tam, gdzie moja nie sięgnie. *Per Iesum Christum filium tuum. Amen.*”

Jarcynt pisał szybko i płynnie. Nie zastanawiał się zbytnio nad stylem tej chropowatej prośby, choć pomyślał, że osobliwe pragnienia miewa komandor w jasny dzień. Po hamował się jednak od wszelkich uwag, aby go dłużej nie zatrzymano, skreślił zamasyście „Amen” i wręczył kartę templariuszowi. Gawin schował pergamin, nie rzuciwszy nawet nań okiem, co Jarcynta jeszcze bardziej rozgniewało.

— Za wszystko należy się zapłata — powiedział Gawin i rzucił kucharzowi srebrny pieniądz. Jarcynt złapał go i rozpoznał francuską monetę! Z głową pokrytą rumieńcem, co rozzłościło go najbardziej, wskoczył na wierzchowca i ruszył galopem.

Komandor przywołał jednego ze swych ludzi.

— Zawieź ten papier do portu i oddaj do rąk własnych Wilhelmowi z Gisors, którego znajdziesz na statku posła króla Francji.

Guiscard w ogóle nie położył się do łóżka, obmył tylko twarz zimną wodą, natłuścił swój drewniany pniak i postanowił nadrobić sen, kiedy pasażerowie znajdują się na lądzie. Nie chciał także teraz łamać sobie głowy, jak najsensowniej powinien wykorzystać Firuza. Na razie kazał mu po prostu być w pobliżu i czekać na polecenia.

Załoga wróciła tymczasem w komplecie na pokład. Amalfitańczyk popatrzył badawczo na niebo i na wodę, akurat gdy wiosłarze z galery wielkiego mistrza joannitów zgodnym ruchem zanurzyli wiosła i statek, prując dziobem fale, opuścił port. Rycerze w czarnych płaszczach z białymi podłużnymi krzyżami w kształcie mieczy stali szpalem na pokładzie, nie czując widać potrzeby spotkania z templariuszami w czasie dzisiejszej prezentacji. Z nabrzeża zniknął także namiot arabskich kupców.

Na rozkaz Guiscarda wiosłarze unieśli zakończone ostro wiosła i pożegnali odpływającą galerę. I wtedy Amalfitańczyk dostrzegł, jak z oddali wyłania się papieski szybki żaglowiec. Miał wywieszony proporzec legata i kierował się dokładnie w stronę triery...



## XIII OBJAWIENIE

### USTAWIENIE, ZNIEWAGA I PARADA *Konstantynopol, pałac Kallistosa, jesień 1247*

*Z Kroniki Williama z Roebroku*

Obudził mnie niewyspany Jarcynt, który na dzisiejszą uroczystość wcisnął się w ciemnozielony kaftan ze złotym szamerunkiem na piersi i w dwubarwne obcisłe spodnie; na szerokiej todze miał wyhaftowany również złotem herb biskupa: dwa węże kąsające się nawzajem w ogony... Czy ja już tego gdzieś nie widziałem?

Sennym jeszcze wzrokiem dojrzałem, że dzieci są tu znowu, już przebrane w mongolskie stroje; Benedykt zadbał, żeby ich nie poplamiały ciepłym mlekiem. Wyszedłem za niecierpliwym kucharzem z piwnicy, która w ciągu długich tygodni służyła nam jako miejsce do pisania, jedzenia i spania. Teraz było to już za nami i nie wiedziałem, czy powinienem się z tego cieszyć.

Gdy przybyliśmy na górę, Jarcynt zostawił mnie samemu sobie i zniknął szybko za ciężką zasłoną, która oddzielała salę, Centrum Świata, od sceny. Odchyliłem nieco akсамit i zerknąłem przez szparę na czarno-białą marmurową posadzkę, częściowo zatopioną: Morze Egejskie i Marmara pokrywała woda po kostki. Utrzymywało to pierwsze rzędy siedzących w należytej odległości od sceny, na której teraz stałem, a później miałem wystąpić.

Rzędy na prawo i na lewo, gdzie siadało się bezpośrednio na stopniach, zaczynały się zapełniać. Przybywały tu dziwne postacie. Niektóre jak w transie z zamkniętymi oczyma skakały pewnie z jednego „stałego ładu” na drugi, aby dotrzeć do swego miejsca, inne gestykulowały dziko, schodziły z galerii śpiewając, tanecznym krokiem, przy akompaniamencie oklasków swoich zwolenników... W tym całym zgiełku niby skąła pośród morskiej kipieli stał niewzruszony Jarcynt. Wskazywał każdemu należne mu miejsce, pozwalał przybywającym łączyć się w grupy lub ich rozdzielał.

Po chwili wkroczył silny oddział z Otranto, a wraz z nim Klarion, która jednak od razu zniknęła w bocznych drzwiach, gdy zobaczyła, że w pierwszym rzędzie nikt jeszcze nie usiadł. Jarcynt wskazał ludziom z triery miejsce — patrząc ode mnie, po lewej stronie — i tam się ustawili. Ze swym sztandarem i lśniąca bronią robili duże wrażenie,

choć Guiscard nie pozwolił im zabrać olbrzymich zaostrzonych wiosł.

Potem komandor wprowadził swoich templariuszy. Mimo że nieliczni, wyglądali imponująco dzięki jednolitym strojom: białym płaszczom z czerwonymi krzyżami; krzyż Gawina był nieco większy. On sam stanął na krańcu pierwszego rzędu, podczas gdy jego rycerze zajęli prawą flankę sali.

— Williamie — przepłoszył mnie głos biskupa — czemu stoisz tu bezmyślnie? Powinieneś się przebrać!

Jego słudzy zaprowadzili mnie do pokoju za sceną, gdzie po raz pierwszy w życiu spotkałem się ze swym sławnym bratem zakonnym Janem z Pian del Carpine. Rozpoznałem go natychmiast i on mnie także; uśmiechnęliśmy się do siebie, ale był to trochę wymuszony uśmiech.

Ponieważ służący skakali wokół mnie, nie mogliśmy zamienić nawet kilku słów wyjaśniających naszą sytuację. Pian interesował się zresztą czym innym.

— Powiedźcie biskupowi — oświadczył — że nie wystąpię, jeśli nie będę miał w rękach wiadomego listu.

Ktoś pospieszył do biskupa, aby mu przekazać tę groźbę. Mnie dalej ubierano. Jednakże zamiast obrzydliwego szamańskiego stroju włożono mi suknię z żółtego jedwabnego brokatu, bogato aplikowaną rudawobeżowym welurowym ornamentem, przetykanym złotą nitką. Mankiety rękawów były wykonane z bladofioletowego chińskiego jedwabiu, a wysokie naramienniki z turkusowego aksamitu, do tego ozdobione złotymi galonami. Najpiękniejsze było jednak nakrycie głowy, czepek z ciemnoczerwonego filcu, z którego po obu stronach wybiegały szerokie rogi utrzymywane w odpowiednim kształcie przez srebrny filigran. Na koniach wisały rurki przyozdobione koralami i bursztynem, które mi przypominały kosztowne pojemniki na zwoje Tory, jakie widziałem u rabinów w wielkiej synagodze Paryża. Czułem się jak arcykapłan ze Starego Testamentu. Gdyby wielki chan miał wybierać własnego papieża, mógłbym się o to stanowisko ubiegać!

Tymczasem doprowadzono również dzieci. Obtańczyły mnie niczym przybrane wstążkami dożynkowe drzewko z czasów mojej młodości we Flandrii, kiedy to cała wieś stawiała sobie za punkt honoru, by zawiesić na jednym pniu jak najwięcej pierścieni i girland — nie łamiąc go oczywiście.

Tylko Pian przyglądał mi się nieco wytrącony z równowagi, zmusił się jednak do wyszczerzenia zębów w uśmiechu. Prawdopodobnie uważając się za główną osobę widowiska, zazdrościł mnie i dzieciom przepychu szat oraz godnej postawy. On się przyodział w prosty brązowy habit minoryty i tylko jego pielgrzymia torba była chyba podarunkiem od Mongołów — kunsztownie pozszywana z różnych skór, z ornamentami obrzeżonymi perłami. Do tego Pian miał obuwie tej samej roboty. Ale i ja miałem kosztowne spiczaste filcowe buty z cholewami, których fioletowe aksamitne sztyłpy wykoń-

czono skórzanym lamowaniem. Tkwiące w nich szerokie żółte nogawki ledwie było wi-  
dać spod przykrywającego wszystko ceremonialnego płaszcza.

Wyszedłem z pokoju, aby się pokazać biskupowi, lecz akurat odwołał go jeden ze  
strażników czuwających przy bramie:

— Przybyli dwaj arabscy kupcy obładowani drogocennymi upominkami.

— Dla dzieci? — spytał w roztargnieniu Mikołaj; i wtedy przypomniały mu się chyba  
wskazówki dotyczące bezpieczeństwa, które sam wydał. — Czy nie są podobni...?

— Dary są dla was, ekscelencjo. — To natychmiast usunęło skrupuły biskupa, zważ-  
cza że strażnik dorzucił marzycielsko: — Ci kupcy to wielcy panowie, bogaci jak królo-  
wie ze Wschodu! Kazali was...

— Już dobrze — uciął Mikołaj pożądliwie. — Niech Jarcynt odbierze od nich dary  
i wskaże im honorowe miejsca.

Przywdział tymczasem strój biskupi, wymyślną kombinację barw w czerwonych od-  
cieniach, od lśniącego cynobru aż po przechodzącą w fiolet purpurę; nie nosił żadnych  
ozdób, jedynie masywny złoty krzyż i swój sławny ciężki pierścień. Uważałem, że wyglą-  
da wspaniale. Ale mimo że w jego domu miała się odbyć wielka uroczystość z udziałem  
najdostojniejszych gości, biskup przy całym zaaferowaniu sprawiał wrażenie nieszczę-  
śliwego. Niektórzy ludzie nigdy nie znajdują zadowolenia, są bowiem nienasyce-  
ni!

Nagle otwały się drzwi innego pokoju i zobaczyłem jakiegoś biskupa, który przy-  
siadł na poduszce wspierając się mocno na pastorałe. Chyba skądś znałem tego dostoj-  
nika. Czknął i wtedy uniósł na moment twarz, w której oczy zdradzały upodobanie do  
trunków. Gdzie ja widziałem ten pijacki nos?...

Obrzuciłem szybko spojrzeniem inne osoby w pomieszczeniu. Był tam Wawrzyniec,  
który coś deklamował przed Hamonem — czytał tekst z kartki, a Hamo próbował za  
nim powtarzać. Usiłowałem dosłyszeć brzmienie tego poematu, lecz znowu zamknię-  
to drzwi.

Rozejrzałem się dookoła. Pośrodku sceny zbudowano coś w rodzaju ołtarza, do któ-  
rego prowadziły stopnie; całość była pokryta białym płótnem. Na prawo i na lewo sta-  
ły po dwa krzesła. Na jednym siedział wyprostowany jak świeca i śnieżnobiały jak płót-  
no stary Turnbull. Nie poruszył się, nie zwrócił na mnie uwagi, a bądź co bądź mój wy-  
gląd wart był choćby przelotnego spojrzenia. Oczy starca patrzyły jak nieobecne na za-  
słonę, przenikały ją i spoglądały gdzieś poza salę, z której dochodziły przytłumione gło-  
sy i pełne oczekiwania szmery. Zauważyłem, że zupełnie białe stały się także jego wło-  
sy. Był kruchą postacią, której myśli przebywały daleko od tutejszych wydarzeń, wyso-  
ko jak niedosłyszalne uderzenia skrzydeł dzikich gęsi ciągnących pod mlecznoszarym  
niebem. Wycofałem się cicho.

Przez zakratowane okrągłe okno zerknąłem w dół na fragment zewnętrznych scho-  
dów i głównego portalu, których przecież nigdy jeszcze nie widziałem, bo mnie zaraz

po przybyciu umieszczono w piwnicy. Z lekkim przestachem zobaczyłem papieskich żołnierzy krocących po schodach w równym szyku, uroczyście niczym na procesji. Towarzyszyli kilku mnichom; z mojego punktu obserwacyjnego widziałem tylko czarne kaptury.

Przy portalu powstało zamieszanie: dwaj dziwnie ubrani kapłani, jeden chudy i jeden gruby, próbowali w orszaku mnichów i papieskich dostać się do środka, ale strażnicy zawrócili ich brutalnie, niektórzy wyciągnęli nawet miecze. Duchowni gestykulowali dziwnie i próbowali wezwać na pomoc papieskich, lecz żołnierze i mnisi nie reagowali. Nie zważając na nich, ze spuszczoneymi głowami i spojrzeniami utkwionymi w ziemię, przeciągnęli obok nieszczęśników, którzy teraz bili się w piersi i czynili znaki krzyża. Mimo to zostali przegnani jak parszywe kundły, strażnicy zaczęli nawet ciskać za nimi kamieniami.

Zaraz wszakże przyjęli znowu pełną szacunku postawę, oto bowiem z powiewającą *oriflamme* nadciągnęli zapowiadani Francuzi, a na ich czele konno hrabia Joinville. Rozpoznałem go natychmiast, chociaż nie widzieliśmy się od czasu spotkania w Marsylii, ale takiego nadętego pawia i do tego tak bezmiernie głupiego nie da się zapomnieć! Miałem nadzieję, że dzięki swej głupocie już mnie sobie nie przypomni, w przeciwnym razie byłby może znów zdumiony. „W tajnej misji!” Ha, ha!

Powróciłem na chwilę do szczeliny w zasłonie oddzielającej mnie od sali, tył sceny zawieszono tymczasem błękitnym adamaszkiem, z którym znakomicie kontrastowała biel ołtarza. Po bokach postawiono dwa trójnogi z czarkami napełnionymi palną ciecżą, podobne umieszczono w prawym i lewym rogu sceny — miały służyć do iluminacji.

Podniosły nastrój ogarnął mą duszę, lecz ciekawość przeważała. Pozwoliłem sobie jeszcze na ostatnie spojrzenie przez szparę w zasłonie, nim zostanę stąd przepędzony.

Sala tymczasem całkiem się zapełniła. Większość przybyłych siedziała, pilnując swoich miejsc. Pod arkadami naprzeciwko mnie, gdzie kończyły się schody prowadzące z parteru, papieski legat i francuski poseł prześcigali się w uprzejmościach, aby sobie nawzajem dać pierwszeństwo, przy czym każdy chciał chyba wejść ostatni, podobnie jak hrabina, która, jak spostrzegłem, z Zygisbertem pod ramię zniknęła w bocznych drzwiach. Wyrzuciłaby najchętniej obu tych panów, tego byłem pewien!

Kiedy duchowny dał za wygraną i papiescy weszli do sali przed Francuzami, poczyniłem dwa odkrycia: po pierwsze, rozpoznałem młodego mnicha. Był to Fra' Ascelin, który przyjmował mnie w Sutri! Został więc podniesiony do godności legata! Po drugie: obok hrabiego Joinville kroczył Wilhelm z Gisors, piękny templariusz, którego przypominałem sobie jako zaufanego człowieka towarzyszącego czarnej lektyce Wielkiej Mistrzyni. A zatem ona także poświęcała tej sprawie uwagę, nawet jeśli nie występowała osobiście. I nagle uświadomiłem sobie znaczenie mojej osoby, z którą przedtem tego wszystkiego wcale nie wiązałem. Nie: dzieci, lecz: William i dzieci!

— Co z moim listem? — rozdarł się za mną Pian tak głośno, że nawet biegający dookoła w zaaferowaniu biskup musiał to usłyszeć.

— Ciszej! — syknął do Piana. — Dostaniecie go tutaj i dzisiaj.

Fra' Ascelin razem ze swym konfratrem zajęli miejsca po prawej stronie, pozostali mnisi usiedli za nimi. Chorąży stanął obok legata, a papiescy żołnierze ścisnęli się na flance. Templariusze nie ruszyli się z miejsca, póki Gawin nie polecił im przesunąć się do przodu, ku scenie. Francuski poseł zajął miejsce w środku pierwszego rzędu, obok niego Wilhelm z Gisors, który powitał Gawina skąpym ukłonem i rumieńcem na twarzy. Młodemu rycerzowi było wyraźnie nieprzyjemnie siedzieć na tak eksponowanym miejscu, podczas gdy komandor stał. Żołnierze króla Francji stanęli naprzeciwko papieskich, obok oddziału z Otranto. Przed miejscami zarezerwowanymi dla hrabiny, po lewej stronie, usiedli po turecku na marmurowej podłodze muzułmańscy kupcy. Przed sobą umieścili kilka kosztownie okutych skrzyneczek, wysadzone drogimi kamieniami naczynia na kadzidła i złote czarki z przyjemnie pachnącymi esencjami. Dalej posadzka pokryta już była wodą, w której odbijała się odświętna sala i dostojni goście.

Teraz weszła także hrabina w towarzystwie Klarion, u boku mając Zygisberta jako swego rycerza. Obie damy rozkoszowały się swoim wejściem w wykwintnych sukniach, uszytych z nadzwyczaj wyrafinowaną prostotą, aby nie uszczknąć nic z blasku klejnotów i pereł, i podkreślających wciąż cudownie smukłą sylwetkę hrabiny oraz niepoślednie powaby jej wychowanicy. Pokojowe dla kontrastu wystąpiły jako skromne zakonnice odziane co do jednej w ciepły beż. Nagle oczy mi wyszły z orbit i omal nie wypadłem na salę przez szparę w zasłonie: twarz jednej z pokojowych miała rysy Madulajn! Gapiłem się i gapiłem, podczas gdy ta wyśniona istota, moja saraceriska księżniczka, jakby nigdy nic zajęła z wdziękiem miejsce za damami.

— Williamie! — wyrwało mnie z marzeń napomnienie Jarcynta. — Biskup jest już na sali.

Kucharz przywdział perukę, w ręku trzymał laskę herolda. Przepędził mnie za błękitną zasłonę z adamaszku, gdzie znajdował się już Wawrzyniec i ów obcy biskup, którego imię teraz mi się przypomniało: Galeran z Bejrutu. Był tam także Pian, w kącie zaś podniecone dzieci i Hamo.

Syna hrabiny również ubrano na modłę mongolską — w dobrze uszyty surowy strój wojownika ze stojącym kołnierzem i w oblamowane futrem wysokie buty z cholewami; na głowie miał kunsztownie wykuty hełm z długim szpicem. Wydawał się przez to dużo wyższy, a wyglądał tak, jakby przez całe życie niczego innego nie nosił. Na twarzy chłopa malowała się wielka powaga.

Chociaż w tym momencie powinienem był się już zdecydowanie powstrzymać, wyszukałem niewielki otwór, przez który można by zerknąć na salę, gdy główna zasłona zostanie odsunięta. Ale o wyrznięciu mogłem na razie tylko pomarzyć, bo Hamo

przyprowadził dzieci, które mocno do mnie przywarły, a pierwsze, co mi Jeza zwierzyła, to że musi się natychmiast wysusiać. Rzuciłem Jarcyntowi zrozpaczone spojrzenie i wepchnąłem dziewczynkę do pustego pokoju. Rosz poszedł za nami, chwyciwszy mnie za poję szaty. Przytrzymałem Jeżę w pokoju, uważając, żeby mnie nie obsikała.

Pian zajrzał przez drzwi.

— Cóż za dzielna piastunka! — zaśmiał się szyderczo. — Brakuje ci tylko warkoczy w futerale, ale możesz je przecież jeszcze zapuścić!

Nie rozumiałem, o co mu chodzi. Widocznie robił przytyk do mojej wspaniałej rogatywnej czapki, którą jako niewieścią ozdobę próbował mi obrzydzić.

Wyciągnąłem dzieci z pokoju i znowu zajęliśmy miejsca za błękitnym adamaszkiem. Zapalono ogień w trójnogach. Rzuciły fosforyzujące światło na sufit i ściany, a okryty białym płótnem ołtarz zaśnił magicznie. Jarcynt wystąpił do przodu, stuknął trzykrotnie laską o podłogę i powoli ciężka aksamitna zasłona rozsunęła się na dwie strony.

— Najwyższy kapłan Kościoła katolickiego w Konstantynopolu, archidiakon kościoła Hagia Sophia, wita swoich dostojnych gości! — Zamilkł czekając, aż zgromadzeni pokłonią się biskupowi, który usiadł między Ascelinem i hrabią Joinville. — Teraz zostanie odprawiona msza święta.

Jarcynt cofnął się, do przodu zaś wysunął się Galeran w towarzystwie Wawrzyńca, który miał mu asystować. Mężczyźni wstali, damy i najpobożniejsi uklękli.

— *Kyrie, kyrie, kyrie eleison!* — zaintonował niewidoczny dla mnie chór chłopców ponad naszymi głowami. Prawdopodobnie na galerii ustawili się kochankowie Mikołaja.

— *Christe eleison!* — zawtórował niski głos Galerana, nie zdradzający skłonności do nadużywania wina. Niestety nie mogłem obserwować biskupa przy odprawianiu mszy, choćbym nie wiem jak zezował.

— *Kyrie, kyrie, kyrie eleison* — odpowiedzieli chłopcy i pomyślałem, że zgromadziło się tutaj na moją cześć całkiem okazałe towarzystwo; chyba nikt w Centrum Świata, ani w sali, ani za sceną, nie potrafił tak jak ja połączyć tyłu nici najdelikatniejszego przedziwa. Za czyją bowiem sprawą tak wiele losów zostało splątanych? Zgoda, siłą napędową były dzieci, a także różnorakie interesy, ale gdzie te dzieci byłyby beze mnie? Uważałem za właściwe i słuszne, że po tylu niedostatkach i biedach jestem tutaj i już wkrótce zdumiona publiczność usłyszy wezwanie: „William... i dzieci!”

— *Gloria in excelsis Deo* — zaintonował teraz Galeran, a chłopcy odpowiedzieli dźwięcznymi jak dzwonki głosami:

— *Et in terra pax hominibus bonae voluntatis!...*

Dzieci zostaną dzisiaj „wywyższone”, jak wyraził się stary Jan Turnbull. Nadal siedział sztywno na krześle, prawdopodobnie tylko lewa część sali mogła go widzieć i dostrzec promieniejącą od starca wielką godność i mądrość, świętą mądrość — *hagia sophia*.

Ogarnęły mnie jednak wątpliwości, czy wszystko na scenie przebiegnie bez kłopotów, jeśli Turnbull zechce potem przejść do uroczystych „chemicznych zasłubin”. Jak zareagują na to papiescy?

— *Sanctus, sanctus, sanctus* — rozbrzmiewał donośny głos Galerana. Włączenie do sprawy tego biskupa, legitymującego się niewątpliwie „pochodzeniem z Ziemi Świętej”, było mądrym szachowym posunięciem, zmniejszyło bowiem pozory miejscowego bizantyńskiego spisku, gdyby Rzymianie nam to zarzucili. — *Dominus Deus Sabaoth!*

Popatrzyłem przez otwór w zasłonie. Na przedzie klęczała Klarion; jej oczy zawisły na młodym templariuszu, ogniste spojrzenia otaczały go rojem niczym tysiąc trzmieli piękny kwiat. Zakłopotany przykląkł, jakby w tej kornej postawie łatwiej mu było przeciwstawić się grzechowi, lecz w ten sposób znalazł się na tej samej wysokości co kusicielka i naraził dopiero teraz na prawdziwe niebezpieczeństwo. Hrabia Joinville wkroczył między nich jakby mimochodem. Widocznie poczuł potrzebę osłonięcia swego towarzysza albo też dostrzegł coś niestosownego w tej sytuacji.

Ta rosza odłoniła mi nagle widok na dwoje zimno płonących oczu. Jak przez mgłę docierała teraz do mnie *hosanna* chóru. Oczy należały do kogoś, kto w błękitnym stroju wojsk królewskich, usianym złotymi liliami, stał za posłem. To był człowiek, którego spotkaliśmy we mgle bagien Camargue, ten sam, który zabił trzech sierżantów i którego profos na swoim wozie... zabici leżeli bladzi, z rozplatanymi czaszkami... to był Iwo Bretończyk!

Oglądałem upiory! Fra' Ascelin, Madulajn, Wilhelm z Gisors!... Tym razem strach przeniknął mnie do szpiku kości, jakby otworzyły się groby i sala napełniła zjawami z mojej przeszłości, które wyciągały po mnie trupie ręce. Zadrżałem na całym ciele, zimny pot wystąpił mi na czoło, pokrył grzbiet i dłonie.

— *Agnus Dei, qui tollis peccata mundi.*

— *Dona nobis pacem!* — odpowiedział chór.

Od próby generalnej tkwiło mi mocno w pamięci, że teraz — bo potem miałem wchodzić ja — Wawrzyniec, brat Wawrzyniec z Orty, ponieważ tytuł „legat Jego Świątobliwości” nie chciał mi przejść przez usta, odkąd w sali siedział ktoś, kto tej randze nie pozwoliłby uwłaczać, a zatem teraz Wawrzyniec powinien zapowiedzieć wracającego od Mongołów wysłannika Jana z Pian del Carpine. Gdzież on się podziewa?

Jan Turnbull także poruszył się niespokojnie na krześle i rozejrzał pytająco, lekki niepokój dał się zauważyć na sali. Wtedy Jarcynt podszedł uroczyście na skraj sceny, stuknął trzykrotnie laską herolda i zapowiedział:

— Posłanie od wielkiego chana Gujuka!

Kiedy się odwróciłem, nagle ni stąd, ni zowąd zobaczyłem Hamona. W przebraniu nie mógł go poznać nikt, kto nie był z nim przynajmniej tak blisko jak ja. Spostrzegłem, że Pian zbladł, a Turnbull zdrętwiał. Hamo ze zwojem pergaminu w ręce poczekał, póki

w sali nie zapanowała cisza jak makiem zasiał.

— „Chana, z mocy wiecznych niebios władcy wielkiego, oceanowi podobnego narodu Mongołów, takie jest życzenie...” — Z początku głos Hamona brzmiał jeszcze ochryple, lecz teraz chłopak mówił dźwięcznie i bardzo dojrzałe. — „Oto wskazania dla Wielkiego Papieża. Niechaj przyjmie je do wiadomości i zrozumie. Nad tym radzono, a posłowie Wasi słyszeli, że życzymy sobie Waszego poddania. Jeśli postępujecie tak, jak mówicie, przybywajcie: Ty, Wielki Papieżu, i wszyscy Królowie osobiście, aby nam złożyć hołd. Wtedy pozwolimy, byście wyrazili swoje wskazania, jeśli będziecie je mieli. Powiadacie, że przyjęcie chrztu przyniesie mi określone korzyści. Wielki Papież powiadomiał mnie o tym i przesłał swoje wezwanie. Tej Twojej prośby nie rozumiałem. A gdy dalej powiadasz: «Jestem chrześcijaninem, czczę Boga», skąd wiesz, kogo Bóg rozgrzesza i nad kim się lituje? Skąd to wiesz, że tak mówisz? Z woli Bożej zostały nam nadane wszystkie królestwa od wschodu słońca do zachodu i one do nas należą. Czy mogłoby tak się stać wbrew woli Wiekuistego? Teraz musicie nam szczerym sercem powiedzieć: «Chcemy być ci posłuszni, dysponuj także naszymi siłami.» Na czele Królów przybądź, Wielki Papieżu, aby nam złożyć hołd i oddać się na nasze usługi. Wtedy raczymy Wasze poddaństwo przyjąć do wiadomości. Jeśli jednak nie wypełnicie nakazu Wszechmocnego i będziecie działać wbrew naszym poleceniom, zrozumiemy, żeście nam wrogami.”

Wielki Boże, przemknęło mi przez głowę, jak można tak zepsuć nastrój! Piana odczytanie oficjalnego listu do jego pana Innocentego całkowicie skompromitowało! W jaki sposób wysunie szyję z pętli?... I Turnbull wystawia się na pośmiewisko przedstawianiem dzieci jako „wysłańców pokoju”! W czyjej głowie zrodził się nikczemny pomysł, by podać do powszechnej wiadomości treść dokumentu? Muszę zaraz zażądać wyjaśnień od Hamona!

Syn hrabiny zakończył tymczasem swe wystąpienie takim oto kwiatkiem retorycznym:

— „To chcieliśmy Wam obwieścić. Jeśli nie postąpicie zgodnie z naszym żądaniem, nie wiemy, co się stanie. Wie to jeden Bóg.”

Przez chwilę na sali panowało pełne zdumienia milczenie, potem wybuchł tumult, który wszczęli papiescy i Francuzi. Jarcynt pociągnął szybko Hamona za adamaszkową zasłonę, po czym nieporuszony wysunął się do przodu z pergaminem w ręce, rozwinął go i odczytał:

— „Napisane w końcu miesiąca dżumada w roku 624 od hedżry.” Co jest ważne dla muzułmanów znajdujących się wśród naszych gości — skomentował dowcipnie i wzburzenie na sali nieco przycichło. — Dla chrześcijan pismo jest datowane na początek listopada Anno Domini 1246. — I nim się ktoś spostrzegł, Jarcynt wyciągnął rękę w kierunku palącego się trójnogu i przytknął pergamin do ognia. Po chwili z dokumentu został popiół.



— Mój list! — Pian zrozpaczony rzucił się do przodu, ale już był przy nas Jarcynt i szybkim, niezauważalnym wręcz ruchem wydobywszy pismo, z niedbałym ukłonem wręczył je mnichowi. Pian obracał list na wszystkie strony: nosił pieczęć Gujuka — nie naruszoną.

Rozejrzałem się po wszystkich kątach, aby złapać Hamona, lecz nigdzie go nie było. A przecież miałem cały czas na oku obie strony i nikt nie mógł nie zauważony przeze mnie opuścić tego miejsca! Pospieszyłem z powrotem do dzieci, które cały ten rwetes wyraźnie cieszył i właściwie tylko życzyły sobie, żeby wreszcie móc się pokazać w swych mongolskich strojach. Musiałem je przytrzymać, by poczekały na ustaloną chwilę.

— Ja też mogę tak jak Hamo opowiedzieć historię o jakimś wielkim królu — zaproponował Rosz.

— On nie powinien był tego robić! — stwierdziła zdecydowanie Jeza, która śledziła dokładnie kolejność programu. — Teraz wszystko jest przewrócone do góry nogami! Cały Hamo! — rozzłościła się.

Łamałem sobie głowę, w jaki sposób zniknął młody hrabia. Jarcynt był jednak czarodziejem!

Teraz wreszcie wystąpił Wawrzyniec, próbując ratować sytuację, ale znów do przodu wysunął się Jarcynt i na domiar złego uroczyście zapowiedział:

— Wawrzyniec z Orty z zakonu braci mniejszych świętego Franciszka z Asyżu... — Niech nie dodaje nic więcej, zamknąłem oczy i zacząłem się modlić, jednakże ten herald diabła ciągnął zimno: — ...legat Jego Świątobliwości papieża Innocentego!

To był policzek wymierzony dominikaninowi siedzącemu na sali, niestety nie mogłem zobaczyć jego reakcji, ponieważ miałem pełne ręce roboty z powstrzymywaniem dzieci pchających się na scenę. Na sali wszakże zapanował nagle spokój, zapewne lodowate milczenie.

— Władca narodu podobnego oceanowi — zaczął dowcipnie Wawrzyniec i zaraz w kilku miejscach rozległ się śmiech, który jednak natychmiast zamarł — który z woli Bożej zgłasza tak zarozumiałe roszczenia w imieniu swoim i swego narodu — teraz kilka osób nawet zaklaskało — ma dwie twarze: jedną okrutną, wszystkim znaną, o której Węgrzy śpiewają pieśni, i tę chciał nam chyba najpierw jako groźny grymas pokazać. — Teraz ludzie na sali, jak się wydawało, okazali zainteresowanie. Czyżby lody zostały przełamane? — Ale ma jeszcze drugą, która boi się Boga i wcale nie jest tak pewna wyższości Mongołów. Chan wie bowiem bardzo dobrze o duchowej mocy Ojca Świętego oraz o namaszczonej z Bożej łaski królu Francji. I ta druga twarz chana zalewa się łzami, chan szarpie w rozpaczę brodę i bije się skruszony w piersi. — Wawrzyniec byłby pierwszorzędnym śpiewakiem ulicznym opiewającym krwawe historie. Pozwalał sobie nawet na przerwy, w trakcie których jego fantazja szybko przędła dalsze nici. — Gdy wysłannik Ojca Świętego, brat Jan z Pian del Carpine, zobaczył, jak zatwardzia-

ły jest władca wszystkich Tatarów, stanął przed nim i powiedział: „Wezmę twój list, ale ogłoszę go całemu chrześcijaństwu i Bóg cię ukarze!” — Cisza na sali wskazywała na najwyższy stopień napięcia, a Wawrzyniec dowiódł swego mistrzostwa przerywając dokładnie w tym momencie. Poczulem, że zaschło mi w gardle. — Z ust samego wielkiego i mądrego posła usłyszycie teraz, co powiedział chanowi — zakończył i tym samym oczyścił pole.

Pian jak z procy wypadł na scenę. Był tak podniecony i zagniewany, że nie ośmielałem się mieć nadziei, iż złapie piłkę rzuconą mu przez Wawrzyńca.

— Bóg cię ukarze, ukarze cię przeze mnie! — zawołał donośnym głosem, jakby chan stał przed nim. — Ukarze cię odbierając ci królewskie dzieci, które wysłał do ciebie mój pan papież pod pieczę brata Williama z Roebruku i których tak tęsknie oczekiwałeś, ponieważ one są zbawieniem świata, szansą pojednania, najdostojniejszą krwią, gwarantem pokoju, którego ty tak bardzo potrzebujesz. Te dzieci nie zostaną ci przekazane, nie zatrzymasz ich u siebie, póki nie przeprosisz publicznie za swój list!

— Pian trzymał pismo tryumfująco w górze, pozwalając sobie teraz na błazenadę, jakiej się po nim nie spodziewałem. — „Jak śmiesz”, parsknął chan zmienionym głosem, „tak do nas mówić! Położymy ci twoją głowę u twoich brudnych stóp. Straże! Podać katowski miecz!” — Pian odgrywał scenę przed wprawionymi w zachwyt słuchaczami. — Wówczas powiedziałem: „Przepotężny chanie! Utnij mi głowę, przetniesz w ten sposób także ostatnią jedwabną nić, na której wisi możliwość, abyś mimo wszystko wprowadził królewskie dzieci do swego domu i zamknął je w ramionach... Oczywiście po odbyciu pokuty i przeproszeniu. I nie zapominaj o jednym: dzieci rosną. Tracisz zbyt wiele drogiego czasu, a one pewnego dnia jako królowie pokoju tego świata, Wschodu i Zachodu, pozbawią cię władzy. Wystarczy skinienie małego palca!” Wtedy wielki chan uściskał mnie, obdarował sowicie i obiecał, że się opamięta. Ja jednak wróciłem do domu, zabrałem brata Williama i dzieci z kryjówki i przywiodłem tutaj. Oto William z Roebruku i dzieci Graala! — zakończył emfaticznie.

Stało się! Pian rozejrzał się dumnie wkoło, ja zaś ująłem Rosza za lewą, a Jeżę za prawą rękę i wypadliśmy na scenę.

Przywitały nas ogłuszające oklaski, spadły z siłą orkanu na Piana i na moją skromną osobę. Widzowie zerwali się z miejsc, krzyczeli z radości i wzruszenia, ale największy zachwyt wzbudziły dzieci, które trzymały się za ręce i uśmiechały. Ludzie popadli w ekstazę, Pian i ja odstąpiliśmy skromnie na bok, owacje dla Rosza i Jezy zdawały się nie mieć końca i wtedy stary Jan Turnbull ocknął się z odrętwienia. Dostrzegł, że lada chwila „prezentacja” wyslizgnie mu się z rąk; wiosłując ramionami przepchnął się więc do przodu, czym faktycznie wprowadził trochę spokoju. Był niezwykle godną postacią ze swymi śnieżnobiałymi włosami i w białym stroju.

— Dzieci Graala... — zaczął skrzeczącym głosem. Wtedy jednak któryś

z dominikanów za Anzelmem ryknął jak ukłuty byk.

— Oszustwo! — wrzasnął, zerwał się, chciał podnieść w górę swój krucyfiks. — Kacerskie oszustwo... — Słowa z bulgotem uwięzły mu w gardle i opadł na krzesło, jakby diabeł złapał go za kark, ale ten krótki moment wystarczył mi, żeby go rozpoznać, zanim kaptur przysłonił na powrót jego wilczą twarz: Wit z Viterbo! W końcu dowiedziałem się, co mnie tu dziś oczekiwało!

Niezręczne wkroczenie Turnbulla wystarczyło także, aby mnich siedzący obok Anzelma zaczął krzyczeć:

— Zdrada, zdrada! Łapać ich!

Jednakże Francuzi, którzy bez zastanowienia ruszyli na oślep, nadziali się na ludzi z Otranto, gdyż ci bez rozkazu przesunęli się i zasłonili dzieci. Jeszcze nie dobyto mieczy, lecz to zamieszanie wystarczyło, by pędzących również papieskich nie dopuścić do sceny.

— Zdrada, zdrada! — rozlegało się zewsząd.

Chwyliłem dzieci, które obserwowały chaos w dole, wciąż uśmiechając się, tak jak im kazano, i pociągnąłem je w głąb sceny, za błękitną adamaszkową zasłonę.

— Stać! — fuknął tam nieoczekiwanie Jarcynt. Już chciałem ruszyć na niego z gołymi pięściami, gdy nagle rozwarła się pod nami ziemia. Raczej zsunęliśmy się po pochyłości, niż spadli, i zaczęliśmy zjeżdżać błyszczącą miedzianą rynną.

— Ojej! — pisnęła Jeza. — Wreszcie się coś dzieje!

Przyciśnięci mocno do siebie, spadaliśmy zawijasami w głąb pałacu, aż przez otwór w ścianie, który zawsze uważałem za okno, niezbyt łagodnie runęliśmy na posłania w naszym lochu, gdzie wciąż jeszcze tkwił Benedykt.

— Hamo czeka w pawilonie! — zawołał.

Wydało mi się, że słyszę już tupanie prześladowców na schodach i uderzenia rękojeści mieczy we drzwi.

— Że też wcześniej o tym nie wiedziałem — krzyknął Rosz zachwycony.

— Kto mógł się spodziewać, że Wit... — próbowałem im wyjaśnić grozę położenia.

— Chodzi mi o tę wspaniałą zjeżdżalnię!

Wepchnąłem najpierw jego do Ostatniej Drogi, a potem Jezę.

— Biegiem, biegiem! — sapnąłem. — Hamo zabierze was na statek!

— Jesteśmy myszami! — zaśpiewała Jeza i oboje popędzili korytarzem.

Uścisnąłem Benedykta, który do mnie doskoczył. Teraz musiałem ponieść ofiarę, moje grube ciało było do tego predestynowane. Choć raz w życiu na coś się przyda!

Do drzwi rzeczywiście zbliżał się tumult; długo nie mogły wytrzymać. Wziąłem rozpęd i wbiłem się jak korek w lejkowaty otwór Ostatniej Drogi.

Poczułem się jak w ogromnych kleszczach, które ścisnęły moje ciało, miażdżyły mi żebra. Usłyszałem jeszcze trzask wyłamywanych drzwi i wydało mi się, jakby dmuchnął

mi w kark gorący wilgotny oddech oprawcy. Wybiła moja ostatnia godzina.

Williamie, naszła mnie myśl, umierasz jak bohater: dzieci są uratowane!

Przypomniała mi się przepowiednia, którą u stóp Montségur zwierzył mi umierający Bask: czyż nie byłem dzielnym „strażnikiem”? Do końca! Życie składałem w ofierze dzieciom Graala! Zabieraj mnie śmierci, bezlitosny żniwiarzu.

— Maryjo, w Twoje ręce oddaję ducha mego, zlituj się nade mną! — szepnąłem.

Ona nie pozwoli mi żywemu wpaść w ręce Wita, pomyślałem z wdzięcznością, czując, jak najpierw zapiera mi dech, a potem opuszczają mnie zmysły...

## GRA SZACHA

*Konstantynopol, pałac Kallistosa, jesień 1247*

Wawrzyniec z Orty był jedynym człowiekiem, który mógł spokojnie objąć wzrokiem wszystkie czarno-białe kwadraty, gdzie rozgrywała się partia. W Centrum Świata panował nieopisany tumult, lecz dla małego minority, który niepostrzeżenie obserwował zza zasłony na scenie cały zamęt, nie było to nic innego jak najstarsza gra na świecie, wieczna rozprawa między siłami światła i ciemności. Bystrymi oczyma śledził uczestników tej skomplikowanej rozgrywki.

U jego stóp z przodu, po lewej stronie znajdował się trójkąt Otranto. Sięgał najdłuższym bokiem od środka bocznych rzędów do połowy sceny. Na najbardziej wysuniętym wierzchołku stał jak wieża Zygisbert, osłaniając hrabinę i Klarion. Francuzi, ustawieni pierwotnie po lewej, popędzili bezładnie po przekątnej trójkąta Otranto ku scenie, która jeszcze tylko z prawej strony była dostępna. Nie odważyli się jednak wspiąć na nią. Teraz więc na jednej flance stali ludzie Otranto, na drugiej templariusze, którzy wciąż tkwili jak mur po prawej stronie. Ich komandor, wystąpiwszy tylko krok do przodu, odciął ich szereg od reszty sali.

Papiescy próbowali, przechodząc obok templariuszy, również dotrzeć do sceny, ale drogę zamknęli im szybsi od nich Francuzi. W dodatku „kluczowym” żołnierzom zabrakło wodza w polu, gdyż ich dowódcy cofnęli się i otoczyli legata.

Tak przedstawiała się Wawrzyńcowi sytuacja na szachownicy. Rzucił jeszcze okiem na przednie rzędy. Nikt już tam nie siedział poza biskupem. Zgromadzeni po jego prawicy przedstawiciele kurii rzymskiej, otaczający Ascelina, zachowywali wyraźny dystans wobec Mikołaja. Po jego lewej stronie dreptał oburzony hrabia Joinville wspierany przez Wilhelma z Gisors, za jego plecami stał Iwo Bretończyk. Krzesła hrabiny i jej dam były puste.

Z tyłu, za miejscową służbą i na galeriach falowała masa pozostałych gości. Częścio-

wo z ciekawości napierali do przodu, wciąż ktoś wpadał lub był wpychany do wody, która pryskała na wszystkie strony, ten i ów przewracał się nawet. Niewielu jedynie próbowało bojaźliwie dotrzeć do wyjścia. Większość obsadziła stopnie, rozprawiała bardzo głośno albo szeptała w małych grupach. Samotnicy uznali, że nadeszła ich godzina — tańczyli ekstatycznie na schodach, skoro zabroniono im dostępu do sceny, starali się krzykami zwrócić na siebie uwagę.

Templariusze stali wciąż niewzruszeni jak mur. Wsparci na długich mieczach, ze stoickim spokojem obserwowali ciżbę, skoro komandor nie wydawał żadnego rozkazu. Gawin zaś zamknął oczy i oparł brodę na rękojeści miecza.

Straszliwie poirytowany poseł Francji kazał Iwonowi wskoczyć na stołek i wezwać Francuzów, aby się wycofali. Dzięki temu papiescy zostali całkowicie rozproszeni i ludzie z Otranto zablokowali dokładnie dojście do sceny.

Wówczas przez trwającą wciąż wrzawę przebił się głos Szymona z Saint-Quentin pięniącego się z wściekłości:

— Łapcie ich! Nie pozwólcie im uciec!

Towarzyszący Witowi rzekomi dominikanie wyciągnęli spod habitów miecze.

— Przejdźcie dla inkwizytora! — zagrzmiął viterbczyk i pociągnął swoich strażników do ataku na scenę.

Na sali podniósł się niewiarygodny wrzask, każdy obawiał się jeśli nie utraty życia, to wpadnięcia w ręce inkwizycji. Goście w panice ruszyli do wyjścia.

— Nikomu nie wolno opuszczać sali! — wołał przeraźliwym głosem Szymon.

Fra' Ascelin naprzykrzał się biskupowi:

— Jako legat Jego Świątobliwości żądam...

Mikołaj nie miał już nic do stracenia.

— Jak długo ja jestem panem tej rezydencji...

— Jesteście zdjęci z urzędu! — wrzasnął Szymon.

— Żądam przeszukania pałacu! — Ascelin odsunął szorstko swego konfratra.

— Czujcie się jak u siebie w domu! — roześmiał się biskup i odszedł.

Zygisbert stał z obnażonym mieczem przed hrabiną i Klarion i wszyscy obchodzili szerokim łukiem olbrzymiego Krzyżaka, który przejął dowództwo nad oddziałem Otranto. Na galeriach gestykulowali i śpiewali kapłani oraz mnisi przeróżnych wyznań. Jakiś derwisz tańczył, wielu ludzi płakało.

— Przepuście nas — powiedział Gawin do Zygisberta. — Ja przejmę opiekę nad naszymi przyjaciółmi na scenie.

Przodem popchnął biskupa, po czym on i jego rycerze wspięli się na scenę, przechodząc szpalerem utworzonym bez słowa przez ludzi z Otranto, który zamknął się przed dominikanami. Szymon zatrzymał się przed potężnym Zygisbertem i wrzasnął:

— Ekskomunikuję was wszystkich, jeśli nie przepuście inkwizytora! — co tylko

wywołało śmiech.

Żołnierze z Otranto byli dobrze uzbrojeni i wszyscy tylko czekali, żeby uderzyć na papieskich.

Zygisbert wszakże starał się postępować tak samo rozważnie jak po drugiej stronie Gawin, a ten zachowywał się neutralnie. Biskup rozładował zresztą napięcie, dając Witowi pogardliwym gestem wolną drogę do przeszukania domu. Wściekły z powodu straconego czasu viterbczyk przebiegł ze swymi dominikanami obok biskupa, nie zaszczycając go ani jednym słowem.

— Jarcynt! — zawołał Mikołaj. — Wskaż panu inkwizytorowi drogę do piwnicy!

Jednakże przebrany w szaty mistrza ceremonii kucharz znikł gdzieś bez śladu.

Ponieważ legat i Szymon pozostali przy scenie, Wit skorzystał z okazji i kazał jednemu z „kluczowych” żołnierzy przeciąć pętające go więzy. Wymachując gwałtownie końcami łańcucha, pobiegł pierwszy schodami do piwnic.

Gra szacha przenosiła się na scenę, gdzie z braku czarno-białych pól traciła urok dla beznamiętnego obserwatora, jakim był Wawrzyniec, rozmywała się w ludzkiej kotłowninie. Nie doszło do rozstrzygnięcia, nie było zwycięzcy, jedynie zwyciężeni. Stronników światłości zbrukały ciemne plamy, siły ciemności nie pojaśniały ani trochę.

Hrabia Joinville zgromadził tymczasem wystarczającą liczbę Francuzów i kazał im przesunąć się do wyjścia; drżał na całym ciele. Wawrzyniec przyłączył się do niego niepostrzeżenie — w czasie wspólnej podróży nabrali przecież do siebie zaufania. Wziął po prostu posła pod rękę i żaden z papieskich nie ośmielił się przeszkodzić im w opuszczeniu sali, chociaż za nimi rozległ się wrzaskliwy głos Szymona:

— Zatrzymajcie fałszywego minorytę! Nie pozwólcie mu uciec!

W tym zamęcie tylko obaj arabscy kupcy siedzieli spokojnie na poduszkach, jakby całe zamieszanie nic ich nie obchodziło. Przyciągnąwszy do siebie troskliwie swoje amfory, szkatuły i naczynia z kadzidłami, aby żołnierze ich nie podeptali, rozglądali się z uśmiechem.

Hrabina była zdenerwowana.

— Co z dziećmi? — szepnęła trwożnie do Zygisberta.

— Są już dawno w pawilonie — próbowała uspokoić ją Klarion.

— Albo nawet na statku! — rycerz także starał się uciszyć jej lęk. — Hamo zapewni im bezpieczeństwo.

— Chodźmy! — nalegała Laurencja. — Uspokoję się, jak poczuję pokład triery pod stopami!

— Zachowajcie zimną krew, pani — mruknął Zygisbert. — Nie ściągajcie na siebie uwagi. Skoro tylko nadarzy się okazja, zaprowadzę was do portu.

Templariusze pod wodzą Gawina osłonili nieprzeniknionym murem większą część sceny, pozbawiając papieskich możliwości bezpośredniego osiągnięcia Turnbulla, Ga-

lerana i Piana.

— Mamy go! — rozległy się rozproszone przytłumione okrzyki od strony piwnicy.

— Mamy oszusta. Mamy go!

Pozostali goście, a także papiescy żołnierze postąpili znowu ku scenie; natychmiast ruszyli przeciwko nim ludzie Otranto.

— Żadnego gwałtu! — zawołał Zygisbert groźnym głosem. — Zobaczmy, co pan inkwizytor wywlecze na światło dzienne!

Napięcie rozładowało się w śmiechu i wszyscy, którzy dotrwali: z ciekawości, ze strachu, z pobożności — tych była zresztą większość — przepychali się do przodu, aby być jak najbliżej miejsca wydarzeń.

## W HADESIE

*Konstantynopol, jesień 1247*

Hamo nieskładnie sterował między kolumnami rozchybotaną łodzią. Czółno kołysało się gwałtownie. Chłopak nie był nawykły do posługiwania się żerdzią i łódka ocierała się wciąż o kolumny, które jak setki obrzydliwych przeszkód wyrastały przed nimi z ciemnej wody.

Dzieci przycupnęły bez ruchu na dziobie. Nie bały się, lecz nie chciały, żeby Hamo jeszcze bardziej się rozzłościł.

Mając normalną parę wiosł, już dawno by zostawił za sobą podziemny las kolumn. Do tego działała mu na nerwy ta niesamowita cisza, w której każda spadająca ze sklepienia kropla wywoływała w nim wzdrygnięcie. Czy ktoś prócz nich jest w cysternie, ukrywa się za najbliższymi kolumnami i za chwilę wypadnie jak strzała gdzieś z boku? A może podąża cierpliwie ich śladem?... Ilekroć próbował się rozejrzeć, schodził z kursu. I tak nie był już pewien, czy nie zgubił właściwego kierunku, czy nie płynie zygzakiem lub nie krąży w kółko. Jedna kolumna była podobna do drugiej, stały w równych odstępach, końca jeziora i wyjścia nie widział. A może już je przeoczył?

Postanowił, że teraz będzie płynął cały czas na wprost, gdzieś przecież musi natknąć się na ścianę, wzdłuż której potem poprowadzi łódź. Czuł się bardzo wyczerpany, a jednocześnie napięty.

Obecność Rosza i Jezy nie ułatwiała zadania. Odpowiedzialność ciążyła mu jak zmo-  
ra na karku, na piersiach, wszędzie, jej ucisk zapierał dech. Tym razem nie były to nic  
nie znaczące sieroty, w dodatku nie miał u boku Guiscarda.

Najpierw musiał przynaglać dzieci do pośpiechu, gdyż oczekiwały, że William za-  
raz się zjawi i wciąż rozglądały się za nim. Starając się nie okazywać własnego strachu,

z trudem zdołał je wreszcie nakłonić, by opuścili pawilon, z którego musiały koniecznie zabrać ulubione zabawki: sztylet, łuk i strzały.

Dotarłszy do podziemnej cysterny, wsiedli do przygotowanej łodzi, ale Jeza uparła się, żeby najpierw znaleźć jeszcze jedno czółno dla Williama, który z pewnością wkrótce nadejdzie. Hamo krążył więc pod ogromnym sklepieniem, aby między setkami kolumn wyszukać jakąś łódkę, pragnąc przy tym jak najszybciej opuścić to miejsce, bo przecież wiedział, że do cysterny prowadzi wiele tajnych dojazdów i w każdej chwili mogą się zjawić prześladowcy.

Odkryli wreszcie na pół zatopione czółno, przyciągnęli je do pomostu i mocno przywiązali. Mimo dąsów dzieci wyczerpywać wody Hamo już nie pozwolił, lecz szybko ruszył w drogę. Jego, właśnie jego, który nie chciał mieć nic wspólnego z machinacjami matki i jej przyjaciół, który już raz ledwie uszedł z życiem, któremu Wielki Plan wychodził gardłem, jego te dzieci znowu doścignęły, a on nie mógł ich pozostawić samych. Musiał dopłynąć.

I jakby nieznaną moc przeznaczenia wysłuchała go akurat teraz, w chwili potrzeby, zobaczył nagle przed sobą kraniec cysterny i schody prowadzące na tamę. Ostatnim pchnięciem żerdzi dobił do brzegu.

Rosz z Jezą wyskoczyli i wbiegli na schody. Pamiętali drogę, którą kiedyś przebyli. Nim Hamo zdążył odłożyć tyczkę, byli już na murze.

— Krata jest otwarta! — krzyknęła Jeza zachwycona i popędziła w dół. Rosz, który musiał najpierw łuk założyć porządnie na ramię, pospieszył za nią, ale ledwie Hamo zdążył przywiązać łódź do pachołka, chłopiec zjawił się znowu na tamie blady jak kre-  
da.

— Krata się poruszyła, jakby miała się zamknąć — powiedział cicho. — Chociaż nie nadepnęliśmy na próg — dodał od razu.

Hamo podniósł żerdź od łodzi, Rosz nałożył strzałę na cięciwę i pospieszyli do Jezy. Stała wyraźnie wzburzona pośrodku niskiego pomieszczenia przy miedzianej rurze.

— Według mnie ktoś tu jest! — oświadczyła.

I wtedy ze szczękiem zamknęła się za nimi żelazna brama. Najeżone stalowymi kółkami skrzydła wprawiła w ruch niewidzialna ręka. Jak się teraz okazało, kolce były tak uszeregowane, że nawet kot by się nie przecisnął — nadziałyby się na nie z obu stron!

— Założę się — powiedział Rosz w pełnej przerażenia ciszy — że przednia krata też jest zamknięta.

— Spróbujmy jakoś wrócić do łodzi. — Hamo drżał jak osika. — Boję się zostać tutaj.

Jeza pobiegła z powrotem w kierunku kraty, ale całkiem blisko nie ośmieliła się podejść. Wyglądało to zbyt niebezpiecznie — szpikulce patrzyły na nią jak złe oczy, zresztą i tak zobaczyła dostatecznie dużo.



— Tego nikt nie otworzy — oznajmiła rzeczowo. — Jesteśmy zamknięci.

Wróciła do towarzyszy, którzy stanęli przy fałszywej kolumnie, jakby ta miedziana rura miała ich obronić. Nikt nic nie mówił, ale każdy miał nadzieję, że przednia krata, prowadząca do kloaki, a więc na wolność, jednak się otworzy.

Tyczka, którą Hamo zabrał z łodzi, była o wiele za długa do tego niskiego pomieszczenia. Uderzył nią o sufit i wyslizgnęła mu się z ręki, trąc rurę, która wydała głośno huczący ton. Zwielokrotniony przez echo, zabrzmiał dziwnie uspokajająco.

Hamo podniósł żerdź i zaczął uderzać w rurę raz po raz, aż całą salę napełniło huczące dudnienie, tłukł w rurę w szalonej rozpacz. Dzieci cofnęły się, aby ich przypadkiem nie uderzył. Drąg złamał się w końcu na dwa kawałki. W ucichającym dudnieniu spojrzenia uwięzionych padły przez przednią kratę na leżące za nią schody — i zobaczyły czyjeś nogi. Po spodniach dzieci rozpoznały natychmiast idącą osobę: był to Jarcynt; u jego boku tańczył Styks.

Kucharz i pies bez pośpiechu przebyli następne dwa, trzy stopnie... Trwało to wieczność, jednakże zamkniętym zaświtała nadzieja, że teraz nastąpi koniec ich biedy, że nadchodzi ratunek! Ale gdy ich oczom ukazał się nagi tors ze srebrnymi obręczami na muskularnych ramionach i dziwnym tatuażem, gdy ujrzeli w ręku Jarcynta potężną damascenkę, ostrą jak nóż zakrzywioną szablę, świadomość straszliwego zagrożenia dotarła do nich tak szybko, jakby słońce przedarło się nagle przez chmury.

Kucharz wzrok miał szklany, cały był jak przemieniony, jak z innego świata. Łysą głowę przewiązał czerwoną opaską, lecz nie było w nim nic z dzielnego pirata. Był katem! Katem, który już w Pawilonie Złudzeń, krążąc całą noc, czyhał na Benedykta.

Jarcynt dotknął kraty, która się rozwarła, i jak to było w jego zwyczaju, bezgłośnie wszedł do pomieszczenia. Styks nie odstępował swego pana.

Hamo nie wytrzymał. Chwycił przełamana żerdź, bo nie miał innej broni, i ruszył do przodu.

— Chcesz nas tutaj utopić? Zabić?

Zamierzył się na kucharza, lecz Jarcynt odparował niezręczny cios, a jednocześnie sam zadał uderzenie, tak że Hamo zatoczył się do tyłu.

— Zejdźcie mi z drogi, młody panie — powiedział spokojnie. — Do was nic nie mam.

Jeza i Rosz, którzy zostali przy kolumnie, popatrzyli po sobie. Spojrzenie Rosza było pełne smutku, walczył ze łzami, ale w zaciśniętych pięściach trzymał łuk z nałożoną strzałą, tylko ręce mu drżały. Jeza uśmiechem dodawała mu odwagi.

Hamo zebrał się w sobie, rzucił spojrzenie do tyłu na dzieci.

— Musisz najpierw mnie zabić! — krzyknął do kucharza i zamachnął się niespodziewanie, mierząc w nogi. Jarcynt uskoczył, Styks warcząc wyszczerzył zęby.

— Nie zmuszajcie mnie do tego! — syknął Jarcynt rozdrażniony, lecz Hamo uderzył

znowu. Jarcynt zrobił unik i Hamo poleciał do przodu, dzieci krzyknęły przeraźliwie. Kucharz podniósł szablę i rękojeścią uderzył młodego hrabiego w skroń. Hamo padł jak worek na ziemię, ułamany drąg potoczył się na bok.

Nie marnując czasu na nieprzytomnego chłopaka Jarcynt ruszył powoli ku dzieciom.

— Dlaczego chcesz nas zabić? — zawołał Rosz żałośnie. Jeza nie odezwała się ani słowem. W jej zielonych oczach, teraz wąskich jak szparki, błyszczała zimna wściekłość.

— Uklęknijcie i zamknijcie oczy — powiedział Jarcynt łagodnym głosem, jakim zawsze odsyłał dzieci do łóżka.

Rosz posłuchał, zgiął kolano, aż dotknęło kamienia, opuścił łuk, zamknął oczy i nadstawił kark. Jeza ani drgnęła, mierzyła tylko Jarcynta wzrokiem, co tak go irytowało, że wciąż zerkał na nią z góry, chociaż już uniósł szablę.

Naraz Rosz poderwał łuk i wypuścił strzałę. Wbiła się dokładnie w prawe oko kucharza. Jarcynt zawył głośniejszym niż byk w płonącej stajni, zatoczył się do tyłu i krzyknął na psa:

— Bierz ich, bierz!...

Chwiejąc się cofał krok po kroku do przedniej części pomieszczenia.

Dzieci wstrzymały oddech. Jednakże tuż przed rozwartą paszczą kraty Jarcynt zatrzymał się i zaśmiał z siebie i ze swoich ofiar! Ten śmiech przejmował dreszczem. Ciemna krew płynęła mu z oka — strzała nie dotarła do mózgu. Kucharz wyrwał ją razem z okiem, na co Styks wreszcie zareagował: rozgryzł koniec strzały i wylizał galaretowatą masę. Jarcynt tego nie widział.

— Bierz ich, bierz! — krzyczał na psa i macał koło pasa szukając flakoniku z piżmem.

— Styks! — zawołała Jeza dźwięcznym głosem. — Styks, kochany, chodź tutaj! — I pies skoczył przyjaźnie w kierunku, skąd dobiegał znajomy głos. Dziewczynka otoczyła ramieniem gruby kark psa, który zaczął merdać ogonem.

Tego było już dla Jarcynta za wiele.

— Styks! — ryknął przejmująco.

Pies nie ruszył się z miejsca.

— Styks! — zawołał kucharz jeszcze raz. W jego głosie słychać było straszliwe pomieszanie do głębi zranionej miłości i bezdennej nienawiści. Zakołysał szablę: rozplątane czaszki też może przecież oddzielić od tych zuchwałych szyj!

Rzęząc, chwiejnym krokiem ruszył ku dzieciom. Rosz w zdenerwowaniu upuścił strzałę i nie odważył się po nią schylić. Jeza wyskoczyła przed niego; w garści trzymała sztylet, wcale się z nim nie kryjąc, przeciwnie niż wpajał jej Guiscard. Pionowa hohenstaufowska zmarszczka gniewu pojawiła się na jej czole. Ruszyła w stronę Jarcynta, który zatrzymał się zdumiony. Czyżby chciała wystąpić z nożem przeciwko jego szabli?

Nagle dostrzegł swego psa, który dreptał za dziewczynką. Kucharzowi zalśniło złośliwie nabiegłe krwią jedyne rybnie oko. Odkorkował flakon...

Jeza podchodziła coraz bliżej, trzymała sztylet przed sobą, jakby chciała go wręczyć prześladowcy.

— Chodź — szepnął Jarcynt przymilnie. — Chodź, daj mi sztylet! Jeza podniosła rękę, przesunęła broń za głowę, poczuła stal przez włosy.

— Masz! — powiedziała i cisnęła sztylet w Jarcynta.

Nie leciał szybko, ale koziołkował. Kucharz nie zdołał ani go złapać, ani się uchylić. Piżmowy olejek rozlał się po jego nagiej piersi.

Zanim jeszcze zapach rozszedł się w powietrzu, Styks wystrzelił w stronę kucharza. Zderzenie z wielką siłą rzuciło Jarcynta na kratę. Pies już wisiał u jego gardła, gdy zatrzasnęły się szczęki stalowej paszczy. Kolce przebiły psa i jego pana z tak niesamowitym odgłosem, że Jeza po raz pierwszy zamknęła oczy, nie widziała więc już sterczących z ciała ostrzy i tryskającej, a później spływającej krwi.

Nagle zrobiło się bardzo cicho. W tej ciszy Rosz pierwszy usłyszał podejrzany zgrzyt. W swym ślepych zabójczym szale Styks zaczepił o łańcuch od śluzy i prawie go wyrwał z uchwytu, wpuszczonego w podłogę akurat w równej odległości od Rosza przy fałszywej kolumnie i Jezy przed kratą. Patrzyli oboje na hak, który na ich oczach powoli się odginał.

Jeza odstąpiła w bok, a łańcuch świsnąwszy w powietrzu, uderzył z brzękiem o żelazną kratę. Rolka skrzypnęła i dębowa zastawa śluzy opadła głucho, zamykając jedyny odpływ w tamie po drugiej stronie kraty z nadzianym na kolce Jarcyntem i jego psem. Cichy plusk w rynnie zamarł. Woda szybko wystąpiła z jej brzegów i zaczęła rozlewać się coraz szerszą kałużą po kamiennej posadzce.

— Och, Styks! — szepnęła Jeza. — Tego nie chciałam!...

Odkąd na jej oczach kratka się zatrzasnęła, dziewczynka nie odwróciła się już w tamtą stronę. Tylko Rosz patrzył wciąż jak zaklęty na bramę, na której Jarcynt i jego pies wisieli jak jedno ciało. Nie mógł oderwać wzroku od tego obrazu, ale nie był też w stanie podejść bliżej.

— Musimy ocucić Hamona! — powiedział.

Ujął ułamaną żerdź i uderzył w miedzianą rurę. Jeza zaczerpnęła dłońmi wody z rynny, podeszła do leżącego wciąż bez przytomności Hamona i spryskała mu twarz. Poruszył się z jękiem.

— Myślałam już, że jesteś martwy — powiedziała głośno. — Teraz się topimy. A topienie się jest niebezpieczne — dodała poważnie.

Woda rozlała się już na wysokość palca i dosięgnęła również Hamona. Podniósł się na rękach i potrząsnął głową, na której można było dostrzec krwawy guz.

— Wstań, Hamo — zachęcała go Jeza. — Topimy się!

Rosz walił jak szalony w rurę. Jej dźwięk nie był już jednak rozlegającym się głośno dudnieniem, lecz jakby dochodzącym z głębi stłumionym odgłosem. Woda sięgnęła brzegu rury i podnosiła się nieustannie.

## ROSZADA

*Konstantynopol, pałac Kallistosa, jesień 1247*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Przyszedłem do siebie, gdy wleczono mnie po schodach jak zaszlachtowaną świnię z piwnicy na górę. Dwaj mnisi w czerni trzymali mnie pod ramiona; kto złapał mnie za nogi, nie mogłem zobaczyć, bo głowa zwisała mi do tyłu i to uderzała o kant stopnia, to znów podskakiwała kopnięta obcasem kóregoś z niosących, tak że owo „przyjście do siebie” na dobrą sprawę było częściowe. Niestety, piękne nakrycie głowy, które by ją z pewnością ochroniło, straciłem na nożach Ostatniej Drogi. Krwawiłem straszliwie. Pachołcy Wita musieli mnie na siłę wyrwać z najeżonego ostrzami leja. Wściekły Wit nie robił sobie wiele ceregieli z grubym czopem, choćby dlatego, że wprawdzie pokazałem mu drogę ucieczki dzieci, ale było za późno, żeby je ścigać.

Kiedy dotarliśmy na górę, co z ulgą zauważyłem, gdyż moja głowa przestała wreszcie liczyć stopnie, mignął mi nagle między czarnymi habitami mych prześladowców jeden brązowy. Benedykt! Przyprawiono również Polaka.

Ciało paliło mnie żywym ogniem, pod czaszką huczało mi jak w kotle, w który wali się podczas bitwy, pragnąłem tylko, by moi oprawcy rzucili mnie w końcu na ziemię i pozwolili mi się w spokoju wykrwawić, uratować przechodząc na drugą stronę, w chmury, gdzie ból znika razem ze zmysłami. Lecz zamiast tego grubiańskie ręce postawiły mnie i przytrzymały prosto jak krwawiącą kiełbasę, w którą wbito tysiąc szpi kulców. Na moich oczach Wit wepchnął raczej niż wprowadził na scenę Benedykta, gdzie już znajdował się Pian. Widziałem najpierw milcząco podnieconą, potem wyjąca zgrają przed sceną, wszyscy w sali cisnęli się teraz do przodu. Z wykrzywioną twarzą Wit przysunął Benedykta do misjonarza, poderwał rękę Polaka w górę, jakby chciał ogłosić zwycięzcą pięściarza.

— Oto prawdziwy towarzysz Jana z Pian del Carpine! — ryknął tryumfująco. — Nie żaden William — rżęząc pokazał na mnie, chwiejący się, galaretowaty wór — lecz Benedykt z Polski ma w istocie... — Nie słyszałem już jego wrzasku, coraz bardziej kręciło mi się w głowie.

— *Huwa sadik mubassir!*\*

---

\* Huwa sadik... (arab.) — oto prawdziwy towarzysz wysłannika.

Arabscy kupcy wskoczyli na scenę jak koty, wyciągając sztylety. Ostrze jednego zato-  
piło się w piersi Benedykta raz, drugi i trzeci, potem żelazo błysnęło także przede mną,  
lecz trafiło mnie tylko w ramię, gdyż niby wilk szczerząc zęby Wit rzucił się na mojego  
napastnika z przeraźliwym okrzykiem:

— Asasyni!

Benedykt, czepiając się Piana, runął na ziemię. Jego zabójca, młodszy z kupców, jed-  
nym skokiem dopadł małego okna, które prowadziło na okap nad wejściem do pała-  
cu. Ale mój napastnik nie zdołał się uratować. Wit zarzucił mu na szyję zwisający luźno  
z ręki koniec łańcucha i udusił go wyćwiczonym katowskim chwytem. Sztylet wypadł  
z brzękiem z bezwładnej ręki miłego starszego Araba.

Dopiero gdy silne ręce templariuszy oderwały viterbczyka od jego ofiary, pozbawio-  
ne życia ciało zważyło się na podłogę obok Benedykta, który już leżał martwy.

Ja odebrałem ukłucie jako dobrodziejstwo, jako cios wyzwalający. Mnisi w czerni  
wreszcie mnie zostawili, by zatroszczyć się o własne bezpieczeństwo. Osłabły, ja także  
osunąłem się na ziemię i ległem sztywny. Śmierć przysła z pewnością również do mnie,  
ale dlaczego pracował jeszcze mój umysł, i to wciąż tak uważnie? Nie mogłem już po-  
ruszyć żadnym muskułem, nawet gałki oczne zamarły mi na lód, widziały jeszcze, lecz  
nie mogłem nimi obracać, słyszałem też ostro i wyraźnie wszelkie odgłosy.

Sala zakipiała wreszcie jak mleko zapomniane na ogniu. Między nogami stojących  
wokół mnie osób widziałem, jak Zygisbert polecił ludziom z Otranto otoczyć hrabinę  
i Klarion, przy których była Madulajn. Nigdy już nie spojrzę w piękne oczy mojej księż-  
niczki! Widziałem, jak z podniesionym sztandarem opuszczają salę, zostawiając mnie  
rozciągniętego na scenie, ja zaś nie mogłem ich zawołać. A chętnie przed ostatecznym  
odejściem przekazałbym im pozdrowienia dla dzieci, kazałbym powiedzieć, że William  
także z nieba pragnie ich strzec i bronić, że je kocha z całego serca...

Naraz Wit i Szymon zauważyli wymarsz oddziału Otranto.

— Nie pozwólcie im uciec! — zawył viterbczyk.

— Jak chcesz ich zatrzymać? — zadrwił Szymon. — Też gołymi rękoma?

— I tak nie ujdą — uspokoił obu Fra' Ascelin. — Nasz statek... — urwał zerknąw-  
szy przez okno na Złoty Róg. Papieski szybki żaglowiec z wydętymi żaglami opuszczał  
właśnie port.

— Zatrzymać go, zatrzymać! — ryczał Wit, jakby jego głos mógł dotrzeć do kome-  
danta portu. — Ktoś musi... — wydał z siebie dziwne rzeżenie.

Zaraz dostanie apopleksji, pomyślałem, i też opuści ten padół. Doskoczył do okna.  
Teraz rzuci się w dół, ucieszyłem się, ale oparł się tylko z jękiem o framugę i patrzył  
w osłupieniu za odpływającym statkiem.

— Jak mógł kapitan... zabiję go! — Potrząsnął pięściami, tak że zadźwięczały wiszą-  
ce luźno łańcuchy. — Kto teraz zatrzyma tę przeklętą hrabinę?

— Dzieci złapiesz innym razem! — drwił Anzelm, kipiąc zapewne z wściekłości.  
— Dzięki swojej genialnej strategii wymieniłeś nasz statek na Williama z Roebruku, którego możesz sobie wynieść jako trofeum na własnych plecach...

— Moim skromnym zdaniem — biskup z rozkoszą przyłączył się do wykpiwania viterbczyka — William nie nadaje się już do noszenia.

Wokół siebie widziałem niezliczone nogi.

— William nie żyje! — zawyrokował głos Gawina. Dłoń templariusza przesunęła się po moim zimnym czole, czego nie poczułem, i ze znajomością rzeczy zamknęła mi powieki na zastygłych oczach...

## HONOR OTRANTO

*Konstantynopol, port, jesień 1247*

Woda sięgała Hamonowi już do kolan, a dzieciom po brzuchy. Podnosiła się nieznacznie, ale bez ustanku. Stali przy kolumnie, jedynej w tym pomieszczeniu, której mogli się przytrzymać, jeśli to jeszcze miało sens. Dawno już zaprzestali kawałkami żerdzi tłuc w pogiętą rurę — nie wydawała teraz żadnego dźwięku. Złamany drąg pływał gdzieś w wodzie.

Podeszli dzielnie we trójkę do tylnej kraty, która ani drgnęła. Do przedniej nie ośmielili się zbliżyć. Tylko Jeza, nim woda przykryła całą podłogę, pomaszerowała w tamtym kierunku ze wzrokiem utkwionym w swój sztylet leżący na posadzce. Zabrała go, nie spoglądając w górę na ciała, i znowu wetknęła sobie za kołnierz. To było wszystko, co dało się zrobić.

Nie wyobrażali sobie, że można się tak powoli topić. Było to prawie nudne. Nawet Rosz się nie skarżył, był tylko bardzo cichy i poważny. Jedyne Hamo jęczał i robił wielką sprawę ze swego guza. Jak można być tak głupim, żeby chodzić bez broni?, pomyślała Jeza. Hamo miał ogniście zaczerwienione ucho, co go wcale nie czyniło piękniejszym, raczej komicznym. On nigdy nie zostanie rycerzem! Bez przerwy czerpał dłonią wodę i dla ochłody polewał sobie skroń. Kiedy woda podniesie się wyżej, nie będzie już nawet musiał się schylać. Tylko że wówczas ona i Rosz będą już dawno utopieni...

Tak to się chyba stanie. Utopią się! Nie umieli przecież pływać tak jak Hamo, bo nigdy nie wolno im było w Otranto zejść na dół, do morza, albo przynajmniej do portu, gdzie cumowała triera. Hrabina sama jest temu winna! Teraz może długo czekać, szukać ich wszędzie... Nigdy oczywiście nie przyjdzie jej do głowy, żeby zajrzeć tutaj. Prawdopodobnie w życiu nie weszła do kloaki z powodu szczurów. A Klarion? Ta by dopiero wyła!

Jeza przysunęła się powoli do mężczyzn. Rosz był prawdziwym rycerzem. Jej rycerzem! Objęła go ramionami.

— Dobrze, że jesteśmy razem — powiedziała cicho.

Coś z tajemniczego uśmiechu jej zielonych oczu udzieliło się chłopcu.

— Trzymaj się mocno — rzucił szorstko i oparł jej ręce o kolumnę. W rzeczywistości cieszył się, że Jeza jest tuż przy nim. Sprawiała mu dodatkową przyjemność, kładąc na jego dłoniach swoje.

I wtedy rura drgnęła! Poruszyła się całkiem wyraźnie!

Hamo chwycił ją teraz także, ale miedziana kolumna drżąc wyslizgnęła mu się z rąk. Ktoś za nią ciągnął! Nie wiedzieli, czy powinni ją trzymać, czy puścić, toteż na wszelki wypadek postanowili jej nie dotykać. Po chwili otwarty koniec rury wysunął się z pluskiem z wody i zniknął w skalnym suficie, a z powstałego otworu wielkości tarczy posypał się piasek i pył kamienny. Patrzyli, jak komin z boku się rozszerza — ciężki dopasowany kamień najpierw zazgrzytał, a potem z głuchym łoskotem zniknął. Przez otwór nie mogli wprawdzie zobaczyć błękitnego nieba, ale przynajmniej zabłysło światło jaśniejsze niż na dole, w tym grobowcu. Usłyszeli czyjeś głosy, opuszczono linę.

Kołysała się jeszcze nad ich głowami, gdy już jakiś templariusz zaczął zjeżdżać po niej niczym marynarz z masztu i po chwili z pluskiem wylądował w wodzie.

— Wszystko w porządku! — zawołał w górę. — Dzieci są całe! Młody hrabia też!

— Dzięki — rzekł Hamo i podał mu Jezę, z którą templariusza wciągnięto do góry.

— ...w taki sposób dzieci zostały uratowane! — zakończył swój raport rycerz stojący przed czarną lektyką.

— Przyprowdźcie je do mnie — odezwał się głos z wnętrza. Templariusz wycofał się i podszedł do grupy stojącej jeszcze wokół otworu w ziemi. Przywołał Rosza i Jezę, którzy się przyglądali, jak Hamo wydostaje się z cysterny o własnych siłach. Zaciekawieni pospieszyli za rycerzem.

— Kto chce nas widzieć? — spytał Rosz, ale templariusz z uśmiechem położył palec na ustach. — Rozumiem — pokiwał głową Rosz — wielka tajemnica!

Jeza pobiegła przodem i beztrąsko odsunęła czarną zasłonę. W środku siedziała stara dama, która pomogła jej wejść.

— Chodźże, Rosz! — zawołała Jeza na chłopca, który chciał czarne pudło obejrzyć najpierw z zewnątrz.

— Nie każ na siebie czekać — dodał towarzyszący dzieciom rycerz i przyjacielsko popchnął Rosza do przodu. Zasłonę w lektyce za chłopcem natychmiast zaciągnięto.

Hamo tymczasem rozejrzał się wokół. Znajdował się w jakiejś świątyni. Między kolumnami widać było w dole wstęgę Bosforu. Leżący na boku brązowy posąg bogini podnoszono właśnie i stawiano za pomocą lin i belek. Okrągły gruby kamienny cokół

zatkał już otwór, przez który się wydostali.

— Skąd wiedzieliście, że jesteśmy na dole? — zwrócił się Hamo do Wilhelma z Gisors, którego widział w pierwszym rzędzie obok francuskiego posła.

— Temida nam powiedziała — uśmiechnął się piękny rycerz, a ponieważ z miny Hamona wyczytał, że ten nic nie rozumie, wyjaśnił: — Tutejsi ludzie myślą wprawdzie, że to świątynia Nemezis, ale posąg przedstawia boginię sprawiedliwości z wagą w jednej i z mieczem w drugiej ręce.

— Ale jak posąg mógł wam powiedzieć, że my... — rozum Hamona buntował się przeciwko takiemu tłumaczeniu, Wilhelm jednak mówił dalej:

— Artysta, który stworzył posąg, zaopatrzył go w mechanizm: kiedy w cysternie łańcuch toczy się po rolce i zastawa zamyka służę, Temida opuszcza w dół wagę i podnosi miecz. Kiedyśmy was szukali, przybiegł ktoś okropnie przerażony z wieścią, że Nemezis, bogini zemsty, nagłym szarpnięciem opuściła wagę i podniosła miecz, a to zły omen, zapowiadający nieszczęście, morowe powietrze i krew, w ogóle zgubę dla miasta. Wtedy — roześmiał się Wilhelm — na drżącego ze strachu człowieka posypał się deszcz złota, bo zrozumieliśmy, gdzie jesteście, i mogliśmy pospieszyć wam na ratunek.

— Chyba ludzie mają jednak rację, że to miejsce przypisują nie Temidzie, lecz Nemezis... — rzekł Hamo w zamyśleniu. — Nie macie pojęcia, co tam się stało, zanim woda zaczęła się podnosić...

— Owszem, dowiedzieliśmy się i tego, ale nasza władczyni prosi, żebyście zachowali milczenie.

— Jak to? — zawołał Hamo. — Mam nie opowiadać o zdradzie Jarcynta, o bramach śmierci z żelaznymi kolcami, które...

— Tak! — odparł poważnie Wilhelm. — Ani słowa do nikogo!

— Począł, aż opadnie wzburzenie Hamona. — Nasza władczyni jest rozgniewana, że dzieci w ogóle narażono na takie niebezpieczeństwo. To nie powinno było się zdarzyć! — Popatrzył na Hamona surowo. — Musisz przysiąc.

Hamo poczuł się potraktowany poważnie, jak mężczyzna.

— Moje usta są zapieczętowane — oświadczył uroczyście. — Ale co z dziećmi?

— Dzieciom zostanie to wytłumaczone. Nie będą o tym mówić.

Tymczasem świątynię Nemezis przywrócono do poprzedniego stanu — bogini trzymała znowu miecz i wagę w równowadze. Sierzanci podnieśli lektykę i rycerze w białych płaszczach z czerwonymi krzyżami ruszyli w drogę.

Szli opadającymi ogrodami, omijając stare miasto, a potem wzdłuż nabrzeża, póki w oddali nie ukazała się triera.

Dzieci wysiadły z lektyki w dobrych nastrojach. Czterej rycerze odprowadzili je z Hamonem pod sam statek. Rosz i Jeza rwali się na pokład, ale Hamo popatrzył najpierw jak doświadczony wojownik, czy droga do triery jest wolna od nieprzyjaciół i czy



nie zastawiono jakiejś pułapki, i dopiero wtedy pozwolił im pobic.

Z bojowym okrzykiem, wywijając bronią, popędziły dzieci ku Guiscardowi, który podniósł je do góry i kręcił się z nimi w kółko, używając zręcznie jako wspornika swej drewnianej nogi.

— Wiedziałem, że przyjdziecie — powiedział ucieszony. Hamo zauważył tymczasem, że triera jest gotowa do odpłynięcia. — Powiedział mi Wawrzyniec z Orty — dodał. — Pan legat przeszedł na pokład papieskiego statku, który stanął obok nas zagrażając nam drogę, okazał się listem i pieczęcią i polecił natychmiast odpływać. Kapitan ociągał się najpierw, bo wiozł innego legata, ale nadbiegli dwaj nestoriańscy kapłani, posłowie wielkiego chana, i zaczęli wołać, że wszyscy zginęli, asasyni zamordowali w pałacu biskupim pana Ascelina i pana Szymona i najlepiej natychmiast ruszać do papieża. Wtedy kapitan kazał postawić żagle i odbijać... — Guiscard sapnął krótko i gniewnie. — Mnie to akurat odpowiadało. Nie byłem zachwycony obecnością papieskich, i to przy rufie! — Spojrzał z ukosa i wyszczerzył zęby do Hamona. — Ale według mnie minoryta zełgał, żeby zabrać statek dominikanom.

Hamo był wciąż mocno wzburzony, ucho go paliło, guz napuchł i bardzo bolał.

— Naprawdę doszło do walki? — Amalfitańczyk nie traktował rany tragicznie, najwyżej żałował, że go przy tym wszystkim nie było.

— Coś się działo! — zawołała Jeza wielce zadowolona. Strząsnęła z siebie niedawne wydarzenia tak, jak teraz krople wody ze swych mokrych spodni. — Ludzie klaskali...

— ...i krzyczeli! — wmieszał się Rosz, — A Wawrzyniec opowiedział historię o wielkim chanie...

— ...który komuś chciał uciąć głowę z naszego powodu — dodała Jeza zachwycona. — A potem zjechaliśmy w dół i prawie się utopili!

Rosz rzucił jej wymowne spojrzenie i Jeza przerwała swą relację.

— A hrabina? — zwrócił się do Hamona zatroskany Guiscard.

— Właśnie nadchodzi! — odparł krótko zagadnięty i już chciał uciekać.

— Zostańcie, panie — rzekł cicho Amalfitariczyk z naciskiem w głosie. — W potrzebie Otranto musi stać murem. — Jednym rzutem oka dostrzegł bowiem, że damy eskortuje Zygisbert z obnażonym mieczem i że wszyscy są niezwykle wzburzeni.

— Wynosimy się stąd natychmiast! — zawołała hrabina, zaledwie znaleźli się na pokładzie. — Odbijaj! — krzyknęła do Guiscarda.

— Gdzie William? — spytała Jeza roztrzęsionej Klarion, która nie wiedząc, co odpowiedzieć, odwróciła się do Zygisberta. Rycerz jako jedyny pozostał na nabrzeżu, podczas gdy na statku odczepiano już cumy.

— William jest...

— William jest ranny i nie może z nami płynąć — oznajmiła hrabina opryskliwie. — Odbijać!

— Nie! — krzyknął Rosz i wyskoczył na nabrzeże. — Nie odpłyniemy bez Williama!

— Wracaj natychmiast! — wrzasnęła Laurencja.

— Nie! — zawołał Rosz donośnie. — Otranto! Do mnie! — Stał na brzegu i wszyscy czuli siłę woli chłopca. — Idziemy po Williama!

— Przyprowadź dziecko na pokład! — poleciła hrabina Guiscardowi.

— Przyprowadźcie go tutaj! — fuknęła na Zygisberta.

Hamo pierwszy zszedł z pokładu na brzeg.

— Honor Otranto wymaga — zwrócił się do wioślarzy, Maurów i kuszników, którzy ciasno stłoczeni stali przy relingu i w milczeniu obserwowali ten pojedynek — żebyśmy postąpili tak, jak powiedział Rosz!

— Zostaje tylko warta! — rozkazał krótko Guiscard. — Reszta do pałacu!

Żołnierze zeszli więc ponownie na ląd, tylko że tym razem wioślarze nieśli na ramionach swe budzące grozę zaopatrzone w kosy wiosła, i oddział ruszył za Roszem. Hamo otoczył chłopca ramieniem.

— Zapomniałeś łuku.

— Dziecinna zabawka! — odparł Rosz i upewnił się, że idzie za nimi sztandar.

— Szkoda — zauważyła na pokładzie Jeza — że my, kobiety, nie jesteśmy rycerzami!

— Możemy im pomachać — zaproponowała Klarion i zaczęła to robić z zapalem. Nagle zobaczyła, że Jeza, która po cichu od niej odeszła, niepostrzeżenie wydostała się zręcznie jak łasica na brzeg i popędziła za odchodzącymi.

Klarion patrzyła z dumą za oddziałem wojska, które skierowało się ku staremu miastu. Straż tylną tworzył Zygisbert, co wszyscy przyjęli z wdzięcznością. Olbrzymi rycerz prowadził Jezę za rękę.

## ZNIKNIĘCIE GRAALA

*Konstantynopol, jesień 1247*

— Żądam wydania tego kacerskiego arcykapłana — palec Wita godził w nieprzenikniony mur templariuszy, jakby chciał przekłuć Jana Turnbulla — i postawienia go przed trybunałem Inkwizycji! Ten biskup z *Terrae Sanctae* powinien też...

Dalsze wrzaski viterbczyka na znak Anzelma przerwano. Jeden z żołnierzy, którzy trzymali Wita mocno jak psa podejrzanego o wściekliznę, zdławił mu głos żelaznym pierścieniem obejmującym szyję inkwizytora.

Scena była podzielona na dwa wrogie obozy. Mur templariuszy, którzy mieli tutaj siłę miecza, tworzył granicę. W kącie, zasłonięci przez rycerzy, siedzieli oskarżeni: Jan Turnbull i Galeran. Zachowywali się tak, jakby żądanie viterbczyka nic ich nie obchodziło. Starzec tkwił wciąż jeszcze jak skamieniały na krześle i patrzył w przestrzeń pustym spojrzeniem, a biskup z Bejrutu wiercił się niespokojnie na swoim stołku; zmartwienia przysparzało mu tylko to, że nie było tu nic do picia. Przed milczącymi templariuszami stał ich komandor, a obok niego Mikołaj z La Porty.

Druga część sceny była w ręku papieskich. Wita otaczali przebrani w czarne habity „kluczowi” żołnierze, którzy po części z nim sympatyzowali lub przynajmniej mieli wątpliwości, czy powinni strasznego viterbczyka nadal utrzymywać w surowym posłuszeństwie, jak sobie życzył pan legat, Fra' Ascelin, czy też popierać jego napastliwość.

Służba biskupa usunęła zwłoki asasy, obu franciszkanów ułożyła przed ołtarzem. Kiedy Pian składał zmarłym konfratrom ręce na piersiach, spostrzegł rożek zwiniętego papieru wystający z kieszeni tatarskiego płaszcza, który okrywał doczesne szczątki Williama z Roebruku. Ponieważ dotąd z listami nie miał szczególnego szczęścia, spróbował ukradkiem zabrać papier.

Ale nawet przy ostatniej posłudze Szymon nie spuszczał z oczu swego brata z Asyżu.

— Precz z łapami, minorityto — syknął i na głos dorzucił: — Chcecie może sprzeniewierzyć następny dokument adresowany do kurii? — Dосkoczył do speszonego Piana i wyrwał mu pismo z ręki.

— Przeczytaj! — polecił Ascelin i jego towarzysz rozwinął zwój.

— „Legat Jego Świątobliwości Innocentego IV — przeczytałomal nie zadławiwszy się Szymon — dan w Sutri, w wigilię świętego Piotra A.D.1244...”

— Teraz sobie przypominam — powiedział nagle Anzelm, rzuciwszy jeszcze raz spojrzenie na twarz Williama. — To było w lipcu, Ojciec Święty jechał do Lyonu... Tak, ten człowiek był w Sutri!

— Fałszerstwo! — zachrypiał Wit, którego strażnicy z trudem utrzymywali w ryzach.

— To by świadczyło, że William z Roebruku rzeczywiście towarzyszył dzieciom do Mongołów...

— Nigdy tam nie był!

— A dzieci? — Ascelin obchodził się z Witem tak łagodnie, jakby jego również zaliczał już do zmarłych.

— Też nie! — wydyszał Wit, któremu przy każdym gwałtownym ruchu żelazny pierścień dławił szyję, tak że kark i szczękę miał całkiem opuchnięte. — Spytajcie je zresztą! — dodał szyderczo, gdyż pierwszy dostrzegł, jak oddział z Otranto wkracza do dosyć już opustoszałej sali.

Nie licząc „kluczowych” żołnierzy, którzy stali w dole sceny, na zalanej w tym miejscu posadzce, a więc z nogami po kostki w wodzie, i złości się, że legat nie pozwala im li-  
czebnej przewagi przeciwstawić tuzinowi aroganckich templariuszy, w Centrum Świata  
byli jeszcze uparci, nadgorliwi i niezaspokojeni gapie, którzy modlili się, śpiewali, trąbili  
lub tańczyli w ekstazie, hałasując tak głośno, że nikt nie usłyszał szczęku broni i kroków  
wchodzących żołnierzy. Oddział posuwał się naprzód w milczeniu; na jego czele siedł  
nieustraszony chłopiec.

— Nie tykać broni! — rozkazał ostro komandor, gdy zauważył, że kilku papieskich  
sięgnęło po miecze. Usłuchali polecenia, miny żołnierzy z Otranto mówiły bowiem wy-  
raźnie, że nie będą brali jeńców; trzymając na sztorc wiosła, rozglądali się zaciekle za  
chętymi do walki. Papiescy na dole rozstąpili się więc potulnie na boki, legat i jego gru-  
pa cofnęli się pod ochronny mur templariuszy, a żołnierze z sali wycofali się trwożnie  
na galerię.

Nawet Wit nie wydał żadnego dźwięku. Nie padło ani jedno słowo, śpiewy i bębnienie  
zamilkły jak ucięte nożem. Wszyscy patrzyli na Rosza, który bez cienia wahania wszedł  
między „kluczowych” żołnierzy, kazał Hamonowi podać sobie sztandar i ucałował płót-  
no z całą powagą.

Hamo chciał właśnie pójść w jego ślady, bardziej poruszony niż rozgniewany gestem  
chłopca, na który sam nie wpadł, gdy oczy wszystkich skierowały się ku wejściu do sali.  
Straż trzymał tam w otwartych drzwiach potężny rycerz zakonu krzyżackiego, oparty  
na szerokim mieczu. Od jego boku odłączyła się teraz delikatna figurka Jezy. Szła sama  
przez opustoszałą salę, aż znalazła się na środku. Tam przystanęła i skierowała mocne  
spojrzenie swych zielonych oczu na scenę, gdzie odnalazła wzrok Wita, który patrzył na  
nią z nienawiścią, ale milczał.

Wdzięcznym ruchem, pełnym pokory, Jeza uklękała.

— Pomódlmy się — powiedziała wyraźnie i głośno.

Ludzie zaczęli padać na kolana, jeden za drugim, jakby łagodna fala przetaczała się  
przez salę. Musieli jej ulec także stojący na scenie. Pierwsi uczynili to templariusze,  
choć przyklękli tylko na jedno kolano, modlił się biskup i Pian, który od razu gruch-  
nął na podłogę. I nagle okazało się, że stoi tylko trzon papieskiej grupy — żołnierze  
na sali dawno poszli za przykładem dziewczynki. Ascelin wzruszył lekko ramionami  
i również uklęknął, Szymon niechętnie poszedł w jego ślady. Nie ruszył się tylko jeszcze  
Wit. I wreszcie albo go zmusiło spojrzenie Jezy, albo żołnierz, który trzymał go za ob-  
ręcz na szyi, bo i on padł na kolana.

Wszyscy modlili się w milczeniu, choć z pewnością nie o to samo i nie z taką samą  
żarliwością jak Galeran. Nawet Turnbull, wyrwany z odrętwienia, złożył ręce i pochylił  
w pokorze siwą głowę: to były królewskie dzieci, dzieci Graala! Popęnił błąd. Nie on był  
wybrany, żeby je wynieść ponad innych: wyniosły się same! Dziękował za to Bogu.

Jeza podniosła się, skinęła głową Roszowi i wróciła do Zygisberta. Kuznicy trzymały napięte kusze wycelowane w papieskich; Maurowie wspięli się na scenę, położyli ciało Williama na normańskiej długiej tarczy i przykryli je sztandarem; wioślarze wzięli tarczę na ramiona i bez pośpiechu, groźnie zdyscyplinowani, wraz z całym oddziałem Otranto opuścili salę. Trwało to dobrą chwilę i dopiero gdy ostatni żołnierz hrabiny przekroczył próg, pozostali w Centrum Świata ośmielili się otworzyć usta.

— Chyba możemy już opuścić to miejsce — powiedział Fra' Ascelin, rzucając biskupowi spojrzenie, które nie obiecywało wielu podziękowań. Był zbyt zmęczony, aby teraz łamać sobie głowę nad doznanym właśnie upokorzeniem.

Tylko Wit nie wytrzymał dłużej.

— Wszyscy jesteście w znowie — rzekł nie podnosząc głosu. — Wszyscy uczestniczycie w sprzysiężeniu przeciwko papieżowi i Kościołowi. — Pojął instynktownie, że jego oskarżenie wywoła większy efekt, jeśli nie będzie się szarpał i krzyczał. Faktycznie pozwolono mu mówić. — Mongolski poseł, który przybył od wielkiego chana, to w rzeczywistości bastard hrabiny Otranto! — Na próżno czekał, że wzbudzi w słuchaczach przerażenie spowodowane poczuciem winy. Nie wyświadczyli mu tej przyjemności. — Obłudny William poniósł już karę: trafił do piekła. Benedykt też się dowiędzie, dlaczego musi tam spotkać swojego kompana. Wawrzyniec z Orty jest szpiegiem i zdrajcą, a Jan z Pian del Carpine krzywoprzysięzcą.

— *Pax et bonum!* — zadrwił Szymon z Saint-Quentin. — O tym przecież wiemy: wszyscy franciszkanie to zakłamanymi kacerzami!

Ascelin poczuł, że musi się jednak wmieszać:

— Ci ludzie to bez wyjątku mianowani przez papieża legaci — przywołał do porządku awanturników i zwrócił się do Wita: — A dwu z nich nie żyje z twojej winy!

Głos viterbczyka zabrzmiał falsetem:

— Odpowiadałoby ci, Anzelmie z Longjumeau, wystąpić z taką wersją przed papieżem. — „Kluczowy” żołnierz, którego zadaniem było za pomocą obręczy na szyi przeszkodzić Witowi w mówieniu, nie zważał na znaki legata, przeważała ciekawość, co się teraz wydarzy. Wit przyciszył głos stosownie do tajności wykrytego sprzysiężenia: — Przejrzałem twój spis, Ascelinie! Mogę wystąpić jako świadek i opowiedzieć, jak przypadkowo spotkałeś się z asasynami, pokazałeś im drogę tutaj i ułożyłeś z nimi te skrytobójcze mordy...

— Zatkaj mu pysk! — wrzasnął Szymon, lecz żaden z żołnierzy na to się nie ważył; byli zadowoleni, że Wit się przynajmniej nie wyrywa.

— A dlaczego? Aby usunąć świadków. Kłopotliwe przykłady sukcesu, gdy ty zawiodłeś żałośnie, wykonując swoją misję! Pian byłby następną ofiarą, gdybym nie powstrzymał nasłanego przez ciebie mordercy! Mnie też chciałeś usunąć!

— Szkoda, że tak się nie stało! — odezwał się ktoś, kto dotychczas nie zabierał jesz-

cze głosu; wrócił Iwo Bretończyk, wyraźnie w jak najgorszym humorze. — Wyrzucie go przez okno — zaproponował poważnie. — Zabity w czasie ucieczki. Chętnie wam pomogę... — Iwo miał zamiar wejść na scenę.

— Róbcie z nim, co chcecie! — zawołał Szymon z Saint-Quentin nie ukrywając, jak bardzo spodobała mu się ta propozycja.

Ale w dziwnym przymierzu wystąpili przeciwko Bretończykowi Gawin i Anzelm, w milczeniu odrzucając jego żądanie, toteż Iwo pozostał tam, gdzie był. Z powodu Wita nie opłacało się krzyżować miecza z templariuszem.

— Wit z Viterbo jest aresztowany! — oświadczył biskup Mikołaj. — Stanie przed cesarskim sądem pod zarzutem morderstwa!

— Nie ośmieszajcie się, ekscelencjo — zganił go łagodnie Ascelin. — Zachowajcie swoje ostatnie urzędowe działania w charakterze biskupa naszego Kościoła dla osób godniejszych. Pogrzebcie tego tam — wskazał na Benedykta — i bądźcie pewni — roześmiał się cicho — że na Wita z Viterbo czeka w zamku Świętego Anioła ktoś, kto będzie dla niego straszliwszym sędzią, wzbudzającym o wiele większą grozę niż kat z Konstantynopola! Nałóżcie mu z powrotem łańcuchy!

W tym momencie Wit runął na ziemię. Żołnierze myśleli, że upadł, lecz kiedy go podnieśli, w jego rękę błysnęła broń: sztylet asasynów, który wypatrzył na podłodze! Strażnicy cofnęli się przerażeni, a Wit jednym, susem dopadł okna i wskoczył na parapet.

— Nie, tam mnie już nie zawieziecie! — zawołał, gotów do skoku. — Ani ty, Ascelinie, nędzny pachółku, ani ty, Iwonie, zabójco z królewskiej łaski.

Zerknął szybko za siebie, aby należycie ocenić długość skoku, uwzględniając spadzi-  
stość i wytrzymałość okapu. Ale gdy jego wzrok ześlizgnął się w dół, zobaczył tuż pod sobą, jak przyklejoną do muru jaszczurkę, młodszego asasyna.

Nikt na scenie nie zauważył niczego, a Wit nie był w stanie niczemu zaradzić. Jednym spokojnym pociągnięciem sztyletu asasyn przeciął mu ścięgna u nóg. Nie zdążywszy wydać okrzyku, Wit runął z okna na grzbiet, uderzył w okap i z pogruchotanymi członkami spoczął martwy na schodach przed wejściem do pałacu.

— Sam siebie osądził — powiedział cicho Ascelin. — Widzieliście to wszyscy! — zwrócił się do przerażonych żołnierzy.

— Wy pójdziecie z nami, Pianie — oznajmił Szymon — ale przedtem wyznajcie wreszcie...

— Zdam sprawę tylko papieżowi! — odszczeknął wzburzony poseł, a ponieważ Iwo znalazł się teraz także na scenie i jako jedyny zerknął przez okno. Pian zawołał głośno, wzywając go na pomoc: — Oddaję się pod opiekę króla Francji! Zawieźcie mnie do Lyonu!

Szymon zostawił go w spokoju. Jego spojrzenie padło na Jana Turnbulla, nieosiągal-

nego za murem templariuszy.

— A Graal? — zapytał drwiąco. — Co z Graalem?

Szybkim ruchem ściągnął z ołtarza płótno, jakby pod nim skrywała się tajemnica, lecz zobaczył tylko goły kamień. Upuścił płótno pokryte plamami krwi; opadło na blade oblicze Benedykta z Polski, o którym już nikt nie myślał.

Papiescy odeszli z pustymi rękoma. Iwo Bretończyk wyprowadził z sali przygnębionego Piana, który przedtem spakował swoje skrzynie i upewnił się, że zarówno list wielkiego chana, jak i „Historia Mongolorum” znajdują się w nich nienaruszone. Skrzynie ponieśli słudzy biskupa. Templariusze zabrali starego Turnbulla, a Gawin pożegnał krótko gospodarza. Spozrzegł, że w wysokich drzwiach sali czeka na niego Zygisbert.

## TRIONFO FINALE\*

*Konstantynopol, port, jesień 1247*

*Z Kroniki Williama z Roebruku*

Kiedy rozpościerano na mnie sztandar, lekki powiew przeciągnął mi przez twarz i kołysząc się popłynęło w dal moje zupełnie nic nie ważące ciało. Jednakże to, iż ów powiew poczułem, kazało mi pomyśleć, że może jeszcze nie umarłem; to zaś, iż mogłem się nad tym zastanawiać, umocniło mnie w moim przekonaniu. Byłem już zresztą nieco oswojony z własną śmiercią. Że nakryto mnie sztandarem Otranto, stwierdziłem dopiero później, gdy zdecydowałem się otworzyć oczy, które mi Gawin zamknął tak troskliwie. A czyż nie ten właśnie templariusz na początku mojej przygody, u Loby, Wilczycy, był przy mnie, kiedy to na pozór umarłem? I czy nie on potem oddał mi pieczę nad dziećmi, które odtąd określały mój los? Wówczas oberwałem tylko guza na ostrzeżenie, tym razem dostało mi się gorzej.

Czułem, jak z mrowieniem w całym ciele ustępuje z mych członków paraliż. Sztylet asasy na był chyba zatruty i to prawdopodobnie uratowało mi życie, ochroniło przed wykrwawieniem, a przede wszystkim oszczędziło bólu, na który naraziło mnie brutalne traktowanie przez Wita i jego kompanów. Czy wpadłem w końcu w ich ręce? Dokąd zdążam kołysany niczym statek na fali? Gdzie jestem?...

Jak daleki szmer usłyszałem kroki ludzi, którzy mnie nieśli, łoskot i szczęk ich broni. Niby chmury przelatywały obok mnie okrzyki uznania i oklaski tłumów na ulicach. Mrugnąłem i zobaczyłem na swoim nosie płótno, ręce miałem skrzyżowane na piersi. Spróbowałem poruszyć palcami, skubnąłem płótno i ściągnąłem je ostrożnie na bok, aż

---

\* Trionfo finale (wł.) — ostateczny tryumf.

po jednej stronie utworzyła się szparka. Ujrzałem wzruszone twarze ludzi ustawionych szpalerem wzdłuż ulicy. Niektórzy wycierali nosy, inni zaciskając pięści wołali po grecku: „Precz z Rzymem!” i „Niech żyją dzieci Graala!”

Widziałem kark mężczyzny przed sobą, jednego z tych, którzy mnie nieśli. Rozpoznałem po niebiesko-żółtej chuście na szyi, że to człowiek z Otranto. Takie były też barwy sztandaru, pod którym spoczywałem niczym w heroicznej walce poległy bohater.

Sunąłem na ramionach żołnierzy tuż przed twarzami gapiów i ludzi zasmuconych, osób wściekłych i tylko zaciekawionych; mógłbym całować usta młodych kobiet trzymających na rękach niemowlęta. Nagle dostrzegłem Ingolinę, mrugnąłem do niej, ale ona spoglądała gdzieś wyżej, chyba na sztandar, i wołała: „Och, William, William!”, a w jej pięknych oczach stały łzy.

Uliczki starego miasta schodziły stromo w dół, bałem się, że się ześlizgnę z tarczy, nieświadomie zaparłem się więc piętami w jej brzeg. Na jednym z zakrętów dostrzegłem także czoło pochodu. Szedł tam wyprostowany, pełen godności mój mały Rosz z Hamonem u boku i wciąż się oglądał, czy tarcza ze mną podąża za nimi. Czyżby machał do mnie ręką?... Naraz zatrzymał się i zaczął przepuszczać orszak — niedługo powinien się znaleźć obok mnie. Ale kolumna raptem skręciła i zobaczyłem znowu tylko obce twarze. Nagle... usłyszałem głosy dzieci! Poczujęm się jak w niebie.

— Skoro go nie mogę nieść — mój mały Rosz, jak mi się zdawało, bardzo tego żałował — to chcę być chociaż jak najbliżej naszego Williama.

Gdzie one są? Może idą pod tarczą, a więc i pode mną? Jeza rozwiała ostatecznie tę wątpliwość.

— Williamowi by się to podobało. Przecież zawsze chciał być dla nas tarczą i osłoną!

— Nie ma go już!... — skarżył się Rosz. Jeza na pewno objęła go ramieniem...

— Pamiętaj, co powiedziała nam ta pani!

— Gdyby nie miała tak białych włosów — zauważył Rosz — myślałbym, że to nasza mama.

Jeza widać przytaknęła.

— Powiedziała: „Nie bójcie się. Będę z wami do końca.”

— Ja się przecież nie boję — oświadczył Rosz zuchowato, ale po głosie było słychać, że walczy ze łzami. — Ty też nie musisz się bać, bo jeszcze powiedziała: „Kochajcie się nawzajem, tak jak ja was kocham.”

Wydawało mi się, że w zapadłym teraz milczeniu, zakłócanym tylko krokami marszerujących, szczękiem broni oraz oklaskami i okrzykami widzów na uliczkach starego miasta, dosłyszałem jednak cichy płacz dzieci. Czy nie powinienem sięgnąć w dół, pogłaskać ich po głowach?

— Wracaj na czoło, do sztandaru! — Głos Jezy był nieco ochrypły. — Ja tworzę



z Zygisbertem straż tylną. Nic złego nie może się wam przytrafić! — Tupot ich stóp tylko sobie wyobraziłem.

Rzuciłem jeszcze ostatnie spojrzenie do przodu. Uspokojony dostrzegłem błyszczące ostrza wioseł, trzymane w pogotowiu kusze, zarzucone na ramiona maczugi, haki abordażowe i topory. Przybyliśmy do portu, gdzie stali Francuzi hrabiego Joinville, chyląc swą *oriflamme* przed zwłokami Williama z Roebroku. Byłem wzruszony. A może to tylko bryza wiejąca od morza napełniła moje oczy łzami?

Wniesiono mnie na pokład triery.

— Żegnaj, Williamie! — usłyszałem szept mrukliwego Zygisberta, który został chyba na nabrzeżu.

Tymczasem na pokładzie hrabina powiedziała z tak czułą szorstkością, jakiej jeszcze nigdy nie słyszałem:

— Wszystko będzie dobrze, mój chłopcze!

Czy powiedziała to do Hamona, swego syna marnotrawnego? Czy zaszlochała? Nie, na pewno nie.

— Odbijać! — rozkazała, jak miała w zwyczaju.

— *Agli ordini, contessa!*\* — zawołał dzielny Amalfitańczyk. Położono mnie na rufie, tuż przed zadaszeniem kabiny Laurencji. Usłyszałem plusk, gdy wiosła zanurzyły się w wodzie, powiew wiatru zsunął do połowy sztandar z mojej twarzy. Płótno łechtało trochę, ale nikt nie troszczył się o mnie; byłem z tego jednak rad, leżało mi się tak dobrze!

Wypłynęliśmy na morze. We właściwy dla Jana Turnbulla proroczy sposób spełniło się życzenie Wielkiego Planu. Nie jesteśmy wprawdzie okazałą flotyllą, wręcz przeciwnie, za to absolutnie nieuchwytni, pomyślałem. Jesteśmy na morzu, wolni, a ja żyję.

Obok jednonogiego pocziwego Guiscarda widziałem stojącą hrabinę, przy niej zaś Klarion. Laurencja trzymała rękę na ramieniu Hamona. Dalej, na rufie, gdzie powiewała bandera, siedziały zgodnie dzieci i spoglądały na falę, którą podnosiła potężna triera. Machały nogami nad pianą tworzącą się na wzburzonej wodzie. Delikatne słone krople dolatywały aż do mnie. Za nami miasto nad Bosforem zanurzało się w zamglonym świetle popołudniowego słońca, które jeszcze raz rozświetliło złote kopuły i potężne wieże.

„Być przy was do końca swoich dni!” Uśmiechnąłem się. Byłem szczęśliwy.

---

\* *Agli ordini, contessa* (wł.) — Rozkaz, hrabino!

## PODZIĘKOWANIA I ŹRÓDŁA

Walterowi Fritzschemu za odwagę, że zaangażował się w temat i zaakceptował autora, jak również za to, że stale mu dodawał otuchy, aby w pełni temat wyczerpał.

Doktorowi Helmutowi W. Peschowi za to, że poświęcił się i ostrożnie, z pełnym humanistycznym zrozumieniem przeorał wiersz po wierszu pole o powierzchni ponad tysiąca stron.

Profesorowi Achimowi Kielowi z Brunszwiku i jego współpracownikowi Thomasowi Przygoddzie za wrażliwe uwzględnienie moich intencji i ich interesujące, także dla mnie, przetworzenie na język obrazów.

*Last not least* mojemu agentowi Michaelowi Gördenowi, który (także tym razem) wykazał się doskonale jako dyskutant i świetny „katalizator” przy istniejącej obfitości materiału i pomysłów swego podopiecznego.

Moje podziękowania należą się również innym osobom. Za pomoc w zakresie: arabistyki — pani dr Giseli Ruppel z Freie Universität w Berlinie; kwestii liturgicznych — profesorowi historii muzyki na uniwersytecie w L'Aquila, Dariowi della Porta; historii zakonów — pani dr Claudii Montbart z Instytutu Banku Światowego w Paryżu; badań nad sektami i tajnymi naukami — profesorowi Wielandowi Schulzowi-Keilowi z Uppsali; lingwistyki — docentowi Pierre'owi H. Schroederowi z Paryża. Za wsparcie *sui generis* — Dieterowi Geisslerowi, Leonardowi Pescaroli i Philippowi Kreuzerowi, a memu ojcu za odziedziczoną i podsycającą miłość do dziejopisarstwa.

Napisałem tę książkę odręcznie. Wpisanie łącznie około 1600 stron manuskryptu do komputerów różnych systemów wymagało wytrwałej i cierpliwej pracy, której poświęcili się: Simone Pethke, Angelika Hansen, Numi Teusch, Bettina Petry, Sabine Rohe i Arnulf.

Szczególne podziękowanie należy się również wszystkim współpracownikom oficyny Gustav Lübbe Verlag, którzy w trudnych okresach końcowego opracowania i wydawania książki tak niezwykle szli mi na rękę, zawsze gotowi do pomocy.

W pracy nad książką uwzględniłem współczesne wydarzenia kroniki i dokumenty, takie jak: Jean de Joinville *Chronicles of the Crusades*, wyd. The Estate of M. R. B. Shaw, 1963; *Kaiser Friedrich II*, wyd. Klaus J. Heinisch, Winkler-dtv, 1977; *Die Kreuzzüge aus arabischer Sicht*, wyd. Francesco Gabrieli, Winkler-dtv, 1973. Jednakże napisanie powieści, której akcja rozgrywa się w średniowieczu, byłoby nie do pomyślenia bez wykorzystania dzieła Stevena Runcimana *Dzieje wypraw krzyżowych*, za co zawsze będę mu wdzięczny. Jako uzupełnienie do jego *opus magnum* miały dla mnie znaczenie

następujące pozycje: Otto Rahn *Kreuzzug gegen den Gral*, Urban Verlag, Freiburg i Brsg. 1933; Eugen Roll *Die Katharer*, J. Ch. Mellinger, Stuttgart 1979; Jordi Costa i Roca *Xacbert de Barbera*, Llibres del Trabucaire, Perpinya (Cat.) 1989; John Charpentier *L'Ordre des Templiers*, Klett-Cotta, Stuttgart 1959; Hans Prutz *Entweihung und Untergang des Tempelherrenordens*, G. Grote'sche Verlag, Berlin 1888; Bernhard Lewis *The Assassins*, Weidenfeld & Nicholson, London 1967; Edward Burman *Gli Assassini*, Convivio — Nardini edit., Florenz 1987; Bertold Spuler *Geschichte der Mongolen*, Artemis, Zürich 1968; Gian Andri Bezzola *Die Mongolen in abendländischer Sicht*, A. Francke, Bern 1974; *Johan de Piano Carpini, Reisebericht 1245–1247*, wyd. Friedrich Risch, Leipzig 1930; *Wilhelm Rubruk, Reise zu den Mongolen 1253–1255*, wyd. Friedrich Risch, Leipzig 1934; i na koniec moja własna książka wraz z indeksem i przypisami, czyli: Peter Berling *Franziskus oder Das zweite Memorandum*, Goldmann, München 1989 (2. Aufl. 1990).

*Peter Berling Rzym,  
1 maja 1991 r.*

## SŁOWNICZEK HISTORYCZNY

**Abakus** (z gr.) — pierwotnie liczydło; tak nazywano buławę templariuszy.

**Aigues Mortes** (fr. dosł.: Martwe Wody) — ufortyfikowany port założony przez Ludwika IX na bagiennym obszarze Camargue dla potrzeb planowanej przez króla wyprawy krzyżowej.

**El-Andalus** (arab.) — nazwa używana w średniowieczu na określenie Hiszpanii arabskiej.

**Asasyni** — szyicko-izmailicka tajna sekta założona ok. 1090 r. przez Hasana ibn as-Sabbaha (zm. 1124). Od połowy XII w. jej kolejni przywódcy otrzymywali przydomek „Starzec z Gór”. Główną siedzibą sekty była górską twierdza Alamut w Persji. W r. 1196 asasyni usadowili się również w Syrii z ośrodkiem w twierdzy Masnat. Prężna organizacja sekty (z niej czerpali wzór templariusze) przewidywała wąski krąg wtajemniczonych, tzw. *da'i*, oraz drugi, ubiegających się o przyjęcie, zwanych *fida'i*, którzy mieli być ślepo posłuszni rozkazom (do poświęcenia życia włącznie). Termin „asasyn” wywodzi się z arab. *haszaszasi* — haszysz, członków sekty pomawiano bowiem o oszołamianie się tym narkotykiem. Od dokonywanych przez sektę w okresie wojen krzyżowych mordów polityczno-religijnych słowo „asasyn” stało się synonimem mordercy i w tym znaczeniu przetrwało w językach europejskich do dziś (por. np. fr. *assassin*).

**Aulona** — położona naprzeciwko Otranto starożytna miejscowość na Półwyspie Bałkańskim, znana w średniowieczu także pod nazwą Valona (dzis. Vlora w Albanii).

**Castel Sant' Angelo** — zob. zamek Świętego Anioła.

**Cesarstwo Łacińskie** — feudalne państwo założone w 1204 r. przez uczestników IV wyprawy krzyżowej po zdobyciu Konstantynopola.

**Chemiczne zaślubiny** — połączenie biegunowych przeciwieństw, *coincidentia oppositorum*, w hermetyczno-alchemicznej symbolice określenie chemicznego lub duchowego „aktu stworzenia”, który jest konieczny dla „narodzin” wszystkiego co nowe.

**Chrysokeras** — Złoty Róg, zatoka przy wejściu z morza Marmara do cieśniny Bosfor; na obu jej brzegach leży Konstantynopol (dziś. Stambuł).

**Consolamentum** (łac. pocieszenie) — „chrzest duchowy” występujący w kataryzmie jako: 1. *consolamentum* Doskonałych, czyli poprzedzony długim okresem przygotowań ceremoniał udzielenia Wierzącemu Ducha Świętego, dzięki czemu jako „wyświęcony” wchodził do grona Doskonałych i m.in. sam otrzymywał władzę przekazywania innym Ducha Świętego przez nałożenie rąk; 2. *consolamentum* umierających, którego

ceremoniał był wprawdzie niemal identyczny z *consolamentum* Doskonałych, ale tylko przygotowywał Wierzącego do śmierci, dając mu szansę odpuszczenia grzechów przez Boga i osiągnięcia bram raju. Z tym *consolamentum* łączyła się często jeszcze *endura* (zob.).

**Czysty** — zob. kataryzm.

**Derwisz** — zob. sufizm.

**Doskonały** (*perfectus*) — w katarskiej wspólnocie człowiek, który otrzymał *consolamentum*, czyli został „wyświęcony”.

**Elias z Cortony** — ur. w 1178, z rodziny baronów Coppi, przydomek Il Bombarone („Dobry baron”). W 1211 r. wstąpił do zakonu Franciszka z Asyżu, który w r. 1217 uczynił go prowincjałem Toskanii. W l. 1218–20 był prowincjałem Syrii, w r. 1221 został zastępcą Franciszka, a w r. 1223 generałem zakonu. Wybrany ponownie w 1232, 15 V 1239 złożony z urzędu i ekskomunikowany, wycofał się do Cortony. Przysłał potem do Fryderyka II, w którego imieniu udał się na przełomie 1242/43 jako poseł do Konstantynopola w celu załagodzenia sporu między cesarzem łacińskim Baldwinem II a cesarzem greckim Janem III Watazesem, a w r. 1244 powrócił do Cortony z relikwią Drzewa Św. Krzyża. W tym samym roku nowy generał zakonu, Anglik Aymon z Faversham, zaprosił Eliasza na zwołane na 4 X 1244 posiedzenie kapituły generalnej do Genui. Eliasza swoją nieobecność usprawiedliwił pisemnie.

**Endura** (okcyt.) — wyrzeczenie się, post. W kataryzmie praktyka, która zwykle była następstwem przyjęcia *consolamentum* umierających, prowadząca do samobójczej śmierci na skutek odmowy przyjmowania pokarmów, stosowana przez ludzi starych i chorych, ale także przez osoby, które pragnęły w ten sposób wyrazić swą pogardę dla życia ziemskiego i odejść się wyzwolić lub wołały ten rodzaj śmierci od inkwizycyjnego stosu. W Montségur *endura* była okresem przygotowania się do męczeńskiej śmierci na stosie.

**Faidit** (ze śrdn. łac. *faiditus*) — banita; termin używany w średniowieczu głównie na określenie wyjętych spod prawa katarów. Z rozkazu hrabiego Tuluzy działało sprzysiężenie *faidits*.

**Graal** — wielka tajemnica katarów, wyjawiana tylko wtajemniczonym. Do dziś nie jest jasne, czy chodziło o jakiś przedmiot, kamień, kielich (z zebranymi kroplami krwi Chrystusa) czy też o skarb lub wiedzę o rzeczach tajemnych, np. w jaki sposób dynastia wywodząca się od króla Dawida przeszła za pośrednictwem Jezusa z Nazaretu do Okcytanii. Istnieje również teoria, że nazwę „Święty Graal”, tj. „San Graal”, powinno się czytać jako „Sang Réal”, tzn. „Królewska (Święta) Krew”. W alchemii Graal bywa niekiedy utożsamiany z „kamieniem filozoficznym”, w mitologii łączy się z rycerzami Okrągłego Stołu króla Artura.

**La Grande Maîtresse** (fr.) — Wielka Mistrzyni, określenie kobiety pełniącej funkcję wielkiego mistrza zakonu, co zdarzało się niezwykle rzadko, w tym wypadku Marii z Saint-Clair (ur. 1192), w latach 1220–1266 wielkiej mistrzyni Przeoratu Syjonu (zob.), którą została po śmierci swego męża, wielkiego mistrza Jana z Gisors. Pasierb Marii z Saint-Clair, Wilhelm z Gisors (ur. 1219), został później jej następcą; w r. 1269 przyjęto go do Zakonu Nawy i Podwójnego Półksiężyca, który założył Ludwik IX dla uczestników VI wyprawy krzyżowej rekrutujących się ze szlachty.

**Hermes Trismegistos** (gr. Hermes Trzykroć Wielki) — bóstwo występujące w synkretycznej religii hellenistycznej, powstałe przez utożsamienie greckiego Hermesa z egipskim bogiem Thotem. W późniejszych czasach różni pisarze hermetyczni uważali go za postać historyczną — króla, proroka bądź filozofa (lekarza). Przypisywanych mu siedemnaście ksiąg pochodzi prawdopodobnie z pierwszego stulecia n.e. z ezoterycznej szkoły w Aleksandrii i traktuje o astrologii, rytuałach świątynnych i medycynie. Stały się one podstawą alchemii.

**Izmailici** — sekta szyicka, której doktryna miała charakter ezoteryczny. Obowiązywał w niej rytuał wtajemniczenia poprzez kolejne stopnie, zobowiązujący wiernego do absolutnej tajemnicy i ślepego posłuszeństwa. W XI w. nastąpił podział izmailitów na druzów, asasynów (zob.) i nizarytów.

**Jan, książdz** — legendarny chrześcijański władca, którego państwo leżało gdzieś na Wschodzie, a on uchodził za potomka jednego z Trzech Królów. W epoce wypraw krzyżowych miał być zbawcą chrześcijaństwa. Przez pewien czas utożsamiano go z negusem Etiopii, potem z Dżyngis-chanem.

**Kataryzm** (z gr. *katharós*, czysty) — średniowieczny ruch odnowy radykalnie odstępujący od Kościoła rzymskiego. Zrodzone w Langwedocji kacerstwo rozprzestrzeniło się za Pireneje, a poprzez Prowansję i Alpy dotarło do Lombardii i na Bałkany. Doktryna Czystych wywodziła się z tradycji wczesnochrześcijańskiej gminy, żydowskiej diaspory i celtyckiego druidyzmu. Pod wpływem gnozy i dualistycznego manicheizmu kataryzm rozwinął się w ciągu XII w. w niebezpieczną, przeciwstawną Rzymowi siłę. Ascetyczny tryb życia katarskiego kapłaństwa zjednywał heretykom ogromny dopływ prostych ludzi, ale także lokalna szlachta była oddana doktrynie, która w przeciwieństwie do stanowiska Kościoła rzymskiego, nie zawierała roszczeń do sprawowania władzy świeckiej. Kataryzm praktykowano z radością, obiecywał bowiem wiernym raj, u szlachty zaś dochodziła jeszcze tęsknota za Świętym Graalem (zob.). Społeczność katarska dzieliła się na Doskonałych (zob.) i Wierzących (łac. *credentes*).

**Kościół Miłości** — symboliczne określenie kościelnej struktury kataryzmu.

**Lapsit exilis** — niezbyt jasne wyrażenie pojawiające się w alchemii, które niekiedy interpretowano jako *lapis ex coelis* — kamień z nieba, *lapsit ex coelis* — spadły z nieba, bądź *lapis excellens* — kamień doskonały.

**Montségur** — najslawniejszy ze wszystkich katarskich zamków, zbudowany na stożkowatej górze (*pog*) w Ariège (hrabstwo Foix); w roku 1204 został przekształcony w twierdzę na polecenie Esklarmondy z Foix. Niegdyś znajdował się w tym miejscu celtycki ośrodek kultowy. Dobrze zachowane ruiny Monsalwatu można zwiedzać do dzisiaj.

**Nestorianie** — odłam chrześcijaństwa, którego nazwa pochodzi od imienia Nestoriusza, patriarchy Konstantynopola w l. 428–431. Mocą uchwał Soboru Efeskiego (431) potępieni i wypędzeni z cesarstwa, prowadzili szeroką działalność misyjną zakładając wspólnoty na całym Wschodzie, od Samarkandy po Kurdystan aż do Indii, a nawet w Chinach. Nestorianem miał być legendarny książdz Jan (zob.).

**Okcytania** — określenie krain historycznych na południu dzisiejszej Francji (m. in. Prowansji, Langwedocji, Gaskonii), gdzie w średniowieczu używano tzw. języka *oc* (*langue d'oc*). Okcytański obejmował liczne dialekty: prowansalski, langwedocki, gaskoński i inne. Używany jeszcze dziś termin „język prowansalski” mylnie sugeruje ograniczenie *langue d'oc* wyłącznie do terytorium Prowansji.

**Parsifal** — historyczny Rajmund Roger II z Carcasonne (1185–1209), zamordowany jako jeńiec zaraz na początku wyprawy krzyżowej przeciwko Graalowi (zob.), czyli tzw. „wojen z albigensami”, które zakończyły się wraz z upadkiem Montségur (zob.).

**Porcjunkula** — kaplica pod Asyżem, miejsce narodzin ruchu franciszkańskiego; dziś kaplica jest fragmentem nadbudowanego nad nią kościoła Matki Boskiej Anielskiej.

**Przeorat Syjonu** (fr. *Prieuré de Sion*) — niezwykle potężna i wpływowa tajna organizacja o niejasnym rodowodzie, która pod nazwą *Ordre de Sion* (Zakon Syjonu) została rzekomo założona przez Godfryda z Bouillon w 1090 lub 1099 roku, z siedzibą na górze Syjon pod Jerozolimą. Zakon Syjonu miał jakoby doprowadzić do powstania w r. 1118 podporządkowanego sobie zakonu templariuszy. Po zdobyciu Jerozolimy przez Saracenów w r. 1187 Zakon przeniósł się do Francji, gdzie rok później doszło do rozłamu między nim a rycerzami Świątyni (dotychczas wielki mistrz Zakonu był także mistrzem templariuszy), co jednak nie przekreśliło dalszego współdziałania obu zakonów. Od roku 1188 Zakon Syjonu zmienił nazwę na Przeorat Syjonu i wybierał już tylko własnych wielkich mistrzów. Pierwszym z nich był Jan z Gisors. Zob. hasło La Grande Maîtresse.

**Sang Graal** — zob. Graal

**Starzec z Gór** — zob. asasyni.

**Sufizm** — prąd mistyczno-ascetyczny w islamie, powstały w VII-VIII w., który kładł nacisk na przeżycie mistyczne, osiągnięte m. in. przez kontemplację i prowadzące do zespolenia z istotą boską. Sufi przejawiali obojętność wobec rytualnych praktyk islamu, przez co narazili się na posądzenie o herezję i prześladowania. Sufizm wywarł silny wpływ na filozofię muzułmańską, a także na zachodnią scholastykę. W ciągu XII-XIV w. powstały liczne bractwa sufich (derwiszów), wykazujące wielką aktywność religijną, czasem też polityczną.

**Treuga Dei** (łac.) — pokój Boży; wprowadzony w średniowiecznej Europie przez Kościół rzymski zakaz starć zbrojnych m. in. od środy wieczór do poniedziałku rano.

**Wielka Mistrzyni** — zob. La Grande Maîtresse.

**Zamek Świętego Anioła** — dawne monumentalne mauzoleum cesarza Hadriana na Zatybrzu, ufortyfikowane w IX w. i przekształcone w niezdobytą twierdzę. W razie zagrożenia papież chronił się tu wraz ze swym dworem, korzystając nieraz z korytarza w murze łączącym zamek z bazyliką Świętego Piotra. W czasie pokoju zamkiem zarządzał kasztelan papieski, zwykle zaufany kardynał. Najgorsze pomieszczenia pełniły funkcję cel więziennych.

# SPIS TREŚCI

PROLOG	7
I MONTSÉGUR	11
II OCALENIE	43
III IN FUGAM PAPA	71
IV ZATARTE ŚLADY	112
V UCHO DIONIZOSA	168
VI CANES DOMINI	211
VII SARACENI	260
VIII SOLSTITIUM	297
IX ŚLAD MNICHA	329
X CHRYSOKERAS	367
XI W LABIRYNCIE KALLISTOSA	401
XII CONIUNCTIO FATALIS	433
XIII OBJAWIENIE	481
PODZIĘKOWANIA I ŹRÓDŁA	
SŁOWNICZEK HISTORYCZNY	